

**ANATOLIJ RYBAKOW**

## **Dzieci Arbatu**



## **Część pierwsza**

Największy dom na Arbacie stoi między zaułkiem Nikolskim i Dnieżnym, czyli dzisiejszym zaułkiem Płotnikowa i ulicą Wiesnina. Trzy siedmiopiętrowe budynki tłoczą się jeden za drugim, fasada pierwszego wyłożona jest białymi płytkami ceramicznymi. Wiszą tabliczki: "Hafciarstwo", "Leczenie wad wymowy", "Choroby weneryczne i układu moczopłciowego". Niskie, łukowo sklepione bramy, obite na krawędziach żelazną blachą, łączą dwa głębokie ciemne podwórza.

Sasza Pankratow wyszedł z domu i skręcił w lewo, w stronę placu Smoleńskiego. Przed kinem "Arbacki Ars" przechadzały się już parami dziewczyny arbackie i dorogomiłowskie, i te z Pluszczychy. Kołnierze płaszczy niedbale podniesione, umalowane usta, podwinięte rzęsy, wyczekujące spojrzenia, na szyi kolorowa apaszka - jesienny arbacki szyk. Skończył się seans, widzów wypuszczano przez podwórze, tłum tłoczył się w wąskiej bramie, w której dodatkowe wesołe zamieszanie robiła grupka wyrostków - odwiecznych gospodarzy tych miejsc.

Arbat kończył swój dzień. Po jezdni, już asfaltowej, choć między torami tramwajowymi wciąż jeszcze brukowanej kocimi łbami, sunęły, wymijając stare dorożki, pierwsze radzieckie samochody GAZ i AMO, Z zajezdni wyjeżdżały dwu- lub nawet trzywagonowe tramwaje - beznadziejna próba zaspokojenia komunikacyjnych potrzeb wielkiego miasta. A pod ziemią drążono już pierwszą linię metra i na placu Smoleńskim nad wykopem sterczała drewniana wieża.

Katia czekała na Saszę na Diewiczym Polu, koło klubu zakładów "Kauczuk" - szarooka stepowa dziewczyna o wystających kościach policzkowych, ubrana w sweter z grubej wiejskiej wełny. Zalatywało od niej winem.

- Wypiliśmy z dziewczynami czerwonego. A ty nie świętujesz?
- A jakie to święto?
- Jakie... Matki Boskiej Orędowniczki.
- Aha...
- Takie to i "aha".
- Dokąd pójdziemy?
- Dokąd... Do przyjaciółki.
- Co wziąć?
- Zakąskę tam mają. Kup wódki.

Przez zaułek Bolszoi Sawwinskij, obok starych baraków robotniczych, skąd dobiegały

pijackie głosy, nieskładny śpiew, dźwięki harmonijki i patefonu, potem wąskim przejściem między drewnianymi płotami fabrycznymi zeszli na nadbrzeże. Po lewej stronie widniały szerokie okna fabryk Swierdłowa i Liwersa, po prawej była rzeka Moskwa, przed nimi - mury klasztoru Nowodiewiczego i stalowy ażur mostu kolei obwodowej, a dalej błota i łąki, Koczki i Łuźniki...

- Dokąd mnie prowadzisz?

- Dokąd, dokąd... Chodź, biedny idzie bosy, gdzie go oczy niosą.

Objął ją, próbowała strącić jego rękę.

- Wytrzymaj trochę.

Sasza ścisnął mocniej jej ramiona.

- Nie stawiaj się.

Trzypiętrowy nie otynkowany budynek stał na uboczu. Przeszli przez długi, słabo oświetlony korytarz, mijając niezliczone drzwi. Przed ostatnimi Katia powiedziała:

- U Marusi jest jej przyjaciel. O nic nie pytaj.

Na tapczanie, twarzą do ściany, spał jakiś mężczyzna, przy oknie siedziały dzieci, chłopiec i dziewczynka w wieku dziesięciu-jedenastu lat, obejrzały się na drzwi, przywitały Katię. W kącie, przy stole kuchennym stojącym obok umywalki krzątała się niewysoka, znacznie starsza od Katii kobieta o miłej i dobrej twarzy. To właśnie była Marusia.

- A my już myśleliśmy, że nie przyjdziecie - powiedziała, wycierając ręce i zdejmując fartuch - myśleliśmy, że wypuściliście się gdzieś... Wasilu Pietrowiczu, niech pan wstanie, goście przyszli.

Mężczyzna wstał - chudy, ponury, przyglądził rzadkie włosy, przejechał dłonią po twarzy, otrząsając się ze snu. Kołnierzyk koszuli był zmięty, węzeł krawata rozluźnił się.

- Pierogi obeschły - Marusia zdjęła ściereczkę z leżących na stole żytnich pierogów. - Ten jest z soją, ten z kartoflami, a ten z kapustą. Toma, podaj talerze.

Dziewczynka postawiła na stole talerze.

Katia zdjęła żakiet, wyciągnęła z kredensu noże i widelce, od razu zaczęła nakrywać do stołu, wiedziała, gdzie co leży, najwidoczniej była tu nie pierwszy raz.

- Zrób porządek - poleciła Marusi.

- Przysnęliśmy po obiedzie - usprawiedliwiała się Marusia, zgarniając z krzeseł ubrania. - Dzieciaki papieru nacięły, Witia, pobieraj te śmieci.

Pełzając po podłodze chłopiec posprzątał ścinki papieru.

Wasilij Pietrowicz umył się nad umywalką, poprawił krawat.

Marusia z każdego pieroga odkroiła dzieciom po kawałku, położyła na parapecie.

- Jedzcie!

Wasilij Pietrowicz rozlał wódkę.

- No to pod święto!

- Pod stołem się spotkamy - Katia unikała wzroku Saszy. Pierwszy raz przyprowadziła go do swoich znajomych, piła tu wódkę - dotychczas piła przy nim tylko czerwone wino.

- Jakiego czarnookiego sobie przygruchała - wesoło powiedziała Marusia wskazując na Saszę.

- Czarnookiego i kędzierzawego - uśmiechnęła się Katia.

- W młodości czupryna, na starość łysina - obwieścił Wasilij Pietrowicz i znów sięgnął po butelkę. Nie wydawał się już Saszy taki ponury, jego rozmowność świadczyła o chęci podtrzymania znajomości. Również Marusia patrzyła na nich z sympatią i zrozumieniem.

Życzliwość Marusi sprawiała Saszy przyjemność, podobał mu się ten dom na peryferiach, piosenka i harmonia za ścianą.

- Dlaczego pan nie je? - spytała Marusia.

- Jem, dziękuję, smaczne pierogi.

- Żeby było z czego, to nie takie bym zrobiła. A tak nawet drożdży nie ma. Na szczęście Wasilij Pietrowicz przyniósł.

Wasilij Pietrowicz z powagą powiedział coś na temat drożdży.

Dzieci chciały jeszcze pieroga.

Marusia znów odkroiła im po kawałku.

- Myślicie, że to wszystko dla was? Dość już tej zabawy, jazda do mycia!

Zebrała ich pościel i wyniosła z pokoju, do sąsiadki.

Dzieci poszły spać. Potem pożegnał się Wasilij Pietrowicz. Marusia wyszła go odprowadzić. Wychodząc powiedziała do Katii:

- Weź z szafy czyste prześcieradło.

- Po co on jej? - spytał Sasza, gdy za Marusią zamknęły się drzwi.

- Mąż alimentów nie płaci, szukaj wiatru w polu! A żyć trzeba.

- I tak przy dzieciach?

- A co, lepiej żeby głodne siedziały?

- Stary jest.

- Ona też niemłoda.

- Czemu się z nią nie żeni?

Popatrzyła na niego spode łba.

- A czemu ty nie żenisz się ze mną?

- Co, chcesz wyjść za mąż?

- Chcesz... Dość już tego! Chodźmy spać.

To też było niezwykle. Za każdym razem musiał zdobywać ją tak jak na początku, a dziś sama ściele łóżko, rozbiera się. Powiedziała tylko:

- Zgaś światło.

Potem pieściła palcami jego włosy...

- Silny jesteś, dziewczuchy pewnie na ciebie lecą, tylko bardzo nieostrożny - pochyliła się nad nim, zajrzała w oczy.

- Urodzę ci takiego z czarnymi oczkami, nie boisz się?

No tak, prędzej czy później musiało się to przytrafić. Trudno, usunie, dziecko nie jest potrzebne ani jemu, ani jej.

- Jesteś w ciąży?

Położyła głowę na jego ramieniu, wtuliła się w niego, jakby szukając obrony przed nieszczęściami i niedolami swojego życia.

Co o niej właściwie wie? Gdzie ona mieszka? U ciotki? W hotelu robotniczym? Wynajmuje jakiś kąt? Usunąć ciążę... Co Katia powie w domu, jakie zaświadczenie pokaże w pracy? A jeżeli już jest za późno? Gdzie się podzieje z dzieckiem?

- Jeżeli wpadłaś, to musisz urodzić. Pobierzemy się.

Nie podnosząc głowy spytała:

- A jak nazwiemy małego?

- Pomyślimy, czasu jest dużo.

Parsknęła śmiechem, odsunęła się od niego.

- Ty się nie ożenisz, a i ja za ciebie nie wyjdę. Ile masz lat? Dwadzieścia dwa? To jestem starsza od ciebie. Ty jesteś wykształcony, a ja co? Sześć klas... Wyjdę, ale nie za ciebie.

- A za kogo? Ciekawe!

- Ciekawe... Jest taki chłopak, nasz, ze wsi.

- Gdzie on jest?

- Gdzie... Na Uralu, przyjedzie i zabierze mnie.

- Kto to?

- Kto... Mechanik.

- Dawno go znasz?

- Mówiłam ci, z naszej wsi.

- Dlaczego do tej pory się z tobą nie ożenił?

- Jeszcze się nie wyszumiał, to i nie miał chęci do żeniaczki.

- Aha, a teraz już się wyszumiał?
- Teraz ma trzydziestkę. Żebyś wiedział, jakie panienki na niego leciały...
- Kochasz go?
- No, kocham.
- To dlaczego spotykasz się ze mną?
- Dlaczego i dlaczego... Też chcę użyć życia. Przesłuchuje jak na milicji, a niechże cię!
- To kiedy po ciebie przyjedzie?
- Jutro.
- I już się więcej nie spotkamy?
- A co, na wesele mam cię zaprosić? To krzepki chłopak, raz trzaśnie, i już cię nie ma.
- To się jeszcze okaże.
- No no...
- Ale przecież jesteś w ciąży.
- Kto tak powiedział?
- Ty powiedziałaś.
- Nic nie mówiłam. Sam wymyśliłeś.

Ktoś cichutko zapukał do drzwi. Katia wpuściła Marusię, wróciła do Saszy.

- Odprowadziłam - Marusia zapaliła światło. - Będziecie pić herbatę?

Sasza sięgnął po spodnie.

- Co pan? - zdziwiła się Marusia. - Proszę się nie krępować.
- On jest wstydlivy - zażartowała Katia. - Wstydzi się ze mną chodzić, zenić się chce...
- Ożenek sprawa prosta - powiedziała Marusia - i rozwód sprawa prosta.

Sasza nalał sobie resztę wódki, zakąsił pierogiem. Właściwie powinien być wdzięczny Katii za tak pomyślne i proste zakończenie ich związku. Ten mechanik pewnie rzeczywiście istnieje, ale nie o niego chodzi. Chodzi o to, że Katia znów się z nim droczy, a on rozkleił się jak głupi. Wstał.

- A ty dokąd? - spytała Katia.

- Do domu.

- Co też pan - obruszyła się Marusia. - Niech pan śpi, rano pan sobie pójdzie, ja przenocuję u sąsiadki, przecież nikomu pan tu nie przeszkadza.

- Muszę iść.

Katia patrzyła na niego.

- Trafisz stąd?

- Nie zabłądzę.

Przyciągnęła go do siebie.

- Zostań.

- Pójdę. Życzę ci wszystkiego najlepszego.

A jednak to fajna dziewczyna! Szkoda. Jeżeli nie zadzwoni, to rzeczywiście nigdy się już nie zobaczą: nie zna jej adresu, Katia nigdy nie chciała mu go podać - "ciotka mnie zeklnie", nie mówi nawet, w jakiej fabryce pracuje - "bo sterczałbyś tylko pod portiernią".

Dawniej od czasu do czasu dzwoniła do niego z automatu, szli do kina albo do parku, potem znikali w głębi Ogrodu Nieskucznego. W świetle księżyca bieleły płócienne leżaki, Katia odwracała się. "Też wymyślił... Ale się przyczepił..." A później przytulała się do niego, wargi miała suche, spierzchnięte, zanurzała w jego włosach swoje szorstkie palce.

- Na początku wzięłam cię za Cygana. Koło naszej wsi stali kiedyś Cyganie, też tacy czarni. Ale ty masz gładką skórę.

Latem, gdy mama była na dacy u siostry, Katia przychodziła do niego, spojrzenie zagniewane, krępowała się wysiadujących na podwórzu sąsiadek. "Wybałuszają gały. W życiu więcej tu nie przyjdę".

Telefonując najpierw milczała, potem odkładała słuchawkę, dzwoniła jeszcze raz.

- Katia, to ty?

- No, ja...

- Dlaczego nic nie mówisz?

- Nawet nie dzwoniłam...

- Spotkamy się?

- Gdzież to się spotkamy?

- Może koło parku?

- Też wymyślił... Przyjeżdżaj na Diewiczkę.

- O szóstej, o siódmej?

- Wpadnę o szóstej...

Sasza wspominał teraz to wszystko, czekał na jej telefon. Następnego dnia chciał jak najszybciej wrócić z instytutu do domu - a nuż zadzwoni. Musiał jednak zostać dłużej, przygotować gazetkę ścienną na rocznicę Października. A potem wezwano go na zebranie egzekutywy.

Przy drzwiach nie było wolnych miejsc. Sasza przecisnął się między stłoczonymi rzędami krzeseł potrącając siedzących na nich ludzi, co wywołało niezadowolone spojrzenie Baulina, sekretarza organizacji partyjnej - jasnowłosego osiłka o prostej, upartej twarzy i szerokich barach, rozpierających granatową satynową koszulę, zapiętą pod krótką



szyją na dwa białe guziki. Gdy Sasza usiadł wreszcie w kącie, Baulin oderwał od niego wzrok i znów zwrócił się do Kriworuczki:

- To wy, Kriworuczko, zawaliliście budowę akademików. Przyczyny obiektywne nikogo tu nie interesują! Że środki przerzucono na budowy szturmowe? Wy nie odpowiadacie za Magnitkę, tylko za instytut! Dlaczego nie uprzedziliście, że terminy są nierealne! Ach tak, realne... To dlaczego nie dotzymane? Co z tego, że dwadzieścia lat należycie do partii? Za dawne zasługi w pas się pokłonimy, ale za błędy będziemy bić!

Ton Baulina zdziwił Saszę. Kriworuczki, zastępcy dyrektora, studenci trochę się bali. W instytucie mówiło się o jego chlubnej wojennej przeszłości, do dziś chodzi w bluzie, bryczesach i wojskowych butach. Ten przygarbiony mężczyzna z długim smętnym nosem i workami pod oczami nigdy i z nikim nie wdawał się w rozmowy, nawet na powitanie odpowiadał jedynie skinieniem głowy.

Kriworuczko zaciskał dłoń na oparciu krzesła. Sasza widział, jak drżą mu palce. Słabość człowieka tak zawsze groźnego sprawiała żalodne wrażenie. Budowa stała, bo nie dostarczano materiałów. O tym jednak nikt tutaj nie mówi. Jedynie Janson, dziekan wydziału Saszy, flegmatyczny Łotysz, zwrócił się pojednawczo do dyrektorki instytutu Glińskiej:

- A może wyznaczyć dodatkowy termin?

Glińska milczała. Siedziała z obrażoną miną człowieka, którego los pokarał tak nieudolnym zastępcą. Wstał aspirant Łozgaczew, wysoki, okazały, teatralnym gestem wznosił ręce do góry.

- Czyżby i łopaty wysłano na Magnitkę? Studenci gołymi rękami ryli zmarzniętą ziemię? Proszę, tam siedzi komsorg grupy, niech opowie, jak pracowali bez łopat!

Baulin przyjrzał się Saszy z zainteresowaniem. Sasza wstał.

- Nie pracowaliśmy bez łopat. Magazyn był zamknięty. Potem przyszedł magazynier i wydał łopaty.

- Długo czekaliście? - nie podnosząc głowy spytał Kriworuczko.

- Z dziesięć minut.

Łozgaczew, który tak niefortunnie powołał Saszę na świadka, z wyrzutem pokręcił głową, jak gdyby niedopatrzenie to było winą Saszy, a nie jego.

- Ale wszystko się ułożyło? - uśmiechnął się Baulin.

- Ułożyło - odpowiedział Sasza.

- A ile czasu pracowaliście, a ile nie?

- Przecież nie było materiałów.

- Skąd o tym wiesz?

- Wszyscy przecież wiedzą.

- Niepotrzebnie bawisz się w adwokata, Pankratow - surowo powiedział Baulin. - I nie w porę!

Starając się nie patrzeć na Kriworuczkę członkowie egzekutywy przegłosowali wydalenie go z partii. Wstrzymał się tylko Janson.

Zgarbiony jeszcze bardziej niż zwykle Kriworuczko wyszedł z sali.

- Wpłynęło oświadczenie docenta Azizjana - oznajmił Baulin i spojrzał na Saszę, jak gdyby chciał spytać: a co powiesz teraz, Pankratow?

Azizjan prowadził w grupie Saszy wykłady z podstaw rachunkowości socjalistycznej. Przeważnie jednak mówił nie o rachunkowości, nawet nie o jej podstawach, ale o tych, którzy podstawy te podważają. Sasza na zajęciach głośno wyraził pogląd, że nie zaszkodziłoby dać studentom jakieś pojęcie o rachunkowości jako takiej. Azizjan, kędzierzawy, obłudny cwaniak, roześmiał się wtedy. A teraz oskarżał Saszę o wystąpienie przeciwko marksistowskiej analizie nauk ekonomicznych.

- Było tak? - Baulin patrzył na Saszę zimnymi niebieskimi oczami.

- Nie mówiłem, że teoria jest niepotrzebna. Powiedziałem tylko, że z rachunkowości nic nie umiemy.

- Partyjność nauki cię nie interesuje?

- Interesuje. Ale konkretna wiedza też.

- A więc dla ciebie partyjność i konkretność to dwie różne sprawy?

Znów wstał Łozgaczew.

- No, towarzysze... Skoro publicznie głosi się apolityczność nauki... I jeszcze jedno: Pankratow chciał narzucić egzekutywie swoją szczególną opinię o Kriworuczce, odgrywał tu przedstawiciela szerokich mas studenckich. A właściwie, Pankratow, to kogo wy tu reprezentujecie?

Janson siedział ponury, grubymi palcami bębnił o mocno wypchaną teczkę.

Glińska pochyliła się ku Baulinowi.

- Może przekazać sprawę organizacji komsomolskiej...

W jej głosie pobrzmiwał ton urzędowego znużenia: problem mało istotny, jakiś nic nie znaczący student. Łozgaczew spojrzał na Baulina, wydało mu się, że propozycja Glińskiej może wzbudzić niezadowolenie tamtego.

- Egzekutywa nie powinna uchylać się...

To nieostrożne słowo zadecydowało o wszystkim.

- Nikt się nie uchyla - zmarszczył brwi Baulin - ale jest ustalony tryb. Niech Komsomoł rozpatrzy sprawę. Zobaczymy, jak tam u nich z dojrzałością polityczną.

Na wieszaku wisiał brązowy skórzany płaszcz. Wujek Mark!

- Włączysz się?

Sasza pocałował Marka w gładko wygolony policzek. Wokół Marka unosił się zapach dobrego tytoniu fajkowego i wytwornej wody kolońskiej, "dyskretny urok kawalerstwa", jak mawiała mama. Mark wyglądał na więcej niż swoje trzydzieści pięć lat - krągły, wesoły, łysiejący wujaszek. I tylko ostre spojrzenie zza żółtawych szkieł okularów zdradzało żelazną wolę tego człowieka, jednego z generałów przemysłu, niemal tak legendarnego jak jego gigantyczna budowa na Wschodzie - nowa baza metalurgiczna Związku Radzieckiego, niedostępna dla nieprzyjacielskiego lotnictwa, strategiczne zaplecze proletariackiego mocarstwa.

- A już myślałem, że się ciebie nie doczekam, pewnie nocuje gdzie indziej, myślę sobie...

- Sasza zawsze nocuje w domu - powiedziała mama.

Na stole portwain, różowawa kiełbasa delikatesowa, szproty, chlebki tureckie - przysmaki, które zawsze przywoził Mark, obok tradycyjny domowy pieróg mamy. Mark najwidoczniej zdążył uprzedzić o swoim przyjeździe.

- Na długo przyjechałeś? - spytał Sasza.

- Dziś przyjechałem, jutro wyjeżdżam.

- Stalin go wezwał - wtrąciła mama.

Była dumna z brata, była dumna z syna - więcej powodów do dumy nie miała, samotna kobieta, porzucona przez męża, mała, tęga, o bladej, niebrzydkiej jeszcze twarzy i siwych, gęstych wijących się włosach.

Mark wskazał ręką na leżący na podłodze pakunek.

- Rozwiń.

Sofia Aleksandrowna zaczęła rozplątywać supeł.

- Daj no!

Sasza nożem przeciął szpagat. Dla siostry Mark przywiózł kupon materiału na płaszcz i puszystą chustkę. Sasza dostał garnitur z ciemnogramatowego bostonu. Nieco pognieciona marynarka leżała doskonale.

- Jak ułał - pochwaliła Sofia Aleksandrowna. - Dziękuję, Mark, on już zupełnie nie miał w czym chodzić.

Sasza z zadowoleniem przeglądał się w lustrze. Mark zawsze przywoził w prezencie to

co trzeba. W dzieciństwie zaprowadził siostrzeńca do szewca i obstał dla niego wysokie chromowe buty, takich butów nie miał nikt ani na podwórku ani w szkole. Sasza był z tych butów bardzo dumny i do dziś pamiętał ich zapach, pamiętał też ostry zapach skóry i dziegiu w warsztacie szewca.

Tego wieczoru Marka kilkakrotnie proszono do telefonu. Niskim władczyim głosem wydawał polecenia dotyczące funduszków, limitów, transportu, uprzedził, że będzie nocować na Arbacie, i kazał przysłać samochód na ósmą. Wróciwszy do pokoju, rzucił okiem na butelkę.

- Oho!

- Pij, towarzyszu, dopóki można, zalewaj swój nieszczęsny los - zaśpiewał Sasza ulubioną piosenkę Marka. Właśnie od niego usłyszał ją po raz pierwszy - dawno temu, jeszcze w dzieciństwie.

- Tej nocy troski przegnajmy precz - podchwycił Mark. - Tak to idzie?

- Dokładnie tak! - Sasza zaśpiewał znowu:

Może jutro o tej porze

Cze-Ka załomocze w drzwi,

lub Kołczaka o tej porze

rozstrzelamy w tajdze my.

Głos i słuch odziedziczył po matce, kiedyś proponowano jej występ w radiu, ale ojciec się nie zgodził.

Może jutro o tej porze

przyjaciele zechcą wpaść,

a być może o tej porze

rozstrzelają wszystkich nas!

- Dobra piosenka - powiedział Mark.

- Ale źle ją śpiewacie - zauważyła Sofia Aleksandrowna. - Jak chór ślepych.

- Jak duet ślepych - roześmiał się Mark.

Posłali mu na tapczanie. Sasza położył się na brezentowym łóżku polowym.

Mark zdjął marynarkę, szelki, koszulę i zostawszy w lamowanym wzorzystą niebieską tasiemką podkoszulku poszedł do łazienki.

Czekając na niego, Sasza leżał z rękami pod głową...

Po zebraniu, na schodach Janson poklepał go po ramieniu. Ten jedyny przyjazny i

mający dodać otuchy gest podkreślił tylko pustkę, którą odczuł wokół siebie Sasza. Inni udawali, że śpieszą się do domu, do stołówki. Po drodze do przystanku, na błotnistej jezdni zapuszczonego przedmieścia wyminął go czarny samochód. Glińska siedziała obok kierowcy, odwracając głowę mówiła coś do siedzących z tyłu. To, że rozmawiali, że przemknęli obok Saszy nie zauważając go i nie myśląc o nim, znów wywołało to uczucie pustki, niesprawiedliwego odtrącenia.

Glińską Sasza znał jeszcze ze szkoły, widywał ją na zebraniach komitetu rodzicielskiego, jej syn Jan chodził z nim do jednej klasy - ponury, małomówny chłopak, interesujący się wyłącznie alpinizmem. Glińska była żoną pracownika Kominternu, polski akcent nadawał jej kategorycznym wypowiedziom nieco nienaturalny odcień. Zdawało się, że Glińska mimo wszystko zabierze głos na zebraniu egzekutywy, w końcu za akademiki jest odpowiedzialna w takim samym stopniu, co i Kriworuczko. Ale milczała.

Wrócił Mark, umyty, odświeżony, wyciągnął z sakwojaza wodę kolońską, natarł się, wszedł pod kołdrę, przez chwilę mościł się, szukając najwygodniejszej pozycji do snu, zdjął okulary i gestem krótkowidza wymacał miejsce, by je położyć.

Przez jakiś czas milczeli, potem Sasza spytał:

- Po co Stalin cię wezwał?

- Nie Stalin mnie wezwał, wezwano mnie, żeby przekazać jego polecenia.

- Mówią, że jest niewysoki.

- Taki jak ty i ja.

- A na trybunie wygląda na wysokiego.

- Tak.

- Kiedy było pięćdziesięciolecie jego urodzin - powiedział Sasza - nie podobała mi się jego odpowiedź na życzenia, to coś w rodzaju "zrodziła mnie partia na obraz i podobieństwo swoje".

- To znaczyło, że życzenia odnoszą się do całej partii, a nie do niego osobiście.

- A czy to prawda, że Lenin pisał, że Stalin jest bezwzględny i nielojalny?

- Skąd o tym wiesz?

- Co za różnica... Wiem. Pisał tak?

- Są to cechy czysto osobiste - powiedział Mark - i nie najważniejsze. Najważniejsza jest linia polityczna.

- Czy to można rozgraniczyć? - zaproponował Sasza, przypomniawszy sobie Baulina i Łozgaczewa.

- Masz wątpliwości?

- Nie myślałem o tym. Też jestem za Stalinem. Ale za dużo tego wychwalania. To jakoś razi.

- Niezrozumiałe - to nie znaczy jeszcze nieprawidłowe - powiedział Mark. - Trzeba wierzyć w partię. Nadchodzą surowe czasy.

Sasza uśmiechnął się.

- Dziś przekonałem się o tym na własnej skórze.

Opowiedział o zebraniu egzekutywy.

- Rachunkowość? Czy to aż tak zasadnicza kwestia, że...

- No wiesz... Jakież kwestie muszą być zasadnicze.

- Sprzeczać się z wykładowcą przy wszystkich, to nietakt.

- Nie oskarżają mnie o nietakt, tylko o apolityczność. I chcą, żebym się przyznał, rozumiesz?

- Jeżeli popełniłeś błąd, to możesz się przyznać.

- Nie doczekają się. Do czego mam się przyznawać? Lipa!

- Dyrektorem jest nadal Glińska?

- Tak.

- Była na zebraniu?

- Była.

Mark Aleksandrowicz polecił kierowcy jechać przodem, a sam poszedł piechotą.

Przejrzysty jesienny poranek, rześki chłodek. Śpieszyli do pracy urzędnicy, gwarna kolejka kobiet stała pod piekarnią, milcząca kolejka mężczyzn - pod trafiką.

Spośród wszystkich swoich siostr Mark zawsze najbardziej kochał Sonię, współczuł jej, tak bezbronnej zwłaszcza teraz, gdy odszedł od niej mąż. Kochał też Saszę. Dlaczego przyczepili się do chłopaka? Przecież powiedział prawdę, a za to chcą go złamać, żądają skruchy za nie popełnione winy. On sam też namawiał Saszę do tego.

Mark Aleksandrowicz przeciął plac Arbacki i poszedł Wozdwiżenką, nieoczekiwanie cichą i pustą po gwarным Arbacie. Jedynie pod sklepem Wojentorgu spory tłum czekał na jego otwarcie, a drugi, mniejszy, tłoczył się przy wejściu do biura Kalinina. Mark Aleksandrowicz wsiadł do samochodu i mijając Mochową, Ochotnyj Riad, przez plac Teatralny i Łubiański pojechał na plac Nogina, gdzie w ogromnym szarym czteropiętrowym gmachu, w plątaninie długich korytarzy i niezliczonych pokoi mieścił się Ludowy Komisariat Przemysłu Ciężkiego.

Tysiące ludzi przybywało do tego budynku z najdalszych zakątków kraju, tu podejmowano decyzje, planowano, zatwierdzano. Jak zawsze wizytę w komisariacie Mark Aleksandrowicz rozpoczął nie od naczelników poszczególnych komisji, lecz od biur i działów. I to, że Riazanow, kierujący największą budową na świecie, ulubieniec Ordżonikidzego, odwiedza przede wszystkim zwykłych szeregowych pracowników, sprawiało im przyjemność: liczy się z nimi, rozumie ich potęgę, potęgę aparatu. Tym chętniej więc zajmowali się jego sprawami i załatwiali je tak, jak wymagał tego interes huty - dumy i chluby pięciolatki, czyli tak, jak chciał Mark Aleksandrowicz.

Obszedłszy działy dotarł na pierwsze piętro, przemierzył kilka korytarzy, znów wszedł na schody, zszedł z innych i znalazł się w zacisznym, pustawym skrzydle budynku, gdzie mieściły się gabinety komisarza ludowego i jego zastępców. W sekretariacie, pełnym dywanów, biurek i telefonów, wszyscy znali Riazanowa, toteż wszedł do Budiagina bez anonsowania.

Budiagina, członka KC, znajomego Stalina jeszcze z zesłania, kilka miesięcy temu odwołano z placówki dyplomatycznej. Był ambasadorem w największym mocarstwie Europy, otrzymał stanowisko zastępcy komisarza ludowego. Krążyły słuchy, że odwołanie nie było sprawą przypadku - Budiagin popadł w niełaskę. Jednak ze szczupłej, ozdobionej czarnym wąsem twarzy Budiagina, z jego szarych, osadzonych pod gęstymi brwiami oczu nie można było nic wyczytać. Ci proletariaccy inteligenci, zmieniający szynel komisarza wojskowego

na ambasadorski frak, skórzaną kurtkę gubernialnego przewodniczącego Cze-Ka na garnitur dyrektora trustu, dla Marka Aleksandrowicza zawsze byli uosobieniem groźnego ducha Rewolucji, miażdżącej siły Dyktatury.

Rozmowa dotyczyła czwartego pieca. Jego budowa powinna zostać zakończona przed dniem rozpoczęcia XVII zjazdu partii, w ciągu pięciu miesięcy, a nie ośmiu, jak przewidywał plan. Obaj rozumieli, że w tym przypadku względy gospodarcze muszą ustąpić miejsca efektowi politycznemu. Taka bowiem była wola Stalina.

Gdy omówili już wszystko, Mark Aleksandrowicz spytał:

- Znacie Saszę Pankratowa, mojego siostrzeńca? Chodzi do szkoły z waszą córką.
- Znam - twarz Budiagina znów była nieprzenikniona.
- Głupia historia...

Mark Aleksandrowicz krótko zreferował sprawę.

- Sasza to uczciwy chłopak - powiedział Budiagin.

- Apolityczność rachunkowości - wyobraźcie sobie! Dyrektorem jest tam Glińska, nie znam jej, ale wy ją znacie. Porozmawiajcie z nią, o ile nie sprawi wam to kłopotu. Szkoda chłopaka, zaszczyją go. Mógłbym zwrócić się do Czerniaka, ale nie chciałbym, żeby sprawa dotarła do komitetu rejonowego.

- Czerniak nie jest już sekretarzem - powiedział Budiagin.
- Jak to?
- Tak to...
- Do czego my dojdziemy?

Budiagin wzruszył ramionami.

- Zjazd w styczniu - i bez żadnej przerwy mówił dalej: - Saszka to zuch chłopak, bywa u nas. Dziwne, że nie powiedział.

- On nie z tych, co proszą o pomoc.

- Czy Glińska będzie w stanie coś zrobić? - spytał Budiagin z powątpiewaniem.

- Nie wiem. Ale nie pozwolę zniszczyć chłopca. Nie wolno kaleczyć młodych, oni dopiero zaczynają żyć.

- Takie rzeczy dzieją się teraz nie tylko z twoim siostrzeńcem - powiedział Budiagin.

Mark Aleksandrowicz zszedł do fryzjera, ostrzygł się, i choć nigdy tutaj tego nie robił, ogolił. Natychmiast zresztą pożałował swojej decyzji: fryzjer spryskał go wodą kolońską, ostry zapach nie podobał się Markowi. Z nieprzyjemnym poczuciem tego obcego, natrętnie drogeryjnego zapachu poszedł do stołówki dla członków kolegium.

- Towarzyszu Riazanow, jesteście proszeni do towarzysza Siemuszkina - zwróciła się do



niego bufetowa.

Wszedł na górę. Anatolij Siemuszkin, sekretarz Ordżonikidzego, przywitał się z nim oschle wyrażając niezadowolenie, że Marka Aleksandrowicza nie ma pod ręką i to w chwili, kiedy jest potrzebny. Siemuszkin do wszystkich zwracał się per "ty", nie uznawał nikogo oprócz Sergo i bano się go nie mniej niż samego Sergo. Podczas wojny domowej był jego adiutantem, a od dwudziestego pierwszego roku - sekretarzem na Zakaukaziu, w CKK-RKI i tu, w komisariacie.

CKK-RKI - Centralna Komisja Kontrolna - Inspekcja Robotniczo-Chłopska.

Z mistrzowsko znaczącym i wciąż niezadowolonym wyrazem twarzy Siemuszkin wykręcił numer telefonu...

- Towarzysz Riazanow przy aparacie...

I oddał słuchawkę Markowi Aleksandrowiczowi.

...O czwartej oczekiwany jest na Kremlu.

Mark Aleksandrowicz domyślał się, że właśnie w tym celu został wezwany do Moskwy, ale bilet powrotny już mu wręczono, był więc przekonany, że spotkanie zostało odwołane. A jednak za czterdzieści minut będzie u Stalina.

Z drugiego aparatu Siemuszkin połączył się z Bobrińskim Kombinatem Chemicznym, tam mu powiedziano, że Grigorij Konstantinowicz wyjechał w teren. Mimo to Siemuszkin wydzwaniał nadal, zatrzymywał Marka Aleksandrowicza uważając, że lepiej spóźnić się do Stalina niż iść do niego bez wytycznych Ordżonikidzego. Mark Aleksandrowicz był innego zdania. Siemuszkin obracał się tylko w najwyższych kręgach, on zaś w tych kręgach działał. I sekretarska krzątanka Siemuszkina nie powinna mu w tym przeszkadzać.

Był absolutnie spokojny i opanowany. Irytował go tylko obcy, fryzjerski zapach. Nie mógł stanąć przed Stalinem taki świeżutki. Ponownie zszedł do fryzjera, kazał umyć sobie twarz i głowę. Fryzjer, zostawiwszy siedzącego w sąsiednim fotelu klienta, zastygł przed nim z ręcznikiem w dłoniach. Tamten dobroduszny Mark Aleksandrowicz, który pół godziny temu żartował z nim na temat łysiejących mężczyzn, już nie istniał. Władcza twarz, szczególnie teraz, gdy zdjął okulary, wydawała się bezlitosna.

W bramie Troickiej Mark Aleksandrowicz oddał swoją legitymację partyjną. Okienko zatrzasnęło się, potem znowu otworzyło, za szybą mignęła sylwetka oficera, oficer schylił się i dopiero wtedy Mark Aleksandrowicz go zobaczył.

- Macie broń?

- Nie.

- Co jest w teczce?

Mark Aleksandrowicz podniósł teczkę, otworzył.

Dyżurny zwrócił mu legitymację z włożoną do środka przepustką.

W drzwiach osobnego wejścia stali dwaj żołnierze z karabinami. Jeden z wartowników spojrzał na zdjęcie w legitymacji, po czym omiół twarz Marka uważnym służbowym wzrokiem.

Mark Aleksandrowicz rozebrał się w niewielkiej szatni i wszedł na drugie piętro. Pod drzwiami gabinetu cywilny funkcjonariusz jeszcze raz sprawdził jego dokumenty.

W obszernym gabinecie za biurkiem siedział Poskriebyszew. Mark Aleksandrowicz widział go po raz pierwszy i natychmiast zauważył, jak toporną i nieprzyjemną twarz ma ten człowiek. Wymienił swoje nazwisko.

Poskriebyszew zaprowadził Marka do sąsiedniego pomieszczenia - sekretariatu, wskazał mu sofę, a sam wszedł do gabinetu, starannie zamykając za sobą drzwi. Po chwili wrócił.

- Towarzysz Stalin oczekuje was.

Przestronny gabinet Stalina miał wydłużony kształt. Po lewej stronie wisiała ogromna mapa Związku Radzieckiego. Po prawej, między oknami, stały szafy z książkami, miejsce w kącie przy wejściu zajmował duży globus, a przeciwległy, oddalony kąt - biurko i fotel. Pośrodku - długi stół, nakryty zielonym sukniem, i krzesła.

Stalin przechadzał się po gabinecie, przystanął, gdy otworzyły się drzwi. Miał na sobie frencz z ochronnego, niemal brązowego materiału, i takie same spodnie, wpuszczone w wysokie buty. Krępy, nieco dziobaty, o lekko mongolskich oczach, wydawał się wręcz mały. W gęstych włosach nad niskim czołem pobłyskiwała siwizna. Stalin zrobił kilka lekkich, sprężystych kroków w kierunku Marka Aleksandrowicza i podał mu rękę - zwyczajnie, po prostu, ale ze świadomością znaczenia tego uścisku. Odsunął dwa krzesła. Usiedli. Mark Aleksandrowicz zobaczył tuż przed sobą oczy Stalina - jasnobrązowe, żywe wydały mu się nawet wesołe.

Mark Aleksandrowicz zaczął referowanie spraw od ogólnego opisu budowy. Stalin przerwał mu od razu:

- Towarzyszu Riazanow, nie traćcie czasu. Komitet Centralny i jego sekretarz wiedzą, gdzie jest budowa i po co jest budowa.

Mówił z silnym akcentem gruzińskim. I, jak przekonał się Mark Aleksandrowicz, był doskonale zorientowany w istocie zagadnienia.

- Komsomolcy uciekają?

- Tak.

- A więc po to się ich mobilizowało, żeby uciekali! Ilu uciekło?

- Osiemdziesięciu dwóch.

Spojrzenie Stalina było przenikliwe, badawcze...

- Pokażcie dane!

Mark Aleksandrowicz wyjął z teczki tabelę fluktuacji siły roboczej, wskazał odpowiednią rubrykę.

- I po cóż się tak sami oczerniacie, towarzyszu Riazanow! Gdyby z jakiegoś zakładu uciekło tylko osiemdziesięciu dwóch ludzi, to dyrektor uważałby się za bohatera.

Uśmiechnął się. Wokół oczu ostro zaznaczyła się sieć zmarszczek.

Mark Aleksandrowicz poskarżył się na fabrykę, dostarczającą wyposażenie dla huty. Stalin spytał, kto jest dyrektorem fabryki. Usłyszawszy nazwisko, powiedział:

- Niemądry człowiek, wszystko zawali.

Jego oczy stały się nagle żółtawe, ciężkie, tygrysie, mignęła w nich złość na człowieka, którego Mark Aleksandrowicz znał jako doskonałego fachowca znajdującego się chwilowo w trudnej sytuacji.

Riazanow przeszedł do najbardziej drażliwej kwestii - budowy drugiego wydziału pieców martenowskich.

- W ciągu roku zbudujecie?

- Nie, towarzyszu Stalin.

- Dlaczego?

- Nie jestem technicznym awanturnikiem.

I natychmiast przestraszył się tego, co powiedział. Stalin przyglądał mu się uważnie. Oczy znów miał żółte, ciężkie, jedna brew przyjęła niemal pionowe położenie. Powoli, rozciągając słowa, Stalin spytał:

- A więc KC - to techniczni awanturnicy?

- Proszę wybaczyć, źle się wyraziłem. Miałem na myśli rzecz następującą...

Mark Aleksandrowicz szczegółowo i przekonująco wyjaśnił, dlaczego budowy drugiego wydziału nie będzie można zakończyć w przyszłym roku. Stalin słuchał uważnie, przyciskając do piersi lewą rękę z zaciśniętą w dłoni fajką, ręka sprawiała wrażenie sparaliżowanej.

- Powiedzieliście uczciwie. Nie potrzeba nam komunistów, którzy obiecują złote góry. Potrzeba nam takich, którzy mówią prawdę.

Stalin powiedział to bez uśmiechu, bardzo znacząco, te słowa przeznaczone były dla całego kraju. Mark Aleksandrowicz chciał referować dalej, ale Stalin trącił go w łokieć.

- Wysłuchałem was, teraz wy posłuchajcie mnie.

Zaczął mówić o metalurgii, o Wschodzie, o drugiej pięciolatce, o obronności kraju. Mówił powoli, wyraźnie, cicho, nieco głuchym głosem, ale dobitnie, jakby dyktował maszynistce, mówił rzeczy ogólnie znane, lecz teraz, w jego ustach, wydawały się one czymś nowym i niezwykle ważnym. O czwartym piecu nie wspomniał, jak gdyby nie chcąc zmuszać Marka Aleksandrowicza do użycia argumentów, których by nie przyjął, i które mogłyby Markowi zaszkodzić.

- Kiedy wyjeżdżacie? - spytał Stalin wstając.

- Dziś - Mark Aleksandrowicz wstał również.

- Odłóżcie wyjazd na jakieś dwa dni. Myślę, że towarzysze chętnie was wysłuchają na posiedzeniu Biura Politycznego.

Uczucie skrępowania i niepokoju, towarzyszące Markowi Aleksandrowiczowi podczas rozmowy ze Stalinem, ustąpiło, pozostało jedynie wrażenie wielkości, z którą się przez moment zetknął. Bezprecedensowa budowa, którą kierował, wymagała żelaznej woli. Gdyby nie żelazna wola Stalina, nie umiałby okazać swojej. Wola ta oznaczała twardość. Cóż zrobić? Łagodnością nie dokonuje się historycznych przemian.

W komisariacie wiedziano o rozmowie Marka Aleksandrowicza ze Stalinem i ci, do których to należało, przygotowywali już projekt decyzji Biura Politycznego. Na wieczór i na noc zostali w pracy wszyscy, którzy mogli się przydać; pracownicy wydziałów, maszynistki, dyżurna bufetowa. Członkowie kolegium, którzy muszą parafować projekt decyzji, zjawiają się na pierwsze wezwanie, i rano kurier dostarczy gotowy dokument do KC.

Nikt nie pytał Marka Aleksandrowicza, co powiedział mu Stalin. Relacja mogłaby coś przeinaczyć. Stalin sam mówi narodowi to, co uważa za potrzebne. Mark Aleksandrowicz wyznaczał terminy, zadania - bo taka była wola Stalina.

Najważniejsze, że termin zakończenia budowy drugiego wydziału przesunięto o rok. Zapowiadało to nowe, realistyczne podejście do koncepcji planu drugiej pięciolatki: stal - podstawą wszystkiego.

Budiagin również zajmował się projektem decyzji, potem wyjechał, wrócił o ósmej rano i bez słowa złożył swój podpis pod dokumentem.

Przyjaźń z Markiem Aleksandrowiczem dawała Budiaginowi prawo do pytań o rozmowę. Budiagin o nic jednak nie pytał. Mark Aleksandrowicz wyczuwał w nim jakąś opozycję wobec Stalina. Nie dopuszczał jednak myśli, że mogłaby to być opozycja polityczna. Raczej coś osobistego, jak to bywa między przyjaciółmi, których przyjaźń się kończy. Może uraza, że odwołano go z zagranicy i powołano na stanowisko wprawdzie

wysokie, lecz drugorzędne, kto wie, czy nie prowadzące do stanowiska jeszcze niższego.

Przyjechał Ordżonikidze. Przy nim Mark Aleksandrowicz czuł się zupełnie swobodnie. Ordżonikidze mógł wprawdzie wybuchnąć, w gniewie wydawał się straszny, ale wszyscy znali jego wyrozumiały i bardzo ludzki stosunek do innych. To właśnie jemu Mark Aleksandrowicz zawdzięczał swoją karierę: z dyrektora niewielkiego zakładu na południu Sergo awansował go na obecne eksponowane stanowisko, uczynił Marka pierwszym metalurgiem kraju. Sergo umiał wyszukiwać ludzi, bronił ich, stwarzał możliwości działania.

Siedział teraz za ogromnym biurkiem - zmęczony człowiek z mięsistym zakrzywionym nosem pośrodku obrzmiałej twarzy, z posiwiałą czupryną i gęstymi, nierówno zwisającymi wąsami. Spod rozpiętego munduru wystawała liliowa koszula, jej kołnierzyk miękko przylegał do grubej szyi. Okna gabinetu wychodziły na wąski zaułek, na maleńką cerkiewkę, jakich wiele było w dawnym moskiewskim podgrodziu między Jauzą, Solanką i rzeką Moskwą. Cerkiewka musiała mieć w sobie coś szczególnego, skoro zachowano ją, nie starto z powierzchni ziemi.

- Zuch!

Pochwała dotyczyła projektu decyzji Biura Politycznego i tego, że Mark Aleksandrowicz nie stracił zimnej krwi w obecności Stalina, że spodobał mu się. Pochwała odnosiła się też do samego Sergo - dobrał właściwego człowieka, w ogóle umie dobierać ludzi, na których można polegać w trudnych i wymagających odpowiedzialności sytuacjach.

- Opowiadaj!

Mark Aleksandrowicz opowiedział. Ordżonikidze słuchał go w napięciu, starając się wychwycić prawdziwy sens każdego słowa Stalina.

W miarę upływu czasu spotkanie ze Stalinem nabierało w pamięci Marka Aleksandrowicza coraz większej doniosłości. Takie spotkania zdarzają się raz w życiu. Najważniejsze było radosne uczucie zrozumienia wielkiego człowieka, opromieniającego epokę blaskiem swojego geniuszu.

- Nie jestem technicznym awanturnikiem... Tak powiedziałaś? - ze śmiechem dopytywał się Ordżonikidze.

- Tak powiedziałem.

- A więc KC - to techniczni awanturnicy? - powtarzał Sergo.

- Tak spytał.

Ordżonikidze zagadkowo przyjrzał się Markowi dużymi, brązowymi, wypukłymi oczami.

- Do KC przyjedziesz o dziesiątej. Referat na pięć minut, więcej czasu ci nie dadzą, pamiętaj o tym. Nie agituj za władzą radziecką, mów konkretnie, czego ci potrzeba. Na pytania odpowiadaj, ale nie wdawaj się w dyskusje. I nie denerwuj się, ja stoję za tobą!

Na stole w sali referujących kipiał duży samowar, stały talerze z plasterkami cytryny, z kanapkami, butelki wody mineralnej. Bufetowego ani kelnerów nie było. Miejsce pod ścianami zajmowały stoliki - tam można było przygotowywać się do wystąpień.

Na wezwanie oczekiwali sekretarze komitetów obwodowych, komisarze ludowi, ich zastępcy, naczelnicy komisji, kilku wojskowych i spora grupa z Kaukazu.

Niemłoda już sekretarka wzywała: "Towarzysz taki a taki... proszony jest na posiedzenie".

Jeżeli wzywano kilka osób, mówiła: "Towarzysze z obwodu takiego a takiego" lub "towarzysze z komisariatu takiego a takiego..."

Marka Aleksandrowicza wywołała po nazwisku.

Przez sekretariat przeszedł do sali posiedzeń, zobaczył rzędy foteli i ludzi w fotelach. Za stołem prezydialnym stał Mołotow. Po jego prawej stronie wznosiła się mównica, z lewej, nieco z tyłu siedział protokolant, a jeszcze dalej - stenografki.

- Towarzyszu, proszę tutaj!

Mołotow wskazał mównicę. Po jej wewnętrznej stronie świeciła tabliczka: "Referujący - pięć minut!". Na wprost mównicy, nad drzwiami, wisiał zegar - czarny ze złotymi wskazówkami, podobny do zegarów kremlowskich.

Stalin siedział w trzecim rzędzie. Fotele po jego lewej stronie były wolne, żeby Stalin mógł swobodnie wyjść. Mark Aleksandrowicz słyszał o jego zwyczaju przechadzania się po gabinecie. Ale podobnie jak i dwa dni temu, Stalin nie wstawał i nie przechadzał się.

Mark Aleksandrowicz krótko skomentował projekt decyzji. Mówił zwięzłym, niemal technicznym językiem, brzmiącym przekonująco dla ludzi nawykłych do języka politycznego. Podkreślił znaczenie przedterminowego oddania do użytku czwartego pieca i, jakby mimochodem, napomknął o zwłoce w uruchomieniu drugiego wydziału martenów. Ta druga sprawa była ważniejsza, ale tutaj, teraz, należało podkreślić właśnie to, co podkreślił Mark Aleksandrowicz.

- Są pytania? - spytał Mołotow.

Ktoś zauważył, że w projekcie decyzji, w punkcie dotyczącym dostaw drewna, brakuje parafy ludowego komisariatu leśnictwa.

Mark Aleksandrowicz nie zdążył odpowiedzieć. Nagle nastąpiła cisza, i w ciszy tej rozległ się głos Stalina:

- Niech towarzysz Riazanow wraca do kombinatu i produkuje stal. Byłoby rzeczą niesłuszną zatrzymywać towarzysza Riazanowa z powodu jakichś papierków...

Mówił nie tylko bardzo cicho, ale i odwracając głowę, co zmuszało wszystkich do wyłączenia całej uwagi i słuchu.

- Myślę, że zdołamy uzyskać parafę i bez towarzysza Riazanowa. Decyzja jest przemyślana, nie ma w niej żadnych niejasności, i jesteśmy w stanie pomóc towarzyszowi Riazanowowi w wykonaniu zadań, jakie powierzyła mu partia.

Umilkł równie nieoczekiwanie, jak się odezwał.

Więcej pytań nie było.

Szacowny ongiś dom na Arbacie stał się po rewolucji obiektem wręcz przeludnionym - mieszkania zagęszczono. Ten i ów zdołał jednak tego uniknąć - maleńkie zwycięstwo mieszcucha nad nowym ustrojem. Wśród takich zwycięzców był także krawiec Szarok.

Chłopak do wszystkiego w modnej pracowni, krojczy, potem mistrz, wreszcie małżonek jedynej córki pracodawcy - tak wyglądała kariera Szaroka. Karierę tę złamała rewolucja: oczekiwany spadek - pracownię upaństwowiono. Szarok podjął pracę w szwalni, a po cichu dorabiał sobie w domu. Szył jednak wyłącznie dla klientów z rekomendacjami od godnych zaufania osób - ostrożność człowieka, zdecydowanego nigdy w życiu nie zetknąć się z inspektorem urzędu finansowego.

Krawiec ów był wciąż jeszcze postawnym, umiarkowanie okazałym i ładnie starzejącym się mężczyzną o ugrzeczionych, acz pełnych godności manierach właściciela salonu konfekcji damskiej. Przez sześć wieczorów w tygodniu stał przy stole z zarzuconym na szyję centymetrem, zaznaczał kredą linie wykroju na materiale, rozcinał, fastrygował, szył, prasował szwy żelazkiem. zarabiał pieniądze. Niedziele spędzał na wyścigach - zakłady były jego jedyną namiętnością.

Być może stary Szarok pogodziłby się nawet ze swoim życiem, gdyby nie wieczny strach przed administracją, sąsiadami i przeróżnymi niespodziankami losu. Jedną z takich niespodzianek było skazanie jego starszego syna Władimira na osiem lat łagru za ograbienie sklepu jubilerskiego. Już przedtem Szarok nie wiązał zbyt wielu nadziei z tym przesadnie ruchliwym wyrodkiem, podobnym do matki, czyli, prawdę powiedziawszy do małpy. Zadowolili się więc tym, że Władimir ukończył szkołę gastronomiczną przy restauracji "Praga" i że przynosił wypłatę do domu. Dziś kucharz to, rzecz jasna, już nie to co kiedyś, jakie tam teraz restauracje! Jednakże dla słabego fizycznie i odpornego na wiedzę Władimira był to całkiem trafnie wybrany zawód. Pochłonięty wyłącznie wyścigami krawiec przechodził do porządku nad tym, że Władimira ciągnie do kart. Ale grabież? W świetle każdego prawa, nie tylko radzieckiego, oznaczało to więzienie.

Młodszy syn Szaroka, Jurij, powściągliwy i ugrzeczony wyrostek, obłudny i ostrożny, wychowany na arbackim podwórku w pobliżu rynku Smoleńskiego i zaułków Protocznych, wylęgarni moskiewskiej żulii i lumpowstwa, orientował się w złodziejskich poczynaniach brata, ale w domu milczał - chętniej akceptował prawa ulicy niż prawa społeczeństwa, w którym żył. Nie wiedział, jaką krzywdę wyrządziła mu rewolucja, ale od dziecka rósł ze świadomością tej krzywdy. Nie wyobrażał sobie, jak żyłoby mu się w innym ustroju, ale nie wątpił, że lepiej. Drwiącym słowem towarzysze, które w ich domu stało się obiegowym



określeniem nowych gospodarzy kraju, nazywał też komsomolców w szkole. Ci zarozumiali aktywiści uważali, że świat należy do nich. Gdy Sasza Pankratow, ówczesny sekretarz szkolnej organizacji komsomolskiej wchodził na trybunę i zaczynał rąbać, Jura czuł się zupełnie bezbronny.

Nienawidził polityki, za jedyny możliwy do zaakceptowania zawód uważał zawód inżyniera, zawód ten mógł dać jaką taką niezależność. O zmianie planów zdecydował przypadek, związany zresztą z aresztowaniem brata. Stary Szarok szukał obrońcy, pytał o radę klientów, wreszcie znalazł adwokata, który podjął się obrony Władimira za pięćset rubli. Była to ogromna suma. Szarok bał się wręczać tyle pieniędzy bez świadków, zabrał więc ze sobą Jurija. Adwokat nawet nie przeliczył swojego honorarium, po prostu otworzył szufladę i niedbale wrzucił do niej paczkę banknotów. Na tym wizyta się skończyła, ale Jura zdążył dostrzec obrazy w złożonych ramach, złote grzbiety książek za szybami szaf. Nigdy jeszcze nie zetknął się z takim luksusem.

Na ulicy stary Szarok powiedział z zawiścią:

- Żyje się ludziom...

Jeszcze większe wrażenie adwokat wywarł na Juriju w sądzie. Ten malutki człowieczek o wymiętej, ozdobionej wypielegnowaną bródką twarzy, robił z groźnym proletariackim sądem, co chciał. Tak przynajmniej wydawało się młodemu Szarokowi. Adwokat żonglował paragrafami, stosował kruczki i wybiegi, zmusił sąd do wezwania nowych świadków i przeprowadzenia dodatkowych ekspertyz, zjadliwie polemizował z sędzią i prokuratorem. W rękach posepnego sędziego i nieubłaganego prokuratora było prawo, ale potęga tego prawa przerażała ich samych - odkrycie, które sprecyzowało plany życiowe młodego Szaroka. Droga do adwokatury wiodła przez uczelnię, droga na uczelnię - przez Komsomol i fabrykę.

W dziewiątej klasie Szarok wstąpił do Komsomolu. Syn robotnika - a to wysoko ceniono w szkole, w której uczyły się dzieci arbackiej inteligencji - trzymał się na dystans, dziewczęta wyczuwały w tym jakąś tajemniczość. Podobał się zwłaszcza dziewczynom mądrym, poważnym i aktywnym; sądziły, że wychowują go, że kształtują jego osobowość. Dla nich, ufnych i czystych, chłopak ten był bardzo interesujący - taki przystojny, powściągliwy.

Później, w fabryce, charakter Szaroka wzbogacił się o coś, czego przedtem mu brakowało - o pewność siebie. Robotnik! Granatowe, zawsze czyste ubranie robocze dobrze leżało na jego zgrabnej sylwetce. Stał się chamowaty, co utożsamiano z pryncypialnością, i z pogardą wyrażał się o "mocno inteligentnych", co odbierano jako robotniczą prostotę. W

szkole skromny i milczący, tu często zabierał głos na zebraniach, słusznie rozumując, że umiejętność występowania przed szerokim audytorium przyda się przyszłemu adwokatowi.

Na uczelni nie wyróżniał się niczym szczególnym, podtrzymywał jedynie wrażenie zaangażowania w pracę społeczną. Nie chciał się zresztą wyróżniać. Gazety pełne były doniesień o sabotażystach, szkodnikach i dwulicowcach. "Zdemaskować!" Karać bez litości! Łajdacy! Zlikwidować! Dobić! Wykarczować! Wyplenić! Zetrzeć z powierzchni ziemi!" Czytając te słowa, te hasła krótkie i bezlitosne jak wystrzał, Szarok odczuwał strach. Dobrze rozumiał i trzeźwo oceniał to wszystko. Po ukończeniu studiów wysła go do obwodu, do rejonu, każą pracować w sądzie ludowym albo w prokuraturze. Nie odważy się nawet wspomnieć, że chce zostać adwokatem. "Wykręcasz się, Szarok!" - tak mu odpowiedzą. Czy naprawdę trzeba będzie zrezygnować z celu, do którego tak uporczywie dążył?

Ojciec uszył Jurze garnitur. Najmodniejszy fason, "charleston" - długie szerokie spodnie i krótką, opinającą biodra marynarka o szerokich ramionach i wywatowanej piersi. Błękitnooki Jura wyglądał w nim nadzwyczaj przystojnie. Materiał kupili w sklepie Torgsinu [z walutę i złoto] na Twerskiej.

- W arbackim Torgsinie pełno sąsiadów, zaczną mleć jęzorami - powiedział ojciec - naplotą, że Szarokowie śpią na złocie, w łyżce wody nas utopia.

Choć staruszkowi żal było złotej bransolety i złotych spinek, to rozumiał, że urządzenie się na dobrej posiadzie w Moskwie wymaga eleganckiego ubrania, skończyły się, chwała Bogu, skórzane kurtki i rubaszki. Przy całej swej egoistycznej obojętności w stosunku do rodziny i dzieci, jedynie w stosunku do młodszego syna Szarok okazywał coś w rodzaju uczuć ojcowskich - odnajdywał w Jurze samego siebie z młodości. Był też w najwyższym stopniu zainteresowany kwestią pozostania Jury w Moskwie: administracja już teraz ostrzy sobie zęby na drugi pokój, jeżeli Jura wyjedzie - zabiorą jak nic.

- Znajomości, znajomości trzeba szukać! - pouczał syna.

Jednakże ani w fabryce, ani na uczelni Jurij z nikim się nie zaprzyjaźnił. Ojciec nie pozwalał przyprowadzać do domu żadnych kolegów. Krewniacy byli biedni, przysparzali tylko kłopotów, Szarokowie nie odwiedzali ich i nie przyjmowali u siebie. Swój wolny czas Szarok-ojciec spędzał na wyścigach, matka - w cerkwi. Na Wielkanoc dzieci dostawały po kawałku babki, na zapusty - bliny, to były całe święta. Stary Szarok w Boga nie wierzył, nie mógł mu wybaczyć swojej ruiny. Jeszcze bardziej obrażony był na władzę radziecką: Pierwszego Maja i Siódmego Listopada pracował jak w każdy dzień powszedni.

Najtrwalsze więzy łączyły Jurija z kolegami ze szkoły. Troje z nich mieszkało w tym samym domu: Sasza Pankratow - sekretarz szkolnej organizacji komsomolskiej, Maksym Kostin - syn windziarki, koledzy nazywali go Maksem, oraz Nina Iwanowa, komsomołka o miękkim sercu, to ona wychowała i wykształciła Szaroka. Wraz z Leną Budiaginą, córką znanego dyplomaty, tworzyli w szkole zwartą grupę aktywu. Zbierali się u Leny, w Piątym Domu Rad. Budiagin przebywał za granicą, mieli więc mieszkanie do swojej dyspozycji. Jura bywał tam, przeczuwając niejasno, że znajomości te przydadzą mu się w przyszłości. Obecnie przecucie to przekształciło się w realną nadzieję. Budiagina odwołano z placówki i powierzono mu stanowisko zastępcy komisarza ludowego przemysłu ciężkiego: może pomóc.

Z Wozdwiżenki Jura skręcił w ulicę Granowskiego. Tu, w Piątym Domu Rad, w budynku oblicowanym szarym granitem, mieszkali oni. W ogródku za wysoką kutą kratą bawiły się ich dzieci. Z nieprzeniknioną miną Jura czekał w bramie, aż staruszek portier zatelefonuje do Budiaginów. Następnie wszedł na drugie piętro i nacisnął dzwonek.

Drzwi otworzyła Lena, jak zwykle uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Wysoki wzrost zmuszał ją do pochylania głowy, uwieńczonej ciężkim splotem czarnych włosów. W pięknej, podłużnej, matowej twarzy mocno zaznaczały się pełne czerwone wargi. Nina powiedziała kiedyś, że Lenka ma lewentyński profil. Jura nie wiedział wprawdzie, co to znaczy "lewentyński", ale o tym, że Lena to najładniejsza dziewczyna w szkole, wiedział doskonale.

Z familiarną bezceremonialnością starego znajomego przyciągnął ją do siebie. Nie opierała się.

- Nasi już przyszli?

- Jeszcze nie.

- Iwan Grigoriewicz jest w domu?

Przez pachnący świeżo wypastowaną podłogą korytarz zaprowadziła go do ojca.

- Tato, Jura do ciebie.

Przepuszczając Szaroka, posłała mu uśmiech pełen szczęścia i oddania.

W wąskim pokoju panuje półmrok, zewnętrzny występ ściany zasłania połowę okna. Na stole, na etażerce, na krzesłach, na podłodze leżą książki, gazety, czasopisma, prospekty rosyjskie i zagraniczne... Nad sofą mapa obu półkul, pokreślona liniami tras żeglugowych. Jura dostrzegł czarny trzycyfrowy numer na biuletynie - Budiagin zamknął go i odłożył na bok: tajny dokument, wyłącznie do dyspozycji członków KC i KC Komsomołu. Jura zauważył jeszcze zagraniczne pióro "Parker", papierosy "Trojka", buty na kauczukowej

podeszwie i marynarkę o osobliwym kroju, takie marynarki szły dla wysokiej rangi dyplomatów znakomity Entin.

- Słucham - powiedział Budiagin spokojnym i rzeczowym tonem: przywykł już do tego, że ludzie zwracają się do niego z różnymi prośbami. Spojrzenie oczu, osadzonych pod gęstymi brwiami w szczupłej, czarnowąsej twarzy wydawało się jeszcze głębsze, niż u Leny.

- Iwanie Grigoriewiczu, kończę studia, wydział prawa radzieckiego. A brat siedzi...

Z korytarza dobiegł dźwięk dzwonka, zgrzyt otwieranych drzwi.

- Sąd, prokuratura odpada, nie wezmą - ciągnął dalej Szarok - pozostaje tylko praca prawno-administracyjna. Chciałbym do jakiegoś zakładu. Przed studiami pracowałem w fabryce imienia Frunzego. Znam ludzi, produkcję.

Budiagin obrzucił Jurę nieobecny spojrzeniem. Jest pewien swojego prawa do kierowania ludźmi. Co znaczy dla niego Jura i tacy jak Jura? Oni przywykli do rządzenia masami, do decydowania o losach mas.

- Zajdź do Egerta. zadzwonię do niego.

- Dziękuję, Iwanie Grigoriewiczu.

- Za co brat siedzi?

- Sprawa kryminalna. Dzieciuch, wpadł w takie towarzystwo.

- Stary wymiar sprawiedliwości rozpędziliśmy - powiedział Budiagin - a nowy to półanalfabeci. Potrzebni są ludzie wykształceni.

- Rozumiem, Iwanie Grigoriewiczu - skwapliwie przytaknął Szarok - ale to nie zależy ode mnie. Gdzież ja do sądu czy prokuratury, skoro brat...

- Zwróć się do Egerta, do Egerta - powtórzył Budiagin - zadzwonię do niego. A więc zamarzyło ci się radcostwo?

Tak właśnie powiedział. Dociał.

Najważniejsze, że cel osiągnięty. Rezultat - tylko to ma znaczenie. Więc tak się to odbywa! Jednym wszystko przychodzi z trudem, a innym bardzo łatwo. Dawniej łatwo było tym, którzy mieli pieniądze, dzisiaj tym, którzy mają władzę.

Koniec z uczelnią, ze stołówką, przesiąkniętą smrodem kiszzonej kapusty, koniec z nienawistnymi subotnikami, z nudnymi zebraniem, z wiecznym pouczeniem, z wiecznym strachem, żeby nie powiedzieć czegoś nie tak, jak trzeba. Ani razu nie poszedł na wydział w nowym garniturze, nie chciał wyróżniać się wśród studentów, zebrzących w związkach o talon na spodnie ze zgrzebnej wełny.

Będą oczywiście wałkować, głądzić, agitować. Jura wyobrażał już sobie ich nieprzychylnie twarze, tępy upór aktywistów. Wykręcasz się, Szarok... Dezerterujesz... A on

będzie stać przed nimi spokojny, uśmiejemy. O co właściwie chodzi? O co ten krzyk? Wraca do kolektywu, do fabryki, która go wychowała. Przedtem było tam siedmiuset robotników, teraz jest pięć tysięcy. Ukochane dziecko pięciolatki. Praca w takiej fabryce to zaszczyt dla młodego specjalisty. Że sam chciał załatwić sobie ten przydział? Co to znaczy sam? Po prostu nie oderwał się od swojego zakładu, gdy spytano go, czy po studiach nie chciałby tam wrócić, odpowiedział "chcę". A co miał odpowiedzieć? Jest dumny z tego zainteresowania jego losem, losem prostego człowieka radzieckiego.

Taką właśnie gadkę im wciśnie. Od razu położą uszy po sobie. Nawet poklepią po ramieniu: "Dobrze mówisz, Szarok, słusznie, działaj, działaj!"

Uświadomił sobie swoją siłę, swoją wyższość i nad tymi z uczelni, i nad tymi tutaj, w Piątym Domu Rad. Ci władczy inteligencji zawsze zaledwie raczyli zniżać się do niego. Gdyby z podobną prośbą przyszedł do Budiagina taki Sasza Pankratow, Budiagin odmówiłby mu - pracować trzeba tam, gdzie posyła partia! A komuś, kogo się nie szanuje, można rzucić ochłap. Jego szkolni koledzy, siedzący teraz tam, w przestronnej jadalni, też nigdy go nie szanowali. A w tej chwili nawet gardzą nim za to, że zwraca się o pomoc do Iwana Grigoriewicza. Co tam, niech sobie myślą, co chcą. A może poszedł do Budiagina po radę? Jak do starszego towarzysza. Właśnie jak do starszego towarzysza. Zresztą, i tak nie będą pytać, po co tam poszedł, tacy są taktowni.

- Cześć! - powiedział Szarok.

- Cześć! - odpowiedział za wszystkich Maksym Kostin.

W odprasowanej bluzie, w wyczyszczonych do połysku butach, ze starannie uczesanymi jasnymi włosami, barczysty i rumiany Maksym rozsiewał wokół siebie ten blask, który, zgodnie z regulaminem, powinien rozsiewać słuchacz szkoły wojskowej, udający się na całodobową przepustkę.

Obok Maksa siedziała na tapczanie Nina Iwanowa, przydeptując piętami na wół zsunięte pantofle. "Kupiłaby o numer większe, idiotka" - pomyślał Szarok. Ninka nigdy nie umiała się ubrać, świątek czy piątek - ciągle ta sama bluzka. O czesaniu się też nie miała pojęcia, takie końskie czoło trzeba zasłaniać, a nie ściągać kudły do tyłu.

Wadima Marasewicza poklepał po ramieniu. Do tego nieszkodliwego blagiera, synalka znanego moskiewskiego lekarza, nastawiony był życzliwie. Wadim rozwalony w fotelu, otyły, nalany, o grubych wargach i krótkich, kosmatych jak u rysia brwiach nad małutkimi mętnymi oczkami rozprawiał o Wellsie.

Mały Władlen Budiagin odrabiał lekcje, siedział nad porozrzucanymi na stole zeszytami, podwinąwszy pod siebie nogi w długich brązowych pończochach. Lena

roztargnionym wzrokiem śledziła ruch pióra, którym brat kreślił koślawe litery, uśmiechnęła się do Jury, skinęła głową - siadaj...

Ot i cała ich paczka. Brak tylko Saszy Pankratowa.

- Wells przewiduje wojny, epidemie, rozpad USA - mówił Wadim - a potem władzę obejmą uczeni i lotnicy.

- Historia ludzkości to nie powieść fantastyczna - zaproponowała Nina. - Władzę obejmą klasy.

- Bez wątpienia - pobłażliwie zgodził się Wadim - ale to ciekawy tok rozumowania: uczeni i lotnicy jako siła napędowa przyszłej władzy, technokracja ujarzmiająca przestrzeń...

- A Niemcy się zbroją - powiedział Maksym. - Wszyscy się zbroją.

- Hitler długo nie porządzi - nie zgodziła się Nina. - Osiem milionów Niemców głosowało na socjaldemokratów, pięć milionów na komunistów.

- Ale Th~almanna nie obronili - włączył się do rozmowy Jura dając do zrozumienia, że pięć milionów ludzi nic nie znaczy, skoro nie byli oni w stanie uratować jednego człowieka.

Nikomu jednak nie przyszło nawet do głowy doszukiwać się jakichś podtekstów w jego słowach. Zbyt mocno wierzyli sami, by wątpić w wiarę swojego kolegi. Mogli spierać się, dyskutować, ale to, co stanowiło sens ich życia, było niepodważalne: marksizm - to ideologia ich klasy, rewolucja światowa - ostateczny cel ich walki, państwo radzieckie - niezwyciężony bastion międzynarodowego proletariatu.

- Odwykli już od konspiracji - powiedział Maksym.

- Dymitrow trzęsie tym państwem jak gruszką - podchwycił Wadim Marasewicz - kapitalne widowisko, proces stulecia!

Zaczął mówić o procesie Dymitrowa, o możliwości wojny, to znaczy o jej symptomach, oczywistych dla niego i niepojętych dla kolegów. Wszyscy znali jednak Wadima i nie dali mu się rozpędzić. Nowa rzeź? to niemożliwe, ludzkość nie zapomniała o wojnie światowej, która pochłonęła przecież dziesięć milionów istnień. Napaść na Związek Radziecki? Klasa robotnicza całego świata nigdy do tego nie dopuści. I Rosja już nie ta. Płynie żelazo z Magnitki i Kuzniecka, ruszyły fabryki traktorów w Stalingradzie, Czelabińsku i Charkowie, fabryki samochodów w Gorkim i w Moskwie, zakłady "Frezer", "Kaliber", "Łożysko", uruchomiono pierwsze radzieckie walcownie.

Byli dumni. Oto on, ich kraj, szturmowa brygada światowego proletariatu, awangarda nadciągającej rewolucji powszechnej. Tak, żyją z kartkowych przydziałów, odmawiają sobie wszystkiego, ale budują za to nowy świat. Gdy ludzie głodują, zasobne witryny

sklepów Torgsinu budzą odrazę. Ale za to złoto zbuduje się fabryki - gwarancję przyszłego dobrobytu.

Zawsze tak rozmawiali. I wszystko było takie samo, jak zawsze. Wypastowane podłogi, długi stół pod nisko wiszącym abażurem, na stole konfitury - spokój dostatniego i dostojnego domu. Nalewając herbatę Aszchen Stiepanowna pyta: "Maksymie, pijesz z cytryną?" - i jak zawsze Szarokowi wydaje się, że rosyjskie imię "Maksym" w ustach tej Ormianki nabiera jakiegoś szczególnego brzmienia.

I co z tego? Co właściwie osiągnęli oni, dla których nic nie jest trudne? Nina jest nauczycielką, Lena - tłumaczką z angielskiego w bibliotece technicznej, Maksym kończy szkołę piechoty, będzie tyrać w wojskowym kieracie. Są prostoduszni, to ich fatalna słabość. Tak rozmyślał sobie Jurij Szarok. Spytał jednak o coś innego:

- A gdzie Sasza?

- Nie przyjdzie - rzucił Maks.

W jego suchej odpowiedzi Szarok wyczuł tę przykrą powściągliwość komsomolskich aktywistów, wiedzących o czymś, o czym nie powinien wiedzieć nikt inny.

- Stało się coś?

Lena powiedziała, że Sasza ma nieprzyjemności, że jej ojciec dzwonił do Glińskiej.

No proszę, niezłomny Saszka! Ale numer! Jura wpadł w doskonały humor. Kiedy przyjmowali go do Komsomołu, Sasza powiedział krótko: "Nie mam zaufania!", i wstrzymał się od głosu. W fabryce Szaroka przydzielili jako ucznia do frezera, a Sasza zgłosił się do rozładunku wagonów, i na cały rok utknął między tragarzami - bo, widzicie, kraj potrzebuje i tragarzy. Chciał studiować historię, a poszedł na politechnikę - bo kraj potrzebuje inżynierów. Tak, Sasza jest z tej samej gliny co Budiagin, nic dziwnego, że tamten go tak lubi. Co się jednak stało? Gdyby chodziło o jakieś głupstwo, Budiagin na pewno by nie interweniował.

- U nas na wydziale - powiedział Jura - jeden chłopak palnął na zebraniu: "co to jest kobieta? Gwóźdź w krześle..."

- Wyczytał u Mendela Maranca - zauważył Wadim.

- ...a zebranie było z okazji Ósmego Marca. Wyrzucili go ze studiów, z Komsomołu, ze związków...

- Dowcip był raczej nie na miejscu - powiedziała Nina Iwanowa.

- Jak wszystkich powyrzucają, to kto w końcu zostanie? - zachmurzył się Maksym.

- Gdy wyrzucanie staje się regułą, przestaje być wyjątkiem - zażartował Wadim.

Lena Budiagina urodziła się za granicą, w rodzinie emigrantów politycznych. Po

rewolucji mieszkała tam z ojcem - dyplomata, i wróciła do Rosji niezbyt dobrze znając język ojczysty. Nie chciała różnić się od swoich przyjaciół, martwiła się wyjątkowością swojej pozycji. Była wręcz chorobliwie wyczulona na wszystko, co wydawało jej się ludowe, rdzennie rosyjskie.

Jurka Szarok, prosty moskiewski robotnik, niezależny, ambitny i zagadkowy, od razu przykuł jej uwagę. Pomagała Ninie Iwanowej wychowywać go, rozumiała jednak, że robi to nie tylko z pobudek społecznikowskich. Rozumiał to i Jura. Jednakże w szkole sprawy sercowe traktowano jako rzecz niegodną prawdziwego komsomolca. Te dzieci rewolucji były autentycznie przekonane, że zajmowanie się życiem osobistym to zdrada interesów społecznych.

Po ukończeniu szkoły Jura nie dążył do nawiązania bardziej intymnych kontaktów, zręcznie utrzymując ich związek na tej granicy, na której się ustalił: czasem dzwonił, zapraszał do kina lub restauracji, przychodził, gdy zbierała się ich paczka. Obejmując Lenę w korytarzu przekroczył granicę. Nieoczekiwanie, brutalnie, lecz z tym zdecydowaniem, które obezwładnia takie natury.

Przez kilka kolejnych dni Lena czekała na telefon od niego, a gdy oczekiwanie przedłużało się, zadzwoniła pierwsza - tak po koleżeńsku, jak zwykle. Mówiła powoli, wyraźnie, zrównoważonym głosem, starannie przestrzegając akcentów, i nawet przez telefon wyczuwało się jej nieśmiały uśmiech. Jura spodziewał się tego telefonu.

- Właśnie miałem do ciebie zadzwonić. Mam dwa bilety do Klubu Przemysłowego na szóstej. Będzie potańcówka. Pójdziemy?

Szóstej listopada zaszedł do niej wieczorem. Wyszła mu na spotkanie w długiej turkusowej sukni wieczorowej z krótkim trenem. Pachniała dziwnymi, nieznanymi perfumami. W gładko uczesanych czarnych włosach połyskiwał sznur pereł - kobieta z jakiegoś innego życia, olśniewająco piękna i efektowna. Tylko uśmiech był jak zawsze nieśmiały, uśmiechem tym pytała jak gdyby Jurę, czy podoba mu się, i czy Jura rozumie, że ubrała się tak specjalnie dla niego.

Uchyliła drzwi jadalni.

- Władik, o dziesiątej położysz się spać.

- Położę się - odpowiedział Władlen, majstrując coś na parapecie.

Podając jej płaszcz Jura spytał:

- A gdzie rodzice?

- Tato jest w Kramatorsku, a mama w Riazaniu.

- Wyjechali na święto?



- W święto tato zawsze wyjeżdża do zakładów, a mama jest lektorką.

Chowając długą suknię pod płaszczem dodała z uśmiechem:

- Na tym właśnie polega kłopot.

Mieli szczęście. Z podwórza wyjeżdżał samochód. Kierowca znał Lenę i podrzucił ich do Miasnickiej. Niemłody, nadęty, jeden z tych, co wożą ważne osobistości, wobec Leny zachowywał się z uprzedzającą grzecznością, Jury natomiast w ogóle nie dostrzegał. Jura nie zwracał jednak na to uwagi, pochłaniała go myśl, że Lena jest sama: po tańcach będzie można do niej zajść. Siedziała obok niego na miękkim siedzeniu auta, ta bliskość podniecała go, jeszcze bardziej podniecała i napawała lękiem świadomość, że dziś wszystko może się dopełnić.

Miał już do czynienia z dziewczynami, ale to było coś zupełnie innego. Gosposia od sąsiadów, uczynna koleżanka z podwórka, dziewczyny ze wsi, gdzie jeździł z ojcem. Z tamtymi było łatwo, odpowiadały same za siebie, w tym wypadku za wszystko będzie odpowiadać on, z Budiaginem nie ma żartów. Inny na jego miejscu myślałby o żeniactwie, ale coś powstrzymało Jurę od tego kroku, za wysokie progi. Nie mógł wyobrazić sobie jej rodziny, tak obcej mu i nieprzychylniej, obok swojej rodziny. Trzeba poczekać. Wciąż przecież miał nadzieję zostać adwokatem, zdobyć niezależność. Żeniąc się z Leną, założyłby sobie jarzmo na kark.

Zatrzymali się przy Klubie Przemysłowym. Jura nie wiedział, jak otworzyć drzwiczki auta, pokręcił jedną gałką, drugą - drzwiczki ani drgnęły. Lena pośpieszyła z pomocą, przechyliła się przez niego, nacisnęła właściwą gałkę i powiedziała z uśmiechem:

- Te auta mają bardzo niepraktyczne klamki.

Jej próba załagodzenia kompromitacji rozeźliła Szaroka - Lena mimowolnie podkreśliła, że nigdy nie jeździł takimi samochodami. Wziął się jednak w garść. Zmierzywszy kierowcę lodowatym wzrokiem, wszedł z Leną do klubu. Będzie robić to, co zechce i żyć tak, jak mu się spodoba. Teraz podoba mu się Lena. Siedział obok niej, chwycił rzucane ku nim spojrzenia, przyzwyczał się już do kobiecych spojrzeń, dziś jednak było w nich coś innego, niezwykłego: zainteresowanie mężczyzną, którego zaszczyciła swoim towarzystwem tak piękna dziewczyna.

Śpiewała Rusłanowa, Chenekin czytał humoreski Zoszczenki. Potem zaczęły się tańce. Lena posłusznie dawała się prowadzić, tańczyła może nie tak lekko jak dziewczyny na zabawach, ale sama żartowała ze swojej niezręczności, ufnie przytulała się do niego.

Wyszła poprawić fryzurę. Jura stał przy kolumnie i obserwował bawiących się gości. Dygnitarze, szefowie przemysłu, naukowcy, śmietanka moskiewskiej inteligencji

technicznej - ci, którzy pracują w narkomatach, [odpowiednik ministerstwa ] stoją blisko władzy, dostają wysokie pensje, premie, mają dostęp do zamkniętego rozdzielnika, jeżdżą w atrakcyjne delegacje. Jura dobrze wiedział, jak szybko awansują szczęśliwcy, którzy po studiach trafiają do instytucji wysokiego szczebla, i jaką harówkę odwalają ci, którzy lądują na produkcji.

Co osiągnie w fabryce? Będzie biegać po sądach ludowych, prowadzić żalosne sprawy o lewe zwolnienia i bumelanctwo, procesy o złą jakość brezentowych rękawic ochronnych. Co innego taki dział prawny narkomatu, centrali, trustu... Poważne sprawy, wysokie instancje, związkowe i republikańskie sądy najwyższe. To mogłoby się przydać w karierze adwokackiej. W przyszłości, oczywiście. Na razie trzeba wykręcić się od obowiązkowego skierowania, potem będzie już łatwiej.

Dochodziła jedenasta. Jura chciał wejść do Leny, zanim portier zamknie bramę.

- Nie zmęczyłaś się? - spytał.

- Jeszcze trochę - z uśmiechem poprosiła Lena.

Była pierwsza w nocy, gdy wreszcie wyszli z klubu. Padał rzadki deszczyk, przyjemny i orzeźwiający po dusznej sali tanecznej. Z latarni ściekały strumyczki wody, na ulicy nie było żywej duszy. Tylko w oknach budynku OGPU [Urząd Bezpieczeństwa.] na placu Łubiańskim paliły się światła.

Podeszli do jej domu.

- Wstąpisz? Posiedzimy sobie...

Powiedziała to tak po prostu, że Jura poczuł się zdumiony.

Szedł za nią w milczeniu. Drzwi otworzył im ten sam stary portier. Nie spytał, dlaczego obcy człowiek odwiedza Budiaginów o tak późnej porze. Wyszkolony. Niczemu nie powinien się dziwić.

Lena zapaliła światło w przedpokoju, zajrzała do jadalni.

- Śpi... Posiedź u ojca, przebiorę się.

W gabinecie zapaliła górne światło, jeszcze raz uśmiechnęła się do Jury, i zostawiła go samego.

Szarok przerzucił stos książek: tom Lenina ze stronicami założonymi paskami papieru, książki z dziedziny metalurgii, "Piotr Pierwszy" Aleksieja Tołstoja. Nie było żadnych dokumentów urzędowych, tajnych biuletynów, zakazanych wydawnictw, które wolno czytać tylko im, broni, którą wszyscy oni mają - Jura był pewien, że to browning, można go wygodnie nosić w tylnej kieszeni. Zapragnął nagle ujrzeć coś zakazanego, niedostępnego, dotknąć tajemnicy ich władzy.

Lena może wejść w każdej chwili, trzeba się śpieszyć. Pociągnął ku sobie środkową szufladę biurka - zamknięta, zaczął szarpać boczne szuflady, też nie dawały się otworzyć. Ledwo zdążył rzucić się na oparcie fotela, gdy weszła Lena w białej bluzce i granatowej spódnicy, taka, jaką znał na co dzień.

- Chcesz kawy?

Krzątała się tuż przy nim, dotykała go, uśmiechała się do niego, a gdy nalewając kawę pochyliła się nad stołem, zobaczył jej piersi. Nigdy jeszcze nie był z Leną sam na sam w nocy, nigdy nie pił takiej kawy, takiego likieru.

- Chcesz jeszcze?

- Wystarczy.

Przesiadł się na tapczan.

- Posiedźmy...

Usiadła obok z filiżanką w ręku. Odebrał jej filiżankę, odstawił na stół. Lena przyglądała mu się ze zdziwionym uśmiechem. Wtedy z zuchwałością chłopaka z ulicy, patrząc prosto w jej zalęknione oczy, przyciągnął ją do siebie.

Siódmego listopada na rogu Twerskiej i Wielkiej Gruzjińskiej Sasza czekał na kolumnę instytutu.

Kolumny sunęły powoli. Nad pochodem chwiały się sztandary, transparenty, portrety... Stalin... Stalin... Stalin... Starsi mężczyźni z przejściem dęli w trąby, ludzie w kolumnach śpiewali nieskładnymi głosami, tańczyli na asfalcie. Z megafonów niosły się dźwięki i szumy Placu Czerwonego, głosy sprawozdawców radiowych, pozdrowienia z trybuny na mauzoleum, entuzjastyczny ryk przechodzących przez plac manifestantów.

Kolumna instytutu ukazała się około drugiej i od razu stanęła. Szeregi rozsypały się. Roztrącając tłum Sasza podszedł do swojej grupy. Natychmiast poczuł na sobie badawcze i pełne zaciekawienia spojrzenia: tak patrzy się na człowieka, którego spotkało nieszczęście. Nie, to nie z powodu egzekutywy. To coś innego.

Nikt jednak nic Saszy nie mówił i nikt go o nic nie pytał. Tylko Runoczkin, przyjaciel, chciał chyba coś powiedzieć, ale nie mógł odejść od transparentu, który niósł.

- Równaj, równaj! - nawoływali porządkowi.

Szeregi były policzone. Sasza dołączył do końca kolumny, do studentów z innych lat. Z daleka widział sztandar swojego wydziału oraz transparent, niesiony przez Runoczkiną i jeszcze jednego chłopaka. Pokonując opór wiatru transparent rozwinął się, pochylił do tyłu, płótno zmarszczyło się, potem napięło. Kolumna ruszyła.

Przed placem Triumfalnym zatrzymała się ponownie. Sasza podszedł do swojej grupy. Runoczkin zrobił krok ku niemu.

- Zdjęli gazetkę.

Mały, garbaty Runoczkin miał lekkiego zęza, toteż gdy mówił, odwracał i nieco pochylał głowę.

Zdjęli gazetkę! Dlaczego? Tego jeszcze nie było.

- Kto zdjął?

- Baulin. Przez te fraszki. Szkalowanie idei przodownictwa pracy.

Redaktorem gazetki był Runoczkin, ale pomysł napisania fraszek należał do Saszy. Sam zresztą ułożył jedną na starostę grupy, Kowalewa: "Wysiłek, trud - dziś praca w modzie, a tu oryginał nam rozkwita, notatki gubi jak w pochodzie, i wszystko wie, choć nic nie czytał". Pozostałe trzy napisała Roza Połużan. Na Borke Niestierowa: "Porcyjka ryżu, kotlet schabowy, na grób Borysa pomnik gotowy", na Pietkę Puzanowa - lubi sobie pospać, na Prichodko - kombinuje z jazdami praktycznymi i jeździ najwięcej ze wszystkich. Żadne tam

arcydzieła, nawet niezbyt zabawne, ale całkiem niewinne. “Szkalowanie przodownictwa”?

- Co za szkalowanie?

Runoczkini pochylił głowę.

- Te fraszki. Dlaczego tylko na przodowników? Mówiłem im, że daliśmy zdjęcia tylko przodowników, więc wierszyki też tylko dla nich. Poza tym pytali, dlaczego nie ma artykułu wstępnego.

To też był pomysł Saszy. Po co powtarzać to wszystko, co i tak będzie w innych gazetach? Trzeba zrobić numer wesoły, naprawdę świąteczny, żeby dał się czytać, a nie wisiał smętnie na korytarzu. Wszyscy się wtedy z tym zgodzili. Tylko ostrożna Roza Połużan znacząco popatrzyła na Saszę.

- Lepiej napisz wstępniak i podpisz go.

- Azizjana się boisz?

Tak właśnie odpowiedział Rozie. No i proszę, co z tego wyszło. Jeszcze nie skończyła się tamta afera z Azizjanem, a już jest coś nowego. Dobra, jakoś się załatwi!

Koło placu Strastnego kolumna znów się zatrzymała. Stąd pójdą już bez przeszkód, porządkowi starannie sprawdzali, czy w szeregi nie wmieszał się ktoś obcy, poprawiali krycie i równanie, by wejście na plac Czerwony odbyło się sprawnie i bez zamieszania.

Do grupy dołączyli Baulin i Łozgaczew. Na rękawie Łozgaczewa widniała czerwona opaska kierownika kolumny.

- Cóż to, Pankratow - Baulin surowo patrzył na Saszę - nie uważasz za konieczne zjawić się na manifestacji?

Baulin nie miał racji. Ci, którzy mieszkali na mieście, zawsze dołączali do kolumny po drodze. Baulin nie mógł wiedzieć, kto z tysiąca studentów przyjechał na zbiórkę do instytutu, a kto dołączył później. A jednak zainteresował się akurat Saszą, sprawdził, podszedł, publicznie stwierdził jego przewinienie. niesprawiedliwość tym bardziej upokarzająca, że Baulin jest pewien swojej przewagi: tu, przy wszystkich, Sasza nie ośmieli się zaprotestować.

A właściwie dlaczego by nie?

- Jestem na manifestacji i mam wrażenie, że mnie pan widzi. To nie ha-lu-cy-na-cja - powiedział z tą myślą przeciwnika uprzejmością, z jaką inteligentne arbackie chłopaki rozmawiają przed rozróbą.

- Uważaj, bo się doigraasz - rzucił Baulin.

I nie czekając na odpowiedź poszedł dalej.

Opływając dwoma strumieniami budynek Muzeum Historycznego kolumny wlewały

się na plac Czerwony, wyrównywały szyki, przyśpieszały kroku i prawie biegiem sunęły między gęstymi kordonami żołnierzy.

Kolumna Saszy przechodziła bardzo blisko mauzoleum. Na trybunach stali jacyś ludzie, attach~es wojskowi w operetkowych mundurach, nikt jednak na nich nie patrzył, wszystkie spojrzenia skierowane były na mauzoleum, wszystkich niepokoiła jedna myśl: czy Stalin tu jest, czy go zobaczą?

I zobaczyli go. Twarz z czarnymi wąsami, znana z niezliczonych portretów i pomników. Stał bez ruchu, w nisko nasuniętej na czoło czapce z daszkiem.

Ryk narastał. Stalin! Stalin! Sasza tak jak wszyscy szedł nie odrywając od niego wzroku i też krzyczał: Stalin! Stalin! Po ominięciu trybuny ludzie wciąż odwracali głowy, oglądali się, ale żołnierze ponaglali ich - nie zatrzymywać się! Szybciej! Szybciej!

Koło cerkwi Wasyla Błogosławionego kolumny rozsypywały się, bezładny tłum spływał ku rzece, na most, zapełniał nadbrzeżne bulwary. Na ciężarówki ładowano bębny, trąby, sztandary, plakaty i transparenty. Wszyscy śpieszyli do domów, zmęczeni, głodni, biegli ku Kamiennemu Mostowi, ku Bramie Prieczistsienskiej, do tramwajów.

W tej samej chwili ryk na placu Czerwonym osiągnął swoje apogeum, jak grom runął na bulwary - Stalin podniósł rękę i pozdrowił manifestantów.

Po październikowym święcie w trybie pilnym zwołano zebranie egzekutywy i aktywu. Zebranie odbyło się w małej auli. Na trybunie stał Łozgaczew i przeglądał papiery.

- Na wydziale - powiedział - miały miejsce dwa wystąpienia antypartyjne. Pierwsze to atak Pankratowa na marksistowskie ujęcie nauk ekonomicznych, drugie - to wywieszenie przez tegoż Pankratowa gazetki ściennej. Wspólnikami Pankratowa okazali się komsomolcy: Runoczkin, Połużan, Kowalew i Pozdniakowa. Komuniści i komsomolcy grupy nie dali im odporu. Świadczy to o osłabieniu czujności politycznej.

W świątecznym numerze gazetki - kontynuował Łozgaczew - nie ma artykułu wstępnego o szesnastej rocznicy Października, ani razu nie wymienia się tam nazwiska towarzysza Stalina, fotografie przodowników opatrzone złośliwymi, oszczerczymi wierszykami. Oto jeden z nich, napisany zresztą przez samego Pankratowa: "Wysilek - trud - dziś praca w modzie, a tu oryginał nam rozkwita, notatki gubi jak w pochodzie, i wszystko wie, choć nic nie czytał". Co to znaczy "praca w modzie"? Dzięki pracy naszego narodu, naszych ludzi, powstają podwaliny socjalizmu, praca jest dla nas sprawą honoru. A dla Pankratowa to tylko kolejna "moda"! Tak mógł napisać tylko oszczerca, pragnący oszkalować naszych ludzi. A przecież na poprzednim zebraniu egzekutywy niektórzy usiłowali wybielić Pankratowa, zapewniali, że jego atak na Azizjana, obrona Kriworuczki -

to przypadek!

- Co to za "niektórzy"? - spytał Baulin, choć tak jak wszyscy, doskonale wiedział, o kogo chodzi.

- Mam na myśli dziekana wydziału, Jansona. Jestem zdania, że nie powinien uniknąć odpowiedzialności.

- Nie uniknie - zapewnił Baulin.

- Towarzysz Janson - ciągnął dalej Łozgaczew - stworzył na wydziale atmosferę pobłażania, bezkarności, i tym samym zachęcił Pankratowa do uprawiania politycznej dywersji.

- Hańba! - krzyknął Kariew, student czwartego roku, przystojny, znany w całym instytucie demagog i lizus.

- Organizacja partyjna instytutu - zakończył Łozgaczew - zdecydowanie zareagowała na działalność Pankratowa i zdjęła gazetkę. Dowodzi to, że organizacja partyjna jako całość jest zdrowa. Nasza twarda i bezwzględna decyzja potwierdzi to raz jeszcze!

Zebrał kartki i zszedł z trybuny.

- Czy redaktor jest obecny? - spytał Baulin.

Powstało zamieszanie, wszyscy zaczęli rozglądać się za Runoczkinem. Mały, garbaty Runoczkin wszedł na trybunę.

- Opowiedzcie, Runoczkin, jak doprowadziliście się do takiego stanu. - W głosie Baulina pobrzmiwała charakterystyczna złowieszcza dobroduszość.

- Myśleliśmy, że nie warto powtarzać tego, co będzie we wszystkich gazetach.

- Co mają do tego inne gazety? - zmarszczył brwi Baulin.

- Przecież kiedy wywieszaliście gazetkę, prasa jeszcze nie wyszła.

- Ale później wyszła.

- I wiedzieliście, co będzie w artykułach wstępnych?

- Oczywiście, że wiedzieliśmy.

Na sali rozległ się śmiech.

- Nie udawajcie tu głupka - zdenerwował się Baulin. - Kto nie pozwolił napisać artykułu wstępnego? Pankratow?

- Nie pamiętam.

- Nie pamiętacie... Nie zdziwiło to was?

Runoczkin wzruszył ramionami.

- A propozycja Pankratowa, żeby napisać fraszki, też nie wydała się wam dziwna?

- Przedtem też pisaliśmy.

- Czy rozumiecie swój błąd?
- Jeżeli podchodzić do tego tak jak towarzysz Łozgaczew, to rozumiem.
- A wy jak podchodzicie?

Runoczkin milczał.

- Głupiego udaje? - krzyknął znów Kariew.

Baulin rzucił okiem na kartkę.

- Czy jest tu Pozdniakowa?

Pozdniakowa, ładna dziewczyna, uśmiechając się weszła na trybunę.

- Co ja mogę powiedzieć? Sasza Pankratow postanowił nie pisać artykułu wstępnego, a przecież jest przewodniczącym, musimy go słuchać.

- A jeśli kazałby wam wyskoczyć z czwartego piętra?

- Nie umiem skakać - odpowiedziała Nadia. - Myślałam...

- Nie myśleliście - przerwał jej Baulin. - Podoba się wam, kiedy tak pastwią się nad przodownikami nauki?

- Nie.

- To dlaczego nie zaprotestowaliście?

- Bo by mnie nie posłuchali.

- A dlaczego nie zwróciliście się do organizacji partyjnej?

- Ja... - Pozdniakowa zaczęła płakać. - Ja...

- Dobrze, siadajcie! - Baulin znów zajrzał do papierów. - Po-łu-zan!

- Nie ma co ich słuchać, niech mówi Pankratow! - dobiegło z sali.

- Przyjdzie kolej i na Pankratowa. Słuchamy, Połużan!

- To, co się stało, uważam za poważny błąd - zaczęła Roza.

- Błędy bywają różne.

- Uważam to za błąd polityczny.

- To trzeba tak mówić od razu, a nie czekać, aż zaczną ciągnąć za język!

- Uważam to za poważny błąd polityczny. Proszę tylko wziąć pod uwagę, że ja proponowałam zamieszczenie artykułu wstępnego.

- I sądzicie, że to was usprawiedliwia? Umyliście ręce, zabezpieczyliście się, a to, że takie paskudztwo będzie wisieć na ścianie, to już was nie obchodziło? Osobiście pisaliście te fraszki, tak?

- Tak.

- Na kogo?

- Na Niestierowa, Puzanowa i Prichodko.



- Pierwszy obżartuch, drugi śpioch, trzeci kombinator. Więc tak według was powinno wyglądać propagowanie idei przodownictwa?

- To mój błąd - wyszeptwała Roza.

- Siadajcie... Kowalew!

Na trybunę wszedł blady Kowalew.

- Muszę uczciwie wyznać: kiedy tu szedłem, nie miałem dość jasnego pojęcia o politycznym podłożu sprawy, wydawało mi się, że to był żart, głupi, niestosowny, ale tylko żart. Teraz widzę, że wszyscy okazaliśmy się narzędziem w rękach Pankratowa. Prawdą jest, że nalegałem na zamieszczenie artykułu wstępnego. Jednak, gdy była mowa o fraszkach, milczałem: na mnie też pisali wierszyk, więc pomyślałem sobie, że jeżeli zaprotestuję, to koledzy będą uważać, że boję się krytyki.

- Głupio wam było się odezwać? - uśmiechnął się Baulin.

- Tak.

- Kowalew od razu przyszedł do organizacji partyjnej i uczciwie opowiedział jak to było - wtrącił Łozgaczew.

- Mógł przyjść przed wywieszeniem gazetki - zaproponował Baulin.

Wstał Siwierski, wykładowca topografii. Sasza nie podejrzewał nawet, że Siwierski należy do partii. Ten milczący człowiek o wojskowej postawie, w granatowych kawaleryjskich bryczesach i długiej białej kaukaskiej koszuli przypominał mu oficera armii carskiej.

- Kowalew! A więc krępowaliście się wystąpić przeciwko fraszkom wymierzonym w was?

- Tak.

- To dlaczego nie zaprotestowaliście przeciwko fraszkom na innych?

- Demagogia! - rozległ się głos Kariewa.

- Zaciemnia sprawę! - krzyknął ktoś inny.

Baulin wskazał ręką audytorium.

- Słyszycie, towarzyszu Siwierski, jak aktywnie ocenia wasze pytanie?

- Chciałem tylko zwrócić uwagę młodemu człowiekowi Kowalewowi, że nie warto zaczynać życia w ten sposób - spokojnie powiedział Siwierski i usiadł.

- Możecie zabrać głos w dyskusji - zaproponował Baulin. - A teraz posłuchamy głównego organizatora. Prosimy, Pankratow.

Sasza siedział z tyłu, słuchał, i zastanawiał się co ma odpowiedzieć Baulinowi. Oczekują od niego uznania błędów, chcą usłyszeć, jak będzie się kajać, co znajdzie na swoje

usprawiedliwienie. Czy żałował tego, co się stało? Tak, żałował. Mógł nie spierać się z Azizjanem, mógł zrobić gazetkę, tak jak zawsze. I nie byłoby całej tej historii, która tak nieoczekiwanie i bezsensownie wdarła się w jego życie, w życie jego kolegów. Trzeba wytrzymać, wybronić przyjaciół, przedstawić swoje racje. Oprócz Baulina, Łozgaczewa, Kariewa jest tu przecież Janson, jest Siwierski, są inni, którzy mu współczują.

Sala ucichła. Ci, co wyszli na papierosa, wrócili. Wielu wstało z miejsc, żeby lepiej widzieć.

- Przedstawiono mi ciężkie zarzuty - zaczął Sasza - towarzysz Łozgaczew użył nawet takich określeń jak dywersja polityczna, antypartyjne wystąpienie, oszczerstwo...

- Słusznie! - krzyknął ktoś na sali, pewnie Kariew, ale Sasza postanowił nie zwracać uwagi na okrzyki.

Baulin postukał ołówkiem o biurko.

- Docent Azizjan w swoich wykładach nie połączył części teoretycznej z praktyczną i tym samym pozbawił nas możliwości opanowania ważnych partii materiału - ciągnął Sasza.

Azizjan poderwał się z miejsca, ale Baulin powstrzymał go gestem.

- O gazetce. Przede wszystkim ja jako przewodniczący koła ponoszę pełną odpowiedzialność za przygotowanie tego numeru.

- Jaki szlachetny! - rozległy się okrzyki. - Pozer!

- To właśnie ja powiedziałem, że artykuł wstępny jest niepotrzebny, ja zaproponowałem zamieszczenie fraszek i sam napisałem jedną z nich. Koledzy mogli potraktować to jako polecenie.

- Polecenie? Od kogo je otrzymaliście? - Baulin nie spuszczał z Saszy uważnego wzroku.

W pierwszej chwili Sasza nie zrozumiał pytania. Gdy wreszcie uświadomił sobie jego sens, powiedział:

- Możecie zadawać mi wszystkie pytania, ale nie takie, które mnie obrażają. Jeszcze mnie nie usunęliście.

- Usuniemy, nie bój się! - krzyknął ktoś z sali. Tym razem na pewno Kariew.

- Dalej. Wstępniaka nie zamieściliśmy, bo nie chcieliśmy powtarzać tego samego, co i tak byłoby w gazetce instytutu i biuletynie wydziału. Tam pracują bardziej wykwalifikowani dziennikarze...

- Wy, sądząc po wierszyku, jesteście nawet poetą - zażartował Baulin.

- Pisarzyna! - dobiegło z sali.

- Popelnilem błąd - kontynuował Sasza. - Artykuł trzeba było napisać. Teraz o

fraszkach. W nich samych nie ma nic niestosownego. Nasz błąd polega na tym, że umieściliśmy je pod zdjęciami przodowników. To wypaczyło sens.

- Po co je napisaliście?

- Chcieliśmy, żeby z okazji święta było zabawniej, weselej...

- Wesoło wyszło, nie ma co - zgodził się Baulin.

Wszyscy roześmieli się.

- Jednakże - ciągnął dalej Sasza - oskarżenie o dywersję polityczną odrzucam kategorycznie.

- Powiedźcie, Pankratow, czy zwracaliście się do kogoś o inter-wen-cję w waszej sprawie? - spytał Baulin.

- Nie.

Baulin popatrzył na Glińską, potem na Saszę.

- A do zastępcy komisarza ludowego, Budiagina?

- Nie.

- To dlaczego wstawiał się za wami u dyrektora instytutu?

- Sasza nie chciał wymieniać nazwiska Marka, ale nie było innego wyjścia.

- Opowiedziałem o wszystkim Riazanowowi, mojemu wujowi, a on prawdopodobnie wspomniał o tym Budiaginowi.

- Prawdopodobnie... - ironicznie powtórzył Baulin. - Ale przecież Riazanow jest na Wschodzie?

- Był akurat w Moskwie.

- Riazanow przypadkiem przyjeżdża do Moskwy, wy przypadkiem opowiadacie mu o swojej sprawie, on przypadkiem powtarza to Budiaginowi, Budiagnin przypadkiem dzwoni do Glińskiej... Nie za dużo tych przypadków, Pankratow? Czy nie byłoby uczciwiej przyznać się i powiedzieć wprost: tak, szukałem protekcji?

- Powiedziałem, jak było naprawdę.

- Wykręca się! Kłamstwo! Łgarz!

Do Kariewa dołączyło się jeszcze kilku krzykaczy.

- Nie macie nic więcej do powiedzenia?

- Powiedziałem wszystko.

- Siadajcie.

Sasza wrócił na miejsce.

- Kto chce zabrać głos? - spytał Baulin.

- Jansona! Dawać Jansona! Niech mówi Janson!

Janson z gniewnym wyrazem twarzy wszedł na trybunę.

- Towarzysze, problem, który dziś tu rozpatrujemy, jest niezwykle ważny...
- To wiemy i bez ciebie!
- Należy jednak odróżniać obiektywne następstwa od subiektywnych pobudek...
- To to samo!
- Nie filozofuj!
- Nie, to nie to samo. Pozwólcie mi dopowiedzieć do końca...
- Nie pozwolimy! Dość tego!

Znów wstał Siwierski.

- Towarzyszu Baulin, przywołajcie do porządku tych dezorganizatorów. W takich warunkach nie można pracować.

Baulin udął, że nie słyszy.

- Pankratow zajął pozycję apolityczną, a co za tym idzie, mieszczańską - uparcie ciągnął dalej Janson.

- Mało! Mało! - krzyknął Kariew.

- Towarzysze, chwileczkę, dajcie dokończyć - zmarszczył brwi Janson. - Posłuchajcie...

- Nie ma co słuchać!

- Jednakże, aby określić to wystąpienie jako antypartyjne, nazwać je dywersją polityczną, musielibyśmy doszukać się u Pankratowa umyślnego zamiaru. Dopiero po stwierdzeniu premedytacji...

- Nie kręć!

- O sobie mów, o swojej roli!

- A więc, czy Pankratow chciał zaszkodzić interesom partii? Uważam, że nie mamy tu do czynienia z działaniem świadomym...

- Ugodowiec! Gmatwa sprawę!

- Towarzyszu Janson - przypomniał Baulin - macie mówić o własnej roli w tym, co zaszło.

- Nie było w tym żadnej mojej roli. Nie ja wywieszałem gazetkę, nie ja ją zatwierdzałem. Docent Azizjan zwrócił się do was, a nie do mnie.

- Dlaczego nie zdjęliście gazetki? - spytał Baulin.

- Widocznie wy zauważyliście ją wcześniej.

- A dlaczego to wy jej nie zauważyliście? Przecież mieliście do niej bliżej?

Janson wzruszył ramionami.

- No, jeżeli to ma mieć jakieś znaczenie...

- Dość! Wystarczy.

Janson powstał jeszcze chwilę, znów wzruszył ramionami i wrócił na swoje miejsce.

Baulin nie wchodził na trybunę, mówił zza stołu prezydialnego. Zdjął tylko marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Nie uśmiechał się już, rąbał krótkimi, urywanymi zdaniami:

- Pankratow liczył na bezkarność. Liczył na swoich wysoko postawionych protektorów. Był przekonany, że organizacja partyjna złąknie się ich nazwisk. Ale dla organizacji partyjnej sprawa partii, czystość linii partii jest ważniejsza od nazwisk, ważniejsza od wszelkich autorytetów!

Zawiesił głos, pauza obliczona była na oklaski. W dwóch-trzech miejscach rozległy się nieskładne brawa: Baulin udał, że nie chce, by mu przerywano, i mówił dalej:

- Wstyd patrzeć na komsomolców: Runoczkiną, Pozdniakową, Połużan, Kowalewa. I to prawie inżynierowie, radzieccy specjaliści! Oto jakich bezzębnych, politycznie bezradnych ludzi wychował towarzysz Janson. To dlatego tak łatwo stali się narzędziem w rękach wroga klasowego. O to właśnie obwiniamy Jansona. To wy, Janson, przygotowaliście grunt dla takich Pankratowów... Nawet tutaj jeszcze próbujecie go osłaniać. A to jest zastanawiające.

Jura chciał, żeby Lena utrzymywała ich związek w tajemnicy: kocha ją, ona kocha jego, niczego więcej im nie trzeba. Właśnie dlatego unika jej rodziców, jej domu, jej znajomych. Lena zgadzała się, bojąc się urazić jego ambicję.

Ojciec nie pozwalał Jurze przyprowadzać dziewczyn do domu, ale córka komisarza ludowego - łatwo powiedzieć! Takiej Jura jeszcze nie miał. Starzy odnosili się do Leny z rezerwą: odwiedza Jurija dziewczyna, i dobrze, młodzi są, jak się dobrać charakterami, to będzie wesele, jak nie, to się rozejdą. W tej kwestii dotrzymywali kroku epoce. Jeżeli jednak młodzi pobiorą się, to synowa będzie musiała szanować teścia i teściową: choć i narkomowska córka, niech będzie wdzięczna, z taką, co to idzie do łóżka przed ślubem, nie każdy chce się żenić.

Lena rezerwę tę uważała za przejaw godności. Rodzice Jury wydawali się jej niezwykli. Ojciec - przystojny, stateczny fachowiec, matka - pobożna staruszka, patriarchalne stosunki rodzinne - inny świat, ludowy, prosty, prawdziwy.

Czasem czytali listy od Władimira z Biłomorkanału, typowe wypociny kryminalisty z "najdroższym ojczulkiem", "najdroższą mateczką", "najdroższym rodzonym bratem Jurijem", pełne łzawej więziennej poezji o doli nieszczęsnej, o tęsknocie, by "ptaszyną wolną wzlecieć". Jura był niezadowolony, wstydził się wobec Leny, ją jednak wzruszało posępne zainteresowanie ojca, smutne zatroskanie matki, godność, z jaką Jura traktował ten cień na swoim życiorysie.

Podobało się jej zresztą wszystko: ich niewyszukane jedzenie, gest, jakim ojciec wyciera ręce z kredy, to jak strzepuje nitki z marynarki, jak siada do stołu z namaszczeniem człowieka pracy, dla którego obiad w gronie rodzinnym jest nagrodą za ciężki trud, podobało się jej, że właśnie ojcu żona nakłada pierwszemu - jemu, żywicielowi, potem Jurze - jest mężczyzną, pracuje, następnie Lenie - bo to gość, zaś ona sama, matka, zadawała się tym, co zostanie, siedzi przecież cały dzień w kuchni, zawsze się jakoś tam pożywi. Oto rodzina, zwarta, zgodna, niepodobna do jej rodziny, w której każdy żyje swoim życiem, tygodniami nie widując najbliższych.

Czasem chodziła z Jurą do "Metropolu" posłuchać Skomorowskiego albo do "Grandhotelu" na Cfasmana. Lena wymogła na Jurze, że rachunki będą płacić wspólnie, przecież ona ma własne pieniądze, pracuje, zarabia, byłoby nie po koleżeńsku, gdyby Jura sam płacił za wszystko. Zgodził się wspaniałomyślnie, schlebiało mu, że taka dziewczyna wydaje na niego pieniądze, schlebiała uprzedzająca grzeczność kelnerów. Przy sąsiednich

stolikach siedziały piękne kobiety w towarzystwie eleganckich mężczyzn, grał jazzband, w "Metropolu" wygaszano światła, różnokolorowe reflektory oświetlały fontannę na środku sali i parkiet wokół niej. Jura uśmiechał się do Leny, ścisnął jej rękę, podobało mu się, że wszyscy zwracają na nich uwagę.

Wychodziła od niego późną nocą, gdyby pozwolił, nie wychodziłaby w ogóle. Bramę zamykano, dzwoniła, zjawiał się zaspany dozorca, za każdym razem oglądał ją podejrzliwie, wciskała mu w dłoń rubla i wybiegała na ulicę. Obcasy jej pantofli dźwięcznie stukały o chodniki nocnego Arbatu. W domu znów zauważą zbyt późny powrót, domyślają się wszystkiego, ale nie zadają żadnych pytań. Ojciec nie lubi Jury, wyraża się o nim z przekąsem, nawet z niechęcią. Trudno, jego sprawa. Jest przywioziona do rodziny, ale jeśli będzie trzeba, opuści dom, nie zastanawiając się ani chwili.

Na początku grudnia Jurę wezwano do Ludowego Komisariatu Sprawiedliwości. W dziale kadr, w dużej sali z mnóstwem biur, za którymi nikt jednak nie siedział, przyjęła go kobieta w średnim wieku, rudawa, o płaskich piersiach i drobnej, ruchliwej twarzy. Nazywała się Malkowa, wskazała Jurze krzesło naprzeciwko swojego biurka.

- Kończycie wydział prawa, towarzyszu Szarok, powstaje kwestia przydziału, chcemy dowiedzieć się o was czegoś więcej. Opowiedzcie o sobie.

Aby uniknąć skierowania do sądu albo prokuratury Jura musiał przedstawić się Malkowej w niekorzystnym świetle. Działał jednak instynkt samozachowawczy, wypracowana przez lata zasada, by wypaść jak najlepiej, okazać się człowiekiem czystym, w nic nie zamieszany, by zataić wszystko, co mogłoby skompromitować. Jura opowiedział o sobie to co zwykle: jest synem robotnika ze szwalni, sam był frezerem, należy do Komsomołu, nie karany. Jest pewien minus - brat odsiaduje wyrok za kradzież. Jura uznał, że informacja o bracie podkreśli autentyczność jego opowieści.

Malkowa słuchała uważnie, paliła papierosa, następnie gasząc niedopałek o dno popielniczki spytała:

- Jak mogliście wy, komsomolec, dopuścić do upadku brata?
- Kiedy go zamknęli, miałem szesnaście lat.
- W czasie rewolucji szesnastoletni dowodzili pułkami.

Powiedziała to takim tonem, jakby sama w wieku szesnastu lat dowodziła pułkiem. A może i dowodziła? Trzyma się po żołniersku, chuda, w skórzanej kurtce, z papierosem w zębach... No i co z tego? Czy wszyscy muszą dowodzić? Pułków zabraknie! I pomyśleć, że od takiej ryżej flądry zależy, czy skierują go do fabryki, czy wyślą do jakiejś dziury, gdzie diabeł mówi dobranoc. Po wydziale krążą słuchy, że cały ich rok mają skierować na Syberię

Zachodnią i Wschodnią.

Jura uśmiechnął się.

- Brat jest o wiele starszy ode mnie, w jaki sposób miałem na niego wpłynąć?

Malkowa przerzuciła papiery na stole, wyciągnęła ten potrzebny.

- Głównym zapotrzebował was imiennie do pracy prawno-administracyjnej. Jak to się stało?

- Przed studiami pracowałem w zakładach chemicznych, potrzebuja tam prawnika. Nie zerwałem więzi z fabryką, więc zgłosili zapotrzebowanie.

Malkowa zmarszczyła brwi.

- Wszyscy chcą zostać w Moskwie. A kto będzie pracować na prowincji? W organach sądu i prokuratury?

Powoli, ważąc w myślach każde słowo, Jura powiedział:

- Żeby pracować w sądzie lub prokuraturze potrzebne jest zaufanie, potrzebna jest nieskazitelna reputacja. Gdy ma się brata kryminalistę, to o zaufaniu nie może być mowy.

- Żeby pracować w sądzie lub prokuraturze trzeba być przede wszystkim prawdziwym człowiekiem radzieckim - pouczającym tonem oznajmiła Malkowa. - Czy historia z bratem przeszkadza wam w tym?

- W zasadzie nie, ale nawet wy pytaliście, dlaczego nie wpłynąłem na brata. Poza tym sądzę, że w przemyśle też potrzebni są wykształceni prawnicy.

Malkowa wstała.

- Przedstawię waszą sprawę naczelnikowi, a potem komisja do spraw zatrudnienia podejmie decyzję.

Jura wstał również.

- Będę pracować tam, gdzie mnie wyślą.

- No pewnie - uśmiechnęła się Malkowa. - Pobieraliście stypendium, trzeba je odpracować.

- To prawda, zależy mi na zostaniu w Moskwie - przyznał Szarok - mam tu ojca i matkę, ludzi starych i schorowanych i, prawdę mówiąc, jestem ich jedynym synem. To jednak - wskazał papier leżący na stole - wyszło z inicjatywy zakładu. Potrzebują prawnika orientującego się w problemach przemysłu chemicznego.

- Wszyscy, którzy chcą zostać w Moskwie, wynajdują sobie różne ważne powody - zauważyła Malkowa. - I wszyscy załatwiają sobie takie solidne poparcie.

Po chwili milczenia dodała nieoczekiwanie:

- A uczelniana organizacja partyjna rekomenduje was do innej pracy. Nawiasem



mówiąc też w Moskwie.

- Nic mi o tym nie wiadomo. A gdzie konkretnie?

Odpowiedziała wymijająco:

- Są wolne etaty... Na przykład w prokuraturze. Wy jednak wolicie do fabryki?

- Tak, wolę fabrykę. Tam pracowałem, tam dojrzewałem, stamtąd posłano mnie na studia. Fabryce zawdzięczam bardzo wiele.

Godność, z jaką Jura to powiedział, udobruchała Malkową.

- Uwzględnimy wasze zamiary i zapotrzebowanie Głwchimpromu. A komisja podejmie odpowiednią decyzję.

Od takiej baby zależy jego los! Sama dopiero co wyrwała się z jakiejś wiochy, a już gotowa jest jego, rodowitego moskwianina, wypchnąć do dziury zabitej deskami. Słusznie ojciec mawiał: "Ponazjeżdżało tej wiochy do Moskwy, dla miastowych miejsca brakuje!" I jeszcze podpuszcza: "rekomendują was do pracy w Moskwie, w prokuraturze". Pewnie łże... A może i nie łże... Jura ma mieszkanie, a oni takie rzeczy biorą pod uwagę...

Jeżeli nawet taka rekomendacja była, nie znaczy to jeszcze, że go przyjmą, zapytają: "A skąd tu brat kryminalista"? W prawdziwej proletariackiej rodzinie nie powinno być kryminalistów! Podejrzana rodzina, pasożytnicza rodzina! Czy to nie ma innych, sprawdzonych, swoich?

Zrodzony w chłopięcej wyobraźni romantyczny wizerunek niezależnego adwokata w miarę upływu czasu stracił wiele ze swojego pierwotnego uroku. Podczas praktyk w sądach Jura poznał odwrotną stronę medalu. Widywał znakomitych adwokatów nie tylko podczas błyskotliwych wystąpień na rozprawach, ale także na co dzień zaaferowanych, kłócących się o honoraria, widział, jak płaszczą się przed sekretarkami, jak za piątaka udzielają porad prawnych stetryczałym staruchom, poznał cenę tych luksusowych gabinetów domowych, które po wyjściu ostatniego klienta zamieniały się w jadalnię i sypialnię. Mimo to nadal pociągało go tylko takie właśnie życie.

A jednak dziwne! Myśl, że w instancjach odrzucają jego kandydaturę, boleśnie godziła w ambicję: znowu nim wzgardzą. Tak, dla swoich mają wysokie stanowiska, a on, posłuszny wykonawca, będzie odwalać czarną robotę. W najlepszym razie rzucą mu ochłap, puszcza do fabryki na to wymarzone radcostwo, jak z przekąsem powiedział Budiagin.

O wezwaniu do narkomatu nie wspomniał nikomu ani słowem. Jego przygnębienie nie uszło jednak uwagi Leny.

Siedzieli w teatrze, udało im się wreszcie dostać na "Murzyna".

- Czym się tak martwisz?

Patrzyła na niego swoim głębokim, zakochanym spojrzeniem.

Uśmiechnął się, wskazał oczami sąsiadów - nie przeszkadzaj.

W domu, leżąc na jego ramieniu znów spytała o to samo.

Odpowiedział, że nic szczególnego, po prostu sprawa przydziału nieco się skomplikowała.

- Jeśli chcesz, mogę pomówić z tatą - zaproponowała Lena.

- Iwan Grigoriewicz zrobił wszystko, co mógł.

Nie nalegała, rozumiała, że ojciec nie zrobi nic ponad to, co już zrobił.

- Wczoraj był u nas Sasza, żał mi go - powiedziała Lena.

- A co?

- Nie wiesz? Wyrzucili go z Komsomołu i ze studiów.

Uniósł się na łokciu.

- Pierwsze słyszę.

- Nie widziałeś go?

- Już dawno.

Skłamał, widział Saszę całkiem niedawno, ale Sasza nic mu nie powiedział. Jura nie chciał mówić o tym Lenie.

- Przez tę historię z wykładowcą rachunkowości?

- Tak. A potem przez gazetkę ścienną.

- A co on napisał w tej gazetce?

- Jakieś wierszyki.

- To Sasza pisze wiersze?

- Napisał czy też zamieścił czyjeś. Śpieszył się, coś tam bąknął i poszedł. Bardzo mi go szkoda.

Sasza Pankratow wylany! Tak ten człowiek wierzył, i go załatwili! Aktywista, twardy jak kamień, niezłomny - a poleciał! Nawet Budiagin mu nie pomógł. Wujek Riazanow, taka ważna figura! Straszna rzecz. Skoro nawet Saszkę...

Kto w razie czego pomoże jemu, Szarokowi? Ojciec krawiec? Brat kryminalista? Jura nie pcha się wszędzie tak jak Sasza, a jednak... Niepotrzebnie wykręcał się od tej prokuratury, tam nikt by go nie ruszył, tam on sam mógłby ruszyć każdego, nikt by mu się nie wywinął...

\* \* \*

Nazajutrz spotkał Saszę w bramie.

- Cześć.

- Cześć.

- Słyszałem, że masz kłopoty w instytucie?

- Od kogo słyszałeś?

- Widziałem Lenę.

- Wszystko już się wyjaśniło - ponuro powiedział Sasza.

- Tak? No to świetnie - Szarok nie ukrywał uśmiešku. - Szybko udało ci się to załatwić.

- Udało się. Bywaj!

“Już się wyjaśniło”. Sasza odpowiadał wszystkim tak samo jak Jurze, nie chciał, żeby jakiegokolwiek echa dotarły do uszu mamy.

Decyzję Glińskiej wywieszono nazajutrz po zebraniu egzekutywy. Sasza jako “organizator wystąpień antypartyjnych” został usunięty z uczelni, Runoczkin, Połużan i Pozdniakowa otrzymali nagany. Kowalewa ukarano upomnieniem.

Machina poszła w ruch, wyszukiwano dokumenty, przygotowywano zaświadczenia. Łozgaczew, mianowany już dziekanem na miejsce Jansona, szybko i uprzedzająco grzecznie wydał Saszy indeks, jego gładka twarz zdawała się mówić: osobiście nic przeciwko tobie nie mam, tak się złożyły okoliczności, jeżeli przyjmą cię z powrotem, będzie mi bardzo przyjemnie.

Sasza pożegnał się z całą grupą, tylko Kowalewowi nie podał ręki.

- Podleców nie chcę znać.

Runoczkin zgodził się z poglądem, że Kowalew to podlec, i że w ogóle wszyscy to podlece. Nie bał się nikogo ten maleńki garbaty Runoczkin.

Rozległ się dzwonek. Korytarz opustoszał. Nikt nie miał już żadnej sprawy do Saszy. Dokumenty zabrane, pozostawało tylko podstemplować je i odejść.

Kriworuczko był jeszcze zastępcą dyrektora do spraw gospodarczych. Przybijając pieczętkę powiedział półgłosem:

- Zawiadomienia za grudzień poszły już do administracji.

- Dziękuję - odpowiedział Sasza. Zawiadomienia wysyłano później, po prostu Kriworuczko chciał zdążyć wydać Saszy kartki żywnościowe. A mógł nie wydać.

Dzięki kartkom mama aż do końca grudnia o niczym się nie dowie. A przez ten czas na pewno przyjmą go z powrotem.

Z jednej instytucji do drugiej, męczące wyczekiwanie pod drzwiami, uciążliwe wyjaśnienia, nieufne twarze, nieszczerze obietnice rozpatrzenia sprawy. Nikt nie miał zamiaru jej rozpatrywać - anulować decyzję o wydaleniu oznaczało wziąć na siebie odpowiedzialność. Komu to potrzebne!

W komitecie rejonowym trafił do niejkiej Zajcewej, młodej kobiety o sympatycznej powierzchowności. Sasza wiedział, że mimo niezbyt wysokiego wzrostu Zajcewa dobrze gra w koszykówkę. Wysłuchała go, zadała kilka pytań, w mniemaniu Saszy raczej mało istotnych - nie wiadomo dlaczego dotyczyły głównie Kriworuczki - potem poradziła wystarać się o opinię z fabryki, w której Sasza dawniej pracował, i uprzedziła, że sprawa

będzie rozpatrywana na posiedzeniu egzekutywy rajkomu partii i Komsomołu.

Dojeżdżając do fabryki Sasza przypomniał sobie wczesne wstawanie, świeżość porannej ulicy, potok ludzi, wlewający się przez portiernię na dziedziniec, chłodną pustkę hali. Technika nigdy go nie pasjonowała, ale chciał pracować w fabryce, podobało mu się słowo “proletariusz”, przynależność do wielkiej rewolucyjnej klasy. Początek życia, poetyczny i niezapomniany.

Pierwszego dnia posłano go do terminowego załadunku wagonów. Mógł odmówić. Jurka Szarok, na przykład, odmówił i trafił na wydział mechaniczny, został uczniem frezera. Sasza poszedł jednak do tych wagonów, potem o nim zapomnieli, sam też się nie upominał: ktoś przecież musi ładować wagony. Życie wydawało mu się wtedy czymś nieskończonym, wszystko miało się dopiero stać. W brezentowej kurtce i w brezentowych rękawicach, w śnieg, w deszcz, w mróz i w spiekotę Sasza ładował i rozładowywał wagony na otwartej rampie przy magazynach, robił to, co było potrzebne krajowi. Gardził czyściutkim Jurką, zbijającym bąki w ciepłej i widnej hali.

Całą brygadą wpadali do stołówki, wszyscy odsuwali się od nich - ich kurtki i bluzy upačkane były farbą, kredą, gipsem, węglem. Hałasowali, klęli. Sasza pamiętał byłego dowódcę dywizji Morozowa, cichego człowieka, który wystąpił z partii nie mogąc pogodzić się z NEP-em, a potem popadł w alkoholizm. Pamiętał Awierkijewa, ich brygadzystę, też pijaka - porzuciła go żona - i jeszcze kilku ludzi o równie pogmatwanych życiorysach. Nie gonili za forszą, byle zarobić na ćwiartkę i dość, migali się od pracy w akordzie, użerali się z dyspozytorem o jak najłżejsze zajęcie, woleli robotę na dniówkę, a jeszcze bardziej lekcję, określone zadanie, po którego wykonaniu można było sobie pójść. Wtedy pracowali jak szatany, do upadłego, ale tylko po to, żeby jak najszybciej urwać się z zakładu. Sasza nie uważał ich za prawdziwych robotników, pociągało go jednak to, co było w nich wzruszające i ludzkie - właśnie te poplątane losy. Kombinowali na zleceniach, ale nigdy nie oszukiwali się między sobą, nie zwalali roboty na kolegów. I choć Sasza nie brał udziału w ich popijawach, choć nie popisывał się koszarowymi dowcipami i nie opowiadał sprośnych kawałów, traktowali go dobrze.

Tę malowniczą, przypadkową, wybrakowaną brygadę posyłano zazwyczaj do dorywczych prac, niekiedy jednak zatrudniano ją zgodnie z przeznaczeniem - do załadunku beczek z farbą. Zdarzało się, że gdy przez dłuższy czas nie podstawiano pustych składów, zapasy gotowej produkcji rosły, beczki piętrzyły się na dziedzińcu w coraz wyższe stosy, potem nagle przychodziły wagony, skład za składem, wtedy na rampę rzucano wszystkie brygady, w tym również brygadę Awierkijewa, w której pracował Sasza.

Każda beczka z farbą ważyła osiemdziesiąt kilo. Wtaczali je do wagonów po trapach i ustawiali: jeden rząd, na nim drugi, na drugim trzeci. Trapy stały stromo, beczki trzeba było wtaczać na nie z rozpędu, a potem obracać i ustawiać przy innych tak, żeby zmieściła się cała przewidziana liczba. Zginać plecy przez osiem godzin, toczyć beczki po osiemdziesiąt kilo każda, turlać je po stromym trapie, ustawiać pionowo - to ciężka praca. W dodatku trzeba się spieszyć, tuż za tobą biegnie następny, on też nie może zatrzymać się na trapie, też bierze go z rozpędu, jeżeli zamarudzisz ze swoją beczką choć na jedną sekundę, zatrzymasz cały łańcuch, naruszysz rytm. Sasza początkowo nie mógł sobie poradzić z ustawieniem beczki na właściwym miejscu. Później pokazano mu, jak to się robi: trzeba chwycić oburącz za podstawę beczki, unieść ją szarpnięciem, obrócić na krawędzi i postawić. Od tej chwili Sasza nie opóźniał już rytmu pracy.

Przy farbie pracowały zazwyczaj dwie brygady: pierwsza - Tatarzy, przybyli na zarobek z obwodu ulianowskiego, i druga - Rosjanie, też łasi na zarobek, przy załadunku dobrze płacono.

Któregoś dnia podczas rozdzielania roboty kierownik Małow powiedział:

- Awierkijew, daj jednego do pierwszej brygady, człowiek im zachorował.
- Idź - zwrócił się Awierkijew do Tatara Hajnullina.
- Nie pójdę - odparł Hajnullin.
- Liwszyc!

Liwszyc, potężnie zbudowany odeski Żyd o niskim czole wykpił się żartem:

- Ja do nich nie mogę, oni nie jedzą wieprzowiny.

I wtedy Małow oznajmił:

- Nie mam czasu wysłuchiwać waszych debat. Nie dacie człowieka, to sam wyznaczę.

Małow był ongiś dowódcą plutonu, miał bojowy wygląd, sam kiedyś pracował jako ładowacz, potrafił zmusić do posłuchu nawet niesforną brygadę Awierkijewa.

- Wyznaczaj - zgodził się Awierkijew.

Spojrzenie Małowa zatrzymało się na Saszy.

- Pankratow, ty pójdiesz!

Małow nie darzył Saszy sympatią. Może nie lubił wykształconych robotników: Sasza uchodził w brygadzie za najbardziej wykształconego, ukończył przecież dziewięć latkę. Małow przyglądał mu się na poły pytającym, na poły pogardliwym wzrokiem: był przekonany, że Sasza również odmówi. Sasza powiedział jednak:

- Dobrze, pójdę.
- Wszędzie się pchasz - zauważył Awierkijew z niezadowoleniem.

Tatarzy nie toczyli beczek, nosili je na plecach. Biegiem po kładkach, potem biegiem po trapie, do wagonu, i od razu stawiali je na miejsce. Załadunek szedł w ten sposób szybciej, ale była to straszna robota, wręcz nie do wytrzymania: gnać z okrągłym osiemdziesięciokilowym cylindrem na plecach po chwiejnych kładkach, po stromych trapach, zrzucić beczkę tak, żeby od razu trafiła na swoje miejsce, biegać przez cały dzień wyłącznie za tym człowiekiem, za którym stanęłeś na początku zmiany. Masz wrażenie, że beczka zaraz zsunie ci się z pleców, że pociągnie cię za sobą, że upadniesz, ale nie wolno ci zatrzymać się ani na sekundę, słyszysz za sobą tupot nóg i ciężki oddech następnego, czujesz zapach jego potu, jeżeli się zatrzymasz, wpadnie na ciebie. Wyteżasz więc wszystkie siły, z rozpędu pokonujesz trap, wbiegasz do wagonu, zwalasz beczkę i pędzisz z powrotem, żeby dotrzymać tempa doświadczonym, silnym ładowaczom, nie mającym litości dla nikogo, a już zwłaszcza dla ciebie, obcego.

Syrena, przerwa obiadowa! Sasza padł obok stosu beczek. Czerwone koła wirowały mu przed oczami, monotony huk rozsadzał czaszkę.

Zapadał w półsen, budził się... Gdy oprzytomniał, myślał tylko o tej chwili, gdy trzeba będzie wstać, znów stanąć za roslym rudym Tatarem, za którym biegał od rana, i znów ganiać po chwiejnym trapie z beczką na plecach. Czuł, że nie wytrzyma następnych czterech godzin, że upadnie, zemdleje na którymś z pomostów.

Mógł pójść do biura i powiedzieć, że przysłano go tu w celu zdobycia kwalifikacji, a nie do dźwigania na plecach osiemdziesięciokilowych beczek, że ma skierowanie na produkcję. Co jest, do cholery! Zgłosił się wprawdzie do tej terminowej roboty, ale to jeszcze nie powód, żeby przez całą praktykę trzymać go między tragarzami! Tak, może pójść do biura. Wiedział też jednak, że gdy zawyje syrena, znów stanie za rudym Tatarem, podstawi plecy i poniesie beczkę do wagonu.

Ze stołówki wracali robotnicy, to znaczy, że przerwa się kończy. Wysiłkiem woli Sasza dźwignął się, usiadł, poruszył rękami, nogami, głową. Wszystko bolało, wszystko wydawało się obce.

Ktoś go zawołał, uniósł głowę, przed nim stał Awierkijew i były dowódca dywizji Morozow. Widać było, że obaj wypili sobie do obiadu. Obrzmiała twarz Awierkijewa nabrała całkiem czerwonej barwy, błękitne oczy Morozowa stały się jeszcze bardziej błękitne, jasne i marzycielskie.

- Jedz! - Awierkijew rzucił mu na kolana kawałek chleba i plasterek boczk.
- Dziękuję.
- Beczkę kładź na całe plecy - powiedział Awierkijew - na cały grzbiet, rozumiesz?

Dajcie tu jedną!

Wygiął grzbiet, odrzucił ręce do tyłu. Morozow i Sasza zarzucili mu beczkę na plecy. Leżała równo na całej długości kręgosłupa.

- A potem tak!

Awierkijew poruszył ciałem, beczka przesunęła się na ramiona, chwycił ją rękami.

- Nosisz nieprawidłowo, na ramionach, trzeba na grzbiecie, spróbuj!

Sasza pochylił się. Awierkijew i Morozow podali beczkę.

- Nie opuszczaj ramion! - krzyknął Awierkijew.

Sasza uniósł ramiona, ciężar beczki rozłożył się równomiernie.

- Tak nieś! Trzymaj i nieś!

TERaz Sasza czuł się pewniej, beczka nie zjeżdżała już z pleców. Ciężar przygniatał jednak nadal, nogi ugiwały się. Gdy biegł z powrotem, nie rozprostowywał już pleców. Nie wiedział, jakim cudem wytrzymał resztę zmiany, nie pamiętał, jak wrócił do domu, jak zwałił się na łóżko i spał aż do następnego ranka.

Nazajutrz Małow powiedział:

- Popracuj jeszcze parę dni w pierwszej brygadzie, potem cię przeniosę.

Harował przy farbie jeszcze dwa tygodnie, nauczył się dźwigać beczki. Tatarzy przyzwyczaili się do niego, on przyzwyczał się do nich, pomagał im nawet pisać oświadczenia podatkowe dla rady wiejskiej.

Do dawnej brygady też nie wrócił, posłali go na bazę do ładowania ciężarówki.

- Będziesz się uczyć na szofera - powiedział Małow. I nie wiadomo było, czy chce uradować Saszę, czy po prostu pozbyć się go.

Sasza pracował na bazie, zrobił prawo jazdy, prowadził samochód. Teraz jednak, dojeżdżając do fabryki, nie wiadomo dlaczego wspominał okres dźwigania beczek. Były to pierwsze i najbardziej pamiętne miesiące jego pracy w fabryce.

Kogo tam spotka? ze starej gwardii nie ma już pewnie nikogo. A może i są, w końcu minęły dopiero cztery lata.

Starą drewnianą portiernię rozebrano, na jej miejscu pojawiła się nowa, murowana. Przebudowano też bramę, była teraz szeroka, kamienna. Frontem do dziedzińca stał nowy budynek dyrekcji. Za wysokim murowanym ogrodzeniem wznosiły się nowe hale. Dziedziniec wyasfaltowano, pobudowano sklepy fabryczne, kioski, pawilony. Fabryka pracowała, rosła, unowocześniała się. To właśnie jest to prawdziwe, to, czym żyje cały kraj, czym powinien żyć i on bez względu na okoliczności.

Okazało się, że funkcję sekretarza organizacji partyjnej pełni Małow. Niezbyt



przyjemna niespodzianka! Wciąż jeszcze miał w sobie coś z bojowca, choć nie był już tak rumiany jak wtedy, gdy na dziedzińcu magazynu dyrygował ładowaczami - łysawy, poźółkły i wychudły, sprawiał wrażenie zmęczonego. Za dużym biurkiem siedział jednak tak samo jak wtedy, gdy na parapecie okna wypisywał robotnikom karty pracy - jakoś bokiem, na samym brzeżku. Od razu poznał Saszę. I zupełnie jakby nie było tych czterech lat spytał:

- A, Pankratow... Co tam u ciebie?

Sasza wyłuszczył sprawę.

- Dobra - powiedział Małow - będę na tej egzekutywie, to powiem.

Ten też się wykręca, nie chce dać na piśmie.

- Zajcewa prosiła o pisemną opinię.

- Papierek jej potrzebny - warknął Małow. - Dobrze, napiszę. Przypomnij, gdzie pracowałeś, jakie miałeś obowiązki.

Zanotował dane, które podał mu Sasza, potem podniósł wzrok i spytał żartobliwie:

- No i wreszcie wpadłeś?

- Dlaczego "wreszcie"?

- Na to się zanosilo. Dobra, pospaceruj godzinę, wypiszę tę opinię.

- Chciałbym rzucić okiem na fabrykę, zobaczyć chłopaków...

Centralna część fabryki nie zmieniła się, nowe hale budowano nieco dalej. Pierwszy, drugi, trzeci wydział, dalej mechaniczny, kotłownia, a oto i garaż... Na kanale czarny dyrektorski "Ford", koło warsztatu Siergiej Wasiliewicz, dyrektorski kierowca. On też poznał Saszę.

- Wróciłeś do fabryki?

- Załatwiam sprawę.

Siergiej Wasiliewicz nosił czarny skórzany kombinezon, czapkę z renifera i filcowe walonki z kaloszami, masywny, ważny, niezależny, jeszcze z tych przedrewolucyjnych szoferów, osoba stojąca blisko dyrektora.

Zadziwiająco, jak wiele rzeczy wyleciało mu z pamięci i przypomniało się teraz, gdy przyszedł tu i znów zobaczył halę, wydziały, gdy usłyszał znajome odgłosy fabryki. Wtedy wszystko było jasne i proste - pracuj, bierz wypłatę, wykonuj polecenia Komsomołu. Nie pamiętał wypadku, by kogoś wrabiano w jakieś polityczne historie, tu szła produkcja, powstawał zakład. A może teraz jest już inaczej? Ciekawe, jaką opinię wystawi mu Małow?

Małow napisał tak: "Dotyczy: Pankratowa Aleksandra Pawłowicza w związku z jego pracą w fabryce w latach 1928-1930 w charakterze ładowacza, a następnie kierowcy. Swoje

obowiązki wypełniał rzetelnie, polecenia służbowe wykonywał. Udzielał się społecznie jako sekretarz komórki WLKSM wydziału transportu. Praca bez zastrzeżeń”.

- W razie czego dodam, co trzeba - obiecał Małow.

Wróciwszy z fabryki Sasza zauważył w skrzynce niebieską kopertę. List od ojca, to jego pismo. Te listy nigdy nie sprawiały radości. Ojciec prosił o przysłanie poradników technicznych: “Leżą na dolnej półce, z pewnością wiesz, gdzie jest dolna półka. Nie ośmieliłbym się fatygować Cię taką prośbą, ale nie mam nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić. A jechać po nie do Moskwy... Mój przyjazd nikomu nie sprawi przyjemności”.

To był głos ojca, zawsze używał takiego tonu. Gdy mama pytała: “Będziesz jeść obiad?”, odpowiadał: “Mogę nie jeść”. “Idziesz na zebranie?” - “Nie, idę na tańce”. Był nieco przygłuchy, stale podejrzewał, że rozmawiają o nim, pieklił się, gdy rano nie dostał jabłka do śniadania albo kubka zsiadłego mleka na noc. Matka kamieniała ze strachu na odgłos jego kroków na korytarzu, wracał po pracy z góry niezadowolony z domu, z żony, z syna, skłonny do kłótni, wymówek i scen.

Mama nie bała się go jedynie podczas napadów zazdrości. Saszy pękało wówczas serce od tych domowych awantur, krzyków, trzaskania drzwiami, przerażał go zły wyraz twarzy mamy, jej płacz.

Ojciec nie mieszkał z nimi już od sześciu lat. Mama jednak bała się go nadal nawet na odległość. Również i teraz na jej twarzy pojawił się znajomy, przygnębiający wyraz niepokoju i lęku.

- Od ojca?

- Prosi, żeby przysłać mu poradniki.

Z wciąż zaleknioną miną Sofia Aleksandrowna sięgnęła po list, jej rysy rozpogodziły się dopiero wtedy, gdy przeczytała go do końca.

Saszę najbardziej dręczyła myśl, co będzie, kiedy mama dowie się wszystkiego. Zachowywał się więc tak, żeby niczego nie podejrzewała. Każdego ranka wychodził z domu udając, że idzie na uczelnię. Pieniądze za grudniowe stypendium zarobił przy rozładunku wagonów na Kijowskim towarowym. GDY nie miał się gdzie podziać, szedł do Niny Iwanowej.

Dała mu klucz do mieszkania; od rana czytał tam albo się uczył. Potem wracała ze szkoły Waria, młodsza siostra Niny, w ciemnym płaszczu, w małych pantofelkach, chustkę zdejmowała po drodze, proste czarne włosy opadały na kołnierz. Siadała na łóżku, zakładała nogę na nogę, wydymając pulchne wargi zdmuchiwała grzywkę z czoła i patrzyła na Saszę tym szczególnym wzrokiem, którym ładne piętnastoletnie dziewczyny peszą chłopaków.

Nakryty wystrzępioną ceratą stół dzielił pokój na dwie połowy: połowę Niny, pełną porozrzucanych książek i zeszytów, z przydeptanymi domowymi pantoflami pod łóżkiem, i połowę Warii z jaskrawą chustką na poduszce, patefonem na parapecie i atletą z brązu, trzymającym żarówkę w wyciągniętej muskularnej ręce.

- Za co wylali cię z instytutu?

- Przyjmą z powrotem.

- Ja bym powyrzucała ich samych, u nas w szkole też są takie swołocze, tylko patrzą, jak by tu kogo usadzić. Wczoraj mieliśmy zebranie klasowe, a Lakin mówi: "Iwanowa pisze ściagi na kolanach". Na to ja wyciągam nogi i pytam: "Gdzie masz te ściagi?"

Wyciągnęła nogi przed siebie, demonstrując Saszy, jak to było w klasie.

- A Kuzia, matematyk, zrobił się czerwony jak pomidor: "Iwanowa, przestań!" A dlaczego ja? Przecież to Lakin. W zeszłym roku rozrabiał, zabierał dziewczynom teczki. A teraz jest w samorządzie. Sam zrżyna, a na innych donosi. Nie znoszę takich.

- To jak robisz te ściagi?

- Normalnie - poklepała się po kolanach, opiętych nicianymi pończochami. - Napiszę chemicznym ołówkiem i ściagam.

- A bez ściagi nie możesz?

- Mogę, ale nie chcę.

Patrzyła na niego wyzywająco, zabawne stworzenie, siedzi z odsłoniętymi kolanami. Sasza miał ochotę roześmiać się, ale zachowywał powagę, wiedział, ile kłopotów ma Nina ze swoją młodszą siostrą.

Dziewczęta wyrosły bez ojca, potem umarła matka. Sasza pamiętał naradę egzekutywy - zastanawiali się, w jaki sposób pomóc Ninie wychować siostrę, załatwili rentę rodzinną, powierzyli Ninie funkcję etatowej zastępowej. Potem ukończyli szkołę, stracili się z oczu, o Warii przypomniał sobie dopiero wtedy, gdy spotkał ją wśród sterczących w bramie wyrostków.

- Jesteś komsomolką?

- A po co?

- Lepiej wystawać w bramie?

- Robię, co mi się podoba.

- Podobno spędzasz nocę poza domem.

- Ojej! Raz zanocowałam u przyjaciółki na daczce, bałam się iść na stację. Nina też by w nocy nie poszła. To sto razy większy tchórz niż ja, wyszłaby już wreszcie za tego swojego Maksyma. Ona nic nie umie, Maks niczego nie potrzebuje, będą chodzić po stołówkach.

- Nie jesteś za młoda, żeby udzielać takich rad?
- To niech nie wtyka nosa w moje sprawy. Hałas dużo, a sensu mało.
- Kim ty chcesz być?

Zamiast odpowiedzi zaśpiewała dziecięcym głosem:

Kwiatku pachnących prerii,  
twój śmiech się wokół perli,  
i tak błękitne są oczęta twoje,  
jak niebo kraju rodzinnego nad kowbojem...

W korytarzu rozległ się dzwonek.

- Ninka wróciła - nie wstając oznajmiła Waria - znowu zapomniała kluczy.
- Skąd wiesz, że to ona?
- Wiem, jak dzwoni każdy lokator.

Weszła Nina, zobaczyła Warię na łóżku w pozie, którą uznała za nieprzyzwoitą, zobaczyła odsłonięte kolana, i zaczęło się:

- Tylko chłopcy jej w głowie, lakier do paznokci, pomadka do ust, koniecznie w kolorze marchewki - znawczyni! Godzinami siedzi przed lustrem i zawija rzęsy nożem kuchennym.

- Nożem? - zdziwił się Sasza.

- Albo wisi na telefonie, i w kółko słyszę to samo: żorzeta, welwet, czerwona markizeta, błękitny jedwab... ja przez pięć lat chodziłam w jednej bluzce, prałam ją co dzień, i do dziś nie wiem, z jakiego jest materiału. Za to moja siostrunia trzy dni latała po sklepach, bo szukała odpowiednich guzików do płaszcza. Kaloszy nie uznaje, walonkami gardzi. Ukradła moje pantofle, zdeptała je na tańcach, a potem podrzuciła w łazience. Dziś pantofle, jutro weźmie pieniądze, a jak nie znajdzie pieniędzy, to pójdzie kraść.

- Nie strasz - powiedział Sasza - nie strasz siebie i nie strasz jej.

Waria jednak wcale nie wyglądała na przestraszoną. Ziewnęła ostentacyjnie, zrobiła znudzoną minę - wszystko to już słyszała, słyszała setki razy.

- Przeraza mnie jej okrucieństwo. Stroi sobie żarty z Maksyma. Co to ją obchodzi? To niskie, nietaktowne!

- No, Maks nie ma zbyt wesołego wyglądu - dyplomatycznie zauważył Sasza.

Oczy Niny pociemniały.

- Cenię Maksa, to wspomniały, uczciwy chłopak. Ale czy ja mogę w ogóle coś planować? Najpierw muszę toto wykierować na ludzi.

- Bardzo cię proszę, nie zwalaj znowu na mnie - powiedziała Waria.

- Kazali jej zrobić gazetkę ścienną - ciągnęła Nina. - No więc poszła do sąsiedniej klasy i słowo w słowo przepisała gazetkę, którą tam wywiesili. Nawet nazwisk nie chciało się jej zmieniać. Co z tego wyrośnie, do czego to dojdzie?

Waria namacała stopą pantofel, wstała.

Kwiatku pachnących prerii,  
twój śmiech się wokół perli...

Idąc do komitetu rejonowego Sasza był zupełnie spokojny. Oto instancja, która odważnie rozstrzygnie całą sprawę. Zebranie będzie prowadzić pierwszy sekretarz, Stolper.

Sasza długo siedział w korytarzu, czekał na swoją kolej.

Zza drzwi dobiegały strzępy słów i zdań, urywki czyichś wystąpień, ale wszystko zagłuszał i uciszał jeden wysoki, ostry głos. Przerażeni ludzie wypadali z gabinetu, pędzili do szaf, chwyтали teczki, rozdrażniony, ostry głos ściagał ich i ponaglał. Saszy podobało się, że Stolper tak gania swoich urzędników. Tak samo pogoni Baulina i tych wszystkich, którzy określili Saszę mianem wroga.

Drzwi uchyliły się.

- Pankratow!

Gabinet był zatłoczony, ludzie siedzieli wzdłuż ścian i za długim stołem, pokrytym zielonym sukniem. Stolper, chudy człowiek o złych, zmęczonych oczach obrzucił Saszę mrocznym spojrzeniem i zwrócił się do Zajcewej:

- Referujcie! Tylko krótko.

Zajcewa głosem wzorowej uczennicy przedstawiła materiały sprawy. Gdy czytała fraszki, ktoś się roześmiał. Fraszki brzmiały idiotycznie. Następnie Zajcewa powiedziała, że fakty te należy rozpatrywać w kontekście najistotniejszych kwestii.

I tu Sasza dowiedział się, że Kriworuczko to były członek opozycji, ale jakiej konkretnie - nie zrozumiał. Zajcewa wspomniała coś o XI zjeździe partii, o "opozycji robotniczej", potem o zbiorowym liście do KC, który Kriworuczko podpisał, ale co to był za list - nie powiedziała. Potem podkreśliła, że w swoim czasie Kriworuczko został usunięty z partii, gdyż nie zerwał kontaktów. O jakie kontakty chodziło, z kim, kiedy, też nie mówiła, wyjaśniła jedynie, że później Kriworuczkę znów przyjęto do partii, ale ukarano naganą. Drugą naganą Kriworuczko otrzymał za zaśmieszenie kolei elementem społecznie obcym i klasowo wrogim. O jaką kolej chodziło i co tam robił Kriworuczko, Zajcewa również nie powiedziała. Obecnie Kriworuczkę ponownie wydalono z partii, tym razem za szkodnictwo w budownictwie. Chociaż teczka personalna Kriworuczki zawierała pełny wykaz kolejnych

wykluczeń i nagan, Zajcewa mówiła o tym takim tonem, jak gdyby zdemaskowanie Kriworuczki było jej osobistą zasługą. Wydawała się wstrząśnięta faktem ujawnienia człowieka zamieszanego w przestępstwa, o których czytała jedynie w podręcznikach.

Słuchając Zajcewej, Sasza zrozumiał, że sprawa Kriworuczki wcale nie jest taka prosta. Kriworuczkę obciąża przeszłość. Nie mógł natomiast pojąć, co to wszystko ma wspólnego z nim.

Stolper wziął teczkę ze sprawą Saszy, pobieżnie przejrzał papiery. Wszyscy milczeli. Słysząc było jedynie szelest gniewnie przewracanych kartek.

- Co się tam u ciebie wyrabia, Baulin?

Baulin wstał.

- Kriworuczkę wydaliliśmy z partii.

- Akademików nie zbudował - podchwycił Stolper. - A o tej jego robocie wiedzieliście? - uderzył dłonią o teczkę. - Połapaliście się dopiero wtedy, kiedy wypuścili u was antypartyjną ulotkę.

- Nie mamy dowodów na powiązania Pankratowa z Kriworuczką.

- Nie mają dowodów! - skrzywił się Stolper. - Pankratow występuje przeciwko marksizmowi w nauce i po tym powierza mu się redagowanie świątecznego numeru gazetki, a on oczywiście robi z tego ulotkę antypartyjną. Pankratow broni Kriworuczki, a ten dziekan, jak mu tam?

- Janson - szybko odpowiedziała Zajcewa, podkreślając jak dobrze wykuła sprawę.

- Janson broni Pankratowa. Przecież to zmowa! A gdzie ocena polityczna? Może wyjaśnicie, dlaczego akurat Pankratow wystąpił w obronie Kriworuczki?

- Właśnie za to wydaliliśmy również Pankratowa - pośpieszył z odpowiedzią Baulin.

- Nie, nie za to! - krzyknął Stolper. - Pankratowa wyrzuciliście dopiero wtedy, gdy wystąpił z otwartą przyłbicą. A to, że bronił Kriworuczki, nie wzbudziło waszych podejrzeń? Członkowie egzekutywy proponowali podjęcie decyzji, a wy, towarzyszu Baulin, nie chcieliście. Towarzysz Łozgaczew proponował. A wy, Baulin, zbagatelizowaliście sprawę, daliście Pankratowowi możliwość wydania antypartyjnej ulotki. Pod samym waszym nosem Kriworuczko demoralizował studentów. A może uważacie, że Pankratow z własnej inicjatywy wypuścił tę gazetkę, że tak sam z siebie zaatakował marksizm w nauce? Kto za tym stoi? Wolicie nie wiedzieć? Kogo się boicie?

- Nikogo się nie boimy - gburowato rzucił Baulin, mając na myśli samego Stolpera. I Stolper to zrozumiał. Popatrzył uważnie na Baulina i nieoczekiwanie spokojnie powiedział:

- Trzeba będzie przyjrzeć się sytuacji w instytucie.

- Proszę bardzo - odparł Baulin.

- Co to znaczy "proszę bardzo"? - znów wybuchnął Stolper. - My was o zgodę nie prosimy, towarzyszu Baulin. Dlaczego nie ma tu Jansona?

- Jest chory.

- Ach tak, chory... A gdzie dyrektor instytutu?

Baulin wzruszył ramionami.

- Nie przyszła.

- Nie ma co, ładna organizacja - uśmiechnął się Stolper. - Nic dziwnego, że owijają was sobie wokół palca. A tu jeszcze towarzysz Małow się rozczula, rozdaje pochwalne opinie... Małow, wiedziałeś, do czego Pankratow potrzebuje tej opinii?

Małow wstał, wysoki, barczysty, zgarbiony bojowiec w garniturze. Siedział pod ścianą niemal obok Saszy, ale dopiero teraz Sasza go zauważył.

- Wiedziałem.

- Mówił ci, za co go wylano?

- Mówił.

- Tak mówił, jak tu dziś słyszałeś?

- Właśnie tak.

- I mimo to napisałeś mu tę opinię?

- Napisałem.

- Jak to rozumieć, towarzyszu Małow?

- Napisałem, co było cztery lata temu.

- A może on już wtedy oszukiwał partię?

- On wtedy partii nie oszukiwał, on wtedy nosił farbę na plecach.

- Jaką znowu farbę?

- A taką - Małow wskazał na stół - jaką wasze sukno barwią.

- Co to znaczy "wasze"? - spurpurowiał Stolper.

- Bo na waszym stole leży.

- I co to ma za związek?

- Chłopak, komsomolec, pracował, fabrykę budował. Co miałem napisać? Było, jak było.

- Było jedno, a wyszło drugie - powiedział Stolper pojednawczo, po ojcowsku. - Gdyby Pankratow zwrócił się tylko do ciebie, to byłoby pół biedy, ale kiedy ktoś biega po narkomatach, kiedy wykorzystuje powiązania rodzinne, to już co innego. A tego nie wzięliście pod uwagę, towarzyszu Małow.



- Może i nie wziąłem - uparcie bronił swego Małow - ale ja go widziałem przy robocie. I trudno mi uwierzyć, że to wróg partii.

- Nie tacy stawali się wrogami partii - powiedział Stolper. - No cóż, posłuchamy Pankratowa.

Sasza wstał. Przegra, to jasne. Wszystko, co zostało tu powiedziane, nie ma sensu, ale im dalej sięga sprawa, tym bardziej obrasta w oskarżenia, a on w żaden sposób nie może wyrwać się z tego zakłętą kręgu. Nie przekona ich. Głupie wierszyki, incydent z Azizjanem, Kriworuczko - to fakty. Działa nieubłagana siła. A jednak trzeba się bronić.

- Co do Kriworuczki - powiedział Sasza - to na egzekutywie mówiłem tylko o tym zdarzeniu z łopatami.

- Z jakimi łopatami? - przerwał mu Stolper.

- Łopaty, na budowie, nie było magazyniera...

- Nie udawajcie durnia! - wrzasnął Stolper. - Odpowiadajcie: dlaczego wystąpiliście w obronie Kriworuczki?

- Nie występowałem w jego obronie. Powiedziałem tylko, że naprawdę nie było materiałów budowlanych.

- A więc nie tylko łopat, ale i materiałów nie było? - ironicznie uśmiechnął się Stolper. - No to mówcie tak od razu. No dobrze, dalej - dodał znużonym głosem, dając do zrozumienia, że wypytywanie Saszy mija się z celem - kręci.

- Nie znałem Kriworuczki, nigdy w życiu z nim nie rozmawiałem.

Stolper pokręcił głową, ale nic nie powiedział.

- Jeżeli chodzi o wykładowcę rachunkowości, to zajęcia prowadzone były chaotycznie, więc...

- Więc marksizm to dla was chaos? - Stolper nie spuszczał z Saszy uważnego spojrzenia.

- No nie, ale...

- Wystarczy, Pankratow, dosyć! - Stolper wstał, obciągnął bluzę, leżała na nim niezgrabnie jak mundur na chuderławym cywilu. - Wysłuchaliśmy was. Nie chcecie złożyć broni przed partią, nawet tutaj próbujecie nas oszukiwać. Jesteście wolni, idźcie sobie!

Nowy Rok witali u Niny Iwanowej. Na stole królowała gęś z kapustą, upieczona przez Warię, Bóg jeden wie, gdzie się tego nauczyła. Zabawa miała trwać do rana - nocą komunikacja nie kursuje. A rano do pracy, pierwszy stycznia to normalny dzień roboczy.

Na jednym fotelu, założywszy nogę na nogę siedziała z papierosem w dłoni Wika Marasiewicz, siostra Wadima. Tęga, leniwa dziewczuszka z gatunku tych, które ciągle pytają "to co ja mam robić?", podczas gdy wszyscy wokół pracują, wyrosła na wysoką, jasnowłosą i wyniosłą pannę. W sobotę wieczorem takie jak ona można spotkać w "Metropolu", a w niedzielę w "Nationalu". Tuż przed sylwestrem pokłóciła się z aktualnym adoratorem i tylko z tego względu raczyła znaleźć się tutaj, co dawała wszystkim do zrozumienia swoim nad wyraz znudzonym wyglądem.

Jura Szarok próbował ją zabawiać, a potem nawet flirtować z nią, jak gdyby chcąc odwrócić uwagę zebranych od swojego związku z Leną. Wyglądało to dziwnie. Ich romans dawno już przestał być dla kogokolwiek tajemnicą. Wyjątkiem był Wadim Marasiewicz. Wadim nie znał jeszcze kobiet, nie dopuszczał nawet myśli, że ktoś może żywić uczucia, których on sam nie doświadczył, a które, w jego mniemaniu, w sposób zasadniczy odmieniają człowieka. W Lenie takich przemian nie zauważył.

Wadim rozprawiał o różnych różnościach, przeskakiwał z mowy obrończej Dymitrowa na inscenizację "Martwych dusz" w Mchacie, z "New Dealu" Roosevelta na śmierć Łunaczarskiego w Mentonie. Nawet o sprawach powszechnie znanych umiał mówić tak, jak gdyby ich prawdziwe podłoże było znane wyłącznie jemu.

Jura Szarok przed przyjściem do Niny wypił sobie z ojcem, był więc ożywiony i nonszalancki. Wściekają się, że podrywa Wikę? Bardzo dobrze! W takim razie będzie to robić jeszcze bardziej ostentacyjnie.

Waria została w domu pod pretekstem pieczenia gęsi, tak odpowiedzialnego zadania nie mogła przecież powierzyć Ninie. W gruncie rzeczy chodziło o to, że sylwester w dorosłym towarzystwie wydawał się jej ciekawszy niż zabawa w gronie kolegów i koleżanek ze szkoły. Poza tym Maks obiecał, że przyprowadzi ze sobą przyjaciela, który umie tańczyć rumbę. Teraz ten młodzieńcy słuchacz szkoły wojskowej, noszący dziwaczne imię Serafim, z namaszczeniem kręcił korbką patefonu.

Obok Saszy stał zmartwiony Maks. Między nim a Niną doszło właśnie do decydującej rozmowy, i Nina stanowczo odrzuciła jego oświadczyzny, nie pozwoliła nawet mieć żadnej nadziei. Oprócz tego Maks przejmował się kłopotami Saszki - lubił go, szanował i

podziwiał.

Sasza nie mógł nie przyjść, choć nie miał na to specjalnej ochoty. Trudno, musi żyć jakby nic się nie stało. Jak Nowy Rok, to trzeba witać Nowy Rok.

I oto siedzą przy stole nakrytym białym obrusem. Na honorowym miejscu Nina, na prawo od niej Maksym, Sasza, Waria, Serafim, po lewej Wadim, Lena, Jura i Wika. Wszystko lśni i błyszczy, wszystko przyszykowane, pachnie tak smakowicie, pobudza apetyt, raduje serca. Za oknami mroźna noc, a tu jest ciepło, dziewczyny w fildepersowych pończochach, pantofle na wysokim obcasie. Planeta mknie po swej niezmiennej orbicie, gwiazdy wędrują po swoim odwiecznym szlaku, a oni spotykają tysiąc dziewięćset trzydziesty czwarty rok od narodzin Chrystusa, mają wódkę, portwajn, riesling, tak samo spotykali rok tysiąc dziewięćset trzydziesty trzeci, oto śledź w sosie musztardowym, szynka ze sklepu komercyjnego, tak samo będą witać i rok trzydziesty piąty i trzydziesty szósty, i trzydziesty siódmy, i jeszcze wiele innych lat. Są młodzi, nie wyobrażają sobie ani śmierci, ani starości, nie urodzili się przecież dla starości i śmierci, ale dla życia, dla młodości, dla szczęścia.

- Żegnamy stary rok - powiedział Wadim Marasiewicz - był to rok naszego życia. Jak mawiają w Odessie, nikt nie usłał naszej drogi różami. Droga usłana różami nie jest drogą życia. Droga prawdziwego życia usłana jest cierniami...

Rozległo się bicie zegara, wszyscy równocześnie zaszurali krzesłami, wstali, podnieśli kieliszki.

- Za Nowy Rok, za nasze szczęście - hura! - wrzasnął Wadim.

Zadzwoniło szkło, poszły w obieg półmiski z zakąskami. Maks zgrabnie krajał gęs.

- Mistrz! - powiedział Sasza.

- No i żyła sobie gaska... - Jura podsunął swój talerz.

- Maksym, dla mnie nogę - odezwała się wreszcie Wika.

- Druga dla mnie! - Wadim lubił sobie podjąć.

- Marasiewiczze wszystko wyżrą!

- Powstrzymajcie Marasiewiczów!

Wadim postukał nożem o talerz.

- Wznoszę toast za Maksa, nadzieję Armii Czerwonej!

- Maks! Maksymuszka! Nie żałuj tej gęsi, bracie rodzony!

- Towarzysze, buchnęli mi widelec!

Wadim znów postukał nożem w talerz.

- Wypijemy za Serafima, naszego jedyne gościa i też nadzieję Armii Czerwonej!

- Młody człowieku, pańskie zdrowie!
- Młodość to nie hańba, to wielkie świństwo!
- Serafim, a gdzie twój brat cherubin?

Onieśmielony tym hałaśliwym towarzystwem, Serafim zaczerwienił się, wstał, podziękował ukłonem.

Wadim wznosił toast za Lenę - naszą najpiękniejszą, potem za Wikę - też niczego sobie, nikogo nie dopuszczał do głosu ten WAdim.

- Wypijmy za szkołę - zaproponował Maksym.
- Niech żyje sentymentalny hipopotamek! - skomentował Jura.

Maks popatrzył na niego spode łba.

- A co, mamy się odciąć i odzegnać?
- Popieram Maksa - wtrącił WAdim - nie należy zapominać o domowych penatach, o alma mater, o gnieździe najdroższym!
- No to za szkołę życia i pracy! - ironicznie dorzucił Jura.

Smarkacze! Szczeniaki! Czort z nimi. Chcą pić za szkołę, to może pić za szkołę, wszystko mu jedno, za co pije.

- Jura, nie musisz robić nam łaski - zauważyła Nina. Drażniło ją to zalecanie się do Wiki, nie mogła ścierpieć tej dziewczyny, nikt jej tu nie zapraszał, oburzało to, że Jura sprawia przykrość Lenie.

Wadim zręcznie załagodził sytuację.

- Za Jurija Szaroka, przysłego prokuratora generalnego!
- Jak nas powsadzają, to ratuj - dobrodusznie dodał maks.
- A teraz - Wadim otarł wargi serwetką - za panią domu, za naszą Ninę, serce, duszę i mózg naszej paczki!
- Nineczko! Nino!

- To może za obie panie domu - Sasza zwrócił się do Warii.

Szczuplutka, pełna wdzięku, najmłodsza wśród nich milczała, bojąc się powiedzieć coś nie tak. Serafim podejmował nieśmiałe próby nawiązania z nią rozmowy, Saszę bawiło jego zmieszanie, zagadnął więc Warię sam, wciągając do konwersacji Serafima. Waria ożywiła się, odwróciła głowę w stronę Saszy, tuż przed sobą zobaczył jej migdałowe oczy i subtelną twarz.

Zaszurały odsuwane krzesła, stół powędrował pod ścianę, wszyscy zaczęli tańczyć. "Ach, te czarne oczy mnie olśniły, ach, zapomnieć o nich nie mam siły..." - niosło się z patefonu. Jura tańczył z Wiką, Wadim z Leną, Waria z Serafimem. Potem dołączyli Maks i

Nina.

Gdy zmieniali płytę, Sasza powiedział:

- Kochani, dajcie i mnie potańczyć.

Zatańczył z Warią, czuł jej zwinną figurkę, lekki krok, jej radość. Zrozumiał, że wszystko, co tak drażni Ninę - puder, perfumy, brama, chłopcy - to nic nie znaczące drobiazgi, nieposkromiona ciekawość małej kobietki wchodzącej w życie, do tego pięknego, młodego i jasnego świata, od którego tak brutalnie odrywają jego, Saszę.

Awantura zaczęła się zupełnie nieoczekiwanie. Jura i Wika wyszli na korytarz, i to spowodowało wybuch Niny.

- Przecież prosiłam, żeby nie hałasować! Mam są-sia-dów - mówiła z czerwoną z gniewu twarzą. - Ale nie, oni muszą tłuc się po korytarzu, jakby tu było mało miejsca!

- Przestań, przecież nic się nie stało - uspokajała ją Lena z uśmiechem. Czuła się niezręcznie: Nina zwracała tylko uwagę wszystkich na i bez tego obraźliwe zachowanie Jury.

- Daj spokój - łagodził Maks.

- To zakrawa na bezczelność - nie mogła uspokoić się Nina. - Oni sobie pójdą, a ja przecież muszę mieszkać z tymi ludźmi!

- Przestań - powiedział Sasza. Jemu też nie podobało się postępowanie Jury i Wiki, ale chciał zapobiec kłótni.

Wadim próbował obrócić wszystko w żart.

- Moja siostra rzadko kiedy znajduje drogę do toalety.

Wszyscy znali te wybuchy gniewu u zrównoważonej Niny, mijały równie szybko, jak się zaczynały. Nadeszła ta krytyczna godzina sylwestrowej nocy, gdy wszyscy są już zmęczeni, chcą spać, i wpadają w rozdrażnienie z powodu byle głupstwa.

Jura usiadł obok Leny, położył rękę na jej ramieniu i powiedział zimno:

- Kolejna histeria starej panny.

Powiedział to spokojnie, celowo, z ręką na ramieniu Leny, dając tym samym do zrozumienia, że stosunki między nimi to wyłącznie ich sprawa.

- Panuj nad językiem, Szarok! - Sasza patrzył na niego spode łba. Oto okazja, by wyrównać rachunki. To stara Szarokowa powiedziała mamie Saszy o wydaleniu z instytutu, powtórzyła sensację. Sasza domyślał się w tym cichej roboty Jury.

- Wszyscy trochę wypiliśmy... - zaczął Wadim pojednawczo.

- Wiesz, co ty jesteś - ciągnął Sasza. - Co, chciałeś ucieszyć ludzi najnowszą wiadomością?

Jura zbladł.

- O co ci chodzi? No, powiedz!

- Ani to czas, ani miejsce. I nie wszyscy są ciekawi.

- A dlaczego to ty masz wybierać czas i miejsce? Dlaczego ty masz decydować? Taki jesteś ważny? No i co, w końcu się doigrałeś!

- Zamknij się - powiedział Maks.

- Cios poniżej pasa - mruknął Wadim.

- Ta sprawa dotyczy tylko i wyłącznie mnie - spokojnie odpowiedział Sasza. - Ty i twoja rodzina nie musicie wtykać w to nosa. A co o tobie myślę? Jesteś małym egoistą i sobkiem. Na tym moja strona kończy dyskusję.

- A ty jesteś nagi król - odparł Jura - generał bez armii. Na tym moja strona też kończy dyskusję. - Wstał. - Lena, idziemy!

- Lena! - zawołał Sasza.

- Słucham? - Lena odwróciła się, przyjaznym uśmiechem usiłując załagodzić konflikt.

- Gorszego gnojka nie mogłaś sobie znaleźć?

Lena oblała się rumieńcem i wybiegła z pokoju. Jura na moment zatrzymał się w drzwiach, popatrzył na Saszę i też wyszedł.

- Niepotrzebnie ty go tak - zauważył Maks.

- Nie lubię łajdaków - ponuro odparł Sasza.

Poczuł jeszcze większe przygnębienie. Nie zdołał zapanować nad sobą i zepsuł całego sylwestra.

Byłoby lepiej, gdyby mama płakała. Ale mama zastygła, skamieniała, nie chciała nawet znać szczegółów. Saszę spotkało nieszczęście. To było najważniejsze.

Jej zmartwiałe spojrzenie rozrywało Saszy serce. Wieczorami czytała, nie widząc liter, mechanicznie przewracała kartki, dniami i nocami myślała tylko o jednym: Sasza nie ma nad sobą mężczyzny, nie zdołała utrzymać rodziny, ich nieszczęsne życie kaleczyło go od dziecka.

Paweł Nikołajewicz zawiadomił, że przyjedzie, jak tylko będzie mógł się wyrwać, za jakieś półtora miesiąca. Sofia Aleksandrowna знаła męża - liczył na to, że przez półtora miesiąca wszystko samo jakoś się ułoży i bez niego. Pytał: "Czy Mark naprawdę nic nie może zrobić?" Znowu te wieczne pretensje pod adresem jej krewnych! Napisała do Marka. Odpowiedział, że wkrótce przyjedzie na zjazd i ma nadzieję, że wtedy wszystko jakoś załatwi. Listy te nie uspokoiły Sofii Aleksandrowny, Sasza nadal był bezbronny.

Zaczęła na długo wychodzić z domu. Sasza patrzył z okna, jak idzie przez podwórze - mała, tęga, siwa, samotna. Sam odgrzewał sobie obiad, czasem nie odgrzewał - obiadu nie było. Gdzież ona przepada? Dzwonił do sióstr mamy - nie było jej tam. Chodzi po urzędach, próbuje go ratować, szuka wpływowych znajomych? Nie, nie ma takich, zna przecież wszystkich znajomych mamy.

- Gdzie byłaś, gdzie ty się podziewasz?

Zbywała te pytania milczeniem, albo wykręcała się - nigdzie nie była, spacerowała po Arbacie, siedziała na podwórzu.

Sasza również błąkał się po Arbacie, po znanych z dzieciństwa zaułkach, wzdłuż starych pańskich pałacyków; kolumnienki, sztukaterie, jaskrawozielone dachy, białe zdobione fasady. W Kriwoarbackim, na miejscu dawnego boiska szkolnego architekt Mielnikow zbudował dziwny okrągły budynek. Tylko w oknach suterren szkoły za perkalowymi zasłonami tak jak zawsze paliło się światło: mieszkali tam pracownicy obsługi technicznej.

Sasza przypomniał sobie, jak będąc drużynowym pionierów jeździł na letnie obozy do Rublowa. "Wyjeżdżamy do Rublowa, nasza baza już gotowa, już wakacji nadszedł czas, brak w Rublowie tylko nas"... Na obozie utrzymywał żelazną dyscyplinę, pionierzy bali się go, nie mógł sobie poradzić jedynie z Kostią Szabrinem, synem szkolnego stolarza, chłopcem psotnym i nieposłusznym. Po kolejnym wyczynie Kostii Sasza postanowił odesłać go do domu.

Kucharka powiedziała wtedy:

- Saszka, nie rób tego, ojciec go zabije.

Co to znaczy "zabije"? Nikt nie ma prawa zabijać. Saszy żal było Kostii, pionierzy wstawiali się za nim, ale zmienić decyzję oznaczało narazić na szwank własny autorytet.

Wrócili z obozu, zaczęły się lekcje. Ojciec Kostii nic nie powiedział, zatrzymał się tylko kiedyś w korytarzu i popatrzył na Saszę długim, uważnym spojrzeniem. Spojrzenie to Sasza zapamiętał na zawsze. Jak głupio i okrutnie wtedy postąpił! Interes kolektywu wymagał dyscypliny, to dla niej poświęcił małego Kostię. Uważał, że karze chłopca dla jego własnego dobra. Dlaczego nie pomyślał wtedy jak Kostia stanie przed ojcem?

Z zaułka Płotnikowa skręcał w Mogilcewski, potem w Martwy. Tu, w willi leżącej naprzeciwko ambasady duńskiej, mieścił się kiedyś Chamownicki Komitet Rejonowy Komsomołu, w nim osiem lat temu przyjmowano go do organizacji. Nosił wtedy skórzaną kurtkę, nienawidził elegantów, nie dbał o nic z wyjątkiem książek, po przeczytaniu przekazywał je zresztą bibliotece, próbował nawet stworzyć szkolną komunę - sam nie wiedział, co jeszcze może podsunąć mu wyobraźnia.

Dlaczego właśnie jemu musiało się to wszystko przytrafić? Może powinien jednak podporządkować się większości? Ale Baulin, Łozgaczew, Stolper - to jeszcze nie większość. Napisać do Stalina? Stalin rozumie, że kraj potrzebuje specjalistów, a nie niedouczonego ignoranta, Stalin gardzi gadułą, a Azizjan to gaduła, Stalin nie lubi karierowiczów, a Łozgaczew jest karierowiczem, Stalin nienawidzi dzierżymordów, a przecież Baulin to dzierżymorda. Ze swoim poczuciem humoru Stalin obiektywnie oceniłby te niewinne fraszki. Jednakże zwracanie się do Stalina w sprawie osobistej świadczyłoby o braku skromności.

Któregoś dnia wracając do domu Sasza zobaczył mamę. Stała w bramie i kogoś wypatrywała.

Dochodząc z nim do drzwi powiedziała:

- Idź, ja jeszcze trochę pospaceruję.

- Zamarzniesz.

- Jeszcze trochę pochodzę - powtórzyła; na jej twarzy pojawił się uparty, króliczy wyraz, który dawniej zapowiadał nową awanturę i kłótnię z ojcem.

Kiedy indziej spotkał ją na Arbacie. Przeszła powoli obok bramy ich domu, zatrzymała się przy witrynie zegarmistrza, udając, że ogląda wystawione zegarki, potem zawróciła, przez cały czas obserwując przeciwną stronę ulicy, doszła do apteki, przystanąła, poszła z powrotem. Kogoś wypatrywała, kogoś śledziła, tak samo jak śledziła ojca, gdy podejrzewała, że spotyka się z ich sąsiadką, Milicą Pietrowną. Ale ojca już nie ma, nie ma



domniemanych kochanek, nie ma powodów do zazdrości; i mimo to mamę znów prześladowuje jakaś natrętna myśl, znów patrzy w jeden punkt tym samym skupionym, upartym, pełnym napięcia wzrokiem. Przeszła przez ulicę ze spuszczoną jak zawsze głową, nie rozglądając się, jak gdyby nie chciała widzieć zagrażających jej samochodów. Kierowcy hamowali, wychylali się z szoferek i klęli, a ona z wciąż spuszczoną głową dreptała pospiesznie ku zbawczemu chodnikowi.

Spytał ją:

- Kogo ty wypatrujesz?

Zmieszała się, nie chcąc powiedzieć tego, w co Sasza i tak nie uwierzy.

- Co przede mną ukrywasz?

Popatrzyła na niego oczami pełnymi przerażenia.

- Śledzą cię.

Zdziwił się.

- Kto mnie śledzi?

- Jeden w czapce z opuszczonymi nausznikami, drugi mały w sukiennym palcie, trzeci w walonkach, taki wysoki, zły, jest ich trzech, śledzą cię po kolei.

- Prawidłowo! Po co aż trzech naraz! - roześmiał się Sasza.

- Z twarzy znam już każdego - ciągnęła - mogę poznać ich po plecach, po głosie. Stałam w piekarni, a ten w walonkach stał za mną. Nie oglądałam się, ale wiedziałam, że on tam jest. Wzięłam chleb, wyszłam, i on też wyszedł, ale chleba nie kupił, stał za mną, żeby pokazać mnie drugiemu, to taki ich sposób. Domyślili się, że ich znam, i kiedy się oglądałam - znikają, skręcają w Nikolski, a potem wychodzą z Dzieńeznego. A ja od razu idę na Dzieńezni i tam go spotykam, odwraca głowę, ale ja i tak wiem, że to on.

- Kogo oni w końcu śledzą, mnie czy ciebie? - spytał Sasza z uśmiechem.

- Śledzą nasz dom. Kto do nas przychodzi, kto wychodzi, kiedy ty wychodzisz, z kim rozmawiasz. U rzeźnika przez pomyłkę oderwałam odcinek rybny, a tamten stoi z tyłu i mówi: "Potrzebny czwarty odcinek". Obejrzałam się, a on odwrócił się do mnie plecami, ale poznałam go po palcie.

- Tak powiedział: "Potrzebny czwarty"? - spytał całkiem już ubawiony Sasza.

Kiwając rytmicznie głową mówiła dalej:

- Dyżurny milicjant na Smoleńskim też jest z nimi w zмовie. Szłam kiedyś za tym wysokim, on oczami wskazał milicjantowi jakiegoś człowieka, milicjant podszedł do tego człowieka i zapytał go o dokumenty, a ten wysoki zawrócił, zobaczył mnie, popatrzył tak groźnie, a potem nie pojawiał się przez dwa dni. Ten mały powiedział, że tamtemu dostało

się od naczelnika.

- Komu powiedział?

- Mnie. Mówi do mnie, kiedy stoi z tyłu, tak, żebym tylko ja słyszała. Kiedy się oglądam, odwraca się plecami. Więc się nie oglądam, żeby nie stawiać go w niezręcznej sytuacji, przecież on nie ma prawa ze mną rozmawiać. Dobrze znam jego głos.

Sasza patrzył na matkę z przerażeniem. W ich życie wpełza coś strasznego. Wyrósł w tym pokoju, każdy znajdujący się tu przedmiot był częścią jego życia, wszystko stoi i będzie stać na swoim miejscu, ale już bez niego. Wpadł w wir, który ciągnie go na dno. W tej chwili myślał tylko o jednym: żeby wir ten nie wciągnął również mamy, najdroższej mu istoty.

- Kiedyś czuję, że stoi za mną - ciągnęła dalej - więc nie odwracając się pytam: "Nie zabierzecie Saszy"? A on milczy, nic nie odpowiada. Nie wytrzymałam, obejrzałam się - przyłożył palec do ust i schował się w tłumie.

- To tylko twoja chora wyobraźnia - powiedział Sasza. - Nikt nie śledzi ani mnie, ani ciebie, nikomu nie jesteśmy potrzebni, przestępcy polityczni, myślałby kto! to śmieszne! Gdyby mieli mnie zabrać, to zabraliby już dawno, nie traciliby czasu na idiotyczne śledzenie. I pamiętaj: przyjmą mnie z powrotem na uczelnię. Teraz wszyscy zajęci są zjazdem, nie mają dla mnie czasu, ale zaraz po zjeździe wyjaśnią całą sprawę. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Nie zatruwaj nam życia.

Milczała, patrzyła w jeden punkt, garbiła się, kręciła głową jak w nerwowym tiku. Sasza przekonywał, perswadował, a Sofia Aleksandrowna uparcie twierdziła to samo - jest tak jak mówi ona. Tak było dziś i wczoraj, i jutro też się powtórzy: wyjdzie na ulicę, zobaczy któregoś z tych trzech, a jeśli służbę będzie mieć ten mały, to znów szepnie parę słów, może nawet odpowie, czy zabiorą Saszę, czy nie.

Ten mały w sukiennym palcie znów nie odpowiedział na jej pytanie, popatrzył tylko ze współczuciem i odwrócił się plecami. Teraz Sofia Aleksandrowna spodziewała się już najgorszego. Przerażał ją każdy dźwięk, cisza kryła w sobie zagrożenie. Godzinami wystawała przy drzwiach i nasłuchiwała kroków na schodach albo oparta o parapet obserwowała z okna podwórze. Kiedyś zauważyła milicjanta: owładnięta lękiem, zaczęła bezsensownie miotać się po pokoju. Milicjant nie przyszedł do nich - to znaczy, że poszedł wypytywać o Saszę sąsiadów. Nikt nie może powiedzieć o nim nic złego, ale ludzie łatwo przysparzają innym nieszczęścia, zapewne w przekonaniu, że w ten sposób oddalają je od siebie. Wszyscy wiedzą o sprawie Saszy, cały dom, wszyscy lokatorzy, wszystkich pewnie już wzywali, u wszystkich byli. Siadywała na podwórzu na ławeczce pod małym żelaznym

daszkciem i analizowała, jak kto przeszedł, jak na nią spojrział, jak się przywitał.

Zadzwonili z administracji, kazali Saszy przyjść. Zawsze bała się administracji, ale poszła osobiście. Muszą uzupełnić w aktach dane, dotyczące miejsca pracy Saszy. Pretekst! Administratora, Wiktora Iwanowicza Nosowa, znała od dwudziestu lat, biegał po podwórzu, jak był mały, i jego nieboszczkę mamę też znała, i on znał ją i Saszę. A teraz ledwo raczył spojrzeć, nie spytał nawet, dlaczego Sasza, student, pracuje jako ładowacz - wszystko już wie. I pożegnał się oschle. A urzędniczka w ogóle się nie pożegnała, udawała, że jest zajęta.

Ktoś zadzwonił, poprosił do aparatu Siergieja Siergiejewicza, odpowiedziała, że żadnego Siergieja Siergiejewicza u nich nie ma. Po pięciu minutach znów zapytano o Siergieja Siergiejewicza, ale już innym głosem. Potem ktoś zadzwonił i nic nie mówił, Sofia Aleksandrowna słyszała tylko oddech. Kilkakrotnie proszono do telefonu Galę, sąsiadkę, przedtem nikt tak często do niej nie dzwonił. Gała odpowiadała półsłówkami, dwuznacznie, kładąc słuchawkę odwracała wzrok i szybko wychodziła z pokoju.

Milica Pietrowna, o którą Sofia Aleksandrowna była kiedyś zazdrosna i z którą obecnie bardzo się zaprzyjaźniła, obiecała pomóc. W młodości Milica miała wpływowych wielbicieli, ale teraz już ich nie było, wszystkim obrzydła. Za to Margarita Artemowna, stara Ormianka, często razem siadywały na ławeczce, spokojna, mądra i bystra kobieta powiedziała, że Sasza powinien wyjechać z Moskwy, zaproponowała nawet, żeby udał się do jej krewnych do Nachiczewani.

Sofia Aleksandrowna uchwyciła się tego pomysłu. Sama bała się podsunąć go Saszy, poprosiła więc o pomoc współlokatora, Michaiła Juriewicza. Taka rada powinna wyjść od mężczyzny.

Michaił Juriewicz, samotny kawaler, inteligentny człowiek w binoklach, kolekcjonował książki i ryciny. Jego pokój, zawalony albumami i teczkami, zastawiony antykami, na zawsze przesiąkł kurzem foliałów, zapachem farby, kleju i tuszu. Michaił Juriewicz chętnie pokazywał swoje skarby Saszy i lubił z nim rozmawiać. Dziś pokazał Saszy "Piekło" Dantego z ilustracjami Dor~ego. Tłumy kłębiły się w otchłani, mężczyźni, kobiety, dzieci, głowy, ręce, nogi, wieczny ogień trawiących ludzkość pragnień i namiętności.

Oprócz Dantego Michaił Juriewicz nabył wydane przez "Akademię" "Księcia" Machiavellego.

- Tę książkę znam - powiedział Sasza - rozważania o władzy dość naiwne, dalekie od naukowego rozumienia jej istoty.

- Możliwe - zgodził się Michaił Juriewicz - jednakże historię pierwiastków dobra i zła

warto zgłębić w każdej epoce, dobra nie powinno się deptać ani w imię wielkich idei, ani małych. Proszę wybaczyć, Sasza, że się wtrącam, ale Sofia Aleksandrowna opowiedziała mi o pańskich kłopotach, niech pan tylko nie ma jej tego za złe. Wie pan, strzeżonego pan Bóg strzeże. Dlaczego nie miałby pan wyjechać na jakiś czas do ojca lub wuja?

- Wyjechać? - zdziwił się Sasza. - Nie widzę powodów. Sprawa nie może rozstrzygnąć się beze mnie. Mama przesadza. Zwyczajna historia, dużo się teraz takich zdarza, niestety. Chcą mnie aresztować? Wykluczone. A gdyby nawet, to równie łatwo aresztują mnie u ojca albo u wuja. A może mam się ukrywać?

Roześmiał się. Oto on, Sasza Pankratow, ukrywa się przed swoimi.

- Niewątpliwie obawy Sofii Aleksandrowny są nieco przesadzone - zgodził się Michaił Juriewicz. - Jednakże taka już jest natura spraw politycznych: z każdą apelacją wciąga pan coraz większą liczbę ludzi, sprawa rozrasta się jak śnieżna kula.

Sasza popatrzył na Michaiła Juriewicza ze zdumieniem. Ten bezpartyjny, daleki od polityki człowiek trafnie ujmował istotę rzeczy.

Sasza przyjechał na Stary Plac rano. Na miejscu ściany Kitajgorodzkiej ziały pustką jamy i rozpadliny, pod śniegiem leżały sterty starych cegieł. Sasza wszedł do dużego szarego budynku Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej, w hallu na tablicy informacyjnej odnalazł numer gabinetu Solca i skierował się na pierwsze piętro.

Wzdłuż ścian długiego korytarza siedzieli milczący ludzie. Z gabinetu Solca wyszedł młody człowiek w garniturze z granatowego bostonu, w białej koszuli i krawacie. Sasza uznał, że to petent: ponieważ w kolejce nikt się nie poruszył, otworzył drzwi.

W gabinecie stały dwa biurka: przy drzwiach niewielkie biurko sekretarza, zaś w głębi - duże, za którym urzędował Solc - zwalisty, ze zmierzwionymi siwymi włosami, krótką szyją, mięsistym nosem i zajęczą wargą, podobny do znakomitego szachisty Emmanuela Laskera. Obok Solca stał krągły człowiek o pozbawionej wyrazu urzędniczej twarzy i podsuwał mu papiery do podpisu.

Widząc że Solc jest zajęty, Sasza przycupnął na krzesło przy wejściu. Solc spojrział na niego: był krótkowidzem, nie poznał wchodzącego, a skoro wszedł i usiadł, to znaczy, że sekretarz go wpuścił, a więc wszystko jest w porządku. Urzędnik nadal podsuwał papiery. Papiery były wyrokami sądowymi w sprawach, prowadzonych przeciwko członkom partii. Sasza zrozumiał to, gdy przez chwilę posłuchał zwięzłych informacji urzędnika, podającego nazwisko skazanego, staż partyjny, paragraf kodeksu karnego i wyrok. Wymieniane paragrafy i artykuły nic Saszy nie mówiły. Solc bez słowa podpisywał papiery, marszczył brwi, dolna warga obwisła, minę miał zmęczoną i niezadowoloną, wydawało się, że myśli o czymś innym, jeszcze bardziej przykrym niż wyroki, na podstawie których skazanych usuwano z partii.

Sasza domyślił się, że trafił tu przez przypadek, nie w porę, że nie ma prawa przebywać w tym gabinecie, ale nie czuł się na siłach, by wstać i wyjść. Jeżeli teraz wyjdzie, to nie wiadomo, kiedy będzie miał sposobność dostać się tu ponownie i czy w ogóle będzie miał jeszcze taką sposobność. Dopiero teraz uświadomił sobie, że ci wszyscy milczący ludzie w korytarzu czekają na posłuchanie, i że najprawdopodobniej czekają tak od miesięcy.

Solc wybuchnął zniechęca - siwa głowa zatrzęsła się, palce wściekle zabębniły o biurko.

- Osiem lat za czterdzieści metrów kabla - osiem lat?

- Artykuł dwudziesty szósty, punkt "b".

- Artykuł... artykuł... Za czterdzieści metrów kabla - osiem lat? Urzędnik pochylił się nad papierami, przebiegł wzrokiem tekst. Jego twarz znów przybrała obojętny wyraz. Akta

są w porządku, Solc może sobie krzyczeć, ale nie ma prawa zmienić wyroku.

Solc również wiedział, że nie może zmienić wyroku; skazanego należy wydalić z partii i on musi to zrobić, wyładowywanie gniewu na urzędniku nie ma sensu.

Wzrok Solca znów zatrzymał się na Saszy. Ten siedzący przy drzwiach nieznajomy też go denerwował. Kto to jest? Co tu robi i dlaczego?

W tej właśnie chwili do gabinetu wszedł sekretarz, ów młody człowiek w granatowym garniturze, którego Sasza wziął za petenta. Był to doświadczony sekretarz, pracował z Solcem od wielu lat, i w mgnieniu oka zorientował się w sytuacji. Solc jest wściekły z powodu jakiegoś wyroku, drażni go obecność intruza, a ten chłopak dostał się do gabinetu przez jego, sekretarza, niedopatrzenie, gdy wyskoczył do bufetu po papierosy.

Wyciągając drżący palec w stronę Saszy Solc spytał:

- Czego on chce?

W spojrzeniu sekretarza Sasza wyczytał: mów o co chodzi, prędko!

Sasza wstał.

- Usunięto mnie z instytutu.

- Z jakiego znowu instytutu? - wrzasnął Solc. - co tu ma do rzeczy instytut? Po co wy tu wszyscy przyłazicie?

- Towarzysz jest z Instytutu Transportu - poinformował rzeczowo sekretarz. - Student. Usunięto go z tej uczelni.

I dodał półgłosem:

- Podejdz do niego.

- Usunięto mnie za gazetkę ścienną i za konflikt na tle wykładów z rachunkowości - powiedział Sasza podchodząc do Solca.

- Jaka gazetka, jaka rachunkowość? co wy mi tu opowiadacie?

- Uznano to za dywersję polityczną.

Solc wytrzeszczył oczy na Saszę, najwidoczniej nie rozumiejąc, co się w ogóle dzieje, dlaczego ten człowiek znalazł się w gabinecie, dlaczego wysłuchuje wyroków sądowych, dlaczego opowiada o jakiejś gazetce, o jakichś wykładach...

Stojący obok niego urzędnik uśmiechnął się nieznacznie, pobłaźliwie, z wysokości swojej służbowej pewności siebie: oto do czego dochodzi, kiedy lekceważy się ustalony porządek postępowania i załatwiania spraw. Solc nie uznaje tego porządku, i właśnie dlatego różni tacy zwracają się do niego z pominięciem właściwych instancji.

UśMieszek urzędnika nie uszedł uwagi Solca. Spoglądając na Saszę spode łba powiedział nieoczekiwanie spokojnie:

- Wezwijcie wszystkich.

Sasza stał nadal.

- Czego tu sterczycie! - wrzasnął Solc. - Idźcie stąd!

Sasza zaczął się cofać. Sekretarz gestem kazał mu podejść.

- Kogo wezwać? - spytał półgłosem, kładąc przed sobą formularz z nagłówkiem: "Kolegium Partyjne CKKP WKP (b)".

I dopiero wtedy Sasza uświadomił sobie, że Solc wezwie wszystkich związanych z jego sprawą. Po raz pierwszy w ciągu tych miesięcy serce zabiło mu gwałtownie, poczuł ucisk w gardle.

Sekretarz patrzył na niego wyczekująco.

- Baulin, sekretarz organizacji partyjnej - zaczął Sasza.

- Bez funkcji, bez funkcji - ponaglił sekretarz, szybko notując nazwiska.

- Glińska, Janson, Runoczkin... Kolegów też można?

- Mów, szybko!

- Połużan, Kowalew, Pozdniakowa - mówił Sasza słysząc, jak za jego plecami urzędnik znów wylicza nazwiska i paragrafy.

- Wszyscy?

- Wszyscy.

- Na kiedy?

- Można na jutro?

- A zdążysz zawiadomić?

- Zdążę.

- Zasuważ.

W drzwiach Sasza obejrzał się. Solc patrzył na niego spode łba.

"Kolegium Partyjne prosi Was o zgłoszenie się w dn. 17 I br. o godz. #,?00 do towarzysza Solca". I nazwiska wezwanych. Nie było tylko nazwiska Saszy, o nazwisko nikt go nie zapytał. To zabawne, ale nieistotne. Sprawa wygrana. Sasza nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości. Solc nie potrzebuje żadnych instancji, żadnych papierków, żadnych decyzji. Wezwać wszystkich! I pomyśleć tylko: gdyby nie wtargnął do gabinetu, gdyby nie to, że sekretarz musiał jakoś naprawić swoje niedopatrzenie, nic by z tego nie wyszło. I ten uśmiezek urzędnika, który tak rozsierdził Solca. Ale udało się! Udało!

A jednak coś mąciło radość... Ci milczący ludzie na ławkach wzdłuż ściany, pokorni, cierpliwi, czekający na rozstrzygnięcie losu swoich najbliższych. Dyktatura proletariatu musi się bronić, to jasne, oczywiste! Ale tamte korytarze przesycone ludzkim

nieszczęściem. I ten nieznamy człowiek, skazany na osiem lat za kradzież czterdziestu metrów kabla. Czy on, Sasza, nie odegrał przypadkiem w jego losach fatalnej roli, czy nie zagarnął dla siebie współczucia, przeznaczonego dla kogoś innego?

Był jednak młody, tak bardzo chciał żyć i starał się myśleć o sobie, o tym, że jego nieszczęścia skończyły się, a nie o tamtych ludziach, siedzących w milczeniu wzdłuż ponurych ścian urzędu.

Glińska rozmawiała właśnie przez telefon, gdy Sasza ignorując sekretarza wszedł do jej gabinetu. Spojrzała na niego ze zdziwieniem, potem ze strachem - poznała od razu, zasłoniła słuchawkę dłonią.

- Czego chcecie?

Sasza położył przed nią wezwanie.

Przeczytała, wymamrotała niepewnie:

- Dlaczego ja? Idźcie z tym do Baulina.

Wyglądała żałośnie.

- Proszę podpisać!

- Dlaczego, dlaczego? Idźcie do komitetu - mamrotała Glińska.

- Polecono mi dostarczyć to wam. Podpiszcie!

Odłożyła wreszcie słuchawkę, wzięła do ręki wezwanie.

- Byłeś u Solca? - spytała, przechodząc nagle na "ty".

- Byłem.

Patrzyła na wezwanie. A więc wmieszało się Kolegium Partyjne CKKP... Oczywiście nie obeszło się bez Riazanowa i Budiagina, można się było tego spodziewać. I to w przeddzień zjazdu. Wyobraziła sobie jak na zjeździe Solc, albo Jarosławski, a może nawet Rudzutak przytoczy w swoim wystąpieniu przypadek Pankratowa jako przykład bezdusznego podejścia do przyszłego młodego specjalisty. Wyrzucili z ostatniego roku, a ona podpisała decyzję. Tak, podpisała, podporządkowując się stanowisku egzekutywy. Uprzedziła jednak Baulina: przyszedł okólnik, zalecający wstrzymanie odsiewu studentów na ostatnich latach studiów. Nie posłuchał, niech teraz sam pije to piwo.

Popatrzyła na Saszę, uśmiechnęła się:

- Ciągłe ta szkoła. Wierszyki, fraszki...

Sasza podsunął wezwanie.

- Podpiszcie.

- Przyjdę.

- Proszę podpisać!



Zmarszczyła brwi, złożyła podpis przy swoim nazwisku.

Baulin przeczytawszy wezwanie uśmiechnął się zjadliwie.

- Wysoko się pchasz, nie spadniesz?

I podpisał się z tak obrażoną miną, jakby Sasza wyrządzał mu osobistą krzywdę.

Janson popatrzył na Saszę zza grubych szkieł okularów, w jego oczach błysnęła nadzieja, spytał, które to piętro.

W grupie wezwanie krążyło z rąk do rąk.

\* \* \*

- Przycisną ich - ucieszył się Runoczkin. - No, Kowalew, znowu będziesz bić się w piersi?

- Saszka, zuch jesteś - pochwaliła Pozdniakowa.

Ostrożna Roza Połużan spytała cicho:

- Zwycięstwo?

Solc najwidoczniej zapomniał o Saszy. Patrzył ze zdumieniem, jak do gabinetu wchodzi osiem osób, i myślał, że wyznaczył jakieś zebranie. W terminarzu nie było jednak żadnego zapisu.

Glińska wyciągnęła do niego rękę: byli znajomymi. Solc poznał ją, z niezdatną galanterią wstał zza biurka. Okazało się, że jest bardzo małego wzrostu.

- Sprawa Instytutu Transportu - oznajmił sekretarz.

Solcowi nic to nie mówiło: nie znał sprawy Instytutu Transportu, a Saszy nie poznał. Mimo to z przyzwyczajenia wskazał wszystkim krzesła.

Glińska położyła przed nim gazetkę. Gazetka uparcie zwijała się w rulon, Glińska musiała przycisnąć jej rogi masywnym dziurkaczem i kubkiem na ołówki. Solc z roztargnieniem obserwował jej poczynania.

- To są te fraszki - powiedziała Glińska.

Solc zmrużył oczy, pochylił się nad gazetką.

Porcyjka ryżu, kotlet schabowy,

na grób Borysa pomnik gotowy!

Podniósł wzrok, usiłując zrozumieć, co to za wierszyki. I w tym momencie dostrzegł Saszę, Sasza wpatrywał się w niego z napięciem. Dopiero wtedy Solc przypomniał sobie młodego człowieka, który poprzedniego dnia siedział w jego gabinecie. Jeszcze raz

przeczytał dwuwiersz, zmarszczył brwi.

- I gdzie tu kontrrewolucja?

- Tam jest więcej tych wierszyków - wyjaśniła Glińska.

Solc znów pochylił się nad gazetką.

Wysiłek, trud - dziś praca w modzie,

a tu oryginał nam rozkwita,

notatki gubi jak w pochodzie

i wszystko wie, choć nic nie czytał.

- Numer poświęcony jest szesnastej rocznicy Rewolucji Październikowej - powiedział Baulin.

Solc powiódł po zebranych zmrużonymi oczami krótkowidza usiłując ustalić, do kogo należy ten głos. Przed sobą miał ładniutką jasnowłosą Nadię, małego, garbatego Runoczki, przestraszoną Rożę i zmieszanego Kowalewa.

- Rewolucja Październikowa nie zlikwidowała fraszek - odpowiedział gniewnie.

- Umieszczone są pod zdjęciami przodowników - upierał się Baulin.

Dopiero teraz Solc zorientował się, kto z nim dyskutuje.

- Dawniej nie wolno było pisać satyr tylko na najważniejsze osobistości - powiedział. - A i tak pisali.

- Praca "w modzie" - czy to właściwe? - obstawał przy swoim Baulin.

- Praca, praca! - rzucił się Solc. - Konstytucje burżuazyjne też zaczynają się od słów o pracy. Tylko jaka to praca, i w imię czego. Co w tym wierszyku jest przeciwko pracy?

- Widzicie, my...

- Widzę, jak łamiecie życie młodym - Solc powiódł ręką po siedzących przed nim studentach. - Widzę jak dręczycie ich i szykanujecie. To o nich Iljicz powiedział: "Będziecie żyć w komunizmie!" I jakież to komunizm im oferujecie? Wyrzuciliście chłopaka ze studiów. Co ma teraz ze sobą zrobić? Iść ładować wagony?

- On właśnie jest ładowaczem - zauważył Janson.

- Kształciliśmy go, to nasz przyszły radziecki specjalista. a wy go na ulicę. Za co? Za wierszyki? Młodość ma swoje prawa. Przede wszystkim prawo do śmiechu!

Znów z niezgrabną galanterią zwrócił się do Glińskiej.

- My w ich wieku też się śmialiśmy. Teraz śmieją się oni, i chwała Bogu! Jeżeli młodzi śmieją się, to dobrze, to znaczy, że są z nami. A wy ich - w zęby! Wierszyki na siebie napisali! Wielkie rzeczy! A na kogo mieli napisać? Na mnie? Mnie przecież nie znają. Z

kogo mają żartować?

- Decyzja w sprawie usunięcia Pankratowa została zatwierdzona przez komitet rejonowy - uprzedził Baulin.

- Zatwierdzona, zatwierdzona! - Solc poczerwieniał na twarzy. - Ale szybko to u was idzie!

Glińska, która czuła się tutaj o wiele pewniej niż w instytucie, spytała pojednawczym tonem:

- To co zrobimy?

- Przyjąć z powrotem - szorstko i zdecydowanie powiedział Solc.

Przyjaciele wyszli na ulicę.

Runoczkin spojrzał z ukosa:

- Trzeba to uczcić.
- Jestem za - radośnie zgodziła się Nadia.
- Ja nie mogę - odmówiła Roza.
- Ja też nie, muszę jechać - powiedział przygnębiony Kowalew.
- Ukłony dla Łozgaczewa - zawołał za nim Runoczkin.

Mieli przy sobie kilka rubli, Nadia też coś tam znalazła.

- Skoczmy do mnie, pomnożymy kapitał - zaproponował Sasza.

W domu objął i ucałował matkę.

- Poznajcie się. Przyjęli mnie z powrotem... Hura!

Sofia Aleksandrowna rozplakała się.

- Masz ci los! - powiedział Sasza.

Otarła łzy, uśmiechnęła się. Sercem jednak nadal targał niepokój.

- Nina dzwoniła.
- Wpadniemy do niej.

Niny nie było w domu. W korytarzu Waria rozmawiała przez telefon.

Sasza położył rękę na widelkach.

- Ubieraj się, idziemy!
- Dokąd? - Waria z ciekawością przyjrzała się ładnej Nadii.
- Wypić i zakąsić!

Zmierzch zapadał szybko, paliły się już latarnie. Sasza lubił przedwieczorny zimowy zaferowany Arbat, jego ożywioną krzątanicę. Wszystko w porządku, wszystko na swoim miejscu. Idzie Arbatem tak jak zawsze, tamto się skończyło.

Na rogu Afanasijewskiego napatoczył im się Wadim w półkożuszku z renifera i w jakuckiej czapce z sięgającymi do pasa futrzanymi uszami.

- Cześć, zdobywco Arktyki! Chodź z nami!
- Oblewać zwycięstwo! - domyślił się natychmiast Wadim.
- Właśnie!
- To chodźmy do "Kanatiku", świetny lokal - zaproponował Wadim, zerkając na Nadię.
- Nie, Nina ma wpaść tutaj.

Po stromych schodach zeszli do "Arbackiej Piwniczki" - niskiej, poprzedzielanej

grubymi kwadratowymi kolumnami, i znaleźli wolny stolik w kącie. W powietrzu unosił się zapach kuchni i rozlanego piwa, skisła woń ni to restauracji, ni to piwiarni. Mętnie świeciły tandetne kinkiety, krzywo rozwieszane na niskich łukach sklepień. Na estradzie widać było kontrabas w futerale i saksofon - muzycy już przyszli.

Sasza sięgnął po menu.

- Co weźmiemy?

- Ale drogo - westchnęła Nadia.

- Proponuję silos i trzęsienie ziemi - powiedział Runoczkin.

- Nie przyszliśmy tu na sałatkę i galaretkę - zaprotestował Sasza.

- Jedyna rzecz, dla której warto tu przychodzić, to kawa z likierem "Cacao choix" - oznajmił Wadim z miną stałego bywalca.

Na sąsiednim stoliku nad błękitnym płomykiem maszynki spirytusowej grzał się dzbanuszek, dwaj eleganci sączyli kawę z likierem z maleńkich filiżaneczek.

- Jesteśmy głodni - powiedział Sasza. - Waria, co jeszcze zjesz?

- Boeuf Stroganow.

Zamówili butelkę wódki, butelkę portwajnu dla dziewcząt i po stroganowie.

- Bardziej opłaca się zamawiać różne zakąski - zauważył Wadim.

- Jest Nina - mruknęła jakby sama do siebie Waria, siedząca twarzą do wejścia.

- Schowaliście się w najciemniejszym kącie - mówiła Nina z ożywieniem, podchodząc do ich stolika. - Saszeńka, gratuluję - pocałowała go - jak tylko przeczytałam twoją kartkę, od razu zrozumiałam. No tak - spojrzała na Warię - nie wątpiłam, że bez ciebie się nie obejdzie.

- Nie obeszło się.

- Szkoda, że Maks nic nie wie - Nina usiadła między Wadimem i Runoczkinem.

Zagrzmiała orkiestra... "Ach, cytrynki wy, cytrynki, na balkonie mej dziewczynki..."

Kelnerzy zaczęli żwawiej uwijać się po niskich i ciasnych salach.

- Solc jest człowiekiem - powiedział Runoczkin.

- Tylko okropnie nerwowy - dodała Nadia.

- Sasza przeszedł przez ogień cierpienia - stwierdził Wadim, żując swojego stroganowa - a bez cierpienia...

- Nienawidzę cierpiętników - przerwał mu Sasza.

- Parafraza Proudhomme.a - Wadim popisywał się przed Nadią - nienawidzę uciskanych niemal tak samo jak ciemiężców. Jednak w pewnych okolicznościach... na przykład w takich...

Wskazał wzrokiem sąsiedni stolik. Do dwóch elegantów przysiadła się już panienka o ładnej, lecz przepitej twarzy.

- Zło społeczne - powiedziała Nina.

- A może patologia - nie zgodził się Wadim.

- Ani patologia, ani socjologia, tylko zwyczajna prostytutka - powiedział Sasza. - Nie interesuje mnie, z jakich pobudek ta pani uprawia swój proceder, i nie mam zamiaru wnikać w jej psychikę. Nina, Waria, Nadia - takie kobiety gotów jestem kochać i darzyć szacunkiem. Człowiek to istota moralna, i tym różni się od bydłęcia. A cierpienie nie jest jego życiowym przeznaczeniem.

Waria cichutko zawtórowała orkiestrze:

- "Tak cię kochaliśmy, prostą i miłą, każdy na spacer chciał z tobą iść..."

- Ciekawe, dlaczego ludzie tak lubią uliczne piosenki? - spytał Wadim. I sam sobie odpowiedział: - Murka umiera, biedny chłopak zapomniany i porzucony, nikt nie wie, gdzie mogiłka jego... Człowiek cierpi - w tym tkwi sens.

- Nie gładź - przerwał mu Sasza.

Wadim wyduł usta.

- No wiesz, taka nietolerancja...

- Nie obrażaj się - powiedział Sasza - nie chciałem cię urazić. Tylko widzisz, dla ciebie to wszystko abstrakcja, a mnie rąbnęło naprawdę. A teraz policzmy nasze zasoby, może starczy na jeszcze jedną flaszkę.

Starczyło na butelkę wódki dla chłopaków i lody dla dziewcząt.

- Tylko się nie śpieszmy - ostrzegł Wadim. - Musimy to rozciągnąć na cały wieczór.

- Waria, jutro do szkoły - przypomniała Nina.

- Chcę posłuchać muzyki.

- Zostaw ją - powiedział Sasza - niech posiedzi.

Miał ochotę sprawić Warii przyjemność. Sam też był szczęśliwy. Nie chodziło o to, że wszystkim udowodnił swoją rację. Wywalczył znacznie więcej - obronił wiarę swoich przyjaciół. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem dręczyła go świadomość bezbronności człowieka. Runoczkin na jego miejscu machnąłby ręką i wyjechał. Nadia Pozdniakowa popłakałaby, i pewnie też wyjechała. Wadim w podobnej sytuacji załamałby się natychmiast.

Jedynie Waria nie przywiązywała większego znaczenia do całej tej afery. Gdyby wyrzucono ją ze szkoły, ucieszyłaby się tylko. Siedzi obok niego w restauracji, jest oczarowana tą knajpą, młodymi ludźmi w "charlestonach", muzykami jazzowymi na

estradzie, trębaczem, wydymającym policzki i perkusistą, zapamiętane żonglującym pałeczkami. Panienkę przy sąsiednim stoliku zaczepiali dwaj pijani mężczyźni, ciągnęli ją do swojego stolika, eleganci bali się stanąć w jej obronie. Panienska klęła, płakała, kelner groził, że wyrzuci ją z lokalu.

- Psie wesele - czarne oczy Saszy zwęziły się.

- Daj spokój - bąknął Wadim i od razu odsunął się z krzesłem, wiedział, że Saszy nic nie powstrzyma.

Sasza wstał, pochylił ramiona do przodu i kołyszącym się krokiem podszedł do sąsiedniego stolika.

Dwie nalane bezczelne mordy, rubaszki w kolorze bzu, jeden w filcowych butach na skórzanej podeszwie, drugi w szerokich marynarskich spodniach, dwa sukinsyny, chamy.

- Może damy spokój tej pani, co? - powiedział z posepnym uśmiechem. Umiał się bić, i bił mocno.

Ten w filcach lekceważąco odsunął Saszę ręką, drugi wcisnął się między nich udając, że chce pogodzić przeciwników.

- Chłopaki, spokój!

Sasza znał jednak ten numer: godzący uderzy go pierwszy. Uprzedził atak, i zadał tamtemu krótki, szybki cios, cios, który każe człowiekowi zgiąć się w pół, złapać za brzuch i chwytać powietrze szeroko otwartymi ustami. zwrócił się ku drugiemu przeciwnikowi, ale tamten zrobił krok do tyłu, potrącił stolik, poleciało szkło, panienska zaczęła histerycznie wrzeszczeć, dwaj eleganci skoczyli na nogi... Trębacz zezował w ich stronę nie przerywając gry, pianista odwrócił głowę, ale jego palce bezustannie biegały po klawiaturze, perkusista żonglował pałeczkami... "How do you do mister Brown, how do you do you do you do..." Orkiestra gra, obywatele, wszystko w porządku, tańczcie fokstrota i tango, pijcie kawę z likierem "Cacao choix", nie zwracajcie uwagi, drobne nieporozumienie, już po wszystkim. Filce i spodnie wracają do swojego stolika, czarnooki i ten drugi, zezowaty, który też włączył się do bójki, już usiedli, eleganci zapłacili i wyszli ze swoją panienką, kelner już strzepuje serwetę z ich stolika... Wszystko w porządku, obywatele!

- Poczekają aż wyjdziemy na ulicę, i tam nam dołożą - powiedział Wadim.

- Tchórzysz! - roześmiała się Nina.

Sasza bił się na spokojnie, dopiero teraz chwyciły go nerwowe dreszcze, usiłował wziąć się w garść.

- Wariu, chodźmy zatańczyć...

Orkiestra grała walca "Ramona, na zawsze moją będziesz ty..." Tańczyli na

zatłoczonym parkiecie przy estradzie, Sasza czuł na sobie spojrzenia gości. Co tam, niech sobie myślą, co chcą! Tamci dwaj też na niego popatrują, do diabła z nimi! Tańczy walca... "Ramona, na zawsze moją będziesz ty..." Tańczy ze śliczną dziewczyną, z Warieńką... patrzy na niego, uśmiecha się, jest zachwycona nim i tą bójką, zachował się jak bohater ulicy, wystąpił w obronie dziewczyny, którą przedtem potępiał. Waria wyczuwała w nim coś swojskiego, on też tylko udaje takiego zaangażowanego, tak jak ona udaje w szkole wzorową uczennicę. Patrzy na niego, uśmiecha się, przytula. Orkiestra szłocha, łąka trębacz, pałeczki perkusisty zastygają w powietrzu, pianista pochylił się nad klawiszami... "Śniłem w wiosenną noc, w kwitnącą noc wiosenną, że ty nareszcie jesteś ze mną..."

- Zuch, dobrze tańczysz - pochwalił Sasza.
- Chodźmy pojutrze na ślizgawkę - zaproponowała Waria.
- Dlaczego akurat pojutrze?
- Sobota, będzie muzyka. Jeździsz przecież na łyżwach?
- Kiedyś umiałem.
- To pójdziemy?
- Nie wiem nawet, gdzie są moje łyżwy.



“W związku z uznaniem przez studenta Pankratowa swoich błędów należy ponownie przyjąć go do instytutu z udzieleniem surowej nagany”.

Nie było żadnego święta. Usunięcie Saszy z uczelni zbulwersowało wszystkich, ponowne przyjęcie - nikogo. Jedynie Kriworuczko podpisując nową legitymację Saszy powiedział:

- Cieszę się.

Dawniej tak groźny, sprawiał obecnie wrażenie załamane - samotny człowiek, odsiadujący ostatnie dni w swoim gabinecie.

- Co u pana? - spytał Sasza.

Kriworuczko wskazał na stos teczek w kącie.

- Przekazuję sprawy.

Wyciągnął pieczętkę z szuflady ogromnego biurka. Studenci nazywali je “mostkiem kapitańskim”. Często przychodzili do Kriworuczki - od niego zależały stypendia, kartki, zapomogi, miejsce w akademiku.

- Nawiasem mówiąc znam twojego wujka. Byliśmy w jednej organizacji partyjnej. Dawno, w dwudziestym trzecim. Jak tam jego zdrowie?

- W porządku.

- Pozdrów go ode mnie przy okazji.

Sasza wstydził się swojego sukcesu: on się jakoś wykaraskał, a Kriworuczko nie.

- Może powinien pan zwrócić się do Solca?

- W mojej sprawie Solc nie ma nic do powiedzenia. Tu wszystko zależy od kogoś innego.

Nie patrząc na Saszę, jak gdyby sam do siebie Kriworuczko powiedział:

- Ten kucharz będzie pichcić ostre dania.

Sposępniał. Sasza zrozumiał, jakiego kucharza Kriworuczko ma na myśli.

Następnie Sasza udał się do Łozgaczewa.

Łozgaczew na widok Saszy rozpromienił się, jak gdyby pozytywny finał sprawy cieszył go osobiście.

- Byłeś u Kriworuczki?

Wiedział, że Sasza był u Kriworuczki, a mimo to spytał.

- Musiałem podstemplować legitymację i przepustkę.

Wszedł Baulin, usłyszał odpowiedź Saszy, sucho spytał Łozgaczewa:

- To pieczętka jest jeszcze u Kriworuczki?
- Nowy zaczyna dopiero od poniedziałku.
- Mogła przecież zabrać pieczętkę do siebie.

Łozgaczew wzruszył ramionami dając do zrozumienia, że Glińska uważa się za zbyt ważną figurę, żeby osobiście zajmować się pieczętkami.

Prowadzili swoje rozgrywki, knuli swoje intrygi jak gdyby nic się nie stało, nie czuli się niczemu winni, nie mieli żadnych wyrzutów sumienia: wtedy trzeba było tak, a teraz, kiedy Sasza znów jest studentem, można inaczej... I Sasza musi inaczej...

Lekceważąco wyrażają się przy nim o Glińskiej, nie ukrywają swojej wrogości wobec niej - czyż taka szczerść nie oznacza zaufania? Wszystko to zdawało się mówić: "I ty, Pankratow, musisz inaczej. Oberwałeś, wiesz już jak to jest. Następnym razem się nie wykręcisz. Solc jest daleko, a my blisko, więc lepiej trzymaj z nami. Młody jesteś, naiwny, niedoświadczony, nie zahartowany, to i wpadłeś, rozumiemy, każdemu może się zdarzyć. Teraz już wiesz, kim jest Kriworuczko, bij go razem z nami, wzajemne zaufanie rodzi się tylko w obliczu wspólnego wroga". "Powiedz, kim są twoi przyjaciele" - to już przestarzałe! "Powiedz, kto jest twoim wrogiem, a powiem ci, kim ty jesteś" - tak teraz trzeba mówić!

- Pewnie Kriworuczko ci się skarżył? - spytał Łozgaczew. Nie, nie warto się z nimi wiązać. To nie on oberwał, a oni, to nie jego mordą o stół, tylko ich. Niech o tym pamiętają!

- Dlaczego miałby się skarżyć, nie jestem egzekutywą.

Łozgaczew roześmiał się nieszczercze.

- No, jesteście przecież towarzyszami niedoli.

- "Towarzyszami"? - spytał Sasza z ironią. - O ile wiem, nie przywrócono mu jeszcze praw członka...

W mrocznym spojrzeniu Baulina wyczuł ostrzeżenie. Rozzuchwaliło go to tylko jeszcze bardziej. Przed czym to Baulin ostrzega? Co, może znowu go wyrzucą? Za krótkie ręce! dostali za swoje, a mimo to chcą wyglądać na zwycięzców. Że niby to nie Solc ci darował, tylko partia. A ponieważ my - to też partia, więc zawdzięczasz to wszystko nam. O nie, moi drodzy, wy - to jeszcze nie partia!

Łozgaczew przyglądał się Saszy z żartobliwym zainteresowaniem.

- Myślisz, że Kriworuczkę przyjmą z powrotem?

- Mnie przyjęto.

- Ty to co innego, popełniłeś błąd, a Kriworuczko to zatwardziały...

- Kiedyś wydalono go z partii za błędy polityczne, a potem ponownie przyjęto, w porównaniu z tym te akademiki...

- To coś nowego - Baulin siedział w fotelu i uważnie obserwował Saszę - przedtem tak nie mówiłeś...

- Przedtem mnie nie pytaliście, a teraz pytacie.

- Przedtem odżegnywałeś się od Kriworuczki - ciągnął Baulin - "nie znam, nie wiem, nigdy nie rozmawiałem"...

- Teraz też powtórzę: nie znam, nie wiem, nigdy nie rozmawiałem.

- Doprawdy? - złowieszczo spytał Baulin.

- Nie masz racji, Pankratow - powiedział Łozgaczew pouczającym tonem. - Partia musi usuwać ze swoich szeregów...

- Przede wszystkim karierowiczów - przerwał mu Sasza.

- Kogo masz na myśli? - nasrożył się Łozgaczew.

- Karierowiczów w ogóle, nie mówiąc o nikim konkretnym.

- Nie - Łozgaczew pokręcił głową. - Partia musi pozbyć się elementów chwiejnych ideowo, wrogich politycznie, a ty powiadasz: karierowiczów. I to w pierwszej kolejności. Trzeba, oczywiście, ale skąd u ciebie to przeciwstawienie?

Saszę drażnił fałszywy ton Łozgaczewa, jego spokojna twarz, tępa ograniczoność wyuczonych formułek.

- Lepiej nie przyklejajmy już etykietek, towarzyszu Łozgaczew! Akurat w tym nabraliście niezłej wprawy. Ja powtarzam swoje: jeden karierowicz wyrządza partii więcej szkody, niż wszystkie błędy starego bolszewika Kriworuczki. Kriworuczko popełnił te błędy walcząc o sprawy partii, a karierowicz myśli tylko o własnej skórze i o własnym stołku.

Zapadło milczenie.

Baulin powiedział powoli:

- Niezbyt trafnie wyciągasz wnioski, Pankratow.

- Jak umiem - odpowiedział Sasza.

Oczywiście przekręcą i przeinaczą sens jego słów. Sasza zrozumiał to, gdy tylko zamknęły się za nim drzwi gabinetu Łozgaczewa.

Też znalazł sobie partnerów do szczerzej wymiany poglądów!

Co tam, nie boi się ich. Ale jakoś głupio wyszło.

W sali wykładowej usiadł na swoim miejscu, jego nazwiska nie wykreślono jeszcze z dziennika. Tak, mimo wszystko nie chciało się wierzyć, że to już koniec. Cała ta historia z Solcem wydawała się czymś nierealnym. Rzeczywistość to instytut, Baulin, Łozgaczew, zaszczyty Kriworuczko...

Do domu wracał zatłoczonym tramwajem. Za oknem szybko zapadał zmrok - wczesny,

ciemny, zimowy wieczór. Naprzeciwko Saszy siedział niezdarny chłopina z rzadką rudą bródką, końce uszanki opadały mu na podarty półkożuszek. Wielkimi walonkami ścisnął worek, drugi worek leżał na siedzeniu, bezkształtne chłopskie tłumoki wypchane czymś twardym i ostrym przeszkadzały wszystkim tłoczącym się w wagonie pasażerom. Chłop niespokojnie rozglądał się wokół siebie, ciągle pytał, gdzie ma wysiąść, choć konduktorka obiecała, że mu powie. W przymilnym i wystraszonej spojrzeniu swojego sąsiada Sasza dostrzegł jednak coś surowego, nawet bezwzględnego. U siebie w domu chłopina jest z pewnością zupełnie inny niż tu, w mieście. Myśl o tym, jak człowiek zmienia się w różnych okolicznościach, Sasza zanotował na okładce zeszytu z wykładami z budowy mostów i konstrukcji drogowych, aby w domu przepisać ją do pamiętnika, który to zaczynał pisać, to przestawał, i który teraz twardo postanowił prowadzić.

Późnym wieczorem, gdy Sasza kładł się już spać, zadzwoniła Katia. Jak zawsze była cisza w słuchawce, potem krótkie dzwonki, i znów długi sygnał.

- Katia, to ty?

- Nie poznałeś? - głos jej dobiegał z daleka, jak gdyby dzwoniła z automatu gdzieś za miastem.

- Jak mam poznać, skoro milczysz?

- Milczysz... krzyżeć przecież nie będę. Jak żyjesz?

- Żyję, ciebie wspominam.

- Wspominam... Dziewczyn ci zabrakło?

- Rozbiegły się moje dziewczyny. A ty jak?

- Jak, jak... Marusia za tobą tęskni, pamiętasz Marusię? Zakochała się w tobie, przyprowadź, powiada, swojego czarnookiego.

- Jestem gotów. Kiedy pójdziemy?

- Pójdziemy... Czego to mu się zachciało, jestem teraz żoną swojego męża.

- Wyszłaś za tego mechanika?

- Mechanik... Mechanik - fachowiec, złodziej - kieszonkowiec.

- Wypiłaś sobie, czy co?

- A ty butelki otwierałeś?

- Kiedy się spotkamy?

- A gdzie? Na ulicy trzydzieści stopni mrozu. Odmrożisz sobie interes.

- Przecież Marusia na nas czeka.

- Czeka... Mąż do niej przyjechał. Dobra, przychodź na Diewiczkę.

- A dokąd pójdziemy?

- W świat...

- A więc jutro na Diewicze. O szóstej, o siódmej?

- Wpadnę o szóstej.

No i objawiła się Katia, wróciła. Znów jej zapragnął, pragnienie to właściwie nigdy go nie opuszczało. Widzieli się ostatnio we wrześniu albo w październiku, teraz jest styczeń - cztery miesiące. Za mąż oczywiście nie wyszła, do Marusi mąż też nie przyjechał, pójdą do niej jutro, właśnie dlatego Katia wspominała o swojej koleżance w rozmowie. Niczego nigdy nie mówi wprost, dziwna dziewczyna!

Myślał o Kati w łóżku, i im dłużej myślał, tym bardziej jej pożądał. Jutro będzie całować

jej suche wargi, obejmować ją, i marzenie to długo nie pozwalało mu zasnąć...

Dzwonek do drzwi obudził go od razu. Była druga w nocy, z pewnością tylko drzemał. Dzwonek zadzwonił jeszcze raz, natarczywie i zdecydowanie.

W spodenkach i podkoszulku Sasza wyszedł na korytarz, otworzył drzwi z łańcucha.

- Kto tam?

- Z administracji?

Sasza poznał głos dozorca, Wasilija Pietrowicza, i przekreślił klucz.

W drzwiach stał Wasilij Pietrowicz, za nim - młody człowiek w płaszczu i czapce, oraz dwaj czerwonoarmiści w szynelach z malinowymi patkami. Odsunąwszy Wasilija Pietrowicza, a potem Saszę, młody człowiek wszedł do mieszkania, jeden z żołnierzy został przy drzwiach, drugi przeszedł za Wasilijem Pietrowiczem do kuchni i stanął przy wyjściu na klatkę schodową.

- Pankratow?

- Tak.

- Aleksander Pawłowicz?

- Tak.

Nie spuszczając z Saszy czujnego wzroku młody człowiek podał mu nakaz rewizji i nakaz aresztowania obywatela Pankratowa Aleksandra Pawłowicza, zamieszkałego na Arbacie...

Weszli do pokoju Saszy.

- Dokumenty!

Z kieszeni wiszącej na oparciu krzesła marynarki Sasza wyjął dowód i legitymację studencką. Tamten uważnie obejrzał oba dokumenty i położył je na stole.

- Broń?

- Nie mam broni.

Młody człowiek wskazał oczami drzwi pokoju mamy.

- Kto tam jest?

- To pokój matki.

- Proszę obudzić.

Sasza wciągnął spodnie, włożył koszulę, skarpetki, buty. Tamten czekał cierpliwie. Sasza otworzył drzwi do pokoju matki - ostrożnie, żeby nie obudzić jej zbyt raptownie, nie przestraszyć.

mama nie spała, siedziała na łóżku zgarbiona, przytrzymując na piersiach białą nocną koszulę, siwe włosy opadały w nieładzie na czoło, na oczy, i nieruchomym wzrokiem

wpatrywała się w funkcjonariusza, który również wszedł do pokoju.

- Mamo, nie denerwuj się. Przeprowadzają u mnie rewizję. To nieporozumienie. Wszystko się wyjaśni, leż spokojnie.

Mama wciąż patrzyła na tamtego, nieznanego, który stał w drzwiach.

- Mamo, powiedziałem ci, że to nieporozumienie. Uspokój się i połóż. Proszę cię.

Wracając do swojego pokoju chciał zamknąć drzwi, ale tamten powstrzymał go gestem: drzwi powinny zostać otwarte.

No, cóż, funkcjonariusz to tylko wykonawca rozkazów, wszelkie opory i protesty nie mają sensu. Trzeba być pewnym siebie, wesołym, to jedyny sposób, żeby uspokoić mamę.

- Czego macie zamiar szukać, może oddam wam sam?

Funkcjonariusz zdjął płaszcz i czapkę, powiesił w kącie. Miał na sobie ciemnograny garnitur, ciemną koszulę i krawat - zwyczajny młody człowiek z zaczątkami brzuszka, spotyka się takich w każdym biurze.

Na stole leżały zeszyty, konspekty, podręczniki. Funkcjonariusz brał je po kolei do ręki, kartkował, przebiegał wzrokiem tekst i odkładał na rosnący równy stos.

Jego uwagę przyciągnęło zdanie, które Sasza zanotował w tramwaju na okładce zeszytu od mostów i konstrukcji drogowych: "Chłop w tramwaju, zagubiony i żalony, a w domu władczy i despotyczny".

Zeszyt spoczął obok dowodu i legitymacji.

W szufladach biurka leżały dokumenty, zdjęcia, listy. Funkcjonariusz nie interesował się treścią listów, sprawdzał tylko nazwiska nadawców. Gdy nie mógł rozszyfrować podpisu, pytał. Sasza odpowiadał krótko i zwięźle. Metryki, świadectwo ukończenia szkoły, zaświadczenia z miejsca pracy i inne dokumenty zostały w biurku, legitymacja komsomolska i legitymacja związkowa znalazły się po lewej stronie.

- Dlaczego zabieracie moją legitymację komsomolską?

- Na razie niczego nie zabieram.

Fotografie z dzieciństwa i z lat szkolnych też nie wzbudziły żadnego zainteresowania, sięgał tylko po te, na których byli dorośli. I znów pytał: kto to jest, a to kto?

Mama wstała. Sasza usłyszał skrzypnięcie łóżka, stuk drzwi szafy, w której wisiał szlafrok. Wyszła jednak nie w szlafroku, lecz w sukni, pośpiesznie włożonej na nocną koszulę. Uśmiechając się żałośnie podeszła do Saszy i drżącą ręką pogłaskała go po włosach.

- Obywatelko, zostańcie w swoim pokoju - powiedział funkcjonariusz.

W jego głosie brzmiał ten kategoriyczny urzędowy ton, który zawsze napawał Sofię

Aleksandrownę lękami: wchodząc do pokoju uczyniła coś, co może zaszkodzić jej synowi. Ze skwapliwym pośpiechem pokiwała głową.

- Może mamy położyć się na podłodze? - zażartował Sasza.

Funkcjonariusz, który przeglądał właśnie książki na półce, spojrzął na Saszę ze zdziwieniem i nic nie odpowiedział.

- Posiedź u siebie - zwrócił się Sasza do mamy. Sofia Aleksandrowna znów gorliwie pokiwała głową i zerkając z obawą na barczyste plecy tamtego wróciła do swojego pokoju.

Czy wiedzą o Solcu? Chyba nie, w przeciwnym wypadku nie ośmieliliby się przyjść. Po prostu nie zadziałał jakiś trybik w aparacie. Niedobrze! To nieporozumienie mocno skomplikuje całą sprawę.

Funkcjonariusz polecił otworzyć szafę, potem wywrócić kieszenie marynarki, w jednej był notes z telefonami i adresami - powędrował na lewo. Sprawdzając czy wszystko zostało już przejrane, funkcjonariusz powiódł wzrokiem po pokoju, zauważył walizkę za tapczanem, kazał otworzyć - walizka była pusta. Ten człowiek wykonuje swoje obowiązki: sumienny, kompetentny urzędnik. Gdyby partia skierowała Saszę do pracy w organach GPU i gdyby polecono mu przeprowadzić rewizję, czy aresztować kogoś, postępowałby dokładnie tak samo, choć też mógłby trafić kiedyś na zupełnie niewinnego obywatela - w takiej pracy pomyłki są nieuniknione. Trzeba patrzeć szerzej, nie myśleć wyłącznie kategoriami osobistej krzywdy, przecież udowodni swoją niewinność tak jak w CKKP. Niech więc ten cywil spełnia swoją powinność.

- Przejdźmy do drugiego pokoju.

Mama stała oparta łokciem o komodę, z palcami zanurzonymi w siwe włosy, z ukosa patrzyła na drzwi.

- Towarzysz obejrzy twój pokój. Usiądź, mamó.

Nie usiadła, nadal stała bez ruchu, odsunęła się tylko nieznacznie, gdy funkcjonariusz podszedł do komody.

Na komodzie stały fotografie Saszy, Marka, młodszych sióstr.

- Kto to?

- Mój brat, Mark Aleksandrowicz Riazanow.

Niech wie, że sławny Riazanow to jej brat, że Sasza jest jego siostrzeńcem, przez cały czas zastanawiała się, jak ma to powiedzieć; gdy dowiedzą się - przerwą rewizję i nie aresztują Saszy. Marka zna cały kraj, zna go Stalin. I z żalonym uśmiechem dodała:

- A to Saszeńka, kiedy był malutki.

Zmarszczywszy brwi funkcjonariusz wziął do ręki fotografię Marka, odgiął oprawkę,



wyjął tekturkę i obejrzał - nie było żadnego napisu. Obojętnie odłożył wszystko na komodę - fotografię, podstawkę, szkiełko, tekturkę. Sofia Aleksandrowna opadła na fotel i rozplakała się, zakrywając twarz dłońmi.

Funkcjonariusz grzebał teraz w wyciągniętych szufladach komody. Miętoszona bielizna pachniała świeżością i praniem, był to ten sam zapach, który unosił się w pokoju, gdy mama zmieniała pościel na tapczanie Saszy.

- Przecież rewizję przeprowadzacie u mnie - powiedział Sasza.

- Mieszkacie razem jako rodzina.

Wrócili do pokoju Saszy. Sofia Aleksandrowna wyszła za nimi: rewizja była skończona i nikt już nie kazał jej wracać do siebie. Myśl, że Saszę zabiorą, wyprowadziła ją ze stanu odrętwienia, zaczęła miotać się po pokoju nie wiedząc, co robić: to podchodziła do Saszy, to niespokojnie wodziła wzrokiem za funkcjonariuszem.

Pisał właśnie protokół rewizji. Dnia takiego a takiego, u obywatela takiego a takiego na mocy nakazu takiego a takiego... Zabrano: dowód osobisty, numer; legitymację związkową, numer; legitymację komsomolską, numer; legitymację studencką, numer; notes. Zeszyt "Mosty i konstrukcje drogowe" po chwili namysłu odłożył na bok: postanowił nie zabierać.

Potem spytał:

- Gdzie można umyć ręce?

Sofia Aleksandrowna zakrzętnęła się:

- Proszę, proszę, pokażę panu.

Zaafierowana, zaczęła wysuwać szuflady komody, wzięła czysty ręcznik i podczas gdy funkcjonariusz mył ręce, stała w drzwiach łazienki z ręcznikiem w dłoniach, potem podała go z żalonym, przymilnym uśmiechem: może ten człowiek zrobi coś dla jej syna tam...

Funkcjonariusz wytarł ręce, wyszedł na korytarz, zatelefonował, rzucił do słuchawki kilka umówionych, niezrozumiałych słów, z których dało się wyłowić tylko jedno - "Arbat". Następnie odłożył słuchawkę i oparł się o drzwi z obojętną miną człowieka, który skończył swoją pracę. Żołnierz przy drzwiach również przyjął postawę swobodną, drugi wrócił z kuchni, nikt już nie pilnował drzwi, dozorca Wasilij Pietrowicz odszedł. I choć nikt nie powiedział sąsiadom, że rewizja już skończona, w korytarzu zjawili się Michaił Juriewicz i Gala.

Mama pakowała rzeczy Saszy, jej ręce drżały.

- Dajcie ciepłe skarpety - powiedział funkcjonariusz.

- Na pewno trzeba wziąć coś do jedzenia - uprzejmie wtrącił Michaił J.Juriewicz.

- Pieniądze - dodał funkcjonariusz.

- Do diabła - przypomniał sobie Sasza. - Skończyły mi się papierosy.
- Zaraz przyniosę od mojego.

Gala przyniosła paczkę papierosów "Boks".

- Sasza, ma pan pieniądze? - spytał Michaił Juriewicz.
- Coś niecoś mam.

Sasza pogrzebał po kieszeniach.

- Dziesięć rubli.
- Wystarczy - powiedział funkcjonariusz.
- Kantyna tam jest niedroga - wyjaśnił jeden z żołnierzy.

Sprawiało to wrażenie spokojnych przygotowań do podróży - Sasza wyjeżdża do jakiegoś nieznanego miasta, na północ czy południe, a przyjaciele doradzają mu, co ma zabrać.

Oparty o framugę drzwi funkcjonariusz palił papierosa, jeden żołnierz rozmawiał z Galą, drugi również palił, przykucnąwszy pod ścianą. Michaił Juriewicz uśmiechał się do Saszy, chcąc dodać mu otuchy, i Sasza też się uśmiechał: czuł, że jego uśmiech wygląda dość żałośnie, ale inaczej nie mógł.

- Saszeńka, zobacz, co ci włożyłam - Sofia Aleksandrowna trzęsącymi się rękami rozchyliła węzełek - masz tu mydło, proszek do zębów, szczoteczkę, ręcznik, brzytwę...

- Brzytwy nie wolno - uprzedził funkcjonariusz.
- Przepraszam - wyjęła brzytwę - skarpetki, zmianę bielizny, chusteczki do nosa...

Głos jej drżał.

- Tu masz grzebyk, tak... a tu szalik... twój szaliczek...

Słowa nagle przeszły w łkanie, zanosila się płaczem, nie mogła, umierała pakując te rzeczy, rzeczy jej syna, którego odrywają od niej, zabierają do więzienia. Runęła na fotel, szloch wstrząsał jej małym, tęgim ciałem.

- Niechże się pani uspokoi, wszystko będzie dobrze - mówiła Gala, głaszcząc ją po ramieniu. - U Almazowów też syna zabrali, potrzymali, wypuścili. Po co teraz płakać, no, stało się...

Ona zaś dygotała i powtarzała w kółko:

- To koniec, koniec, koniec...

Funkcjonariusz spojrział na zegarek:

- Zabierajcie się!

Rzucił niedopałek, wyprostował się, przybrał poważny wyraz twarzy. Żołnierze obciągnęli mundury - przystępowali do wykonywania swoich obowiązków. Już nie

udzielali rad, wzięli karabiny do rąk - byli gotowi do konwojowania. Funkcjonariusz gestem nakazał Michaiłowi Juriewiczowi i Gali usunąć się z drogi, którą za chwilę będą wyprowadzać aresztowanego.

Sasza włożył płaszcz, czapkę, wziął węzełek.

Żołnierz długo nie mógł sobie poradzić z francuskim zamkiem, wreszcie otworzył drzwi. Odgłos ten dotarł do Sofii Aleksandrowny - oczekiwała go i bała się równocześnie. Wybiegła na korytarz, zobaczyła Saszę w płaszczu i w czapce, uczepliła się go kurczowo dygocząc na całym ciele i zachłystując się szlochem. Michaił Juriewicz łagodnie przytrzymał ją za ramiona.

- Sofio Aleksandrowno, to nic nie da, naprawdę nic.

Sasza ucałował matkę w potargane siwe włosy, Michaił Juriewicz i Gala przytrzymał ją, Sofia Aleksandrowna wyrywała im się z krzykiem.

Sasza wyszedł z mieszkania.

Samochód czekał w pobliżu domu. Sasza usiadł na tylnym siedzeniu między funkcjonariuszem i jednym z żołnierzy. Drugi żołnierz zajął miejsce obok kierowcy. W milczeniu jechali nocnymi moskiewskimi ulicami. Sasza nie zorientował się tylko, z której strony podjechali pod więzienie. Wysoka stalowa brama otworzyła się, wpuszczając samochód na długie, wąskie zadaszne podwórze. Najpierw wysiedli konwojenci, potem Sasza, i na samym końcu funkcjonariusz. Samochód natychmiast odjechał. Saszę wprowadzono do rozległego pustego pomieszczenia bez jakichkolwiek sprzętów, ławek czy stołów, do cuchnącej chlorkiem gigantycznej, łukowo sklepionej piwnicy z odrapanymi ścianami i wyszlifowaną butami cementową podłogą. Sasza domyślił się, że to poczekalnia, stąd zatrzymanych kieruje się do cel, tu formuje się grupy więźniów do wysyłki - początek i koniec więzienia, jego pierwszy i ostatni etap. Teraz poczekalnia była zupełnie pusta.

Funkcjonariusz i konwojenci nie pilnowali już każdego ruchu Saszy - stąd nie było ucieczki. Zakończyli swoją akcję, dostarczyli zatrzymanego, już za niego nie odpowiadają.

- Stójcie tutaj - powiedział funkcjonariusz.

Konwojenci poszli do wartowni, zza drzwi buchnął zapach mokrych szyneli i żołnierskiego kapuśniaku.

Sasza stał pod ścianą, swój węzełek położył na podłodze. Nikt go nie pilnował, nie nadzorował - przerwa między zakończoną operacją aresztowania i początkiem pobytu w więzieniu. Ale właśnie w ciągu tych kilku minut samotności poczuł, że funkcjonuje już w nim świadomość nowej sytuacji. Jeżeli zrobi choć jeden krok - zatrzymają go, każą stać gdzie stał, i będzie zmuszony podporządkować się, a to oznacza jeszcze większe

upokorzenie. Nie trzeba dostarczać im takiego pretekstu. Tylko w ten sposób będzie w stanie zachować swoją godność, godność człowieka radzieckiego, który dostał się tu przez pomyłkę.

Przeszedł jakiś wojskowy, nie zatrzymując się i nie patrząc na Saszę rzucił:

- Za mną!

Sasza podniósł węzełek i poszedł, nie czując już nic oprócz ciekawości.

W pierwszej wnęce kryło się biurko. Wojskowy wydobył formularz. Nazwisko? Imię? Imię ojcowskie? Rok urodzenia? Znaki szczególne? Tatuże? Blizny? Ślady ran? Oparzeń? Znamiona? Odnotował kolor oczu i włosów... Podsunął też coś w rodzaju poduszeczki z tuszem do pieczętek. Sasza musiał odcisnąć na formularzu ślady swoich palców. Następnie wojskowy sporządził spis rzeczy: płaszcz, czapka, buty, sweter, spodnie, marynarka, koszula.

- Pieniądze!

Przeliczył, zanotował sumę, kazał podpisać. Schował pieniądze do szuflady.

- Pokwitowanie dostaniecie później - wskazał drzwi. - Przejdźcie tam!

W maleńskim pokoiku czekał na Saszę nalany grubas w cywilnym ubraniu.

- Rozbierzcie się!

Sasza zdjął płaszcz i czapkę.

- Buty!

Sasza ściągnął buty i został w samych skarpetkach.

- Wywleczone sznurowadła.

Grubas położył sznurowadła na stole i wskazał palcem kąć.

- Stańcie tam!

W kącie znajdowała się tyczka z podziałką do mierzenia wzrostu. Grubas dotknął głowy Saszy miarką i zawołał do kogoś za ścianą:

- Sto sześćdziesiąt siedem!

Następnie obszukał płaszcz i czapkę, scyzorykiem rozpruł podszewkę, pogrzebał za nią, położył rzeczy na drewnianej ławce, wskazał na garnitur.

- Zdejmijcie to!

Sasza zdjął marynarkę.

- Zdejmijcie wszystko!

Sasza został w spodenkach i podkoszulce.

Grubas obmacał spodnie i marynarkę, rozpruł podszewkę i zakładki spodni, wyciągnął pasek, położył go obok sznurowadeł, marynarkę i spodnie cisnął na ławkę.

- Otwórzcie usta!

Zbliżając do Saszy zaspaną twarz obejrzał wnętrze jamy ustnej, odchylił wargi - sprawdzał, czy Sasza nie ukrywa czegoś w ustach i między zębami. Potem wskazał spodnie i podkoszulek.

- Zdejmijcie!

Grubas szukał tatuaży, blizn, śladów ran i oparzeń, ale nie znalazł.

- Odwróćcie się!

Sasza poczuł na pośladkach zimne dotknięcie palców...

- Ubierajcie się!

Po chwili, podtrzymując ręką opadające spodnie bez paska i klapiąc o podłogę zlatującymi z nóg butami Sasza w towarzystwie strażnika szedł przez krótkie korytarze, wchodził po schodach, schodził z następnych schodów, ogrodzonych stalową siatką, strażnik uderzał kluczami o stalowe kraty, zgrzytały zamki, wszędzie widać było zamknięte na głucho stalowe drzwi cel.

W jednym z korytarzy zatrzymali się. Oczekujący ich klawisz otworzył celę. Sasza wszedł. Drzwi zatrzasnęły się.

Zgodnie z życzeniem Stalina czwarty piec uruchomili przed terminem, trzydziestego listopada, o siódmej wieczorem, przy trzydziestopięciostopniowym mrozie. Mark Aleksandrowicz mógł wyjechać dopiero wtedy, gdy było już pewne, że rozruch czwórki nie skończy się katastrofą, tak jak to miało miejsce przy pierwszym piecu, też uruchamianym podczas mrozu. Z tego właśnie względu Mark Aleksandrowicz nie zabrał się z delegacją obwodową i wyruszył do Moskwy później, dwudziestego stycznia. Doczepiono już parowóz do wagonu służbowego, pług śnieżny pojechał przodem. Wicher wył, nawiewał zasy, rozhuśtywał nieliczne mętne latarnie - stacje i miasto nie otrzymywały zbyt wiele energii, prąd potrzebny był w hucie, tam, gdzie wytapiano stal.

W maleńkim budyńeczku stacyjnym przy holenderskim piecu zebrali się podwładni Marka Aleksandrowicza ze sprawami, których załatwianie zaczyna się na długo przed wyjazdem dyrekcji do Moskwy, a kończy w ostatniej chwili. Weszli do salonki za Markiem Aleksandrowiczem, w mokrych walonkach i kaloszach, czapki i kołnierze całe w śniegu, ku wielkiemu niezadowoleniu kierownika wagonu otrząsają się, zdeptują podłogę, palą papierosy, a on wysprzątał tu do połysku, jak zawsze gdy jechał sam, napalił jak należy.

Mark Aleksandrowicz zdjął szubę, czapkę, mimo to było gorąco, szczególnie nogom w filcowych walonkach. Lamy świeciły nierówno, ale jasno. Szybko przeglądał papiery sprawdzając, czy jest w nich wszystko, czego będzie potrzebował w Moskwie. Tezy KC po raz pierwszy wymieniały termin zakończenia budowy kombinatu - 1937 rok. Plan produkcji żelaza w kraju na ostatnie lata pięciolatki obniżono z dwudziestu dwóch milionów ton do osiemnastu - zwyciężył realizm. To sygnał, że nadeszła pora, by pełnym głosem zażądać tego, o czym jeszcze wczoraj mówiło się szeptem - mieszkań, mechanizacji, zaplecza socjalno-bytowego.

- Odprawiam pociąg - zameldował zawiadowca stacji. Kierownik wagonu w czarnym kolejarskim płaszczu i czarnej uszance przeszedł między ludźmi z latarnią w ręku, mrucząc:

- Odjeżdżamy, obywatele, odjeżdżamy!

Interesanci zaczęli wychodzić. Do salonki wtargnął strumień zimna.

Kierownik wagonu strząsnął nogą śnieg z progu i zamknął drzwi. Rozległ się gwizdek, zawtórował mu gwizd parowozu, wagon drgnął i kołysząc się załomotał po stykach szyn.

Mark Aleksandrowicz zdjął walonki, wyciągnął z walizki domowe pantofle i z przyjemnością przespacerował się w nich po wagonie, żeby rozprostować nogi. Następnie

podszedł do okna i odsunął zasłonę.

Maleńki pociąg jechał przez zaśnieżony step, omijając łukiem górę, na której leżało oświetlone odblaskiem martenów miasto. Cztery lata temu przyszli tutaj na zupełne pustkowia, a teraz - dwieście tysięcy mieszkańców, huta światowej klasy, gigant, już teraz dający rocznie krajowi milion ton żelaza, setki tysięcy ton stali, trzy miliony ton rudy. Mark Aleksandrowicz nie oddawał się wspomnieniom, nie miał na to czasu, myślał tylko o tym, o czym należało myśleć w danej chwili. Zbliża się zjazd, i myśli Marka Aleksandrowicza skoncentrowały się na Łominadzem, który wyjechał już do Moskwy z delegacją obwodu.

Łominadze, członek KC, został zdjęty za błędy teoretyczne ze wszystkich wysokich stanowisk i skierowany do nich jako sekretarz komitetu miejskiego, praktycznie jako sekretarz ich komitetu partii, miasto - to huta, komitet miejski - to ich komitet zakładowy. Rówieśnik Marka Aleksandrowicza, choć o nieco większym stażu partyjnym - Riazanow od dziewiętnastego roku, Łominadze od siedemnastego - uważany był za wybitnego polityka, rozsądnego, dobrego taktyka, posiadającego rozmach i siłę woli. Jeżeli jednak na zjeździe uderzą w byłą opozycję, uderzą i w Łominadzego, a co za tym idzie, mogą uderzyć i w hutę. Stal jest ważna, ale polityka ważniejsza.

Oceniając sytuację Mark Aleksandrowicz przewidywał jednak, że zjazd będzie miał raczej spokojny przebieg, świadczyło o tym już jego hasło - Zjazd Zwycięzców. Trzy poprzednie zjazdy upłynęły pod znakiem walki, teraz nadeszła pora, by zademonstrować jedność i skupienie się partii wokół nowego kierownictwa. Mimo to trzeba być jednak przygotowanym na wszelkie ewentualne niespodzianki.

W dawnych czasach, gdy jeszcze nie podstawiano mu służbowej salonki i jeździł do Moskwy w ciepłuszkach, na stopniach i dachach wagonów, w szynelu i z węzłkiem na plecach, nie przychodziło mu nawet do głowy, by czegoś się w ogóle obawiać. Teraz decyduje o losach setek tysięcy ludzi, dysponuje pełnią władzy, twardo wierzy w słuszność linii partii, nie ma i nie miał nic wspólnego z żadnymi opozycjami, lubi go Sergo, ceni Stalin - a jednak właśnie teraz musi wszystko wyważać, bać się, że jego sprawy mogą ulec komplikacjom tylko dlatego, że rok temu sekretarzem komitetu miejskiego został Łominadze, z którym ani on, ani kierowany przez niego kolektyw nie mają nic wspólnego.

I jeszcze to nieoczekiwane i niezrozumiałe aresztowanie Saszy...

Kiedy dostał list od siostry, ogarnęło go męczące uczucie przygnębienia i beznadziejności. Nie zna jednak okoliczności sprawy. Incydent z wykładowcą rachunkowości to żaden powód, zwłaszcza że Solc oczyścił Saszę z wszelkich zarzutów. Przyczyna tkwi raczej w tym, co Sasza mówił mu tamtej nocy: pycha Stalina, list Lenina...

Czy Sasza mógł czytać ten list? Gdzie, kiedy, u kogo? Pycha Stalina... Czy Sasza rozmawiał o tym tylko z nim? Z kim jeszcze? Wypowiadał swoje własne myśli, czy podsunięte? Przez kogo? Ma prawo wiedzieć, rzecz dotyczy przecież jego krewnego, ma prawo liczyć na dokładne i obiektywne wyjaśnienie sprawy.

W Swierdłowsku wyszedł na spotkanie Marka Aleksandrowicza Kirżak, przedstawiciel huty przy obwodowym Komitecie Wykonawczym. Pociąg transkontynentalny Władywostok-Moskwa, na który miał się przesiąść Mark Aleksandrowicz, był opóźniony, i naczelnik stacji wprost z peronu, omijając budynek dworca, zaprowadził Marka do pokoju dla członków rządu i innych ważnych osobistości.

Bufetowa przyniosła kanapki i herbatę. Kirżak - mały, nerwowy, ruchliwy, złożył sprawozdanie z sytuacji: niesłowni kooperanci, nierealne fundusze, księgowość robi trudności, organizacje na szczeblu obwodu nie okazują pomocy. Mark Aleksandrowicz przywykł już do tego obrażonego tonu, którym Kirżak, dobry zaopatrzeniowiec, nadrabiał brak siły przebicia. Skończywszy z Kirżakiem, Mark Aleksandrowicz poszedł do budynku dworca. Przejścia zawałone były tobołami, tłumokami, workami. Na podłodze, na ławkach siedzieli i leżeli ludzie, tłoczyli się w kolejkach do kas, przy zbiornikach z gorącą wodą, zwłaszcza dużo było kobiet i dzieci. Wszystko to kożuchowe, łapciaste, nie przywykłe do migracji - wieś z całym jej zagubieniem, z żałosną nędzą i zacofaniem, chłopska Rosja, przeorana, poruszona z miejsca.

Dla Marka Aleksandrowicza nie było to żadną nowością, podobne wędrówki ludów odbywały się teraz w całym kraju. Tłumy ludzi z tobołkami i węzełkami, z żonami i dziećmi przybywają i do niego, do huty. Baraki wokół niej też przesycone są tym samym ostrym, kwaśnym zapachem potu, cebuli, owczej wełny. Takie są bezlitosne prawa historii, takie jest prawo industrializacji. To koniec dawnej wsi - dzikiej, ciemnej, obdartej, ślepej i zacofanej, koniec własności prywatnej. Wszystko, co stare, ginie - nie bez bólu i ofiar.

Wagon międzynarodowy, w którym jechał Mark Aleksandrowicz był niemal pusty: w przedziale Mark zasiadł do pracy, i dopiero gdy zaczęło się ściemniać, około trzeciej, wyszedł na korytarz.

Chodnik na podłodze tłumiał rytmiczny stukot kół. Drzwi przedziałów były zamknięte z wyjątkiem jednego, z głębi którego dobiegały głosy mężczyzny i kobiety, rozmawiających po francusku.

Po chwili kobieta wyszła na korytarz, i, zobaczywszy Marka, uśmiechnęła się ze zmieszaniem. Zmieszała się, pomyślał Mark, gdyż nie spodziewała się spotkać kogoś w pustym korytarzu. Wychodzi nie uczesana, w szlafroku, w domowych pantoflach, idzie do



toalety, i nagle natyka się na nieznanego Rosjanina, którego wcześniej nie zauważyła: Mark Aleksandrowicz wsiadł, gdy tamci spali. Kobieta wyglądała na jakieś trzydzieści pięć lat, była wysoka, nosiła duże rogowe okulary. Wracając z toalety uśmiechnęła się jeszcze raz i wchodząc do przedziału zamknęła za sobą drzwi.

Gdy drzwi otworzyły się ponownie, na korytarz wyszedł mężczyzna, również rosły i dorodny, podobny do Łunaczarskiego. Mark Aleksandrowicz od razu rozpoznał w nim belgijskiego socjaldemokratę, jednego z przywódców II Międzynarodówki. Miesiąc temu czytał w prasie, że Belg przez ZSRR i Chiny udaje się z cyklem wykładów do Japonii. Już wtedy Mark Aleksandrowicz pomyślał, że taka informacja w prasie świadczy o nawiązywaniu nowych kontaktów, naturalnych i zrozumiałych w obecnej sytuacji międzynarodowej.

Wkrótce wdali się w rozmowę, jak to zwykle bywa między podróżnymi, skazanymi na długą wspólną drogę. Mark Aleksandrowicz znał dobrze angielski, a francuski wystarczająco, by się porozumieć. Na korytarz wyszła też żona Belga w szarej wełnianej spódnicy i swetrze, uwydatniającym jej kształtne piersi. Znowu się uśmiechnęła, tym razem uśmiech ten wyrażał przyjemne zdziwienie, że współtowarzysz podróży mówi po francusku.

Rozmawiali o rosyjskiej zimie, o olbrzymich rosyjskich odległościach, o wynikających stąd trudnościach w łączności i komunikacji. W Tokio i Osace jest ciepło, w Nagasaki wręcz upalnie, a tu zimno. Belg żałował, że przejeżdżając przez Syberię i Ural nie zobaczył słynnego Kuzbasu, słynnego Magnitostroju. Z okien wagonu widać tylko słynny rosyjski śnieg. A tak chciałoby się spojrzeć na rosyjski eksperyment, dodał z uśmiechem, przepraszając za banalność tego zwrotu.

Przyniósł z przedziału numer "Prawdy" z mapą najważniejszych inwestycji drugiej pięciolatki, zamieszczoną z okazji zjazdu. Budowy zaznaczone były rysunkami pieców hutniczych, samochodów, traktorów, kombajnów, parowozów, wagonów, opon, elektrowni... Mark Aleksandrowicz wyjaśniał: bele tkanin - to kombinaty włókiennicze, głowy cukru - nowe cukrownie, te kółka to łożyska. Belg śmiał się z uznaniem, zauważył jednak, że realizacja tego wspaniałego programu musi odbyć się kosztem innych gałęzi gospodarki, przede wszystkim rolnictwa. Mark Aleksandrowicz znał te mienszewickie argumenty. Rosja przeżywa drugą rewolucję, a ten elegancki szacowny pan, ten wymuskany parlamentarny polityk nie rozumie jej tak samo, jak nie zrozumiał pierwszej.

Mark Aleksandrowicz pominął uwagę Belga milczeniem - dyskusji politycznej nie będzie. Wiele razy bywał za granicą, przyzwyczaił się do obcowania z cudzoziemcami, ale

rozmów na tematy polityczne unikał: nikt nikogo w niczym nie przekona. Również i teraz powstrzymał się od niepotrzebnej polemiki ze znakomitym politykiem. Nie chciał jednak, by jego rozmówca pomyślał sobie, że boi się dyskusji. Pod tym względem Mark Aleksandrowicz był człowiekiem próżnym i nie lubił schodzić z areny jako pokonany. Dlatego też dzieląc się swoimi wrażeniami z USA, gdzie przez dwa lata pracował w stalowni, opowiedział o zabawnej scenie, zaobserwowanej w Nowym Jorku.

Z kościoła wyszła niedołączna staruszka w staromodnej czarnej sukni do ziemi i w czarnym kapeluszu, ozdobionym czymś w rodzaju ptasiego gniazda, starowinkę podtrzymywała dziewczyna, zapewne wnuczka lub nawet prawnuczka. Ostrożnie sprowadziła babuleńkę ze schodów do zaparkowanego przed kościołem packarda, troskliwie usadziła w środku, czule ucałowała babcie i zatrzasnęła drzwiczki wozu. A ledwie powłóczęga nogami staruszczyka, znalazłszy się za kierownicą auta, uruchomiła silnik: packard skoczył z miejsca i pomknął przed siebie.

Scenki tej Mark Aleksandrowicz nie skomentował, opowiedział ją po prostu, dobrodusznie pykając fajkę; zrobił to jednak w takim momencie rozmowy, że inteligentny partner nie mógł nie zrozumieć alegorii - Ameryka to przestarzały system społeczny, dysponujący najnowocześniejszą techniką. Belg docenił subtelność Marka Aleksandrowicza, tak dyplomatycznie wskazującego poziom, na którym zwykł rozmawiać. Mark Aleksandrowicz lubił błysnąć przed cudzoziemcami erudycją, lotnością umysłu, szerokością horyzontów, uważał, że tak powinien zachowywać się człowiek, posiadający w swoim kraju siłę i władzę.

Żona Belga nie zrozumiała alegorii. Scenka opowiedziana przez Marka wydała jej się komiczna i długo się z niej śmiała.

Z dworca Mark Aleksandrowicz pojechał na Sadowo-Karetną, do Trzeciego Domu Rad. Sala, gdzie mieściła się komisja organizacyjna, była pusta, wszyscy delegaci już przybyli, ale dyżurni nadal tkwili na swoich stanowiskach. Mark Aleksandrowicz zarejestrował się, otrzymał mandat, skierowanie do hotelu, bony stołówkowe, notatnik "Delegat XVII Zjazdu WKP(b)". Wchodził w znajomą atmosferę zjazdu partyjnego z jego ścisłym porządkiem, harmonogramem, dyscypliną, z tym wszystkim, czemu tak przyjemnie jest się podporządkować, przestawiając się na coś ważniejszego i bardziej uroczystego niż sprawy, którymi żył jeszcze wczoraj, na coś, co każe zrzucić z siebie brzemień codziennych trosk - uczucie podobne do tego, jakiego doznaje stary wiarus, ponownie wezwany do szeregów.

W hotelu umieszczono go w pokoju trzyosobowym - łóżko, szafka, niczego więcej nie potrzebował. Mark Aleksandrowicz wiedział, że wśród delegatów ujrzy wielu dawnych

towarzyszy, kilku z nich spotkał już w hallu. Stali radośni, ożywieni, i patrząc na nich Mark Aleksandrowicz jeszcze bardziej umocnił się w przeświadczeniu trwałości, słuszności tego, co się dzieje. Jest partia, są kadry partyjne, dojrzałe, sprawdzone, zahartowane, wiedzące, jak i dokąd zmierzać. To, że kadry te popierają Stalina, świadczy tylko o ich sile. Ci ludzie - uczciwi, odpowiedzialni, sprawiedliwi - nigdy nie dopuszczą do bezprawia. Aresztowanie Saszy to nieporozumienie. Ostatni list od Soni przyszedł dziesięć dni temu. Może Saszę już wypuścili.

Zadzwoił do siostry. Po jej głosie zorientował się natychmiast, że sytuacja nie uległa zmianie.

- Przyjedziesz? - spytała Sofia Aleksandrowna.

Nie chciało mu się jechać teraz na Arbat. Późno, nie ma samochodu, w sąsiednim pokoju czekają przyjaciele. Jeśli jednak nie pojedzie dziś, to nie wiadomo, czy w ogóle zdoła się potem wyrwać.

- Jeśli nie położysz się spać, to za godzinę - półtorej będę u ciebie.

- Czy ja teraz mogę w ogóle spać?

Wizyta u siostry zepsuła Markowi nastrój. Rozmawiała z nim bojaźliwie, wyciągała jakieś papiery, wyglądała je drżącymi rękami, patrzyła na brata z nadzieją i lękiem. W tej chwili nie był dla niej bratem, lecz jednym z wielkich tego świata: może pomóc jej synowi, a może i nie pomóc, może uratować, a może i nie uratować. Cierpienie wyostrzyło jej spostrzegawczość: wyczuła, że sprawa jest dla Marka nieprzyjemna. Mark chce wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności, podczas gdy dla niej żadne okoliczności nie istnieją, ważne jest tylko jedno - Sasza w więzieniu.

Głuche, przygniatające uczucie beznadziejności znowu ogarnęło Marka Aleksandrowicza, poczuł ból w tyle głowy. Kocha Sonię, kocha Saszę. Niczego nie może jednak obiecywać na próżno, jest przecież człowiekiem doświadczonego. Jest komunistą.

- Jutro się tym zajmę. Jeżeli Sasza jest niewinny, wypuszczą go.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem i strachem.

- Sasza winny? I ty możesz w ogóle tak myśleć?

To co powiedział, było okrutne. Powinna jednak być przygotowana na wszystko. W przeciwnym razie cios będzie potem jeszcze straszliwszy.

- O coś przecież go oskarżają... Nie wyjadę z Moskwy, dopóki nie wyjaśnię, o co konkretnie.

Mark Aleksandrowicz wstąpił do Budiagina. Przez niego Budiagin znalazł się w dwuznacznej sytuacji - interweniował w sprawie człowieka, który potem został

aresztowany.

Budiagin był ponury, ani razu nie wspomniał o zjeździe, sprawy załatwiał zwyczajnie, jak zawsze. Może ma żal, że nie wybrano go na zjazd? Jest jednak przecież delegatem z głosem doradczym tak jak wielu innych członków KC i CKKP, nie ma w tym niczego krzywdzącego, taki jest ustalony byt. A może dla Budiagina zjazd to nie święto, lecz jeszcze cięższa i bardziej kłopotliwa praca? A jednak... Mark Aleksandrowicz wyczuwał w nim dzisiaj jakiś szczególny chłód, powściągliwość, brak życzliwości.

- Wiecie o moim krewniaku?

- Wiem.

- Zwracając się wtedy do was nie przewidywałem takiego obrotu sprawy.

- Rozumiem - odparł Budiagin spokojnie, dając do zrozumienia, że nie ma żadnych pretensji.

- To mój siostrzeniec - ciągnął dalej Mark Aleksandrowicz - i mam prawo wiedzieć...

Budiagin milczał. Siedział z łokciami na stole, opierając podbródek o splecione dłonie, i patrzył na Marka Aleksandrowicza.

- Na zjeździe postaram się porozmawiać z Jagodą albo z Bieriezinem - dodał Mark Aleksandrowicz kończąc rozmowę, której Budiagin najwyraźniej nie miał ochoty podtrzymać.

Nagle Budiagin powiedział:

- Oni wiedzieli, że to twój krewny.

Mark Aleksandrowicz popatrzył na niego uważnie.

- Co macie na myśli, Iwanie Grigoriewiczu?

- Wiedzieli, że będziesz interweniować. Wzięli to pod uwagę - i patrząc jakimś szczególnym wzrokiem dodał: - Sasza to nie przypadek.

W jego głosie brzmiał ten sam ton co wtedy, gdy informował, że Czerniak nie jest już sekretarzem komitetu rejonowego. Wtedy jednak była to tylko informacja, a teraz - zachęta do rozmowy.

Coś się szykuje na zjeździe? Ale co? Grupa, frakcja, kaptowanie zwolenników, głosów? Rozłam w kierownictwie? Znowu? Kogo chcą na jego miejsce? Dawni liderzy są skompromitowani. Nowi? Kto? Nie, to nie ma szans powodzenia. Partia nie poprze, Stalin to uosobienie jej linii, jej polityki.

Rozmawia z Budiaginem o zbyt poważnych sprawach, zbyt poważne następstwa może mieć ta rozmowa, by zostawić choć cień niedopowiedzenia czy wątpliwości co do swojego stanowiska.

- Nie uważam, by w aresztowaniu Saszy warto było doszukiwać się aż tak głębokiego sensu. Jeden przypadek nie jest podstawą do wyciągania zbyt daleko idących wniosków - powiedział zdecydowanie.

Patrzył na Budiagina otwartym, szczerym i nieugiętym wzrokiem. Szkoda. Dobry komunista, robotnik - samorodny talent, wybitny działacz państwowy. Tylko że zbyt wiele lat spędził za granicą, oderwał się od kraju, nie wie, czym żyje naród, czym żyje partia, czym żyje Mark Aleksandrowicz... Tak, niektórzy uciekają, tracą głowę, cofają się przed niezwykłością czasów, przed ofiarami, jakich czasy te wymagają.

- Partia nie jest ślepa, Iwanie Grigoriewiczu, wiecie o tym równie dobrze jak ja.

Popatrzył na Budiagina. Z nim związana była młodość, wojna domowa, wszystko to, co tak drogie i niezapomniane. Teraz jednak najważniejsze było jego miasto na górze, oświetlone ogniami martenów. To rewolucja dnia dzisiejszego. Trwa i będzie trwać, nawet jeśli odejdzie z niej Budiagin - tak jak odeszli inni.

Mark Aleksandrowicz nie myślał już o tym, co odpowie mu Iwan Grigoriewicz. Ta odpowiedź i tak nie będzie miała żadnego znaczenia. Dlatego głos Budiagina zabrzmiał dla niego jak gdyby z daleka, niemal nie słyszał słów, których gorycz uświadomił sobie dopiero dużo, dużo później...

- Zamykamy komsomolców - powiedział Budiagin.

Kuluary pałacu kremlowskiego, szerokie marmurowe schody, foyer obok sali posiedzeń pełne były delegatów - stali grupkami, przechadzali się, nawoływali, tłoczyli przy stolikach, gdzie wydawano materiały zjazdowe. Mark Aleksandrowicz również otrzymał materiały, odpowiedział na powitanie - wołali go koledzy z Donbasu, z jego dawnego miejsca pracy. Potem rozległy się dzwonki, wszyscy ruszyli na salę. Salę przebudowano, pojawiła się obszerna galeria dla gości: wszystko jest nowe, świeże, pachnie drewnem i farbą. Jak napisano nazajutrz w gazecie: "Sala uzyskała wystrój bardziej poważny, uroczysty w swej prostocie. Budowniczości usunęli tandetny blichtr i pozłotę, zniknęły kolumny, herby, regalia - śmietnisko kilku epok usunięto z tych ścian. Zrobiło się widno i przestronnie".

Ich delegacji wyznaczono miejsca w czwartym i piątym rzędzie, na wprost trybuny. Obok trybuny stali: Kaganowicz, Ordżonikidze, Woroszyłow, Kosjor, Postyriew, Mikojan, Maksym Gorki. Na stopniach siedział Kalinin, szybko pisał coś w notatniku, spoglądając na salę przez swoje chłopskie okulary w drucianej oprawce.

Oklaski, którymi delegaci powitali wejście Mołotowa, wybuchły z nową, jeszcze większą siłą - z boku wyszedł Stalin. Oklaski te narastały, mieszały się ze stukotem składanych siedzeń foteli i odsuwanych pulpitów, wszyscy wstali z miejsc, z góry rozległ się okrzyk

“Niech żyje towarzysz Stalin! Ura!” Wszyscy podchwycili: “Ura! Niech żyje wielki sztab bolszewizmu! Ura! Niech żyje wielki wódz światowego proletariatu! Ura! ura!”

Owacje na cześć Stalina powtórzyły się kilkakrotnie... Kiedy tylko Mołotow wymienił jego nazwisko: “Wokół wodza i organizatora naszych zwycięstw, towarzysza Stalina...” I pod koniec wystąpienia: “Z towarzyszem Stalinem - naprzód, ku nowym zwycięstwom!...” I potem, gdy Chruszczow przedstawiał proponowany skład prezydium... I największa owacja, gdy przewodniczący obrad oznajmił: “Głos ma towarzysz Stalin!”

Tak jak wszyscy Mark Aleksandrowicz wstawał, klaskał, krzyczał “Ura!” Stalin we frenczu, nieco jaśniejszym niż ubrania pozostałych członków prezydium stał na trybunie, przeglądał papiery i spokojnie czekał, aż owacje ustaną. Zdawało się, że oklasków tych nie odnosi do siebie, lecz do tego, co uosabia - do wielkich zwycięstw kraju i partii, i też chyli czoło przed tym symbolicznym Stalinem. To, że Stalin tak uważa - raz nawet ironicznie zażartował w swoim wystąpieniu: “Czyż nie przekazaliśmy pozdrowień towarzyszowi Stalinowi - czegoż jeszcze od nas chcecie?” - wytworzyło poczucie wspólnoty i zrozumienia między nim a witającymi go entuzjastycznie ludźmi.

- O ile na piętnastym zjeździe - powiedział Stalin - musieliśmy jeszcze udowadniać prawidłowość polityki partii i prowadzić walkę z wiadomymi ugrupowaniami antylenińskimi, to na tym zjeździe niczego udowadniać już nie trzeba, a nawet powiem więcej - nie ma kogo bić. Wszyscy wiedzą, że linia partii zwyciężyła.

Słowa te potwierdzały przewidywania Marka Aleksandrowicza: zjazd przebiegnie spokojnie, nie będzie żadnych komplikacji z powodu Łominadzego. Stalinowi zależy na jedności. Walka skończona, mija czas skrajnych ocen. Przesną też być potrzebne te monotonne deklaracje poparcia. Myśli Marka Aleksandrowicza znalazły również potwierdzenie w fakcie, że Stalin zrezygnował z podsumowania zjazdu.

- Towarzysze! Dyskusja zjazdowa wykazała pełną zgodność poglądów naszego kierownictwa we wszystkich, można powiedzieć dziedzinach naszej polityki partyjnej. Jak widać, nie było żadnych zastrzeżeń co do referatu programowego. Partia zademonstrowała nadzwyczajną ideowo-polityczną i organizacyjną zwartość swoich szeregów. Nasuwa się więc pytanie, czy wobec tego istnieje potrzeba podsumowywania zjazdu? Myślę, że nie ma takiej potrzeby. Dlatego proszę o pozwolenie odstąpienia od tego podsumowania.

Łominadze zabrał głos niemal od razu po Stalinie, potem występowali i inni byli opozycjoniści: Rykow, Bucharin, Tomski, Zinowiew, Kamieniew, Piatakow, Priobrażeński, Radek. Nie była to samokrytyka, jak na szesnastym zjeździe, lecz rzeczowa analiza własnych błędów, wszyscy przyłączali swój głos do głosu partii. Nikt im nie

przerywał, nie domagał się czegoś więcej, nie uważał ich wystąpień za niewystarczające. Tylko raz mowę Rykowa przerwał zniecierpliwiony okrzyk: "Czas minął".

Piatakow otrzymał rekomendację na członka KC; Rykow, Bucharin, Tomski, Sokolnikow - na kandydatów. Rozdana do przegłosowania lista członków nowego KC była niemal identyczna z poprzednią, z tymi naturalnymi zmianami, jakie mają miejsce na każdym zjeździe - ktoś wchodzi w skład kierownictwa, ktoś je opuszcza. Na liście Mark Aleksandrowicz zauważył swoje nazwisko - rekomendowano go na kandydata do KC. Oceniał to jako wyraz uznania dla roli, jaką odgrywa budowa jego huty w drugiej pięciolatce. Lista zawierała też nazwiska innych kierowników największych budów i dyrektorów największych zakładów - znak nowych czasów, znak industrializacji kraju.

Budiagina na liście nie było.

A właśnie: Sasza często bywał w domu Budiaginów. Czy Iwan Grigoriewicz nie rozmawiał z nim o tym i owym? Czy to przypadkiem nie od niego Sasza dowiedział się o liście Lenina? Może wciągał chłopaka nie tylko w rozmowy?

Mark Aleksandrowicz nie znał ani Jagody, ani Bieriezina. Aresztowanie SASzy było zbyt bląhą sprawą, by zwracać się do Jagody, przewodniczącego GPU. Ten ponury, zamknięty w sobie człowiek nie jest mu życzliwy. Interwencja u Bieriezina będzie wyglądać bardziej naturalnie: to właśnie on zajmuje się tego typu problemami. Jednakże podczas przerw w obradach stale ktoś zatrzymywał Marka Aleksandrowicza albo Bieriezin gdzieś przepadał: Mark Aleksandrowicz nie mógł go odnaleźć. Okazja do rozmowy nadarzyła się dopiero trzydziestego pierwszego stycznia, w czasie manifestacji na cześć siedemnastego zjazdu.

Była to najpotężniejsza manifestacja, jaką widział Mark Aleksandrowicz, a widział ich niemało. W styczniowy mróz, w ciemnościach rozświetlonych reflektorami, w ciągu dwóch i pół godziny przeszło przez plac Czerwony ponad milion ludzi. Wywoływało to kolosalny efekt.

"Stalin!" To jedyne słowo, wypisane na wszystkich plakatach i transparentach, ludzie wykrzykiwali, skandowali, unosiło się ono w mroźnym powietrzu, wszystkie spojrzenia zwrócone były ku trybunie na mauzoleum, gdzie stał On - w szynelu i prostej czapce uszance z opuszczonymi nausznikami. Wszyscy na trybunie byli w ciepłych czapkach, ale opuszczone nauszники miał tylko Stalin, było mu zimno, i to czyniło go w oczach miliona manifestantów kimś jeszcze bardziej zwyczajnym i ludzkim - im też jest zimno, ale on marznie dotkliwiej, oni idą, a on przez kilka godzin musi stać bez ruchu na trybunie mauzoleum, żeby ich pozdrowić.

Wraz z innymi delegatami na zjazd Mark Aleksandrowicz stał na trybunie pod ścianą Kremla. U siebie na budowie przywykł do większych mrozów, ale mimo to marzły mu nogi, przyszedł w półbutach, a trzeba było w walonkach. Odszukał Bieriezina, stanął w pobliżu, i po wiecu, przed rozpoczęciem pochodu, podszedł do niego.

Na brązowej eskimoskiej twarzy Bieriezina pojawił się czujny wyraz napięcia i wyczekiwania, charakterystyczny dla człowieka, do którego inni zwracają się wyłącznie w kwestiach życia i śmierci. Skinął jednak uprzejmie głową - podszedł do niego delegat ze zjazdu, a gdy Mark Aleksandrowicz wymienił swoje nazwisko, przywitał się nawet życzliwie. Mark krótko zreferował sprawę Saszy, wspomniał o gazetce i Solcu, powiedział, że ręczy za siostrzeńca, choć dopuszcza myśl, że siostrzeniec jako człowiek młody i porywczy mógł zbyt gwałtownie zareagować na niesprawiedliwe oskarżenia i w ferworze powiedzieć coś, czego mówić nie należało. Jeżeli zaś Sasza został aresztowany z innego powodu, to on, Mark Aleksandrowicz, prosi o informacje w tym względzie, sprawa krewnego nie może go przecież nie obchodzić. Bierezin słuchał uważnie, od czasu do czasu spoglądał na przechodzących przez plac ludzi, na jego twarz padało wtedy światło reflektorów, twarz ta sprawiała wrażenie zmęczonej, obrzmiałej i pobrużdżonej. Słuchał w milczeniu, spytał tylko jeszcze raz o nazwisko Saszy, a na prośbę o informacje powiedział z uśmiechem: "W głębokiej mgle skrywa się on...", dając do zrozumienia, że sprawa nie jest w ogóle znana, a gdyby nawet była znana, to nie czas teraz i miejsce na rozmowę o niej. Zresztą i tak nie mógłby niczego powiedzieć, taka to już jego praca.

- Zapoznam się ze sprawą i zrobię, co będę mógł. Śledztwo zostanie przeprowadzone wnikliwie i obiektywnie.

Odpowiedź tę Mark Aleksandrowicz uznał za poważną, szczerą i życzliwą. Uspokojony, pożegnał się z Bierezinem i odszedł.

Chciał jeszcze pomówić z Solcem. Solc nie brał udziału w zjeździe, chorował. Zawracanie głowy choremu człowiekowi było jednak rzeczą nietaktowną, a po rozmowie z Bierezinem - całkiem zbędną.



W tym samym czasie, gdy mieszkańcy Moskwy maszerowali przez oświetlony reflektorami plac Czerwony pozdrawiając stojącego na trybunie mauzoleum Stalina, w więzieniu butyrskim nadeszła pora kolacji. Na korytarzu dało się słyszeć ciche szuranie walonek, szmery, potem szczęk zamka, uderzenie łyżką o blaszaną miskę, bulgot nalewanego do kubka wrzątku. Odsunęła się na moment okrągła klapka wizjera, błysnął krążek światła, natychmiast zasłonięty przez głowę strażnika - strażnik obrzucił spojrzeniem celę, opuścił klapkę i otworzył okienko.

- Kolacja!

Sasza podsunął miskę. Kalefaktor, kryminalista, zagarnął łyżką kaszy z kotła, który oburącz trzymał jego pomocnik, też kryminalista, nalał do kubka wrzątku z czajnika. Strażnik pilnował, żeby Sasza nie przekazywał czegoś któremuś z dyżurnych, i żeby żaden z nich nie patrzył na Saszę.

W tym korytarzu siedzieli polityczni. Wszyscy tak samo podchodzili do okienek, podsuwali miski i kubki, dostawali kaszę i wrzątek.

Kim są ci ludzie? W ciągu dwóch tygodni udało się Saszy zobaczyć oprócz dyżurnych tylko dwóch więźniów. Pierwszym był fryzjer, nieprzyjemny staruszek o niskim czole, ostrym podbródku i bezlitosnych oczach mordercy. Golił tępą brzytwą. Sasza więcej do niego nie poszedł, postanowił zapuścić brodę. Drugi - młody kryminalista o ciastowatej, babskiej twarzy - sprzątał korytarz, i gdy prowadzono Saszę, odwrócił się do ściany - nie wolno mu było patrzeć na przechodzącego więźnia. Mimo to Sasza czuł na sobie jego kose, ciekawskie, niemal wesołe spojrzenie.

Kiedy Saszę wyprowadzano na spacer albo do umywalni, wszystkie cele wydawały się martwe. Jednakże pierwszego wieczoru po kolacji Sasza usłyszał ostrożne stukanie w prawą ścianę - szybkie drobne uderzenia, krótkie pauzy i szuranie, jak gdyby ktoś wodził czymś po murze. Potem wszystko ucichło - sąsiad czekał na odpowiedź. Sasza nie odpowiedział, nie znał tego sposobu korespondencji.

Nazajutrz, też po kolacji, stukanie powtórzyło się.

Sasza kilkakrotnie postukał w ścianę zgiętym palcem, dając sąsiadowi znak, że go słyszy. Od tej chwili robił to co wieczór. Nie mógł jednak zrozumieć, co wystukuje tamten, chociaż uchwycił już pewną prawidłowość w tych dźwiękach: kilka stuknięć, krótka przerwa, znów stukot, i w końcu szuranie. I choć nie rozumiał, co sąsiad chce mu przekazać, był poruszony tym ostrożnym postukiwaniem, pełnym więziennej nadziei.

Z lewej strony nikt do Saszy nie stukał, i nikt nie odpowiadał na jego stukanie.

Sasza dokończył kaszę, oblizał łyżkę, rozmieszał nią cukier w herbacie, wypił chłodny płyn, przeszedł się po celi: sześć kroków od ściany do drzwi, tyle od kąta do kąta. Choć przeczło to prawom geometrii - przeciwprostokątna jest dłuższa od przyprostokątnej - różnica była tak nieznaczna, że niemal niezauważalna. W jednym kącie - kubel, w drugim - prycza, w trzecim - stolik, czwarty kąt pusty. Pod sufitem słaba żarówka, osłonięta metalową siatką. Wysoko, w głębokiej, ukośnej niszy, za kratą z grubych stalowych prętów - małe brudne okienko.

Buty pozbawione sznurowadeł klapały głośno po betonowej podłodze. Spodnie bez paska przytrzymał jakoś, zapinając guzik od szelek na górną dziurkę rozporaka. Spodnie przekreśliły się i przeszkadzały chodzić. Pozbył się jednak uczucia poniżenia, jakie wywoływały te stale opadające spodnie.

Saszy nigdzie nie wzywano, nie przesłuchiowano go, nie przedstawiano mu żadnych oskarżeń. Wiedział, że akt oskarżenia powinien być mu przedstawiony w określonym terminie. Nie miał jednak pojęcia, jaki to termin, i nie mógł się tego dowiedzieć.

Czasem zdawało mu się, że o nim zapomniano, że zamurowano go tu na zawsze. Nie dopuszczał do siebie takich myśli, tłumił ogarniający go strach. Trzeba czekać. Wezwą go, przesłuchają, wszystko się wyjaśni i odzyska wolność.

Wyobrażał sobie powrót do domu. Zadzwoni do drzwi... Nie, to zbyt nagle, nieoczekiwane. Raczej uprzedzi telefonicznie: "Sasza zaraz przyjdzie", a później zjawi się - "Witaj, mam, to ja..."

Myśl o cierpieniach mamy była nie do wytrzymania. Może mama nie wie nawet, gdzie on jest, wędruje od więzienia do więzienia, wystaje w nie kończących się kolejkach - mała, przerażona. Wszyscy zapomną, tylko ona nie zapomni, nie dojdzie do siebie po tym wstrząsie. Miał ochotę tłuc głową o te ściany, szarpać stalowe drzwi, krzyzczeć, bić się...

Zazgrzytał zamek, drzwi otworzyły się.

- Do mycia!

Sasza przerzucił ręcznik przez ramię, wziął kubel i poszedł korytarzem. Strażnik szedł za nim.

W umywalni jeszcze mocniej niż w celi śmierdziało chlorem. Sasza wypłukał kubel, spryskał go roztworem chlorku - w celi prawie w ogóle nie korzystał z kubła, a ten i tak cuchnął. Potem powrót, trzask zamykanych stalowych drzwi - i spokój aż do rana.

Gwiazdy nie zbladły jeszcze za mętną szybką okienka pod sufitem, gdy na korytarzu znów zaczął się ruch. Szczęknęła zasuwka.

- Do mycia!

Początek zwykłego więziennego dnia. Odsunięta klapka wizjera, otwarte okienko.

- Śniadanie!

Kalefaktor niósł zawieszoną na piersi dużą tacę z dykty z kromkami czarnego chleba, kupkami cukru, herbaty i soli, z rozerwanymi paczkami papierosów "Boks", zapalkami i draskami od pudełek po zapalkach. Sasza miał szczęście. Dziennie wydawano po osiem papierosów, a w paczce było ich dwadzieścia pięć. Co trzeci więzień dostawał więc dziewięć sztuk "Boksów" i jeszcze opakowanie - kawałek tekturki, która bądź co bądź była papierem. I właśnie dzisiaj Saszy dostał się ten strzępek - być może przyda się do napisania grypsu. Nie wiedział gdzie schować papierek; po namyśle wetknął go za kaloryfer.

Chleb dawano gliniasty, źle wypieczony, z odstającą skórką, lecz z rana mimo wszystko pachniał prawdziwym chlebem. Zapach ten przypominał Saszy zdarzenie sprzed lat, gdy mama oddawała do wypieku mąkę, otrzymaną przez ojca w pracy zamiast chleba, półroczny przydział. Z piekarni dostali więcej chleba niż oddali mąki, to tajemnicze rozmnożenie na długo utkwilo mu w pamięci. Wieźli z mamą te bochenki na sankach, i wspomnienie tamtej głodowej zimy, okutych płóz chrzęszczących po zlodowaciałym śniegu, wspomnienie ciepłego zapachu świeżo upieczonego chleba, matczynej radości - nasuszą sucharów i przeżyją zimę - wróciło teraz, gdy pił herbatę, żując skórkę więziennego komiśniaka. Poczul skurcz w sercu - te wspomnienia z dzieciństwa były zbyt ludzkim uczuciem tu, w więzieniu, w mrocznej celi, w której zamknięto go, nie wiadomo za co.

Szczęknęła zasuwka, drzwi otworzyły się, wszedł strażnik w kozuchu, z karabinem w ręku.

- Spacer!

Ubrać się, wyjść z celi, pójść w lewo do końca korytarza, zaczekać, aż strażnik otworzy drzwi prowadzące na spacernik. Potem tą samą drogą, z takim samym otwieraniem i zamykaniem drzwi wrócić z powrotem. I na to wszystko, łącznie ze spacerem - dwadzieścia minut.

Kwadratowy spacernik z dwóch stron zamykały ściany korpusów więziennych, z trzeciej był wysoki kamienny mur, z czwartej - okrągła ceglana wieża, później dowiedział się, że nosi ona miano Pugaczowskiej, Chodził w kółko po wydeptanej w śniegu ścieżce. Podobne ścieżki były też wydeptane w poprzek spacernika, niektórzy więźniowie woleli chodzić z kąta w kąt, a nie w kółko. Strażnik stał w drzwiach, oparty o framugę, karabin trzymał w ręku, czasem palił, czasem popatrywał na Saszę spod zmrużonych powiek.

Zdeptany śnieg chrzęścił pod nogami... Granatowy nieboskłon, błękitne mroźne

gwiazdy, daleki szum ulicy, zapach dymu i rozżarzonego węgla pokrzepiły Saszę. Światło w okienkach cel świadczyło, że nie jest tu sam. Po dusznej celi świeże powietrze oszałamiało. Życie w więzieniu to też życie, człowiek żyje, dopóki oddycha i ma nadzieję, a gdy się ma dwadzieścia dwa lata, całe życie jest nadzieją.

Strażnik prostował się, postukiwał karabinem, otwierał drzwi.

- Wchodzić!

Sasza robił ostatnie okrążenie i opuszczał spacernik. Wchodzili po schodach, znów szczękały klucze, drzwi celi zamykały się, znowu gołe ściany, prycza, stolik, kubeł, wizjer w drzwiach. Wspomnienie rześkiego mroźnego powietrza, dalekich odgłosów ulicy trwało jednak nadal w pamięci i Sasza długo stał przy okienku, wpatrzony w skrawek zimowego nieba, w granatowy obojętny bezkres, który jeszcze przed chwilą rozpościerał się tuż nad jego głową.

Była i druga radość - prysznic. Prowadzono tam Saszę w nocy, raz na tydzień. Otwierały się drzwi i strażnik budził go pytaniem:

- Dawno się kąpaliście?

- DAwno.

- To zbierajcie się!

Sasza zrywał się z pryczy, chwycił ręcznik i wychodził z celi. W przedsionku łaźni strażnik wydawał mu małe kawałeczki szarego mydła i Sasza wchodził pod natrysk. Woda lała się to gorąca, to zimna, nie było czym regulować. Sasza wchodził pod strumień, rozkoszował się nim, śpiewał z radości. zdawało mu się, że jego głos, tłumiony szumem wody nie dochodzi do strażnika, siedzącego w przedsionku łaźni na parapecie. TEN niewysoki czerwonoarmista, wesoły i na oko sympatyczny, nie ponaglał Saszy, siedział cierpliwie - i tak wszystko jedno na kogo się czeka, ten czy inny... Sasza myślał długo, kawałeczki mydła rozmiękał i zamieniał się w kleistą maź, a on ciągle stał pod prysznicem, obracał się, podstawiał pod strumień plecy, brzuch, nogi... "Jechaliśmy trójką z dzwoneczkami, a w oddali blask ogników lśnił... Jakże chętnie pomknąłbym za wami, z duszy swej tęsknoty strząsnąć pył..."

Wracał do przedsionka, wycierał się, strażnik patrzył na niego z ciekawością, być może dziwił się, za co trzymają tu takiego młodego i widać wykształconego chłopaka, a może po prostu podobała mu się muskularna sylwetka Saszy.

Którejś nocy strażnik obudził go zwykłym pytaniem:

- Dawno się kąpaliście?

Sasza był w łaźni poprzedniej nocy, strażnik coś poplątał.

- Dawno.

- To zbierajcie się!

Już po wyjściu z łaźni, wycierając się Sasza powiedział:

- Przydałoby się częściej...

Tamten nic nie odpowiedział, ale następnej nocy znów przyszedł po Saszę. Od tej chwili powtarzało się to co noc. Czasem Sasza nie miał ochoty na prysznic, wolał spać, bał się jednak, że jeśli odmówi, to strażnik może więcej nie przyjść. Skąd taka pobłażliwość? Możliwe, że inni więźniowie odmawiają, nie chcą kąpać się po nocy, i strażnikowi jest przykro - gospodarny wiejski chłopak, szkoda mu wody, lejącej się z kranu po próżnicy. A może jest po prostu wdzięczny, że Sasza docenia prysznic, który on ma w swej pieczy.

Obudził Saszę zgrzyt zamka. Do celi wszedł strażnik. Nie ten, który zabierał go pod prysznic, lecz inny, nieznamy, z wielkim pękiem kluczy przy pasie. W drzwiach znieruchomiał dyżurny klawisz.

- Nazwisko?

- Pankratow.

- Ubierać się.

Sasza wstał... Dokąd? Wypuszczają? Dlaczego w nocy? I która może być godzina?

Chciał włożyć palto.

- Nie trzeba.

Ruchem głowy strażnik polecił mu iść w prawo, sam szedł z tyłu. Klucze u pasa pobrzękiwały. Długo szli ciemnymi korytarzami, po klatkach schodowych, zabezpieczonych metalową siatką. Przed otwarciem kolejnych stalowych drzwi każdego korytarza strażnik uderzał o nie kluczem. Z głębi korytarza odpowiadało takie samo metaliczne stukanie. Dopiero wtedy otwierał drzwi.

Sasza szedł przodem usiłując ustalić, do której części więzienia idą. To wchodzili na schody, to z nich schodzili, i według jego obliczeń znaleźli się na parterze.

Tu też było dużo drzwi, ale nie stalowych, tylko zwyczajnych, drewnianych, bez okienek i wizjerów. Strażnik zapukał do jednych z nich.

- Wejść!

Strumień światła oślepił Saszę. Człowiek siedzący za biurkiem obrócił lampę i skierował ją prosto w twarz Saszy. Sasza stał w wąskiej smudze oślepiającego światła nie wiedząc co ma robić, gdzie podejść.

Światło przesunęło się, lampa oświetliła biurko i siedzącego za nim człowieka.

- Siadajcie!

Sasza usiadł. Przed sobą miał śledczego, młodego blondyna w dużych rogowych okularach, z trzema belkami na naramiennikach bluzy - znajomy i sympatyczny typ wiejskiego aktywisty Komsomołu, albo nauczyciela - jeśli wyobrazić go sobie w cywilnym ubraniu. Zaczął wypełniać formularz, leżący na stole. Nazwisko?... Imię?... Imię ojca?... Data urodzenia?... Miejsce urodzenia?... Adres?...

- Podpiszcie!

Sasza podpisał się na formularzu. Zauważył tam również nazwisko śledczego - Diakow. Śledczy oparł pióro o brzeg kałamarza i podniósł wzrok na Saszę.

- Za co tu siedzicie?

Pytanie zaskoczyło Saszę kompletnie.

- Myślałem, że to wy mi powiecie.

Diakow niecierpliwym ruchem rzucił się na oparcie krzesła.

- Dajcie spokój z tymi sztuczkami! Nie zapominajcie, gdzie jesteście! Tutaj ja zadaję pytania, a wy macie odpowiadać! Pytam więc: za co was aresztowali?

Powiedział to tak, jakby Saszę aresztował zupełnie ktoś inny, a on, Diakow, musi teraz połapać się w tym wszystkim. A Sasza nie może przecież nie wiedzieć, za co został aresztowany, więc po co tracić czas, im szybciej przejdą do rzeczy, tym lepiej. Pokój pogrążony był w mroku, lampa oświetlała teraz tylko biurko i gdy Diakow odchyłał się do tyłu, jego twarz zniknęła, zaś głos dobiegał z ciemności.

- Pewnie ta historia w instytucie - powiedział Sasza.

- Co za historia? - spytał Diakow bez zainteresowania, jakby akurat ta sprawa była mu znana i nie miała nic wspólnego z aresztowaniem Saszy. Od takiego mydlenia oczu zaczynają wszyscy przesłuchiwanym, a jemu dawno już znudziły się ciągle takie same, bezsensowne wykręty.

Chwyć? A może śledczy rzeczywiście o niczym nie wie?

Wszystko układało się zupełnie inaczej niż przewidywał Sasza, niż to, na co był przygotowany. Ogarnęło go rozpaczliwe, dławiące uczucie, którego doznał w dzieciństwie, gdy wdrapał się na dach domu po drabince pożarowej - jej górne szczeble oderwały się od ściany, drabinka huśtała się w powietrzu, i trzeba było uchwycić odpowiedni moment, kiedy zbliżała się do dachu, przeskoczyć. Z wysokości siedmiu pięter widział kolegów na dnie głębokiej studni podwórza, jak zadarłszy głowy patrzyli na niego i czekali. Ogarniał go lęk, zdawało mu się, że nie przeskoczy, że nie zdoła oderwać się na czas od drabinki i runie na asfalt podwórza.

To samo wrażenie śmiertelnej gry owładnęło nim i teraz, gdy siedział naprzeciwko

śledczego, tak samo jak wtedy trwożnie zamierało serce. Jego sprawa to głupstwo, drobiazg, ale potraktowana jako przestępstwo polityczne z aresztowaniem, więzieniem, przesłuchiwaniami, staje się czymś strasznym. Przed nim siedzi jego towarzysz, komunista, ale Sasza jest dla niego wrogiem.

Mimo wszystko trzeba się bronić: Musi powiedzieć to, co miał zamiar powiedzieć. I słowami, które wielokrotnie powtarzał sobie w celi, Sasza opowiedział o konflikcie z Azizjanem, o gazetce, o Solcu.

- Powiedzieliście, że CKKP oczyściła was z zarzutów?

- Tak.

- To znaczy, że aresztowano was nie z tego powodu, ale z jakiegoś całkiem innego....

- Nic więcej nie było.

- A więc uważacie, Pankratow, że aresztowano was z powodu zajścia z wykładowcą rachunkowości albo z powodu nieudanego numeru gazetki ściennej? Że my tutaj strzelamy z armaty do wróbli? Dziwne macie wyobrażenie o organach CzeKa!

- O co właściwie jestem oskarżony?

- Ach tak, domagacie się formalnego oskarżenia? Myślicie, że coś na tym zyskacie?

- Chcę tylko wiedzieć, dlaczego mnie aresztowano.

- A my chcemy, żebyście wy sami nam to powiedzieli! Dajemy wam szansę bycia szczerym i uczciwym wobec partii.

- Powiedźcie, o co mnie podejrzewacie, a ja odpowiem.

- Z kim prowadziliście kontrrewolucyjne rozmowy?

- Ja? Z nikim! Nie prowadziłem żadnych takich rozmów.

- To kto prowadził takie rozmowy z wami?

- Ze mną też nikt nie prowadził.

- I obstajecie przy tym.

- Tak.

Diakow zmarszczył brwi, przełożył papiery na stole.

- No cóż, szkoda. Oczekiwaliśmy od was czegoś innego. Nie chcecie być szczerym i otwartym. To nie poprawi waszej sytuacji.

- Poza tą historią w instytucie niczego sobie nie przypominam.

- To znaczy, że aresztowano was za nic? Że zamykamy niewinnych ludzi? Nawet tutaj prowadzicie kontrrewolucyjną agitację! Ale my nie jesteśmy Trzecim Wydziałem ani żandarmerią, nie jesteśmy aparatem represji i ucisku! Jesteśmy zbrojnym ramieniem partii. A wy, Pankratow, jesteście dwulicowcem. Oto kim jesteście!

- Jak śmiecie tak do mnie mówić!

Diakow uderzył pięścią w stół.

- Ja wam pokażę, co śmiem, a czego nie śmiem! Co, myślicie, że trafiliście do sanatorium? Mamy tu sposoby na takich jak wy! Do was kulacy nie strzelali z obrzyna. Całe życie siedzieliście na garnuszku u klasy robotniczej, dziś siedzicie na garnuszku państwa, państwo was kształci, daje wam stypendia, a wy je oszukujecie!

Przez chwilę milczał wzburzony, potem niechętnie, jakby spełniając niepotrzebny i bezsensowny obowiązek, powiedział:

- No cóż, zapiszemy coście tu nagadali.

Zaczął pisać, zadając od czasu do czasu krótkie pytania: kiedy i z kim Sasza wydawał gazetkę, kiedy miał miejsce konflikt z wykładowcą rachunkowości, z jakiego powodu, kiedy Saszę wydalono z uczelni, jakie zarzuty mu postawiono.

Skończył pisać, podsunął kartkę Saszy.

- Przeczytajcie i podpiszcie.

Znów rzucił się na oparcie krzesła. Sasza czuł na sobie jego uważne spojrzenie. Diakow obserwował wyraz twarzy przesłuchiwanego, korzystał z wolnej chwili, żeby go sobie dobrze zapamiętać. Wszystko zostało zapisane dokładnie, ale jakoś jednostronnie. Z okazji święta wypuszczono numer gazetki ściennej, zamieszczono w niej fraszki ośmieszające ideę przewodnictwa, brali w tym udział tacy to a tacy, wydalony przez organizację partyjną i komitet rejonowy... Oczywiście wszystko to pisze się tylko dla formalności, żeby udokumentować przesłuchanie, przyczyna aresztowania jest najprawdopodobniej zupełnie inna.

Mimo to Sasza powiedział:

- Nie zostało tu napisane, że decyzją CKKP przywrócono mi prawa studenta.

Diakow spochmurniał, wziął kartkę.

- A co napisali w instytucie w uzasadnieniu ponownego przyjęcia?

- Napisali niezupełnie prawidłowo...

Diakow przerwał mu:

- Nie pytam, jak było napisane, tylko co było napisane!

- "W związku z uznaniem przez studenta Pankratowa swoich błędów..."

Diakow wziął pióro i dopisał u dołu: "Później przyjęto mnie ponownie na uczelnię, ponieważ uznałem swoje błędy".

Znów podsunął kartkę Saszy.

Sasza podpisał. Diakow sięgnął po papier i odłożył go na bok.



- Radzę wam dobrze się zastanowić, Pankratow. Nie chcemy was stracić dla wspólnej sprawy. Tylko dlatego tak się z wami cackamy. Oszczędzamy was, zrozumcie to. I docęńcie. Poszukajcie dobrze w pamięci, poszukajcie!

Wyszedł zza biurka, otworzył drzwi, dał znak strażnikowi.

- Wyprowadzić!

Sasza wrócił do celi, drzwi zatrzasnęły się za jego plecami. W mętym okienku nadal lśniły zimowe gwiazdy. Czy to noc, czy ranek?

Usłyszał stukanie w ścianę. Sąsiad pewnie pyta, dokąd go zabierali. Sasza tak jak zwykle odpowiedział trzema stuknięciami i w ubraniu położył się na pryczy.

Czego właściwie chce od niego Diakow? do czego Sasza ma się przyznać? "Z kim prowadziliście kontrrewolucyjne rozmowy?" Jakie rozmowy? Gubił się w domysłach. Był pewien, że aresztowano go w związku z całą tą aferą w instytucie. To, że chodzi o coś zupełnie innego, oszołomiło go. Wszystko poplątało się, pokręciło. Miał nadzieję, że znajdzie tu zrozumienie, zaufanie. Stało się inaczej. Skoro nie chodzi o sprawę instytutu, to znaczy, że musi być jakiś inny powód, i to na tyle poważny, że prokurator wydał nakaz aresztowania. Oskarżać Saszę o kontrrewolucję - komu też takie coś mogło przyjść do głowy? Nie ma przecież żadnych zastrzeżeń w stosunku do partii. Co prawda, wazelinarze i pochlebcy kadzą Stalinowi, ale tym spostrzeżeniem nigdy z nikim się nie dzielił. Powiedział tylko Markowi, ale Mark z pewnością nie powtórzyłby nikomu tej rozmowy. A może Marka też aresztowali? Podczas rewizji funkcjonariusz zwrócił uwagę na fotografię Marka, oglądał ją ze wszystkich stron. Czy Diakow chce wyciągnąć od niego coś przeciwko Markowi? Ma nadzieję, że Sasza ułatwi mu to zadanie?

Budiagin? TEż możliwe. Czy przyjaźnił się z Ejsmontem i Smirnowem? Smirnowowie również mieszkali w Piątym Domu Rad. Córka Smirnowa - przysadzista blondynka - chodziła do ich szkoły. Iwana Grigoriewicza odwołano z zagranicy wiosną, zaraz po sprawie Ejsmonta - Smirnowa. A teraz dowiedzieli się, że Budiagin dzwonił do Glińskiej, że Sasza bywa u Budiaginów, i chcą wyciągnąć od niego coś przeciwko Iwanowi Grigoriewiczowi. Bzdura! Zaczyna bredzić! Nikt nikogo nie aresztuje za to, że jest czyimś krewnym, albo za to, że z kimś chodził do jednej klasy... Ale jakiś powód przecież jest, inaczej by go tu nie trzymali... Przecież śledczy nie odgrywałby chyba komedii.

Sasza analizował dzień po dniu wydarzenia kilku ostatnich miesięcy. Palnął coś bezmyślnie? Nie, nikomu nie opowiadał o swoich kłopotach w instytucie. Wiedzieli o nich jedynie przyjaciele. Nina, Lena, Wadim, Maks, Jura. Jura Szarok! To ich starcie w noc sylwestrową... Nie, Jura nie byłby zdolny do takiej podłości. Koledzy z grupy? Kowalew?

Ale przecież Diakow mówił, że nie chodzi o instytut. A więc o co?

W dzień zjawił się funkcjonariusz więzienny z dwiema belkami na naramiennikach.

Sasza odruchowo wstał - przyzwyczajenie z domu, grzeczność, której później nie mógł sobie wybaczyć.

- Nazwisko?

- Pankratow.

- Prośby?

- Nie dostaję paczek.

- Zwróćcie się do swojego śledczego.

- A gazety, książki?

- Wszystko przez śledczego.

I wyszedł. Strażnik zamknął celę.

Więzienne doświadczenia zdobywa się w samym więzieniu. Człowiek trafiający tu po raz pierwszy sam dochodzi do rozeznania wszystkich tych niepisanych reguł, które składają się na tryb życia w więzieniu, wypracowany przez poprzednie pokolenia więźniów. Wizyta funkcjonariusza uświadomiła Saszy, że zakwalifikowano go do innej kategorii - śledztwo w jego sprawie rozpoczęło się. Funkcjonariusza nie interesowały prośby Saszy. Dał mu jedynie do zrozumienia, że od śledczego zależą nie tylko jego dalsze losy, ale i to, jak będą go tu traktować.

Od tego dnia życie Saszy, pozornie taie samo jak w ciągu minionych tygodni, uległo jednak drastycznej przemianie.

Przedtem czekał na przesłuchanie niecierpliwie, z nadzieją, teraz - z narastającym lękiem. Przerażało to niewiadome, którym znienacka mógł go zaskoczyć śledczy, coś, na co on, Sasza, nie jest przygotowany, z czego być może nie zdoła się wytłumaczyć i co jeszcze bardziej pogłębi dzielącą ich przepaść nieufności i podejrzliwości.

Starzy Szarokowie nie lubili Pankratowów. Nie lubili ojca - inżyniera, matki - "za bardzo wykształconej", a tym bardziej wujka - jednego z tamtych, z naczelników. Na podwórzu matka Saszy siadywała z "inteligentnymi", a matka Jury z windziarkami i dozorczykami. Aresztowanie Saszy zinterpretowali tak: żrą się "towarzysze", daj Boże, żeby wszyscy się pozagryzali.

Jura Szarok nie mógł jednak pozostać obojętny na los Saszy. Bądź co bądź tworzyli jedną paczkę.

Tylko co go właściwie łączy z tą paczką? Nie ma tam mowy o żadnej przyjaźni, tolerują go zaledwie, histeryczka Nina, przyglup Maksym, gaduła Wadim. Teraz będą oplakiwać Saszkę - on nie weźmie w tym udziału.

Lena... Dobra baba, przyjemna, schludna, ale obca. I nie żona. Co ona umie? Stara się dogodzić, fakt, ale robi to tak nieudolnie, że tylko go drażni. Są rówieśnikami. Jego ojciec - proszę, jak wygląda w wieku sześćdziesięciu lat! A Lena jeszcze przed czterdziestką będzie gruba tak jak jej matka, Aszchen Stiepanowna. Stalin jest niezadowolony z Budiagina. Lena sama o tym wspomniała. Jura dobrze wie, co to znaczy "Stalin jest niezadowolony", czym to się kończy. Dom Rad, wytworne mieszkanie - ale tylko do czasu. Budiagin palnął mu kazanie o radzieckim wymiarze sprawiedliwości - co on tam rozumie! Śmieszny jest z tym swoim naiwnym partyjnym sumieniem. Teraz inne czasy, zrodziła się siła, łamiąca nie takie dęby! Jak Jura będzie wyglądał w oczach ojca, jeżeli Budiagin poleci? Masz ci narkomowską córeczkę!

Dość tego! Moskwa roi się od ładnych dziewczyn. Wika Marasiewicz - tylko gwizdnąć! A Warka Iwanowa! Miód, nie dziewczyna!

Nie dzwonił do Leny cały tydzień. Sama pewnie zadzwoni. No cóż, odpowie tak, że jej się odechce. Jednak gdy w słuchawce usłyszał jej głos: "Juroczka, gdzie przepadłeś?" - zmieszał się, mamrotał, że jest zajęty, że przygotowuje się do obrony dyplomu, że załatwia przydział, że wraca do domu o północy, a poza tym na wydziale jest tylko jeden telefon, w dodatku zepsuty...

Ośloniła słuchawkę dłonią.

- Tęsknię.

- Jak tylko będę wolny, zadzwonię. Może w przyszłym tygodniu.

Nie zadzwonił ani w przyszłym tygodniu, ani w następnym. W ogóle już nie zadzwoni. Żadnych wyjaśnień!

Lena zadzwoniła znowu.

- Jura, muszę się z tobą zobaczyć.
- Powiedziałem: zadzwonię, jak tylko będę wolny.
- Koniecznie muszę się z tobą zobaczyć w pilnej sprawie.
- Dobrze - warknął - o dziewiątej pod "Artystycznym".

\* \* \*

Minęli plac Arbacki i poszli bulwarem Nikitskim. Trzymał tęgi mróz. Lena była w futerku, czerwonych rękawiczkach i okrągłej futrzanej czapce, założonej na zakrywającą uszy chustkę. Wysokie boty ciasno opinały krągłe, zgrabne łydki, to zawsze podniecało Jurę. I te znajome perfumy. A może zrobić to dziś ostatni raz? Nie będą przecież spacerować na takim mrozie.

- Sasza... Co za okropność - powiedziała Lena.

Wzruszył ramionami.

- Trudno, siedzi...

- Nie żal ci go?

- To nie jest kwestia żalu. Saszka wszystkich ma za nic. Nie ufam mu, właśnie tak: nie ufam.

- Jak można nie ufać Saszy?

- Kiedy przyjmowali mnie do Komsomołu, Sasza powiedział: "Nie ufam Szarokowi", i nikt się tym nie przejął. A jak ja mówię, że nie mam zaufania, to od razu oburzenie.

Zmieszała się, przestraszona jego gniewem.

- Jura, wierz mi, wszyscy bardzo cię lubią.

- Łaskawie tolerują. Ty zresztą też.

Patrzyła na niego, zbita z tropu. Wyraźnie szuka pretekstu do kłótni, nie dzwonił dwa tygodnie. Bała się powiedzieć mu o najważniejszym.

W milczeniu doszli do Bramy Nikitskiej.

- Zawrócimy?

- Dojdźmy do pomnika Puszkina. Opowiedz, co tam u ciebie.

Wzruszył ramionami: o czym tu opowiadać, to nudne.

- Jak z twoim skierowaniem?

- Nijak.

Przysypany śniegiem Puszkina górował nad placem.

- Usiądźmy. Zmęczyłam się.

Z niezadowoloną miną strącił śnieg z ławki. Proszę bardzo, niech siada, on postoi, będzie tak stać i patrzeć na Strastnoj Monastyr... Nie usłyszał - poczuł, jak trwożnie wstrzymała oddech.

- Jura, jestem w ciąży.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- Może okres się spóźnia?

- To już dwa tygodnie.

Akurat te dwa tygodnie, przez które się nie widzieli. Dwa tygodnie temu coś by wymyślili, ale teraz? Trzeba przerwać... Jak to się stało? Był przecież taki ostrożny. Czy ona naprawdę nie ma jakichś zagranicznych tabletek, pigułek na takie rzeczy?

- Próbowалаś już coś z tym zrobić?

- Chciałam najpierw poradzić się ciebie.

- Nie jestem lekarzem.

Ponuro, z taką miną, jakby Lena zaszła w ciążę wyłącznie po to, żeby zrobić mu na złość, dodał:

- Nie chcę w taki sposób wchodzić do waszej rodziny.

Ożywiła się:

- Jakie to ma znaczenie?

- Trzeba poczekać.

Usiadł obok niej, wziął za rękę, odnalazł pasmo ciepłej skóry między rękawiczką a rękawem. Żeby się tylko zgodziła, żeby się tylko nie upierała...

- Zrozum, studia, nakaz pracy, nic jeszcze nie jest pewne, nic nie wiadomo... Poza tym Sasza... To też ma związek z nami wszystkimi... Wiele rzeczy skomplikowało się, nie trzeba komplikować ich jeszcze bardziej. Nie pora na to. Ja wiem, to nieprzyjemny zabieg, ale trwa tylko parę minut. Pocierpmy, poczekajmy jeszcze trochę, w przyszłości na pewno będziemy przecież mieć dzieci. Poza tym jest jeszcze problem moich rodziców, to ludzie starej daty: najpierw ślub, potem dziecko. Podejście oczywiście mieszczańskie, ale nie chcę plotek, to takie upokarzające, musisz mnie zrozumieć.

- Rozumiem - powiedziała Lena smutno.

- Chodźmy, bo zmarzniesz.

Wstał, podał jej rękę; nie zdołał się powstrzymać i szybkim spojrzeniem obrzucił figurę Leny, choć wiedział, że dwa tygodnie to przecież nic. Odniósł jednak wrażenie, że

zaokrągliła się, że jakoś tak ociężała wstała z ławki. Ogarnął go strach przed realnymi konsekwencjami tej sprawy: za osiem albo dziewięć miesięcy, sam o tym nie wiedząc, mógłby zostać ojcem. I to na całe życie.

Uśmiechnęła się wstydliwie.

- Jeszcze nic nie widać.

\*\*\*

Takiej nocy jeszcze nie przeżywali. Lena zgodziła się przerwać ciążę tylko ze względu na niego, był dla niej najważniejszy. Jurek wzruszyła ta pokora, schlebiała mu, okazywał więc czułość, starał się przywiązać Lenę do siebie jeszcze bardziej, całkowicie podporządkować ją swojej woli. Wszystko na tym świecie powtarza się i będzie powtarzać się miliony razy, Lena nie będzie pierwsza ani ostatnia, normalna, babska sprawa. Jego matka przerywała ciążę siedem razy, u nich na wsi ciężarne dziewczuchy skaczą z bramy na ziemię i nic im nie jest, żyją. Nie trzeba komplikować sobie życia, latem pojedą do Soczi, podobno to teraz świetny kurort, zobaczy morze, co dotychczas właściwie widział poza Moskwą? Lena ma dobrze, zwiedziła cały świat, a on?

Jura poruszył w niej najgłębszą strunę, w jego wywodach dostrzegła prosty, trzeźwy, ludowy rozsądek. Rzeczywiście, czyż można teraz obarczać go dziećmi, kłopotami, w ten sposób na pewno nie przywiąże go do siebie, raczej zniechęci. Nie stanie mu na drodze, Jura nigdy nie będzie mógł mieć o to do niej pretensji. O tej ciąży powiedziała mu tylko tak, w końcu komu miała powiedzieć? Niech on się tym nie martwi, niech nie zaprzęta sobie głowy.

To, co się stało, zbliżyło ich. Jura nigdy przedtem nie był taki czuły, szczerzy i taki słaby. Po raz pierwszy ujrzała jego zmieszanie, strach, litowała się nad nim, kochała go jeszcze mocniej. Rano spał z ręką na jej piersi, ona zaś strzegła jego snu. Przedtem nie zatrzymywał jej, odprawiał w sekrecie, nocą, a dziś nie wypuszczał. A kiedy wreszcie pozwolił odejść, odprowadził do drzwi nie tak jak zawsze, ukradkiem i na palcach, lecz otwarcie, rozmawiał z nią głośno, nie myślał o skrzypiących drzwiach i szczęku zamka, nawet uśmiechnął się, przytulił policzek do jej policzka.

I dozorca na dole patrzył jakoś inaczej, sympatyczniej, wsuniętego w dłoń rubla przyjął nie jako należny haracz, lecz z wdzięcznością: "Dziękuję pani". Na Arbacie obcasy jej pantofli stukały spokojnie i pewnie, szła po jego ulicy, po swojej ulicy. I dopiero na placu Arbackim uświadomiła sobie, że schodząc po schodach minęła drzwi mieszkania Saszy.

Dlaczego pomyślała o tym dopiero teraz? Czyżby przez tę swoją miłość zapomniała o wszystkim? A Sofia Aleksandrowna leży tam samotna, nie śpi, myśli, co też robi w tej chwili Sasza...

\*\*\*

Nie uda się spędzić trzech dni w szpitalu w tajemnicy. Budiaginowie i tak potrafią zresztą wydusić z Leny prawdę, mamunia ma dobre oko, mamunie zawsze się połapią, o co chodzi. Lenka nie umie kłamać, po co miałyby kłamać, to przecież niegodne. A z kim, to już się sami domyślą. I przekonają: miej to dziecko, obejdziemy się bez tego twojego Szaroka.

Co jej może strzelić do głowy? Jura wydzwaniał do Leny do pracy, rozmawiał z nią czule, ale w jego głosie pobrzmiwało zmęczenie - tyle ma spraw, kłopotów, niech Lena nie próbuje obarczać go jeszcze swoimi sprawami i kłopotami. Proste arbackie dziewczyny nigdy nie stwarzały podobnych problemów, załatwiały to we własnym zakresie... Ocet? Nadmanganian potasu? Chinina? To nie jego sprawa. A ta mimoza, mamusina córunia nic nie wie, nic nie umie, zagraniczny delikates, cholera by ją wzięła! Jeżeli teraz z nią nie zerwie, to koniec, nigdy już się nie odczepi. Żeby chociaż poroniła! Ludzie czasem wywracają się na oblodzonym chodniku, szczególnie tacy niezdarni krótkowidze, jak ona.

W rodzinie Szaroków rzadko kiedy rozmawiano ze sobą szczerze, ale Jura postanowił pomówić z matką. Matka zna różne sekretne ludowe sposoby, zna takich, którzy mogą pomóc. Nieraz widział, jak szepcze z babami na podwórzu, po jej minie domyślał się, że mowa jest o tym.

Wlepiła w niego oczy, na policzkach wystąpiły czerwone plamy. Wpadła Lenka, tak, zaszła, puszczalska, gdzie to rozum miało, ścierwo jedne! Te wykształcone gorsze od prostych. Męża na brzuch łapie, suka! Sama powinna mieć trochę oleju we łbie, nie ma przecież piętnastu lat, diabelskie nasienie!

Jeszcze dziś rano chwaliła się, że Jura bierze za żonę narkomowską córkę, że będzie mieszkać na Kremlu, a teraz roznosiła ją wściekłość. Ci towarzysze, władza nasza, rodziców Jury za próg nie wpuszczają. I Jury też nie wpuszczą. Powiedzą Lenie - mieszkaj z dzieciakiem u męża, ma przecież pokój. Tak, on ma jeden pokój, a oni trzy! U męża, powiedzą, babka jest, niech niańczy. O nie, nie na taką trafili! Ale cwana ta dziewczucha! W dodatku nie ruska! Po nosie widać, że chajka! Teraz pewnie pieniędzy na zabieg zażądadają, przeklęte plemię!

- Przestań! - krzyknął Jura. - Co trzeba zrobić?

Zagryzła wargi, spytała rzeczowo:

- Który miesiąc?

- Parę dni - skłamał Jura. Bał się, że gdy powie prawdę, matka odmówi pomocy.

- Niech wymoczy nogi w gorczycy. Tylko we wrzątku. Żeby był jak najgorętszy.

Wytrzyma. Pewnie nawet wiadra nie mają...

- Znajdą.

Nie powiedział, że Lena nie może zrobić tego u siebie w domu. Trzeba będzie tu, u nich.

Na Arbacie nie dostał gorczycy, pojechał na Usaczowkę, kupił, schował do teczki, do której matka nie zagląda, boi się zepsuć wymyślny zamek. Zaszedł do kuchni, sprawdził - jest wiadro, nawet dwa.

Wieczorem poszli do Teatru Rewolucji na "Człowieka z teczką". Jurze podobał się Granatow. W fatalnym zbiegu gnębiących Granatowa okoliczności dostrzegł pewne podobieństwo do swoich obecnych perypetii.

W foyer przyglądał się ludziom, wdychał zapach perfum i pudru, każdą wizytę w teatrze uważał za święto. Nigdy nie mógł zrozumieć Saszy Pankratowa i Niny, wpadających do teatru w przelocie między załatwianiem jednej sprawy a drugiej, nie rozumiał też Wadima, który analizował każdy spektakl z dokładnością naukowca, preparującego żabę. Podczas antraktu powiedział:

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość. U nas na wydziale jest taki chłopak, Kola Sizow... Jego ojciec to znany lekarz, słyszałaś o nim?

- Sizow? Nie, nie słyszałam.

- Profesor, ginekolog.

Skurczyła się, zrozumiała, o czym mówi, ale to przecież jeszcze nie tak prędko...

Szarok ciągnął nieubłaganie:

- Jest taki jeden zupełnie bezpieczny sposób - kąpiel nóg w gorczycy, tak jak przy przeziębieniu.

Uspokoila się nieco.

- I to pomaga?

- Mówią, że nawet bardzo.

- Ale minęło już tyle czasu...

- Akurat odpowiedni moment.

Ten kategoryczny ton napawał ją lękiem.

- Może lepiej pójść do lekarza...

Nalegał:



- To nie skrobanka, żadnego bólu, trzeba tylko wytrzymać w tej gorącej wodzie. Nic nie ryzykujemy. A może rozmyślałaś się?

- Nie rozmyślałam się - powiedziała cicho - ale to będzie trudne, w domu mogą coś zauważyć...

- Słusznie - przytaknął.

I jak gdyby pod wpływem nagłej myśli powiedział:

- Zrobimy to u mnie. Ojciec stosuje takie coś, jak ma katar. Gorczyca też pewnie się znajdzie.

- Gorąco?

- Nie... Nawet przyjemnie.

Lena siedziała na łóżku, z nogami zanurzonymi w wiadrze napełnionym brązowym wywarem, odwracała głowę, gorczyca szczypała w oczy.

Zadarta koszula odsłaniała krągłe, białe, ciasno zwarte kolana, nogi ledwie mieściły się w wiadrze. Siedziała pochylona do przodu, z rękami splecionymi na brzuchu, ramiączka zsunęły się, obnażając pełne ramiona i piersi za błękitną koronkową lamówką, z lekka poruszała nogami, marszczyła twarz, usiłowała się uśmiechnąć.

- Nawet przyjemnie...

Trzymając dziobek czajnika przy ścianie wiadra, żeby nie poparzyć jej nóg, dolał jeszcze wrzątku.

Wzdrygnęła się, poruszyła nogami...

- Gorąco...

- Wytrzymaj, zaraz ostygnie...

W jednej ręce trzymał czajnik, drugą sprawdzał temperaturę wody w wiadrze. Wydała mu się za mało gorąca, dolał więc znów wrzątku.

- Oj!

Skurczyła się, jęknęła, zamknęła oczy, oddychała coraz ciężiej.

- Lenoczka, no, wytrzymaj, wytrzymaj, jeszcze minutkę, to zaraz przejdzie.

Odchylona do tyłu oparła głowę o ścianę, palce miętosiła brzeg koronki.

- Zaraz, zaraz się skończy, wytrzymaj...

Nad górną wargą, na czole błyszczały krople potu.

- Juroczka, już nie mogę - wyjęczała - wyjmę na minutkę, tylko na jedną minutkę...

- Zaraz będzie koniec, jeszcze troszeczkę...

- Nie czuję nóg, to nie moje nogi...

Zagryzając wargi wyla się na łóżku z zamkniętymi oczami.

- Duszno mi...

Pochylił się nad jej rozpostartym ciałem, odpiął ramiączka, rozluźnił stanik, pogłaskał kolana.

- No no, spokojnie.

I ostrożnie dolał wrzątku, jęknęła cichutko, niemal niezauważalnie poruszyła nogami - duże, białe, bezwładne ciało, ledwie przysłonięte zmiętą błękitną halką.

Jura wyszedł do kuchni, zdjął z płyty drugi czajnik. Uchwyt brzęknął zdradziecko, wiadra też brzęczały, stare, wielokrotnie lutowane rupiecie, trzymające się na słowo honoru. Poczul, że ktoś wszedł, z przestachem obejrzał się na drzwi - w drzwiach stała matka. Patrzyli na siebie w milczeniu.

- Nie ugotuj jej nóg.

Nic nie odpowiedział, wrócił do pokoju, za sobą usłyszał trzask wyłącznika - matka zgasiła światło w kuchni.

Lena leżała z głową na poduszce, nogi miała spuszczone, na łydkach płonęły pąsowe obwódki.

- Lenoczka, śpisz?

Jej rzęsy drgnęły, oddychała bardzo cicho, prawie niesłyszalnie, na czole, na brwajach, na górnej wardze, na podbródku lśniły duże krople potu. Ostrożnie wytarł je końcem ręcznika.

- Lenoczka!

- Duszno mi - wyszeptała, nie otwierając oczu.

Uniósł jej głowę, zbliżając kubek do ust. Zęby Leny szczękały o krawędź naczynia, z trudem przełknęła wodę, potem łapczywie wypila wszystko i wyczerpana opadła na poduszkę. Okrył ją kołdrą, dolał wrzątku - i choć starał się uważać, oblał jej nogę.

- Aj... - jęknęła, skuliła się i odrzuciła kołdrę.

- No już, już... to ostatnie...

Zaczęła dygotać jak w gorączce, dreszcze wstrząsały jej ramionami, dłońmi. Znów przykrył ją kołdrą.

- No już, już po wszystkim.

Płakała cicho i bezsilnie.

- Już koniec, więcej nie będę.

Spojrzał na zegarek - piętnaście po pierwszej. Minęło czterdzieści minut. Dobra, jeszcze pięć!

Przestała płakać, leżała jak nieżywa z twarzą wtuloną w poduszkę. Schylił się, dotknął ręką czoła Leny, czoło było zimne, posłuchał chwilę - oddycha. Ostrożnie wyciągnął jej nogi z wiadra - jak ugotowane. Nic, to minie. Przesunął nogi na łóżko, przykrył kołdrą, wyniósł do kuchni wiadro, umył je, spłukał gorzycę ze zlewu, ustawił wszystko na miejscu i wrócił do pokoju.

Lena spała. Podeszedł do okna, rozsunał zasłony. Na klatkach schodowych sąsiedniego budynku mętnie i sieroco świeciły żarówki w drucianych siatkach. Żeby tylko się udało!

Delikatna! Inna ani by pisnęła. W końcu od tego się nie umiera. A nogi czymś tam sobie posmaruje.

Rozebrał się, zgasił światło, położył się obok Leny, ostrożnie odsunął jej nogi, ściągnął na siebie kawałek kołdry. Poczul żar buchający z ciała dziewczyny, leżała bezwładna, nieruchoma, bił od niej ostry i podniecający zapach gorzycy... I wziął ją właśnie taką, nieświadomą, a przez to jeszcze bardziej pociągającą. Było w tym coś ostrego, nowego, zwierzęcego. Chciał spowodować wstrząs, który unicestwiłby tamto, co zaczęło już żyć w głębi jej ciała, ten nędzny zarodek, który o mało co nie złamał mu życia. Kiedy jęknęła, zrozumiał, że tamto drugie, pęczniejące w niej życie przestało wreszcie istnieć.

Rano nie mogła włożyć pończoch.

- Boli.

Potem nie mogła włożyć butów, nie wchodziły. Przyniósł walonki, duże, podszyte, z rozciętymi cholewami.

- Teraz dobrze - powiedziała, zrobiwszy kilka ostrożnych i niepewnych kroków.

W walonkach od razu jak gdyby zmaląła, schudła, z bladą, obrzmiałą twarzą i podkrążonymi, pełnymi cierpienia oczami wyglądała w nich jak baba.

Nagle usiadła na łóżku.

- Zakręciło mi się w głowie.

Postanowił odprowadzić ją, jeszcze upadnie na ulicy... Trzeba by jej dać gorącej herbaty, ale w kuchni krzątała się już matka i Jura nie chciał tam wchodzić.

Na podwórzu nikogo nie spotkali. Na Arbacie przeprowadził ją na drugą stronę ulicy - pod piekarnią stali w kolejce znajomi i sąsiedzi. Lena szła powoli, wspierała się na jego rękę - też znalazła sobie porę na spacer pod rękę! No nic, to ich ostatnia wspólna przechadzka, trzeba wytrzymać, byle tylko nie upadła, byle się dowlokła! Dziś ma wolne, w domu wyleży się spokojnie. Przez swoje podwórze przeszła o własnych siłach, w drzwiach obejrzała się, uśmiechnęła do niego.

W ciągu dnia chciał zadzwonić, zapytać co i jak, ale nie zadzwonił, pośpiech zdradzi jego niepokój, uświadomi niebezpieczeństwo tego, co zrobili. Zadzwoni jutro, do pracy. Jeżeli będzie w pracy, to znaczy, że jest zdrowa, powie, czy są jakieś efekty. Była w pracy. I cicho, wyraźnie, zasłaniając słuchawkę dłonią powiedziała:

- Wszystko w porządku.

W jej głosie czuł szczęśliwą pewność, że informacja ta ucieszy go.

- No to gratuluję, zuch jesteś, całuję cię, jeszcze zadzwonię - odpowiedział Jura i odłożył słuchawkę.

Nigdy już nie zadzwoni, dość tego, sprawa z głowy!

Gdy wieczorem wrócił z wydziału, matka powiedziała:

- Ninka od Iwanowów dzwoniła.

- Czego chciała?

- Żebyś zatelefonował.

Znowu będzie wzdychać nad losem Saszki, użalać się, zawracać głowę. Do cholery z nimi wszystkimi!

Nina zadzwoniła jeszcze raz.

- Wiesz już o Lenie?

Serce w nim zamarło.

- A co?

- Krwotok.

- Dziwne. Co prawda dawno jej nie widziałem, ale akurat dziś rozmawialiśmy przez telefon. Była w pracy.

- Właśnie z pracy ją zabrali.

- W którym jest szpitalu?

Nina wymieniła numer i adres szpitala, gdzieś w Lasku Marinym.

Wahał się przez chwilę, wreszcie zapytał twardo:

- A skąd się jej to wzięło?

- Nie wiem.

- Od kogo wiesz, że Lena jest w szpitalu?

- Od Aszchen Stiepanowny. Stan ciężki.

- Dziękuję za telefon. Pojadę do szpitala.

Wrócił do pokoju, zamknął za sobą drzwi, usiadł przy stole. Wpadka! Dobrze zna prawo, bądź co bądź jest prawnikiem. Sprawca nielegalnego przerwania ciąży. Fabrykant aniołków. Czyny... powodujące zgon poszkodowanej... Idiota! Po diabła robił to u siebie w domu? Mogła to załatwić u siebie, ma przecież osobny pokój, nikt by nie zauważył. Dureń! Dureń! Dureń!

Jeżeli Lena przeżyje, to nie wyda go. Jeżeli umrze, to on wszystkiemu zaprzeczy. Nie ma żadnych dowodów. Tak, wiedział, że Lena jest w ciąży, że nie chce urodzić tego dziecka, że ma zamiar coś z tym zrobić, ale myślał, że zażywa jakieś zagraniczne pigułki, nie wie nawet, co Lena wykombinowała. W przeddzień krwotoku wyglądała źle, odprowadził ją do domu, nazajutrz zadzwonił do niej do pracy, przy łączących ich stosunkach to przecież normalne, ale w żadnym wypadku nie może być dowodem współdziałania.

Czy w ogóle kąpiel w gorzycy można podciągnąć pod abort? Dlaczego twórcy prawa wybrali akurat to słowo? "Abort"! Czy termin ten daje prawo do rozszerzonej interpretacji? "Sztuczne przerwanie ciąży" - o, to można interpretować na wszelkie sposoby. Prawodawcy użyli jednak precyzyjnego sformułowania "abort", mając na myśli medyczne znaczenie tego słowa, czyli interwencję chirurgiczną.

Trzeba sprecyzować wersję, przemyśleć szczegóły. Gdzie, kiedy, dzień, godzina, minuta, miejsce, przekonujące szczegóły. Jeżeli Lenka umrze, Budiagin mu nie daruje. A może będzie chciał uniknąć skandalu? Taki wybitny działacz, a córka spędza płód jak pierwsza lepsza wsiowa baba. A tak na dobrą sprawę, to winni są właśnie Budiagini, to oni ponoszą pełną odpowiedzialność: sprzeciwiali się ślubowi młodych, właśnie ze względu na nich Lena nie chciała tego dziecka, obiektywnie rzecz biorąc to oni popchnęli ją do tego kroku. Może nawet nie tylko obiektywnie? Nie chcieli rozgłosu. Oto jak wygląda, jak przedstawia się cała sprawa, jeżeli przyjrzeć się jej od podszewki. Do czego przygotowywali Lenę? Czego ją nauczili? Tłumaczyć z angielskiego? To za mało jak na całe życie. Zawsze nienawidził tej rodziny, znów są panami sytuacji, jest w ich rękach, miota się po swoim pokoju, a oni tam w Piątym Domu Rad, w swojej niedostępnej twierdzy stawiają na nogi lekarzy, ratują Lenę. I wyratują, nie ma obawy. A potem porachują się z nim, z Jurą Szarokiem.

Matka milczała ponuro, domyślała się wszystkiego, ale wolała nic nie mówić, bała się oskarżeń. A co jej do tego? Chciała jak najlepiej, wszystkie tak robią, myślałby kto, jaka hrabina! On też dobry, dorwał się, parzy jej giczoły, umiaru nie zna.

Jura pojechał do szpitala, ale nie wszedł do środka, pokręcił się w pobliżu - bał się spotkania z Budiaginami, bał się nowych świadków - im mniej osób go zobaczy, tym lepiej.

Wrócił na Arbat, z automatu zadzwonił do szpitala, zapytał o stan zdrowia Budiaginy Heleny Iwanowny. "Stan ciężki, temperatura trzydzieści dziewięć i osiem". Dzwonił tak co dzień, i dopiero po tygodniu usłyszał - "Stan średnio ciężki, temperatura trzydzieści osiem i dwa". Po trzech dniach: "Stan zadowolający, temperatura w normie". Pod koniec drugiego tygodnia Aszchen Stiepanowna przywiozła Lenę do domu.

Akurat tego wieczoru matka spytała:

- Jak tam twoja lalunia?

Uśmiechnął się:

- Żywa, zdrowa, już nie kaszle.

Nie dzwonił do Leny, nie wiedział, jak zareaguje na jego telefon: ani razu nie był w szpitalu, nie napisał, nie ma żadnego usprawiedliwienia. Co tam! Dobrze zrobił, że nie

poszedł! Chciał wiedzieć tylko jedno: czy komuś powiedziała. Nie mógł jednak zdecydować się na telefon. Ona też nie dzwoniła. Zadzwoiła natomiast Nina.

- Jura, wybieramy się dziś do Leny. Pójdiesz?

- Dziś jestem zajęty.

- To przyjdiesz później.

- Później też będę zajęty.

Dzwoniła z własnej inicjatywy czy na prośbę Leny? Trzeba to wyjaśnić.

Zatelefonował do Leny. Usłyszał jej czuły, głęboki, cichy głos:

- Nareszcie. Tak się o ciebie martwiłam.

- To ja martwiłem się o ciebie.

- Cały czas myślałam, jak ty to przyżywasz? Dlaczego nie przychodziłeś?

- Dzwoniłem codziennie, dowiadywałem się.

- Naprawdę? - w jej głosie wyczuł radość. - Dziś przychodzą do mnie wszyscy nasi, może ty też...

- Nie chcę w takiej kupie.

- Rozumiem... To kiedy?

- Zadzwoię.

Nina wróciła ze szkoły o piątej. Na schodach pod drzwiami siedziała Waria ze swoją przyjaciółką Zoją.

- Drzwi zatrzasnęłam, a kluczy zapomniałam.

Zapomniała kluczy... Ciągłe kłamię. Wie, że nie wolno jej przyprowadzić Zoi do domu, to siedzi z nią na schodach - schody nie twoje, tu nie masz prawa zabronić.

- Daję pół minuty na zastanowienie, dwie minuty na wykonanie - powiedziała Waria do Zoi.

I ten język!

- Byłaś u Sofii Aleksandrowny?

- Byłam.

- Wszystko kupiłaś?

- Wszystko.

- Kartki?

- Wykupione.

- Ile pieniędzy ci zostało?

Waria podała jej resztę.

- Wzięłam pięćdziesiąt kopiejek na ślizgawkę.

- A lekcje?

- Odrobię.

Każdy powinien spełniać swoje obowiązki. Nina haruje jak wół, przełknie obiad i leci na wieczorówkę, nie może przecież zrezygnować z tej połówki etatu. A Waria? Ślizgawka, teatr, kino, przyjaciółki - niezbyt wiele czasu zajmuje prowadzenie domu.

- Na kolację odgrzejesz sobie kaszę, zostawię na patelni, masło masz w kredensie - powiedziała Waria.

- Wróc najpóźniej o jedenastej - uprzedziła Nina zapinając płaszcz.

Drzwi zamknęły się, Waria zadzwoniła do Zoi.

- Przychodź, Ninka już spłynęła.

Sprzątnęła ze stołu, przygotowała kolację, zmyła naczynia - porządek! Nina nigdy niczego nie położy na miejsce.

Zadzwonił telefon. Ze ścierką w ręku Waria podniosła słuchawkę.

- Natasza, to ty?

To był chłopak, którego знаła tylko z rozmów telefonicznych, nigdy w życiu go nie



widziała, on też nigdy jej nie widział. Nazywał się Wołodia; Waria nie chciała podać mu swojego imienia.

- Może Natasza.

- To niech będzie Natasza.

Od tej chwili zaczął ją tak nazywać, ale za każdym razem pytał:

- Natasza, jak masz właściwie na imię?

Podobał jej się głos tego chłopaka, była z nim szczerą, nigdy go przecież nie zobaczyła, może więc opowiadać mu o wszystkim.

- Natasza powinna mieć jasne włosy.

- Właśnie takie mam.

- A oczy?

- Pomarańczowe na tle błękitnego nieba.

- Bywają takie? Jak spędziłaś wczorajszy wieczór?

- Cudownie! Byliśmy na tańcach w jednym takim technikum, grali coś, pod co dobrze tańczy się rumbę.

- Zazdroszczę ci. A ja odrabiałem lekcje.

- Ucz się wytrwale, wciąż się ucz, nad książką ślęcz przez całe dni, bo nauka to potęgi klucz, ku światłu cię wywiedzie z mgły...

- Kiedy się zobaczymy?

- Nigdy.

- A jeżeli się pokochamy?

- To niemożliwe, mamy zbyt jednakowe poglądy.

- Co masz zamiar dziś robić?

- Idę na ślizgawkę.

- Na którą?

- Przy fabryce.

- Przy której fabryce?

- Przy fabryce mydła i powidła.

- Weź mnie ze sobą, dobrze holendruję.

- A ja źle, będziesz się nudzić. Cześć, ktoś przyszedł.

Zoja zjawiała się w białej czapce i w długich szarawarach pod spódnicą, pryszczata - kwiat śmietnika, jak nazywała ją Nina. Matka Zoi, bileterka w kinie "Karnawał" wpuszczała przyjaciółki na salę za darmo.

- Czemu włożyłaś białą? - spytała Waria oglądając czapkę Zoi. - Przecież się

umówiliśmy.

- W czerwonej pękła gumka. Ty włóż czerwoną, dobrze ci w niej.
- Do białego swetra czerwona czapka? Ty włożysz moją czerwoną, a ja białą.
- Dlaczego zawsze musi być tak, jak ty chcesz?
- Nie tak, jak ja chcę, tylko tak, jak się umówiliśmy.

Nadęta Zoja wzruszyła ramionami.

- No, skoro tak bardzo chcesz...
- Bez łaski! W ogóle nie pójde na tę ślizgawkę.

Waria zrzuciła pantofle i wlała na łóżko.

j- To głupie - wymamrotała Zoja - dobrze, włożę czerwoną.

- Nie idę na ślizgawkę.

Przez jakiś czas siedziały w milczeniu, speszona Zoja żałowała, że pokłóciły się o głupstwo.

- No, chodźmy - namawiała żałośnie.
- Nigdzie nie mogę iść, kiedy on jest tam.
- Przecież chciałaś iść.
- Chciałam, ale się rozmyśliłam.

Aresztowanie Saszy natychmiast wyróżniło Warię spośród koleżanek. Była teraz jedną z tych, które czekają na swoich nagle znikających, a potem znów pojawiających się chłopaków, a jeśli czekają niehonorowo, to ci rozprawiają się z nimi okrutnie. Wszyscy wiedzieli, że tańczyła z Saszą w "Arbackiej Piwnicy", widzieli ich tam, widzieli również bójkę. Teraz Waria przyjaźni się z matką Saszy, wozi paczki do więzienia...

Waria jeździła wczesnym rankiem, zajmowała kolejkę, wystawała na mrozie, potem przyjeżdżała Sofia Aleksandrowna i razem Iprzesuwały się do okienka. Sofia Aleksandrowna nie umiała się wyklócać, bała się rozgniewać człowieka w okienku, krępowała się też wstrzymywać kolejkę - zmęczonych ludzi, stojących cierpliwie od piątej rano na ulicy wzdłuż wysokiego, długiego i zimnego więziennego muru. Waria nie bała się i nie krępowała nikogo. Szukały Saszy po wszystkich więzieniach. W okienkach dawano im do wypełnienia ankietę: nazwisko, imię, imię ojcowskie więźnia, adres. Sofia Aleksandrowna wypełniała ankietę, znów odstawały kolejkę, oddawały ankietę, czekały na odpowiedź dwie lub trzy godziny... "Nie tutaj..." Wtedy Waria gniewnie pytała: "To gdzie?" - "Nie wiadomo". "- To kto ma wiedzieć!?! Wyście go zabrali, i wy powinniście wiedzieć!"

Wysłuchiwała rad, jakich nie szczędziło jej wszechwiedzące arbackie podwórko. Pewna dziewczyna z Bulwaru Nowińskiego - jej chłopak siedział na Tagance - pokazała jak

schować list w bieliźnie, poradziła posyłać jak najwięcej cukru i jabłek, oni tam z cukru i jabłek pędzą wino. Sofia Aleksandrowna słuchała, kręciła głową.

- Nie, Warieńka, Sasza wina nie potrzebuje.

W ciągu jednej nocy Sofia Aleksandrowna z przystojnej starszej pani przeistoczyła się w siwą staruszkę. Początkowo wydawało się jej, że gdy stanie przed tymi, którzy aresztowali Saszę, ich serca drgną, przecież oni na pewno też mają matki. Później zobaczyła wiele takich matek - ich widok nie poruszał niczyjego serca. Stały w długich kolejkach i każda bała się, że ta iskierka współczucia, która być może tli się jeszcze za tymi ciężkimi drzwiami, przypadnie nie jej, lecz komuś, kto przekroczy te drzwi wcześniej.

Zobaczyła uzbrojonych strażników, nieprzystępne kamienne mury, za nimi był Sasza, jej dziecko, pozbawiony tego, do czego ma prawo każda żywa istota - prawa do oddychania powietrzem wolności. Jaki los mu zgotują? Nie sypiała po nocach - na czym on śpi? Nie mogła jeść - co je on, pochylony nad więzienną miską, on, jedyna najdroższa jej istota, jej życie, jej krew? Poduszki pachniały tak, jak pachniały jego włoski w dzieciństwie, buty pachniały suchą ziemią, po której jako mały chłopiec biegał na bosaka, stół pachniał atramentem jego szkolnych zeszytów.

Chodziła po ulicy w nadziei, że spotka tych, którzy śledzili Saszę przed aresztowaniem. Oni wiedzą, co mu grozi, wiedzą, co mu jest potrzebne. Jeśli spotka tego niewysokiego w palcie, podejdzie i spyta o Saszę. Powie, że nie ma do nich żalu, taka to już ich praca. Ale teraz, kiedy zrobili to, co do nich należało, mogą przecież okazać litość, teraz jest im już przecież wszystko jedno. Chodziła po Arbacie, po jednej stronie ulicy, po drugiej, wstępowała do sklepów, udawała, że stoi w kolejce. Nigdzie jednak nie natrafiła ani na niewysokiego w palcie, ani na tego w czapce, ani na trzeciego, wysokiego i złego.

Odrętwiała, przytłoczona poczuciem własnej bezsilności wracała do domu, do pustego pokoju i tam, samotna i cierpiąca, modliła się do Boga, od którego dawno odeszła, a teraz błagała Go, aby wszechmocny i wszechogarniający duch miłosierdzia zmiękczył serca tych, którzy rozstrzygną los Saszy.

Każdego ranka podrywał ją z łóżka stuk skrzynki pocztowej. Czekwała na odpowiedź z prokuratury lub na list od jakiegoś tajemniczego i wpływowego dobroczyńcy, czekała na list od samego Saszy, przekazany przez człowieka, który siedział razem z nim, i został już zesłany, listy ze zsyłki dochodzą. Opowiadano jej, że takie przypadki się zdarzają. Czytając gazety wpatrywała się w fotografie Stalina: skromne ubranie, dobre zmarszczki wokół oczu, mądra, spokojna twarz człowieka o czystym sumieniu. Niedawno obchodzono pięćdziesiątą rocznicę jego urodzin, teraz ma pięćdziesiąt cztery, nie, pięćdziesiąt trzy lata,

tylko samo co Paweł Nikołajewicz, jej były mąż. Starszy syn Stalina jest pewnie w wieku Saszy, Stalin ma jeszcze drugiego syna i córkę, rozumie więc, czym są dzieci, wie, co to takiego tragedia rodzinna - całkiem niedawno utracił żonę. Żeby tylko sprawa Saszy doszła do niego! Wszystkie nadzieje pokładała w Marku. Mark opowie Stalinowi o Saszy. Stalin zażąda aktu Saszy, może nawet wezwie go do siebie. A Sasza spodoba mu się, Sasza nie może się nie spodobać...

Przyjechał Paweł Nikołajewicz. Był oczywiście zmartwiony, ale nie oceniał sytuacji w kategoriach katastrofy. Saszy nie rozstrzelają, nie skazają na dożywocie - takiej kary nie ma w kodeksie. Chłopak jest młody, wszystko jeszcze przed nim. Tak, działać trzeba, naturalnie. Tu jednak mogą pomóc tylko najwyższe instancje. On sam nie ma do nich dojścia. Dojścia ma Mark. Że też ona nie może, nie chce tego zrozumieć. Paweł Nikołajewicz jechał do Moskwy z niezłomnym postanowieniem, że będzie cierpliwy, nawet dobry. Jednak gdy tylko przekroczył próg tego obrzydłego domu, gdy zobaczył staruszkę, będącą niegdyś jego żoną, gdy usłyszał pobrzmiwające w jej głosie tony żądania, gdy dostrzegł uparty, maskujący strach króliczy wyraz twarzy, gdy zobaczył to wszystko, znów wezbrało w nim rozdrażnienie, zniecierpliwienie i złość. To ona jest wszystkiemu winna, to ona i jej braciszek wychowali Saszę!

I oto siedzą naprzeciwko siebie: ona - siwa, z drżącymi wargami i trzęsącą się głową, on - gładko wygolony, zadbany, o szarych, pełnych gniewu wytrzeszczonych oczach. Siedzą przy stole, przy którym siedzieli przez wiele lat, nad tą samą ceratą, pod tym samym płóciennym okrągłym abażurem. Sofia Aleksandrowna nerwowo wodzi dłonią po ceracie, wyglądamy niewidoczne zagniecenia, gest ten denerwuje Pawła Nikołajewicza.

- Więc chcesz, żebym biegał po urzędach? To bezcelowe, tłumaczyłem ci już przecież! Składać apelację będzie można dopiero po wydaniu wyroku. Wyrok jeszcze nie zapadł, śledztwo trwa.

Czy przypadkiem ona nie chce wykorzystać okazji, żeby ściągnąć go z powrotem do domu?

- O co ci chodzi? Żebym odszedł z zakładu? Nie puszczą mnie. Nie mam zamiaru wracać do Moskwy, zapamiętaj to sobie. Co?

Wydało mu się, że coś powiedziała, specjalnie tak cicho, żeby nie dosłyszał. Nic jednak nie mówiła, po prostu bezgłośnie poruszyła wargami.

- Nie, nic... Słucham.

- Tak, słuchasz... Słuchasz i myślisz: ojciec - łajdak nie chce zatroszczyć się o syna, zawsze myślałaś o mnie tak podle! Tę podłość wpoiliś i swojemu synowi.

Dawniej też cierpiała, słuchając jego obelg i pretensji, teraz cierpienie to wróciło, czuła z przerażeniem, że znów nie może opanować lęku przed nim, lęku szczególnie upokarzającego w tej chwili, gdy mowa jest o ratowaniu syna, ich syna.

W słowach męża wyczuła wrogość wobec Saszy, chce się odgrodzić od jego nieszczęścia. Jak on śmie teraz wylewać swoje żale i urojone krzywdy? Jak ona może bać się go, skoro idzie o życie Saszy? Nie wolno jej się bać, nie ma prawa się bać, jest matką!

- Gdybyś był przy tym, jak go wyprowadzali...

Powiedziała to z goryczą. Z nim jednak trzeba było rozmawiać głośno, prawie krzyčeć, żeby usłyszał.

- Oczywiście, oczywiście, to znowu moja wina, ja jestem winien, ja... Ty jesteś męczennica, ofiara, a ja jestem łajdak, rozpustnik, zabawiam się, piję...

Boże! Nawet takie nieszczęście w niczym go nie zmieniło, znowu robi się purpurowy, wydyma wargi, przedrzeźnia ją. Czekala na jego przyjazd, liczyła na pomoc - ojciec, mężczyzna! Jak w ogóle może myśleć o czymś innym, niż o Saszy? Nie ma prawa myśleć o niczym innym! Zmusi go do tego. Sofia Aleksandrowna podeszła do biurka, wyciągnęła podanie do prokuratury.

- Przeczytaj!

Na jego twarzy pojawił się wyraz niezadowolenia i irytacji. Ta głupia kobieta znowu każe mu zajmować się tą beznadziejną sprawą. Komu potrzebne to jej podanie, kto to będzie czytać?

Nie mógł się jednak wykręcić. Klótnię w takiej chwili wszyscy ocenią jednoznacznie. A Paweł Nikołajewicz chciał nadal uchodzić w oczach ludzi za porządnego człowieka i dobrego ojca. Nie, nikt nie będzie mógł powiedzieć: "Nawet podania nie chciał przeczytać!"

Co ona tu ponawypisywała! "Pisze do was matka... Oddajcie mi mojego syna..." Naiwne, sentymentalne, nieprzekonujące! "Zwracam się do sprawiedliwego i łaskawego rządu..." Słowa, słowa! "Wiem, że mój syn jest niewinny..." Kto w to uwierzy? "Jeżeli nawet zawinił, to nieumyślnie, przecież to jeszcze dziecko..." Ładne dziecko, dwadzieścia dwa lata! Jaki błąd, po co potwierdzać jego domniemaną winę?

Sofia Aleksandrowna siedziała na tapczanie ze zwieszoną głową, słuchała tych komentarzy nie zwracając uwagi na ich złośliwość, która miała wykazać jej głupotę: o, nawet podania nie umie napisać! Dobrze, to niech on poprawi, byle tylko pomóc Saszy!

- Napisz tak, jak powinno być.

Popatrzył na nią niepewnie, zrozumiał, że popełnił błąd. Podanie i tak nic nie pomoże, więc nie ma znaczenia, jak będzie napisane, kto je napisze. Teraz wypadnie mu pisać je

samemu, a co można napisać, nie mając pojęcia o charakterze oskarżenia?

- Wiesz co - powiedział Paweł Nikołajewicz - właściwie to można wysłać i w takiej formie... Gdyby skreślić to o winie, i to "oddajcie mi mojego syna..." Reszta jest w zasadzie dobra... Tak, to można wysłać.

- Dobrze - powiedziała Sofia Aleksandrowna i zabrała podanie. - Poprawię.

Na nic innego nie liczyła. A podania i tak nie wysła bez Marka Aleksandrowicza.

- Kiedy wyjeżdżasz?

Znowu wybuchnął:

- Chyba wiesz, że jutro muszę być w pracy!

- Potrzebuję pieniędzy - powiedziała twardo. - Wszystko do paczek kupuję w sklepie komercyjnym.

O mało krew go nie zalała. Jest zwykłym inżynierem, żyje z samej pensji, ale pieniędzy nie żałuje. Tylko co za ton, ona żąda, tak, zawsze chodziło jej wyłącznie o jego pieniądze!

Wyciągnął sto pięćdziesiąt rubli.

- Więcej nie będę mógł dać.

I znowu noc. Znowu obudził Saszę metaliczny zgrzyt zasuw. Zjawił się wczorajszy strażnik, we dwójkę długo przemierzali niezliczone korytarzyki. Tak samo jak poprzednio strażnik pobrzękiwał pękiem kluczy u pasa, tak samo stukał nimi o klamki drzwi lub o stalową poręcz schodów uprzedzając, że prowadzi więźnia. Sasza znów liczył piętra i utwierdził się w przekonaniu, że zesli na parter. Z otwartych drzwi na końcu korytarza dobiegały głosy, słychać było nawet śmiech, pachniało innym, nie więziennym życiem. Tym razem Diakow nie świecił mu lampą w oczy, widocznie stosował ten sposób tylko na pierwszym przesłuchaniu. Tego dnia nie miał na sobie munduru, lecz brązową marynarkę, a pod nią granatowy sweter. Skinieniem głowy kazał Saszy usiąść, po czym wrócił do pisania. Pisał, odczytywał tekst, znów pisał, w ogóle nie zwracał uwagi na Saszę. Oddzielał ich tylko masywny kałamarz i równie masywny bibularz. Sasza pomyślał, że bardzo łatwo byłoby złapać ten bibularz i roztrzaskać nim Diakowowi głowę. Na tym krześle siadają różni więźniowie, wśród nich może przecież znaleźć się taki, któremu przyjdzie na to ochota. Wszystko tutaj zostało przewidziane, każdy krok, każdy ruch, a o tym jakoś nie pomyślano. A może są przekonani, że nikt się na to nie odważy? Może jest tu jakieś sekretne urządzenie alarmowe, włączające się po dotknięciu kałamarza? Oczywiście stąd się nie ucieknie, ale człowiek w przypiływie rozpaczy może coś takiego zrobić. A jednak Diakow niczego się nie boi. Być może prawdziwych więźniów przesłuchują gdzie indziej.

Diakow zebrał zapisane kartki i wyszedł z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi. Miał na sobie brązowe spodnie, wpuszczone w filcowe walonki. Na widok ciepłego ubrania Diakowa Sasza poprzez swoje trzewiki od razu poczuł chłód cementowej posadzki.

Wszystko było inaczej niż na poprzednim przesłuchaniu. Wydawało się, że Diakow zajęty jest jakąś o wiele ważniejszą i pilniejszą sprawą, a Saszę przyprowadzono tu tylko dlatego, że Diakow kazał go wezwać, zanim jeszcze dowiedział się o zmianie planu pracy na dzisiaj. Po cywilnemu i w walonkach wygląda całkiem zwyczajnie i nie urzędowo, wychodzi, zostawia Saszę samego przy biurku, na którym leżą różne papiery, nie boi się, że Sasza do nich zajrzy, nie obawia się też nagłego ciosu ciężkim kałamarzem.

W korytarzu trzasnęły drzwi, dały się słyszeć głosy. Diakow z kimś rozmawiał, potem wrócił, niezgrabnie stąpając w swoich walonkach, zamknął drzwi, usiadł za biurkiem, poszperał w szufladzie, wyciągnął cieniutką teczkę - był w niej protokół z poprzedniego przesłuchania - szukał jeszcze czegoś, po chwili nie przestając grzebać w szufladzie i nie patrząc na Saszę, spytał:

- No więc, Pankratow, co dziś powiecie?

Zadał to pytanie tak jakoś mimochodem, spokojnie, nawet życzliwie, jakby zupełnie nie pamiętał ich ostatniej rozmowy.

- Widzicie... - zaczął Sasza.

- Aha, jest! - Diakow znalazł wreszcie potrzebny papierek i znowu wyszedł z pokoju.

Po jakimś czasie wrócił, złożył papiery, wsunął je do szuflady, usiadł, otworzył teczkę Saszy.

- No więc, Pankratow? Przemyśleliście sobie to wszystko, tak jak wam radziłem?

- Przemyślałem. Ale nadal nie mam pojęcia, o co chodzi.

- Niedobrze... - Diakow pokręcił głową. W jego głosie była nagana, ubolewanie, jakby chciał powiedzieć, że Sasza sam się pogrąża.

Zamyślił się, wskazał na teczkę z aktami sprawy.

- Chcecie to przeciągać?

- Nie wiem, o jakich kontrrewolucyjnych rozmowach mówiliście poprzednio.

Diakow zachmurzył się.

- Nie jesteście szczerzy, Pankratow. Chcecie skierować naszą uwagę na jakieś sprawy instytutowe, a nie na to, co najważniejsze. Zresztą to, co mówiliście, też się nie klei. Wiele rzeczy zatailiście. Nie jesteście w porządku. To dla was charakterystyczne.

- Co zataiłem? - zdziwił się Sasza.

W tym momencie do pokoju wszedł starszy mężczyzna o twarzy Eskimosa, ubrany w ciemnogranatowy garnitur, dobrze dopasowany do ciężkiej, nawet zwalistej figury.

Diakow wstał. Mężczyzna wskazał mu krzesło, sam usiadł obok.

- Kontynuujcie.

I uważnie przyjrzał się Saszy. Sasza zrozumiał, że to przełożony Diakowa, ale w spojrzeniu nieznanego było coś więcej niż zwykle zawodowe zainteresowanie kolejnym przesłuchiwanym. Zaświtała nadzieja: ten człowiek może odmienić jego los.

- No więc, Pankratow - powiedział Diakow - na czym to stanęliśmy?

- Mówiliście, że coś zataiłem. Co zataiłem?

- Wystarczy przejrzeć protokoły z zebrań egzekutywy. Ubiegaliście się o protekcję wysoko postawionych osób...

Popatrzył na Saszę wyczekująco.

Tak. Wszystko jasne. Chodzi o Marka, o Budiagina, może nawet o obydwoh razem. Aluzja jest przejrzysta. Celowo nie powiedział "wysoko postawieni towarzysze", tylko "wysoko postawione osoby". Nazwisk nie wymienił. No, niech wymieni! Od Saszy ich nie



usłyszy.

- Kogo macie na myśli?

- Pankratow!

Diakow wykrzywił twarz w uśmiešku pełnym wyrzutu i potępienia.

- Nieładnie, Pankratow! Nie bawcie się tu z nami w kotka i myszkę. Wiemy więcej, niż się wam wydaje. Chcecie zmusić nas do mówienia, a my chcemy, żebyście to wy mówili, to leży w waszym interesie. Wstawiali się za wami Riazanow i Budiagin, sami to przyznaliście na zebraniu, a teraz udajecie głupiego.

I znów nie "towarzysze Riazanow i Budiagin", tylko "Riazanow i Budiagin".

- Nie ubiegałem się o niczyją protekcję - sprostował Sasza. - Opowiedziałem o wszystkim mojemu wujowi Riazanowowi, ale nie prosiłem go o żadne wstawiennictwo. On sam, bez mojej wiedzy, poprosił Budiagina, żeby zadzwonił do dyrektora instytutu, Glińskiej.

- Przypuśćmy - zgodził się Diakow. - Dlaczego jednak nie powiedzieliście o tym poprzednim razem? Dlaczego nie podaliście tych nazwisk? A wymieniliście wiele osób - wyciągnął z teczki wąski papierek, którego Sasza przedtem nie widział - Baulin, Łozgaczew, Azizjan, Kowalow, a Riazanowa i Budiagina nie wymieniliście. Dlaczego?

Sasza zastanawiał się gorączkowo. Teraz każde jego słowo może okazać się fatalne w skutkach dla Marka i dla Iwana Grigoriewicza. Chodzi o nich, to jasne. O co mogą być oskarżeni?

- Nie przywiązywałem do tego znaczenia. Są to czysto rodzinne związki. I zupełnie nie rozumiem, dlaczego was to aż tak interesuje.

Powiedział to twardo, tak jak mówi się o sprawie, o której nie chce się i nie będzie dyskutować. Diakow wskazuje mu drogę, ale on tą drogą nie pójdzie.

Diakow popatrzył na niego uważnie, z zainteresowaniem, a nawet, jak się Saszy wydało, z pewnym niepokojem.

- Rozpatrzenie sprawy u Solca też zorganizował wasz wujek?

- Nikt niczego nie organizował. Sam tam poszedłem.

Diakow uśmiechnął się ironicznie.

- Ludzie czekają miesiącami, żeby dostać się do Solca, a wy przyszliście i gotowe: od razu przyjął, od razu rozpatrzył sprawę... Kto w to uwierzy, Pankratow?

- Kiedy właśnie tak było - powiedział Sasza. - Wszedłem do gabinetu, zobaczył mnie, zapytał o co chodzi...

- Taki szczęśliwy przypadek?

- Możliwe... Czy nie miałem prawa zwrócić się do CKKP? Czy mój wuj nie miał prawa wstawić się za mną? Gdzie tu moja wina? Trzymacie mnie tu nie wiadomo za co i po co!

Twarz Diakowa znów wykrzywiła się w grymasie. Nie odezwał się, tylko z ukosa popatrzył na swojego przełożonego, jak gdyby demonstrując tamtemu z kim on, Diakow, ma do czynienia, a może czekał na jakiś komentarz. Człowiek o eskimoskiej twarzy nie jednak nie powiedział, wstał ciężko i wyszedł z pokoju.

Diakow zasępił się i innym już tonem oświadczył:

- Wasza wina polega na tym, że nie jesteście szczerzy i uczciwi wobec partii. Zatailiście jeszcze wiele innych rzeczy. Wymieniliście wszystkich swoich oskarżycieli, ale ani słowem nie wspomnieliście o swoich obrońcach. A przecież waszą sprawą zajmowało się wiele osób... Na przykład ten Kriworuczko...

Sasza wyczuł niebezpieczeństwo. Wszystko może zawalić się w całkiem nieoczekiwanym miejscu. Co do Marka i Budiagina, to sytuacja jest jasna, nie powiedział i nie powie nic, co mogłoby im zaszkodzić, ale Kriworuczko... "Ten kucharz będzie pichcić ostre dania..." Kriworuczko powiedział to o Stalinie. Jeżeli Sasza o tym wspomni, to nie tylko pograży się sam, ale i wyspie Kriworuczkę. Jeżeli przemilczy, to faktycznie okaże brak szczerości i dobrej woli.

- Byłem u niego dwukrotnie. Za pierwszym razem podstemplował mi decyzję o wydaleniu, za drugim załatwiał ponowne przyjęcie na uczelnię.

Diakow roześmiał się.

- To was wyrzucają, to przyjmują, to do więzienia wsadzają... I co, Kriworuczko nic wam nie powiedział?

- Wydawał mi się przygnębiony, przecież wydalono go z partii.

- Was też wydalono. I co, nie znaleźliście żadnego wspólnego tematu do rozmowy?

Diakow przez cały czas nie spuszczał z niego wzroku. Może wie? Może domyśla się czegoś? A może bada tylko grunt, może zauważył zmieszanie Saszy?

- Czyżby w ogóle nie skomentował tego, że was wyrzucili, a potem znów przyjęli? - naciskał Diakow. - Tak zupełnie o nic nie pytał? A przecież to wy broniliście go na egzekutywie!

- Opowiedziałem tylko, jak to się odbyło...

- A jednak... I co on na to? Po prostu przyłożył pieczętkę?

Nie, nie można się poddawać. Diakow chce go przycisnąć, osaczyć, odciągnąć uwagę od najważniejszego, od Marka i Budiagina, skołować...

- Nie mogło dojść do żadnej szczególnej rozmowy. On jest zastępcą dyrektora, a ja

zwykłym studentem.

Diakow patrzył na niego przenikliwie.

- A my mamy informacje, że Kriworuczko prowadził antypartyjne rozmowy z innymi studentami. I akurat wam, człowiekowi pokrzywdzonemu, w dodatku swemu obrońcy, nic nie powiedział. Dziwne!

Kriworuczko zna Marka, przekazywał pozdrowienia. Nie, nie wolno nic mówić.

- Tak właśnie było.

Diakow nie spuszczał z Saszy uważnego spojrzenia. Nagle jego twarz rozciągnęła się w złośliwym uśmiechu. Z tym uśmiechem sięgnął po czysty formularz protokołu przesłuchania.

- No dobrze, my jesteśmy cierpliwi, poczekamy, aż zdecydujecie się mówić prawdę, i przypomnicie sobie to, co powinniście sobie przypomnieć.

\* \* \*

Tym razem protokół zaczynał się od słów: "W uzupełnieniu moich wcześniejszych zeznań..." i zawierał przyznanie Saszy, że bywał w gabinecie Kriworuczki oraz występował w jego obronie na posiedzeniu egzekutywy, zaś Janson i Siwierski występowali w obronie Saszy. O Marku i Budiaginie nie było żadnej wzmianki.

Wszystko zostało zaprotokołowane zgodnie z tym, co mówił Sasza, ale mimo to, tak samo jak poprzednim razem, protokół wzbudził w nim niejasne poczucie zagrożenia. Nie potrafił jednak uświadomić sobie, gdzie ono tkwi. Zażądał więc tylko uzupełnienia, że u Kriworuczki bywał w celu załatwienia swoich spraw.

- Jesteście studentem, to oczywiste, że zachodziliście tam załatwiać sprawy.

"Czort z nim!" Sasza podpisał protokół.

- Nie otrzymuję paczek od matki, i to mnie niepokoi. Oprócz tego proszę o książki i gazety z biblioteki.

Diakow pokręcił głową.

- W śledztwie to niedozwolone. Gdybyście byli z nami szczerzy, to szybko uwinęlibyśmy się ze śledztwem, i dostalibyście to, o co prosicie. I weźcie pod uwagę, Pankratow, że nasze następne spotkanie będzie już ostatnim. - Diakow wskazał palcem sufit - mnie też rozliczają. Chciałbym zakończyć tę sprawę z pozytywnym dla was skutkiem. Weźcie to pod rozwagę.

Tak, albo Mark, albo Iwan Grigoriewicz, albo nawet obaj. Uczciwi, oddani partii

komuniści! Budiagina zna słabo, ale o Marku wie wszystko, ręczy za niego, nie dopuszcza nawet myśli, że Mark... Aresztowanie Marka to takie samo nieporozumienie, jak i jego aresztowanie, ba, coś więcej: on ma za sobą tę nieszczęsną historię w instytucie. Marka nie obciąża: znakomity inżynier, wybitny działacz gospodarczy, wspaniały, bezinteresowny człowiek, prawdziwy komunista, całe jego życie to praca, praca i tylko praca. I jego zamknąć? Może jest gdzieś blisko, w tym samym korytarzu, tuż obok? Mark, krótkowidz, chory na serce, tutaj, w takiej samej celi?

Nie może być mowy o jakiejś winie Marka, jest pewien jego uczciwości. Jeżeli uznają, że kryje Riazanowa, to niech sobie uznają! Jest gotów dzielić z Markiem jego los. Tak się złożyło, tak wyszło, nic się nie poradzi, trzeba pretrzymać, przyjdzie czas, że i on, i Mark udowodnią swoją niewinność.

Wszystko jasne, nie ma się co zastanawiać. Jest szczery wobec partii, niczego nie ukrywa, nie zataja, o Marku nie może powiedzieć nic złego. Koniec. Kropka.

Niepokoilo tylko jedno... Kriworuczko... Jedyna kwestia, w której czuł się niepewnie. Nie powiedział prawdy, zataił. Może rzeczy nieważne, nieistotne, ale zataił. Chce mieć czyste sumienie. Kriworuczko psuł to wrażenie czystości i jasności.

W dzień zjawił się nieznajomy strażnik z kartką papieru i ołówkiem.

- Napiszcie zamówienie do biblioteki.

Zezwolili! Sasza nie wiedział, ile książek i na jak długo może wypożyczyć, nie zdradził się jednak ze swoją niewiedzą. Z doświadczonym więźniem personel liczy się bardziej, niż z niedoświadczonym.

Tołstoj - "Wojna i pokój", Gogol - "Martwe dusze", Balzac - "Stracone złudzenia", Stendhal - "Pustelnia parmeńska", najnowsze numery czasopism "Krasnaja now", "Nowyj mir", "Oktiabr", "Mołodaja Gwardija", "Zwiezda". Pisał bez zastanowienia, nie było czasu, strażnik czeka, więzień powinien z góry wiedzieć, czego potrzebuje, pisał więc to, co przychodziło mu do głowy, najważniejsze, to dostać te książki, jak najgrubsze, żeby starczyło do następnego razu, który nie wiadomo kiedy nastąpi.

Jedną tylko pozycję wpisał z rozmysłem - "Kodeks postępowania karnego RFSRR". Nie dostanie go, to jasne. A jednak wpisał - "Kodeks postępowania karnego RFSRR". Chciał w ten sposób wyrazić protest przeciwko swojej sytuacji.

Dlaczego Diakow zezwolił na korzystanie z biblioteki? Chce go pozyskać? W interesie Diakowa leży raczej uczynienie pobytu Saszy w więzieniu na tyle nieznośnym, by zmusić go do zeznań. Boi się naruszyć przepis, zezwalający na korzystanie z biblioteki? Litość? Dla oskarżonego o kontrrewolucję nie ma litości. A może to wcale nie zasługa Diakowa, może

po prostu przypadek, tak jak ten prysznic poza kolejnością. Szkoda. Wykryją pomyłkę i nie przyniosą tych książek.

Jednakże następnego dnia zjawił się kolejny strażnik, w rękach trzymał paczkę, owiniętą w białą szmatę z żółtymi śladami przypaleń. Sasza poznał ją od razu, przez tę szmatę prasował w domu spodnie. A więc zgoda nie tylko na książki, ale i na paczki!

- Nazwisko?

- Pankratow.

- Podpiszcie.

Strażnik podał mu spis zawartości paczki i ogryzek ołówka. Spis sporządzony był ręką mamy, poznał jej zamaszyste, niewyraźne pismo, i tylko słowo "czekolada" dopisał ktoś inny wyraźnymi, jak gdyby kaligraficznymi literami. Połowa spisu była wykreślona ołówkiem kopiowym.

Sasza przeglądał zawiniątka i paczuszki, starannie ułożone przez mamę, a potem rozgrzebane cudzymi rękami... Bułka paryska, ser, gotowane mięso, kiełbasa - wszystko porozcinane na kawałki podczas kontroli, masło zawinięte w pergamin, cukier, zmiana bielizny, skarpety, chusteczki do nosa. A więc mama żyje, wystąpiła to wszystko w kolejkach, wie, gdzie on jest.

- Można odesłać bieliznę?

- Zapakujcie.

Zawinął brudną bieliznę w szmatę. Ten przyżółcony żelazkiem kawałek białego płótna przyniósł mu zapach domu, jego domu.

- Napiszcie, czego potrzebujecie.

Na odwrocie kartki Sasza napisał: "Wszystko dostałem. Nie przysyłaj niczego oprócz białego chleba, mięsa i bielizny. Wszystko w porządku, jestem zdrowy, całuję. Sasza".

- Ołóweczek! - zażądał strażnik.

Ten skrawek papieru Sofia Aleksandrowna oglądała, obmacywała, czytała dziesiątki, setki, tysiące razy - symbol cierpienia jej syna, jego gorzkiego losu, ale i świadectwo, że Sasza żyje. Pokazywała karteczkę wszystkim: Michaiłowi Juriewiczowi, sąsiadce Gali, Milicy Pietrownie, siostrze, Wari Iwanowej i Maksowi Kostinowi... Niczego nie trzeba, wszystko w porządku, jestem zdrowy, całuję... To mógł napisać tylko on, jej dobry, dzielny chłopiec.

Wszystko nabrało nowego sensu. Zmięta karteczka, bielizna przesiąknięta zapachem więzienia, chleb i mięso, o które prosił Sasza - bez tych namacalnych drobiazgów nie mogła sobie uzmysłwić, że jej syn żyje. Wieczory i noce przestały być tak samotne - znów jest przy nim, wie, co robi w każdej minucie, czuje każdy jego ruch. Bolało ją serce - to znak, że źle się czuł; nie mogła zasnąć - on leżał na pryczy z otwartymi oczami; ogarniały ją fale obezwładniającego strachu - Saszę prowadzili na przesłuchanie, a on męczył się, miotał, cierpiał. Przypomniła sobie, jak zbiła go kiedyś w dzieciństwie, upierał się, żeby nie szła do teatru, płakał wtedy - nie z bólu, lecz z upokorzenia, a ona skrzywdziła go, takiego malutkiego... TERAZ bije go życie.

Mark rozmawiał o Saszy z wysoko postawionymi i wpływowymi ludźmi. Wierzyła Markowi, Mark nie kłamał, nie uspokajał, zrobił wszystko, co mógł. A jednak jeszcze bardziej niż jemu wierzyła kobietom w więziennych kolejkach. Tam wszystko było jasne, proste i sprawiedliwe. Te słabe kobiety broniły swoich najbliższych, ogrzewały ich własnym ciepłem, które traciły stojąc na mrozie, zaspokajały ich głód tym, co ujmowały ze swoich skąpych przydziałów, przez grube kamienne mury słały im swoją miłość i nadzieję. Sofia Aleksandrowna bez strachu myślała teraz o kolejkach pod więzieniem: tam nie czuła się samotna. Nie złagodziło to jej cierpienie, nie usunęło dojmującego uczucia odrębności. Musiała jednak robić to, co inni. Świat, który dawniej wydawał się tak straszny, żądał działania, a działanie zmniejsza strach. Kobiety pouczyły ją, jak odnaleźć Saszę, jak zorganizować przekazanie paczki i co przesłać, gdzie się zwrócić, do kogo i co napisać. Zwracać się i pisać należało właśnie tam, gdzie radziły. Uzyskała posłuchanie u prokuratora do spraw nadzoru nad organami GPU. "Po zakończeniu śledztwa zostanie obywatelka poinformowana o jego rezultatach" - odpowiedź, którą kobiety z kolejki z góry przewidziały, lecz która była mimo wszystko ważna: teraz prokurator zwróci uwagę na sprawę Saszy, to może wiele zmienić. Kolejka wiedziała, co robić, kiedy Saszę już osądzą, kolejka знаła drogę, ta droga - to też droga życia, ludzie idą i po niej, to uspokajało bardziej

niż nadzieje i obietnice. to, dokąd Saszę ześlą, zależy od tego, czy syn domyśli się, by zażądać badania lekarskiego: ma słabe oskrzela, może trafić nad Wołgę, a nie na Syberię. Jeżeli zadzwonią do niej i powiedzą, żeby przywieźć ciepłe rzeczy, to oznacza Syberię albo Północ, jeżeli nie powiedzą, to Azja Środkowa.

I kiedy przyszedł administrator, Wiktor Iwanowicz Nosow, była już na to przygotowana; w kolejce uprzedzono ją, że pokój Saszy zostanie opieczętowany, administrator ma taki obowiązek, choć zapewne niezręcznie jest mu go spełniać. Bała się tylko, że ze zmieszania administrator będzie się zachowywać ordynarnie i na ten wypadek ułożyła sobie w myślach specjalne zdanie:

“- Wiktorze Iwanowiczu - miała zamiar powiedzieć - jeżeli będzie pan rozmawiać ze mną spokojnie, to lepiej pana zrozumieć.”

Wiktor Iwanowicz wcale jednak nie kłął.

- Taki porządek, Sofio Aleksandrownno. Przyjdzie czas, to odpieczętujemy. I pani będzie spokojniejsza. Wie pani, jacy są u nas ludzie, wleżą - nie wyrzucisz. Jeśli trzeba przenieść jakieś rzeczy, to przyślę dozorcę. Niepotrzebne graty zostawić, pokój należy do pani.

Dawał jej do zrozumienia, że nie należy wynosić wszystkich mebli, i Sofia Aleksandrownna wiedziała, o co chodzi: dopóki pokój nie jest opróżniony, nikt nie może go samowolnie zająć. Pomoc dozorcę odrzuciła: trzeba by mu zapłacić, a pieniędzy nie ma.

Opróżniła nie pokój, w którym spał i uczył się Sasza, lecz swoją sypialnię. Musiała wynieść stamtąd wszystko, co było jej potrzebne, a upchnąć w sypialni biurko Saszy, tapczan i wieszak.

Przy tym zajęciu zastała ją Waria. Szybko zdjęła płaszcz i wzięła się do pomocy, przenosiła stosy bielizny, suknie, dywaniki, poduszki, prześcieradła, niczego nie upuszczając, nie gubiła, od razu wiedziała, gdzie co położyć, i układała tak, żeby wszystko się zmieściło.

Pomoc tej dziewczyny sprawiała Sofii Aleksandrownie przyjemność, z przyjemnością obserwowała też ją samą. Sofia Aleksandrownna myślała czasem, że być może postępuje źle, włączając Warię do swojego życia, lecz współczucie Wari, jej chęć pomocy były tak szczerze i niewątpliwe, że nie można było jej odtrącić. Również i teraz pomoc dziewczyny nadawała ich pracy pozory zwyczajnych domowych czynności, zwykłego przemeblowania i, aby zachować to wrażenie, Sofia Aleksandrownna nic Wari nie mówiła. Czuła jednak, że opuszcza ją dotychczasowa odwaga. Mąż odszedł, syna zabrali, teraz zabierają pokój... Tę sypialnię dawno już trzeba było odstąpić Saszy. Dorosły mężczyzna, na pewno krępowało go mieszkanie w przechodnim pokoju, a ona myślała tylko o swojej wygodzie. Jakież to

egoizm z jej strony! A Sasza nigdy nawet o tym nie wspomniał, jej kochany, skromny chłopiec.

Żelazne łóżko nie dawało się rozebrać, ułamała się noga od szafy, komody nie dawało się ruszyć z miejsca, choć wyjęły z niej wszystkie szuflady.

Wrócił z pracy Michaił Juriewicz, zjawiła się sąsiadka Gała, oboje pomogli przesunąć szafę i komodę, rozebrali łóżko, przenieśli do sypialni tapczan Saszy, jego biurko i etażerkę. Sofia Aleksandrowna rozłożyła na biurku przybory do pisania, ustawiła kilka książek Saszy, powiesiła firankę.

Waria wyszła od Sofii Aleksandrowny dopiero wtedy, gdy skończyły, choć wiedziała, że w domu czeka na nią Serafim, ten sam młodzieńcy słuchacz szkoły wojskowej, którego Maks przyprowadził na Nowy Rok.

Tenże Serafim - zjawił się jednak, nie zniknął - zadzwonił wtedy do Wari i umówił się z nią na placu Arbackim. Poszła ot tak, dla śmiechu, zabrała ze sobą Zoję i jeszcze jedną dziewczynę. Przyjaciółki zostały na drugiej stronie ulicy, widziały, jak do Wari podszedł młodzieńcy wojskowy, jak oboje poszli Arbatem. Dziewczyny szły przeciwległym chodnikiem, dawały Wari jakieś niezrozumiałe znaki, i ona też dawała im znaki, których nie rozumiały... Serafim zaprosił ją na tańce do Domu Armii Czerwonej. Waria nie mogła wtedy pójść, wybierała się do kina. Wiedziała jednak, jak trudno jest dostać się do Domu ARmii Czerwonej, i obiecała Serafimowi, że pójdzie z nim w następną sobotę. Serafim umiał tańczyć wszystkie nowoczesne tańce, zaczęli więc chodzić tam co tydzień, a przyjaciółki zazdrościły jej tych potańcówek.

Waria pogodziła się z jego zabawnym imieniem, w końcu jeden z braci Znamienskich też ma na imię Serafim. Oczywiście nie jest taki jak koledzy z podwórka - tutejsze, moskiewskie, arbackie chłopaki - jest prowincjonalny, nieśmiały... Jednak adorował ją na poważnie, to schlebiało Wari, czuła się dorosła, no, a poza tym Ninka nie mogła mieć jej za złe tej przyjaźni, przecież Serafim to przyjaciel Maksa, a Maks nie może mieć nieodpowiednich przyjaciół.

W domu Nina przywitała Warię zirytowanym spojrzeniem: już od godziny Serafim wiercił się na tapczanie z książką w ręku, szelest przewracanych kartek drażnił Ninę, przeszkadzał jej w pracy - poprawiała uczniowskie zeszyty. Jej pełne potępienia spojrzenie zdawało się mówić: "Umówiłaś się z człowiekiem, to przychodź na czas, nie mam obowiązku zabawiać twoich kawalerów!"

Waria nie wyjaśniła Ninie powodów spóźnienia. Powie, ale potem. Kazała Serafimowi wyjść na korytarz, musiała się przebrać.



Lustro wisiało na drzwiach szafy. Waria uchyliła drzwi tak, żeby stanąć bokiem do światła, i zaczęła się przebierać. To też drażniło Ninę, przecież Waria ma na sobie całkiem ładną sukienkę, mogłaby w niej iść. A jak wkłada pończochę! Wypręża nogę, nieruchomieje, napawa się własną urodą. I ten zwyczaj chodzenia półnago po pokoju! Skąd się to wzięło? U szesnastoletniej smarkuli!

- Nie zapominaj, że ktoś na ciebie czeka.

- Tak - potulnie odpowiedziała Waria. I równie potulnie spytała: - Mogę wziąć twoje pantofle?

Nina nie miała ochoty pożyczać swoich jedynych wyjściowych pantofli, ale chciała też, żeby Waria wyniosła się jak najprędzej.

- Weź.

Waria wyciągnęła pantofle, długo obracała je w rękach, oglądała, a po włożeniu znów wyprężyła nogę, lubując się jej widokiem, wreszcie skończyła toaletę, otworzyła drzwi.

- Wejdz, Serafim.

Już po włożeniu płaszcza i chustki i skontrolowaniu swego wyglądu w lustrze Waria odwróciła się ku siostrze:

- Byłam u Sofii Aleksandrowny. Pomagałam przenosić rzeczy.

Waria wymierzyła Ninie cios instynktownie, ale celnie: nawet o tym, co dzieje się w domu Saszy, Nina dowiaduje się od niej.

Oczywiście ani Nina, ani nikt inny nie może pomóc Saszy. Co mogliby zrobić? Nie wiedzą nawet, o co jest oskarżony! A jednak czuje się winna wobec Saszy, winna już choćby dlatego, że jest na wolności, a Sasza siedzi w więzieniu. On, najlepszy spośród nich! A wszyscy milczą. Przedtem miała nadzieję, że całe to nieporozumienie zostanie wyjaśnione, ale teraz opieczętowali pokój, to znaczy, że Saszy nie zwolnią. Co dalej? Przyznać, że Sasza to wróg władzy radzieckiej? Odzegnać się od niego? Porzucili Saszę w nieszczęściu, opuścili go, zostawili samego. Owszem, zachodziła do Sofii Aleksandrowny, wyrażała swoje współczucie. I co z tego? Komu potrzebne to jej współczucie?

Trzeba napisać list. Zebrać podpisy, przecież Sasza był sekretarzem ich organizacji komsomolskiej, napisać, że poręczają za niego. Maks podpisze, i WAdim, i Lena, i inni. I dyrektor szkoły, nauczyciele, którzy znali Saszę. Nina uczyła w szkole, którą kończyła kiedyś razem z Saszą, i miała nadzieję, że uda się zebrać te podpisy. Jurka nie podpisze - czort z nim. Zadzwoiła do Leny i Wadima, umówili się na następny dzień u Leny. Potem zeszła do matki Maksa i poprosiła o przekazanie mu, żeby zajrzał do niej nazajutrz.

Niewesołe było to spotkanie. Lena milczała, otulała się chustką. Trzeba podpisać list -

proszę bardzo. Maks wyglądał smutno. Wiedział, że ich list nie ma sensu, zdawał sobie sprawę z następstw tego kroku, ale nie chciał odmawiać, żeby Nina nie posądziła go o tchórzostwo. Tylko Wadim powiedział:

- Kochani, a co właściwie da taki list? Pomoże Saszy? A jeżeli zaszkodzi, jeżeli skomplikuje sprawę? Wezwą nas: co wiecie o Pankratowie? Tak, w szkole był dobrym komsomolcem. Ale do szkoły chodziliśmy sześć lat temu. Jaki jest teraz? Czy wiecie, co wydarzyło się w instytucie? Opowiadał wam? A co wam opowiadał? A potem wezwą Saszę: "co opowiadaliście swoim kolegom?" Nie poddaję w wątpliwość uczciwości Saszy. Po prostu usiłuję sobie wyobrazić, jak to będzie wyglądało.

- Więc mamy zostawić Saszę na pastwę losu? - spytała Nina.

- Dlaczego na pastwę losu? Przecież tam badają jego sprawę. Dlaczego mamy zakładać, że nie dojdą prawdy? My znamy Saszę, wiemy, jaki on jest, ale oni przecież na pewno sprawdzą jego opinie, charakterystyki. Aresztowali go nie dlatego, że nazywa się Pankratow, tylko w związku z jakąś konkretną sprawą. A my nie mamy pojęcia, co to za sprawa.

- Powinniśmy podtrzymać Saszę na duchu - powiedziała Nina.

- Pomyśl rozsądnie - perswadował Wadim. - Sasza nie dowie się nawet o naszym liście. Przeciwnie, zaczną go wypytywać o każdego z nas, a to tylko skomplikuje sytuację.

- Boisz się, że zapytają o ciebie?

- Niczego się nie boję! - Wadim zaczerwienił się.

Wszyscy rozumieli, że ma słuszność: Nina też rozumiała. Ale jest jeszcze coś gorzkiego, haniebnego - po prostu boją się o siebie. Pokonanie tego strachu było rzeczą trudniejszą od wysłania listu.

- A może poradzić się taty? - spytała Lena.

- Słusznie! - podchwyciła Nina w nadziei, że Iwan Grigoriewicz na pewno odradzi wysłanie tego niefortunnego listu. On, Wadim, i tak niczego nie podpisze, podjął już stanowczą decyzję. Jedyne Maksym, ze swoim zdrowym chłopskim rozsądkiem, rozumiał, że nie należy stawiać Iwana Grigoriewicza w niezręcznej sytuacji.

- Czy to warto - powątpiewał. - Sami powinniśmy zdecydować.

Gdy pili herbatę, do pokoju wszedł Iwan Grigoriewicz w towarzystwie Aszchen Stiepanowny.

- Tato - powiedziała Lena - co zrobić z Saszą?

- A co można zrobić?

- Chcemy napisać list do GPU.

Budiagin zmarszczył brwi.

- I komu potrzebny ten wasz list?

- Coś jednak trzeba zrobić - powiedziała Nina.

- Dadzą sobie radę i bez was - gniewnie odparł Budiagin.

Po powrocie Budiagina z zagranicy Stalin nie przyjął go ani razu, choć Iwan Grigoriewicz mógł zdać mu relację z wielu spraw, nie poruszonych w raportach dyplomatycznych, a równocześnie bardzo istotnych w aktualnej sytuacji międzynarodowej. Prosił o to spotkanie. "Czekajcie, wezwą was". Czekał ponad rok. To nie był przypadek, tak samo jak nieprzypadkowe było to, że nie wybrano go do nowego KC. Ambasador w największym mocarstwie europejskim, realizował politykę dyktowaną przez Komitet Centralny, ale miał też prawo przedstawić Komitetowi Centralnemu swój własny punkt widzenia.

Ze Stalinem jednak nigdy nic nie wiadomo. Na zesłaniu przestał rozmawiać z towarzyszem, który zażartował z jego zwyczaju spania w skarpetkach. Na Syberii Stalin sprawiał wrażenie szczególnie bezbronnego, stale marzył i dlatego sypiał w skarpetkach. Był posiadaczem jedwabnej pikowanej pstrokatej kołdry. Z tego również żartowano. Wszystkie żarty Stalin uważał za wyszydzanie swojej słabości, nieprzystosowania. Przestali więc żartować. Nie można było z nim się spierać - nie umiał przegrywać. Silny akcent gruziński, zawily styl, którym się posługiwał, powodowały, że nie był dobrym mówcą: również w dyskusjach sprawiał wrażenie całkiem bezbronnego, i nikt nie chciał sprawiać mu przykrości. Nie sprawiać przykrości znaczyło - nie sprzeciwiać się.

Spory i różnice poglądów nie przeszkadzały zesłańcom w zgodnym wspólnym życiu. Stalin jednak nigdy nie wyciągał ręki do zgody - przeciwnik ideowy był dla niego wrogiem osobistym. Uważał za rzecz najzupełniej naturalną i oczywistą, że towarzysz niedoli oddawał mu swoje walonki, których sam potrzebował. Nigdy jednak nie wzięłyby walonek od kogoś, z kim przedtem się spierał. Ze swoimi kapryсами, obrażaniami się, skłonnością do uciążliwych niesnasków był naprawdę nieznośny. Inni polowali, chodzili na ryby i tylko on nigdzie nie chodził, wieczorami siadywał przy oknie i pracował w świetle lampy naftowej. Budził współczucie ten samotny nieprzejednany Gruzin osadzony w głuchej syberyjskiej tajdze, w chłopskiej chacie na skraju wsi, wśród miejscowych, z którymi nie umiał się zżyć. I towarzysze wiele mu wybacжали.

Budiagin jako jedyny zbliżył się jakoś ze Stalinem. Młody chłopak, robotnik z Motowilichy, po raz pierwszy w życiu zetknął się z mieszkańcem Kaukazu, uzalił się nad tym Gruzinem, rzuconym w mrozy Syberii, w warunki, w których nie każdy Rosjanin był w stanie wytrzymać. Budiagin wyświadczał mu więc różne przysługi, pomagał jak mógł, Stalin traktował to jako rzecz oczywistą. Iwanowi Grigoriewiczowi było tu łatwiej niż

innym: znał się na kowalstwie, na ślusarce, dobrze posługiwał się siekierą, umiał naprawić pług i strzelbę, lubił łowienie ryb, zwłaszcza nocne, jesienne, z łuczywem płonącym na dziobie łodzi. W milczeniu słuchał sporów swoich wykształconych towarzyszy, ich rozmów, rozważań, dużo czytał, uczył się też angielskiego. Większość uczyła się niemieckiego i francuskiego i tylko Stalin nie interesował się językami. Zesłańcy dawali Budiaginowi książki, tłumaczyli, wyjaśniali. Stalin też mu tłumaczył i wyjaśniał. W jego bezpośredniości, w wyniesionym jeszcze z seminarium duchownego zamiłowaniu do rozważań, w niewzruszonym mniemaniu, że jego wiedza to absolutny szczyt mądrości tkwiła siła przekonania imponująca wówczas Budiaginowi bardziej niż błyskotliwa elokwencja innych. Z czasem przestało mu to imponować, szybko się rozwijał, spotykał na swojej drodze ludzi bardziej wykształconych i inteligentniejszych niż Stalin. A jednak te osiem miesięcy wspólnego zesłania zapadło mu nie tylko w pamięć, ale i w serce - pierwsze zetknięcie się ze sprawą, która stała się sprawą całego życia.

Spotykał się ze Stalinem także i podczas wojny domowej. To właśnie wtedy Stalin zaczął odgrywać znaczącą rolę. Jego wola, energia mogły dobrze służyć rewolucji; takie cechy jak nielojalność, bezwzględność, dążenie do władzy absolutnej nie były wtedy zbyt istotne, rewolucja wymaga skrajności. Jednakże na etapie stabilizacji wady te stawały się niebezpieczne. Stalin zaczynał dysponować władzą niepodzielną i przez nikogo nie kontrolowaną. Właśnie przed tym ostrzegał Lenin w swoim liście. Dla Stalina miernikiem oddania idei było oddanie jego osobie. Tam, gdzie Riazanow dostrzegał koniec, Iwan Grigoriewicz widział dopiero początek. Przypuszczał, że zmiany dokonają się na zjeździe. Zmiany nie nastąpiły. Potwierdziwszy na zjeździe swoją wyjątkowość, Stalin zacznie teraz umacniać swoją wyłączność.

Budiagin każde działanie rewolucji uważał za swoje działanie, każdy błąd traktował jako swój błąd, każdą niesprawiedliwość - jako własną niesprawiedliwość. Było w nim męstwo prawdziwego rewolucjonisty: czuł się osobiście odpowiedzialny za losy ludzi wciągniętych w wir społecznej zawieruchy. Padali wokół niego - winni, niewinni - lecz on wierzył, że wytycza drogę nowemu pokoleniu, że wielkość prawdziwej rewolucji zawiera się nie w tym co ona burzy, a w tym kogo tworzy.

Stalin wyróżnił Riazanowa. Iwan Grigoriewicz nie miał jednak złudzeń. GDy kogoś powołują w skład KC, nie mogą nie wiedzieć, że jego krewny przebywa w więzieniu. Aresztowany siostrzeniec będzie piętą achillesową Riazanowa, zmusi go do wierności człowiekowi, tolerującemu taką okoliczność. Skoro tak, to interwencja Budiagina w sprawie Saszy może najwyżej jeszcze bardziej skomplikować jego stosunki ze Stalinem.

A jednak nie mógł nie interweniować. Ci młodzi w pokoju Leny, zastanawiający się, jak pomóc Saszy - to widok, który zmusza do działania. W nich, młodych, tak czystych i szlachetnych, widział kontynuatorów sprawy rewolucji. I oto on, stary bolszewik, który przygotowywał i tworzył tę rewolucję, nie może udzielić im odpowiedzi, nie może oznajmić, że Saszę aresztowano słusznie; wie, że to nieprawda. Nie może też powiedzieć, że aresztowali go bez powodu, bo wtedy musiałby im wytłumaczyć, dlaczego taka rzecz jest możliwa.

I chociaż rozumiał, że interwencja nie przyniesie żadnego skutku, zadzwonił do Bieriezina. Znał go jako uczciwego, odważnego czekistę. Powiedział Bieriezinowi, że ręczy za Saszę Pankratowa i prosi o wyjaśnienie jego sprawy.

Bieriezin lepiej od Budiagina i lepiej od Riazanowa wiedział, że Pankratow jest całkowicie niewinny - Bieriezin znał jego sprawę. Był na przesłuchaniu Saszy i wyczuł w nim porządnego chłopaka. Pod gęstą czarną brodą dostrzegł młodą, szczerą, męzną i uczciwą twarz. I to zwięzłe, pełne godności "...nie wiadomo za co i po co!", ten uśmiech młodości, która niczego się nie lęka, która wszystko ma jeszcze przed sobą. Bieriezin wiedział jednak o wielu rzeczach, o których ani Budiagin, ani Riazanow nie mieli nawet pojęcia, domyślał się też tego, czego oni nie mogli się domyślać.

Łominadze, w przeszłości jeden z przywódców Kominternu, w rozmowie z Szackinem i Syrcowem przedstawił swój punkt widzenia na kwestię rewolucji chińskiej, różniący się od punktu widzenia Stalina. Rozmowa ta posłużyła Stalinowi jako pretekst do ogłoszenia wszystkich trzech "prawolewackimi potworami". Łominadze został zdjęty ze stanowiska i skierowany na Ural w charakterze sekretarza komitetu miejskiego partii.

Wszczęto przeciwko niemu dochodzenie. Znalazło się w nim zeznanie Czera, byłego pracownika Kominternu, jakoby Łominadze przygotowywał utworzenie nowej Międzynarodówki. Czer, człowiek nieokreślonej narodowości, poddany wielu rządów, wymienił nazwiska ludzi, związanych ponoć z Łominadzem, a wśród nich Glińskiego, byłego działacza polskiej PPS-Lewicy, który oddał niebagatelne usługi Leninowi w okresie jego emigracji.

Żona Glińskiego jest dyrektorem Instytutu Transportu. W instytucie wykryto podobno podziemną organizację opozycyjną, na czele której stał zastępca Glińskiej, Kriworuczko, były uczestnik "robotniczej" opozycji. Jagoda natychmiast poszedł tym tropem. Powiązania żony Glińskiego z podziemną organizacją nadawały cień prawdopodobieństwa wątpliwemu świadectwu Czera - każda poszlaka wzbogaca sprawę i czyni ją bardziej przekonującą, każdy fakt jest ważny, każde nazwisko ma znaczenie, jeżeli tylko wiąże się ze sprawą i

pasuje do jej zasadniczej wersji.

Bieriezin rozumiał doskonale, że żadnego podziemia w instytucie nie było, że Sasza nie ma nic wspólnego z Kriworuczko, że Kriworuczko nie jest powiązany z Glińskim, że Glińskiego nic nie łączy z Łominadzem, a Łominadze nie miał zamiaru tworzyć żadnej nowej Międzynarodówki. Jednakże sprawę Łominadzego nadzoruje osobiście sam Jagoda, i sprawa ta, jak podejrzewał Bieriezin, sięga o wiele głębiej i dalej - dokąd, mógł się tylko domyślać... Jej podłoże zna Jagoda; Bieriezin wiedział, co to oznacza... Straszny i złowieszczy łańcuch. Uwolnienie Pankratowa może zostać ocenione jako wyrwanie jednego ogniwa z tego łańcucha - mało znaczącego, ale ogniwa. Jagoda do tego nie dopuści. Wyszyński też. Solc oczyścił Pankratowa z zarzutów, Wyszyński usankcjonował jego areszt. Pankratowa trzeba potrzymać w cieniu, nie ściągać na niego uwagi, tylko to może uratować chłopaka. Wszystko musi na razie zostać tak jak jest, niech Diakow kontynuuje swoją pracę, jego zadanie to sprawa z instytutu, o niczym więcej nie wie. Jedyną rzeczą, jaką Bieriezin zrobił dla Saszy, było zezwolenie na książki z biblioteki i paczki. Diakow wysłuchał tego polecenia z szacunkiem - zawsze słuchał Bieriezina z szacunkiem - choć domyślał się, że Bieriezin już wkrótce przestanie pracować tu, w centralnym aparacie organów ścigania. Książki i paczki to oczywiście złagodzenie rygorów, ale robi się tak czasem dla dobra śledztwa, to nie budzi zastrzeżeń.

- Wykonam - powiedział Diakow.

Pracę czekisty Bieriezin uważał za swój rewolucyjny obowiązek. Gdy w latach wojny domowej stał na czele czeKa, realizował czerwony terror, ale zdarzało mu się czasem wypuścić jakiegoś nieszczęsnego liberała albo zastraszonego burżuja, jeśli widział, że nie są groźni dla rewolucji. Z małej, lecz chwytilwej ręki Diakowa nikt nie mógł się wyśliznąć, trafić na niego od razu oznaczało - być winnym. Diakow nie wierzył w rzeczywistą winę ludzi, wyznawał zasadę winy ogólnej. Tę ogólną zasadę trzeba tylko umiejętnie dopasować do danego człowieka i stworzyć wersję konkretną. Po stworzeniu takiej wersji Diakow podporządkowywał jej siebie, śledztwo i podejrzanego. Jeżeli podejrzanym odrzucał wersję swojej konkretnej winy, to był to dodatkowy dowód jego wrogości wobec państwa, które Diakow we własnym mniemaniu tu reprezentował.

Wersja Diakowa (był szczerze przekonany o jej logiczności i niepodważalności) sprowadzała się do następujących wniosków: instytutem rządzi Kriworuczko, były opozycjonista, już bity, a co za tym idzie, obrażony na władzę radziecką, i zgodnie z logiką Diakowa, zdeklarowany raz na zawsze. Taki człowiek nie może nie działać: wróg nie śpi, wróg knuje, gdzie tylko może, szczególnie wśród politycznie niedojrzałych młodych ludzi. I

oto grupa takich ludzi wydaje antypartyjną gazetkę ścienną. Czy istnieje związek między tymi faktami? Nie może nie istnieć! Przywódca tych młodych ludzi, Pankratow, broni Kriworuczki. Czy to przypadek? To nie może być przypadek! Czy przypadkowo sprawa Kriworuczki zbiegła się w czasie ze sprawą Pankratowa? Kto w to uwierzy! Za Pankratowem stoi inspirator, były opozycjonista. Kriworuczko wciągnął Pankratowa, a to już organizacja kontrrewolucyjna.

W to, że Pankratow pęknie i wersja zostanie udowodniona, Diakow nie wątpił. Dzielił podejrzanych na ufnych w przebieg śledztwa, a co za tym idzie, wierzących władzy radzieckiej, i nieufnych, czyli tych, którzy władzy radzieckiej nie wierzą. Oprócz tego dzielił ich na drobiazgowych, czepiających się każdej litery protokołu, i nie drobiazgowych - ci się nie czepiają. Pankratow wierzy organom, nie czepia się drobiazgów, jest wstrząśnięty aresztowaniem, ma nadzieję na uwolnienie, szuka zaufania, jest niedoświadczony, prostoduszny, będzie osłaniać przyjaciół, wszystko weźmie na siebie, nawet aż za dużo. Łatwy przypadek.

Kriworuczko został aresztowany tej samej nocy co i Sasza. Zeznał, że słyszał o sprawie Pankratowa, ale szczegółów nie pamięta - w instytucie są tysiące studentów. W istocie Kriworuczko nie zapomniał, co mówił Pankratow na posiedzeniu egzekutywy, pamiętał, jak Sasza przychodził do niego z dokumentami. Nie przyznawał się do znajomości z Pankratowem nie dlatego, że mogło mu to zaszkodzić, nic nie mogło mu już zaszkodzić ani pomóc - to akcja przeciwko wszystkim, którzy kiedykolwiek należeli do jakiejś opozycji. I nie dlatego, że rozszyfrował wersję - nie wiedział nawet, że Pankratow jest w więzieniu. Zaprzeczał, bo wiedział, że każde wymienione przez niego nazwisko może tylko zaszkodzić człowiekowi, który je nosi.



Z biblioteki przesłano cztery książki, wśród nich nie było ani jednej z tych, które Sasza zamawiał, chociaż bibliotekarz starał się zachować pewne podobieństwo tematyczne. Zamiast “Straconych złudzeń” - “Cezar Biroteau”, zamiast “Wojny i pokoju” - “Dzieciństwo”, “Lata chłopięce” i “Młodość”, rocznik czasopisma “Przyroda i ludzie” za 1905 rok, “Krasnaja now” numer 2 z 1925 roku. Wszystko zaczytane, podarte, z niebieskim owalnym stemplem “Biblioteka Butyrskiego Więzienia Miejskiego”. Balzak - wydanie z 1899 roku, Tołstoj - z 1913. Wielu stron brakowało, opis braków na końcu książek był też niepełny. Mimo to Sasza miał przed sobą tydzień świętowania. Najpierw przejrzał czasopisma, potem przeczytał książki, następnie znów czasopisma. W “Krasnej nowi” znalazł wiersz Jesienina “Mgła granatowa, śnieżne przestworza”. Wiersza tego przedtem nie znał. “Cezara Biroteau” już kiedyś czytał, dawniej historia pechowego bohatera tej książki wydawała mu się melodramatyczna, teraz wzruszała... “Nieszczęście uskrzydla geniusza, oczyszcza chrześcijanina, jest skarbem dla spryciarza, otchłanią dla człowieka słabego...” Nie jest geniuszem ani chrześcijaninem, nie jest spryciarzem ani też człowiekiem słabym. A jednak w słowach tych odnalazł coś ważnego i dla siebie.

Przez tydzień rozkoszował się książkami, świeżą bielizną, smakołykami przysłanymi przez mamę. Wrzucał kawałeczki mięsa do zupy i ogrzane w ten sposób dodawał do kaszy - obiad nabierał cech jadalności. Rano i wieczorem robił sobie kanapki z bułki, masła, kielbasy i sera - zapach szkolnego śniadania tłumił smród więzienia. Syty, rozleniwiony, kładł się na pryczy i czytał. W dzień nie wolno było leżeć, ale Sasza nie zwracał uwagi na pokrzykiwania nadzorców, czepiali się tylko wtedy, gdy nadchodził ktoś z komendantury. Tydzień sytego, leniwego życia, pełnego książek, kielbasy i czekolady. Sprawiało to wrażenie, że przyzwyczał się, pogodził, zadomowił... “Uspokojeni i pogodzeni, wszyscy chcąc nie chcąc tam się znajdziemy...” To nie przekonywało, ale usypiało.

Życie przedstawione w książkach i czasopismach nie miało nic wspólnego z jego obecnym życiem, z minionym zresztą też. Cierpienia, uwiecznione na kartach “Dzieciństwa” i “Młodości” Tołstoja różniły się od doświadczeń jego dzieciństwa i młodości.

Powiedział wtedy ojcu:

- Nie pozwolę krzywdzić mamy!

Ojciec popatrzył na niego swoimi wytrzeszczonymi oczami, potem ukrył twarz w dłoniach.

- Dobry synek... - i rozplakał się.

Ojciec to ojciec. Jaki był, taki był, ale Sasza pamiętał z dzieciństwa dotyk jego ręki. Chciał pocieszyć go, poprosić o wybaczenie. Ojciec oderwał dłonie od twarzy. Jego spojrzenie było złe, odpychające.

- Kto ci dał prawo się wtrącać?

- To moja mama.

Przez kilka następnych dni ojciec w milczeniu wstawał rano, golił się, mył, ubierał, kontrolował swój wygląd w lustrze, w milczeniu siadał do stołu, w milczeniu jadł, zbierał papiery do teczki, coś mruzczał i nie żegnając się wychodził do pracy. Po powrocie obrzucał dom złym spojrzeniem, bez słowa jadł obiad, hałaśliwie odsuwał talerze, nie odpowiadał na pokorne pytania matki. Dopiero późnym wieczorem, gdy rodzice zamykali się w swoim pokoju, Sasza słyszał jego stłumiony głos, a mama milczała i milczała, i Sasza bał się, że od tego milczenia pęknie jej serce.

Potem ojciec powiedział do niego:

- Muszę z tobą pomówić.

Wyszli z domu, powędrowali Arbatem. Płatki śniegu mrowiły się w świetle ulicznych latarni. Ojciec był w wysokiej futrzanej czapce, kołnierz przy palcie był z tego samego futra, szedł obok Saszy - wysoki, elegancki, gładko wygolony, stanowczy, nie znoszący sprzeciwu.

...Nie chciał mieszać syna do ich spraw, to ona od dziecka wpajała Saszy niechęć do ojca, ona jest winna rozpadu ich małżeństwa, ona nigdy nie podzielała jego dążeń i ambicji, wołała swoje siostry i brata. Zazdrość - tylko do tego jest zdolna.

Saszę ogarnął beznadziejny smutek. Co może wytłumaczyć ojcu tu, na ulicy, ojciec słabo słyszy, trzeba by krzyżeć.

Powiedział więc tylko:

- Jeżeli ludzie nie mogą żyć ze sobą, to powinni się rozejść.

Po miesiącu ojciec wyjechał do jefremowskiej fabryki syntetycznego kauczuku. Tak w wieku szesnastu lat Sasza musiał wziąć wszystko na swoje barki.

Diakow nie wzywał go, lecz Sasza przyjmował to obojętnie. Pierwszego przesłuchania oczekiwał z nadzieją, drugiego ze strachem, teraz nie odczuwał już ani nadziei, ani strachu. Spokoju nie dawała mu tylko myśl o Kriworuczce. Mogą go przecież aresztować, i Kriworuczko przyzna się, że powiedział Saszy o tym kucharzu. Wtedy Diakow przyłapie Saszę na kłamstwie, a to oznaczałoby brak zaufania w kwestiach dotyczących Marka.

Po co Kriworuczko to powiedział? W jak głupiej sytuacji go postawił! Gaduła! Jak postąpiłby Sasza, gdyby sprawą Kriworuczki zajęła się egzekutywa? Tak, tam powiedziałby

o tym zdaniu... Niech towarzysz Kriworuczko wyjaśni, co miał na myśli! Dlaczego tutaj miałby postępować inaczej? Właściwie dlaczego ma kryć Kriworuczkę?

Opowie wszystko, jak było, i zrzuci z siebie ten ciężar. Będzie mieć czyste sumienie, a potem niech oni decydują... "Syberia okrutna, Syberia daleko, a przecież i tam żyją ludzie..." Skąd to?

Przebywa w więzieniu, leży, czyta, opycha się kiełbasą, czekoladą, każdej nocy śpiewa sobie pod gorącym prysznicem, myśli, wspomina... Wyrosła mu broda, gładzi ją, chciałoby się zobaczyć, czy z brodą mu do twarzy, ale nie ma lustra.

Znów zjawił się strażnik z kartką i ołówkiem, zabrał książki. Sasza zamówił nowe tytuły. Wymienił ich aż dziesięć, a nuż któryś z nich będzie dostępny. Powtórzył "Wojnę i pokój", "Stracone złudzenia", dodał grube miesięczniki ze stycznia, lutego i marca, Stendhala, Babla, "Zmierzch cesarstwa rzymskiego" Gibbona - zaczął to czytać tuż przed aresztowaniem - Gogola, którego lubił, i Dostojewskiego, którego nie lubił, przez to też trzeba będzie przebrnąć. I ponownie kodeks, niech wiedzą, że domaga się go stanowczo. Diakow na pewno przegląda te zamówienia. Niech więc i Diakow wie, że Sasza chce znać swoje prawa.

W ciągu tych dwóch dni bez książek wróciło poprzednie poczucie rzeczywistości. Znowu te głuche ściany, przytłaczająca cisza, czujne oko wizjera, szorowanie kubła, podłe jedzenie i zgaga - zapasy z paczki skończyły się.

Myślał o Kati, o jej gorących rękach i suchych, spierzchniętych wargach... Nie mógł spać, wstawał, chodził po celi. Strażnicy zabraniali takich nocnych spacerów.

- Kładźcie się!

Kładł się więc, ale nie mógł zasnąć, gdy wreszcie zasypiał, dręczyły go ciężkie sny, natrętne wspomnienia, jak to kiedyś, kiedy miał siedemnaście lat...

Kiedy miał siedemnaście lat, pojechał z mamą do Lipiecka. Do gospodyni, u której mieszkali, przyjechała synowa z Samary, jej mąż był tam kolejarzem. Nazywała się Jelizawieta Pietrowna - szczuplutka blondynka w szlafroku, niedbale narzuconym na gołe ciało. Patrzyła na Saszę spod przymrużonych powiek, uśmiechała się dwuznacznie, taka pretensjonalna drobnomieszczaneczka z Samary. A jednak ten dwuznaczny uśmiech, to ciało widoczne pod rozchylnym szlafrocikiem, ten zapach tanich perfum niepokoiły Saszę. W dzień leżała zazwyczaj w sadzie w rozpiętym szlafrociku i wystawiała ku słońcu białe zgrabne nogi. Sasza nie patrzył w jej stronę, wyczuwał jedynie białą plamę poduszki pod jabłonią, pstre kolory szlafrocka, nagie zgrabne nogi o krągłych kolanach, czuł na sobie jej wzrok, jej uśmiech.

- Sa-szszsza... - powiedziała kiedyś, rozciągając "sz".

Podszedł, usiadł obok.

- Saszsa - ciągnęła odwracając ku niemu twarz, szlafroczek rozsunał się, Sasza zobaczył białe szczupłe ramię i małą pierś. - Sasza... gdzie się pan podziewa przez cały dzień? Pewnie ugania się pan za dziewczętami? Proszę mi opowiedzieć...

Nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa, patrzył na jej szczupłe, ściśnięte nogi, na małą białą pierś... Słońce przypiekało, gdzieś w pobliżu brzęczała osa, powietrze przesycone było zapachem jabłek. Sasza nie mógł wstać, nie mógł się poruszyć, czuł ze wstydem, że ona wszystko widzi, wszystko rozumie, uśmiecha się tym swoim dwuznacznym uśmiechem, a w duchu drwi sobie z niego.

- Wciąż pan czyta i czyta, zaczyta się pan na śmierć.

Wyjęła z jego rąk tom Anatola France'a.

- Nie oddam.

Schowała książkę za plecami. Sięgnął po nią, ich ręce splotły się ze sobą, poczuł żar bijący z jej ciała, szybkim złodziejskim spojrzeniem obrzuciła furtkę, odchyliła głowę do tyłu, jej oddech stał się ciężki, twarz przybrała jakiś nieobecny, tajemniczy wyraz. Objęła Saszę gorącymi ramionami, przyciągnęła do siebie, ich wargi zetknęły się, opadła na plecy...

Potem zaglądała mu w oczy, śmiała się.

- Popatrz, co narobiłeś... Trzeba będzie pracować. Nie było ci przyjemnie, co? To nic, kochany, to tylko tak za pierwszym razem, ty przecież pierwszy raz, prawda?

Było mu wstyd, unikał jej, lecz nazajutrz przy obiedzie powiedziała:

- Sasza, niechże pan będzie mężczyzną i zabierze mnie na łódkę.

- Popłynij, Sasza - poparła ją mama; uważała, że Sasza nudzi się w Lipiecku.

Popłynęli na drugi brzeg Woroneża - tak nazywała się rzeczka w Lipiecku - i tam, na łące, oddała mu się chłodno i rzeczowo.

W nocy przyszła do niego, spał na tapczanie w jadalni, a potem przychodziła co noc, w dzień zaś płynęli na drugą stronę rzeki.

- Szczepiła się diablca z dzieciakiem, tfu, wywłoka jedna - syczała teściowa.

Mama nic nie zauważyła.

Przyjechał mąż Jelizawiety Pietrowny, podejrzliwie przyglądał się Saszy, usłyszał pewnie coś niecoś od swojej matki. Jelizawietta Pietrowna grała rolę czulej żony, Saszę przedstawiała jako beznadziejnie zakochanego smarkacza. Przeciągając żartobliwie słowa mówiła przy mężu:

- Oto i mój kawaler...

Saszę napawała wstrętem jej pretensjonalność, drażniły go szepty, dochodzące z pokoju, w którym spali małżonkowie. Wkrótce zresztą musiał wyjechać na praktykę do fabryki, matka została w Lipiecku, on zaś wrócił do Moskwy. Po tych wakacjach przez dłuższy czas unikał kobiet.

Kiedyś w fabryce zorganizowano subotnik, sprząтали teren, rozładowywali drzewo, wywozili śnieg. Robotnica z trzeciego wydziału, Pola, wysoka i ładna dziewczucha, pracowała obok niego, żartowała, zaczepiała, a gdy skończyli pracę, powiedziała cicho:

- Chodźmy do mnie, ogrzejemy się.

I jeszcze ciszej dodała:

- Jestem dziś sama.

Nie poszedł, zbyt jednoznacznie to proponowała. Teraz żałował, że nie poszedł.

Krew burzyła się w ciele, nie dawała spokoju, wiedział, do czego może doprowadzić samotność, i bał się tego. Rano i wieczorem gimnastykował się, nie kładł się w dzień, chodził z kąta w kąt, ustalił dzienną normę - dziesięć tysięcy kroków, prysznic brał tylko zimny, szedł spać jak mógł najpóźniej, wstawał jak najwcześniej.

Po dwóch dniach dostał książki, i znów pogrążył się w lekturze. Czytał jednak przy stole, na siedząco, oparty o ścianę. Dostał dwa pierwsze tomy Gibbona, "Braci Karamazow" i zamiast "Martwych dusz" - "Tarasa Bulbę".

W celi zjawił się drugi lokator - chudy wycieńczony chłopak w wytartej jesionce, podartych butach i cyklistówce. Wprowadzili go do celi, potem przynieśli pryczę, materac i koc.

Nazywał się Sawielij Kuskow, był studentem trzeciego roku Moskiewskiego Instytutu Pedagogicznego, siedział w Butyrkach już piąty miesiąc. Spędził z Saszą dwa dni, potem go zabrali, została tylko pusta prycza.

Wywarł na Saszy wrażenie człowieka, jeśli nie chorego psychicznie, to w każdym razie mocno rozstrojonego. Całymi godzinami leżał na pryczy nie odzywając się ani słowem, potem zrywał się nagle, chodził po celi, roztrzącał sprzęty, pośpiewywał cichutko "Chabry, chabry na polach... tyle chabrów dokoła". To monotonne mamrotanie wiersza Apuchtina jeszcze bardziej potęgowało wrażenie nienormalności.

Nie wyszedł na spacer, nie chciał pójść z Saszą pod prysznic, nie gimnastykował się. W Moskwie nie miał ani krewnych, ani bliskich, nie dostawał paczek, więzienne posiłki zjadał dopiero wtedy, gdy całkiem już wystygły, byle jak opłukiwał miskę i obojętnym wzrokiem przyglądał się, jak Sasza starannie myje swoją. Mama przysłała właśnie drugą paczkę,

Sasza wyłożył wszystko na stół, ale Sawielij niczego nie tknął. Gibbona potrzymał w ręku i odłożył. O Gogolu i Dostojewskim powiedział, że już to czytał. Nie interesował się sprawą Saszy, o swojej opowiadał zupełnie beznamiętnie. Pochodzi z rejonu siewieskiego, ich wieś leży w strefie przygranicznej, wybierał się do domu na wakacje, matka napisała, że krucho u nich z drobną monetą - ani co sprzedać, ani kupić, reszty nie wydadzą. Zaczął więc zbierać srebrniaki, przy rewizji znaleźli u niego dwadzieścia osiem rubli i czterdzieści kopiejek, i oskarżyli go o zamiar ucieczki za granicę - tym bardziej, że studiował języki obce. Przyznał się do wszystkiego, śledztwo zostało już zakończone, czekał teraz na wyrok.

- Po co się przyznawałeś?

- A jak udowodnić? - obojętnie spytał Sawielij.

- To nie ty musisz udowadniać, a oni.

- No i udowodnili. Srebro gromadziłem.

Idiotyczne, bezsensowne. Chociaż... Gdyby powiedział komuś, że siedzi z powodu gazetki ściennej albo wujka, też nikt by nie uwierzył.

Sawielij ożywał się tylko wtedy, gdy snuł więzienne opowieści o ucieczkach. Przepiłowują kraty, wchodzą na dach, z niego na drugi, skaczą na mur, z muru na ulicę. Niedawno uciekli dwaj waluciarze, wyskoczyli z czwartego piętra na jezdnię.

Choć Sasza znał więzienie od niedawna, rozumiał, że ucieczka jest niemożliwa. Nie spierał się jednak z Sawielijem. Dziwił go tylko prymityw współtowarzysza. Próbował rozmawiać z nim po niemiecku, pamiętał ze szkoły kilka słów. Sawielij dobrze władał niemieckim, mówił płynnie, bez przerw, rozpraszając tym samym podejrzenia Saszy, że być może w ogóle nie jest studentem.

Z nie mniejszym ożywieniem Sawielij rozprawiał o więziennym szpitalu. Wszystko tam jest, różne gabinety, elektroliza i dentysta. Czyrak, wrzód, lumbago - od razu leczenie, prowadzą co dzień na zabiegi, albo nawet położą na salę - a tam mleko, białe bułki... O mleku i bułkach mówił wręcz z zachwytem - tym dziwniejszym, że sam prawie nic nie jadł.

Powiedział też o paru rzeczach ważnych i dla Saszy. Jeżeli w celi zjawi się lekarz i spyta - "Co dolega?" - to znaczy, że skazali cię na zesłanie; jeżeli chcesz na południe, do Azji Środkowej albo Kazachstanu, to mów, że masz gruźlicę, reumatyzm, ischias albo zapalenie korzonków; chcesz na Północ - skarż się na serce. Jeżeli lekarz nie przyjdzie, to znaczy, że do łagru, wtedy nie masz wyboru.

Od Sawielija Sasza dowiedział się też, jaką nazwę nosi ich blok więzienny i pozostałe, gdzie się co mieści. Wieża obok spacernika to wieża Pugaczowska. Ten spacernik jest najmniejszy, jest i drugi, większy, najlepszy zaś to ten obok warsztatów, w których pracują

kryminalni, przez nich można przesłać gryps.

Trzeciego dnia Sawielija zabrali. Odchodził tak samo obojętnie, jak przyszedł. Przyszedł do nieznajomego i od nieznajomego odchodził.

Gdy jednak Sasza zobaczył w drzwiach wąskie, zgarbione, pokorne plecy Sawielija, gdy zobaczył, jak tamten wychodzi z celi - nie żegnając się i nie odwracając - poczuł nieskończoną więzienną drogę. Na tej drodze spotka jeszcze innych ludzi. Sawielij był pierwszym z nich.

- Towarzyszu Budiagin, łączę rozmowę.

Potem dobrze znany głos powiedział:

- Witaj, Iwanie!

Iwan Grigoriewicz nie przywykł zwracać się do Stalina po nazwisku, ale nie mógł jakoś zdecydować się na użycie imienia. Odpowiedział więc:

- Dzień dobry.

- Przyjechałeś, nie zaglądasz, zważniałeś, drogi zapomniałeś...

- Jestem gotów. Kiedy?

- Jak gotów, to przychodź. Mieszkamy koło siebie.

Ostatni raz Budiagin był u Stalina dwa lata temu, na miesiąc przed śmiercią Nadi. Później, przyjeżdżając do ZSRR, wszystkie sprawy załatwiał z ludowym komisarzem spraw zagranicznych Litwinowem, który cieszył się zaufaniem Stalina.

Koncepcja Stalina polegała na tym, że przeciwnikami ZSRR są Anglia, Francja i Japonia. Anglia widzi w ZSRR zagrożenie dla swojego imperium, Japonia - dla zdobyczy w Chinach, Francja - dla wpływów w Europie. Poza tym Anglia i Japonia to główni rywale USA na rynkach światowych. Zwyciężone Niemcy stanowią przeciwwagę dla zwycięskiej Francji.

Przy takim założeniu wszystkie zawile problemy stają się całkiem proste: Anglia, Francja i Japonia z jednej strony, ZSRR, USA i Niemcy - z drugiej. Stalin był bardzo dumny ze swojej umiejętności upraszczania najbardziej skomplikowanych spraw.

Koncepcję Stalina, zrodzoną jeszcze w czasach Republiki Weimarskiej, Budiagin uważał za przestarzałą, zaś skłonność Stalina do uproszczeń - za katastrofę. Dojście Hitlera do władzy zmienia układ sił. Wysuwa kwestię niemiecką na pierwszy plan.

Litwinow prawdopodobnie podzielał punkt widzenia Budiagina, ale nie ujawniał tego. Miał nadzieję, że czas wpłynie na zmianę stanowiska Stalina. "Laisser passer" - powiedział Budiaginowi.

Stalin nie znał Europy, gardził partyjnymi inteligentami z emigracji, chełpliwymi mądralami, ulepionymi z tej samej gliny, co i zachodni przywódcy robotniczy w smokingach i frakach. On sam wiódł w Rosji życie konspiratora, zsyłano go, uciekał, ukrywał się, a ci bezpiecznie żyli sobie za granicą, czytali, pisali, zdobywali rozgłos. W Londynie, na Piątym Zjeździe dobrze im się przyjrzał.

Przedtem Stalin bywał za granicą tylko w Tammerfors i w Sztokholmie. Tamte zjazdy



nie umywały się jednak do londyńskiego, w którym wzięło udział ponad trzystu delegatów: bolszewików, mienszewików, bundowców, polskich i łotewskich socjaldemokratów. Pierwszy i jedyny raz Stalin widział stolicę światowego mocarstwa, kapitalistyczny Babilon, twierdzę burżuazyjnej demokracji. Wśród pewnych siebie, wyrosłych w obcych i niezrozumiałych tradycjach ludzi on, nie znający języków, czuł swoją przygnębiającą nicość, poza tym zgubił szalik, kwiecień w Londynie był chłodny, poszli z Litwinowem kupić nowy, nie mógł trafić na odpowiedni, szorstka wełna gryzła go w szyję. Kupili najbardziej miękki, drogi, ale Stalin i tak kaprysił, kręcił głową i przeklinał Anglików. W pobliżu doków Litwinow odszedł na chwilę, gdy wrócił, STalina zaczepiali dokerzy: być może spytali go o coś, a on nie odpowiedział, nie znał języka. Litwinow, człowiek odważny i władający angielskim jak rodowity londyńczyk, przepędził dokerów.

Litwinow opowiadał Budiaginowi o szaliku, ale o zdarzeniu z dokerami nigdy nie wspominał. Stalin by mu tego nie wybaczył: w dzieciństwie słaby i wątpy, był chorobliwie wyczulony na wszystko, co poddawało w wątpliwość jego odwagę i siłę fizyczną - cecha, która później przerodziła się w podejrzliwość.

Jeszcze na zesłaniu mawiał do Budiagina: chamstwu trzeba przeciwstawiać jeszcze większe chamstwo, ludzie uznają to za siłę.

W któryś z długich zimowych wieczorów Stalin sam opowiedział Budiaginowi o tych dokerach, że prawdopodobnie wzięli go za Hindusa, że chcieli się bić, ale dostali po mordzie i uciekli. Stalin bardzo lubił wyrażenie "dawać po mordzie".

- I to ta wychwalana angielska klasa robotnicza - powiedział. - Tacy sami kolonizatorzy, jak i ich panowie.

Przez ponad rok Budiagin zabiegał o spotkanie ze Stalinem, czuł się w obowiązku przedstawić mu swój punkt widzenia. Wiedział, jak trudno jest przekonać Stalina, człowiek ten z łatwością wyrzekał się swoich sympatii, ale z antypatii nie rezygnował nigdy. Budiagin wiedział jednak i to, że Stalin boi się wojny.

Teraz Iwan Grigoriewicz zrozumiał, że jego starania skazane są na niepowodzenie. Czas nie zmienił zapatrywań Stalina, czas zmienił samego Stalina. Obecnie bardziej niż kiedykolwiek przekonany był o swojej nieomyślności. Budiagin doskonale wiedział, czym się sprawa skończy, jeżeli wda się w polemikę ze Stalinem.

Na Kreml Budiagin poszedł nie Wozdwiżenką, jak chodził zazwyczaj, lecz ulicą Hercena, przeciął plac koło Maneżu i wzdłuż ogrodzenia Ogrodu Aleksandrowskiego doszedł do Bramy Troickiej; przedłużył drogę o kilka minut, chciał dokładnie przemyśleć sobie czekającą go rozmowę, a może po prostu odwlec spotkanie, które, jak przeczuwał,

miało fatalnie zaważyć na jego dalszych losach.

Iwan Grigoriewicz zawsze był daleki od wewnątrzpartyjnych rozgrywek. Nie włączał się też jednak do chóru pochlebców. To wystarczyło STalinowi.

Budiagin poszedł za rewolucją nie dlatego, że chciał walczyć o lepsze życie, ich rodzina żyła we względnym dostatku; i ojciec, i bracia, i on sam, wszyscy byli wykwalifikowanymi kowalami w zakładach Motowilichy. Zakłady te, państwowe, nie prywatne, uchodziły za jedno z najpotężniejszych w kraju, mówiono, że ich pięćdziesięcotonowy młot jest największy na świecie. Sama Motowilicha, położona na lewym brzegu Kamy, na trasie magistrali kolejowej, była przemysłowym i handlowym przedmieściem Permu, przedmieściem zaradnym, dostatnim i względnie trzeźwym.

Zdolnego młodego robotnika zauważył Mikołaj Gawriłowicz Sławianow, twórca spawania łukowego, i zatrudnił przy pierwszych pracach spawalniczych. Zetknięcie z najnowocześniejszą techniką, z jej wybitnymi twórcami pobudzało myśl. Budiagin zbliżył się z socjaldemokratami, było ich wielu wśród zakładowej inteligencji oraz w mieście, wśród zesłańców politycznych. Zapisał się na kursy ogólnokształcące przy politechnice w Tomsku, dające świadectwo dojrzałości i prawo do studiowania na tejże politechnice. Kadrowym rewolucjonistą uczyniła go pierwsza rewolucja rosyjska. W grudniu 1905 roku wziął udział w powszechnym strajku politycznym, potem w zbrojnych starciach z wojskiem. Aresztowano go i zesłano do Narymu.

Wszystko było jasne i proste, dopóki Budiagin walczył z caratem. Rewolucja też była zrozumiała - ostateczny cel ich walki, zwycięstwo ich idei. Skrajności miały swoje uzasadnienie, gniew ludu spadł na wielowiekowych ciemieńców, rewolucja broniła się.

Po wojnie domowej wszystko wróciło na swoje miejsce. NEP oznaczał nie tylko nową politykę ekonomiczną. Oznaczał nową jakość życia.

Jednakże to, co Lenin określał jako "na serio i na długo" trwało całkiem niedługo. Stalin zlikwidował NEP: twierdził przy tym, że wykonuje zalecenia Lenina. Lubił szermować nazwiskiem Lenina, powoływać się na niego, choć jeszcze na Syberii mówił Iwanowi Grigoriewiczowi, że Lenin zbyt słabo zna Rosję i dlatego wysuwa hasło nacjonalizacji ziemi, za którym, jak twierdził wówczas Stalin, chłopstwo nie pójdzie. Zaś w Carycynie przekonywał Budiagina, że Lenin nie zna się na sprawach wojskowych i wojennych. Rozumiał jednak znaczenie Lenina i jego roli w partii, i nigdy otwarcie mu się nie przeciwstawił. Gdy okazywało się w końcu, że Lenin miał rację, a Lenin zawsze miał rację, Stalin przyznawał mu słuszność i przedstawiał się jako wierny wykonawca woli Lenina. Również i teraz na każdym kroku powołuje się na Lenina, stwarza wrażenie, że był

niemal inspiratorem i inicjatorem leninowskich decyzji. Jednakże zamiast demokracji socjalistycznej, o którą walczył Lenin, Stalin stworzył zupełnie inny system.

Od czasu ostatniej wizyty Iwana Grigoriewicza w niewielkim mieszkaniu Stalina nic się nie zmieniło.

Stalin był sam, siedział przy stole. Na stole stała butelka wina z Aten, kieliszki, patera z owocami, dwie butelki narzanu, leżała otwarta książka. Stalin i w domu nosił półwojskowy strój ze spodniami wpuszczonymi w jasne safianowe buty, ozdobione malinowymi deseniami.

Odwrócił głowę. Policzki i podbródek zakrywały białą stójkę kołnierza, frencz marszczył się na brzuchu. Niskie czoło, znajome ślady po ospie, miękka, kształtna ręka. Budiagin rozumiał, że to ostatnie spotkanie.

Stalin powoli wstał, nie wyciągnął ręki, wciąż uporczywie wpatrywał się w Budiagina. Był niski, ale patrzył nie z dołu, nawet nie na wprost, tylko jak gdyby przez ciężkie, opuszczone powieki.

Iwan Grigoriewicz czekał, aż Stalin wskaże mu krzesło i przerwie niezręczną sytuację.

Stalin ruchem głowy wskazał okno.

- Klną tam na mnie?

Nie pytał o kraj, z którego przyjechał Budiagin, nie pytał o kraj, w którym obaj się znajdowali, pytał o cały świat, o całą ludzkość, o wszystko, co było tam, za oknem: w bezlitosnym azjatyckim bogu obudził się na chwilę samotny zesłany Gruzin z syberyjskiej chaty. Ale za oknem nie było głuchej tajgi, tylko ogromny, posłuszny jego woli kraj.

Pyta o to po swoim tryumfie na zjeździe, nadal nikomu nie wierzy. I chce jeszcze raz utwierdzić się w swojej nieufności, w swoich podejrzaniach, chce jeszcze raz sprawdzić, jaki jest Budiagin i tacy jak Budiagin.

- Zależy kto - odpowiedział Iwan Grigoriewicz. - Niektórzy klną.

Stalin wykonał niemal niedostrzegalny gest. Budiagin usiadł. Ściskając w dłoni fajkę Stalin przeszedł się po pokoju, chód miał nadal lekki i sprężysty.

- Jaki jest ten Riazanow?

Nieoczekiwane pytanie. Stalin przyjmował Riazanowa, słuchał go na posiedzeniu Biura Politycznego, wysunął do Komitetu Centralnego. Może naszły go wątpliwości w związku z aresztowaniem krewnego Riazanowa?

- Rzeczowy, kompetentny człowiek - odpowiedział Budiagin.

- Mówią, że zaczął jakieś nieplanowane inwestycje?

Do narkomatu dotarły sygnały, że Riazanow samowolnie buduje w mieście kinoteatr,

kompleks obiektów sportowych, a nawet zakłada kurort "Uralska Macesta".

- Piatakow wysłał tam komisję - powiedział Budiagin.

Stalin popatrzył mu prosto w oczy. Budiagin wiedział, co oznacza to spojrzenie, oznacza ono brak zaufania. Stalin nie jest zadowolony z jego odpowiedzi. Dlaczego? Przecież powiedział prawdę. Znał zresztą ten stalinowski sposób peszenia rozmówcy: okazywać nieufność tam, gdzie nie ma ku temu powodów, i udawać, że się wierzy, gdy są podstawy do podejrzeń.

Stalin powoli odwrócił wzrok, uśmiechnął się.

- Sergo zaproponował Riazanowa do KC. Sergo chce, żeby Komitet Centralny składał się z samych działaczy gospodarczych.

Zamilkł, czekając na reakcję Budiagina. Taki już jest charakter tego człowieka: Ordżonikidze zgłosił kandydaturę Riazanowa, a kandydatury Budiagina nie zgłosił.

Podnosząc głos Stalin powiedział:

- Przy całym naszym szacunku dla Sergo nie możemy przekształcać Komitetu Centralnego naszej partii w Prezydium Najwyższej Rady Gospodarki Narodowej. Komitet Centralny naszej partii to areopag, w którym zasiadają przedstawiciele gospodarki i armii, politycy i działacze kultury. W Komitecie Centralnym powinny być reprezentowane wszystkie siły naszej partii. Szczególnie młode siły.

Zatrzymał się na wprost Budiagina.

- Należy usunąć się na bok i ustąpić miejsca przedstawicielom ludu. Na czele państwa lud pragnie widzieć swoich synów, a nie nowych namiestników, nową szlachtę. Historia ludu rosyjskiego to historia walki ze szlachtą. Lud rosyjski kochał Iwana Groźnego, Piotra Pierwszego, a więc właśnie tych carów, którzy zwalczali bojarów i szlachtę. Wszystkie ruchy chłopskie od Bołotnikowa do Pugaczowa opowiadały się za dobrym carem i przeciwko szlachcie.

To, co mówi Stalin, można uznać za charakterystyczną dla niego dygresję historyczną. Historię znał dobrze, zwłaszcza historię kościoła i herezji kościelnych. Można jednak zinterpretować to inaczej: stare kadry partyjne są takie jak Budiagin - nowa szlachta. To właśnie ich nie chce lud rosyjski.

Stalin kontynuował:

- Dlaczego chłopstwo poparło rewolucję w guberniach centralnych, a nie poparło na obrzeżach państwa, dajmy na to, na Syberii? W guberniach centralnych chłop znał ziemianina, szlachcica, a na Syberii ich nie było. A gdy pojawił się szlachcic Kołczak, chłop syberyjski poparł rewolucję.

Stalin patrzył na Budiagina. Jego oczy pociemniały, stały się brązowe. Potem podszedł do okna i stojąc plecami do Iwana Grigoriewicza powiedział:

- Jednakże nie wszyscy młodzi to nowe siły. Jakoś tak w lecie jechałem Arbatem, patrzę, na rogu stoją młode nieroby w zagranicznych płaszczach, śmieją się. Powstaje pytanie, co jest dla nich ważniejsze: radziecka ojczyzna czy zagraniczny płaszcz?

Zaczął o młodzieży. To znaczy, że wie o staraniach w sprawie Saszy.

- Można nosić zagraniczny płaszcz i kochać radziecką ojczyznę - powiedział Budiagin.

- Tak myślisz? - Stalin odwrócił się ku niemu. - Ja tak nie myślę. Moje dzieci nie chodzą w zagranicznych płaszczach. Moim dzieciom podobają się nasze, radzieckie. Moje dzieci nie mają możliwości kupowania sobie zagranicznych płaszczy. Powstaje pytanie: skąd tamci je biorą?

Może ma na myśli Lenę? Ktoś mógł zauważyć złośliwie: "Córeczka Budiagina paraduje w zagranicznych sukniach!" Stalin zawsze zwracał uwagę na drobiazgi, zapamiętywał je i wykorzystywał w sytuacjach, gdy chciał wykazać swoją znajomość sprawy, był dumny z umiejętności uogólniania tych drobiazgów, wyciągania z nich wniosków.

- Ja też mam zagraniczny garnitur - powiedział Budiagin dając do zrozumienia, że podczas niemal dziesięcioletniego pobytu na Zachodzie i on, i jego rodzina musieli przecież kupować sobie ubrania.

Stalin zrozumiał aluzję, rozłożył ręce z żartobliwym uszanowaniem.

- No... Ty jesteś działaczem na skalę międzynarodową, gdzież nam do ciebie?

Powoli podszedł do Budiagina, wyciągnął nagle rękę, dotknął jego głowy.

- Zupełnie młody, czarnowłosy, przystojny...

Budiagin pomyślał, jak łatwo może spaść ta głowa, której Stalin właśnie dotyka. Jak gdyby odgadując jego myśl Stalin cofnął rękę, uśmiechnął się pod wąsem.

- Ty, Iwanie, zawsze lubieś dyskutować, zawsze byłeś zawziętym, niepoprawnym polemistą...

Znów podszedł do okna, znów odwrócił się plecami do Iwana Grigoriewicza, znów zaczął mówić:

- Kochamy naszą młodzież, młodzież to nasza przyszłość. Ale młodzież trzeba wychowywać. Z młodzieżą należy postępować tak jak sadownik postępuje z drzewem. Nie wolno jej schlebiać, nie wolno jej pobłażać, nie wolno wybaczać jej błędów...

Tak, to o Saszy. Stalin demonstruje swoją znajomość faktów. Jej małą część. Gdy zajdzie potrzeba, wykorzysta całą.

- Nie należy szukać u młodzieży taniej popularności - kontynuował Stalin. - Naród nie

lubi przywódców, zabiegających o tanią popularność. Lenin nie zabiegał, nie spacerował po ulicach. Naród nie lubi przywódców, używających pięknych słówek. Trocki - tak wspaniale przemawiał, i co z niego zostało?

To pod adresem Kirowa. Kirow chodzi piechotą po ulicach Leningradu, Kirow jest najlepszym mówcą w partii. Co się za tym kryje? Nie, Kirowa i Ordżonikidzego Stalin na razie nie zaatakuje, ich pora jeszcze nie nadeszła. Póki co Stalin zaczyna od niego, bada go jako człowieka zaprzyjaźnionego z Kirowem i Ordżonikidzem jeszcze z czasów obrony Astrachania i działań wojennych na Północnym Kaukazie. Właśnie po to go wezwał. Sprawy międzynarodowe nie interesują Stalina. Gdyby tak było, wezwałby go już rok temu.

Jak zawsze zdumiewała szczerść, z jaką Stalin wypowiadał się o bliskich mu ludziach, pewność, że jego słowa nie zostaną powtórzone. Gdyby Budiagin napomknął Kirowowi albo Ordżonikidzemu o tym, co tu usłyszał, wyszedłby na intryganta. Przecież Stalin nic złego nie powiedział, wspomniał jedynie o dążeniu Sergo do obsadzenia KC działaczami gospodarczymi i wyraził zupełnie naturalną troskę o bezpieczeństwo Kirowa, który tak otwarcie i swobodnie spaceruje po ulicach Leningradu.

- A tak na marginesie - spytał Stalin nie odwracając się - co to za człowiek ten Kodacki? Zdaje się, że był z tobą w Astrachaniu?

- Tak, był, kierował obwodową centralą rybną. Na pewno ty też go znasz, jest przewodniczącym leningradzkiej rady miejskiej.

Stalin udał, że nie zauważył ukrytej złośliwości, i powiedział spokojnie:

- Kodacki to zinowiewowiec.

- Kodacki? Przecież występował przeciwko Zinowiewowi - szczerze zdziwił się Budiagin.

- Tak, pozornie występował... - zgodził się Stalin. - Ale kiedy robotnicy leningradzcy zażądali wykluczenia Zinowiewa i Trockiego z partii, towarzysz Kodacki nie był tym specjalnie zachwycony. Wahał się. W takiej kwestii! I wtedy sam towarzysz Kirow zaproponował, żeby zwolnić go ze stanowiska sekretarza leningradzko-narewskiego komitetu rejonowego partii. Zwolnili. Potrzymani w Sownarchozie. A teraz wysunęli go na stanowisko przewodniczącego Lensowietu. Zamiast przewodniczącego Lensowietu Grigorija Zinowiewa mamy przewodniczącego-zinowiewowca. Jak powinna to oceniać leningradzka klasa robotnicza?

- Kodacki, o ile mi wiadomo, nie należał do opozycji - powiedział Budiagin. - A że okazał wahanie w kwestii organizacyjnej... Przecież nikt z nas nie jest wolny od tego rodzaju wahań, ani teraz, ani tym bardziej osiem lat temu.

- Nikt nie żąda krwi towarzysza Kodackiego - obojętnie powiedział Stalin i odwrócił się do Budiagina. - Jednakże w takiej organizacji partyjnej jak leningradzka należy być bardziej ostrożnym w doborze kadr. Zresztą partia zaufała towarzyszowi Kirowowi w kwestii doboru współpracowników według własnego uznania. Nie będziemy się wtrącać.

Ostatnie zdanie dawało do zrozumienia, że rozmowa o Kodackim ma charakter prywatny, nie oficjalny. Już dla formalnego zakończenia wizyty Stalin zadał pytanie, którego Budiagin oczekiwał:

- Co z Hitlerem?

- Hitler - to wojna - odpowiedział Budiagin.

Stalin milczał chwilę, potem spytał:

- A ma czym wojować?

- Niemcy to kraj o dużym potencjale przemysłowym. Uzbroją się z łatwością.

- Pozwolą mu na to?

- Nie będzie nikogo pytać o zgodę.

- Utrzyma się przy władzy?

- Wygląda na to, że tak.

Stalin znów pomilczał, przesunął palcami pod białym kołnierzykiem.

- Niemcy będą walczyć?

- Gdy ich zmusi, to będą.

Powoli, z naciskiem Stalin powiedział:

- Anglia i Francja narzuciły Niemcom Wersal, reparacje, ograbiły, zabrały kolonie, Sudety, Gdańsk, polski korytarz, odcięły Prusy Wschodnie. Z kim mają zamiar walczyć Niemcy?

- Anglia i Francja będą próbowały dogadać się z Niemcami naszym kosztem.

Stalin popatrzył na Budiagina. Wszystko jasne: nie kryje się ze swoimi poglądami, wręcz przeciwnie, uważa za stosowne wygłaszać je tutaj, w jego obecności, w jego domu.

Mimo to zachowując pozorny spokój powiedział:

- Anglia i Francja nigdy nie dopuszczą do powstania silnych Niemiec w samym sercu Europy. Przeciwnie, to my jesteśmy zainteresowani silnymi Niemcami jako przeciwwagą dla Anglii i Francji.

- Niemcy - to nasze największe zagrożenie - odparł stanowczo Budiagin.

Stalin sposepniał.

- Jeżeli przecenimy niebezpieczeństwo ze strony Niemiec, to zlekceważymy główne niebezpieczeństwo. Niewątpliwie imperialiści angielscy mają w tym swój interes. Jednakże

my, ludzie radzieccy, nie jesteśmy tym zainteresowani.

- Nie zmienię swojego stanowiska w tej sprawie - powiedział Budiagin.

- Dlatego nie jesteś już tam, gdzie byłeś - odparł Stalin, nie spuszczać z niego wzroku.

Budiagin wytrzymał to spojrzenie. Stalin pomilczał chwilę, a potem nie patrząc na Budiagina, jak gdyby zwracając się do kogoś innego, oznajmił:

- Partia nie potrzebuje popisywania się odcieniami poglądów. Partia potrzebuje rzeczowej pracy. Kto tego nie rozumie, nie jest partii potrzebny.

- O tym, czy jestem partii potrzebny, zdecyduje partia - powiedział Budiagin.

Stalin usiadł przy stole, odwrócił się, wziął do ręki książkę.

- Jestem zajęty. Wybaczcie.



Drzwi zamknęły się za Budiaginem. Stalin odłożył książkę, wstał, z fajką w dłoni przeszedł się po pokoju, przystanął u okna, popatrzył na znajomy żółto-biały budynek Arsenалу, na zdobiące jego fasadę spizowe armaty.

Dyplomata z Motowilichy! to nie rozbrojone Niemcy, ale japońskie wojska w Mandżurii, na tyłach naszego Dalekiego Wschodu stanowią prawdziwe niebezpieczeństwo. Budiagin, mimo że tak ograniczony, też to rozumie. I nie przyszedł tu z powodu Hitlera. Przyszedł oznajmić, że istnieją w partii siły mające swój własny punkt widzenia, gotowe w każdej chwili przeciwstawić go jego punktowi widzenia. Budiagin nie przyszedł z własnej inicjatywy, jest na to zbyt mało znaczącym pionkiem. Przyszedł na polecenie. Polecenie od tych, którzy jakoby pomogli jemu, Stalinowi, rozgromić przeciwników, od tych, na których on się jakoby opierał, opiera i powinien się opierać, gdyż w przeciwnym razie usuną go jak tamtych. Są przekonani, że on wszystko im zawdzięcza.

Mylą się, mylą się zasadniczo! Prawdziwy wódz przychodzi sam, swoją władzę zawdzięcza wyłącznie samemu sobie. Jeżeli zawdzięcza ją innym, to nie jest wodzem, a marionetką. To nie oni wybrali Jego, to On wybrał ich. To nie oni wysunęli go do przodu, to On pociągnął ich za sobą. To nie oni pomogli mu się umocnić, to On wyniósł ich na wyżyny władzy państwowej. Stali się tym kim są tylko dlatego, że byli przy nim.

Komu zawdzięczał coś Lenin? Londyńskim i genewskim emigrantom? Komu zawdzięczał coś Piotr? Mienszykowowi? Lefortowi? Dziedziczność władzy nie zmienia istoty sprawy. Aby stać się godnym miana wodza, monarcha musi unicestwić otoczenie, uważające go za figuranta. Tak było z Piotrem, tak było z Groźnym.

On stał się wodzem nie dlatego, że zdołał rozgromić swoich przeciwników. Rozgromił swoich przeciwników dlatego, że jest wodzem, dlatego, że to Jemu przeznaczone jest kierować tym krajem. Jego przeciwnicy nie rozumieli tego i dlatego zostali rozgromieni, nie pojmują tego nawet teraz i dlatego zostaną zlikwidowani. Pretendent do władzy, któremu się nie powiodło, to zawsze potencjalny wróg.

Wybór historii padł na Niego, ponieważ tylko On zna sekret sprawowania władzy w tym kraju, tylko on wie, jak kierować tym ludem, tylko on zgłębił do końca jego wady i zalety. Przede wszystkim - wady.

Lud rosyjski - to lud kolektywu. Wspólnota - to odwieczna forma jego bytu, równość, leży u podstaw jego charakteru. To stwarza sprzyjające warunki dla społeczeństwa, które on tworzy w Rosji. Leninowski NEP był dobrym posunięciem taktycznym, ale "na serio i

na długo” - to już błąd. Czasowy kompromis z chłopstwem w celu uzyskania chleba to manewr, “na serio i na długo” - to już polityka obliczona na farmera, a farmerstwo oznacza wejście na drogę nierówności, sprzecznej z naturą ludu rosyjskiego. Stalin podszedł do półki, wyciągnął tom Lenina z założonymi stronicami, jeszcze raz przeczytał: “Aby poprzez NEP osiągnąć włączenie się do kooperacji całej ludności... potrzeba całej epoki historycznej... Bez całkowitej likwidacji analfabetyzmu, bez dostatecznego uświadomienia, bez wykształcenia w dostatecznym stopniu wśród ludu nawyku korzystania z książek, bez podstaw materialnych, bez powszechnego systemu zabezpieczenia przed np. nieurodzajem, głodem itd. celu tego nie osiągniemy”.

Zamknął książkę, odstawił na miejsce. Tak, to droga wpajania chłopu obcej mu mentalności farmera. A farmer nie potrzebuje dyktatury proletariatu. Farmera, posiadacza własności prywatnej, indywidualistę, trzeba zdusić w rosyjskim chłopie już w zarodku. Spółdzielnia? Owszem. Ale taka, w której chłop będzie prostym pracownikiem. On tego dokonał, i to była druga rewolucja w Rosji, równie ważna, co i Październikowa. W Październiku mieliśmy chłopstwo po swojej stronie: podczas kolektywizacji mieliśmy je przeciwko sobie. Zgoda: książki, walka z nieurodzajem - wszystko to też jest potrzebne. Ale nie jako poprzedzenie kolektywizacji, lecz dopiero na bazie kolektywizacji. On tak właśnie postąpił: najpierw kolektywizacja, potem kultura.

To, co Lenin nazwał biurokratycznym wypaczeniem, jest jedyną możliwą formą sprawowania władzy. Tak, tkwi w tym niebezpieczeństwo: biurokracja usiłuje stanąć pomiędzy ludem i najwyższą władzą, stara się zastąpić najwyższą władzę. Należy tępić to bezlitośnie. Aparat to posłuszny wykonawca najwyższej woli, trzeba utrzymywać go w strachu, strach wpojony aparatowi będzie udzielać się ludowi.

Czy on dysponuje takim aparatem? Nie! Nie dysponuje. Aparat stworzony w trakcie walki o władzę nie jest narzędziem w ręku wodza, uważa się za współtwórcę zwycięstwa. Wizyta Budiagina to przypomnienie tego stanu rzeczy.

Aparat prawdziwego wodza - to aparat stworzony przez niego samego po zdobyciu władzy. Aparat nie może być wieczny, stabilny, w przeciwnym razie scementuje wzajemne powiązania, stanie się monolitem, urośnie w siłę. Aparat trzeba tasować, odnawiać, wymieniać. Stworzenie takiego aparatu to zadanie trudniejsze niż likwidacja rywali, aparat to setki tysięcy ludzi, ludzi tworzących jeden organizm, związanych i zespolonych ze sobą. Obecni członkowie Biura Politycznego to już nie ci, którzy wrócili z Leninem z zagranicy. To ludzie, mający powiązania wewnątrz aparatu, łańcuszki, przeciągnięte od góry do dołu. Wystarczy poruszyć jedno ogniwo, a odezwie się cały łańcuszek.

Czy on ufa swojemu otoczeniu?

W polityce nikomu się nie ufa.

Pewniejsi od innych to Mołotow, Kaganowicz i Woroszyłow: dobrzy wykonawcy, nie mają pretensji do samodzielności. Wykazali już swoją przydatność w pewnych akcjach, związaali się poprzez te akcje, bez niego są niczym. Woroszyłow może zmienić front, ale będzie trzymać się jego, boi się wojskowych inteligentów, przede wszystkim Tuchaczewskiego. W armii opiera się na kawalerzystach - na Budionnym, Timoszence, Szczadience, Gorodnikowie, ale to słabe oparcie, epoka szabel już minęła.

Kalinin i Andriejew. Najstarszy i najmłodszy w Biurze Politycznym. Jeden ma pięćdziesiąt dziewięć lat, drugi trzydzieści dziewięć. Ludzie z awansu. Kalinin - chłop, Andriejew - robotnik, będą trzymać z większością.

I wreszcie niepewni. To Kirow, Ordżonikidze, Kosjor, Kujbyszew i Rudzutak.

Wtedy, w tamtym liście, w tak zwanym testamencie, Lenin nieoficjalnie rekomendował Rudzutaka na Jego miejsce, sugerował, by Rudzutak, a nie on pełnił funkcję sekretarza generalnego. Możliwe, że Lenin nie konsultował się nawet z samym Rudzutakiem, że nie pytał go o zgodę. Mimo to Rudzutak zachowuje ostrożność. Nie ma żadnych poważnych powiązań w aparacie; po zjeździe w Londynie przez niemal dziesięć lat, aż do rewolucji lutowej, przebywał na katordze. A jednak jest to człowiek, którego Lenin widział na Jego miejscu. Nie wolno o tym zapominać. Rudzutak też nie zapomni.

Kujbyszew to szlachcic, uczył się w korpusie kadetów. Sybaryta. Uciekł w domowe pielesze, choruje, pragnie, by go nie ruszano. Dobry pracownik, ale w partii znajdują się i inni dobrzy pracownicy.

Kosjor przyjeżdżał, chodził z nim po korytarzu, zabiegał to z prawa, to z lewa. Dlaczego zabiegał? Nieszczery człowiek. Nie wolno mu ufać.

Ordżonikidze. Trudna sprawa. Jedyne bliski mu człowiek, poznali się trzydzieści lat temu w Tyflisie. No właśnie - zbyt długo zna towarzysza Stalina, w zbyt różnych sytuacjach widywał, uważa się wręcz za współnika. Wódz nie ma współników, wódz ma najwyżej współtowarzyszy broni. Apostołów nie wybiera się spośród przyjaciół, tylko spośród uczniów. Romantyk, prostoduszny, ufny, zbyt szczerze wierzy w to, co mówi i robi - niebezpieczne cechy u polityka. Po kapitulacji opozycjonistów proponował, by przyjąć ich wszystkich z powrotem do partii. Czyżby nie rozumiał, że ci, którzy występowali przeciwko Niemu, muszą być zlikwidowani? Naród musi wiedzieć, że występowanie przeciwko Niemu - to występowanie przeciwko władzy radzieckiej. Dlaczego Ordżonikidze sprzeciwiał się likwidacji wrogów władzy radzieckiej wewnątrz partii? To nie błąd, to linia, chęć

zachowania w partii przeciwwagi dla Niego, dążenie do występowania z pozycji arbitra, dążenie do utrzymania w partii rezerw, które w razie potrzeby będzie można rzucić przeciwko Niemu.

Potwierdzeniem tego jest Łominadze. Sergo wie o liście Łominadzego do Szackina, przechwyconym w trzydziestym roku. Jak zareagował? Wzruszył ramionami: „...Dzieciak...” A co ten “dzieciak” pisał o Nim w swoim liście? W polityce nie ma miejsca na dziecinadę, polityka to nie zabawa. Łominadze i Szackin szykowali się do roli następców, śpieszyli się. A kimże jest Łominadze? Gdyby urodził się o trzy lata wcześniej, znalazłby się w jednej kompanii z mienszewikami, z Żordaniją, Czcheidze i Ceretelim, tamci przecież też Jego uważali za ignoranta. Ci gruzińscy inteligenci reprezentowali sobą najgorsze cechy charakteru narodowego Gruzinów: przekonanie, że są europejską wysepką w Azji. Teraz Łominadze jest na Uralu, ale Sergo nadal go popiera. Przypadek? Na pewno nie. Łominadze to jedno z ogniw jego polityki.

Czy Ordżonikidze robi tę politykę sam? Nie. To ich wspólna polityka, jego i Kirowa. Nerozłączni przyjaciele! Przyjeżdżając do Moskwy, Kirow zatrzymuje się tylko u Sergo. Co się kryje za tą ich przyjaźnią? Co ich łączy? Czyż między działaczami politycznymi może być jakakolwiek przyjaźń? Dlaczego dwaj członkowie Biura Politycznego izolują się od pozostałych? Obaj mają po czterdzieści osiem lat, obaj byli na północnym Kaukazie i w Gruzji, obaj od tysiąc dziewięćset trzydziestego są członkami Biura Politycznego - wszystko to nie daje jeszcze powodów do takiej zażyłości. W przyjaźni nie ma równych. W przyjaźni jak w polityce: ktoś przewodzi, ktoś słucha, ktoś wpływa, ktoś ulega wpływom. W tej przyjaźni ton nadaje Kirow. Ambitny, jak każdy niedouk, demagog, jak każdy przeciętny prowincjonalny pismak; jak każdy hałaśliwy krzykacz ma też swoich zwolenników, uważających go za najlepszego mówcę w partii, niemalże za “trybuna rewolucji”.

Kierując w swoim czasie Kirowa do Leningradu Stalin chciał pokazać leningradczykom, że ich miasto nie jest drugą stolicą, lecz przeciętnym obwodowym ośrodkiem miejskim na północnym zachodzie kraju. Nie mogą istnieć dwie stolice, druga zawsze rywalizuje z pierwszą. Leningradzcy przywykli do wybitnych nazwisk, a tu z dalekiego Azerbejdżanu przyjechał do nich niemal zupełnie nieznaną Kirow, nawet nie członek Biura Politycznego. Pilerscy robotnicy szczytą się swoją rewolucyjną przeszłością, a przysłano do nich człowieka, który przed rewolucją był szeregowym pracownikiem mizernej gazetki “TErek”. Przysłano jako obcego, namiestnika, poskromiciela opozycyjnego buntu. Panowała opinia, że leningradzcy nie ścierpią afrontu, że sytuacja ulegnie zaostreniu i powstaną warunki, sprzyjające ostatecznej likwidacji tego wiecznie

spiskującego gniazda wszelkiej anarchii.

Przez te osiem lat Kirow stał się w Leningradzie swoim człowiekiem, "ulubieńcem", skupił wokół siebie całą organizację partyjną, umocnił znaczenie Leningradu właśnie jako drugiego miasta w karaju, popiera tradycyjny leningradzki separatyzm, to, śmiechu warte, mniemanie, że Leningrad to miasto wyjątkowe, jedyne europejskie miasto w Rosji. Kirow zabiega o popularność, epatuje prostotą. Mieszka na Prospekcie Kamiennieostrowskim, w dużej kamienicy wśród zwyczajnych ludzi, chodzi do pracy piechotą, spaceruje po ulicach Leningradu, wozi dzieci swoim samochodem, bawi się z nimi w "kotka i myszkę"...

Towarzysz broni powinien wzorować się na wodzu. Styl życia wodza - to styl epoki, którą uosabia, styl państwa, którym rządzi. Swoją spontaniczną prostotą i przystępnością Kirow rzuca wyzwanie jemu, chce podkreślić, że Stalin mieszka na strzeżonym dniu i nocą Kremlu, że nie spaceruje po ulicach, że nie bawi się z dziećmi w "kotka i myszkę", chce podkreślić, że Stalin boi się ludu, a on, Kirow, nie boi się.

Na siedemnastym zjeździe Kirow powiedział: "W Leningradzie stare są tylko sławne tradycje rewolucyjne petersburskich robotników, cała reszta jest nowa..."

Skłamał! W Leningradzie do dziś uchowały się niedobitki przedrewolucyjnej kadry urzędniczej, szlachty, burżuazyjnej inteligencji, zostali Łotysze, Estończycy, Finowie, Niemcy - agenci burżuazyjnych wywsiadów, żyje robotnicze mieszczaństwo, uważające się za twórców REwolucji Październikowej, są dziesiątki tysięcy ludzi, którzy poparli Zinowiewa w jego ataku na partię. Organizacja leningradzka też opowiedziała się za Zinowiewem, komuniści i komsomolcy głosowali za opozycją! Gdzie oni się teraz podziali? Nigdzie, żyją i mają się dobrze, nadal tworzą większość w leningradzkiej organizacji partyjnej. Korzonki zostały, dużo korzonków... Dlaczego Kirow nie chce ich wykarczować? Powołuje się na Czudowa, Komarowa i innych, którzy wystąpili przeciwko Zinowiewowi. A dlaczego wystąpili? Zinowiew ich obraził, oto dlaczego wystąpili. Miernota! Zinowiew też to rozumiał, i dlatego ich odtrącił. On również nie pozwoli im działać, będą mącić i przeciwko Niemu. A towarzysz Kirow otacza się tymi ludźmi.

Jakże więc w takiej sytuacji można mówić, że stare zostały tylko stare rewolucyjne tradycje? To otwarta obrona leningradzkich opozycjonistów - jawnych i ukrytych, zdemaskowanych i zakonspirowanych, to schlebienie robotniczemu mieszczaństwu, pragnienie zdobycia jeszcze większej popularności, chęć wykazania, że broni ich przed Stalinem, to próba zagarnięcia dla siebie leningradzkiej reduty. Tak jak i Sergo, Kirow przygotowuje przeciwwagę dla niego. Wspólna taktyka - wspólna polityka. Chcą oszukać Stalina! Nie, nie uda im się oszukać Stalina! Niech go wychwalają, niech klną się jego

imieniem - nie oszukają!

W zeszłym roku spędził tydzień w towarzystwie Kirowa. Był z nimi i Woroszyłow. Wizytowali Kanał Białomorski, oglądali porty w Soroce, Murmańsku i Leningradzie. Wyczuł wtedy w Kirowie pewną powściągliwość w ocenie kanału. A przecież Północna Droga Morska - to wyjście na Pacyfik, na tyły Japonii. W tej strategicznej kwestii Kirow zajmuje odmienne stanowisko niż on, orientuje się na Zachód, a nie na Wschód - to też przejął od tych z Petersburga, uważają się przecież za Europejczyków. Kirow wyznaje ten sam pogląd co Budiagin. Nic dziwnego, że Budiagin przyszedł również z konkretnym ostrzeżeniem, a nie tylko z ostrzeżeniem w ogóle.

Kirow umie udawać zachwyty, a jednak na kanale nie udawał, nawet nie uznał za stosowne udawać. Milczał. Mimo wszystko jednak wytrzymał. Kiedy w Murmańsku naczelnik portu demonstrował im nowy żuraw portowy, Kirow próbował korygować jego wyjaśnienia, chciał wykazać swoją wyższość. No pewnie! Uczył się przecież w szkole technicznej, nie w seminarium, ma tytuł mechanika. Dziwne tylko, że przez te dwadzieścia lat towarzysz Kirow nie przepracował jako mechanik ani jednego dnia. O tak, praca w gazecie "Terek" była zapewne czystsza i atrakcyjniejsza. Nic nie zostało z jego średniego wykształcenia technicznego i nie ma co popisywać się swoją przestarzałą i dawno zapomnianą wiedzą. Przywódca, nie posiadający wykształcenia technicznego, próbuje zorientować się, zrozumieć; przywódca, który liźnął trochę techniki, mądrzy się, usiłuje pouczać innych. Kogo chce pouczać?

Wtedy, tamtego wieczoru Nadia krzyczała do niego: "Oni myślą, że na ciebie można wywrzeć pozytywny wpływ... Naiwni ludzie! Na ciebie nie można wpływać, z tobą nic już się nie da zrobić!"

Oni - to jej najbliżsi przyjaciele, Kirow i Ordżonikidze. To oni ją do tego doprowadzili! Oni! Oni! Chcieli przez nią wpływać na Niego, sprawili, że przestała mu ufać. Wykorzystali politycznie ograniczoną kobietę, pozbawili go nawet tego oparcia, pozbawili domu, żony, rodziny, zaszli od tyłu, zadali cios w plecy. Nigdy im tego nie zapomni. A ona też dobra! Jej śmierć - to również wyzwanie dla niego. Nadia także pochodziła z tego przekłętogo miasta, wyrosła tam, na wskroś petersburska, wszystko w niej było przeciwko Niemu, a ci dwaj dołożyli jeszcze swoje... Nikomu nie można wierzyć - nawet żonie. Chcą, żeby On został sam. Nie szkodzi! Jego jednego i tak wystarczy na nich wszystkich!

Wpływać! Sergo też chce wpływać... Wpływać na niego! Zarozumiali głupcy!

Kirow - półinteligent z awansu, demagog. Na siedemnastym zjeździe - owacje. Mityng na placu Czerwonym dla uczczenia zjazdu - owacje. A przecież przed mieszkańcami

Moskwy powinien wystąpić członek Biura Politycznego, reprezentujący całą partię, a nie tylko leningradzką organizację obwodową. Nie odmówił. Wystąpił. Nie ufać!

Trzeba Kirowa przenieść do Moskwy. Tu będzie się go miało na oku, tu się wszystko wyjaśni. Dość już tej drugiej stolicy.

Też mieli kogo nasłać - Wanię Budiagina! Mądrzejszego widać nie znaleźli. On zdemaskował go już przy pierwszym pytaniu. "Piatakow wysłał tam komisję..." Wykręcił się od odpowiedzi. A przecież Riazanow zamknął komisję w areszcie domowym, odesłał z powrotem do Moskwy. Dlaczego ukrywają to przed Nim? Chcą zataić niesnaski, zademonstrować zwartość i monolityczność aparatu. Sekretarzem gorkomu u Riazanowa jest Łominadze, chcą ukryć i jego rolę. Ukryć przed Nim, przed Nim, który zna każdy ich krok, każdy zamiar!

Areszt i odesłanie komisji to zdarzenie wyjątkowe. Riazanow musi za to odpowiedzieć. Zdarzenie to świadczy jednak o poważnych tarciach w otoczeniu Ordżonikidzego. To policzek dla Ordżonikidzego, choć komisję powoływał Piatakow.

Chcieli zataić przed nim to wszystko po to, żeby wyciszyć konflikt we własnym gronie. Są w błędzie. On sam to wyjaśni.

Stalin odszedł od okna, podniósł słuchawkę telefonu i polecił Poskriebyszewowi pilnie wezwać do Moskwy Riazanowa.

Riazanow oczekiwał tego wezwania: otrzymawszy je, wyjechał tego samego dnia.

Zdawał sobie sprawę, czym może się to skończyć: zdejmą go ze stanowiska, wydalą z partii. Był jednak gotów odpowiedzieć na wszystko i za wszystko.

Oprócz osiedla mieszkaniowego Mark Aleksandrowicz rzeczywiście zaczął budować kinoteatr, klub, obóz pionierski, przedszkole i kompleks leczniczy obok gorącego źródła siarkowodorowego, zwanego "Uralską Macestą". Bez normalnych warunków bytowych nie da się zapewnić kombinatowi stabilnej i wykwalifikowanej siły roboczej. Mark Aleksandrowicz jak nikt inny wiedział, że krajowi potrzebna jest stal i że on tę stal produkuje. Wiedział też jednak, że nie chodzi o samą stal. Kraj potrzebuje przemysłu. Przyszłość - to nie azjatycka Rosja z kilkoma fabrykami, fabrykę można zbudować nawet w Kongo, lecz Rosja europejska, industrialna, socjalistyczna. Do realizacji tego celu niezbędne są kadry robotnicze o wysokiej kulturze technicznej, umiejące korzystać ze zdobyczy współczesnej cywilizacji, a nie chłopci, pośpiesznie i byle jak przyuczeni do pracy przy maszynie. Poziom życia - to jeden z elementów kultury produkcji. W purdze, w buraniu można zbudować fabrykę, ale nowoczesnego przemysłu w taki sposób stworzyć się nie da.

Jedno kino, jeden klub, przedszkole, jeden korpus uzdrowiska - to całkiem niewiele. Wszyscy jednak rozumieli, że to dopiero początek. Ludzie pracowali po godzinach i w dni wolne z takim samym entuzjazmem, z jakim przedtem stawiali piece. A Moskwie doniesiono, jakoby Riazanow rozpoczął pozaplanowe inwestycje kosztem kombinatu, że zmusza ludzi do pracy bez wynagrodzenia.

Piatakow przysłał komisję. Na jej czele stał wybitny ongiś, lecz ograniczony spec od gospodarki, który widział tylko jedno: stal przede wszystkim. Wielkie mi co - baraki! Podczas wojny domowej ludzie na śniegu sypiali! Głównym ekspertem komisji został znany ekonomista ze szkoły Bucharina. Pod koniec lat dwudziestych twierdził, że Ural nie ma perspektyw, że przemysł należy kierować na Syberię, gdzie są bogate złoża węgla, ropy, a przede wszystkim zasoby wody, umożliwiające - jego zdaniem - elektryfikację. Od początku było jasne, że komisja nie poprze socjalno-bytowego programu Riazanowa i podda w wątpliwość perspektywę rozwoju kombinatu. Wpuścić taką komisję na teren huty, pozwolić jej na wyciągnięcie wniosków oznaczało - zdemoralizować kolektyw.

Na polecenie Marka Aleksandrowicza szacowną komisję umieszczono w Domu Podmiejskim - taką nazwę nosiła rezydencja dla członków rządu, dysponująca specjalnym



zaopatrzeniem i specjalną kuchnią, położona w malowniczej miejscowości o dwadzieścia kilometrów od miasta. Komisja byłaby całkiem zadowolona, gdyby nie jedna okoliczność: nie przysłano samochodu, a bez samochodu nie sposób było dotrzeć do kombinatu. Członków komisji karmiono obficie trzy razy dziennie, ale nie łączono telefonicznie ani z Riazanowem, ani z Moskwą. Pierwszego dnia najedzeni inspektorzy pokpiwali sobie z Riazanowa, który nie był w stanie zapewnić im samochodu; drugiego dnia zdenerwowali się, trzeciego zrozumieli, że Riazanow wodzi ich za nos. Czwartego dnia zażądali odstawienia na dworzec: zawieziono ich tam bezzwłocznie, podstemplowano delegacje, wręczono bilety pierwszej klasy i odesłano do Moskwy.

Operację tę Mark Aleksandrowicz przeprowadził bez wiedzy Łominadzego. Stalin go nie lubi, udział Łominadzego mógłby tylko zaszkodzić sprawie.

Po siedemnastym zjeździe stosunki Riazanowa i Łominadzego uległy pewnym komplikacjom: Łominadzego usunięto z KC, Riazanowa powołano, pod względem politycznym stał teraz wyżej niż tamten. Mark Aleksandrowicz jest inżynierem, Łominadze, przy wszystkich swoich zaletach, nie zna się na technice. Poza tym on, dyrektor kombinatu, nie od dziś należy do partii, kierownicy większości odcinków, wydziałów, zmian - to też komuniści. Nie walczą na frontach wojny domowej, nie potrzebują już komisarzy politycznych.

Błyskotliwe oracje, paralele historyczne - wspaniale! Tylko nie teraz, nie tutaj, innym razem! Mark Aleksandrowicz spędził trzy lata w Ameryce, zwiedził całą Europę, wie, jakie jest opóźnienie, trzeba pracować, nadrabiać, doganiać, cała reszta to czcza gadanina. Komunizm trzeba budować a nie rozprawiać o nim.

Wszystko miałoby sens, gdyby Łominadze miał jeszcze swoje dawniejsze wpływy. Teraz jednak w centrali, w obwodzie, a zwłaszcza tu, na miejscu, słowo Riazanowa znaczy więcej. Fakt, Łominadze to ulubieniec Ordżonikidzego, ma nawet do niego bezpośrednią linię telefoniczną, ale to, co niezbędne dla kombinatu, Mark Aleksandrowicz załatwia u Ordżonikidzego sam. Z każdym drobiazgiem i tak do Sergo nie polecisz, o wszystkim decyduje aparat, a aparat zna tylko Riazanowa. Kombinat - to Riazanow, jego życie, jego śmierć.

Swoją decyzję Mark Aleksandrowicz przemyślał bardzo dokładnie, rozumiał całe ryzyko. Ryzyko jest, ale w wypadku wygranej zysk będzie ogromny, na długo umocni jego pozycję. Liczył na poparcie Ordżonikidzego - Piatakow wysłał komisję bez jego wiedzy. Poza tym Sergo musi docenić fakt, że nie wmieszał w całą tę historię Łominadzego. Mark Aleksandrowicz spodziewał się również poparcia ze strony Woroszyłowa. Miesiąc temu,

wracając z Dalekiego Wschodu, Woroszyłow odwiedził kombinat, podobało mu się, poklepał Marka Aleksandrowicza po ramieniu:

- Mam bolszewicki węch, czuję zapach stali!

Riazanow miał nadzieję, że Stalin go zrozumie: Stalin na jego miejscu postąpiłby tak samo. Ta właśnie pewność kierowała poczynaniami Marka Aleksandrowicza. Był człowiekiem Stalina, jego hutą, jego Uralem. Stalin nie może tego nie cenić.

Sprawę badali w Moskwie: Stalin, Woroszyłow, Ordżonikidze i Jeżow - cichy, uprzejmy człowiek o fiołkowych oczach, nowy szef wydziału organizacyjnego KC.

Mark Aleksandrowicz złożył wyjaśnienia. Nikogo nie więził. Członkowie komisji mogli chodzić, gdzie im się żywnie podobało. Po prostu wstrzymał ich wizytę w kombinacie do czasu rozmowy z towarzyszem Ordżonikidze, chciał prosić towarzysza Ordżonikidze o odwołanie komisji, gdyż jej pobyt na terenie huty uważał za szkodliwy. Zadzwoił do Moskwy, powiedziano mu, że Sergo jest na Południu i wróci za kilka dni. Komisja mogła poczekać te kilka dni, nie paliło się przecież. Co do pozaplanowych inwestycji, to mieszczą się one w granicach wyasygnowanych funduszy, zaś robotnicy pracują dobrowolnie. Do sprawdzenia tych faktów wystarczyłby jeden inspektor, a nie aż tak szacowna komisja.

Słuchano go w milczeniu, nie przerywano. Stalin przechadzał się po pokoju z fajką w dłoni, Ordżonikidze boczył się, Jeżow siedział skromnie z boku i trzymał przed sobą duży, otwarty notatnik. Woroszyłow uśmiechał się krzepiąco, a gdy Mark Aleksandrowicz nazwał komisję "szacowną" - roześmiał się.

Pierwszy też zabrał głos:

- Niedawno byłem w kombinacie. Rozbudowuje się, daje stal, kolektyw jest zwarty, kierownictwo cieszy się dużym autorytetem. Po co wysłano tam profesora, który sprzeciwiał się budowie huty? Riazanow postąpił słusznie, w jego działaniu nie widzę niczego karygodnego. Czekał na towarzysza Sergo, i komisja też powinna poczekać. Nie chciała - no cóż, wolna wola. I w jeszcze jednym Riazanow ma rację: lubimy posyłać komisje tam, gdzie wystarczyłby jeden inspektor. Uważam, że trzeba udzielić poparcia towarzyszowi Riazanowowi.

Wszyscy czekali na opinię Ordżonikidzego. Powiedział oschle:

- Wszystko to prawda. Założmy, że tak było. Jednakże wy, towarzyszu Riazanow, pozbawiliście członków komisji nie tylko środków transportu, ale i łączności. Chcieliście ze mną rozmawiać - wasze prawo. Ale oni też chcieli połączyć się z Moskwą. I też mieli prawo.

- Niedokładnie was poinformowano, Grigoriju Konstantinowiczu - wyjaśnił Riazanow.

- Wiadomo, że łączność z Moskwą mamy kiepską. Połączenie normalnymi liniami jest

praktycznie niemożliwe. A bezpośrednie linie do was, Grigoriju Konstantinowiczu, mamy dwie - moją i towarzysza Łominadze. Do towarzysza Łominadze członkowie komisji nie zwracali się, on jest w ogóle poza tą sprawą, a swojego telefonu nie mogłem im udostępnić: połączyliby się z Piatakowem, a on potwierdziłby kompetencje komisji. Ja czekałem na was, liczyłem, że wy nie potwierdzicie uprawnień tej komisji, mówię uczciwie.

Kiedy Mark Aleksandrowicz wspomniał o bezpośredniej linii telefonicznej, łączącej Łominadzego z Sergo, zauważył, że plecy Stalina drgnęły.

Stalin zaczął mówić, powoli dobierając słowa. Mówił z silnym akcentem gruzińskim, w jego głosie wyczuwało się zdenerwowanie.

- Nie potrzebujemy na Uralu ludzi, którzy nie uznają Uralu. Ci, którzy nie uznają Uralu, niech siedzą w Moskwie na swoich stołkach. Wysłanie takiej komisji to poważny błąd. Trzeba to wytknąć towarzyszowi Piatakowowi.

Przerwał. Jeżow szybko pisał coś w swoim notatniku.

- W rozsądnych granicach budownictwo mieszkaniowe i socjalne jest również niezbędne - kontynuował Stalin - szczególnie tam, gdzie z powodzeniem realizowane są zadania produkcyjne. Klasa robotnicza powinna widzieć realne osiągnięcia socjalizmu. Nie tylko zapłatę, kapitaliści też płacą za pracę. Klasa robotnicza powinna widzieć efekty socjalizmu w postaci obiektów socjalno-bytowych, takich jak sanatoria, przedszkola dla jej dzieci, dla dzieci robotników. Robotnicy kombinatu wykonali plan, i dlatego mają prawo do tych świadczeń. To właśnie jest troska o ludzi pracy. Realne? Realne. Widoczne? Widoczne. Przekonywające? Przekonywające.

Nabił fajkę, potem zapytał:

- Jaka była rola komitetu miejskiego partii w tym konflikcie? Nie widzę jego roli. Gdzie on w ogóle jest? Dlaczego dyrektor kombinatu nie powiadomił komitetu o sprawie komisji? Dlaczego się z nim nie liczył?

Riazanow chciał odpowiedzieć, ale Stalin powstrzymał go ruchem ręki i mówił dalej:

- Brak autorytetu? A dlaczego brak autorytetu? Jeżeli towarzysz Łominadze nie zajmuje się kombinatem, to powstaje pytanie - czym on się zajmuje? To aktywny człowiek, nie potrafi siedzieć beczynnym. Zajmuje się problemami o światowym znaczeniu? A dlaczego nie spełnia swoich podstawowych obowiązków? Tam, gdzie instancje partyjne nie spełniają swoich podstawowych obowiązków, ludzie przemysłu zmuszeni są podejmować kroki, które w innych okolicznościach mogłyby ich skompromitować. Dlaczego sekretarz komitetu miejskiego dysponuje bezpośrednim połączeniem z komisarzem ludowym? Powinien mieć bezpośrednie połączenie z sekretarzem komitetu obwodowego.

- Co za sprawa bezpośrednio połączenie - skrzywił się Ordżonikidze.

- Drobiazg - przytaknął Stalin i nagle uśmiechnął się dobronnie - ale, rozumiesz, odrywa od pracy. Inni sekretarze gorkomów nie mają bezpośrednich linii do ciebie, i nic, jakoś żyją. Po co stwarzać takie wyjątkowe warunki naszemu drogiemu towarzyszowi Łominadze? To niepedagogiczne w stosunku do młodego działacza partyjnego, towarzysza Łominadze. Wywołuje to w nim fałszywe wyobrażenie o własnej osobie. Złą przysługę wyświadczamy w ten sposób towarzyszowi Łominadze.

Mark Aleksandrowicz nie zawiódł się na Stalinie. I Stalin nie zawiódł się na Marku Aleksandrowiczu. Stali się sobie duchowo bliscy, i to uskrzydliło Marka Aleksandrowicza. Dzielący ich ludzie, instytucje, papierki - wszystko to zniknęło, przepadło, straciło znaczenie. Teraz Markiem Aleksandrowiczem kierował tylko Stalin. To do Stalina zwracał się w myślach, to z nim się naradzał, to on był punktem odniesienia wszystkich jego poczynań.

Napełniało to Marka Aleksandrowicza dumnym poczuciem własnej siły i znaczenia. Władczy z natury, nie ukrywał już swej władczości. Nie zmienił trybu życia ani nawyków, jak dawniej, przed wizytą u komisarza ludowego odwiedzał działy i sekcje, rozmawiał z szeregowymi pracownikami. Oni zaś jak dawniej zajmowali się jego sprawami i załatwiali je tak, jak wymagał tego interes kombinatu, czyli tak, jak chciał Mark Aleksandrowicz. I nikt nie zauważył, że coś nowego pojawiło się w Riazanowie - uzewnętrzniona władczość. Przedtem przysiadł się do biurka, teraz rozmawiał stojąc, wstawał więc także i urzędnik. Rozmowa była uprzejma i życzliwa, ale w przelocie. Wydawało się to całkiem naturalne: rozmawia nie tylko wielki dyrektor wielkiego kombinatu, nie tylko ulubieniec Stalina i Ordżonikidzego, ale być może przyszły komisarz ludowy. A mimo to nadal zagląda do nich, zwykłych urzędników, nie zadziera nosa, nie udaje ważniaka.

Pewnemu ochłodzeniu uległy jedynie stosunki Marka Aleksandrowicza z Ordżonikidzem. Na naradzie Ordżonikidze nie dyskutował ze Stalinem i Woroszyłowem. W kwestii komisji miał jednak własny pogląd: uważał, że Riazanow mógł postąpić bardziej dyplomatycznie i uniknąć skandalu, który w nie najlepszym świetle stawiał pracę komisariatu ludowego.

Mark Aleksandrowicz dostrzegł niezadowolenie Sergo, martwił się tym, ale wiedział też, że Ordżonikidze nie jest człowiekiem mściwym i nie będzie żywić urazy, zwłaszcza że Mark Aleksandrowicz miał w istocie rację; poza tym to nie on ponosi przecież winę za rozdziewki między Stalinem i Sergo w kwestii Łominadzego.

Mark Aleksandrowicz nie szedł do Ordżonikidzego, czekał aż tamten sam go wezwie, a

póki co załatwiał swoje sprawy w aparacie, w Gosplanie, i w Gosbanku. Przy okazji każdego wyjazdu do Moskwy, nawet na pilne wezwanie władz, trzeba było załatwić mnóstwo spraw, które można załatwić tylko w stolicy. Musiał też zejść do Budiagina, choć jego dni w narkomacie były policzone. Markowi Aleksandrowiczowi było go żal bardziej niż Łominadzego: nie teoretyk, nie mówca, zawodowiec, i choć nie inżynier, zna się na rzeczy, w lot chwyta, o co chodzi. Został jednak w tyle, czas go wyprzedził, czas - to Stalin, a Budiagin nie lubi Stalina, jest przeciwko niemu, a to znaczy, że przeciwko krajowi i partii.

Mark Aleksandrowicz rozmawiał z Budiaginem spokojnie i rzeczowo, tak jak rozmawia się z przełożonym, z zastępcą komisarza ludowego, choć nagle naszła go pewna myśl: dlaczego zastępcami Sergo są Piatakow i Budiagin? W otoczeniu Sergo jest wielu ludzi, których wierność Stalinowi budzi poważne wątpliwości. Czy Sergo sam dobrał sobie takich współpracowników, czy też mu ich wyznaczono? W jakim celu? Budiagin również rozmawiał z Riazanowem powściągliwie, nie spytał nawet o komisję. Podpisawszy papiery zadał natomiast inne pytanie:

- Co z siostrzeńcem?

Pytanie zaskoczyło Marka Aleksandrowicza. Wybierał się wieczorem do siostry, niestety, tak się złożyło, że wieczorem musi wyjechać.

- Na razie siedzi...

Budiagin o nic więcej nie pytał, i Mark Aleksandrowicz wyszedł z gabinetu. Pozostał jednak nieprzyjemny osad. O tym, że Sasza przebywa w więzieniu, Budiagin wie doskonale. Pytał o coś innego: czy Mark Aleksandrowicz nie skorzystał z okazji i nie poprosił Stalina o uwolnienie Saszy? Obrażliwe pytanie!

Czyż ma prawo zajmować Jego czas sprawą dzieciaka, którego najwidoczniej trzymają tam nie bez powodu? Narobił głupstw, to pewne. Interwencja u Bieriezina nie mogła przejść bez echa, a jednak Sasza nadal siedzi. To znaczy, że coś na niego mają.

Jak w tej sytuacji Mark Aleksandrowicz może zwracać się do Stalina? Stalin wprowadził go w skład KC wiedząc, że jego krewny przebywa w więzieniu. Stalin nie łączy go ze sprawą Saszy, pomija ten temat milczeniem. I teraz on sam miałby naruszyć to milczenie? Byłoby to wręcz nietaktowne! Tak samo pomyślałby Stalin. Ich wewnętrzna bliskość, ich wzajemne zrozumienie ległoby w gruzach. Tak to właśnie wygląda. A Budiagin myśli, że Riazanow po prostu bał się porozmawiać ze Stalinem o Saszy. "Prymitywny, politycznie skończony człowiek" - z rozdrażnieniem pomyślał Mark Aleksandrowicz o Budiaginie.

Sawielij wyjaśnił Saszy, jak porozumiewać się przez ścianę: alfabet podzielony jest na sześć rzędów, po pięć liter w każdym. Pierwsze stuknięcia oznaczają rząd, następne - miejsce litery w rzędzie. Krótkie pauzy między stuknięciami sygnalizują rząd: nieco dłuższe oddzielają litery, a najdłuższe - słowa, skrobanie w ścianę oznacza "skończyłem", "stop", albo "powtórz!". Pauzy są króciutkie, u doświadczonych więźniów trwają ułamki sekund. Pauzy to najtrudniejszy element alfabetu - jeżeli je przegapić, to stuknięcia zlewają się ze sobą, litery giną, korespondencja traci sens.

Zwęglonym końcem zapalki Sasza zapisał alfabet na pudełku po papierosach i zaczął stukać. Stukał powoli, z długimi przerwami, przykrywszy się kocem, żeby strażnik nie usłyszał hałasu. Sąsiad rozumiał go, ale Sasza nie rozumiał sąsiada, mylił litery, prosił o ich powtórzenie, choć tamten stukał powoli, wyraźnie i jasno, starannie odmierzając pauzy. Pytał o nazwisko Saszy, i podał swoje - Czerniawski, członek partii. Pytał też, czy Sasza otrzymuje gazety; poinformował, że on również ich nie dostaje.

Mimo to posiadał pewne wiadomości, prawdopodobnie od więźnia z następnej celi. Odbył się zjazd, nic szczególnego na nim nie zaszło. Odtąd sąsiad co wieczór przekazywał Saszy nowości. Jeżeli do jego celi lub do celi Saszy zbliżał się strażnik, korespondencja ustawała, a potem musieli zaczynać od początku. Dwa wieczory zajęła relacja, że na północy zatonął zmiażdżony przez lody lodolamacz "Czeluskin", następne dwa wieczory - wiadomość, że we Francji ogłoszono antyfaszystowski strajk powszechny.

Sasza nie mógł nie odczuwać wdzięczności wobec człowieka, który ryzykując karcer porozumiewa się z nim, chce złagodzić jego samotność. Kraj kipi życiem, buduje, tworzy, a on siedzi w odosobnionej celi i bojaźliwie spogląda na drzwi: nie daj Boże strażnik zauważy, że on, Sasza Pankratow, interesuje się wydarzeniami, o których piszą radzieckie gazety.

Uczucie pogodzenia się z losem, gotowość poddania się swojemu przeznaczeniu opuszczały go. Nie! Nie chce godzić się z takim losem, nie chce, nie chce, nie chce... Nie chce tej drogi - jego droga to droga partii, narodu, państwa. Co robić? Do kogo pisać? Do prokuratora? Prokurator usankcjonował jego areszt. Do Stalina? List dotrze najwyżej do Diakowa. Na co zresztą ma się skarżyć? Że nie ma nic wspólnego ze sprawą Marka? Nie wie nawet, co to za sprawa i czy aresztowano go akurat w związku z nią.

I wtedy w głowie Saszy dojrzał plan. Mało realny, ale próbować można.

Podczas wieczornej korespondencji z sąsiadem Sasza spytał, co piszą o budowie, którą

kierował Mark, i otrzymał odpowiedź: “Dowiem się - przekażę”. Następnego dnia Czerniawski wystukał: “Uruchomili piec, dostali ordery”. Sasza spytał: “Riazanow?”. “Order Lenina” - brzmiała odpowiedź.

A więc Mark jest na wolności, nadal kieruje kombinatem! To nie o niego chodzi! Że też coś takiego mogło mu w ogóle przyjść do głowy! Chodzi o instytut, ale nie o gazetkę, nie, - o Kriworuczkę! Ostatnia rozmowa z Baulinem i Łozgaczewem - to ona odegrała decydującą rolę! Rozumiał to już wtedy, już wtedy czuł, że popełnił błąd: teraz ponosi jego konsekwencje.

Diakow też uporczywie wypytywał o Kriworuczkę. “Kto prowadził z wami kontrrewolucyjne rozmowy?” Tu tkwi sedno sprawy! Być może Kriworuczkę też aresztowali i przyznał się, że rozmawiał z Saszą o Stalinie - choćby ze strachu, że Sasza ubiegnie go w zeznaniach. A więc Kriworuczko to uczciwy człowiek, przyznał się, a on, Sasza, nie jest uczciwy, kryje tamtego... “Kto prowadził z wami kontrrewolucyjne rozmowy?”

Diakow ma rację zarzucając Saszy brak szczerości: sam sobie jest winien, sam sobie zgotował ten los. Nie wzywają go już trzy tygodnie, może nawet w ogóle już nie wezwą, po co, przecież wszystkiemu zaprzecza, zaprzecza faktom... Może sprawę już zamknięto, może wyrok już zapadł? Chodził po celi, nasłuchiwał kroków na korytarzu, czekał, kiedy przyjdą po niego - wciąż ze świadomością, że wszystko zawdzięcza wyłącznie samemu sobie. Nawet jeśli sprawy jeszcze nie zamknięto, jeśli Diakow wezwie go jeszcze raz, to na przyznanie się i tak jest już za późno. Gdyby powiedział prawdę podczas pierwszego przesłuchania, to przyznanie się sprawiłoby wrażenie szczerego, dobrowolnego. Teraz byłoby czymś wymuszonym, a więc nieszczerym i nieuczciwym.

Rano nie miał ochoty wstawać, w dzień nie chciało mu się czekać do wieczora i tak jak Sawielij zaczął korzystać z kubła. Nie cieszył go nocny prysznic, odmówił raz, potem drugi, strażnik przestał przychodzić. Dopisywał jedynie apetyt. Sasza niecierpliwie czekał na posiłki, czekał na paczkę, marzył o jedzeniu, żałował, że wysłał gryps, w którym prosił tylko o mięso i białe pieczywo. Podjadłoby się teraz kielbasy, to dobre żarcie! Przynajmniej do tego ma przecież prawo. Życie i tak skończone, święty Boże nie pomoże! Piętna “kontry” już się nie pozbędiesz...

Zastukał Czerniawski. Sasza nie odpowiedział. Nie wie nawet, kim jest ten Czerniawski, dlaczego ma się z nim porozumiewać? A w ogóle to co go łączy z siedzącymi tutaj ludźmi? Myślał, że w więzieniu przebywa Mark i Budiagin - uczciwi, niewinni komuniści. I co - nie ma tu ani Marka, ani Budiagina, nie ma tu uczciwych komunistów, tu siedzą winni. Winny

jest Sawielij, winny jest Czerniawski, winny jest i on, Sasza - pożałował Kriworuczki, okazał słabość, a teraz za to płaci. Nie zajął jasnego, pryncypialnego stanowiska i dlatego jego błędy Azizjan, gazetka - nie są przypadkowe, tak jak nieprzypadkowe były wątpliwości co do osoby Stalina. Jest lekkomyślny, pewny siebie, wszystko chciał mierzyć własnym rozumem, a są sprawy, w których trzeba było zdać się na mądrzejszych od siebie.

Do mętnego kawałka szkła za żelazną kratą docierało kwietniowe słońce. Pierwszy prawdziwy wiosenny dzień. Sasza czuł jego radosną jasność. Wszedł na stół, otworzył lufcik, choć wolno go było otwierać tylko na czas spaceru. Natychmiast rozległ się szcęk zamka, w drzwiach stanął strażnik.

- Zamknąć! Odejść od okna! Karceru się wam zachciało?

Sasza zamknął lufcik, zeskoczył ze stołu.

- Powietrza się zachciało!

Zdążył usłyszeć daleki gwar ulicy, dzwonki tramwajów, klaksony aut, głosy dzieci. Wyobraził sobie schnący asfalt trotuarów. Dziewczyny chodzą już pewnie w lekkich sukienkach, odsłonięte szyje, ramiona, zgrabne nogi. Czyżby miał utracić to wszystko? Teraz, kiedy jest młody, zdrowy... Nie! Chce być tam, na wiosennej ulicy, chce żyć, żyć jak inni!

Wiosną zeszłego roku był na praktyce w bazie samochodowej. W garażu pachniało benzyną, spalinami, panował półmrok - w oszklonym dachu prawie w ogóle nie było już szkła, ubytki łatano arkuszami blachy. Garaż był stary, jeden z najstarszych w Moskwie, zbudowany jeszcze przez Mossielprom, stały w nim nawet dwa jednotonowe "Fordy T", służące do rozwożenia pieczywa. Saszy podobał się dyrektor bazy, Antonow, niestary jeszcze, jasnowłosy, w okularach, podobała mu się jego bystrość, zdrowy rozsądek i to, że o każdej porze dnia i nocy można go było zastać w garażu. Ten robotnik wysunięty na odpowiedzialne stanowisko uosabiał to nowe, które przyniosła rewolucja, ludzie z nizin społecznych powołani do twórczego życia, prawdziwa władza robotnicza, lud! On też powinien być z ludem, tam jest jego miejsce, z Antonowem - byłym szoferem, z Małowem - byłym tragarzem, oni nie mędrkują, nie roztrząsają, lecz pracują i tworzą. Jak piękne było tamto życie, jak mało je cenili! Ale wróci do niego, wróci za wszelką cenę!

Przynieśli książki. Sasza przejrzał je obojętnie. Bez tego zachwytu, który odczuwał za pierwszym razem. Trzeci i czwarty tom Gibbona, rozlatująca się książeczka w miękkiej oprawie - "Wrażenia z podróży do ZSRR" francuskiego posła de Monse, drobnoburżuazyjnego polityka, lewicowego radykała. W połowie lat dwudziestych przebywał w ZSRR, napisał o tym książeczkę, wartką, ale powierzchowną. Dlaczego



bibliotekarz to przysłał?

Autor pisał o Związku Radzieckim raczej z sympatią, choć nie bez akcentów krytycznych, zwłaszcza w odniesieniu do radzieckiego prawa karnego i postępowania sądowego. Jako dowód przytaczał artykuł pięćdziesiąty ósmy. To właśnie ze względu na ten artykuł bibliotekarz przysłał książeczkę - zamiast kodeksu karnego, o który prosił Sasza, a którego bibliotekarz nie mógł mu udostępnić.

W tekście artykułu Sasza nie doczytał się niczego istotnego ani szczególnie ważnego. Nie o artykuł jednak chodziło.

Chodziło o to, że nieznajomy więzienny bibliotekarz odpowiedział na głos Saszy, odezwał się na jego wołanie, dał mu dowód człowieczeństwa, odwagi i zaufania.

Co nim kierowało? czy naruszył swoje obowiązki służbowe? Bardzo możliwe. Spełnił za to inny, o wiele ważniejszy obowiązek - obowiązek człowieka. Prawa ustanowione przez ludzi nie mogą być sprzeczne z prawem sumienia. Swoje obowiązki naruszają ci, którzy sądzą niewinnych, pozostawiają bezbronnych bez obrony, odbierają resztki praw bezprawnie więzionym.

Sasza nie zerwał się z pryczy, nie zaczął biegać po celi. To, co się stało, było tak czyste i jasne, tak współgrało z tym wszystkim, co w jego duszy pozostało ludzkie i prawdziwe, że nie doznał ani wstrząsu, ani wzruszenia, ani szoku. Odnalazł to, co powinien był odnaleźć. I czuł tylko wstyd, że utracił swoje męstwo.

Na ostatnie przesłuchanie Sasza szedł bez żadnej nadziei, wiedział, co go czeka, i niczego się nie bał. Człowiek, który powiedział, że Stalin będzie pichcić ostre dania, to jeszcze nie wróg. Diakow ignoruje bezpośrednie znaczenie słów, Diakow je interpretuje. Sasza nie chce brać w tym udziału. Chce stąd wyjść, to oczywiste - ale czysty wobec partii i swojego sumienia.

Diakow na powitanie przybrał oficjalny ton.

- Zakończmy sprawę instytutu - powiedział rzeczowo. - Wasze zeznania zostały zaprotokołowane. Teraz musicie sami dokonać ich oceny politycznej.

- Wypuszczenie numeru gazetki ściennej uważam za błąd - zaczął Sasza.

- Subiektywny... - podchwycił Diakow. - Ale błędy mają też obiektywne przyczyny i obiektywne następstwa. Prawda?

Zaczyna się wałkowanie. Dla Diakowa człowiek to tylko element niezbędny do zapelnienia protokołu, protokół zaś potrzebny jest do wydania wyroku.

- A więc, Pankratow, jakie są obiektywne przyczyny i obiektywne następstwa waszych błędów?

Sasza przyglądał się chłopięcej twarzy Diakowa. Ech, spotkać by go tak na Arbacie...

- Przeanalizujemy - zaczął Diakow pouczająco. - Gdyby w waszym instytucie panowała zdrowa atmosfera polityczna, wypuszczenie takiej gazetki byłoby niemożliwe. Zdrowej atmosfery jednak nie było. Kriworuczko kierował podziemną organizacją antypartyjną, została ona wykryta, jej członkowie zaś zdemaskowani i aresztowani. Są tutaj, u nas, i przyznali się do wszystkiego.

W fabryce tacy jak Diakow dekowali się w biurze - rachmistrze, spece od norm, gryzipiórki z działu kadr. Co właściwie Diakow mu robi? On, Sasza, może dźwigać na plecach osiemdziesięciokilowe beczki, da sobie radę i przy wyrębie lasu, wróci do byłego dowódcy dywizji Morozowa, wróci do brygadzysty Awierkijewa, oni są przecież wszędzie, oni to lud. A ci Diakowowie to właśnie prawdziwi wrogowie partii.

Diakow przez jakiś czas wpatrywał się w Saszę, liczył, że będzie mógł podelektować się efektem własnych słów, potem ciągnął dalej:

- Wy, Pankratow, jesteście człowiekiem niedoświadczonym, nie znacie ich. Kriworuczko opóźniał budowę akademików, żeby wywołać niezadowolenie studentów - taktyka obliczona na zdezorientowanie mas studenckich. W takiej atmosferze stało się możliwe wypuszczenie tej gazetki, którą wypuściliście wy, Pankratow. Czy chcieliście tego czy nie, staliście się narzędziem w rękach Kriworuczki i jego bandy, wykorzystali was do swoich antyrewolucyjnych celów. Dlatego właśnie znaleźliście się tutaj. Tym bardziej, że nie chcieliście dokonać politycznej oceny własnych błędów. Jednakże na ocenę taką nie jest jeszcze za późno. Możecie nam wierzyć.

“Możecie nam wierzyć”... Dość już tego wierzenia! Tak, wierzył takim właśnie słowom. Ile razy już je słyszał, ile razy sam je powtarzał! To nie są ludzkie słowa, to magiczne formułki czarowników. Takie czary odprawiali Łozgaczew i Azizjan, tak samo czarował Stolper, teraz czaruje Diakow. A na ołtarzu ofiarnym - życie niewinnych ludzi.

Diakow spojrzał na Saszę.

- Zrozumieliście mnie, Pankratow?

- Zrozumiałem.

- To dobrze - powiedział Diakow. - No to tak właśnie zapiszemy.

- Tylko żeby wszystko było jasne - poprosił Sasza z tą szczególną intonacją, na którą nie dałby się nabrać żaden arbacki chłopaczek. A ten wymoczek nie rozumie, święcie wierzy w swój talent zastraszania ludzi, w swoje prawo do decydowania o ich losach, siedzi nadęty jak indyk i nie ma pojęcia, że tu, w tych murach, są także inni, noszący zresztą taki sam mundur, którzy dostrzegają ten fałsz, tę magię, wiedzą, że prędzej czy później skończy

się to wszystko, i z narażeniem życia pomagają skrzywdzonym.

- Naturalnie - z powagą odparł Diakow.

Zerkając na karteczkę - brudnopis przyznania się Saszy do winy przygotował sobie wcześniej - wypełnił formularz, przebiegł wzrokiem tekst, a potem odczytał go Sasza.

“Po przemyśleniu swojego postępowania i czynów oraz po dokonaniu ich szczerzej i pełnej oceny, w uzupełnieniu moich wcześniejszych zeznań oświadczam co następuje: uznaję za swój błąd polityczny wypuszczenie z okazji szesnastej rocznicy Rewolucji Październikowej antypartyjnego numeru gazetki ściennej oraz to, że do wypuszczenia tejże gazetki wciągnąłem studentów: Runoczkiną, Kowalewą, Połużan i Pozdniakową. Błędy te były rezultatem atmosfery politycznej, stworzonej w instytucie przez zastępcę dyrektora instytutu, Kriworuczkę. Uznaję, że wypuszczenie z okazji szesnastej rocznicy Rewolucji Październikowej antypartyjnego numeru gazetki ściennej było częścią działalności antypartyjnej, jaką Kriworuczko prowadził w instytucie”.

Diakow położył kartkę przed Saszą.

- Sprawdźcie, Pankratow, czy dobrze zapisałem, i podpiszcie.

- Nigdy tego nie podpiszę - powiedział Sasza, patrząc Diakowowi prosto w oczy.

Arbat żył swoim zwyczajnym życiem. Kwietniowe słońce zaglądało do okien, nagrzewało jezdnie i chodniki. Na bulwarach kurczyły się i czerniały kupy zgarniętego śniegu, przez szczeliny asfaltu przebijał zapach budzącej się ziemi. Chłopcy bez palt i czapek grali w zaułkach w piłkę. Na ścianach domów pojawiły się rusztowania, na nich malarze i murarze, budynki remontowano, odnawiano, rozbudowywano. Z placu Arbackiego zniknął skwer i kamienice, utrudniające ruch. Moskwie przybywało nowych fabryk, osiedli i wszechobecnych baraków.

Wiezorami tak jak zawsze jaśniały na Arbacie światła kin "Arbacki Ars", "Karnawał", "Praga" i "Artystycznego".

Przed kinami przechadzały się dziewczyny arbackie i dorogomiłowskie, i te z Pluszczychy, kołnierze płaszczy opuszczone, luźno zawiązane kolorowe apaszki, na nogach pantofelki i cienkie cieliste pończochy. W bramie domu Saszy jak zwykle urzędowała grupka rozbawionych wyrostków. Waria przeszła obok nich, pomachała dłonią na powitanie - śpieszyła się do domu Armii Czerwonej na bal absolwentów szkół wojskowych.

Nigdy jeszcze nie była na tak wspaniałej uroczystości. Na scenie, za stołem prezydialnym siedzieli znani w całym kraju dowódcy. Budionnego Waria rozpoznała sama, zaś spośród tych, których nazwiska wymieniał szeptem Serafim, zapamiętała tylko Tuchaczewskiego, nigdy jeszcze nie widziała tak pięknego mężczyzny. I choć nie lubiła referatów i przemówień, była oczarowana odświętnością tego wieczoru, przepychem sali, romantyką heroicznym tradycji wojennych, przekazywaną absolwentom przez legendarnych dowódców armii, tą atmosferą męskiego, żołnierskiego braterstwa, kiedy zacierają się granice hierarchii, i absolwent widzi swoją przyszłość w słynnym dowódcy, zaś dowódca - swoją młodość w świeżo upieczonym oficerze. Żony tych dowódców też wydawały jej się kobietami niezwykłymi, dzielą przecież ze swoimi mężami wszystkie trudy i niebezpieczeństwa ich zawodu. Zaproszone dziewczęta również zachowywały się uroczyście, one także należały już do tego szczególnego świata. Waria przyglądała się im uważnie; niektóre były bardzo ładnie ubrane. Nigdy nie przepadała za zespołem pieśni i tańca Armii Czerwonej, ale dziś podobał się jej, żołnierze tańczyli i śpiewali to co było takie swojskie, rosyjskie, porywające i ogniste.

Orkiestra dęta w foyer nie gorzej od jazzbandu grała fokstroty, rumbę i tanga, zaś młodzi ludzie w cywilnych garniturach, krzykliwych krawatach, powiewających spodniach i niedoczyszczonych butach nie umywali się nawet do schludnych, wesołych i zgrabnych

absolwentów.

Nina też jest dziś inna, nie czepia się, promieniuje dobrocią i życzliwością, wygląda trochę smutno, pewnie żałuje, że Maks wyjeżdża, a ona nie zgodziła się wyjść za niego.

Serafim też jutro wyjeżdża na Daleki Wschód, ale Wari wcale nie jest z tego powodu smutno, właśnie tego wieczoru przyjęła jego oświadczenia. Skończy szkołę i przyjedzie do niego. A przez ten rok on będzie do niej pisywał, ona będzie odpowiadać na listy, i wszystkie dziewczyny w szkole i na podwórku dowiedzą się, że Waria wyjeżdża na Daleki Wschód do męża. To znów wyróżni ją spośród koleżanek - na żadną ze znajomych dziewczyn nie czeka narzeczony na Dalekim Wschodzie... do teatru, na ślizgawkę, do kina będzie chodzić sama, na tańce przestanie chodzić w ogóle. A jeśli nawet pójdzie, to będzie tańczyć z Zoją. No, w ostateczności może tańczyć z mężczyznami, ale bez zawierania znajomości. Dziękuję... Proszę wybaczyć, ale nie... Nie mogę... Oto ona: samotna, dumna, nieprzystępna, wyjeżdżająca na Daleki Wschód... Co do Saszy, to nie zostawi przecież Sofii Aleksandrowni, a więc nie zostawi i Saszy. To, że na Dalekim Wschodzie czeka na nią Serafim, a tu, w Moskwie, jest potrzebna i Sofii Aleksandrowni, i Saszy, czyniło ją we własnych oczach jeszcze bardziej interesującą i oryginalną.

Wari było wesoło. Tworzyli z Serafimem piękną parę, patrzyli na nich nawet najwyżsi dowódcy i ich żony. Starła się jednak tańczyć jak najdłużej w tym kącie sali, w którym stał Tuchaczewski.

Maks tańczył z Niną. Jego puciołowata, ozdobiona zadartym nosem twarz tchnęła dobroduszością. Do Niny podchodzili jego koledzy, prosili ją o następny taniec, a Maks uśmiechał się i cierpliwie czekał na nią pod ścianą. Wysoki, barczysty, był niezwykle silny i, jak większość siłaczy, bał się używać swojej siły, żeby kogoś nie skrzywdzić czy uszkodzić.

Jego ojciec, palacz, ostro pił i umarł w delirium; matka - windziarka została sama z czworgiem dzieci. Maksym był najstarszy. Nędzarskie dzieciństwo nauczyło go oszczędności, koledzy w szkole uważali to za skąpstwo, żartowali z jego pedanterii. Grzebień trzymał w futeraliku z skóry, banknoty w portfelu, bilon w portmonetce, ołówek zawsze miał metalową nasadkę, żeby grafit się nie łamał, notesik z telefonami i adresami przechowywał przez całe lata, rzeczy lubił trwałe, jedzenie proste i sytne, nie lubił tylko tracić pieniędzy, w razie czego mógł i głodować.

Jako najbardziej gospodarnemu powierzano mu w szkole wszystkie sprawy praktyczne. Protokołował na zebraniach, zbierał składki członkowskie, rejestrował zarządzenia rajkomu, sporządzał sprawozdania. Pójść, załatwić, napisać ogłoszenie, rozlepić plakaty, wykombinować czerwone płótno na święto, kupić bilety na zbiorowy wypad do teatru,

zorganizować nabór do kółka i zapisy na seminarium, podliczyć głosy podczas głosowania - wszystko to zlecano Maksymowi. Nie dlatego, że nie nadawał się do poważniejszych zadań: po prostu tak się przyjęło i każdy uznawał to za rzecz naturalną.

Był o rok lub dwa starszy od swoich przyjaciół, dostrzegał błahość ich sporów, żartował, rozbrajał swoją dobroduszością. Trzeźwy chłopski rozum pomagał mu omijać wszystkie rafy i mielizny, w razie potrzeby umiał udawać, ale nigdy nie sprzeniewierzał się swoim przekonaniom, zawsze był lojalny wobec przyjaciół. Z biegiem lat rozwinęło się w nim i dojrzało coś prostego, żołnierskiego, twardego i niezłomnego. Do szkoły wojskowej poszedł po odbyciu służby zasadniczej - dawało to zabezpieczenie materialne, mógł więc pomóc rodzinie, chorej, steranej życiem matce. Oprócz tego Maksym lubił porządek. Wojsko podobało mu się: oficer ARmii Czerwonej, młody, silny, wykształcony. Jego miejsce jest tam, w wojsku, na granicy, tam, gdzie dojrzewa konflikt. A jednak żegnał Moskwę ze smutkiem. Smutno rozstawać się z paczką, z Niną, z Saszą Pankratowem, z Leną Budiaginą, z Wadimem Marasiewiczem. Ci młodzi ludzie uosabiali życie, w którym on i tysiące takich jak on wydostały się z ciemnych i wilgotnych piwnic.

W dzieciństwie Maksym wyręczał czasem matkę przy sprzątaniu schodów. Nina pomagała mu. Nie dlatego, że Maksowi było ciężko, lecz żeby pokazać lokatorom, że ta praca, jak każda praca, nie hańbi. To był czyn godny komsomolca, akt koleżeńskiej solidarności, to właśnie on, a nie książki uświadomił Maksowi istotę nowej moralności. Później, już w dziewiątej klasie, wydarzyła się straszna historia. Ojciec wykradł mu i przepił pieniądze zebrane na fundusz budowy samolotu "Moskiewski Komsomolec", około trzydziestu rubli, sumę w tamtych czasach dość znaczną. Maks chciał popełnić samobójstwo - skąd weźmie trzydzieści rubli, jak usprawiedliwi się przed kolegami? Nina zauważyła jego stan, zmusiła do opowiedzenia całej sprawy i natychmiast powiadomiła o niej Saszę.

- Ech, ty - powiedział Sasza. - Tanio cenisz swoje życie.

I dał mu pieniądze, piętnaście rubli wziął od matki, piętnaście od Marka Aleksandrowicza. I teraz traci takich przyjaciół... Sasza go uratował, a on nie uratował Saszy...

Nina podobała mu się już wtedy, gdy na podwórku bawili się w chowanego, podobała mu się i później, w szkole: rosła, duża, stanowcza. Podobała mu się jej niezaradność, nieustępliwość, osamotnienie. W to, że Nina go nie kocha, nie wierzył: kocha, tylko sama jeszcze o tym nie wie. Serafima przyprowadził specjalnie - niech Waria wychodzi za niego za mąż, dobry chłopak, przystojny, niegłupi. Po ślubie odpadnie najważniejszy argument,

którym zasłania się Nina: nie może podjąć żadnej decyzji, dopóki Waria się nie usamodzielni. Nina tak uważała... Obecni tu najwyżsi dowódcy sprawiają imponujące wrażenie, ale to są politycy, stratedzy, działacze państwowi. Maksym nie będzie ani politykiem, ani strategiem, będzie uczyć żołnierzy musztry... Raz dwa! RAz dwa! Oto stoi, czeka na nią, barczysty, rumiany, ze starannie przyczesanymi jasnymi włosami, buty błyszczą i guziki błyszczą, nowiutki pas chrzęści, a gdy tańczy, stalowe żabki jego butów dzwonią o parkiet. Będzie z niego zupak... Szkoda! Mógłby osiągnąć coś więcej. W razie wojny każdy pójdzie walczyć, a na razie trzeba żyć i pracować. Wszystko to Nina wyłożyła Maksymowi, gdy zdecydował się pójść do szkoły wojskowej. Nie posłuchał jej. No i dobrze! Ma prawo do własnego zdania. Ona jednak też ma prawo do decydowania o własnym losie. Nina postanowiła twardo, że nie wyjdzie za Maksyma i zostanie w Moskwie.

W Teatrze Wachtangowa wystawiali "Hamleta" z małym i tęgim Goriunowem w roli tytułowej. Jura Szarok lubił ten teatr, zadzwonił do Wadima Marasiewicza, poprosił go o skombinowanie biletu i powiedział, że wpadnie do niego wieczorem na Starokoniuszennyj.

Profesor Marasiewicz, znany moskiewski internista, raz w miesiącu udzielał konsultacji w poliklinice CEKUBU w zaułku Gagarinskim, pacjenci zapisywali się do niego na pół roku naprzód. Klinikę na Pirogowskiej nazywano kliniką profesora Marasiewicza, katedrę w Akademii Medycznej - katedrą profesora Marasiewicza. W domu przyjmował jedynie najbliższych przyjaciół. Daleki potomek jakiegoś ukraińskiego hetmana, tak jak i jego ojciec, też lekarz i profesor, był rodowitym moskwianinem, od dawna i na trwałe związanym ze środowiskiem moskiewskiej inteligencji. W jego domu na Starokoniuszennym bywał Igumnow, Stanisławski, Prokofiew, Niezdanowa, Gelcer, Kaczałow, Sumbatow-Jużyn, Meyerhold, bywał też Łunaczarski. Żaden z goszczących w Moskwie znanych zagranicznych artystów, żaden z modnych wykonawców nie mógł ominąć tego pańskiego, choć nieco bałaganiarskiego salonu. Gości przyjmowała urocza córka gospodarza, na stole pojawiały się bakaraty, krochmalone obrusy. Młodzi aktorzy, często bywający tu bezpośrednio po spektaklu, z entuzjazmem rzucali się na cielęcinę i bladuróżowego łososa. Obecność młodzieży pobudzała inwencję, przy stole improwizowano, odgrywano scenki. Wadim na gorąco wygłaszał recenzje, nie pozbawione błyskotliwości, jak zdawało się profesorowi Marasiewiczowi. Wadim ukończył uniwersytet, otrzymał dyplom historyka sztuki, jeździł z odczytami, oprowadzał wycieczki, a obecnie próbował swoich sił jako krytyk teatralny.

Profesor Marasiewicz popijał borżom, niekiedy opowiadał jedną czy dwie zabawne historyjki ze swojej praktyki lub z praktyki ojca, ale nie siedział z gośćmi dłużej niż do dwunastej, potem życzył wszystkim dobrej nocy i udawał się na spoczynek mawiając, że ludzie jego profesji powinni przestrzegać ustalonego porządku dnia.

Wika próbowała zrobić karierę w teatrze i w filmie, nie wyszło jednak z tego nic poza licznymi romansami ze znanymi aktorami, rokującymi nadzieje reżyserami i wybijającymi się dziennikarzami. Romanse zaczynały się zazwyczaj wzniośle, były kwiaty, liściki, restauracje i taksówki, kończyły się zaś kłótniami i zrywaniem przez telefon.

Jedynie romans z Jurą Szarokiem miał prosty początek i równie prosty finał. Spotkali się przypadkiem na Arbacie, pospacerowali po jego oświetlonej wiosennym słońcem stronie, a potem Jura zaproponował:



- Wstąp do mnie, zobaczysz, jak mieszkam.

Wika doskonale rozumiała, co to znaczy wstąpić i zobaczyć, jak on mieszka, jednakże ta forma zaproszenia działała na nią niejako automatycznie. Nie bez znaczenia była też cicha rywalizacja z Leną Budiaginą. O tym, że Jura nie spotyka się już z Leną, Wika nie wiedziała.

Sprawdzenie, jak Jura mieszka, obyło się bez zbędnych słów i ceregieli, zupełnie jakby ich związek trwał już od wielu lat. W porównaniu z innymi reflektującymi na jej wdzięki lub zaliczonymi wielbicielami Jura okazał się chłopakiem na poziomie. Tylko ten pokój, to nędzne mieszkanie, ten zapach prasowanego materiału, przypominający stale, kim jest ojciec Szaroka...

Myślała, że Jura będzie natrętny, że trzeba będzie go spławić - robiła to z taką samą łatwością, z jaką wstępowała do nieznanomych mężczyzn. Szarok okazał się jednak porządnym człowiekiem. I pomyśleć tylko - syn krawca!

Takt Jury wynikał z jego obojętności - Wika była zimna i głupia. On również porównywał ją z Leną - porównanie nie wypadło korzystnie dla Wiki. I jak bez oporów włązi do łóżka. W Jurze kipiała wściekłość mieszczaucha, dostrzegającego w każdej łatwej kobiecie swoją własną żonę.

Dziś zaszedł do Wadima w sprawie "Hamleta".

- Przekąśmy coś - zaproponował Wadim.

Przeszli do jadalni, większej niż całe mieszkanie Szaroków.

Wadim jadł łączywie - grube wargi, malutkie oczka i krótkie, sterczące jak u rysia brwi. Przy takiej fizjonomii zdumiewał jego głos - męski, donośny, złagodzony miękką inteligentną wymową.

Grubo smarując chleb masłem - choć jadł zupę - Wadim perorował:

- Myli jurysdykcję z jurysprudencją, rarytet z parytetem. Ale to przecież nowy człowiek, nazwij go jak chcesz, przodownik, szturmowiec. Idzie ze swoim tematem, zauważ, głównym, i ze swoim bohaterem - bohaterem przyszłości. Czy mamy poświęcić naszą przyszłość dla stu gramów masła? - Wadim odepchnął maselnickę. - A niektórzy pokrzywdzeni mają za złe właśnie brak tych stu gramów...

Rozważań Wadima o bohaterze przyszłości Jura wysłuchiwał bez irytacji - mówiły coś niecoś o tym nieznanym mu świecie. Niedawno Wadim dowodził czegoś wręcz przeciwnego, przeklinał prostactwo w sztuce i wynosił pod niebiosa artyzm. W zadziwiający sposób wyczuwał, skąd wieje wiatr, zawsze trzymał z silniejszymi, w szkole z Saszą Pankratowem, na studiach jeszcze z kimś, obecnie zaś ze znanym krytykiem,

piszącym o ogłupiającej poezji. Jura nie zwracał jednak uwagi na niekonsekwencje w postępowaniu Wadima. Podobał mu się dom Marasiewiczów, aktorzy, tłumy wesołych, beztroskich i utalentowanych ludzi. W rozmowach tych ulubieńców muz pobrzmiewał jakiś lekki, cyniczny ton, dzięki któremu ich sława wydawała się Jurze czymś łatwym, osiągalnym, dziełem przypadku i sprytu. Przy całej swej beztrosce ludzie ci pozostawali jednak dziwnie niedosiężni.

Podobał się Jurze i sam profesor Marasiewicz - wypielegnowana twarz, elegancka bródka, miękkie ręce, też niedosiężny.

Widywał się teraz z Wadimem prawie codziennie, Wadim zabierał go ze sobą do teatru. Chodził do teatru również sam, dostawał bilet dzięki telefonom Wadima lub od znajomych, których poznał u Wadima.

Wspaniałe czasy! Wiosna 1934 na długo utkwiała w pamięci Jury Szaroka. W prokuraturze nie zatwierdzono na razie jego kandydatury, Malkowa obiecywała jednak, że już wkrótce wszystko się rozstrzygnie. Ostatnie miesiące beztroskiego studenckiego życia Jura starał się spędzić jak najbardziej interesująco. Spokoju nie dawało mu tylko wspomnienie Leny. Wchodząc do teatru uważnie rozglądał się po sali w obawie, a równocześnie w nadziei, że ją spotka.

Od czasu swojej choroby Lena ani razu nie była w teatrze. Prawie w ogóle nie wychodziła z domu, do nikogo nie dzwoniła, nawet przyjaciół nie widziała od tamtego dnia, gdy chcieli wysłać list w sprawie Saszy.

Dziś nieoczekiwanie przyszła do niej Gera Tretiak, też córka dyplomaty, w dzieciństwie były przyjaciółkami, widywały się czasem w Londynie, Paryżu, Berlinie i dopiero w Moskwie straciły się jakoś z oczu.

Ładna brunetka, złośliwa, inteligentna. Gera nawet o drobiazgach umiała mówić w sposób barwny i zajmujący. Lena słuchała jej z uśmiechem. Wspominały swoją wycieczkę do Południowej Walii, zatrzymały się wtedy w Cardiff, w tanim hoteliku, w tym samym hoteliku mieszkali piłkarze ze Szkocji, dwaj z nich zaproponowali przyjaciółkom ucieczkę do jakiegoś kraju, gdzie dziewczęta mogą wychodzić za mąż już w wieku czternastu lat. Lena i Gera dopiero co ukończyły wtedy piętnaście... Przypomniały sobie, jak podczas zwiedzania pałacu w Fontainebleau przewodniczka podała wzrost Napoleona - sto pięćdziesiąt dwa centymetry. Gera zdziwiła się - chyba sto sześćdziesiąt dwa? Obrażona przewodniczka odparła wtedy, że jej mąż ma sto pięćdziesiąt dwa centymetry, a wszyscy wiedzą, że jest tego samego wzrostu co Napoleon. Teraz historyjka ta wydała im się niesłychanie zabawna, obie wybuchnęły śmiechem. Lena ucieszyła się z odwiedzin Gery.

Na pożegnanie objęła ją, pocałowała i powiedziała smutno: “Nie zapominaj o mnie”.

Tego samego wieczoru, gdy Waria, Nina i Maks byli na balu absolwentów w Domu Armii Czerwonej, gdy Jura jadł kolację u Wadima Marasiewicza, a Lenę odwiedziła Gera Tretiak, tego samego wieczoru mniej więcej o ósmej Sofia Aleksandrowna odebrała telefon. Poinformowano ją, że nazajutrz o dziesiątej rano ma zjawić się w komendanturze więzienia w Butyrkach w celu widzenia się z synem, Pankratowem Aleksandrem Pawłowiczem. Przywieźć ciepłą odzież, pieniądze i żywność. Głos w słuchawce brzmiał równo i spokojnie, mówił człowiek przywykły do codziennego powtarzania tego samego w sposób jasny i zwięzły. Przekazał, co miał do przekazania, i nie czekając na pytania odłożył słuchawkę.

Sofia Aleksandrowna przeraziła się, że człowiek ten czegoś niedopowiedział, że zapomniał o czymś ważnym, istotnym, bez czego ona nie zdoła wykonać polecenia, jak należy. Bała się coś poplątać, pominąć, dlatego też gorączkowo usiłowała zatrzymać w pamięci to, co on powiedział: "Jutro o dziesiątej, Butyrki, widzenie, ciepłe rzeczy, żywność, co jeszcze... Aha, pieniądze, pieniądze na drogę..." I żeby o niczym nie zapomnieć, Sofia Aleksandrowna zapisała sobie wszystko na karteczce. Pieniądze i żywność oznaczają zesłanie, ciepłe rzeczy - Północ albo Syberię.

Przygotowania trzeba było zorganizować w ciągu tej nocy, toteż Sofia Aleksandrowna nie miała czasu na rozpacz. Nie mogła sobie tylko darować, że nie przygotowała tego wszystkiego już dawniej - nie chciała jednak zapeszyć losu przedwczesnym szykowaniem chłopca do takiej drogi. Sasza ma tam zimowe palto, uszankę, sweter, ciepły szalik, walonek co prawda nie wziął, ale w kwietniu nie będą mu potrzebne, niezależnie od miejsca zsyłki. Tak, niezbędne staną się dopiero w zimie, a do zimy zdąży mu je wysłać. Teraz Sasza potrzebuje butów, tam jest błoto, wilgoć, przepadnie w swoich trzewikach, buty - to jest to, czego potrzebuje, to, co może uratować życie. Butów Sasza nie ma. A sklepy już pozamykane. Co tam zresztą sklepy, przecież buty i tak sprzedają tylko na talony, skąd miałyby wziąć talon? Można kupić buty na bazarze za bajeczne pieniądze, ryzykując, że wpakują tekturę zamiast skóry. Bazar też już nieczynny...

Wtedy przypomniała sobie, że Wiera, jej siostra, ma na daczynie mocne, solidne buty, rozmiar akurat na Saszę, czterdzieści. Odkupi im inne, zapłaci każdą cenę, ale te muszą oddać Saszy.

Zadzwoiła do Wiery. Wiera i jej mąż Wołodia wyjechali na daczynę, wrócą dopiero pojutrze. Co za pech!

Młodsza siostra, Polina, nie miała telefonu. Telefon był u sąsiadów, Sofia

Aleksandrowna znalazła jego numer z czasów, gdy Polina przyjaźniła się z tymi sąsiadami, ale już od kilku lat nie pozwalali jej korzystać z telefonu, a i Polina prosiła, żeby nie dzwonić. Sofia Aleksandrowna mimo to zatelefonowała, choć ciążyła jej myśl, że sąsiedzi odmówią, może nawet ordynarnie.

Odezwał się męski, dziarski, pełnokrwisty głos.

- Najmocniej przepraszam - powiedziała Sofia Aleksandrowna. - Strasznie mi przykro, że państwa niepokoję, ale sprawa jest niezwykle pilna... Czy mógłby pan poprosić do telefonu Polinę Aleksandrownę?

- Jaką Polinę Aleksandrownę?

- Waszą sąsiadkę z mieszkania numer dwadzieścia sześć, tylko błagam, niech się pan nie gniewa, tu mówi jej siostra...

- No, wie pani...

Mężczyzna nie odłożył jednak słuchawki, oddał ją kobiecie.

- Z kim pani chce rozmawiać?

- Przepraszam panią, najmocniej przepraszam - powiedziała Sofia Aleksandrowna. - Mówi siostra waszej sąsiadki, Poliny Aleksandrowny. Wie pani, jest taka bardzo nieprzyjemna sprawa, bardzo pilna, i właśnie w związku z tym... czy mogłaby pani poprosić moją siostrę, niech pani będzie taka dobra...

- Zaraz - niezadowolonym głosem odpowiedziała kobieta.

Sofia Aleksandrowna długo czekała, wreszcie do telefonu podeszła zdenerwowana Polina, domyślała się już, że z Saszą źle.

- Saszę jutro wywożę - powiedziała Sofia Aleksandrowna. - Trzeba pojechać do Wiery na daczę, przywieźć buty.

- Niestety, nieszczęście! - zaczęła lamentować Polina. - Igorek ma temperaturę, Kola przyjedzie dopiero po jedenastej. Co robić? Jak tylko Kola wróci, od razu do ciebie przyjadę, ale na daczę już nie zdążę.

- Dobrze, przyjeźdź, pomożesz pakować rzeczy - powiedziała Sofia Aleksandrowna. - A z tymi butami coś wymyślę.

- Co przywieźć?

- Nic, wszystko jest.

Trudno, będzie musiała jechać sama, choć nie wie, czy nie zabłądzi w niedawno powstałej osadzie letniskowej z przesiekami zamiast ulic. Nikt nie zna ich nazw, domki mają poplątaną numerację, sezon letniskowy jeszcze się nie zaczął, nie ma kogo spytać o drogę. Ale jechać trzeba. Tylko kto w takim razie skoczy do sklepu? Zadzwoiła do Wari.

Wari nie było, Niny też nie. Poprosić Milicę Pietrownę? Nie pojedzie, oszczędza serce, nie dźwiga nawet garnka z mlekiem, a zakupy trzeba zrobić spore: chleb, suchary, cukier, i mleko skondensowane, i cytryny, Sasza pozbawiony jest przecież witamin, i kielbasa wędzona, i ser, i szynka... Spisała wszystko na karteczce i zapukała do Michaiła Juriewicza. Michaił Juriewicz był w szlafroku; kleił coś, pochylony nad stołem.

- Tak mi przykro, ale nie mam innego wyjścia. Tu jest spis, tu pieniądze, gdyby nie było wędzonej kielbasy, to może być podwędzana, przy tej pogodzie nie zepsuje się, dobrze by było kupić też coś z ryb, tylko takie niezbyt słone...

Michaił Juriewicz patrzył na nią zafrasowanym wzrokiem.

- Jakże pani pojedzie w nocy za miasto? Kiedy pani wróci?

- Wrócę nocnym, odchodzi o pierwszej z minutami.

- Nie będzie tramwaju.

- Jakoś tam dobrnę.

- Niech pani jedzie do sklepu - powiedział Michaił Juriewicz - a ja pojedę do pani siostry.

- Co też pan, Michaił Juriewiczu, to daleko, czterdzieści osiem kilometrów, od stacji dwadzieścia minut drogi, osada nie oświetlona, nie ma ulic ani chodników, błoto, nie trzeba, jeszcze pana zamordują...

- Niech pani zapisze adres - polecił Michaił Juriewicz - i jeśli pani potrafi, to proszę narysować drogę, zaraz się ubiorę.

Narysowała szkic i wytłumaczyła wszystko, najlepiej jak umiała. Obok stacji jest kiosk, w zimie nieczynny, najważniejsze to iść od kiosku w prawo, wtedy od razu trafia się na właściwą przesiekę. A z przesieki, to trzecia ulica po lewej stronie, tak się nawet nazywa, Trzecia Zielona, tylko tabliczki nie ma, dzieciaki jeszcze latem zerwały. Dacza numer dwadzieścia sześć, numer napisany jest na furtce. Daczę łatwo poznać po sztachetach. Obok stoi szczelny parkan z desek, dalej też jest taki sam parkan, a między nimi sztachety, to właśnie dacza Wiery. Najważniejsze to iść w prawo od kiosku. Michaił Juriewicz stał przed nią w kaloszach, w wysokiej futrzanej czapce, poważny i dostoyny w swoich staroświeckich binoklach, a równocześnie, gdy wyobraziło się go człapiącego przez błotnistą i bezludną osadę - całkiem bezbronny. Będzie szukać całą noc, a przecież jutro rano musi iść do pracy.

Spojrzała na zegarek i przeraziła się - kwadrans po dziewiątej! Dyżurny sklep zamykają o dziesiątej.

Tramwaj był zatłoczony, Sofia Aleksandrowna wsiadła na przedni pomost drugiego

wagonu, trudno, niech ją ukarzą, zapłaci, byle nie wysadzili, nikt jej jednak nie karał, podała pieniądze za przejazd i została na pomoście. Myślała o tym, ile to jeszcze spraw ma do załatwienia po powrocie ze sklepu, co zrobić z walizką, nie wie, gdzie mogą być kluczyki, czy zamek działa, dawno już nie używała tej walizki, a bez zamka ani rusz. Sasza może jechać z kryminalistami, ograbią go ze wszystkiego.

Na myśl, że Sasza może jechać z kryminalistami, że mogą go okraść, skrzywdzić, pobić, znów odczuła cały ogrom nieszczęść, które spadły na jej syna: napiętnowany, zaszczuty, otoczony pogardą, pozbawiony wszelkich praw.

Moskwa, przez którą jechała, cała ta plątanina ulic, placów, aut, wystaw, tramwajów, wydawała jej się czymś nieprawdopodobnym. Wszystko było w ruchu, pędziło dokądś, nierealne, nienaturalne, mgliste jak koszmarny sen, jakieś figury woskowe, manekiny zalane mlecznym tramwajowym światłem.

Wreszcie Ochotnyj Riad. Wysiadła. Za kwadrans dziesiąta. Z przystanku widziała ruch w drzwiach dyżurnego sklepu. Otwarty! Ruszyła w tamtym kierunku, zasapana od szybkiego marszu. GDY podeszła bliżej, zobaczyła skłębiony przy wejściu tłum, do środka już nie wpuszczali, ludzie klęli, źli, że spóźnili się o jakieś pół minuty. Niektórzy usiłowali wepchnąć się do środka, ale bez skutku. Gruba ekspedientka trzymała drzwi.

Sofia Aleksandrowna również chciała wcisnąć się do środka. Nie dała jednak rady. Krewki, choć niezbyt liczny tłumek napierał na nią ze wszystkich stron. Potem ludzi zaczęło ubywać, ze sklepu wychodziło coraz mniej klientów, wewnątrz przygaszono światła. Powoli tłumek rozproszył się. I tylko Sofia Aleksandrowna nie odchodziła. Za każdym razem, gdy ekspedientka uchylała drzwi, prosiła o wpuszczenie.

Ekspedientka - miała nalaną, czerwoną, odmrożoną twarz - powtarzała opryskliwie:

- Matka, idźcie stąd, nie marudźcie!

- Bardzo panią proszę, niech pani będzie tak dobra...

Ze sklepu wysypała się grupka rozbawionych młodych ludzi, jakiś chłopak zawołał czystym, dźwięcznym głosem:

- Wpuście babcię po pół litra!

I roześmiane towarzystwo pomknęło w stronę Ochotnego Riadu.

- Bardzo panią proszę, przecież jeszcze otwarte - błagała Sofia Aleksandrowna.

Ekspedientka nie zwracała na nią uwagi, przywykła już do takich upartych, co wieczór to samo, przyłażą, marudzą, dopóki na drzwiach nie zawiśnie kłódka.

- Gdzie leziesz! Odejdź od drzwi!

Sprzątaczkę zamiatały podłogę, rozsypywały żółte trociny, sprzedawczynie zdejmowały

towar z lad, śpieszyły się. Sofia Aleksandrowna stała nadal. Ekspedientka wypuściła ostatniego klienta i zeszła z posterunku. Sofia Aleksandrowna pchnęła drzwi i weszła do środka.

- Gdzie?! - podbiegła do niej gruba ekspedientka.

- Nie wyjdę - cicho powiedziała Sofia Aleksandrowna.

- Zaraz milicję wezwę!

- Ja dla syna, do więzienia - Sofia Aleksandrowna patrzyła w tę ordynarną, czerwoną twarz, twarz przekupki, handlującej na mrozie pierożkami i eskimo. - Jutro go wywożę, muszę mieć coś dla niego na drogę.

Ekspedientka westchnęła.

- Wszyscy łąą, wszyscy coś tam gadają. A nam przecie też się należy odpocząć.

Sofia Aleksandrowna milczała.

Kobiety wkładały już płaszcze, zapinały torby.

- Michiejewa, obsłuż! - przez cały sklep zawołała ekspedientka.

Przyjechała Polina, a już zupełnie w nocy zjawiła się Wiera w towarzystwie Michaiła Juriewicza, przywiozła buty. Miały co prawda rozmiar czterdziesty pierwszy, a nie czterdziesty, ale i tak były dobre.

- Żadne tam chromowe, wyjściowe buciczki, tylko mocne, solidne, do marszu i do roboty - mówiła Wiera. - Na wełnianą skarpetę dać, i będzie idealnie - ciepło, wygodnie.

Oprócz butów Wiera przywiozła worek turystyczny z szerokimi szelkami, można było nawet regulować ich długość.

- Jedzenie do worka, rzeczy - do walizki.

Spośród siostr Wiera była tą najbardziej energiczną i sprytną, właśnie na ów podmiejski, podmoskiewski sposób. Mąż - myśliwy i wędkarz, dzieci - narciarze i turyści, mieszkali na dacy, zajmowali się sadem i ogrodem. "Jesteś zbyt potulna" - powtarzała Wiera Sofii nalegając w swoim czasie, by ta rozeszła się z mężem. Występowała w obronie siostry, kłóciła się z Pawłem Nikołajewiczem, nie znosiła jego uwag i w końcu w ogóle przestała bywać u Pankratowów.

Wiera spakowała wszystko sama - zgrabnie i umiejętnie, kazała dołączyć widelec, łyżkę, nóż i kubek. Sofia Aleksandrowna zupełnie zapomniała o tych rzeczach, o brzytwie też zapomniała, spakowała tylko to, co zazwyczaj wysyłała w paczkach, a to jest bagaż na drogę, teraz można zapakować wszystko, teraz wszystko jest już dozwolone.

- Nie dawaj za dużo pieniędzy - radziła Wiera - mogą ukraść w drodze, potem wyślesz już na miejsce. Na widzeniu powiedz mu: jak dojedzie, niech od razu zadepeszuje, wtedy



wyślesz pieniądze na poste restante. Nic mu nie będzie, wytrzyma, jest młody!

Uspokajały nie tylko słowa, uspokajała przede wszystkim zorganizowana działalność Wiery, jej energia, zapobiegliwość, było w tym życie, i życie to strzegło życia Saszy.

Nina nie zwróciła uwagi na światło, palące się w oknach Sofii Aleksandrowny, a Waria zauważyła je od razu - Waria wszystko zauważała. Światło nie zaniepokoiło jej jednak. Sofia Aleksandrowna nie może czasem zasnąć przez całą noc, sama o tym mówiła. Myśli Wari zaprzątnięte były zresztą czymś innym: jutro wieczorem pojedą z Niną odprowadzić Maksa i Serafima.

Tańce w Domu Armii Czerwonej trwały do drugiej w nocy. Wiele osób wyszło wcześniej, chcąc zdążyć na ostatni tramwaj. Nina też miała zamiar wyjść, ale Waria i Serafim uprosili ją, żeby jeszcze została. Maks uśmiechał się dobrodusznie, Ninka podporządkowała się więc większości i została.

Szli teraz piechotą przez nocną, zimną Moskwę, Waria była bez kaloszy, w lekkiej szyfonowej chustce. Serafim narzucił jej na ramiona swój szynel, oddał swoją czapkę. Waria w świetle latarni przejrzała się w lusterku, czapka opadała na czoło, ale była twarzowa, wyglądała w niej jak młodzietki zgrabny żołnierz. Szła z Serafimem z tyłu, ręka Serafima spoczywała na jej ramieniu, a gdy Maks i Nina znikali za rogiem, całowali się, Serafim całował tak, że bolały wargi. Waria nigdy jeszcze nie całowała się naprawdę, teraz też nie sprawiało jej to przyjemności, po prostu bolało. Rozumiała jednak, co to znaczy. A znaczy to, że Serafim jest namiętny. Nina na pewno domyślała się, dlaczego Serafim i Waria zostają w tyle, ale udawała, że tego nie widzi. Również w domu nie robiła żadnych wymówek, kazała tylko zgasić światło i szybko iść spać - jutro do pracy.

Rano zostawiła na stole karteczkę do wychowawczyni Wari - "Proszę o zwolnienie Wari Iwanowej po trzeciej godzinie lekcyjnej z powodu ważnej sprawy rodzinnej." Sprawa rodzinna - to było odprowadzenie Maksa i Serafima. Dziś jednak Waria w ogóle nie myślała o szkole. Chciała wyglądać elegancko. Wyjeżdżają absolwenci szkół wojskowych, na dworcu będzie mnóstwo odprowadzających, będą tamte ładne i dobrze ubrane dziewczyny, które widziała w Domu Armii Czerwonej, i Waria miała ochotę być ubrana nie gorzej od nich, wyglądać na dorosłą i poważną, przecież ona też odprowadza swojego przyszłego męża. Żadnej czerni, coś poważnego, a równocześnie zwracającego uwagę.

Trzeba też inaczej się uczesać, zrobić makijaż, jeśli wyjdzie ze szkoły po trzeciej lekcji, to nie zdąży, uczy się na popołudniowej zmianie.

Naprędce przygotowała obiad dla Niny, wzięła podręczniki i poszła do Zoi. Zoja też machnęła ręką na szkołę, została pomóc Wari w robieniu fryzury i podwijaniu rzes. Pożyczyła przyjaciółce modne botki z metalowymi sprzączkami i rzecz najważniejszą -

matczyne futro z selskinów, w którym mama od czasu do czasu pozwalała jej pokazać się na ulicy. Gdy Waria włożyła selskiny, Zoja orzekła, że wygląda w nich zabójczo - dorosła, postawna dama w eleganckim futrze, w modnych botach i białej chustce, która zresztą też była własnością mamy Zoi.

Przed piątą Waria zakończyła przygotowania i zadzwoniła do Niny.

- Przyjdę prosto na przystanek.

- Skąd dzwonicz?

- Ze szkoły.

Na przystanku zjawily się równocześnie.

Nina nie poznała siostry...

- Co to za maskarada?

- Szatnia była zamknięta, wzięłam futro i chustkę Zojki.

- A ona?

- Weźmie moje.

- Gdzie masz książki?

- Zostawiłam w ławce, przecież nie będę ich taszczyć na dworzec.

Szatnia podczas lekcji rzeczywiście mogła być zamknięta, ale Waria i tak kłamie: zamknięte byłyby również rzeczy Zoi, o ile to faktycznie jej futro. Nina nie miała jednak ochoty na wypytywanie i dochodzenie prawdy: Waria nie jest już dzieckiem, wkrótce wyjdzie za mąż, i dobrze, że wyjdzie za Serafima, porządny chłopak, niech dziewczyna urządza własne życie, jak chce, i swojego Serafima też niech odprowadza, jak chce.

Na dworcu panował ruch, peron zatłoczony był ponad wszelką miarę. Nina i Waria bezradnie zatrzymały się przy wejściu, ale Maks i Serafim już biegli w ich stronę, machali rękami, po chwili wszyscy razem szli wzdłuż pociągu do ich wagonu, przeciskali się przez tłum, bojąc się pogubić wśród ludzi - też śpieszących się, też szukających swoich bliskich, wśród mężczyzn, kobiet z węzełkami pełnymi podarunków na drogę, wśród dziewcząt z kwiatami, obejmujących i całujących tych wspaniałych chłopców, świeżo upieczonych dowódców Armii Czerwonej w bluzach ściągniętych skórzanymi pasami, bez czapek, czapki i szynle zostały w wagonach... Młodość, radość, tężyzna, a równocześnie powaga - to właśnie groźna zbrojna siła państwa radzieckiego. I Nina rozumiała, że ci dziarscy chłopcy o rumianych policzkach pierwsi pójdą w bój, pierwsi przyjmą na siebie każde uderzenie. Pomyślała, że jej miejsce jest przy Maksymie, takim silnym, spokojnym. Gdy odjedzie, będzie jej brakowało tego spokoju, tej dobrodusznej pewności.

Waria tymczasem rozkoszowała się zakochanym spojrzeniem Serafima i spojrzeniami

jego kolegów. Jest tu najpiękniejsza, nieoczekiwanie wysoka, prawie tak wysoka jak Nina. I nikt nie ma tak szykownego futra, takiego szala. Zaróżowiła się, podniecona dworcowym rozgardiaszem, gwizdami i sapaniem parowozów, wzywających w długą, nieznaną i pełną obietnic drogę.

Maks powiedział jej, że wygląda jak gwiazda filmowa, Serafim szepnął, że kocha ją nad życie, i nawet Nina uśmiechnęła się, jest dumna, że ma taką siostrę...

Jak przystało dorosłej kobiecie, Waria patrzyła tylko na swoich, na Ninę, Maksa i Serafima, na nikogo więcej, żeby nie pomyśleli, że strzela oczami. Jeżeli nawet rozglądała się, to tak zwyczajnie, przypadkowo, po prostu obrzucała roztargnionym spojrzeniem pociągi i ludzi, śpieszących do pociągów.

I gdy tak powiodła wzrokiem po sąsiednim peronie, zobaczyła Saszę.

Szedł między dwoma żołnierzami, przodem kroczył niski dowódca w długim szynelu, niecierpliwie roztrącał tłum, a za nim, między dwoma żołnierzami, szedł Sasza, z workiem podróżnym na plecach i walizką w ręku.

Poczuł, że ktoś na niego patrzy, obejrzał się, i wtedy ujrzała kredowobiałą twarz okoloną czarną, wijącą się jak u Cygana brodą. Sasza prześliznął się wzrokiem po odjeżdżających absolwentach, po Maksie, Ninie, po Wari, ale nie poznał nikogo, odwrócił głowę i poszedł dalej, do pociągu stojącego gdzieś na innym peronie. Za Saszą i żołnierzami, przed nimi, obok nich szli podróżni z walizami, workami, kuferkami, śpieszyli się, wyprzedzali ich, grupka szybko zginęła w tłumie.

A Waria wciąż wpatrywała się w miejsce, w którym zniknął Sasza. Nie słyszała dzwonka, nie zauważyła, jak wszyscy zaczęli się żegnać, nie widziała, jak czuli się do niej i zagląda jej w oczy Serafim.

- Waria, obudź się! - powiedziała Nina.

- Widziałam Saszę.

- Co ty bredzisz? - krzyknęła Nina rozumiejąc nagle, że Waria mówi prawdę.

- Prowadzili go żołnierze, miał brodę - mamrotała Waria nie odrywając oczu od sąsiedniego peronu, może Sasza wciąż jeszcze idzie w tym tłumie biegnących, objuczonych walizkami i tłumokami ludzi, może wciąż jeszcze idzie, i będzie mogła go zobaczyć... - Miał brodę, miał taką brodę jak starzec...

Zachłystywała się łzami.

- Zupełnie jak starzec, zupełnie...

- Przestań, coś ci się pomyliło - powiedziała Nina. Drżał jej głos.

Zdenerwowany Maksym dodał, siląc się na spokój:

- Mylisz się, tak nie mogą go wywozić.

- Nieprawda! To był on... - powtarzała łamiącym się głosem. - Poznałam go! Obejrzał się i popatrzył - taki całkiem biały, całkiem stary...

Serafim niepewnie wyciągnął do niej rękę.

- Do widzenia, Wariu.

- Biały, biały jak trup! - zawodziła Waria. - I niesie walizkę, oni sobie idą, a on niesie...

Speszony, zaczerwieniony Serafim pocałował ją w mokry od łez policzek, po którym spływały czarne smugi tuszu.

Pociąg ruszał powoli, absolwenci wisieli na stopniach, tłoczyli się na platformach, machali rękami, odprowadzający też machali rękami, wykrzykiwali jakieś rady na drogę, szli obok pociągu. I Maks machał ręką, i Serafim machał...

A Waria stała na środku peronu, płakała, wycierała twarz chusteczką, rozmazywała tusz, zanosila się szlochom, przełykała łzy. Wystraszona i wstrząśnięta Nina próbowała ją uspokoić.

- Przestań, nic się już nie poradzi, pojedziemy do Sofii Aleksandrowny, wszystkiego się dowiemy...

Przechodząca obok staruszka przystanęła, popatrzyła na Warię i pokiwała głową ze współczuciem.

- Płaczą dziewczuchy za żołnierzami...

## **Część druga**

Stary szlak nad Angarę, przetarty w tajdze przez pierwszych osadników, zaczyna się w Tajszece, nowy - w Kańsku, tu kończy się etap kolejowy i rozpoczyna pieszy.

Ciche miasteczko z drewnianymi chodnikami, pozbawione zieleni, podobne do stepowego chutoru. Znów błękitne niebo nad głową i oszałamiający zapach życia. Nie ma już celi, Diakowa, spacernika ani strażnika z karabinem, wodzącego za więźniem sennym wzrokiem. Nie chce się nawet wierzyć, że wszystko to mogło zdarzyć się naprawdę. Pozornie jesteś tu taki sam jak wszyscy, idziesz ulicą, niesiesz swoją walizkę, obok kroczy Borys Sołowiejczyk, narzeka, że nie udało mu się zaczepić w Kańsku.

- Wysłać na wieś specjalistę z moimi kwalifikacjami! Jakież z tego pożytek dla państwa?

W domku z ganeczkiem mieści się poczta i kasa oszczędności. Dziewczyny w domowych sukienkach, z palcami umazanymi klejem i atramentem znają Sołowiejczyka, sympatyczny, towarzyski moskwianin odbiera u nich listy na poste restante.

“Zdrowy pisz okręg kański wieś Boguczany restante całuję Sasza” - pierwszy telegram do mamy.

Urzędniczka policzyła słowa, wymieniła kwotę, wypisała pokwitowanie, zainkasowała pieniądze. Wesole tu dziewczyny, ładne...

Gospodyni Sołowiejczyka, młoda, szczupła kobieta o łagodnej twarzy nakryła do stołu. Co skłoniło ją do zejścia się z Borysem? Wyjedzie i zapomni o niej. Spodobał się? Ulitowała się nad zesłańcem? Borys ze swoimi manierami stołecznego donzuana sprawiał przy niej żalosne wrażenie.

Sasza wyciągnął z walizki puszkę szprotek - wszystko, co zostało z matczynej paczki. Borys otworzył butelkę wódki. Miał własne kieliszki, nawet serwetki, tutaj też chciał żyć po ludzku. Wszystko było tak jak w normalnym życiu, i tylko na wspomnienie tego, kim są, robiło się jakoś dziwnie i strasznie, choć prawdę mówiąc, już nie tak strasznie.

Saszy po pierwszym kieliszku zakręciło się w głowie.

- Po więzieniu to normalne - zauważył Borys - ale przyzwyczai się pan. Nad Angarą będziemy pić spirytus, w transporcie spirytus wypada tam taniej niż wódka - sześćset kilometrów końmi. A tak w ogóle, to jakoś przeżyjemy. Boguczany to duża wieś, znajdę tam pracę w swoim zawodzie, pan też prawie inżynier, a we wsi są traktory, siewniki, wialnie.

- Nie znam się na traktorach i siewnikach.

- Jak pan zgłodnieje, to szybko się pan nauczy. Dawniej młodzi inteligentni jeździli za

granicę, a my - na białe niedźwiedzie. Pewnie, lepiej być Sołowiejczykiem w Moskwie niż Worobiejczykiem na Sołowkach. Cóż jednak poradzić? Mamy siedzieć i płakać? Celowałem na stanowisko przewodniczącego Gosplanu, a ściślej mówiąc, na stanowisko jego zastępcy, jako bezpartyjny. Jestem tym, który ciągnie wóz, wołem roboczym, nikomu nie zawadzałem i wszystkim byłem potrzebny. Na mojej drodze stanął jednak znak przestankowy, zatrzymał mnie dwukropek. Niech pan zwróci uwagę, że w zsyłce żaden człowiek nie powie panu prawdy: kto siedzi za coś - udaje, że siedzi za nic; kto siedzi za nic - udaje, że siedzi za coś. Mnie może pan jednak uwierzyć. A więc w naszej instytucji wisiało hasło: "TEchnika w okresie odbudowy decyduje o wszystkim. Stalin". Zna pan to hasło? Zna pan. Wspaniale. Przeczytałem je kiedyś przy pewnej uroczej paniencie. I ta właśnie panienka zdemaskowała mnie jako osobnika nie znającego interpunkcji. Niech pan posłucha uważnie. Otóż odniosła ona wrażenie, że przeczytałem to hasło tak: "TEchnika: w okresie odbudowy decyduje o wszystkim Stalin". Była to wykształcona panienka, nie mogła znieść mojej ignorancji i podzieliła się swoim oburzeniem z kim trzeba. Zawsze miałem nieprawidłową wymowę, myślałem sobie - no cóż, dostanę pewnie porządną nagane. Dostałem artykuł pięćdziesiąty ósmy paragraf dziesiąty - kontrrewolucyjna agitacja i propaganda. I tak miałem szczęście - uznali, że trzy lata wystarczą mi na opanowanie ortografii. Urządziłem się tu całkiem nieźle: ekonomista w "Skupie futer". Może pan być pewien, że za mojej kadencji ilość skupionych skór futerkowych nie uległa zmniejszeniu. Widocznie jednak miasto Kańsk jest miejscem zbyt komfortowym na naukę znaków przestankowych. Z najbliższą partią, a więc z panem, wyruszam nad Angarę. Marzę o stanowisku księgowego w boguczańskim biurze "Skupu futer". Sasza, nasze plany jakiemuś moskiewskiemu lalusiowi wydałyby się zapewne czymś żalonym, ale dla nas oznaczają one przeżycie.

Być może Borys ma rację. Sasza miał jednak zamiar postępować inaczej. Pojedzie tam, gdzie mu każą, będzie mieszkać tam, gdzie wyznaczą. Starać się, zabiegać o cokolwiek, to uznać prawo takich Diakowów do trzymania go tutaj. On im tego prawa nie dawał.

- Gdzie pan mieszkał w Moskwie? - spytał Borys.

- Na Arbacie.

- Też nieźle. A ja na Pietrowce, w tym domu, gdzie jest magiel. Wie pan, który to dom?

- Wiem.

- Jak się pan zapewne domyśla, moja młodość upłynęła w parku "Ermitaż". Spędziłem tam kilka całkiem sympatycznych wieczorów. Jednakże, jak mawiał mój dziadek cadyk... Wie pan, kto to jest cadyk? Nie wie pan. Cadyk to coś pośredniego między mędrcom a



świętym. A więc mój dziadek cadyk mawiał w takich wypadkach: ginug! Co to znaczy "ginug" też pan pewnie nie wie? "Ginug" - to znaczy "dość", "wystarczy". A więc ginug wspomnień, ginug opłakiwania przeszłości!

Rankiem gospodyni wyszła do pracy, gdy jeszcze spali: śniadanie stało w piecu za żelazną przegródką.

- Oto właśnie wielka zaleta prostych kobiet - powiedział Borys. - Wie pan, dlaczego rozszedłem się z żoną? Nie lubiła wcześniej wstawać i nie szykowała mi gorących śniadań. No i co? Straciła męża. Zresztą i tak by mnie straciła. A więc udajemy się obecnie do potężnego trustu "Skup futer" załatwić zwolnienie. Nie liczę na odprawę pieniężną, ale pisemko do Boguczan od nich wydebuję. Będzie się pan golić?

- Nie.

- Niech pan posłucha mojej rady i zgoli tę brodę, po co panu ona? Zaraz wyjdziemy na dwór, zobaczy pan, jakie tu są dziewczyny.

Sasza widział już te dziewczyny. Były piękne - dorodne jasnowłose Sybiraczki, mocne ciała, mocne nogi. Życie na Syberii wyobrażał sobie jako życie pustelnika, będzie uczyć się francuskiego, angielskiego, ekonomii politycznej, nie wolno przecież zmarnować tych trzech lat. Teraz ogarnęły go wątpliwości. Wygląda na to, że czekają go tu bardziej urozmaicone doświadczenia.

- Żadnej kosmetyki, wszystko naturelle - mówił dalej Borys. - Etap za trzy dni, zdążymy jeszcze sobie poużywać. Z tą brodą jednak, mój drogi, może pan w ogóle nie wychodzić z domu.

- Nie chce mi się tu golić.

- Niech pan posłucha rady człowieka doświadczonego. Pan jest na zesłaniu pierwszy dzień, a ja już trzeci miesiąc. Jeżeli będzie pan odkładać życie do dnia wyjścia na wolność, to koniec. Tu można przetrwać tylko w jeden sposób - żyć tak, jakby nic się nie stało. Wtedy ma pan jeszcze jakieś szanse na przetrwanie.

Niski pokój, wyklejony spłowiałymi tapetami, na suficie biały papier w bąblach i żółtych zaciekach, za ścianą płacze dziecko... Pachnie jednak wodą kolońską i pudrem, stoją dwa normalne fryzjerskie fotele, przy nich fryzjerzy w białych fartuchach, choć w wysokich butach, i twarze mają jakby znajome, takie same jak ich moskiewscy koledzy po fachu, wyczekująco skupione fryzjerskie twarze.

W zmętniałym i popękany lustrze Sasza zobaczył swoją bladą twarz i czarną, wijącą się, równą, jak gdyby świeżo przystrzyżoną brodę.

- Golimy wszystko?

Fryzjer w zadumie szczęknął nożyczkami, a potem zdecydowanym ruchem ściął brodę. Kosmyki włosów spadały na przybrudzoną narzutkę. Terkotała maszynka, ciepła piana grzała policzki. Sasza wspominał salon fryzjerski na Arbacie, jego zapach, jaskrawe światło, przedświąteczną krzątanicę.

- Czy to naprawdę pan? - Borys rozłożył ręce ze zdumienia. - No nie, chłopak jak malowanie!

Znów szli ulicą, Sasza śmiało patrzył na dziewczęta, one patrzyły na niego.

- Gdyby pozwolili nam tu zostać, to uszlachetnilibyśmy miejscową rasę - powiedział Borys. - W Kańsku jest mnóstwo zesłańców, najwyżej byłoby o dwóch więcej.

- A kogo zostawiają?

- "Li". Zostawiali! Chorych, wielodzietnych, zniedołężniałych ze starości... O, idzie właśnie taki, tylko niech się pan na niego za bardzo nie gapi, mienszewik, jeden z liderów...

Opierając się na lasce szedł ku nim staruszek w palcie i kapeluszu, długie siwe włosy opadały na kołnierz. Sołowiejczyk uklonił się. Staruszek odwzajemnił ukłon z pewnym wahaniem, tak jak odpowiada się na powitanie kogoś nieznanego. Po chwili poznał, uchylił kapelusza, uśmiechnął się przyjaźnie.

- Idzie zameldować się w komendanturze - wyjaśnił Borys, najwyraźniej dumny z uszanowania, jakim zaszczycił go staruszek. - Stawiennictwo piątego i dwudziestego. Jak pan myśli, ile on ma lat?

- Z sześćdziesiąt.

- A co pan powie na siedemdziesiąt dwa? Tu spotka pan wszystkich: mienszewików, eserów, anarchistów, trockistów, i tych z odchyleniem nacjonalistycznym. Są nawet dawne znakomitości...

Sasza nigdy nie myślał, że w Związku Radzieckim istnieją jeszcze mienszewicy i eserzy. Trockiści owszem, tych jeszcze pamięta. Ale tamci? Czyżby w dalszym ciągu niczego nie rozumieli? Może mają jeszcze na coś nadzieję, i nadal robią swoją robotę? A może nic już nie robią?

Obiad jedli w stołówce "Skupu futer" - niskiej suterenie z kwadratowymi stolikami, pozbawionymi obrusów. Za szerokim prostokątnym okienkiem mieściła się kuchnia: trzy duże aluminiowe rondle na płycie, nad nimi kłęby pary, przy rondlach rumiana kucharka z chochlą w ręku.

- To zamknięta stołówka dla pracowników zarządu - wyjaśnił Borys. - Wpuszczają jednak i postronnych. Przymykają oko, bo muszą mieć jakiś zysk. Mają własną tuczarnię - świnię, króliki, drób. W tej stołówce dożywia się połowa zesłańców. Jeżeli ktoś panu powie,

że to właśnie ja mu to załatwiłem, to może pan wierzyć.

Na widok Borysa kucharka odłożyła chochlę, wytarła ręce w fartuch i wyszła z kuchni.

- Barszcz dziś mamy, Borysie Sawieliewiczu, i boeuf Stroganow z pur~ee, a jeśli pan poczeka, to kartofli podsmażę - pochyliła się ku niemu - jest i buteleczka krowiego...

- Proszę podsmażyć - łaskawie zgodził się Borys.

- Wyjeżdża pan, Borysie Sawieliewiczu?

- A wyjeżdżam - zmarkotniał Borys. - Otręby przywieźli?

- Przywieźli, cztery worki, na jutro obiecali przywieźć jeszcze. A kalkulację znowu pokręcili, gulasz wychodzi o osiem kopiejek taniej. I ze zdunem nie załatwili, piec dymi, oczy bolą.

Rozmawiała z nim jak z człowiekiem, przy którym wszystko idzie dobrze, a teraz, skoro wyjedzie, to zaczną się różne kłopoty. Borys zaś całym swoim zachowaniem zdawał się potwierdzać, że trudno, taki to już porządek rzeczy; najwyraźniej cieszyła go świadomość, że choć nic już w Kańsku nie znaczy, to ludzie nadal okazują mu szacunek.

- Ja tu gadam, a wy przecie głodni - zreflektowała się kucharka.

- Zanim ja tu nastąłem - powiedział Borys - w stołówce pracowało pięć osób, a teraz tylko dwie: ona i pomoc kuchenna. Ta kucharka jest tu i kasjerką, i kelnerką, i kierowniczką. Stołówka to zresztą nic. Mógłbym opowiedzieć panu, czego dokonałem przez te dwa miesiące, ale nikogo to już nie interesuje. Nie ma u nas ludzi niezastąpionych: dziś ja, jutro ty. Chociaż... jak się tak dobrze zastanowić, to słowa te nie mają sensu. Jeżeli w bibliotece nie ma Puszkina, to mogę zastąpić go Tołstojem, ale będzie to przecież Tołstoj, a nie Puszkina. Na moje stanowisko wyznaczono innego, a to już jest inny Puszkina...

Do stołówki nieśmiało wszedł jakiś nieduży człowieczek. Młody, lecz przygarbiony, niechlujny, nie ogolony, na głowie kaszkiet ze złamanym daszkiem, długa obszarpana kurtka, narzucona na brudną rubaszkę, poobrywane guziki, zniszczone buty. Bezkształtne watowane spodnie, workowato obwisłe na kolanach, dyndające tasiemki. - A, Igor! - powitał go Borys. - No chodźże tu, chodź!

Igor podszedł, uśmiechając się niepewnie. Sasza zobaczył błękitne oczy, chudą białą szyję.

- Czapkę zdejmij, tu jest stołówka! - powiedział Borys.

Igor zdjął czapkę, zmiął ją w rękach, jasne, dawno nie strzyżone i nie myte włosy sterczały na wszystkie strony.

- Co słychać? - spytał Borys.

- Nic, dobrze - Igor ukazał w uśmiechu rzadkie zęby.

- Jak dobrze, to dobrze. A że nic, to nic. Znowu cię wyrzucili?

- Nie, dlaczego? Nie pozwalają wyjechać.

W jego przyjemnym, inteligentnym głosie było coś szczególnego, ale Sasza nie potrafił uświadomić sobie co. Głos ten zapadał w pamięć.

- Igor pracował w biurze inwentaryzacyjnym - wyjaśnił Borys - robota czysta i łatwa - robić pomiary budynków, kreślić plany - i akordowa - można nieźle zarobić. Mąż ów jednak leniwym jest, przynosi te plany, a plany są poplamione masłem. Czyżbyś był w posiadaniu masła, Igorze? To smaruj nim chleb, a nie rysunki techniczne! A z tym wyjazdem, to bujasz. Połowa każdego etapu zostaje w Kańsku, ty też bmógłbyś się tu dobrze urządzić, gdybyś był człowiekiem.

Igor uśmiechnął się z miną winowajcy, miał kaszkiet w rękach.

- No dobrze! - Borys skończył swoje kazanie. - Jeść chcesz? Oczywiście - tak! Pieniądze masz? Oczywiście - nie!

- Na dniach powinienem dostać za osiem rysunków...

- O tych ośmiu rysunkach słyszę już od dwóch miesięcy.

Borys zawołał:

- Mario Dmitriewno, niech mu pani da jeść, ja płacę.

Kucharka niechętnie podała przez okienko talerz barszczu i kromkę chleba. Igor wepchnął czapkę do kieszeni, i z chlebem pod pachą ruszył do oddalonego stolika, niezgrabnie trzymając przed sobą talerz z zupą.

- Kto to jest? - spytał Sasza.

- Tutejsza znakomitość, bardzo malownicza postać. Poeta. Syn białego emigranta. W Paryżu stał się zajadłym komsomolcem, przyjechał do ZSRR i proszę, już jest w Kańsku.

- Za co?

- Zadaje pan naiwne pytania. Bunt tępimy już w zarodku. Na przykład, skoro ja opowiedziałem niewłaściwy dowcip, to świadczy to o określonym kierunku biegu moich myśli i dowodzi, że w sprzyjających warunkach mogę być zdolny do działań antyradzieckich. Pan wydał nieprawomyślną gazetkę ścienną, jutro wyda pan pisemko podziemne, a pojutrze ulotki. To nawet humanitarne: za gazetkę dostał pan trzy lata, za ulotki państwo musiałoby pana rozstrzelać, czyli uratowano panu życie. Igor wychował się w Paryżu, jest synem emigranta, człowieka pokrzywdzonego przez rewolucję, a więc osobnikiem, po którym można spodziewać się wszystkiego. Jest rzeczą całkiem logiczną, że należy go izolować - dla jego własnego dobra.

Igor siedział w kącie, pośpiesznie jadł swój barszcz.

Patrząc na niego Borys powiedział:

- Prosty człowiek sam po sobie sprząta i dlatego w każdych warunkach pozostanie człowiekiem. Arystokrata przyzwyczajony jest do tego, że sprzątają po nim inni, i gdy nie ma tych innych, przekształca się w bydlę. Monsignor nie uważa za stosowne pracować, dojada resztki po stołówkach, wyrzucają go z kwatery - brudas! Napożył od wszystkich pieniędzy, nikomu nie oddaje. A chyba pan przecież rozumie, że wśród zesłańców nie ma krezusów. Sami go zresztą rozpuścili: cackali się z nim jak z jajkiem. Wiadomo - poeta! I to z Paryża! Ach, Paryż! Francja! Trzej muszkietierowie! Dumas-ojciec! Dumas-syn! On boi się tylko mnie: tamci nie dają żreć, a ja daję. Dlatego tak pokornie znosi moje reprimendy, choć w duchu gardzi mną jako prostakiem i chamem. Teraz wyjadę nad Angarę, a on zdechnie tu beze mnie z głodu! Najciekawsze jest jednak coś innego. On czeka na swoją Dulcyneę. Jeżeli się zjawi, to będzie pan świadkiem widowiska, jakiego nigdy jeszcze pan nie widział. A otóż i ona.

Do stołówki weszła uderzająco piękna, mniej więcej trzydziestoletnia kobieta, majestatyczna bogini o wyrazistych ustach. Spokojnym spojrzeniem obrzuciła wnętrze stołówki, obojętnie skinęła Borysowi, ten uklonił się z powściągliwą godnością. Potem zobaczyła Igora, pochłaniającego w kącie swoją zupę.

- Taka kobieta i taki wyskrobek - mruknął załamany Borys.

- Kim ona jest?

- Przyjechała z Leningradu, poszukuje zesłanego męża, no i masz ci los - zakochała się w tej pokrace. Siedzą tu dzień w dzień, on czyta jej swoje wiersze, a ona wpatruje się w niego jak w portret Doriana Graya.

Kobieta opowiadała coś Igorowi, Igor chichotał, zgarniał ze stołu okruchy i wrzucał je do ust. Rozmemłany, ruchliwy człowieczek bez cienia wdzięku. Po jakimś czasie kobieta wstała, podeszła do okienka, kucharka tym samym niezadowolonym gestem podsunęła jej talerz barszczu. Igor wstał niezdecydowanie, chciał pomóc, ale usiadł z powrotem. Gdy kobieta poszła po chleb i sztuce, znów ruszył za nią, lecz zawrócił.

Jadła, teraz on coś opowiadał, twarz miał młodą, a zarazem wyniszczoną. Ona słuchała, czasem kiwała głową. Potem przyniosła drugie, połowę porcji przełożyła na swój talerz, resztę podsunęła Igorowi.

- Ale to żre! - zżymał się Borys. - Może tak zapychać kałdun od rana do nocy, obezre nawet ukochaną kobietę! Ludzie potrafią zachować człowieczeństwo nawet w o wiele gorszych warunkach. A w co zamienił się ten paryski boulevardier? I niech pan nie myśli, że to takie bezbronne, uduchowione stworzenie. O nie! Jest bezczelny, cyniczny, i w duchu

śmieje się z tych, których naciąga. Pasożyt! Oszczędza siebie, a oszczędzać siebie - to znaczy nie oszczędzać innych, tak mawiał jeszcze mój dziadek - cadyk. Przyjechał do ZSRR! Myślał, że robi straszny zaszczyt Związkowi Radzieckiemu, a tu, jak się okazuje, trzeba pracować... Nie chciał, więc społeczeństwo odtrąciło go, wypchnęło poza nawias.

- Najlepiej byłoby wepchnąć go z powrotem do Paryża - zażartował Sasza.

Kobieta skończyła jeść, odsunęła talerz, i oparłszy podbródek na splecionych dłoniach patrzyła na Igora.

On zaś sposepniał, odchylił się na oparcie krzesła, zwiesił głowę i zaczął coś mamrotać.

Były to wiersze, Igor mówił cicho, do Saszy dolatywały tylko pojedyncze słowa: krzyżowcy, mury Jerozolimy, żółte piaski, pałace słońce pustyni, kobiety, czekające na rycerzy, którzy nigdy nie wrócą.

- No i jak się to panu podoba? - spytał Borys półgłosem. - Dzielni rycerze i piękne damy. Tutaj, w Kańsku, w stołówce "Skupu futer"!

Tak, rzeczywiście śmieszne. A jednak było coś urzekającego w tej scenie, w nieobecnej twarzy Igora, w głębokim spojrzeniu zasłuchanej kobiety.

Sasza stłumił w sobie chwilowe rozdrażnienie. Było ono efektem nietolerancji, w której go wychowano.

Powiedział więc do Borysa:

- Bądźmy wyrozumiali.

Stalin przyszedł na salę obrad, gdy narada w kwestii Generalnego Planu Przebudowy Moskwy miała się już ku końcowi. Wiedział, co powie Kaganowicz w referacie wprowadzającym, czytał też tekst wystąpienia Bułganina. Wszystkie wnioski i opinie w tej sprawie zostały już mu przedstawione, dwukrotnie omawiano je na posiedzeniach Biura Politycznego, zdążył więc wyrobić sobie własny punkt widzenia. Ten punkt widzenia znalazł swój wyraz w Generalnym Planie Przebudowy Moskwy. Plan Generalny - to właśnie jego punkt widzenia.

Gdy wszedł, wszyscy wstali z miejsc, jak zwykle zerwała się narastająca burza oklasków. Stalin gestem powitał zebranych i usiadł, dając im tym samym znak, by też usiedli.

Ktoś kończył właśnie swoje wystąpienie. Udając, że uważnie słucha, Stalin zaczął rysować na kartce papieru ruiny starodawnych cerkwi w Ateni, odległej o jakieś dziesięć kilometrów od Gori. W Ateni mieszkali klienci jego ojca, szewca Dżugaszwili. Ojciec odnosił klientom gotową robotę, a niekiedy zostawał w Ateni na dzień lub dwa.

Często zabierał ze sobą małego Josifa. Wyruszali z Gori wczesnym rankiem i szli wzdłuż winnic, położonych nad brzegiem Tany, aż do ruin tych starodawnych cerkwi w Ateni, w tej maleńkiej wiosce było ich dziewięć czy dziesięć, wśród nich cerkiew monasteru Syjońskiego, uwieńczona kopułą, i, według legend, zbudowana jeszcze w siódmym wieku. Na jej frontonie zachowały się rzeźby, przedstawiające historyczne postaci tamtej epoki, w środku zaś można było obejrzeć freski, również przedstawiające postaci historyczne.

Wszystkie najbardziej znane pomniki przeszłości to zabytki architektury. Materiał zapewnia im długowieczność, stoją na otwartej przestrzeni, są powszechnie dostępne, każdy może je obejrzeć, jeśli nie w naturze, to na fotografiach lub reprodukcjach. Lenin także doceniał znaczenie form przestrzennych, był przecież zwolennikiem propagandy monumentalnej. Lenin rozumiał ją jednak jako środek do zaszczepienia w świadomości mas nowych autorytetów historycznych. W istocie zaś zadaniem propagandy monumentalnej jest unieśmiertelnienie epoki. Ile zostało z pięćdziesięciu powstałych wówczas pomników? Jeden? Dwa?

Pomnikiem Jego epoki będzie Moskwa, miasto, które on zbuduje od nowa, tylko miasta są długowieczne. Skromna architektura lat dwudziestych była błędem. Przeciwwstawienie rewolucyjnego ascetyzmu ostentacyjnemu przepychowi NEP-u umożliwiło działalność architektom-formalistom, odrzucającym całą spuściznę klasyczną.

W architekturze nie można odrzucać tej spuścizny, wręcz przeciwnie, należy czerpać z niej w jak najwyższym stopniu.

Piotr rozumiał to i budował Petersburg właśnie według wzorców klasycznych, dlatego też z architektonicznego punktu widzenia Leningrad jest miastem, chociaż miastem minionych wieków - trzyma się ziemi. Moskwa zaprezentuje się przyszłym pokoleniom jako miasto wystrzelające w górę. Wysokościowce, ujęte w formy klasyczne - oto przyszły styl Moskwy. Pierwszym wysokościowcem będzie Pałac Rad. Jego budowę zaproponował Kirow w dwudziestym drugim roku na Pierwszym Zjeździe Rad. Kto dzisiaj o tym pamięta? Pałac Rad wzniesie On, wzniesie jako architektoniczne centrum nowej Moskwy, przebiję nowe arterie, przerzuci nowe mosty, zbuduje metro, bulwary, nowoczesne domy mieszkalne i gmachy urzędów, hotele, szkoły, biblioteki, teatry, kluby, założy parki i ogrody. Wszystko to stanie się monumentalnym pomnikiem Jego epoki.

Takie właśnie myśli wywołało w Stalinie wspomnienie ruin starodawnych cerkwi w Atenach.

Wtedy, w dzieciństwie, te na wpół zrujnowane świątynie fascynowały go swoją dźwięczną pustką, swoją prastarą tajemnicą.

I teraz, siedząc z boku długiego stołu prezydialnego, kreślił na kartce papieru proste linie ich konturów. Nie umiał rysować, lecz linie proste udawały mu się wspaniałe nawet bez linijki - miał pewną rękę.

- Głos ma towarzysz Stalin - oznajmił Kaganowicz.

Znów wszyscy wstali, znów nieunikniona owacja, zwyczajowa burza oklasków.

Stalin wszedł na trybunę, gestem uciszył salę i zaczął cicho:

- O konieczności przebudowy Moskwy mówiło się tu wystarczająco dużo. Nie muszę chyba powtarzać tego wszystkiego. Stara drewniana Moskwa z jej wąskimi uliczkami, zakamarkami i ślepyimi zaułkami, z jej chaotyczną zabudową, z ubogimi domami i ponurymi robotniczymi koszarami, z jej przedpotopowymi środkami komunikacji w żaden sposób nie może zadowalać moskiewskich ludzi pracy.

Zrobił pauzę, wsłuchał się w pełną napięcia ciszę - nie przerywał jej żaden dźwięk, żaden szmer.

- Za władzy radzieckiej - kontynuował Stalin jeszcze ciszej - uczyniliśmy bardzo wiele dla poprawy warunków bytowych ludzi pracy Moskwy. Robotników, którzy gnieździli się w piwnicach, przesiedliliśmy do normalnych mieszkań, zagęszczając powierzchnię mieszkalną przedstawicielom byłych klas posiadających. Powstały liczne szkoły dla dzieci robotników, kluby robotnicze i pałace kultury. Nasze osiągnięcia w tej dziedzinie są



znaczne, i napełniają słuszną dumą serca ludzi radzieckich. Musimy jednak myśleć o przyszłości. Przewodząc - to znaczy przewidywać. Powinniśmy stworzyć plan, obliczony na dziesięciolecie. Planem takim będzie właśnie Generalny Plan Przebudowy Moskwy.

Zszedł z trybuny, przespacerował się po proscenium, na sali w dalszym ciągu panowała niczym nie zmacona cisza.

Stalin wrócił na trybunę i mówił dalej:

- Urzeczywistniając ten plan będziemy musieli walczyć na dwa fronty: z tym, by Moskwa pozostała "wielką wsią", a równocześnie - z nadmierną urbanizacją. Nie powinniśmy niewolniczo naśladować wzorów zachodnich. Moskwa to miasto socjalistyczne, stolica socjalistycznego państwa, i to właśnie musi określać jej kształt. To nie jest miasto, gdzie bogacze mieszkają w pałacach, a robotnicy w lepiankach, lecz przeciwnie, miasto, w którym właśnie robotnikom stworzone zostaną najlepsze i najdogodniejsze warunki życia.

Wynika z tego pierwsze zadanie planu - uczynić miasto wygodne dla życia. Powinniśmy wznieść nowe komfortowe kompleksy mieszkalne, byłoby wskazane, żeby mieściły się one w strefach zieleni. Powinniśmy zabudować wygodnymi i pięknymi domami nadbrzeża rzek Moskwy i Jauzy, co da nam pięćdziesiąt kilometrów nowoczesnych ulic. Powinniśmy zbudować nowe domy przy głównych ulicach miasta, usunąć to, co stare, rozszerzyć najważniejsze arterie do pięćdziesięciu-siedemdziesięciu metrów, i w ten sposób rozwiązać problemy komunikacyjne Moskwy dla dobra ludzi pracy.

Stalin znów zrobił pauzę. Wiedział, że mówi rzeczy powszechnie znane; wiedział też jednak, że ci, którzy go słuchają, przyjmą te słowa jako objawienie, ponieważ mówi je On.

- Przechodzę do drugiego zadania - zaczął znowu. - Oto ono. Stolica pierwszego na świecie państwa socjalistycznego powinna być miastem pięknym. Jeszcze u zarania naszej państwowości pod kierownictwem wielkiego Lenina opracowany został plan propagandy monumentalnej, wielki Lenin chciał, by epoka nasza wzniosła pomniki, uwieczniające ją na całe stulecia - ta idea Lenina jest dla nas święta, musimy kontynuować ją i rozwijać. Jednakże w tamtych latach byliśmy biedni, byliśmy zmuszeni zadowalać się skromnymi rozwiązaniami architektonicznymi. Otworzyło to, niestety, drogę formalizmowi, a formalizm to sztuka niezrozumiała dla mas, to obca nam sztuka. Obecnie jesteśmy już jednak wystarczająco bogaci i potężni, by sięgać przede wszystkim do wzorców klasycznych. Oczywiście, nie będziemy naśladować ich niewolniczo, tak jak uczynili to budowniczowie Petersburga. Formy klasyczne powinniśmy napełnić nową, socjalistyczną treścią.

Zamilkł na dłuższą chwilę, potem ciągnął dalej:

- I jeszcze, towarzysze, ostatnia kwestia: w jakim kierunku powinna rozwijać się Moskwa?

Pierwsza propozycja zakłada, by pozostawić Moskwę taką, jaka jest, w postaci, że się tak wyrażę, muzeum czy zabytku, a nową Moskwę zbudować gdzie indziej, w zupełnie innym miejscu. Przy całym naszym szacunku dla autorów tej propozycji, przyjąć jej nie możemy. Moskwa - to historyczne centrum Rosji. Moskwa zjednoczyła i stworzyła Rosję, dlatego też wyrzec się Moskwy nie możemy, nie śmiemy, i nigdy się nie ośmielimy.

Druga propozycja sugeruje zachowanie obecnego centrum Moskwy w stanie nietkniętym, mniej więcej w tych granicach, które wyznacza Sadowoje Kolco, i otoczenie go ośmioma dzielnicami-satelitami, ośmioma kompleksami mieszkalnymi, tworzącymi nową Moskwę. Nietrudno zauważyć, że jest to tylko złagodzony wariant pierwszej propozycji.

Z czego wynikają obie te propozycje? Wynikają one przede wszystkim z braku wiary w naszą zdolność przebudowania Moskwy. Oczywiście, budowa nowego miasta jest rzeczą łatwiejszą. Jednakże my, bolszewicy, zdołamy wykonać zadanie najtrudniejsze: przebudujemy naszą Moskwę, zostawimy naszą Moskwę na jej dawnym miejscu, zachowamy Moskwę jako centrum naszego kraju, jako centrum rewolucji światowej. Dlatego też postanowiliśmy rozbudowywać Moskwę w oparciu o jej ukształtowany na przestrzeni wieków radialno-pierścieniowy plan architektoniczny. Centralnym punktem miasta stanie się Pałac Rad, zwieńczony monumentalnym posągiem Włodzimierza Iljicza Lenina. Od Pałacu Rad będą rozchodzić się promieniście główne arterie Moskwy, szerokie, funkcjonalne, zabudowane wysokościami. Moskwa wystrzeli w górę. Wystrzelająca w górę Moskwa, ujęta w klasyczne, lecz dostosowane do wymogów architektury socjalistycznej formy - oto jej przyszłe oblicze. Oblicze przyszłej Moskwy.

Za kwadrans dziesiąta, po naradzie, Stalin wrócił do swojego gabinetu.

Poskriebyszew zameldował:

- Josifie Wissarionowiczu, Szumiacki przywiózł film.

- Dobrze - powiedział Stalin. - Szumiacki może wracać do domu. Zawiadomcie Klimenta Jefremowicza, żeby przyszedł obejrzeć.

Sala projekcyjna mieściła się za gabinetem Stalina, oddzielał je tylko pokój ochrony. Sala była nieduża, na siedem rzędów, w każdym rzędzie po osiem miejsc.

Stalin oglądał zazwyczaj filmy w towarzystwie kogoś z członków Biura Politycznego. W takim przypadku zakładał okulary i siadał w ostatnim, siódmym rzędzie z brzegu, tak, żeby nie przeszkadzał mu promień światła z projektora i sam projektor, terkocący nad

uchem. Czasami, chociaż bardzo rzadko, wyłącznie wtedy, gdy na projekcji byli goście, Stalin siadał na środkowym fotelu drugiego rzędu, i okularów nie zakładał. Nikomu nie pokazywał się w okularach, na fotografiach i portretach też przedstawiano go zawsze bez okularów.

Dziś na polecenie Stalina przywieziono "Światła wielkiego miasta" Charlie Chaplina. Stalin oglądał ten film po raz trzeci. Lubił Chaplina. Chaplin przypominał mu ojca, jedynego naprawdę bliskiego człowieka. Niekiedy odnajdywał w chaplinowskim bohaterze coś z samego siebie - on też jest taki samotny na tym świecie... Odpędzał jednak tę myśl, nie odpowiadała rzeczywistości. Chaplin przypominał mu ojca, i tylko ojca. Biedny Charlie odchodził drogą coraz dalej, oglądał się, patrzył z takim bezbronnym uśmiechem. Stalin popłakał się, wytarł oczy chusteczką...

Woroszyłow pochylił się ku niemu.

- Koba, co z tobą?

- To film o mnie - oschle odpowiedział Stalin.

Nie, to nie był film o nim, lecz o jego ojcu, o szewcu-nieudaczniku Wissarionie Dżugaszwili... Gdy wyruszał na zarobek, najczęściej do Telawi lub jeszcze gdzie indziej, tak samo jak Chaplin odwracał się po drodze, machał Josifowi ręką na pożegnanie i uśmiechał się - też tak smutno i bezbrinnie.

Mieszkali wtedy w domu Kulumbegaszwilego, również szewca. Dom był dwuizbowy, jedną zajmowała rodzina Kulumbegaszwili, a w drugiej gnieździł się oni, Dżugaszwili. Ojciec rzadko jednak bywał w tym maleńkim, przesyconym szewskimi zapachami domku, jeździł do Kachetii, wędrował w poszukiwaniu zarobku, nie mógł dojść do ładu z matką. Matka była kobietą władczą, czystej krwi Gruzinką kartweli, a ojciec wywodził się ponoć z południowych Osetyńców, zamieszkujących powiat Gori. Jego przodkowie zgruzinieli, zaś dziadek zmienił osetyńską końcówkę "jew" w swoim nazwisku "Dżugajew" na gruzińską "szwili".

Matka chodziła prac i sprzątać u bogatego wdowca Egnatoszwili. Po seminarium krążyła plotka, jakoby właśnie Egnatoszwili był prawdziwym ojcem Josifa, to przecież on umieścił go w seminarium duchownym, gdyby Josif był synem szewca Dżugaszwili, to ten uczyłby chłopaka szewstwa, a nie wałęsał się po całej Gruzji.

Wszyscy kłamią - nikomu nie można wierzyć! Mały Josif wiedział doskonale, że jego ojcem jest szewc Wissarion Dżugaszwili, spokojny i dobry człowiek, choć matka ciągle wymyślała mu i powtarzała, że to przez niego są tacy biedni, że to on zmarnował im życie. Przez te wieczne pretensje Josif nie kochał matki.

Tak, matka niewątpliwie pragnęła jego dobra, chciała, żeby został duchownym, chciała oddać go Bogu. Do domu Egnatoszwili zabierała zaś Josifa po to, żeby podjadł sobie czegoś smaczniejszego i bardziej sytnego niż ich codzienne pożywienie. Nie lubił tam chodzić. Tamci są bogaci, a on biedny, wynoszą mu na dwór talerz charczo, baraniny z kukurydzą, a sami siedzą w pokoju, piją wino, rozmawiają. Przed pójściem do Egnatoszwili matka starała się ubrać go jakoś ładniej, odświeżniej. A po co? Jedni ubiorem podkreślają swoje bogactwo, drudzy próbują ukryć swoją nędzę. On nigdy nie wstydził się swojego ubóstwa. Wytarte spodnie? Gwiżdże na to! Nie ma innych spodni. Zdarte podeszwy? Nie ma innych butów. W Tyflisie, w seminarium, szczycił się nawet swoim zniszczonym ubraniem - tak powinien wyglądać prawdziwy mężczyzna! Teraz też ubiera się jak zwykły żołnierz.

Nie chciał podporządkować się woli matki. Ojca kochał, ale nie podporządkowywał się także i jego woli - z tej prostej przyczyny, że ojciec w ogóle nie miał woli. Matka, owszem, miała wolę, wszyscy mówią, że to właśnie po niej odziedziczył charakter, jednakże cała wola i charakter matki skoncentrowały się na kwestii zdobycia kawałka chleba. Ojciec nie chciał zginać karku dla marnych kopiejek, lubił śpiewać, żartować, siedzieć przy stole w gronie przyjaciół. W takich chwilach był prawdziwym mężczyzną, sympatycznym, czarującym, wesołym. Przy matce stawał się malutki, cichy i zahukany. Słaby człowiek!

A potem przyszedł list, że ojca zabito w Telawi w pijackiej bójce. Znowu kłamią. Ojciec nigdy nie wdawał się w bójki, był człowiekiem zgodnym i spokojnym. Kto i za co mógł go zabić? Ojciec po prostu umarł. Chłopcy w szkole drażnili się z Josifem: ojciec nie umiał się obronić. A Josif dobrze wiedział, że to nie tak, że wszystko to kłamstwo, nie odpowiadał więc na zaczepki, uśmiechał się tylko i odchodził, gardził nimi, tymi kolegami szkolnymi, gardził bogatymi, chełpiącymi się swoim bogactwem, gardził biednymi, wstydzącymi się swojego ubóstwa.

Ojca pochowano tam, w Telawi, ale nikt nie wie gdzie. On, jego syn, też nie wie. A tak kochał ojca, i ojciec kochał jego, nie karał, nigdy nie robił wymówek, targał pieszczotliwie za włosy, śpiewał pieśni. To po ojcu on odziedziczył zdolności do muzyki, w seminaryjnym chórze stał zawsze w górnym rzędzie, tam gdzie stali najmniejsi wzrostem. Jego głos uważano za najlepszy, dyrygent chóru mawiał, że ma również słuch. Tak, wszystko to odziedziczył po ojcu, i w ogóle podobny jest do ojca, ojciec też był niewysoki, rudawy, matka natomiast była wysoka i czarnowłosa. Ojciec lubił żartować, cenił dobry żart, matka zupełnie nie znała się na żartach, była posępną kobietą.

Krajanie chcą nazwać Gori jego, Stalina, imieniem. Nie trzeba! Niech raczej nazwą jego imieniem Cchinwali - stolicę Południowej Osetii, byłby to hołd złożony ojcu i jego

osetyńskim przodkom. Niech matka wie, że on czci pamięć swojego ojca, szewca Wissariona Dzugaszwili. To niegłupia kobieta, zrozumie. W oczach narodu radzieckiego powinien być przykładowym synem, to czyni jego obraz cieplejszym, bliższym, bardziej ludzkim. Ale dzieciństwo, to dla niego przede wszystkim ojciec.

Znów wspominał, jak chodzili razem do Ateni, wieśniacy pracowali w swoich winnicach, udeptywali nogami winogrona, napełniali ogromne gliniane dzbany znakomitym winem "Atenuri".

Wieczorami ojciec pił z przyjaciółmi atenijskie wino i śpiewał wraz z nimi pieśni - chwytający za serce gruziński wielogłos. Ładnie śpiewali, ładnie pili - prawdziwie po gruzińsku, po winie stawali się łagodniejsi i weselsi, pili nie tak jak rosyjscy chłopcy, którzy po wódce wpadają w pijacki szal, rwą się do bójk i łapią za noże. To oni jednak tworzą lud rosyjski, potężny pod względem liczebności i terytorium, tylko z tym właśnie ludem można kształtować historię. Przyłączenie Gruzji do Rosji ocaliło Gruzinów jako naród, dlatego też socjalizm gruziński jest częścią socjalizmu ogólnorosyjskiego.

Rosjanie to jednak nie Gruzini. W szkole, w seminarium nikt nie wyśmiewał się z jego niesprawnej ręki, był to charakterystyczny przejaw rdzennie gruzińskiego taktu i gruzińskiej szlachetności. Później, ani w Baku, ani w Batumi, ani na Syberii ludzie nie liczyli się z tą jego fizyczną ułomnością, byli brutalni i bezlitośni. Poradził sobie wtedy, przeciwstawił im jeszcze większą bezwzględność. Lenin uważał tę bezwzględność za wadę, wytykał mu ją, ale rządzić można wyłącznie w ten właśnie sposób: bezwzględność aparatu trzyma w karbach bezwzględność ludu. Z ludem cackają się jedynie inteligenci, których lud odrzuca potem jak śmieci. Jeszcze wtedy, w młodości, zrozumiał, że demokracja w Rosji - to swoboda działania dla najgorszych instynktów społecznych. Instynkty te może poskromić tylko silna władza, władza taka nosi nazwę dyktatury. Nie rozumieli tego mienszewicy, którzy nie znali ludu, rozumieli natomiast bolszewicy - bolszewicy znali lud. Dlatego też większość rosyjskich socjaldemokratów poszła za bolszewikami, a nierosyjskich - za mienszewikami. Bolszewizm to zjawisko rosyjskie, mienszewizm - nierosyjskie. Spośród wszystkich wybitnych Gruzinów tylko on rozumie lud rosyjski, i dlatego opowiedział się za bolszewikami. Inni Gruzini - Żordanija, Cereteli, Czcheidze i im podobni - nie znali ludu rosyjskiego i wzięli stronę mienszewików. Tak, to prawda, że wtedy on był przeciwny nacjonalizacji ziemi. Nie wiadomo jednak, kto miał rację na etapie tamtych lat, on czy Lenin. Kto w przeszłości miał rację, a kto nie - historia nie daje jednoznacznej odpowiedzi na takie pytania; rację ma zawsze zwycięzca. On nie sprzeciwił się jednak Leninowi, siedł z bolszewikami, z Rosją, jedynie w Rosji mógł stać się

działaczem politycznym. Długo zajmował się problemem narodowościowym i dobrze wie, że wśród narodów, tak jak wśród ludzi, zwycięża najsilniejszy, wśród narodów, tak jak wśród polityków, są takie, które narzucają swoją wolę, i takie, które muszą się podporządkować. W liczącym setkę narodów Związku Radzieckim wiodącym może być tylko jeden - naród rosyjski, to ponad połowa ludności kraju. Oczywiście należy głosić bezlitosną walkę z rosyjskim wielkomocarstwowym szowinizmem, gdyż inne narody reagują nań lokalnym nacjonalizmem. Ani na chwilę nie wolno jednak zapominać, że główną, cementującą wszystko siłą jest naród rosyjski. Dla narodu rosyjskiego powinien być Rosjaninem, tak jak dla Francuzów Francuzem był Korsykanin Napoleon Bonaparte.

Z narady Stalin był zadowolony. On wystąpił na niej nie tylko jako inicjator i organizator przebudowy Moskwy, On zachował dla Rosji to miasto, którego nazwa droga jest sercu każdego Rosjanina, on zachował Moskwę w tej postaci, w jakiej zna ją i wyobraża sobie każdy Rosjanin. To nie ci siedzący na sali inteligenci o wysokich czołach, tak troszczący się o kulturę Rosji, lecz On, właśnie On i tylko On zaspokoił rdzennie rosyjskie uczucie miłości do Moskwy, uwielbienia dla Moskwy. Dlatego też Moskwa jest teraz Jego pomnikiem. Rosjanin Kirow miota się w Leningradzie, trąbi o rozbudowie Leningradu, a co tam rozbudowywać? Leningrad to miasto już ukształtowane, kamienna bryła, z którą nic się już nie da zrobić i z którą Kirow nic nie robi.

Jak zawsze jednak, gdy prezentował publicznie swoją wyjątkowość, ogarnęło go dojmujące uczucie samotności. Tak, wstają i klaszczą, ale oni go nie kochają, oni się go boją, dlatego wstają i klaszczą... Z jakąż satysfakcją, triumfem i radością kopaliby go leżącego, obalonego. Nie potrafią, nie chcą pogodzić się z jego wyjątkowością, z jego wyższością i niepowtarzalnością. Uważają go za niedouczonego seminarzystę, za ograniczonego prostaka. Nawet "towarzysze broni" boją się umocnienia jego władzy, rozprawiają o kolektywnym kierownictwie, o roli KC, trzymają w odwodzie szkołkę Pokrowskiego, negujące rolę jednostki w historii, a wszystko po to, by pomniejszyć Jego rolę w historii partii, w historii Rosji.

To im się nie uda. On stworzy nie tylko nową historię Rosji, On wypracuje też nowe kryteria oceny wydarzeń historycznych - jedynie w ten sposób będzie można być pewnym, że obecne i przyszłe pokolenia prawidłowo ocenią tę epokę. Jego epokę.

To, że Cezar i Napoleon stali się cesarzami, nie wynikało z ich próżności, lecz było wynikiem konieczności historycznej. Tylko Cezar, skupiający w swoim ręku pełnię władzy, mógł odeprzeć barbarzyńców, tylko Napoleon - cesarz mógł podbić całą Europę. Najwyższa władza powinna być po królewsku majestatyczna, tylko przed taką władzą ukorzy się lud,

tylko takiej władzy podporządkuje się bez szemrania, tylko ona zdoła wpoić mu respekt i posłuszeństwo. Rosyjskie nauki historyczne tradycyjnie przedstawiają Iwana Groźnego jako zbrodniarza. W istocie zaś Iwan Groźny był wybitnym działaczem państwowym, przyłączył do Rosji Kazań, Astrachań, Syberię, jako pierwszy w historii Rosji, a może nie tylko Rosji, wprowadził monopol na handel zagraniczny, jako pierwszy z carów rosyjskich za nadrzędną uznał zasadę państwowości: wszystko musi być podporządkowane interesom państwa. Bojarzy spiskowali przeciwko stworzeniu potężnego scentralizowanego państwa: błędem Groźnego było nie to, że ścinał bojarów, lecz to, że nie ścinał ich wszystkich, że nie wytepił ze szczerem czterech najważniejszych rodów bojarских. Starożytni byli w tym względzie bardziej dalekowzroczni: wyrzynali swoich wrogów do trzeciego i czwartego pokolenia, całkowicie i raz na zawsze.

Nauki historyczne nieprawidłowo oceniają też rolę opryczniny. Należy rozróżnić pojęcia “oprycznina” i “oprycznik”. Oprycznina była gwardią Groźnego, postępowym wojskiem przeznaczonym do walki z bojarstwem i bojarami. Oprycznik - to wykonawca, wśród wykonawców muszą być również i oprawcy. Ustawy o karze śmierci uchwalają humanitarni członkowie parlamentów, światli prawodawcy, ale praktyczną realizacją kary śmierci zajmują się kaci.

Piotr Pierwszy był wielkim władcą, stworzył nową Rosję. A co pisał o Piotrze Pokrowski? Oto co pisał: “Piotr, zwany przez historyków-pochlebców Wielkim, zamknął żonę w klasztorze, żeby móc ożenić się z Katarzyną, która była przedtem służącą u pastora w Estonii. Osobiście torturował rodzzonego syna, a potem kazał uśmiercić go potajemnie w kazamacie twierdzy Pietropawłowskiej... Zmarł na syfilis, zaraziwszy przedtem swoją drugą żonę...” I to wszystko, co dostrzegł Pokrowski w osobie Piotra!

Te bzdury wypisywał “twórca szkoły historycznej”! A tego, że Piotr stworzył nową Rosję, tego po prostu nie zauważył! Oto do jakich idiotyzmów można dojść, oto do czego prowadzi doktrynerskie rozumienie marksizmu i negowanie roli jednostki w historii! I tego prymitywnego socjologa Lenin uznał za czołowego przedstawiciela nowej szkoły historycznej, chwalił jego “Historię Rosji w najzwęższym zarysie” - nieudolną pracę, przedstawiającą wszystkich historycznych rosyjskich mężów stanu jako beztalencia i zupełne miernoty! Jak mógł to chwalić Lenin? Lenin, który tak dobrze rozumiał rolę jednostki w historii! Pokrowski mienił się obrońcą leninizmu, jedynym kompetentnym interpretatorem poglądów Lenina. No nie! Jedynym interpretatorem poglądów Włodzimierza Iljicza Lenina może być tylko jego następca, kontynuator jego dzieła, tylko ten, kto po nim kierował krajem. Następcą Lenina, jego kontynuatorem jest Stalin. Krajem

kieruje Stalin. A to oznacza, że tylko Stalin jest jedynym prawomocnym interpretatorem leninowskiej schedy, w tym również w dziedzinie historii, gdyż on tę historię tworzy. I mimo to w ciągu dziesięciu lat towarzysz Pokrowski nie raczył wspomnieć choćby jednym słowem o tym, jaki wkład wniósł towarzysz Stalin w rozwój nauk społecznych! Czyżby towarzysz Pokrowski nie rozumiał, że kierować państwem, to znaczy badać teorię państwa i rozwijać ją? Rozumiał. Nie chciał jednak uznać towarzysza Stalina ani za uczonego, ani za teoretyka.

Antymarksistowską "historyczną" szkołę Pokrowskiego trzeba rozbić w drobny mak. Autorytet Lenina powinien służyć temu, co potrzebne jest partii dziś, i co może być przydatne jutro. Autorytet Lenina powinien przejąć następcą Lenina. Stalin - to Lenin dnia dzisiejszego. Gdy Stalin umrze, jego następcą stanie się Stalinem dnia dzisiejszego. Jedynie w ten sposób można zapewnić niewzruszoną ciągłość władzy, jej utrwaloną na stulecia stabilność i niepodważalność. Nauki historyczne powinny potwierdzić, że Stalin to prawdziwy następcą Lenina, że innego następcy być nie mogło, a ci wszyscy, którzy pretendowali do sukcesji po Leninie, to żałośni samozwańcy, polityczni awanturnicy i intryganci. Nauki historyczne powinny potwierdzić, że Stalin zawsze stał u boku Lenina. Nie Zinowiew, który na emigracji był zaledwie sekretarzem Lenina, nie Kamieniew, który był tam jego referentem, lecz właśnie On, który tu, w Rosji, tworzył i organizował partię. Dlatego to nosi ona nazwę partii Lenina-Stalina. Wszystkie mało istotne różnice zdań między nim a Leninem muszą pójść w niepamięć, muszą zostać usunięte z historii raz na zawsze. W historii musi pozostać tylko to, co czyni Stalina Leninem dnia dzisiejszego. Naczelnym zadaniem jest stworzenie potężnego państwa socjalistycznego. Stworzenie potężnego państwa wymaga potężnej władzy. Stalin sprawuje tę władzę, a to znaczy, że wraz z Leninem organizował jej podstawy, że wraz z Leninem kierował Rewolucją Październikową. John Reed ukazuje październikowy przewrót w innym świetle. Taki John Reed nie jest nam potrzebny.

Czy będzie to wypaczaniem historii? Nie, nie będzie. Październik był dziełem partii, a nie emigrantów, mieszkających w Paryżu, Londynie i Zurychu. Zaprawili się tam w dyskusjach i dysputach, nauczyli się gadać i wiecować na tarasach paryskich kawiarni, a rewolucjoniści w Rosji musieli milczeć albo mówić półgłosem. Lecz to właśnie oni, szeregowi, skromni pracownicy partii w decydującej chwili poderwali masy do boju, do rewolucji, a później do obrony rewolucji. On jest przedstawicielem tych kadr partyjnych, dlatego ich rola w historii Października - to Jego rola. Właśnie w tym zawiera się prawdziwa rola mas i prawdziwa rola jednostki w historii. Zwycięstwo w wojnie domowej



nie było zasługą specjalistów od wojskowości, ci tylko przeszkadzali, o zwycięstwie zdecydowały dziesiątki tysięcy komunistów, kadrowych pracowników partyjnych, organizujących armie i dywizje, pułki i oddziały. On jest przedstawicielem tych kadr, i dlatego ich rola w wojnie domowej - to Jego rola, a Jego rola - to właśnie rola partii.

W taki to sposób, na takich zasadach należy tworzyć historię, zwłaszcza historię partii. Tak zwane kolektywne kierownictwo jest mitem. W historii ludzkości nigdy nie było żadnego "kolektywnego kierownictwa". Senat rzymski? Czym się skończył? Cezarem. Francuski otryumwirat? Napoleonem. to prawda, że historia ludzkości jest historią walki klas. Ale wyrazicielem woli klasy jest Wódz, i dlatego historia ludzkości jest historią jej wodzów i przywódców. Nie ma w tym żadnego idealizmu. Duch epoki to zasługa tego, który tę epokę tworzy. Epoka Piotra, jedna z najbardziej wyrazistych w historii Rosji, była odbiciem jego potężnej osobowości. Okres rządów Aleksandra Trzeciego, bezbarwny i nijaki, idealnie odzwierciedlał jego własną mierność.

Rano Borys poszedł umawiać się z woźnicą. Sasza zasiadł do pisania listów.

...(Kochana mammo!)

Z wyrokiem zapoznał się w tym samym pokoju, w którym był przesłuchiwany. Jakiś funkcjonariusz odczytał orzeczenie OSO.[ Posiedzenie Specjalne.] Artykuł pięćdziesiąty ósmy, punkt dziesiąty, administracyjna zsyłka do Syberii Wschodniej na trzy lata z zaliczeniem aresztu w śledztwie.

- Podpiszcie!

Sasza przeczytał dokument. Może dowie się, za co dostał trzy lata? Nie, nic tam nie ma. To nawet nie wyrok, a kolejny punkt jakiejś listy, na której figurował jako numer piąty, dwudziesty piąty, a może trzysta dwudziesty piąty.

Podpisał się. Wyrok przedstawiono mu rano, w dzień było widzenie z mamą, wieczorem wyprawiono go w drogę.

W przeddzień zjawił się strażnik, wręczył papier i ołówek.

- Kogo wzywacie na widzenie?

Mama, ojciec... Waria? Może napisać: Waria Iwanowa - narzeczoną. Narzeczoną mają obowiązek wezwać. Tylko dlaczego akurat Waria? Czy on ją kocha? Albo ona jego? A jednak zapragnął zobaczyć właśnie Warię. "Kwiatku pachnących prerii, twój śmiech się wokół perli..." Brakowało mu jej dźwięcznego głosu... Nie wymienił jednak Wari: nie wiadomo, czy Waria chce tego spotkania, czy czeka na niego, czy go potrzebuje?

Strażnik wprowadził Saszę do maleńkiej celki i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Sasza siedział przy stole i myślał, jak przerazi się mama, gdy zobaczy go z brodą, i jak strasznie będzie się czuła, idąc tymi więziennymi korytarzami.

Zazgrzytał klucz, mignęła twarz strażnika, potem twarz matki, jej siwe włosy. Strażnik stanął bokiem, odgradzając Saszę tak, aby mama nie mogła do niego podejść, wskazał jej krzesło po drugiej stronie stołu. I mama, mała, siwa, z opuszczoną głową pośpiesznie podreptała na wyznaczone miejsce. Dopiero gdy usiadła, spojrzała na syna, i od tej chwili nie odrywała już od niego wzroku. Jej wargi drżały, głowa trzęsła się nerwowo.

Sasza patrzył na nią, uśmiechał się, serce mu pękało. Jak bardzo postarzała się matka, jak żałośnie wyglądała, ile cierpienia było w jej oczach! Przyszła w swojej starej wytartej jesionce, mówiła o niej "moja gabardyna", ten płaszcz przypominał Saszy, że na świecie jest już wiosna, a on nie widział mamy od stycznia.

Dolna połowa okna zamalowana była na biało, przez górną wlewało się wiosenne

słońce, jego promienie padały na przeciwległy kąt, gdzie siedział obojętny strażnik.

- Chciałem się ogolić, ale nie zdążyłem, nie było dziś fryzjera - powiedział Sasza siląc się na wesołość.

Patrzyła na niego w milczeniu, nie mogła opanować drżenia warg i głowy, z trudem powstrzymywała łzy.

- Tutejszy fryzjer to samouk, zacina, nikt nie chce do niego chodzić, jak myślisz - do twarzy mi z brodą? Może ją zostawić?

Nadal nic nie mówiła, kiwała tylko głową i patrzyła na niego.

- Jak tam wszyscy? Żywi, zdrowi?

Miał na myśli swoich przyjaciół - czy z nimi wszystko w porządku?

Zrozumiała to pytanie.

- Wszystko dobrze, wszyscy zdrowi.

Myśl, że ze wszystkimi jest dobrze, a tylko z Saszą źle, tylko z nim jednym jedynym, nie wiadomo dlaczego tylko i wyłącznie właśnie z nim - ta myśl była nie do wytrzymania. Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

- Przestań, muszę ci coś powiedzieć.

Wyciągnęła chusteczkę, otarła łzy.

- Będę apelować, moja sprawa to głupstwo, związana z instytutem.

Strażnik przerwał mu od razu:

- O sprawie nie rozmawiać!

Mama nie przestraszyła się jednak, nie było już w niej tego strachu, który dawniej ogarniał ją przy każdym zetknięciu się z arogancką siłą urzędów i instytucji. Jej twarz przybrała dobrze znany uparty wyraz, mama panowała nad sobą, słuchając Saszy, wysłuchiwała go do końca. To było coś nowego.

- Wyjeżdżam do Nowosybirsk, wszystko będzie dobrze.

Nie chciał użyć słowa "Syberia", i powiedział "Nowosybirsk".

- Jak tylko przyjadę na miejsce, przyślę telegram, a potem napiszę. Pójdę tam do jakiejś pracy, więc nie przysyłaj pieniędzy.

- Przekazałam dla ciebie sto pięćdziesiąt rubli.

- Po co tak dużo?

- I jedzenie, i buty.

- Buty - to dobrze, ale jedzenie niepotrzebne.

- I ciepłe skarpety, i szalik - podniosła głowę. - Ile ci dali?

- Tyle co nic - trzy lata wolnej zsyłki. Za pół roku wrócę. Tata przyjeżdżał?

- Był w styczniu, teraz nie mogłam go ściągnąć, dopiero wczoraj zadzwonił. Jak twoje zdrowie?

- Świetnie! Nie chorowałem, karmię doskonale, po prostu kurort!

Udawał wesołość, chciał dodać jej otuchy, matka widziała jednak jego cierpienie, sama też cierpiała, kwitowała uśmiechem te żalosne żarty, też chciała dodać mu otuchy, niech wie, że nie jest sam, że będą o nim myśleć.

- Wiera tak żałowała, że nie wezwałeś jej na widzenie, przyjechała ze mną, ale jej nie wpuścili, i Poliny też nie wpuścili.

Nie pomyślał jakoś o ciotkach.

Plącząc przygotowane wcześniej słowa z tymi, które przysły jej teraz do głowy powiedziała:

- Uważaj na siebie, wszystko minie, o mnie się nie martw, idę do pracy.

- Do jakiej pracy?

- Do pralni, będę przyjmować bieliznę, na bulwarze Zubowskim, całkiem blisko, już się umówiłam. Ale to jeszcze nie teraz, dopiero jak pojedę do ciebie i wrócę.

- Po co masz do mnie przyjeżdżać?

- Przyjadę.

- Dobrze, uzgodnimy to jakoś - powiedział Sasza pojednawczym tonem. - Przychodził ktoś z instytutu?

- Taki malutki, garbaty...

Runoczkin! A więc z kolegami wszystko w porządku.

- Co mówił?

- O zastępcy dyrektora...

Kriworuczko! A więc jest tutaj. Diakow nie kłamał.

- O niego właśnie chodzi - powiedział Sasza.

Strażnik wstał.

- Koniec widzenia.

- O niego chodzi - powtórzył Sasza. - Przekaż Markowi.

Pokiwała głową na znak, że rozumie; Saszę aresztowano z powodu zastępcy dyrektora, trzeba powtórzyć to Markowi. Powtórzy, choć wie, że to nic nie pomoże. W ogóle nic już nie pomoże. Niech będzie tak jak jest, byle nie gorzej. Trzy lata jakoś miną, kiedyś przecież się skończą.

- I przekaż mu jeszcze, że nic o nim nie mówiłem.

Strażnik otworzył drzwi.

- Wychodźcie, obywatelko!

Sasza wstał, objął matkę, przyłgnęła do jego ramienia.

- No widzisz - powiedział Sasza, głaszcząc ją po miękkich siwych włosach - wszystko w porządku, a ty płaczesz...

- Obywatelko, wychodźcie!

Nie wolno podchodzić do siebie, nie wolno obejmować się i całować, ale i tak wszyscy podchodzą, obejmują się, całują...

- No, dalej, dalej - strażnik wytrenowanym gestem popchnął matkę w kierunku drzwi. - Było powiedziane: wychodzić!

Sasza napisał w liście, że wszystko dobrze, jest zdrowy i wesoły, niczego mu nie trzeba przysyłać. A pisać należy do wsi Boguczany w okręgu kańskim, na poste restante.

Borys wrócił zły - nikt nie chce jechać, droga kiepska, chłopci żądają niesłychanych pieniędzy. A komendantura nie czeka - jedź, radź sobie jak możesz. Na koszty etapu dają grosze - i za połowę drogi nie wystarczy.

Obiad jedli w znajomej już stołówce "Skupu futer". W kącie, przy pustym stoliku siedział nastroszony Igor.

- Hrabia na posterunku - zauważył Borys. - Czeka na mnie i na Dulcyneę. Jej będzie czytać wiersze, a mnie chce naciągnąć na darmowy obiad. Nie doczeka się, sam jestem teraz bezrobotny.

Tym razem kucharka nie wyszła do Sołowiejczyka, urzędowała w kuchni, trzaskając głośno rondlami i aluminiowymi talerzami.

- Rozpuścił go pan, Borysie Sawieliewiczu, siedzi tak od rana, lezie na oczy, pracownicy patrzą, tu nie schody pod cerkwią, żeby rękę po prośbie wyciągnąć.

- Pomówię z nim.

Borys nie był już kierownikiem, ale kucharka tak jak poprzedniego dnia dorzuciła mu do talerza dodatkową łyżkę śmietany.

- Trzeba zrozumieć jej sytuację - powiedział Borys. - To nie jest kuchnia dobroczynna dla żebraków, ona tu za wszystko odpowiada.

- Ale on jest głodny - odparł Sasza.

- Wie pan co, Sasza - gniewnie zaproponował Borys - zesłańców urządziłem w tej stołówce ja. Teraz jest mi oczywiście wszystko jedno, bo wyjeżdżam. Dla tych, którzy zostają, jest to jednak kwestia życia lub śmierci. A skończy się to tak, że ich stąd przepędzą. Uprzedzałem: przychodźcie koło drugiej, kiedy ci ze "Skupu futer" już zjedzą, nie rozrabiajcie, nie leźcie im w oczy, ma być cicho, spokojnie i dyskretnie. Ale nie! Ten musi

przylążyć tu od samego rana, siedzi cały dzień, wyjada resztki, czyta swoje wiersze, a wiersze, sam pan rozumie, bywają różne, i amatorzy wierszy też bywają różni...

- W Paryżu ludzie przesiadują w kawiarniach, plotkują, Igor przywykł do tego...

- A ja przywykłem do ciepłego klozetu - przerwał mu Borys - do wanny, telefonu i restauracji, a teraz, jak pan widzi, odwykłem.

- Dajmy mu zjeść ostatni raz - zaproponował Sasza. - Niech go pan zawoła, ja zapłacę.

Borys wzruszył ramionami, zmarszczył brwi, kiwnął na Igora palcem.

Igor czekał na ten znak, ożywił się, wstał od stolika i podszedł, uśmiechając się przymilnie.

- No jak, dostałeś pieniądze za te rysunki? - spytał Borys.

- Mam dostać na dniach.

- A gdzie dama?

- Waleria Andriejewna wyjechała do Leningradu.

- Na zawsze?

- Na zawsze.

- "Dziwne spotkanie nasze, i pożegnanie dziwne" mruknął Borys. - No siadaj.

Igor usiadł skwapliwie, położył zmiętą czapkę na stole, potem zreflektował się, przełożył ją na kolana.

Borys wskazał Saszę.

- Jutro nas...

Igor uklonił się Saszy. Sasza odpowiedział uśmiechem.

- A więc - ciągnął dalej Borys - jutro wysyłają nas nad Angarę. Załatwiłem sprawę tak, że ciebie i innych będą tu nadal wpuszczać. Ale już najwyższy czas, żebyś zrozumiał, że to nie kawiarnia na Montmartrze.

- Rozumiem - wyszeptał Igor ze zwieszoną głową.

- To jest zamknięta stołówka zakładowa. Zjadłeś obiad, i do widzenia. Nie masz pieniędzy, to nie przychodź. Taki tu obowiązuje porządek. A ty naruszasz ten porządek. Jeżeli przestaną cię wpuszczać, to jeszcze pół biedy. Ale przez ciebie przestaną tu wpuszczać innych zesłańców. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem, ale ja nie jestem zesłańcem - pośpiesznie odpowiedział Igor.

- Ach tak! A kimże to jesteś, jeśli wolno wiedzieć? - spytał Borys z ironią.

- Nie sądzili mnie, wezwali i powiedzieli: jedźcie do Kańska, będziecie tam mieszkać.

- Meldować się chodzisz?

- Chodzę.

- Paszport masz?
- Nigdy nie miałem radzieckiego paszportu.
- Wyjechać stąd możesz?
- Nie.
- No to jesteś taki sam jak my. A teraz chodź!

Borys i Igor podeszli do okienka, wrócili: Igor niósł talerz z barszczem, Borys - chleb i sztucce.

- Jedz! - rzucił Borys - i nie śpiesz się, nikt ci nie zabierze.

Igor jadł w milczeniu, pochyliwszy się nad talerzem.

- Jesteś przecież artystą, możesz rysować portrety.

Igor odłożył łyżkę, otarł palcem usta.

- Nie chcę, mówią, że fotografie podobniejsze, i tańsze.

- No to zacznij bazgrolić jakieś pejzażyki - nalegał Borys - tutaj to lubią. Na święto możesz zrobić dekoracje dla klubu, dorobisz sobie. Trzeba tylko ruszyć głową, a nie uważać się za arystokratę.

- Nie uważam się za arystokratę - wyszeptał Igor.

- Łżesz, uważasz się. A mnie uważasz za prostaka.

Igor zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, nie za prostaka.

- Tak? A za kogo?

Igor opuścił wzrok, ręka z łyżką znieruchomiała w powietrzu.

- Uważam pana za żłoba.

I jeszcze niżej pochylił się nad talerzem.

Sasza nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Borys zbladł.

- Dla mnie to nic nowego. Cham, prostak, żłób - to jedno i to samo. Przynajmniej w Rosji. Nie wiem, jak jest w Paryżu. Ponieważ jednak prostacy, przepraszam, żłoby, muszą karmić jaśnie panów szlachtę, to zostawiam ci siedem rubli - Borys wyjął z kieszeni pieniądze i odliczył siedem rubli - na dziesięć obiadów. Pieniądze zostawię w kuchni, bo inaczej przeżresz je w jeden dzień. A potem, gdy już wepchniesz w siebie te dziesięć obiadów, będziesz musiał znaleźć sobie innego żłoba, co jest raczej wykluczone, albo weźmiesz się do pracy, co jest raczej wątpliwe, albo zdechniesz z głodu, co jest najbardziej prawdopodobne.

Podszedł do okienka, pomówił z kucharką, wręczył jej pieniądze, kucharka z

niezadowoleniem cisnęła je na talerz, pełniący rolę kasy.

Sasza wstał. Igor wstał również. Czapka spadła mu z kolan na podłogę, schylił się więc i podniósł ją.

Sasza wyciągnął do niego rękę.

- Do widzenia, mam nadzieję, że w końcu jakoś się pan urządzi.

- Postaram się - odpowiedział Igor smutno.

- Bywaj! - oschle dodał Borys.

Rano pod dom zajechał chłop w podartej kapocie, zatłuszczonej uszatce i zdeptanych iczigach. Pomarszczoną twarz porastały kępki rudawej szczeciny, spojrzenie miał niespokojne i zafrasowane: zastanawiał się, czy nie policzył za tanio.

Sasza i Borys wrzucili rzeczy na wóz, gospodyni dołożyła zawiniątko z jedzeniem. I długo patrzyła z ganku, jak odchodzą.

Idąc za wozem Borys powiedział ze smutkiem:

- Co tu dużo mówić, dużo dla mnie zrobiła.

Pod komendanturą czekali na nich inni zesłańcy, wyznaczeni do etapu: Wołodia Kwaczadze - wysoki, przystojny Gruzin w nowym czarnym waciaku, wydanym mu na miesiąc przed zakończeniem odsiadki w łagrze, a siedział tam pięć lat; Iwaszkin, niemłody już drukarz z Mińska; Karcew, były pracownik Komsomołu w Moskwie, przywieziony do Kańska z więzienia politycznego w Wierchnieuralsku po dziesięciodniowej głodówce.

Borys zastukał w okienko, zameldował, że wóz jest, i że on, Sołowiejczyk, oraz Pankratow Aleksander Pawłowicz też już są.

- Zaczekać!

Okienko zatrzasnęło się.

Posępny Wołodia Kwaczadze zachowywał wyniosłe milczenie, Karcew też nie wdawał się w rozmowy, siedział na ławce z zamkniętymi oczami - słaby, zmęczony, obojętny na wszystko.

- Droga jeszcze nieprzejezdna, woźnica zdarł sto rubli - powiedział Borys - komendantura dała pięćdziesiąt rubli. Resztę trzeba będzie dopłacić.

- Ani myślę dopłacać - rzucił gniewnie Wołodia. - Niech oni dopłacają.

- Dają, ile się należy - wyjaśnił Borys. - Latem oczywiście można za to dojechać.

- Mogę jechać latem, nie śpieszy mi się - odparł Wołodia - a zresztą cała ta gadanina i tak jest bez sensu: nie mam pieniędzy.

- Ja też nie mam - nie podnosząc powiek powiedział Karcew.

- Ani ja - dodał Iwaszkin ze skruchą.



Okienko otworzyło się.

- Iwaszkin! Podpiszcie!

Iwaszkin rozejrzył się niepewnie.

Kwaczadze odsunął go, wsunął głowę w okienko.

- Dajecie po dziesięć rubli, a woźnica bierze sto.

- Dajemy, ile się należy.

Borys również podszedł do okienka.

- Nie wszyscy mają pieniądze, co robić?

- A myśleć, co robić - padła odpowiedź.

- To wy jesteście tutaj od myślenia! - krzyknął Wołodia. - Wy! - Kwaczadze rąbnął pięścią w okienko.

- Czego się tam awanturujecie?

- Wezwijcie naczelnika!

Iwaszkin pociągnął go za rękaw.

- Chłopaki, nie warto...

Wołodia popatrzył na niego z pogardą.

Zjawił się spasiony mężczyzna z dwiema belkami na naramiennikach.

- Kto ma pretensje?

- Nie możemy i nie musimy płacić za transport - rzucił przez ramię Wołodia Kwaczadze.

- To idźcie piechotą.

- A rzeczy? Wy będziecie nieśli?

- Ty! Z kim rozmawiasz?

- Wszystko mi jedno z kim! Pytam: kto poniesie rzeczy?

- Stawka kosztów transportu została zatwierdzona przez ludowego komisarza spraw wewnętrznych - oznajmił naczelnik, z trudem panując nad sobą.

- To niech wasz komisarz ludowy sam jeździ za takie pieniądze!

- Co, chcesz z powrotem do łagru?

Wołodia przykucnął przy ścianie.

- Odsyłajcie.

- Myślisz, że nie możemy?

- Proszę bardzo.

- Eskorta! - krzyknął naczelnik.

Zjawili się dwaj konwojenci, podnieśli Wołodię, skrępowali mu ręce na plecach.

- Od tego, że go związaliście, pieniędzy mu nie przybędzie - spokojnie stwierdził Sasza.

- Ty też chcesz? - spurpurowiał naczelnik.

- Mnie też nie przybędzie od tego pieniędzy.

Naczelnik odwrócił się i rozkazał:

- Wóz na dziedziniec.

Wołodę zabrano do wnętrza komendantury.

Iwaszkin zakasłał.

- Oberwiemy za to, chłopaki!

Karcew siedział z zamkniętymi oczami.

Okienko otworzyło się.

- Sołowiejczyk!

Borys podszedł.

- Zapłacicie woźnicy tyle ile macie, a resztę dopłaci nasz pełnomocnik w Boguczanach.

Przekażecie mu ten pakiet, to dokumenty całego etapu. A teraz jazda!

Wyszli na ulicę. Z bramy komendantury wyjechał wóz, za nim dwaj konni konwojenci z karabinami. Na wozie leżał związany Wołodia Kwaczadze, toczył dokoła nieprzejednanym spojrzeniem złych czarnych oczu.

Etap ruszył.

Pod ceglany murem stali chłopcy, na ławkach siedzieli nauczyciele, na ziemi zaś dziewczęta - odświętnie ubrane, radosne, uroczyste. Ukończyli dziewiątą klasę, ukończyli szkołę, rozstają się z nią na zawsze. Tylko Waria nie przyszła.

Nie przyjść w taki dzień! Nina nie posiadała się z oburzenia. Nie pożegnać się z klasą, z kolegami, z którymi spędziła dziewięć lat życia, nie zostawić sobie na pamiątkę nawet fotografii! Nie pomyśleć, w jakim świetle postawi to ją, siostrę, w oczach grona pedagogicznego! Kilka dni temu w pokoju nauczycielskim podszedł do niej matematyk, chwalił Warię - "Zdolna panienka". Słowo "panienka" ukłuło Ninę. W siostrze rzeczywiście pojawiło się coś ostentacyjnie niewspółczesnego, czesała się z przedziałkiem, ale nie ściągała włosów w węzeł z tyłu, tylko, szczesywała je na uszy, tak jak kobiety na starodawnych portretach. Nabrała też manieri takiego odwracania głowy, jakby patrzyła na wszystko z boku, z dystansu.

Słowo "panienka" Nina uważała też za klasowo obce, a więc obraźliwe, przygotowała się na to, że rozmowa z matematykiem nie będzie należała do przyjemnych, matematyk patrzył jednak życzliwie, fizyk i chemiczka też nie szczędzili Wari pochwał, a on zgodził się z nimi, Waria może być spokojna o egzaminy, nikt nie wątpił, że pójdzie na studia.

Nina zbyła rozmówców ogólnikami: tak, oprócz tego wszystkiego Waria ma zdolności plastyczne, doskonale kreśli rysunki techniczne, a kiedy człowiek ma aż tyle talentów, to trudno mu odnaleźć siebie... Nie powie im przecież, że Waria nie liczy się z nią zupełnie, żyje jak chce i postępuje, jak chce.

Pali. Na pytanie, skąd ma takie drogie papierosy, "Hercegowina fleur", wąskie pudełko, dziesięć sztuk, odpowiedziała spokojnie "Kupiłam". Na pytanie dlaczego tak późno wraca do domu, gdzie się podziewa, udzielała równie suchej odpowiedzi: "U znajomych". Skąd brała pieniądze na papierosy, co to za znajomi - nie mówiła. Gdy Nina spytała, kto daje jej zagraniczne płyty patefonowe, Waria zmrużyła powieki i powiedziała z wyzwaniem w głosie: "Przecież pracuję dla wywiadu japońskiego. Co, nie wiedziałaś?"

Wyraźnie parła do awantury. Nina opanowała się, potraktowała sprawę jako żart.

- Myślę, że i w wywiadzie bardziej sobie cenią ludzi z wyższym wykształceniem. Rozejrzyj się, Wariusza, wokół siebie, popatrz, w jakich czasach żyjemy. Każdy ma teraz możliwość rozwijania swoich talentów i zdolności, czyż właśnie to nie jest najważniejsze? Dlaczego marnujesz czas, przecież wszyscy się uczą...

- A mnie to nie interesuje, rozumiesz?

- A co cię interesuje? - krzyknęła Nina. - Sterczenie w bramie?

Sama nie wiedziała, skąd nawinęła się jej ta nieszczęsna brama, rozumiała przecież, że tu nie chodzi już o podwórkowe przyjaźnie, wyrzucała sobie, że dała ponieść się nerwom.

Czego chce Waria? Zostać kreślarką? Maszynistką? Wyjechać na Syberię do Saszy? Zupełnie nie wiadomo, co jej może strzelić do głowy!

Wtedy, na dworcu, na widok Saszy pod strażą Waria wpadła w histerię, płakała, nie można było jej uspokoić. W tramwaju ludzie oglądali się na nie: dziewczyna w cudzym futrze z selskinów, płacze, wyciera oczy chusteczką...

W domu Nina przekonała Warię, żeby nie iść do Sofii Aleksandrowny. Waria zgodziła się nieoczekiwanie szybko, położyła się do łóżka, miała dreszcze. Nina przykryła ją ciepłą kołdrą: wyśpi się, uspokoi - przejdzie jej. Waria przespala wieczór i noc, nie słyszała, jak przyszła Zoja po swoje selskiny, nie słyszała, jak Nina wyszła rano do pracy. Nina była niespokojna, wróciła wcześniej, ale Wari nie zastała. Przyszła późno, powiedziała, że była u Sofii Aleksandrowny, i znowu weszła pod ciepłą kołdrę, a następny dzień znów spędziła u Sofii Aleksandrowny.

Po jakimś czasie Nina też wstąpiła do Sofii Aleksandrowny. Matka Saszy powitała ją jednak oschle, bez zwykłej serdeczności, jak gdyby to Nina była winna, że Saszę zesłano, a pozostali są na wolności. Tak należało rozumieć jej zachowanie. Waria siedziała na tapczanie i czytała, ledwie raczyła spojrzeć na siostrę. Rozmowa nie kleiła się. Sofia Aleksandrowna odpowiadała monosylabami, w długich chwilach ciszy słychać było jedynie szelest przewracanych przez Warię kartek. Ona też pewnie uważa, że Nina zdradziła Saszę, że nic dla niego nie zrobiła.

Niech sobie myśli, co chce. Nina nie chodziła do Sofii Aleksandrowny i więcej tam nie pójdzie. Tym bardziej nie będzie tłumaczyć się przed Warią. Nie ma się z czego tłumaczyć, niczemu nie jest przecież winna.

Pozostał jednak jakiś nieprzyjemny osad, wrażenie, że wyproszono ją z tego domu. Jest tam obca, a Waria to swój człowiek. Tak, to stąd bierze się to jej nieprzejednanie, tam tkwi przyczyna kłopotów!

Co wpaja jej Sofia Aleksandrowna? Sofia Aleksandrowna jest po tamtej stronie, ponieważ Sasza, jak się okazało, też był po tamtej stronie. Brzmi to głupio, ale to fakt. Nina pamięta, jaki był Sasza w szkole, ale wzruszająca szkolna przyjaźń to za mało, by mieć zaufanie polityczne. Dzieciństwo dzieciństwem, a życie życiem. Co zostało z ich paczki? Sasza zesłany, Maks na Dalekim Wschodzie. Pewnie się tam ożeni, założy rodzinę... Szarok w prokuraturze. To też jakieś dziwne. Jura Szarok - to pan ludzkich losów, prokurator,

czyli ktoś, kto dla Niny był uosobieniem rycerskiej wierności Rewolucji, a Sasza Pankratow - to zesłany kontrrewolucjonista!

Trudno, taka jest twarda, nieubłagana logika historii. Gdyby każdego komunistę oceniać wyłącznie na podstawie jego cech osobistych, to partia przekształciłaby się w bezkształtną masę inteligenckich pięknoduchów. Kto więc zostaje? Wadim Marasiewicz? Jest jak dawniej przyjacielski, gdy spotykają się przypadkiem na Arbacie. Publikuje artykuły w gazetach i czasopismach, radzi sobie doskonale - tak jak i cała jego rodzinka, a przecież pogodzili się z władzą radziecką dopiero w siedemnastym roku jej istnienia.

Waria stała boso na parapecie, miała na sobie krótką spraną sukienkę, myła okno. Ciemne krople spływały po rękach, ściekały po szybach, zbierały się w kałuże między ramami.

- Dlaczego nie przyszłaś sfotografować się z klasą?
- Zapomniałam. A kiedy sobie przypomniałam, było już za późno.
- Chwała Bogu, że pamiętasz przynajmniej o innych swoich sprawach.

- Nie sfotografowałam się - Waria cisnęła ścierkę do miski z wodą, zeskoczyła z parapetu, poszukała w szufladach, wyciągnęła zdjęcia i rozłożyła je na stole - proszę, tu szósta klasa, tu siódma, tu ósma. Jest i dziewiąta, fotografowaliśmy się jesienią. Chyba nie zmieniłam się przez te pół roku. Masz, przekonaj się osobiście.

Nie patrząc na fotografie, Nina oznajmiła chłodno:

- Za dwa dni wyjeżdżam na seminarium. Decyduj się, co masz zamiar robić. Mogę pomagać ci tylko pod warunkiem, że będziesz przygotowywać się do studiów. W przeciwnym razie musisz sama zatroszczyć się o siebie.

- Myślę, że nie masz specjalnych powodów do niepokoju - odpowiedziała Waria. - Idę do pracy.

Szok, jakiego doznała Waria na dworcu, gdy zobaczyła Saszę, nie ustępował. Wstrząsnęło ją, że prowadzono go pod eskortą, że był taki blady, postarzały, zarośnięty, z brodą... I ci ludzie na peronie, obojętni, pochłonięci wyłącznie jedną sprawą - żeby jak najszybciej wskoczyć do wagonu i zająć jak najlepsze miejsce. I tamci młodzi oficerowie, weseli, rumiani, którzy nawet nie spojrzeli na człowieka prowadzonego pod karabinami, wyjeżdżali na Daleki Wschód przekonani, że wszystko jest w porządku...

Jeszcze bardziej wstrząsnęło ją, jak pokornie szedł Sasza, sam niósł swoją walizkę, na własnych nogach szedł na zesłanie. Dlaczego nie walczył, nie wrywał się, nie stawiał oporu, dlaczego nie nieśli go związanego? Gdyby walczył, gdyby opierał się, protestował, gdyby musieli nieść go ze związanymi rękami i nogami, wtedy potrzebny byłby cały pluton

wojska i żelazny wagon z kratami, a nie ci dwaj żołnierze i zwyczajny pociąg pasażerski, wtedy ci ludzie nie biegliby tak bezmyślnie i obojętnie. I ci Maksowie i Serafimowie w swoich nowiutkich mundurach też może nie byliby tacy zadowoleni z siebie, tacy ograniczeni, tacy posłuszni.

Sasza poddał się.

Gdy nosiła mu paczki do więzienia, wydawało jej się, że te grube, wysokie i nieprzystępne mury wzniesiono specjalnie dla Saszy - tak boją się go ci uzbrojeni ludzie. Nie, oni się go nie boją, to Sasza boi się ich. Dlatego tak potulnie szedł między tymi młodziutkimi konwojentami, których mógł powalić jedną ręką. Nie mógł...

Nadal było jej jednak żal Sofii Aleksandrowny, bywała u niej codziennie, przynosiła różne nowiny, starała się ją jakoś rozerwać. Gdy Sofia Aleksandrowna zaczęła pracować w pralni, Waria załatwiała za nią sprawunki, wykupywała kartki.

Sofia Aleksandrowna chwaliła Saszę, mówiła, że jest prawy, mężny, nieustraszony... Waria nie zaprzeczała, ale sama przestała już wierzyć w męstwo Saszy. Skoro pozwolił się tak poniżyć, to jest taki sam jak wszyscy. I zawsze był taki sam jak wszyscy, zawsze robił to, co mu kazali. Teraz kazali mu jechać na zesłanie, więc pojechał na zesłanie, potulnie szedł po peronie, sam niósł swoją walizkę.

Sofia Aleksandrowna postanowiła wynająć pokój Saszy. Waria pomagała jej w sprzątanii przed wprowadzeniem się nowej lokatorki. W szafie leżały łyżwy Saszy, "hageny" na zniszczonych butach, z długimi sznurowadłami, zawiązanymi na supły w miejscach gdzie kiedyś popękały. Sofia Aleksandrowna wzięła te łyżwy i rozplakała się, przypomniały jej dzieciństwo Saszy.

Wari natomiast przypomniały mroźny zapach ślizgawki, plamę mętnego światła na lodzie, orkiestrę w muszli koncertowej, gorącą herbatę w bufecie, tłok i zamieszanie w szatni. Jej sznurowadła też miały takie niezgrabne supły, supły nie chciały przechodzić przez dziurki, trzeba było porządnie namęczyć się przy wkładaniu butów.

Przypomniała też sobie "Arbacką Piwniczkę" i tamten wieczór, gdy zaprosiła Saszę na ślizgawkę. Tak, wtedy wydawało się, że to koniec kłopotów, że Sasza zwyciężył. Bawili się, tańczyli tango, rumbę, orkiestra grała "Mister Browna" i "Oczy czarne", "Ach, cytrynki wy, cytrynki..." i "Gdziekolwiek wiosną błąkam się kwitnącą...". I Sasza bronił nieznajomej dziewczyny, był taki odważny...

Wtedy, w "Arbackiej Piwniczce" wydawał się jej bohaterem. Teraz zrozumiała, że Sasza nie jest bohaterem, i że w ogóle nie ma bohaterów.

Jest ogromny dom, pozbawiony słońca i powietrza, z ziejącym z piwnic smrodem

stęchłej kapusty i gnijących kartofli. Przeludnione mieszkania komunalne z wiecznymi awanturami i sądami. Schody cuchnące kotami. Kolejki po chleb, cukier, margarynę. Kartki, na które nic nie można kupić. Inteligenci w połatanych spodniach. Inteligentki w znoszonych bluzkach.

I tuż obok, na rogu Arbatu i Smoleńskiej - sklep Torgsinu, w którym jest wszystko, ale wyłącznie dla posiadaczy złota i obcej waluty. A nie opodal, w zaułku Płotnikowa, "zamknięty rozdzielnik", gdzie też jest wszystko. I jeszcze "Arbacka Piwniczka" - tam też jest wszystko, ale dla tych, którzy mają pieniądze. To podłe, niesprawiedliwe!

W szóstej klasie Waria należała do kółka teatralnego, kółko to prowadziła była aktorka Helena Pawłowna. Aktywiści oskarżyli ją, że wystawia Ostrowskiego i Gribojedowa, a pomija agitacyjne sztuki autorów radzieckich. Helenę Pawłownę zwolniono z pracy, choć miała na utrzymaniu chorą córkę. Waria była wstrząśnięta okrucieństwem, z jakim starą kobietę pozbawiono kawałka chleba. Od tej chwili minęły trzy lata, kółko przestało istnieć, szkoła nie mogła znaleźć instruktora, który poprowadziłby je za tak nędzne pieniądze. Zniszczyli wszystko, i nikt za to nie odpowiedział! Waria uciekała ze szkolnych zebrań, decyzje i tak uzgadniano z góry, a cały ten cyrk z głosowaniem był po prostu upokarzający. A Ninka jeszcze ich broni! Ninka to idiotka, na każde pytanie ma gotową odpowiedź. Pytania są różne, a odpowiedzi - jednakowe.

Waria szukała ratunku na podwórzu, wśród chłopców i dziewcząt, zagubionych tak samo jak ona. Nie wolno palić papierosów - chłopcy palili, malowanie ust to rzecz naganna - dziewczęta malowały usta, pudrowały się, zapuszczały długie włosy, nosiły ażurowe pończochy i jaskrawe chustki.

Teraz jednak przestało ją to interesować. Wstrząs, doznany na dworcu, popychał Warię ku innej formie niezależności. Tym bardziej, że znalazła sobie całkiem nowe towarzystwo.

Któregoś dnia Waria spotkała na Arbacie Wikę Marasiewicz. Towarzyszył jej pretensjonalnie elegancki, mniej więcej czterdziestoletni i dość odrażający mężczyzna.

Przedtem Wika nie dostrzegała Wari, a teraz zatrzymała się, nawet objęła ją jak przyjaciółkę. Pachniała jakimś zadziwiającymi perfumami.

- Witalij - mój przyjaciel. Waria - moja koleżanka ze szkoły.

Waria odnotowała w pamięci drobną nieścisłość - co tam, te pięć klas różnicy...

- Widzisz, jakie ślicznotki mamy na Arbacie? - spytała Wika. - Witalik, no i co ty na to?

Witalik uniósł kretyńskie brwi i rozłożył ręce, nie znajdując słów.

- Przepadasz gdzieś, nie dzwonisz, nie zaglądasz...

Waria nigdy nie dzwoniła do Wiki, nigdy też u niej nie była.

- Jak tam Nina?

- W porządku, pracuje.

- Nina to jej siostra - wyjaśniła Wika swojemu towarzyszowi. - Dzwoni, ja też będę dzwonić do ciebie.

Wyciągnęła z torebki notesik, przerzuciła kilka kartek, znalazła telefon Wari.

- Numer ten sam?

- Tak.

- No to daj znać o sobie!

Po dwóch dniach Wika zadzwoniła do Wari i zaprosiła ją do siebie.

Waria poszła.

Wika najwidoczniej dopiero wstała, była jeszcze w szlafroku, pończochy, jedwabna bielizna i sukienka wały się na fotelu, ma tych ciuchów aż za dużo, nie dba o nie.

Wika pokazała jej swoją garderobę: spódnice, garsonki, płaszcze, pantofle - sześć czy siedem par. Malutkim kluczykiem otworzyła drewnianą szkatułkę - stała na toalecie wśród flakoników i pudełeczek - w szkatułce leżały kolczyki, naszyjniki, broszki. Pokazywała to wszystko nie po to, żeby się pochwalić, po prostu wyjaśniała, co jest modne, co nosi się za granicą, przerzucała zagraniczne żurnale: z ich stronicy patrzyły delikatne i zmarznięte piękności w eleganckich futrach, cielistych pończochach i lakierkach.

Potem siedziały przy stoliku, przyciągniętym do tapczanu, piły kawę, z filigranowych kieliszek sęczyły likier o nazwie "Benedyktynka", paliły długie papierosy ze złotym ustnikiem.

Tak, to całkiem inny świat! Tam stoją w kolejkach, wykupują kartki. Tu popijają kawę, palą papierosy, rozprawiają o zagranicznej modzie.

- Czy Nina wie, że mnie spotkałaś?

- Nie.

- Mówiłaś jej, że idziesz do mnie?

- A czy to muszę raportować o wszystkim?

- Dobrze zrobiłaś - pochwaliła Wika. - Szanuję twoją siostrę, uczyłyśmy się razem przez dziewięć lat, ale Nina ma taki... męski sposób myślenia, jest obojętna na wszystko, czym naprawdę żyją kobiety, gardzi mną, wiem o tym. Nina to sufrażystka. To oczywiście nie zarzut, szanuję jej dążenia, jest społecznicą, to dobrze, to wspaniale! Nie wszyscy jednak mogą być tacy jak Nina.

- Nina chce, żeby wszyscy żyli tak, jak ona - powiedziała Waria.

- Kogo lubisz? - spytała Wika, nakręcając patefon. - Mielechowa? "Powiedzcie,



dziewczęta, przyjaciółce waszej...” Nie, ileż można?

Puściła płytę Wertyńskiego, potem Leszczenki: “Obrzydłem wszystkim przeraźliwie, zwiedzając Nadbałtycki Kraj...”

- Witalij ma świetne płyty. Kiedyś wpadniemy do niego posłuchać.

Waria roześmiała się.

- Do niego?

- Masz coś przeciwko temu?

- Wiem oczywiście, że człowiek pochodzi od małpy, ale po co chodzić do kogoś, kto jest tego żywym dowodem?

- Nie doceniasz go. Witalij to dość wpływowy obywatel.

- Niech sobie wpływa na innych.

- Nie chcesz zdawać do instytutu teatralnego?

- W tym roku nie zdaję na żadne studia. Pójdę do pracy.

- Do jakiej?

- Zaczepię się gdzieś jako kreślarka.

- Waria! - zawołała Wika. - Witalij załatwi ci to od ręki. Cała Moskwa to jego przyjaciele. Zaraz do niego zadzwonię.

Przyciągnęła do tapczanu telefon na długim sznurze, nakręciła numer.

W słuchawce słychać było dźwięki jazzu.

- Przycisz swoją katarynkę! - rozkazała Wika. - Jest u mnie Waria - ciągnęła dalej - moja szkolna koleżanka z Arbatu... Dobrze - popatrzyła na Warię. - Masz pozdrowienia.

- Merci!

- Słuchaj, ona chce zostać kreślarką... W szkole... Szkoła miała profil kreślarsko-konstruktorski... Waria świetnie to robi. Co? A kto u ciebie jest? Nie, to nic interesującego... A jak go ściągniesz? (Rozmowa dotyczyła zapewne człowieka, z powodu którego Wika byłaby skłonna przyjechać). Nie! Umówimy się na pojutrze, w sobotę. Eryk będzie na pewno, pojedziemy do “Metropolu”... zaraz spytam... Waria, jesteś pojutrze wolna?

- Tak.

- Jest wolna. I będzie Eryk. A ja ci mówię - będzie... Jeżeli nie, to my z Warią nie przyjdziemy. Eryk musi być. Koniecznie. Pamiętaj o tym!

Wika odłożyła słuchawkę.

- Będzie tam jeszcze jeden człowiek, Eryk. Zajmuje się dostawami do Magnitostroju.

Popatrzyła na Warię.

- Przyjdź do mnie pojutrze o szóstej, pojedziemy ode mnie. Pogadamy o twoich sprawach. Wszystko załatwimy. A przy okazji rozerwiemy się trochę.

Uśmiechnęła się, pogłaskała Warię po włosach.

- Mogę zaprowadzić cię do Pawła Michajłowicza, zrobi porządek z twoimi włosami.

Paweł Michajłowicz - to słynny fryzjer, jego zakład obok restauracji "Praga" nazywał się "Paul". W swoim czasie klientki tak właśnie mówiły o Pawle Michajłowiczu - "Pan Paul". Dla Wiki był "Pawłem Michajłowiczem"; podkreślało to jej zażyłość ze znakomitym mistrzem grzebienia.

Co ma jutro na siebie włożyć, w czym pójdzie do “Metropolu”? Waria wyobraziła sobie, jak stoi obok Wiki - dziewczynina w wyświechtanej bluzce. Wszystkie jej rzeczy są stare, brzydkie i niemodne. A pończochy? A pantofle? Grzebała w szafie, ubierała się, rozbierała...

Znośnie leżała tylko stara niebieska suknia. “Buldożki” na wysokim obcasie znowu trzeba będzie pożyczyć od Zoi, nie ma innej rady.

Wika miała na sobie suknię, naszywaną koralikami, z przodu suknia sięgała nieco poniżej kolan, z tyłu - poniżej łydek, jeden bok był ciut dłuższy od drugiego. Suknia ciasno opinała piersi i talię. Wysoka, jasnowłosa, efektowna dziewczyna o gładkiej skórze i wielkich szarych oczach.

Zdjęła suknię, została w bieliźnie koloru róży herbacianej, siedziała rozebrana, i bez pośpiechu zmieniała uczesanie, choć spotkanie wyznaczone było na siódmą, a dochodziła już ósma.

Dzwonił telefon, trwały skomplikowane konferencje z Witalijem. W żaden sposób nie mógł znaleźć Eryka, proponował, żeby obie przyjechały do niego. Wika oświadczyła, że tutaj też im dobrze.

- Z tobą byłoby jeszcze lepiej, ale niestety musisz dyżurować przy telefonie.

Nadal siedziała przed lustrem w samej bieliźnie.

- Lena Budiagina bywa u was?

- Nie była od tamtego Nowego Roku.

- Chodzi do Jurki?

- Nie wiem, Jurka to teraz szpicel, nie znoszę go!

Wika obróciła się na swoim obrotowym pufie, gniewnie spojrzała na Warię - tak się w ich domu nie mówi. Wika, jej brat, ich ojciec, wszyscy z ich sfery przyjęli rzeczywistość jako narzucony stan rzeczy, jako nieuniknione warunki istnienia. Forma tego przyjęcia była prosta: powściągliwość, żadnych dwuznaczności, anegdot, aluzji - wiadomo aż za dobrze, czym się to może skończyć.

- Wariu, zapamiętaj sobie dobrze: poznam cię z pewnymi ludźmi. Pozycja, jaką zajmują, zobowiązuje do paru rzeczy. Przede wszystkim będziesz musiała panować nad swoim językiem.

- A co ja takiego powiedziałam?

Wika nie chciała powtarzać słowa “szpicel”, to nie ona go użyła.

- Twoje wyrażenia trącą ulicą.

Waria wybuchła.

- Wychowałam się na ulicy!

- Nie zrozumiałaś mnie. Nie mówię o wulgarności, nie to miałam na myśli. Po prostu od niektórych rzeczy i słów lepiej trzymać się z daleka. Jura zajmuje się swoimi sprawami, a my nie mamy o nich pojęcia.

Waria milczała. O czym miałyby mieć pojęcie? Chyba o tych kolejkach pod więzieniem... Wika ma jednak rację: to nowy, nieznany świat, i trzeba dostosować się do jego reguł.

- Po prostu nie lubię Szaroka - on ma takie paskudne spojrzenie.

Wika objęła ją.

- Masz rację. "Życie jest krótkie" - to banalne, ale prawdziwe. Reszta nas nie obchodzi. Prawda?

Gdy Waria przyszła do Wiki, w mieszkaniu panowała cisza. Około dziewiątej dom ożył, dały się słyszeć głosy, kroki na korytarzu, trzaskanie drzwi. Wika w ogóle nie zwróciła na to uwagi: tu każdy żyje własnym życiem, nikt nie wtyka nosa w sprawy innych, nawet Wadim ani razu nie zajrzał do siostry. Waria porównała to ze swoim komunalnym mieszkaniem, z pokojem, w którym mieszkała z Niną pod jej bezustanną i uciążliwą kontrolą.

O dziesiątej zadzwonił Witalij i poprosił, żeby za kwadrans, ale nie później, wyszły przed dom.

Wika nie śpiesząc się poprawiła fryzurę, podmalowała usta i włożyła swoją naszywaną suknię.

Eryk okazał się wysokim, zgrabnym młodym człowiekiem o gładko zaczesanych czarnych włosach. Już po garniturze można było rozpoznać w nim cudzoziemca. Wsiadł z samochodu i otworzył przed dziewczętami drzwiczki z galanterią księcia, zapraszającego ubogie pasterki do swojej karety. Potem usiadł za kierownicą, i przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Przed "Metropolem" pomógł im wysiąść z auta.

Kolejka przy drzwiach rozstała się, szwajcar w uniformie z galonami wpuścił ich do środka, podbiegł ma~itre d'h~otel w czarnym smokingu, mimo tłoku na sali natychmiast wyczarował wolny stolik, kelner rozłożył sztuce. Z portierem, szatniarzem, z kierownikiem i z kelnerem rozmawiał Witalij, ale Waria widziała, że wszyscy starają się tak ze względu na Eryka, a Witalij najbardziej. Jako stały bywalec przejrzał kartę, doradził, co zamówić, kelner z bloczkiem i ołówkiem notował zamówienie.

Wika przeistoczyła się zupełnie. Kolejka pod restauracją, szwajcar, szatniarz, brak

miejsce, usłużny ma~itre d'h~otel - wszystko to nie dotyczyło jej nawet w najmniejszym stopniu. Krótkie przejście przez salę było pochodem tryumfalnym, skierowane na nią spojrzenia miały być hołdem dla jej urody i wzmóc wrażenie, jakie chciała wywrzeć na Eryku. Szła, patrząc prosto przed siebie - żadnych znajomych, mogących skompromitować ją swoją familiarnością, dziś sama zadecyduje, kogo dopuścić do tego zaszczytu.

Usiadła i obrzuciła salę obojętnym, lecz wszystkowiedzącym wzrokiem, skinęła głową miniaturowej blondynce, siedzącej w towarzystwie tęgiego niskiego Japończyka w ciemnych okularach.

- Poznajesz Noemi?

Tak samo jak wtedy na Arbacie zwracała się do Wari jak do bliskiej przyjaciółki. Waria nie miała pojęcia, kim jest Noemi, słyszała tylko, jak godzinę temu Wika umawiała się z nią właśnie w "Metropolu".

Po chwili wskazała śliczną Chinceczkę.

- Patrzcie, jest Sybilla!

Obserwując kelnera, rozkładającego sztucce, Witalij wyjaśnił Wari i Erykowi, że Sybilla Czen, córka chińskiego ministra spraw zagranicznych, znakomita tancerka, rozpoczyna jutro występy gościnne w Moskwie; później pojedzie do Leningradu, a następnie wyruszy na tourn~ee po USA. Wymienił jeszcze kilka znanych nazwisk. Najlepsze towarzystwo zbiera się po zakończeniu spektakli w teatrach. O jedenastej zaczną grać tea-jazz Utiosowa, ale bez Utiosowa, Utiosow nie występuje w restauracjach.

Wiele dziewcząt było w towarzystwie cudzoziemców. Waria wiedziała, że obdarowują oni dziewczyny modnymi ciuchami, wożą swoimi samochodami, a czasem żenią się i zabierają żony za granicę. Waria nie była zainteresowana cudzoziemcami, ale ta restauracja z fontanną pośrodku sali, muzyka, towarzystwo znanych ludzi - czyż nie do tego wrywała się z przygnębiającej szarzyzny swojego komunalnego życia?

Nakrochmalone obrusy i serwety, migotanie żyrandoli, srebro, kryształy... "Metropol", "Savoy", "National", "Grandhotel"... Rodowita moskwianka, znała te nazwy jedynie ze słyszenia, dopiero teraz nadszedł jej czas. Dziewczyna z arbackiego podwórka, zaradna i bystra, od razu zauważyła wszystko - i to, jak patrzą na nią mężczyźni, i to, jak omijają ją wzrokiem kobiety... To nic, popatrzą inaczej, gdy przyjdzie tu, ubrana bardziej elegancko niż one. Nie zastanawiała się na razie - w jaki sposób wejść w posiadanie takich bogactw. Nie, nie będzie sprzedawać się cudzoziemcom, nie jest prostytutką. Nie wszyscy na sali są zresztą tacy. Na przykład tamci przy sąsiednim stoliku: jedna butelka na czterech, nie mają pieniędzy, przyszli tu potańczyć. Tak, ona też znajdzie tu swoje towarzystwo.

Przeglądając kartę win Witalij radził "Chateau Yquem", Wika zażądała jednak "Barzacu", o takim winie Waria nigdy nie słyszała. Eryk wolał kieliszek wódki i kawior. Przez cały czas uśmiechał się uprzejmie, po rosyjsku mówił bardzo dobrze, choć z nieco obcym akcentem, niekiedy zaczynał się, przypominając sobie potrzebne słowo. Jego ojciec, Szwed, instaluje w naszych zakładach jakieś szczególne środki łączności, Eryk jest inżynierem, przedstawicielem firmy ojca. Matka Eryka urodziła się w Rosji, w Nadbałtyce, to ona nauczyła go rosyjskiego, ojciec zresztą też zna rosyjski - jego firma współpracowała z Rosją jeszcze przed rewolucją. Waria uśmiechnęła się, powiedziała, że prawdziwy Skandynaw powinien być niebieskookim blondynem. Eryk wyjaśnił z powagą, że jego babka ze strony matki była gruzińską księżniczką i wyszła za mąż za barona z Ostsee, generała w służbie rosyjskiej. Wymienił jego nazwisko, znane z różnych zgaduj-zgaduli, w których Waria lubiła brać udział. Do jej klasy chodzili potomkowie starych rodów szlacheckich, chłopcy i dziewczęta z Siwcowego Wrażka, z Gagarinskiego, Starokoniuszennego i z innych arbackich zaułków. Drzewo genealogiczne Eryka obejmowało nie tylko stulecia, ale i różne kraje, było dziwaczne jak sama historia, która zmiatając stare rody rozrzucała ich niedobitki po całym świecie.

- Nie odwracajcie się od razu - powiedziała szeptem Wika - potem sobie popatrzycie. Ta para za nami, z prawej, drugi stolik, Włoch z dziewczyną...

Po kolei, jakby mimochodem, popatrzyli na wskazany stolik. Siedział tam Włoch w towarzystwie wysokiej szczupłej dziewczyny o marsjańskiej twarzy - ogromne oczy i bardzo biała skóra.

- Nina Szeremietiewa - wyjaśniła Wika.

- Z tamtych? - uniósł brwi Eryk.

Zauważywszy zainteresowanie Eryka hrabiną Wika odparła:

- Z tamtych, ale nie z głównej linii, ze zubożałych.

- Żyła z fotoreporterem, potem z aktorem, potem aktor wrócił do żony, ciekawe, jak skończy się ta afera z Włochem - dodał Witalij.

Wika sama sprowokowała te komentarze. Teraz, gdy zostały już ogłoszone, uznała za stosowne okazać trochę taktu.

- No wiecie, wokół ładnej dziewczyny zawsze są jakieś plotki.

Światła przygasły, reflektory oświetliły fontannę, zagrała orkiestra. Na Warię patrzył niewysoki chłopak o rysach cherubina - regularny, nieco wydłużony owal twarzy, wysokie czoło, starannie uczesane kasztanowe włosy, prosty nieduży nos, dobre, uśmiechnięte, błękitne oczy. Garnitur, koszula, krawat, buty - wszystko idealne, bez zarzutu, nawet do

przesady, żadnej fałdki, żadnego pyłku, chłopak ze świątecznej pocztówki. Waria uznała go za aktora. Tak przystojny i elegancki może być tylko aktor. Tańczył zwyczajnie, bez figur i wygibasów - to właśnie najnowszy styl. Witalij tańczył po dawnemu, Waria wstydziła się krążyć po parkiecie w ramionach takiego starego partnera. Cherubin uśmiechnął się do niej, ale nie nachalnie, a tak jakoś po koleżeńsku, jak gdyby chciał powiedzieć, że fajnie jest w tym "Metropolu", widać, że swój chłopak, żaden tam cudzoziemiec, taki trochę frant i bywalec lokali.

Muzyka ucichła, wszyscy wrócili na swoje miejsca. Cherubin przeszedł obok Wari, znów uśmiechnął się do niej, odprowadził swoją partnerkę, podziękował jej i poszedł do swojego stolika, niedaleko stolika Wari, tylko bliżej fontanny. Waria nie mogła ustalić, z ilu osób składa się jego towarzystwo, ciągle podchodzili tam jacyś młodzi ludzie, przysiadali się, jedni zostawali, inni odchodzili, zjawiali się nowi... Cherubin i jedyna dziewczyna przy tamtym stoliku, ładniutka piegowata grubaska, z takich, na które patrzy się z przyjemnością, nie opuszczali ani jednego tańca, grubaska tańczyła zazwyczaj z kimś spośród tamtego towarzystwa, cherubin zaś prosił do tańca różne dziewczyny. I gdy orkiestra zagrała rumbę, podszedł do stolika Wari, uklonił się wszystkim, i zwracając się do Witalija poprosił o pozwolenie zatańczenia z jego damą. Prośbę tę Waria potraktowała jako czysto grzecznościową formalność - sama ma przecież prawo decydować, z kim chce zatańczyć. Wstała i poszła z cherubinem na parkiet.

Rumbę tańczył tak samo jak fokstrota, krok - obrót, krok - obrót. Waria tańczyła świetnie nawet z kiepskimi partnerami, a co dopiero z takim...

- A ja panią znam - powiedział cherubin z uśmiechem. Miał bardzo białe zęby, lecz przy uśmiechu widać było, że jeden ząb jest krzywy.

Sposób zawierania znajomości na intrygę: zadają naprowadzające pytania i uzyskują oczekiwaną odpowiedź. Prymitywne! Waria skrzywiła się lekko: jak zna, to zna, i bardzo dobrze.

- Pani przyjaciółka ma na imię Wika.

Waria znów się skrzywiła: zna Wikę? No i co z tego? Wszyscy ją tu pewnie znają.

- Mieszka pani na Arbacie - ciągnął dalej, ukazując w uśmiechu swój krzywy ząb, przez co uśmiech stawał się cieplejszy i sympatyczniejszy. Miał też bardzo miły głos.

- Skoro Wika mieszka na Arbacie, to nietrudno się domyślić.

- A druga pani przyjaciółka ma na imię Zoja.

Tryumfował: grali, grali, aż wygrał.

Waria odsunęła się, spojrzała mu w twarz. A więc to nie intryga, nie gra. Gdzie on mógł

poznać Zoję?

Uśmiechał się zagadkowo: miało to oznaczać, że w ogóle dużo wie ale nie powie, teraz jej kolej.

- Nazywam się Lowa, a pani?

- Waria.

- Pozwoli pani, że poproszę ją o następny taniec?

- Proszę.

Wróciła do stolika równocześnie z Wiką i Erykiem. Witalij siedział, nie tańczył.

- Wariu, pozwól na chwilę - powiedziała Wika.

Kobiety malowały usta, pudrowały się, czesały - toaleta przypominała salon fryzjerski. Jakaś pani przyszywała guzik do paska. Igły i nici można było dostać u kobieciny, wydającej papier: płacono jej drobnymi.

- Jak tak można? - napadła na Warię Wika. - Przyszłaś z nami, a tańczysz z kim popadnie. Czy ty nic nie rozumiesz?

- Przecież Witalik pozwolił.

- Pozwolił cię poprosić, a ty powinnaś była odmówić. W jakiej sytuacji mnie stawiasz, co sobie pomyśli Eryk? Teraz wszyscy będą podchodzić do naszego stolika - znaleźli taką, która nikomu nie odmawia.

- A jeśli ja nie chcę tańczyć z Witalikiem?

- To przychodź tutaj z tymi, z którymi chcesz tańczyć! Skoro jednak przyszłaś z nami, to tańcz z Witalijem i Erykiem, albo z naszymi wspólnymi znajomymi. Ale tańczyć z byle kim?

- To nie jest byle kto: mówił, że cię zna.

- Owszem, zna mnie. Z imienia. Ja też go znam. Lowoczka! Wszyscy go tu znają - skrzywiła się pogardliwie. - Kreślarz z biura projektów.

A więc stąd Lowa zna Zoję! Zoja też pracuje w biurze projektów. Tam właśnie musiał ją widzieć, zachodziła kiedyś do Zojki. Zapamiętał. A ona myślała, że to aktor! No nic, to nawet lepiej, że jest kreślarzem, sama ma przecież zamiar zostać kreślarką.

- Knajpiany żigolak - ciągnęła dalej Wika - trzyma się tu jednego takiego bilardzisty, je i pije na jego koszt. Jeżeli ci się podoba, to następnym razem możesz przyjść tu z nim i tańczyć z nim i z jego przyjaciółmi, ale dziś nie stawiaj mnie w idiotycznej sytuacji.

Wróciły na salę. Eryk i Witalij wstali, podsunęli krzesła, pomogli usiąść.

Lowa siedział przy swoim stoliku, ale już nie plecami do Wari, lecz twarzą do niej, i gdy orkiestra znowu zaczęła grać, spojrział na nią pytająco. Waria niemal niedostrzegalnie pokręciła głową. Lowa podszedł do innego stolika. Wika tańczyła z Erykiem. Waria



powiedziała Witalijowi, że nie ma ochoty tańczyć.

Dobry nastrój prysnął. Witalij boczył się na Wikę: uczciwie zorganizował Eryka, a co podsunięto mu w zamian? Snuł więc mgliste rozważania o egoistach, wykorzystujących porządnych ludzi do swoich celów. Wika udawała, że nie rozumie jego aluzji, a Waria miała to w nosie.

Z restauracji wyszli mniej więcej o trzeciej w nocy. Witalij zaproponował, żeby pojechać do niego i posłuchać płyt. Wika oznajmiła, że jest już późno, a w dodatku czuje się bardzo zmęczona.

- A ty? - spytała Warię.

- Już dawno powinnam być w domu.

Eryk stwierdził, że jako szofer gotów jest spełnić każde polecenie. Witalij nie wsiadł do auta. Mieszka tuż obok, na ulicy Gorkiego, i doskonale dojdzie do domu piechotą. Serdeczne dzięki za uroczy wieczór!

Wika żartobliwie pomachała mu ręką.

Była zadowolona z Wari. Na takiej jak Waria można polegać, nie jest łatwa ani głupia, to dobra, czysta dziewczyna, blask jej naiwności spłynie również i na nią, Wikę, właśnie taka towarzyszka jest jej potrzebna. Tworzą wręcz klasyczną parę: blondynka i brunetka, równe wzrostem, obie bardzo ładne, trzeba tylko ubrać Warię, uczesać, i nauczyć dobrych manier.

Umówiły się z ERYKIEM na jutro w "Nationalu".

Wika przyjdzie z Warią i jeszcze jednym swoim przyjacielem, znanym architektem, niedawnym zdobywcą pierwszej nagrody w jakimś konkursie. Eryk ucieszył się, usłyszawszy znajome imię.

Czy wyjść za mąż za cudzoziemca i wyjechać z nim za granicę, jak robiły to inne "metropolskie" dziewczyny? Wika nie była jeszcze zdecydowana. Wyrosła w niechęci do tego wszystkiego. Już w dzieciństwie budził w niej wstręt cham, który zamieszkał za ścianą w ich mieszkaniu, zaprowadził swoje porządki w kuchni i na korytarzu, brudny robociarz, wracający nad ranem z nocnej zmiany, świniący w łazience i uważający jej ojca, właściciela mieszkania, za nie dobitą kontrę. A ojciec, profesor o światowej sławie, musiał brać honoraria w mące, marmoladzie i pozlepianych landrynkach - zresztą nawet i to musiał ukrywać przed sąsiadami, żeby uniknąć etykietki burżuja. Niezapomniane uroki dzieciństwa...

Teraz wszystko się zmieniło. Mieszkanie zwrócono, ojciec dostaje bajeczne honoraria, uposażenie najwyższej kategorii, w domu zbierają się same znakomitości. Wika ma toalety,

kosmetyki, niczego jej nie brakuje. Nie może narzekać, jest jedną z najpiękniejszych dziewczyn w Moskwie.

Tylko co dalej? Profesor? Artysta? Jakiś dygnitarz? Rozwody, alimenty... Młodzi zaczynają od zera, na początek czterysta rubli, nie przyprowadzi do domu darmozjada, to nie w jej stylu. Tak, pojawiła się nowa elita - lotnicy, konstruktorzy lotniczy, to ich rozpieszcza władza, to oni dostają wspaniałe mieszkania, przydziały, pensje, nawet w bonach do Torgsinu. Wodopianow, Kamanin, Doronin, Liapidiewski, Lewaniewski, Mołokow, Slepniew - to nazwiska, znane w całej Moskwie. Gdzie ich jednak szukać? Poza tym na pewno są już żonaci. A gdzież ci tajemniczy konstruktorzy lotniczy?

W ogóle nic nie jest jeszcze postanowione. W każdym razie nie będzie to Japończyk, nawet nie Amerykanin - za daleko, ani Niemiec - odmieniec, tam teraz niespokojnie. Rdzenny Anglik, bogaty Francuz, nawet lekkomyślny Włoch - owszem, to oznacza Paryż, Rzym... W ostateczności mógłby być Szwed - potomek króla zapalek, albo Holender - potomek króla nafty. Tacy tylko z pochodzenia są Szwedami czy Holendrami, a mieszkają w Londynie, w Paryżu. Gdyby tak zostać żoną Eryka! Dziewczyny pękałyby z zazdrości, dla nich Turek-szaszłykarz to już prawie księżę.

Tak czy owak do restauracji warto chodzić tylko z cudzoziemcami - kelnerzy tańczą wokół nich, dogadzają, za walutę znajdzie się wszystko, dopiero wtedy czujesz się jak człowiek. Pójdzie jutro do "Nationalu". Nie wie jeszcze czy zajdzie potem do Eryka, można ewentualnie wymówić się obecnością Wari. Strzegąc jej skromności, zaznaczy własną cnotliwość.

\* \* \*

I oto Waria i Wika siedzą w restauracji "National" w towarzystwie Eryka i znanego architekta Igora Władimirowicza, mniej więcej trzydziestopięcioletniego chudzielca o nerwowej twarzy i cichym głosie. Waria słyszała o nim w radiu. Wika nazywała go po prostu Igor.

Długa sala z niedużymi czteroosobowymi stolikami, kelnerki roznoszą herbatę. Na spodkach znak firmowy restauracji "National", na cukiernicach i paterach - również. Wino, ciastka. Spokojnie, godnie, statecznie.

Waria zauważyła kilku wczorajszych gości z "Metropolu": Noemi z Japończykiem, Ninę Szeremietiewą z Włochem, piegowatą grubaskę, ale bez Lowy. Kobiety nie miały na sobie długich sukien, tylko krótkie, codzienne, albo kostiumy. Noemi była w kostiumie barwy

kardynalskiej purpury, z zamszowym paskiem ze srebrną sprzączką, ramiona żakietu zdobiły wstawki, przypominające pagony.

Rozmawiali o muzyce i balecie. Eryk opowiadał o Strawińskim, Diagilewie, Pawłowej, wymieniał nazwiska rosyjskich muzyków i tancerzy, mieszkających za granicą.

Waria lubiła muzykę, bywała z dziewczynami w konserwatorium, lecz gdy Igor Władimirowicz spytał, jaką muzykę lubi, odpowiedziała:

- Głośną.

Igor Władimirowicz i Eryk roześmieli się. Widząc to Wika też się roześmiała.

Zagrała orkiestra: skrzypce, wiolonczela, pianino, trąbka i perkusja. Tańczono na niedużym kręgu obok orkiestry.

Igor Władimirowicz tańczył bez tej profesjonalnej wprawy, co Lowoczka, ale też dobrze, ludzie zwracali na nich uwagę - był znany, rozpoznawano jego twarz. Grubaska uśmiechnęła się do Wari, dała do zrozumienia, że poznaje, że w jej towarzystwie dostrzeżono Warię.

- Tak lekko mi się z panią tańczy - powiedział Igor Władimirowicz.

- Mnie z panem również.

Igor Władimirowicz zachowywał się wobec niej tak, jak dystyngowany starszy pan wobec młodzietkiej dziewczyny. Waria czuła jednak, że podoba mu się.

Wika tańczyła z Erykiem, zaprosił ją do swojego pokoju w hotelu, odmowa byłaby rzeczą nierozsądną: widzą się już czwarty raz, nie wolno dłużej zwlekać.

W podjęciu decyzji pomógł "kardynał" Noemi. Taki kostium! A Wika poza tą naszywaną suknią wieczorową nie ma żadnej prawdziwej kreacji. Fasony ściąga wprawdzie z toalet, które przywożą sobie z zagranicy żony naszych dyplomatów, ale suknie szyje u moskiewskich krawcowych. A czy to one cokolwiek potrafią?

Trzeba się zdecydować. Dziś. Nie nocą, ale właśnie teraz, ulegając nagłemu uczuciu. Ich rozmowa to dobry wstęp: namiętność wzbogacona o tęsknotę do towarzystwa inteligentnego człowieka. Poza tym w dzień wolno odwiedzać gości hotelowych. Tylko co zrobić z Warią? Zabrać ze sobą, a potem odprawić? Jakoś niezręcznie, od razu domyśli się, dlaczego Wika zostaje. Odwieźć do domu, a potem wrócić - jeszcze gorzej. zaproponowała zmianę partnerów i tańcząc z Igorem Władimirowiczem poprosiła go o odprowadzenie Wari.

- Muszę wpaść do krawcowej. Waria to cudowna dziewczyna, ale pod drzwiami krawcowej rozchodzą się drogi nawet najlepszych przyjaciółek.

Wyszli z "Nationalu". Igor Władimirowicz zaproponował:

- Przejdźmy się po Ogrodzie Aleksandrowskim, jeśli oczywiście ma pani czas.

Mimo dość wczesnej pory wejście do ogrodu nie wiadomo dlaczego zastawione było ławką.

- Pokonamy tę przeszkodę.

Igor Władimirowicz odsunął jeden koniec ławki i poszli wzdłuż żelaznego ogrodzenia obok wysokich lip i przystrzyżonych krzewów, po mokrych od deszczu alejkach. Wieczór był ciepły, nie ściemniło się jeszcze, promienie zachodzącego słońca oświetlały załomy murów Kremla.

- Kiedyś płynęła tędy Nieglinka - powiedział Igor Władimirowicz - potem założono tu stawy, a później ogrody. Projektował je Bove, wielki architekt.

- Był taki - potwierdziła żartobliwie Waria.

Igor Władimirowicz umilkł, przypomniawszy sobie jej wypowiedź o muzyce.

- Maneż - ciągnęła Waria - zbudował Teatr Mały, Teatr Wielki po pożarze, fasadę GUM-u... Co jeszcze? Aha, Łuk Triumfalny, Pierwszy Szpital Miejski, dom książąt Gagarinów na bulwarze Nowińskim.

- Skąd pani to wszystko wie?

- Chodziłam do szkoły o profilu kreślarsko-konstruktorskim. Przerabialiśmy to.

Powiedział:

- Ma pani niezwykle kształt oczu, sięgają aż do brwi.

- Płynie we mnie tatarska krew.

- Nie - zaprzeczył - to nie są oczy mongolskie, takie oczy jak pani spotyka się na miniaturach perskich.

- Bo nie ma miniatur tatarskich - odparła Waria.

Roześmieli się oboje.

Potem Igor Władimirowicz westchnął:

- Szkoda, że lubi pani głośną muzykę. Ja lubię cichą.

- Lubię dobrą muzykę - powiedziała Waria.

W oddali pojawiła się sylwetka stróża.

- Przegonią nas stąd? - spytała Waria.

- Zobaczymy - odpowiedział mężnie.

- Lepiej uciekajmy.

Przeskakując kałuże pobiegli w stronę wyjścia. Za ich plecami rozległ się gwizdek, oni jednak odsunęli już ławkę i wypadli na ulicę.

- Jesteśmy uratowani! - stwierdził Igor Władimirowicz.

Waria podskoczyła na jednej nodze, oparła się o ogrodzenie, zdjęła pantofel.

- Przemoczyła pani - pochylił się ku niej.

- Gorzej. Oczko poleciało.

Stał obok niej nie wiedząc, co robić, zmartwiony jej zmartwieniem. Waria zaś straciła humor: jedyna para porządnych pończoch!

Podniósł jej pantofelek, wyjął chusteczkę do nosa, wytarł pantofel od środka i z zewnątrz.

- Jaki pani nosi numer?

- Trzydziesty piąty - Waria włożyła pantofel. - Możemy iść, wszystko w porządku.

Poszli w stronę przystanku.

- Pozwoli pani zatelefonować do siebie? - spytał, gdy weszła na stopień wagonu.

- Proszę.

Dwudziestego dziewiątego czerwca rozpoczęło się plenum KC, a trzydziestego doniesiono z Niemiec o zabójstwie szefa sztabu SA Roehma i innych dowódców oddziałów szturmowych. Akcją tą, która przeszła do historii jako “noc długich noży” kierował osobiście sam Hitler.

Już pierwszego lipca “Prawda” i inne gazety zamieściły artykuły, wśród nich artykuły Zinowiewa i Radka, w których wydarzenia te ocenione zostały jako konwulsje reżimu faszystowskiego, zwiastujące jego nieuchronny koniec.

Stalin nie miał nic przeciwko takiemu naświetleniu sprawy: słabość obcej władzy zawsze podkreśla potęgę władzy rodzimej. Sam wiedział jednak doskonale, że rozłam nie osłabia bynajmniej ruchu politycznego, wręcz przeciwnie: rozszerza jego bazę społeczną, przyciągając doń różnych zwolenników, zaś walka z odszczepieńcami umacnia nurt zasadniczy. Najlepszym przykładem tego jest chrześcijaństwo.

Lenin nie obawiał się rozłamu przed przejściem władzy, jednakże rozłam wewnątrz partii już rządzącej uważał za rzecz bardzo niebezpieczną, i bał się go. Z tego właśnie strachu zrodził się ów tak zwany testament Lenina. Władzę państwową Lenin traktował jako czynnik konsolidujący ludzi, zainteresowanych jej utrzymaniem i umocnieniem. W istocie jednak władza dzieli ludzi, gdyż każdy pragnie zagarnąć ją dla siebie. Władza staje się czynnikiem konsolidującym dopiero wtedy, gdy skupiona jest w takich rękach, z których nikt nie tylko nie zdoła jej wydrzeć, ale nawet nie ośmieli się o tym pomyśleć.

Aby to osiągnąć, należy wpoić narodowi przekonanie o niewzruszalności władzy i unicestwić tych, którzy zdolni są po nią sięgnąć.

Lenin doprowadził swoją partię do rewolucji, sam tę partię stworzył, i nikt nie próbował odebrać mu przywództwa. Teraz jednak sytuacja jest zupełnie inna. On, Stalin, umacnia swoją władzę w warunkach, gdy zewsząd czyhają na nią pretendenci, przekonani, że mają większe prawo do schedy po Leninie niż on. Nawet pokonani wciąż nie tracą nadziei. Choćby taki Zinowiew... Czy on naprawdę nie rozumie, że zabójstwo Roehma nie osłabia, lecz umacnia pozycję Hitlera? Rozumie, jest przecież doświadczonym politykiem. Ten szachraj Radek też to rozumie. Obaj chcą jednak przekonać masy partyjne, że wszelki rozłam osłabia władzę, że fizyczna eliminacja przeciwników to cecha charakterystyczna tylko dla faszyzmu, a bolszewizm, mówią, wprost przeciwnie, zawsze dążył do zwierania swoich szeregów, do jednoczenia sił. Oni mają być tymi siłami? Dawno już powinni byli przestać zajmować się polityką. Nie przestają. Piszą, występują, przypominają o sobie, chcą

być na przedzie, na powierzchni, robią zamieszanie, czekają, aż nadejdzie ich czas, straszą wojną! Więcej - oni tę wojnę prowokują! Jak bowiem inaczej ocenić zamiar redakcji pisma "Bolszewik", która chce opublikować artykuł Engelsa "Polityka zagraniczna caratu rosyjskiego"? Dlaczego akurat teraz? Po czterdziestu latach od chwili jego powstania? Rzekomo z okazji dwudziestej rocznicy wybuchu wojny światowej... Kto w to uwierzy? Prymitywna zagrywka Zinowiewa - członka kolegium redakcyjnego "Bolszewika", na którą dał się jednak nabrać redaktor naczelny, ten bałwan Knorin.

W swoim artykule Engels twierdzi, że w okresie największego rozkwitu militarnej potęgi Rosji rządili nią utalentowani cudzoziemscy awanturnicy, przede wszystkim Niemcy: Katarzyna II, Nesselrode, Loeven, Giers, Benckendorff i inni. Po co podkreślać to właśnie teraz? Po co podsuwać taką kartę propagandzie hitlerowskiej, po co wychwalać Niemców? Po co w ogóle uwypuklać rolę elementu nierosyjskiego w historii Rosji i jej władzy? Czy to aby nie aluzja do niego, do jego gruzińskiego pochodzenia? Zinowiew i Knorin też nie są Rosjanami. O nich nikt jednak nie pomyśli, bo i po co? Takie skojarzenie nikomu nie przyjdzie do głowy. Do głowy przyjdzie natomiast osoba towarzysza Stalina, i o to właśnie chodzi. A całą tę tezę o elemencie nierosyjskim preparuje się na użytek rodowitego Rosjanina Kirowa, to dla niego ten kasek, to na niego teraz stawiają, tak jak w swoim czasie postawili na towarzysza Stalina, żeby wyeliminować Trockiego.

Tym razem idą jednak dalej, dużo dalej. W artykule Engelsa dostrzegli bowiem nie tylko tezę o elemencie nierosyjskim. Engels nazywa Rosję ostoją europejskiej reakcji, oskarża ją o ekspansjonizm, przyszlą wojnę przeciwko Rosji przedstawia jako wojnę niemal wyzwolenczą. Tak właśnie pisze: "Zwycięstwo Niemiec, to zwycięstwo rewolucji... Jeżeli Rosja zacznie wojnę - to naprzód na Rosję i jej sojuszników, kimkolwiek by byli!" I ani słowa o sprzeczności między Anglią i Niemcami, a przecież to one stały się główną przyczyną wojny światowej. Nie wszystko, jak widać, zdołał przewidzieć Engels.

Sens publikacji tego artykułu sprowadza się więc do rzeczy następującej: oni chcą pokazać Hitlerowi, że w Związku Radzieckim istnieją siły polityczne, czekające na wojnę, pokładające w wojnie wszystkie swoje nadzieje na obalenie obecnego kierownictwa, i dlatego gotowe dobić targu z Hitlerem, pójść na jakieś ustępstwa, dać Hitlerowi złudzenie sukcesu w polityce zagranicznej, niezbędnego dla uzasadnienia idei rewanżu, a właśnie ta idea stanowi o całej jego sile, to wokół niej skupia swój naród.

Naród radziecki nie potrzebuje jednak wojny. Związek Radziecki nie jest gotowy do wojny - nie zakończono jeszcze rekonstrukcji przemysłu. Wojny chcą oni i tylko oni, gdyż Jego mogą usunąć wyłącznie tą drogą, innych dróg do zagarnięcia władzy nie widzą. W

swoich wystąpieniach Zinowiew i Radek deklarują się jako nieugięci przeciwnicy Hitlera, ale publikując artykuł Engelsa oddają Hitlerowi przysługę, rozbudzają jego ambicje, podsuwają mu pretekst do zbliżenia z Zachodem, chcą porozumieć się z Hitlerem za Jego plecami i Jego kosztem.

Stalin wziął kartkę papieru, umoczył stalówkę w atramencie, i swoim drobnym, lecz wyraźnym pismem nakreślił list do członków Biura Politycznego o artykule Engelsa. Uwagi dotyczyły wyłącznie treści artykułu. Nie wspomniał ani słowa o swoich przemyśleniach dotyczących Zinowiewa, Radka i Kirowa, nie wymienił też ich nazwisk. List zakończył tak:

“Czy po tym, co zostało tu powiedziane, powinniśmy publikować artykuł Engelsa w naszym bojowym organie, w “Bolszewiku”, w charakterze artykułu programowego, lub w pewnym stopniu nawet wiążącego, gdyż jasne jest, że opublikowanie tego artykułu w “Bolszewiku” oznacza udzielenie mu naszej milczącej rekomendacji?

Myślę, że nie warto. J. Stalin”.

Następnie przeciął gabinet i otworzył drzwi do sekretariatu, który był równocześnie gabinetem Poskriebyszewa. Stalin rzadko posługiwał się dzwonkiem: gdy potrzebował Poskriebyszewa, otwierał drzwi i przywoływał go, lub przez niego wzywał tego, kto miał się stawić w gabinecie. Poskriebyszew zawsze był na swoim miejscu, a jeśli chwilowo musiał je opuścić, to zamiast niego za biurkiem zasiadał Dwinski.

Poskriebyszew był na miejscu. Stalin podszedł do wiszącego na ścianie zestawienia. Codziennie zamieszczano tam bieżące informacje: wiosną - o przebiegu siewów, latem - żniw, jesienią - dostaw. Jak zwykle przeczytał je uważnie i jak zwykle nie skomentował ani słowem. Wracając do gabinetu powiedział do Poskriebyszewa:

- Wejdźcie.

Poskriebyszew wszedł za Stalinem, ostrożnie zamykając za sobą drzwi (Stalin nie lubił, gdy drzwi zostawały otwarte, ale nie lubił też, gdy nimi trzaskano), i zatrzymał się o kilka kroków od stołu tak, aby nie stać obok Stalina (tego Stalin też nie lubił), lecz wystarczająco blisko, by słyszeć cichy głos Stalina i nie zadawać mu żadnych dodatkowych pytań (Stalin nie lubił, gdy zadawano mu dodatkowe pytania).

- Zabierzcie ten list - powiedział Stalin.

Poskriebyszew podszedł, wziął podane mu kartki.

- Zapoznajcie z listem członków Biura Politycznego. Razem z listem roześlijcie członkom Biura Politycznego projekt decyzji: towarzysz Knorin zostaje zwolniony ze stanowiska redaktora naczelnego pisma “Bolszewik”. Stanowisko redaktora naczelnego pisma “Bolszewik” obejmuje towarzysz STecki. Zinowiew przestaje być członkiem



kolegium redakcyjnego "Bolszewika", na jego miejsce powołuje się towarzysz Tala.

Poskriebyszew chwycił w pół słowa, czego chce towarzysz Stalin. W tym wypadku towarzyszowi Stalinowi chodziło o to, że: a) list ma pozostać w jednym egzemplarzu, i po odczytaniu członkom Biura Politycznego musi znaleźć się w osobistym sejfie towarzysza Stalina; b) list wyjaśnia członkom Biura Politycznego powody zmian w składzie kolegium redakcyjnego "Bolszewika"; c) oficjalnego wyjaśnienia powodów tych zmian nie będzie.

- Tak jest! - odpowiedział Poskriebyszew.

Nie odchodził jednak. Miał jeszcze jedną zaletę: potrafił wyczytać z twarzy Stalina czy ma już odejść, czy nie.

Stalin wziął ze stołu ciemnoczerwoną safianową teczkę i podał ją Poskriebyszewowi.

- Zabierzcie pocztę.

Teraz Poskriebyszew wiedział, że ma odejść, wycofał się tyłem, potem odwrócił i wyszedł z gabinetu, znów dokładnie i ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Usiadłszy za swoim biurkiem przejrzał zwróconą przez Stalina pocztę.

Towarzyszowi Stalinowi dostarczano tylko najważniejszą korespondencję. Drugą wybitną zaletą Poskriebyszewa była umiejętność odróżniania rzeczy ważnych od nieważnych i potrzebnych od niepotrzebnych. Oczywiście nie czytał wszystkich przychodzących listów, byłoby to fizyczną niemożliwością, zajmowali się tym specjaliści w sekretariacie, to oni sortowali korespondencję i przekazywali Poskriebyszewowi tylko to, co uznali za istotne. On zaś z kolei wybierał z tego rzeczy najważniejsze, i tylko te listy trafiały do rąk Stalina. Ludzie w sekretariacie doskonale znali swoje obowiązki, wiedzieli, czego się od nich oczekuje, wiedzieli, że listy dotyczące członków KC, a zwłaszcza członków Biura Politycznego bezwzględnie należy przekazać Poskriebyszewowi. Każdego ranka Poskriebyszew kładł na biurku towarzysza Stalina czerwoną safianową teczkę z korespondencją, a zabierał z powrotem wtedy, gdy Stalin sam ją zwracał, tak jak dzisiaj.

Zwróconą pocztę Poskriebyszew podzielił jak zwykle na dwie części: listy, których dotknęło pióro towarzysza Stalina, i listy, których pióro towarzysza Stalina nie dotknęło. Te pierwsze niezwłocznie przekazywano do sekretariatu, żeby wciągnięto je do ewidencji i załatwiono zgodnie z dyspozycjami Stalina. Pozostałe listy, co do których Stalin nie wydał żadnych dyspozycji, nie były ewidencjonowane i leżały w sejfie do ewentualnego wykorzystania przez towarzysza Stalina.

Była jednak jeszcze jedna kategoria listów - te, których Stalin nie zwracał od razu po przeczytaniu, a niekiedy nie zwracał w ogóle, przechowywał je u siebie lub nawet niszczył.

Były to listy o wyjątkowym znaczeniu.

Kładąc rano pocztę na biurku towarzysza Stalina Poskriebyszew liczył listy i zapisywał ich liczbę. Odbierając je z powrotem znów liczył, i w ten sposób dowiadywał się, ile listów Stalin zatrzymał u siebie. Wiedział też które. Miał wyćwiczoną urzędniczą pamięć: zanosząc Stalinowi listy, pamiętał z grubsza ich treść.

Tym razem wszystko wróciło w komplecie, z wyjątkiem zaklejonej koperty z raportem Jagody. Te koperty jednak Stalin zawsze zatrzymywał u siebie.

Mark Aleksandrowicz przyjechał do Moskwy rankiem dwudziestego dziewiątego czerwca, tuż przed rozpoczęciem plenum KC, i wyjechał pierwszego lipca wieczorem, gdy tylko plenum zakończyło obrady. Spieszył się. Trwały przygotowania do rozruchu walcowni, z chwilą jej uruchomienia kombinat stanie się zakładem o zamkniętym cyklu produkcyjnym. Dzieło życia Marka Aleksandrowicza - stworzenie największego na świecie giganta metalurgicznego - zostanie ukończone.

Mark Aleksandrowicz ani na moment nie opuścił sali obrad. Omawiane problemy - dostawy zboża i mięsa, poprawa i rozwój hodowli - to część polityki gospodarczej partii, i on, jako jeden z kierujących tą polityką, musi być na bieżąco obeznany ze wszystkimi jej aspektami. Nie wstąpił nawet do narkomatu: najważniejsza kwestia - rozruch walcowni - rozstrzyga się nie w Moskwie, lecz tam, w hucie.

W Moskwie miał do załatwienia tylko jedną nie związaną z plenum sprawę - musiał zobaczyć się z Sonią. Sasza został osądzony, zesłany, i nic się już nie da zrobić. Skoro dotychczasowe starania nie dały żadnych efektów, to tym bardziej nie pomogą teraz: od wyroku Posiedzenia Specjalnego nie ma odwołania. Informacja o tym, że w sprawie siostrzeńca interweniował on, Riazanow, kandydat na członka KC, z pewnością dotarła do najwyższych czynników: mimo to Saszę skazano, a to znaczy, że był w coś zamieszany. No nic, zesłanie to jeszcze nie katastrofa, Sasza jest młody, trzy lata szybko miną, całe życie przed nim.

A jednak myśl o Saszy ciążyła Markowi Aleksandrowiczowi. Miewał w swoim życiu różne kłopoty, ale z tej strony zawsze wszystko było w porządku, żadnych odchyłeń, żadnej frakcyjności ani u niego, ani wśród najbliższych. Wyrósł w rodzinie dalekiej od polityki, jedynie on, Mark, został członkiem partii. Siostry są bezpartyjne, ich mężowie też. Saszę widział jako członka partii, komunistę. No i proszę, co się zrobiło z Saszą! Jego krewny, krewny Riazanowa, sądzony z artykułu pięćdziesiątego ósmego - kontrrewolucyjna agitacja i propaganda! Mark Aleksandrowicz czuł się winny wobec partii - nie dopatrywał, zaniedbał, przeoczył! To plama. Gdyby coś takiego zdarzyło się tuż po rewolucji, sprawa byłaby zrozumiała - rewolucja podzieliła niejedną rodzinę. Ba, byłoby to zrozumiałe jeszcze w latach dwudziestych - były to lata zmian w kierownictwie, lata frakcji, zafascynowania części naszej młodzieży, zwłaszcza tej uczącej się, demagogią Trockiego. Jednakże dziś, w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym, gdy raz na zawsze skończono z odchyleniami i frakcjami, gdy okrzepło już nowe kierownictwo partii, gdy ustabilizowała

się generalna linia partii, gdy naród i partia osiągnęły niebywałą jedność i zwartość szeregów, to, co stało się z Saszą, jest wprost niesłychane, oburzające, rzuca cień i na niego, na Riazanowa.

Czego Saszy brakowało? Niczego. Miał wszystko: Moskwę, dom, uczelnię, wspaniałą przyszłość. Konflikt z wykładowcą, gazetka ścienna - nie, to za mało, za to nie mogli go aresztować, za to nie mogli skazać. A więc było jeszcze coś, coś, co Sasza przed nim ukrywał. Uległ czyimś wpływom? Przecież nie jest dzieckiem, dwadzieścia dwa lata, dorosły człowiek, powinien myśleć! I to nie tylko o sobie. Powinien myśleć o matce, mógł też pomyśleć o swoim wujku, zastępującym mu ojca, pomyśleć, jak odbije się to na nim, na jego sytuacji, na jego opinii w partii i w kraju! Nie pomyślał. Nie liczył się z tym! Dlaczego? Mądrył się. "Przydałoby się więcej skromności" - tak smarkacz ośmielił się mówić o Stalinie, śmiało pouczać, jaki ma być Stalin! W hucie Marka Aleksandrowicza pracuje jedenaście tysięcy komsomolców, i to jak pracuje! Przy rozruchu drugiego pieca harowali po szesnaście godzin na dobę, bez żadnych dni wolnych, w trzaskającym mrozie, w podmuchach lodowatego wiatru! Gdy wrócił z Moskwy (wezwał go wtedy na kilka dni Ordżonikidze), zameldowano mu, że piasek, żwir i cement zamarzają w wagonach. A beton powinien być ciepły. I ci młodzi ludzie, którzy przybyli na budowę prosto ze wsi, znaleźli sposób, domyślili się, co robić: podłączali rury do parowozów, przez całą dobę tłoczyli nimi parę i gorącą wodę - ot jak pracowali, ubiegając się o zaszczyt nazwania tego drugiego pieca "komsomolskim"! Jedzenie gotowali tuż obok na ogniskach. Konie grzęzły w glinie, taczki spadały z pomostów, podstawowym narzędziem była łopata, podstawowym transportem - wóz, wszędzie wykopy, wykopy, góry ziemi, kurz pod niebo, huk, łoskot. Z takiego chaosu wyłonił się największy kombinat hutniczy na świecie! Ci komsomolcy, ci młodzi entuzjaści nie wymądrzali się, nie rozprawiali o trudnościach. Nie mieszkali w wygodnym domu na Arbacie, lecz w namiotach, w ziemiankach, barakach, całe rodziny na jednej pryczy, na jednym sienniku. Wszystko tam było - wszy, pchły, karaluchy, tyfus... Brakowało nauczycieli, dzieci uczyły się w tych samych barakach, w których spały, filmy wyświetlano w stepie, pod gołym niebem, sklepy urządzano w szopach, co tam zresztą było w tych sklepach - puste półki. Przodownicy dostawali w nagrodę talon na spodnie, na spódnicę, na buty, a czasem po prostu tutkę landrynek. I byli dumni z tej nagrody. Rozumieli, że tworzą bastion socjalistycznego przemysłu, że likwidują wielowiekowe zacofanie kraju, że umacniają jego obronność, jego gospodarczą niezależność, że budują nowe, socjalistyczne społeczeństwo.

Oto co rozumieli ci młodzi ludzie. Oni nie mają żadnych zastrzeżeń do towarzysza

Stalina. Stalin to symbol ich życia, ich bezprzykładnego wysiłku. To oni, ci chłopcy i te dziewczęta tworzą historię, oni, a nie jego siostrzeniec Sasza, który stoczył się tak nisko, że trafił do więzienia i na Syberię.

Mark Aleksandrowicz podszedł do dobrze znanego domu siostry.

Frontowa ściana wyłożona białymi płytkami, nad kinem "Arbacki Ars" wiatr tarmosi jaskrawe afisze, głębokie podwórze otoczone zwartymi oficynami. Sasza często bawił się na tym podwórzu, wybiegał wujowi na spotkanie, wyciągał rączki, a potem, gdy razem szli po schodach, wołał: "Wujek Mark przyjechał, hura!" - i wyraźnie wymawiał wszystkie "r" i "ł".

Tak, życie to nie bajka, stale towarzyszą nam troski i kłopoty, teraz zwały się na Sonię, najbardziej łagodną i bezbronną spośród jego sióstr: mąż odszedł, syna zesłali. Było mu żal siostry, w niczym jednak nie mógł jej pomóc - ani wtedy, gdy odszedł Paweł Nikołajewicz, ani teraz. Może ofiarować jej tylko swoją braterską miłość, współczucie, pomoc materialną. Musi być dzielna i wytrwała. Nieszczęście nie trwa wiecznie, wszystko mija.

Przypomniawszy sobie swoją ostatnią wizytę u siostry. Jaką miała żalną i rozedrganą twarz, jak uniżenie z nim rozmawiała, jak gorączkowo szukała jakichś papierków, wyglądała je trzęsącymi się palcami. Jeszcze przed wejściem do mieszkania poczuł znajome łomotanie z tyłu głowy. Za chwilę znów zobaczy siostrę, jej oczy pełne nadziei i strachu, że nadzieje te nie spełnią się... Dla Saszy nic się już nie da zrobić, powinna to wreszcie zrozumieć i pogodzić się z losem. Sasza wróci za trzy lata.

Sofia Aleksandrowna dopiero co przyszła z pracy, odgrzewała sobie obiad. Przywitała brata spokojnie, bez tej radości, z jaką witała go dotychczas. Przedtem szykowała się na jego przyjazd, piekła pieróg, ubierała się odświętnie, dziś przyszedł do domu samotnej, pracującej kobiety, która codziennie wykonuje swoje obowiązki zawodowe i nie ma czasu na pierogi i przyjęcia. Przywitała się z bratem, zaproponowała mu obiad, choć nie była pewna, czy będzie mu smakować krupnik z kaszy perłowej i kartofle ze słoniną, smażone na margarynie. Obojętnie popatrzyła na prezenty, które wyciągnął z teczki. Mark pomyślał z zadowoleniem, że praca wyszła siostrze na dobre, odmieniła ją. Przedtem Sonia była tylko żoną, matką, gospodynią. Teraz zaś obowiązki zawodowe, kolektyw pracowniczy, sprawy, wykraczające poza sferę domu, pozwoliły jej oderwać się od kłopotów osobistych, rozszerzyły świat, dodały siły i wytrwałości. Mark Aleksandrowicz cieszył się ze względu na siostrę i na siebie: wizyta nie będzie tak trudna, jak się spodziewał.

W głębi duszy nie mógł jednak nie zauważyć, że nabierając nowych, w mniemaniu Marka Aleksandrowicza pozytywnych cech, Sofia Aleksandrowna utraciła coś niezwykle mu drogiego, coś z odległej przeszłości, lecz bardzo bliskiego: utraciła swoją łagodność i

serdeczność. Zniknęła gdzieś dawna i tak sympatyczna przytulność jej domu, ciepło, dbałość o porządek, jakieś miłe drobiazgi. Teraz były tu tylko niezbędne rzeczy, teraz rządził tu pośpiech: Sofia Aleksandrowna jadła kartofle z patelni, patelnia stała na metalowej podstawce, serweta miała zagięty róg. Siostra nie popadła w zaniedbanie, przeciwnie, zeszczupłała, stała się bardziej energiczna, ruchliwa i rzeczowa. Najwidoczniej dom po prostu stracił dla niej sens. Nie było w nim syna.

Opowiadała o swojej pracy w pralni. Przyjmowanie bielizny nie jest zajęciem skomplikowanym, choć oczywiście trafiają się marudni klienci, nic na to nie poradzisz, wszyscy są teraz nerwowi i roztrzęsieni. Czasem zdarzają się też kłopoty z winy pralni - zniszczą rzeczy klienta albo pogubią. Wtedy bywa dość ciężko: trzeba wyjaśniać, sprawdzać, spisywać protokół, a ludzie czekają, kolejka się denerwuje. Załatwianiem spraw spornych powinien zajmować się kierownik, żeby ona nie musiała przerywać przyjmowania bielizny, ale kierownik nie wychodzi do klientów, nigdy go nie ma, znika gdzieś na całe dni, właściwie to nawet ciekawe, gdzie... Nawet teraz była skora do żartów, zawsze miała poczucie humoru.

W ogóle nie wspominała o Saszy. Rozmawiała z bratem ot tak, z uprzejmości, żeby nie milczeć, nie patrzyła na niego, unikała jego wzroku, czuł jednak, że jest przygotowana do rozmowy na ten temat, że w końcu powie, co ma do powiedzenia. Na razie waha się, i w tym niezdecydowaniu Mark Aleksandrowicz widział dawną Sonię.

Nagle zmieniła temat:

- Aha, Mark, muszę cię uprzedzić: w małym pokoju mieszka sublokatorka, więc jeśli masz zamiar nocować, to tu, u mnie.

- Zatrzymałem się w hotelu - powiedział Mark Aleksandrowicz.

Wiedział, że udało się jej zatrzymać drugi pokój. Ona i Paweł Nikołajewicz nie są formalnie rozwiedzeni, Paweł Nikołajewicz po aresztowaniu Saszy zdołał zarezerwować sobie jego pokój jako specjalista, czasowo pracujący w terenie. Sonia wynajmuje ten pokój - Mark nie był tym zachwycony, za wynajmowanie nie wolno brać więcej niż wynosi normalny czynsz, formalnie jest to spekulacja powierzchnią mieszkaniową. Co prawda władze patrzą dziś na te rzeczy przez palce - kryzys mieszkaniowy, ludzie nie mają gdzie mieszkać, ale nie chciałby, żeby jego siostra, siostra Riazanowa, utrzymywała się z wynajmowania pokoju. Nigdy nie odmawiał jej pomocy, w każdej chwili służy siostrze sumą o wiele wyższą od tej, jaką uzyskuje za pokój.

- Czy to było naprawdę konieczne?

Nie zrozumiała go.

- Co?

- Wynajmowanie pokoju.

- Tak, potrzebuję pieniędzy.

- Ile ci płacą?

- Pięćdziesiąt rubli.

- A co to za sublokatorzy?

- Sublokatorka. Starsza kobieta...

- Jak do ciebie trafiła?

- Sąsiedzi mi ją polecili... A co? - spojrzała mu prosto w oczy. - Uważasz, że postąpiłam niesłusznie?

- Nie znasz jej... Sąsiedzi polecili... Po co ci to? Biegać do administracji, załatwiać meldunek, tłumaczyć co i dlaczego... Powtarzam: po co ci to? Proponuję ci nie pięćdziesiąt, a sto pięćdziesiąt rubli miesięcznie. Przywiozłem dla ciebie pięćset rubli. Wiesz, że mnie pieniądze nie są potrzebne.

Milczała, myślała. Potem powiedziała spokojnie:

- Nie wezmę twoich pieniędzy. Mnie samej one też nie są potrzebne, zarabiam na życie. A co do Saszy... Sasza ma ojca i matkę, oni się o niego zatroszczą.

Nie przekona jej, nie ma zresztą takiego zamiaru. Zaproponował pieniądze, skoro jednak woli wynajmować pokój, to jej sprawa, choć widzi, że mu się to nie podoba. To, co teraz powiedziała, to jeszcze nie jest ta przygotowana kwestia, no już, niech ją wygłosi, dość tej zabawy w ciuciubabkę.

- Jak Sasza? - spytał wprost.

Przez chwilę zwlekała z odpowiedzią.

- Sasza... Ostatni list był z Kańska. Jako miejsce zesłania wyznaczyli mu wieś Boguczany, ale stamtąd jeszcze nie pisał. Nie wiem, czy pojechał tam, czy poszedł piechotą? Sprawdziłam na mapie, Boguczany leżą nad Angarą, nie ma tam żadnej drogi, pewnie musiał iść pieszo... - Uśmiechnęła się nagle. - Nie wiem, jak dziś pędzą ludzi na katorgę: dawniej wozili w stołypinowskich wagonach, ale dziś? Nie mam pojęcia.

- Soniu! - powiedział Mark Aleksandrowicz z naciskiem. - Rozumiem, że jest ci ciężko. Chciałbym jednak, żebyś zdała sobie sprawę z prawdziwego stanu rzeczy. Po pierwsze, nie ma u nas katorgi. Po drugie, Sasza nie pojechał do łagru, tylko na zesłanie. Zwracałem się do najwyższych instancji. Interwencje nie pomogły. Prawo jest prawem. Sasza ma coś na sumieniu, prawdopodobnie nic wielkiego, ale ma. Czasy teraz surowe, nic się nie poradzi, zesłali go na trzy lata, będzie żyć na wsi, na wsi żyją miliony ludzi, znajdzie tam jakąś

pracę. Jest młody, trzy lata szybko miną, trzeba się z tym pogodzić, trzeba spokojnie i cierpliwie czekać, trzeba wziąć się w garść.

Uśmiechnęła się nagle, potem znów się uśmiechnęła... Dobrze znał ten uśmiech.

I powiedziała:

- Wygląda na to, że dali za mało, tylko trzy lata.

- Czy ja powiedziałem, że powinni dać więcej? Soniu, opamiętaj się! Mówmy otwarcie: w naszych czasach trzy lata zesłania to naprawdę drobiazg... Przecież rozstrzelują...

Uśmiechała się, wyglądała tak, jakby miała zamiar wybuchnąć śmiechem.

- Ach tak... Nie rozstrzelali... Za wierszyki w gazetce nie rozstrzelali, za wierszyki w gazetce dali tylko trzy lata zesłania na Syberię... serdeczne dzięki! Co to jest trzy lata, drobiazg! Przecież i Josifowi Wissarionowiczowi Stalinowi nie dawali więcej niż trzy lata zsyłki, a on przecież powstania zbrojne organizował, strajki, demonstracje, gazety podziemne wydawał, za granicę nielegalnie jeździł, i za to wszystko - trzy lata, a kiedy uciekał z zesłania, to sprowadzali go z powrotem, żeby dosiedział te swoje trzy lata. Gdyby tak Sasza uciekł, to w najlepszym razie dostałby dziesięć lat łagru... - Przeszła się uśmiechać, poważnie i surowo spojrzała bratu prosto w oczy. - Tak! Gdyby car sądził was według waszych praw, to rządziłby jeszcze przez tysiąc lat!

Mark Aleksandrowicz uderzył pięścią w stół.

- Co ty bredzisz? Kretynka! Przeszła natychmiast! Jak śmiesz tak mówić? Przy mnie! Tak, mamy dyktaturę, dyktatura - to przemoc. Ale przemoc większości nad mniejszością! Za cara mniejszość uciskała większość, dlatego car nie ośmielił się stosować tych najostrożniejszych środków, które my stosujemy w imieniu ludu i dla dobra ludu! Rewolucja musi bronić samej siebie, tylko wtedy będzie coś warta. Wielkie jest twoje nieszczęście, ale nawet ono nie daje ci prawa do wygłaszania mieszczańskich poglądów! Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz. Jeżeli powtórzysz to komuś, trafisz do łagru. Pomyśl o tym chociażby przez wzgląd na Saszę, który nie może utracić teraz matki!

Słuchała w milczeniu, końcami palców wymacywała okruszki i przygniatała je do stołu. Potem powiedziała spokojnie:

- Słuchaj, Mark... Proszę, żebyś w moim domu nigdy nie walił pięścią w stół. Nie lubię tego. Poza tym mam sąsiadów i jest mi wobec nich niezręcznie: przedtem walił na mnie pięścią w stół mąż, teraz brat... Żeby się to więcej nie powtórzyło! Jeżeli tak lubisz walić pięścią w stół, to wal u siebie w gabinecie, krzycz na swoich podwładnych. I proszę, żebyś o tym pamiętał. Łagrami też mnie nie strasz, niczego się nie boję, dość mam już tego strachu, wystarczy! Wszystkich nie zamkniecie, więzień wam zabraknie... Znikoma mniejszość...



Ładnie brzmi: “na wsi żyją miliony ludzi!” A widziałeś, jak oni żyją? Kiedyś, kiedy byłeś młody, lubiłeś śpiewać “Czy jest takie miejsce na ziemi” - pamiętasz! - “gdzie rosyjski nie jęczałby chłop...” Pamiętasz? Ładnie śpiewałeś, z sercem, byłeś dobry, użalałeś się nad dolą chłopca. Dlaczego nie żal ci go teraz? O kim wtedy śpiewałeś? “W imieniu ludu, dla dobra ludu”. A Sasza to nie lud? Taki czysty, taki jasny, tak wierzył, więc na Syberię go, nie dało się rozstrzelać, to chociaż na Syberię! Co zostało z waszych pieśni? Modlicie się do swojego Stalina...

Mark Aleksandrowicz wstał, szurnął krzesłem.

- No, droga siostró...

- Nie unos się, nie denerwuj - mówiła spokojnie - coś ci powiem, Mark; proponowałeś mi pieniądze, ale pieniędzmi nie odkupisz swojej winy. Podnieśliście miecz na niewinnych, na bezbronnych, i sami od miecza zginiecie! - pochyliła siwą głowę, popatrzyła na brata spod czoła, wyciągnęła palec. - Kiedy przyjdzie kolej na ciebie, Mark, wtedy przypomnisz sobie Saszę, pomyślisz o nim, ale będzie już za późno. Nie obroniłeś niewinnego. Ciebie też nie będzie miał kto bronić.

Zagłębiając się w tajgę etap szedł już czwarty dzień. Na przedzie wóz, z tyłu wiejski konwojent - senny chłopak na koniu, ze strzelbą myśliwską na plecach.

Eskortowanie zesłańców - to obowiązkowe świadczenie na rzecz władzy, chłopci wykonują je kolejno, konwojent zmienia się w każdej wsi. Do powinności syberyjskiego chłopca zawsze należała i ta: robił to i ojciec, i dziadek, i pradziadek młodego jeźdźca, a jego prapradziadka pędzono na zesłanie w identyczny sposób.

Konwojowanie to czysta formalność, partię przyjmuje się i wysyła bez żadnego liczenia czy spisywania. Prawdziwym strażnikiem jest tajga, w tajdze się nie ukryjesz, tu na trzydzieści wiorst wyczują obcego. Najlepsza gwarancja - to niemożność nielegalnego bytowania w czasach, gdy wszyscy są bezustannie kontrolowani i sprawdzani.

Sporadyczne ucieczki zdarzają się tylko z miejsca zesłania, a i to jedynie wtedy, gdy zesłaniec zateśkni za wolnością i na oślep ucieknie, nie myśląc, co go czeka. Ucieknie na wiosnę, kiedy jej zapachy, takie same pod wszystkimi szerokościami, napełniają serce niepohamowaną tęsknotą za rodzinnymi stronami, albo wczesną jesienią, kiedy nie do zniesienia staje się myśl o długich miesiącach nieskończonej syberyjskiej zimy. Bywa, że i zimą ucieknie, na miesiąc przed zakończeniem wyroku: myślami jest już w domu, nie ma siły czekać, i przerażeniem napawa go chwila, gdy człowiek przychodzi po zwolnienie, a zamiast zwolnienia dostaje nowy wyrok. A na wiosnę znajdują takich zimowych zbiegów pod tającym śniegiem, dlatego też nazywają ich "przebiśniegami".

A z etapu nie uciekają. Dopiero co wyszli z więzienia, z łagru, z dusznego wagonu, idą sobie swobodnie, rzeczy leżą na wozie, ukradkiem ich stamtąd nie zabierzesz. A dokument jest jeden na całą partię, uciekniesz - wszystkich wkopiesz, wszystkich ukarzą, oskarżą o współudział. Jak chcesz uciekać, to uciekaj dopiero z miejsca zesłania, bądź człowiekiem.

W kotlinach tajał już ostatni śnieg, z góry przebijały się promienie słońca, na ścieżce jednak było mrocznie i wilgotno. Powalone pnie, połamane gałęzie, uschłe drzewa pokryte kosmatym szarym mchem, spróchniałe kłody, żadnych krzaczków, żadnych kwiatków, tylko gdzieniegdzie pozołkła zeszłoroczna trawa, i wszędzie ślady pogorzeliska, jak gdyby szalał tu niepowstrzymany leśny pożar. Las bez końca, posepny, monotony, modrzew, modrzew, z rzadka sosna, cedr, jodła, jeszcze rzadziej brzoza lub osika. Jedynie w koronach wysokich drzew można było domyślać się jakiegoś życia: szumiał tam wietrzyk, nawoływały się sikorki, z drzewa na drzewo przeskakiwały wiewiórki, szeleściły szyszkami. Z przodu też był tylko taki sam nieprzebyty las, pasma gór i wzgórz.

W pobliżu Kańska wsie leżały gęsto, z każdej wyprawiano ich jak najszybciej w dalszą drogę, byle tylko nie nocowali. Przychodzili na nocleg późnym wieczorem, wyruszali wczesnym rankiem. Klął gospodarz, łomocząc zasuwą, płakało obudzone dziecko, zlorzeczyła gospodyni, rzucając na podłogę jakieś szmaty, czasem w ogóle nic nie rzucała - a śpijcie sobie, jak chcecie! Na podłodze dokuczało zimno, spać nie dawał rżący kaszel Karcewa i tęskne westchnienia Iwaszkina, myślącego o żonie i dzieciach. W tajdze wsi było jednak niewiele, przejście od jednej do drugiej trwało cały dzień. Do pierwszej leśnej osady dotarli jeszcze za dnia, i wreszcie się wyspali.

Wołodę konwojenci rozwiązali, gdy tylko partia oddaliła się od Kańska.

- No, teraz idź.

Rozprostował zdrewniałe mięśnie i poszedł, maszerował lekko, nie męczył się, nie skarżył, spojrzenie miał gniewne i nieprzejednane. Kierował się zasadami, wyniesionymi z łagru: byle drobiazg może kosztować życie, trzeba stale mieć się na baczności, błyskawicznie podejmować decyzje, nikomu w niczym nie ustępować, nikogo się nie bać, przeciwnie, zmuszać innych do strachu. Pobłażliwie odnosił się do Borysa, Saszy i Iwaszkina - "przypadkowych ofiar stalinowskiego reżimu", nie tolerował natomiast Karcewa - "kapitulanta", nie rozmawiał z nim i w ogóle traktował go jak powietrze. Saszę zdumiewało, że można być zdolnym do ignorowania człowieka, z którym dzieli się trudy marszu, wspólnie je i śpi.

Wołodia Kwaczadze szedł na przędzie. Chory, z trudem łapiąc oddech Karcew włókł się z tyłu, często przystawał. Zatrzymywała się też cała partia. Wołodia stał, nie odwracając nawet głowy, zły, że znów trzeba czekać. Fizyczną słabość Karcewa uważał za słabość charakteru, w niej też widział przyczynę kapitulancja tamtego. Tych zaś, którzy szli obok Karcewa i pomagali mu w trudnym marszu, traktował jako szpiegów z obozu wroga.

Saszy podobała się odwaga Wołodi, stanowczość, z jaką stawiał opór władzom, jego godność. Wołodia nie tolerował jednak odmiennego sposobu myślenia, tę wadę Sasza dostrzegał również i u siebie. Pierwszego dnia powiedział:

- Wołodia, żeby wszystko było jasne. Popieram linię partii. Niech każdy zachowa swoje poglądy dla siebie. Jałowe spory nie są nam potrzebne.

- Tym bardziej że nie mam ochoty na dyskusję ze stalinowskimi cmokierami - wyniośle odparł Wołodia. - Ale nie myślcie sobie, że skoro zapędziliście mnie aż tutaj, to zamkniecie mi usta.

Sasza uśmiechnął się.

- Wołodia, ja tu pana nie zapędzałem, mnie samego zapędzili.

- Nie poznał swój swego. Ręce wykrecalby pan nie gorzej od tamtych z Kańska.

- Wyobrażam sobie, co robiliby z nami wasi, gdyby dorwali się do władzy - powiedział Sasza.

- Pan i przy naszej władzy podnosiłby ręce do góry - pogardliwie zauważył Kwaczadze.

- Nie trzeba się klócić, chłopcy - wtrącił Borys. - Wieczny problem politycznych - klótnie... a kryminaliści trzymają ze sobą sztamę, administracja ich nie rusza.

- Kryminalni to hołota! - powiedział Wołodia. - Bydło, oprawcy, sprzedadzą każdego za miskę zarcia. To główna podpora administracji, jej pomocnicy. Zamordował żonę - osiem lat, a i to skrócą o połowę za dobre sprawowanie. A wyniósł z fabryki parę podeszew - dziesięć lat!

Wchodzili w coraz bardziej głuche ostępy. Otaczały ich wciąż takie same porośnięte gęstą dziewiczą tajgą wzgórze, płaskowyż, wąwozy i sopki, ptasi rejwach w koronach drzew, mrok i wilgoć na ścieżce. Raz w brzeźniaku mignął rosły długonogi łoś i zniknął, z trzaskiem łamiąc gałęzie.

Rano przygrzewało słońce. Wprawdzie jego promienie nie docierały do ścieżki, ale szło się jakoś lżej i weselej.

W południe zatrzymali się koło zimowiska, maleńkiej leśnej chatki o ciemnych i okopconych ścianach, pozbawionej sufitu, okien i pieca, z udeptanym i przepalonym klepiskiem zamiast podłogi - w zimie rozpała się tu ognisko, dym ulatuje przez otwór w dachu. W kącie leżała wiązka suchych gałęzi - każdy odchodzący zostawia zapas drewna człowiekowi, który przyjdzie tu po nim, człowiek ten może przecież przyjść w mróz, śnieg, zamieć, wtedy nie znajdzie suchego chrustu, nie rozpali ognia, i zamarznie na udeptanym klepisku. Dobry człowiek nie tylko zostawi chrust, ale i schowa w suchym miejscu pudełko zapalek.

Rozpalili ognisko, przynieśli wody ze źródła, ugotowali kaszy, zaparzyli herbatę.

Kaszę zdobył wczoraj Borys w wiejskim sklepie. Znajomy sprzedawca otworzył sklep w nocy, oprócz kaszy dał jeszcze paczkę tytoniu i skombinował butelkę samogonu, który zresztą od razu wypili.

Świadomość, że znają go nawet tu, w tajdze, w takiej zapadłej dziurze, że bez niego chłopaki zginęliby marnie, od razu wprawiła Borysa w normalny stan aktywnego działania, umocniła go w przekonaniu, że i w Boguczanych nie będzie takim nic nie znaczącym człowiekiem.

Rozliczał się za noclegi, za kolacje, płacił za wszystkich, chłopaki nie mają pieniędzy, ma je tylko Sasza, ale nie wiadomo, czy znajdzie jakąś pracę. On, Borys, ma w Boguczanych

zapewnioną posadę. Sprawiał zresztą wrażenie kierownika: frencz z wykładanym kołnierzem, spodnie, wpuszczone w solidne buty, płaszcz przeciwdeszczowy, kaszki w kolorze ochronnym. I łagodny, władczy głos naczelnika, z tych wykształconych, z którymi trudno się spierać, i tak cię przegadają, lepiej od razu wykonać polecenie.

Również i teraz dyrygował wszystkim, jednego posłał po wodę, drugiego po chrust, w lesie można już znaleźć suche gałęzie, postanowili więc nie naruszać zapasów, znajdujących się w chatce. Tylko Karcewa zostawił w spokoju. Karcew usiadł na pniaku, zamknął oczy, podstawił pod promień słońca swoją bladą, naznaczoną cierpieniem twarz.

Ten sam sprzedawca załatwił, że poza kolejnością konwojował partię dobry, usłużny i zręczny chłopak - na postoju nastrugał brzoźowych łyżek. Przeważnie szedł pieszo, lekki, jasnowłosy. Sasza przez cały czas maszerował obok niego. Chłopak pozwolił mu strzelić do jarząbka, Sasza strzelił, ale nie trafił.

- Jak tak w niedźwiedzia nie wcelujesz, to kiepsko będzie - roześmiał się konwojent.

- A ty chodziłeś na niedźwiedzia?

- Chodziłem, będzie ze trzy razy. Niedźwiedzia bierzem w barłogu. Jak psy zwęszą zwierza, to rąbiemy żerdzie, zatykamy barłóg, jak niedźwiedź zaczyna się wrywać, to my strzelamy. Są tacy, co to chodzą na niego z rohatyną albo i z nożem, znaczy się po naszymu z kindzalem. Niedźwiedź - zwierz chytry, na człowieka wyskakuje, a do konia czy innej żywności, to cichaczem podchodzi.

Uśmiechnął się, gdy Sasza powiedział, że są zwierzęta silniejsze od niedźwiedzia - lew, tygrys, słoń... nie wierzył.

Z tym samym uśmiechem opowiedział, jak to rok temu na polanie, obok której właśnie przechodzili, zabito trzech zesłanych kryminalistów.

- Pędzili ich ot tak jak i was, a oni we wsi usiedli w karty grać. Nasze chłopaki zobaczyli u nich pieniądze. No i tu się zaczęli, strzelać zaczęli. Tamci wyszli akuratnie na strzał, popadali, śniegiem ich zanieśło, mróz był ostry. Nasze myślały, że zwierz ich dogryzie, sporo go tu. A jechał jak raz z rejonu pełnomocnik do skupu, psy trupów wywęchały. Zaczęli dochodzić co i jak, wysłali naszych chłopaków do Nowosybirsk. A tam ich szpana w więzieniu pozabijała.

- A dużo pieniędzy zabrali tym zabitym?

- No, dziesiątek rubli wzięli.

Później, przy ognisku, jeszcze raz rozmawiali o tej sprawie. Borysowi opowiadali o niej zesłańcy w Kańsku, Kwaczadze słyszał tę historię w łagrze. Obaj zabójcy zostali zamordowani tej samej nocy, kiedy przywieziono ich do więzienia: wieść o ich czynie

dotarła za mury wcześniej niż oni sami. Cela była liczna i solidarna, władze nie doszły, kto to zrobił.

- I dobrze, że ich wykończyli - zauważył Wołodia - bo w przeciwnym razie dostaliby najwyżej po pięć lat, a wyszliby po roku, myślałby kto - zesłańców zabili! A tak miejscowi będą wiedzieć, że więzienie ma telegraf lepszy od państwowego. Państwo nas nie broni, więc będziemy bronić się sami. Nie ma innego wyjścia.

- Wołodia - powiedział Sasza - sam pan przecież mówił, że kryminaliści to nie ludzie. Jakże więc można pozwalać, żeby sami wymierzali sądy?

- Katorga rządzi się swoimi prawami, pochodzi pan w tej skórze, to sam pan zrozumie - zbył go Wołodia. - Inteligenckie skrupuły!

- Po co napadać na inteligencję? Ona też jest coś niecoś warta - powiedział Sasza.

Wołodia podniósł palec.

- Poszczególne jednostki.

- Przecież pan też jest inteligentem.

- A dlaczego pan uważa, że to dla mnie powód do dumy?

- Pierwszym inteligentem - oznajmił Sasza - był człowiek, który wynalazł ogień. Współcześni oczywiście zabili go. Jeden oparzył sobie palec, drugi piętę, trzeci zabijał ot tak sobie, bez powodu - a masz, nie wychylaj się! To zasada, znana już w epoce kamiennej - nie wychylać się.

- Saszy należy się pierwsza nagroda za logikę - powiedział Borys. - Wołodia, zgadza się pan, żeby dać Saszy pierwszą nagrodę?

- Jak pan ją ma, to niech pan da - odpowiedział Wołodia.

Wszyscy byli nastawieni pokojowo. Słońce chowało się za korony drzew, oni jednak wciąż czuli jego ciepło, szli rozebrani, płaszcze i czapki rzucili na wóz. Prowadzi ich usłużny wiejski chłopak, daje postrzelać ze strzelby, to wcale nie konwojent, a ich marsz wcale nie przypomina etapu. Po raz pierwszy jedli nie przy cudzym stole, a w lesie, przy ognisku. Trzask sosnowych gałązek, ich żywiczny zapach, zapach przypalanej kaszy, sosnowe igły w herbacie, wszystko to przypomina czasy dzieciństwa, w końcu nie tak dawno siedzieli przy ognisku na obozach pionierskich.

Karcew wystawił bladą twarz ku słońcu, odwracał głowę w tę stronę, w którą przesuwiał się jego wąski i mglisty promień.

Iwaszkin przytakiwał i Wołodi, i Saszy, lubił inteligentne rozmowy. Swój zawód też uważał za inteligentny, szczególnie. Pospieszysz się - i już błąd, i już pędzą cię na Syberię, choć to nie ty składałeś te czcionki. W tekście przemówienia towarzysza Stalina zamiast

“zdemaskować” złożyli “zamaskować”. Zamknięto sześciu. Iwaszkin zostawił w domu żonę i trzy córeczki.

Konwojent też słuchał ich rozmowy, uśmiechał się. Kaszy zjadł tylko trochę, żeby nie objadać innych.

Woźnica był ponury, nie chciał kaszy, nie chciał herbaty, przegryzł coś na wozie i przysnął, czekając, aż jego koń poskubie sobie trawy i odpocznie. Potem zaprzął go. Rozleniwieni ciepłem ogniska zesłańcy niechętnie podnieśli się z miejsc. Partia ruszyła.

Przeszli może pięć kilometrów, gdy nagły wiatr targnął wierzchołkami drzew, ściemniało się gwałtownie, zamieć sypnęła gęstym śniegiem.

Przyspieszył woźnica, przyspieszył też konwojent, chcieli zdążyć dojść do Czuny jeszcze przed zmrokiem. Śnieg przestał sypać równie nieoczekiwanie jak zaczął, pokrył tylko krzaki białymi czapami i ostatecznie rozmiękczył i bez tego kiepską drogę. Wszyscy popychali wóz. Nadal utrzymywali szybkie tempo.

Nie nadążał jedynie Karcew, z trudem chwycił powietrze, zatrzymywał się i kaszłał, oparty o pień drzewa.

- Karcew, siadaj na wóz - powiedział Sasza.

Woźnica nie pozwolił.

- Nie najmowałem się, żeby ludzi wozić, koń nie uciągnie, drogi nie ma.

- Sumienia w tobie nie ma - powiedział Iwaszkin.

Sasza złapał konia za uzdę.

- Stop! Karcew, wsiadaj!

- Nie rusz, swołocz! - wrzasnął woźnica. - Zawrócę nazad, dadzą wam się buntować!

- Ojczulku, nie będziemy się kłócić - władczym tonem rzucił Borys, podsadzając Karcewa na wóz.

Trzeba było zdjąć z wozu dwie walizki, te najlżejsze. Konwojent przytroczył je do siodła. Tylko Wołodia Kwaczadze nie odezwał się ani słowem, czekał obojętnie, aż skończy się to całe zamieszanie. Nie stanie w obronie “kapitulanta”, nawet jeśli tamten zacznie zdychać.

Przez Czunę przeprawili się na krypie. Nie mogła przybić do samego brzegu, doszli więc wpław, przenieśli rzeczy, przeciągnęli wóz. Przemokli przy tym do suchej nitki.

Wieś była duża, ale zabiedzona, z wałącymi się poczerniałymi chatami i zrujnowanymi obejściami. Trafili na jakąś zabawę, w chatach paliły się już światła, zewsząd słychać było pijackie wrzaski i śpiewy, na ulicy zataczali się chłopci, mieszkańcy tajgi, drwale, różnego wzrostu i koloru włosów, niepodobni do roślących jasnowłosych Sybiraków ze strefy

stepowej. Na drewnianych balach siedziała młodzież, chłopaki i dziewczyny, śmiali się, przywitali konwojenta, krzyknęli, że dziś odpust. Konwojent ożywił się natychmiast i pobiegł szukać komendanta, żeby jak najszybciej zdać partię.

Gdy czekali na miejscową władzę, podeszli do nich tutejsi zesłańcy: postawny mężczyzna o bujnej czuprynie, dobrze znany Saszy z Piątego Domu Rad typ działacza państwowego, i szczupła rudowłosa kobieta o surowej i zmęczonej twarzy. Przybył pierwszy po wiosennych roztopach etap, i pragnęli dowiedzieć się, czy wśród nowych zesłańców nie ma swoich.

- Witajcie, towarzysze!

Wzrok kobiety zatrzymał się na Kwaczadze, w jego spojrzeniu wyczytała wspólnotę przekonań. Wołodia wymienił swoje nazwisko, znali je, ich nazwiska były znane jemu. Objęli się, pocałowali, z pozostałymi przybyszami nie zawierali już znajomości. Mężczyzna uśmiechnął się wprawdzie niby życzliwie, ale nikomu nie podał ręki - mógłby podać ją komuś, komu nie należy, albo komuś, kto nie chciałby podać mu swojej. Kobieta nawet się nie uśmiechnęła.

Zabrali Wołodię ze sobą. Szedł między nimi wysoki, gibki, w czarnym waciaku, z workiem na ramieniu, odpowiadał na pytania nowych przyjaciół, widać było, że pytań mają dużo - poczta nie dochodziła już od dwóch miesięcy.

- Adieu! - rzucił za nimi dotknięty Borys. Wołodia złamał solidarność o wiele ważniejszą niż solidarność polityczna.

Przybiegł mordziasty, zaaferowany, żujący coś i mocno pijany chłopak, wytrzeszczył oczy.

- Którne tu zesłane? O te? A wy coś taki czarny, pewnie nie Ruski was zrobił! No, chodźta!

Zaprowadził ich do opuszczonej chaty na skraju wsi, piec był rozwalony, a oni musieli ogrzać się, wysuszyć ubrania, położyć w ciepłe chorego Karcewa. Zanim jednak zdążyli rozejrzeć się po tej dawno porzuconej przez ludzi ruderze, mordziasty przewodnik zniknął bez śladu. Odjechał też woźnica, zwaliwszy na ziemię ich dobytek.

- Przyciśniemy miejscowe władze - powiedział Borys. - Iwaszkin, idziemy.

- Dokąd? We wsi zabawa.

- Ja będę mówić, pan pomoże przynieść żarcie - uspokoił go Borys.

Wyszli. Sasza wyjął z walizki czystą zmianę bielizny, wełniane skarpetki, koszulę, i podał je Karcewowi.

- Niech się pan przebierze.



Przeraziło go wyniszczenie Karcewa. Skóra napięta na żebrach, wystające kolana, nogi pozbawione mięśni, długie, bezsilnie zwisające ramiona, łopatki, sterczące jak kikuty odrąbanych skrzydeł.

- Drogo pana kosztowała ta głodówka - zauważył Sasza.

- Karmili sondą, przymusowo - Karcew niezdarnie wkładał koszulę i kalessony - potem przenieśli na normę szpitalną, odkarmiali mlekiem. Podcinałem sobie żyły, straciłem dużo krwi.

Oczy błyszczały mu gorączkowo, na twarzy pojawiły się czerwone plamy, pewnie ma wysoką temperaturę, ale skąd wziąć termometr, zresztą po co mierzyć, jutro i tak trzeba ruszać w dalszą drogę. Karcew przebrał się wreszcie, okutał we flanelowy koc Saszy, usiadł na ławce, oparł się o ścianę i zamknął oczy.

- Dlaczego podciął pan sobie żyły? - spytał Sasza.

Karcew nie odpowiedział, nie dosłyszał pytania, może zapadł w drzemkę.

Sasza obejrzał piec. Przy palenisku i popielniku sterczały resztki drutu, ktoś wyrwał ruszt. Sasza chciał napalić, ale rozmyślił się: może Borys mimo wszystko wykombinuje jakieś inne lokum.

Borys i Iwaszkin przynieśli bochenek chleba i brzozowy skopek ze śmietaną, nic innego nie dostali. Nie załatwili też lepszego noclegu - cała wieś pijana, nie ma z kim rozmawiać, nikt nie chce wpuścić na noc do chałupy.

Iwaszkin znalazł na dworze szczapę, próbował zrobić z niej łuczywo, ale nie paliło się, namarnowali tylko zapalek.

Po ciemku zjedli chleb i śmietanę.

- Lepsza zimna kolacja niż żadna kolacja - stwierdził sentencjonalnie Borys.

Karcew nic nie jadł, chciał tylko pić. Wody jednak nie mieli.

- Pójdę do przyjaciół Wołodi, niech przenocują Karcewa - powiedział Sasza.

Borys pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Nie wezmą go. Zresztą, można spróbować. Pójdę z panem.

- Po co?

- Wieś jest kompletnie pijana, a tamci na balach mogą być agresywni.

Na ulicy było jaśniej niż w chałupie, krągły księżyc wisiał na bezchmurnym niebie. Rozbawione towarzystwo nadal siedziało na balach. Jeden z chłopaków, zapewne miejscowy wesolek i zabijaka, opowiadał coś zabawnego, wymachiwał rękami, pozostali odpowiadali wybuchami śmiechu. Na widok Saszy i Borysa zawołał:

- E, ty, gnany - zapomniany, cho no tu!

- Niech pan nie zwraca uwagi - rzucił Borys półgłosem.

- Dlaczego? - Sasza podszedł do bali. - O co chodzi?

- Czegój po ulicy łazita? dziewczuch szukata? A guza to nie?

Z miejscowymi siedział młodziutki konwojent, uśmiechał się w milczeniu. Było jednak jasne, że gdy tamci zaczną ich bić, to będzie przyglądać się temu z takim samym uśmiechem.

Sasza odwrócił się do Borysa i powiedział:

- Ma rację. Proszę spojrzeć, jakie tu ładne dziewczyny.

- Ładne, ale nie dla was! - krzyknął chłopak.

- A co, tylko dla ciebie? - uśmiechnął się Sasza. - Dasz radę?

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

- E no, ty! - poderwał się chłopak - tegój ci...

- Tegój, cegój - przedrzeźnił go Sasza - o żeż ty w...

I puścił taką wiązaną, że pozazdrościłby mu każdy ładowacz z brygady, z którą pracował przy noszeniu farby.

Potem poszedł dalej.

- Nie trzeba zaczepiać ludzi, chłopcy, trzeba zachowywać się poważniej - rzucił Borys pouczającym tonem i ruszył za Saszą.

Po chwili powiedział:

- O ile pana tu nie zamordują, to będzie pan długo żyć. Ma pan dar przekonywania.

Drzwi chaty nie były zamknięte. Wołodia, mężczyzna i kobieta siedzieli przy stole.

- To Pankratow i Sołowiejczyk - powiedział Wołodia. - Mówiłem wam o nich.

Mówił widocznie coś dobrego, bo mężczyzna uśmiechnął się.

- Siadajcie, towarzysze, napijcie się z nami herbaty.

- Dziękujemy.

Sasza nie usiadł, zwrócił się do Wołodi:

- Co zrobimy z Karcewem?

- A co ja mam z nim zrobić?

- Widzę, że masz zamiar tu nocować. Może byś odstąpił mu swoje miejsce?

Zamiast Wołodi odpowiedział mężczyzna:

- Do pewnego stopnia to ja decyduję, kto będzie u mnie nocować.

- To może wie pan, u kogo można by załatwić nocleg? - spytał Borys.

- Tu nikt nie bierze obcych. A zwłaszcza chorych.

Kobieta zwróciła się do Wołodi:

- Kiedy ostatni raz widział pan Iljina?

Już na ulicy Sasza powiedział z goryczą:

- A mówił pan, że mam dar przekonywania.

- Mój drogi - odparł Borys - tu wchodzi w grę namiętność polityczne, a na nie nie ma sposobu.

Pod koniec dnia Poskriebyszew położył na biurku Stalina przeczytany przez członków Biura Politycznego list w sprawie artykułu Engelsa. Wszyscy zgodzili się z opinią, że artykułu nie należy publikować. Propozycję zmian w redakcji "Bolszewika" też zatwierdzono jednogłośnie.

Stalin nie wątpił, że projekty obu decyzji przejdą: posunięcie ze Steckim było posunięciem właściwym, Stecki to człowiek Bucharina, a Bucharina oni trzymają w rezerwie. Z Bucharina na razie nie zrezygnują, tak jak w zeszłym roku nie chcieli zrezygnować ze Smirnowa, Tołmaczewa i Ejsmonta, a dwa lata temu z Riutina.

Tak czy owak wszyscy przeciwnicy - dawni, obecni i przyszli - muszą być i będą zlikwidowani. Jedyne na świecie państwo socjalistyczne może przetrwać wyłącznie przy zachowaniu niewzruszonej stabilności wewnętrznej, to gwarancja jego trwałości zewnętrznej. Państwo powinno być potężne na wypadek wojny, państwo powinno być potężne, jeśli chce pokoju, państwo powinno wzbudzać strach.

Aby w możliwie najkrótszym czasie przekształcić kraj rolniczy w kraj przemysłowy, potrzebne są niezliczone ofiary, zarówno materialne, jak i ludzkie. Naród musi się z tym pogodzić. Sam entuzjazm jednak nie wystarczy. Naród trzeba zmusić do poświęceń. Może tego dokonać jedynie silna władza, która zdoła zaszczepić w narodzie strach. Strach ten należy podtrzymywać wszystkimi możliwymi sposobami, teoria nieustającej walki klasowej świetnie się do tego nadaje. Jeżeli nawet zginie przy tym parę milionów ludzi, to historia i tak wybaczy to towarzyszowi Stalinowi. Jeżeli natomiast pozostawi państwo bezbronnym, skaże je na zagładę, to historia nigdy mu tego nie wybaczy. Wielki cel wymaga wielkiej energii, zaś zmusić zacofany naród do wykrzesania z siebie wielkiej energii może jedynie wielkie okrucieństwo. Wszyscy wielcy władcy byli okrutni. Kamieniew, obecny dyrektor wydawnictwa "Akademia", nieprzypadkowo wydał Machiavellego. To dla Niego wydał, to Jemu chce pokazać, że metody, które On stosuje, znane były już w piętnastym i szesnastym wieku. Myli się on, ten Kamieniew. Rady i wskazówki Machiavellego są przestarzałe. Nie wiadomo zresztą, czy w ogóle były do czegoś przydatne już wtedy, w piętnastym wieku. Błyskotliwe, ale powierzchowne, schematyczne, dalekie od dialektyki. "Władza, oparta na miłości ludu do dyktatora jest władzą słabą, gdyż zależy od ludu, władza oparta na strachu ludu przed dyktatorem jest władzą silną, gdyż zależy jedynie od samego dyktatora". To stwierdzenie zawiera w sobie tylko część prawdy: władza oparta wyłącznie na miłości ludu jest słaba, to fakt. Jednakże władza oparta wyłącznie na strachu też jest władzą dość

chwiejną. Trwała i stabilna władza opiera się i na strachu przed dyktatorem, i na miłości do niego. Wielki władca to ten, który poprzez strach wpaja ludowi miłość do siebie. Taką miłość, gdy wszystkie okrucieństwa jego rządów lud i historia przypisuje nie jemu, lecz wykonawcom.

Wysłanie Trockiego za granicę było aktem humanitarnym, a więc w konsekwencji błędnym: Trocki przebywa na wolności i działa. Nie, Zinowiewa i Kamieniewa on nie wypuści za granicę, legną jako pierwsze kamienie w bastionie strachu, który trzeba wznieść, by obronić kraj i naród. Potem przyjdzie kolej na ich sojuszników. Bucharin jest ich sojusznikiem, kontaktował się z Kamieniewem, prowadził z nim potajemne rozmowy, mówił, że chętniej widziałby w Biurze Politycznym Zinowiewa i Kamieniewa niż Stalina. Sam wybrał sobie sojuszników, a więc podzieli ich los.

W polityce nie ma miejsca na litość. Jeżeli on kogoś żałuje, to tylko jednego człowieka - Kamieniewa. Żałuje w tym sensie, że Kamieniew nie jest po jego stronie, lecz po stronie Zinowiewa. "Miękki" człowiek, łagodny, ustępliwy, poza tym z Tyflisu, w Tyflisie ukończył gimnazjum, w Tyflisie spędził wiele lat. Ma w sobie coś i z żydowskiego, i z gruzińskiego inteligenta - jakąś życzliwość, delikatność, serdeczność, trochę cynizmu, ale cynizmu dobrodusznego. Jest wykształcony, orientuje się w sytuacji politycznej, potrafi jasno i precyzyjnie formułować myśli, słusznie cenił go za to Lenin. Nie ma w nim próżności, chęci przewodzenia, to tradycyjnie drugi człowiek. Taki był przy Leninie, mógłby też przy towarzyszu Stalinie. Nie zechciał! zamiast niego wybrał tego gadułę Griszkę! A przecież kiedyś dobrze im się współpracowało, rozumieli się nawzajem. To właśnie Kamieniew wysunął jego, Stalina, kandydaturę na stanowisko sekretarza generalnego partii. Wysunął jednak tylko po to, by wykorzystać go przeciwko Trockiemu, tak sobie to wymyślili razem z Zinowiewem - aparat partyjny jako kij na Trockiego, przywykli wyciągać kasztany z ognia cudzymi rękami. Nie pomyśleli jednak o jednej rzeczy: aparat partyjny to nie kij, aparat partyjny to siła napędowa władzy. Powierzając tę siłę Jemu, oddali w jego ręce pełnię władzy. Jego geniusz polega właśnie na tym, że tylko on jeden to zrozumiał. Lenin, co prawda, też zrozumiał, ale nie od razu, dopiero po roku - za późno zrozumiał! Lecz nawet wtedy, gdy Lenin zażądał zdjęcia go ze stanowiska sekretarza generalnego, nawet wtedy Kamieniew nie zdawał sobie z niczego sprawy i zaproponował zjazdowi, by nie brać pod uwagę listu Lenina. Zorientował się dopiero po śmierci Lenina, kiedy wyszło na jaw, że od leninowskiej schedy został odsunięty nie tylko Trocki, ale także i Kamieniew razem z Zinowiewem. To była ostatnia chwila, by dokonać prawidłowego wyboru politycznego, by wraz z całą partią pójść za towarzyszem Stalinem. Poszedł za tą miernotą Griszką.

Dlaczego? Wierzył w wielkie talenty Griszki? Bzdura! Kamieniew przeliczył się w swoich rachubach dlatego, że tak naprawdę nigdy go nie rozumiał, nie rozumiał, że tak zwany prymitywizm, tak zwana przeciętność towarzysza Stalina to w istocie prostota wodza, który nie tylko wykłada w Akademii Komunistycznej, ale przede wszystkim rozmawia z masami, wie dzie masy za sobą.

Żydzi nigdy nie rozumieli pojęcia wodza. Żydzi nigdy nie umieli podporządkować się naprawdę, tak ukształtowała ich historia, na tym polega tragedia tej nacji. Wszystkie narody podporządkowały się Rzymowi i dzięki temu przetrwały jako narody. Nie podporządkowali się jedynie Żydzi. We wszystkich religiach Bóg wciela się w człowieka: Chrystus, Mahomet, Budda... Tylko u Żydów nie było wodza o cechach boskich, tylko judaizm odrzuca koncepcję Boga, ucieleśnionego w człowieku. Żydzi nie uznają żadnych absolutnych autorytetów, dlatego też nie zdołali zachować swej państwowości - najwyższa władza państwowa powinna ucieleśniać się w najwyższym wodzu. Żydzi roztrwonili swoją historię w sporach, demokracja oznacza dla nich możliwość toczenia sporów, zawsze muszą przeciwstawiać swoje własne zdanie poglądom większości.

Zdarzają się oczywiście Żydzi zdolni do uznania wodza i służenia mu, taki Kaganowicz na przykład. To właśnie Kaganowicz jako pierwszy, jeszcze w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku, występując w Instytucie Czerwonej Profesury nazwał go wodzem... Kamieniew wołał jednak powierzchowną erudycję i gładkie frazesy tamtych. Przeliczył się. Erudycja i elokwencja to zbyt mało jak na wodza. Gdzież się podzieli ci wszyscy przedrewolucyjni "wodzowie" z inteligentów i "literatów"? Ci Łunaczarscy, Pokrowscy, Rożkowowie, Goldenbergowie, Bogdanowowie, Krasinowie? A Noginowie, Łomowowie, Rykowowie? Nie ma ich, nic po nich nie zostało! Tak, Trocki miał pewne cechy wodza, ale zbyt wysokie mniemanie o własnych możliwościach intelektualnych czyniło go nieznośnym dla kadr partyjnych. Na każdym kroku podkreślał swoją wyższość umysłową, a ludzie nie lubią, gdy uważa się ich za głupców. Ludzie uznają czyjąś wyższość umysłową, gdy łączy się ona z wyższością sprawowanej władzy. Wyższość umysłowa jest dla nich do przyjęcia tylko w osobie władcy, wtedy uważają, że podporządkowują się mądrymu władcy, to ich nie poniża, wprost przeciwnie, podnosi we własnych oczach, usprawiedliwia to bezwzględne podporządkowanie się, ludzie znajdują pociechę w myśli, że podporządkowują się rozumowi, a nie sile. Jeżeli wódz nie zdobył jeszcze niepodzielnej władzy, to powinien umieć przekonywać ludzi, wpajać ludziom przekonanie, że są jego dobrowolnymi sojusznikami, gdyż właśnie on i tylko on wyraził i sformułował ich własne myśli. Trocki tego nie rozumiał, tak jak nie rozumiał znaczenia aparatu. Uważając się za

wodza sądził, że może porwać masy wyłącznie swoim krasomówstwem, swoim intelektem. Nie! Piękne słówka to za mało, żeby porwać masy, potrzebny jest jeszcze instrument, instrument ten - to aparat. "Dajcie nam organizację rewolucjonistów, a przewrócimy Rosję!" - tego najważniejszego leninowskiego założenia Trocki nigdy nie rozumiał. To właśnie był ten jego "niebolszewizm", o którym pisał Lenin w swoim "testamencie".

A może Lenin na serio myślał o kolektywnym kierownictwie? E, nie! Lenin rozumiał przecież znaczenie wodza. "Radziecki centralizm socjalistyczny nie pozostaje w sprzeczności z jedynowładztwem i dyktaturą... bywa, że wolę klasy realizuje dyktator, który niekiedy może więcej zdziałać sam, i często jest bardziej niezbędny..." I jeszcze: "Przeciwstawianie dyktatury mas dyktaturze wodzów w ogóle to śmiechu warta bzdura i niedorzeczność..." Tak, Lenin rozumiał to, ale zamierzał rządzić Rosją metodami europejskimi, a w nim, w Stalinie, widział Azjatę.

Lenin doceniał znaczenie aparatu. Pragnął jednak umocnienia aparatu państwowego, na którym sam się opierał jako głowa państwa i rządu, nie chciał natomiast umocnienia aparatu partyjnego, na którym opierał się towarzysz Stalin. Właśnie dlatego zaproponował wtedy zdjęcie go ze stanowiska sekretarza generalnego. Zapewne gdzieś tam w dalszej perspektywie oprócz NEP-u przewidywał jakieś jeszcze głębsze zmiany, gdyż orientacja na farmerstwo oznacza, że przyszły farmer zacznie kiedyś domagać się swoich praw. Za bardziej odpowiednich do takich manewrów Lenin uważał Trockiego, Zinowiewa, Kamieniewa, Bucharina, nawet Piatakowa, natomiast za całkiem nieodpowiedniego uważał Jego, towarzysza Stalina. W towarzysz Stalinie widział głównego "aparaczyka", a umocnienia aparatu obawiał się. I słusznie. Aparat ma tendencję do kostnienia, aparat, zastygły w sieci długotrwałych i wieloletnich układów zamiast siłą napędową staje się hamulcem, staje się mumią. Administracja w olbrzymim, zacofanym, rolniczym i wielonarodowym państwie potrzebna jest do utrzymania zdobyczy rewolucji, kryje jednak w sobie niebezpieczeństwo i dla samej rewolucji - władza zbiurokratyzowanej administracji staje się wszechogarniająca, potężna i niekontrolowana. Lenin słusznie się tego obawiał i dlatego twierdził, że "przejeliśmy po carskiej Rosji to, co było w niej najgorsze, biurokratyzm i obłomowszczyznę, dosłownie dusimy się od tego". To prawda. Nie znaczy to jednak, że aparat ten należy zniszczyć, że trzeba stworzyć równowagę polityczną. Równowaga polityczna to koniec dyktatury proletariatu. Aparat trzeba zachować, aparat trzeba umacniać, ale tak, by już w zarodku likwidować jego samodzielność, bezustannie wymieniać ludzi, nie pozwalać na okrzepnięcie wzajemnych powiązań, stale zmieniany aparat nie ma samodzielnej siły politycznej, ale pozostaje potężnym narzędziem w rękach

wodza, w rękach wszechmocnego władcy. Aparat ten jako narzędzie władzy powinien wpajać narodowi strach, lecz przed wodzem sam powinien dygotać, drzeć.

Czy On dysponuje takim aparatem? Nie, nie dysponuje. Już dawno chciał zmienić skład KC, ale nie zdołał tego dokonać nawet na siedemnastym, jego tryumfalnym zjeździe. Nie było, wyobraźcie sobie, podstaw do odwołania niektórych, trzeba było zostawić w KC tych, którzy dawno powinni się stamtąd wynieść, działała ich zmowa, ich zwartość, ich wzajemne powiązania, On nie mógł tego przełamać. Dość! Ten aparat odsłużył już swoje i w takiej postaci nie jest mu więcej potrzebny, on potrzebuje innego aparatu, aparatu, który nie dyskutuje, aparatu, dla którego najwyższym prawem jest Jego wola. Obecny aparat to już rupieć, zużyty chłam. Równocześnie jednak te stare kadry są najbardziej zwarte, najsilniej powiązane ze sobą, nie odejdą tak łatwo, trzeba je będzie usuwać. No tak, ale ci usunięci pozostaną na zawsze zawziętymi, przyczajonymi i śmiertelnymi wrogami, gotowymi w stosownej chwili przyłączyć się do każdego, kto wystąpi przeciwko Niemu. Trzeba będzie ich zlikwidować. Oczywiście są wśród nich ludzie zasłużeni w przeszłości - cóż, historia wybaczy to towarzyszowi Stalinowi. Dawne zasługi tamtych szkodzą obecnie sprawie rewolucji - ludzie ci mają aspiracje do współdecydowania o losach państwa. Dlatego trzeba ich wymieniać. Wymieniać - to znaczy likwidować.

Stalin znów przeszedł się po gabinecie, przystanął naprzeciwko okna. Tak, Rewolucją Październikową kierował Lenin i Lenin jej dokonał, na tym polega jego historyczna zasługa. Po dokonaniu rewolucji i wyprowadzeniu nowej władzy z ognia wojny domowej poszedł jednak drogą, którą podpowiadały mu doświadczenia ortodoksyjnego marksizmu: NEP to początek tej drogi. Skrajnie rewolucyjnymi metodami Lenin doprowadził do końca rewolucję burżuazyjną, utorował jej drogę, zmiatając resztki feudalizmu i szlacheckizny. Lenin jednak umarł. Historia to wielki reżyser. W porę usunęła Lenina ze sceny i powołała nowego wodza, który poprowadzi Rosję po prawdziwie socjalistycznej drodze. Będzie to wymagało jeszcze wielu rewolucji. Jednej, nie mniej znaczącej niż Październikowa, już dokonał - zlikwidował rolnictwo indywidualne, zlikwidował kułactwo, unicestwił w zarodku możliwość powstania farmerskiego modelu wsi. Zginęły przy tym miliony ludzi - historia mu to wybaczy. Dokonał też i drugiej rewolucji - przestawił Rosję na tory industrializacji, przekształcił ją w nowoczesne, rozwinięte, przemysłowe i potężne militarnie państwo. Cena była wysoka, kosztowało to wiele istnień ludzkich - historia wybaczy to towarzyszowi Stalinowi, historia nie wybaczyłaby mu, gdyby zostawił Rosję słabą i bezbronną wobec wrogów. Teraz należy stworzyć nowy, specjalny aparat władzy. I zlikwidować stary. Likwidowanie starego aparatu trzeba zaczynać od tych, którzy



występowali już przeciwko niemu - od Zinowiewa, Kamieniewa, z nimi pójdzie łatwo, walczyli przeciwko partii i tyle razy przyznawali się do błędów, że będą przyznawać się dalej, będą przyznawać się nawet do rzeczy nie popełnionych. I nikt nie ośmielił się ich bronić, Kirow też się nie ośmielił.

Kirow jest w Leningradzie już od dziewięciu lat. Co zrobił przez te lata, by przekształcić leningradzką organizację partyjną nie w pozorny, lecz prawdziwy bastion Komitetu Centralnego? Postanowił obłaskawić to wiecznie spiskujące miasto, zamiast je złamać. Złamać - to znaczy zastąpić stary aparat nowym aparatem, stare kadry nowymi kadrami. Obłaskawić - to znaczy zostawić stary aparat w stanie nienaruszonym, zostawić stare kadry na ich stanowiskach - oczywiście po przeciągnięciu tych kadr na swoją stronę. Tą drogą poszedł towarzysz Kirow. Dlaczego poszedł? Nie rozumiał swojego zadania? dobrze rozumiał. Rozumiał jednak właśnie swoje zadanie, a nie zadanie partyjne, przekształcił Leningrad nie w ostoję partii, lecz w swoją własną ostoję. To nie on przeciągnął ich na stronę partii, lecz oni przeciągnęli go na swoją stronę, stworzyli z niego nowego przywódcę.

Stalin znów podszedł do biurka, znów przeczytał raport Jagody. Zaporoziec nie jest w stanie zmienić sytuacji w Leningradzie. Bezradny człowiek, miernota!

Stalin otworzył drzwi sekretariatu i polecił Poskriebyszewowi wezwać na jutro ludowego komisarza spraw wewnętrznych, towarzysza Jagodę.

Nad Angarę wyszli w południe. Piętrzące się nad potężną rzeką niebotyczne skały, poprzerastane słojami brunatnego, żółtego i czerwonego wapienia, ujawniały pierwotną strukturę ziemi.

Po godzinie wjechali do Boguczana. Tu mieli zamieszkać.

Nad brzegiem czarne łaźnie, sieci na żerdziach, łodzie, przywiązane do słupków. Po obu stronach szerokiej ulicy czarnoszare chaty z bierwion. Drewniane dachy porośnięte zielonym mchem. Między chatami wysokie, szczelne płoty. Ganki wychodzące na podwórze. Od ulicy okna o rzeźbionych framugach, pomalowanych niebieską i fioletową farbą.

Woźnica wjechał na duży dziedziniec z chlewem, stodołą, szopami i zagrodą dla bydła. Bydła jednak nie było, tylko kury grzebały w kupie nawozu. Woźnica otworzył drzwi do przestronnej izby, w nos buchnął kwaśny zapach, zobaczyli przed sobą toporny stół własnej roboty, ławy wzdłuż ścian - ubogie wdowie domostwo.

Gospodarze: zgarbiona babka z kosturem, siedziała na ławie i trwożnym wzrokiem śledziła każdy krok przybyszów; jej córka - kobieta mniej więcej czterdziestoletnia, o zapadłej piersi i obwisłym brzuchu, przewiązanym brudnym fartuchem, sprawiała wrażenie niemowy; i jej syn, mały i brzydki szesnastolatek.

Zostawili rzeczy i poszli szukać rejonowego pełnomocnika NKWD. Okazał się nim niejaki Baranow, grubas o sytej urzędniczej twarzy, dobitnie świadczącej o tym, że jej posiadacz przespał całą zimę i spałby dalej, gdyby nie konieczność zajmowania się sprawami służbowymi. Otworzył pakiet, nadął się, przeczytał dokumenty i wyznaczył miejsca osiedlenia. Iwaszkin zostawał w Boguczana, Wołodia Kwaczadze ruszał w dół Angary, pozostali w górę: Karcew do wsi Czadobiec, a Borys z Saszą do leżącej w innym rejonie wsi Kieżma, do dyspozycji tamtejszego pełnomocnika.

- Widzicie, jest taka sprawa - powiedział Borys - mam skierowanie do tutejszego oddziału "Skupu futer". Polecenie towarzysza Chochłowa dla towarzysza Kosołapowa.

Chochłow był kierownikiem okręgowego oddziału "Skupu futer", Kosołapow - boguczańskie. Pisma Borys nie pokazał, bał się, że Baranow mu je zabierze.

- Niepotrzebnie Chochłow narusza cudze kompetencje - zmarszczył brwi Baranow. - Kiedy przyjdzie łódź pocztowa, ruszajcie do Kieżmy.

Wołodia poszedł szukać swoich.

Iwaszkin od razu spoważniał, znów przeniknęło go poczucie wyjątkowości posiadanego zawodu: w Boguczana organizowano drukarnię, a zecerów brak, zecer wszędzie znajdzie

pracę.

- Skąd pan wie o tej drukarni? - zdziwił się Sasza.

- Słyszałem w Kańsku - odparł Iwaszkin wymijająco i pobiegł szukać sobie kwatery.

Przykre było, że przez całą drogę nie wspomniał o tym ani słowem, bał się, że ktoś zajmie jego miejsce.

Borys sprawiał wrażenie załamane. Kieżma leży daleko, to jeszcze trzysta kilometrów, nie wiadomo, czy jest tam jakieś wakujące stanowisko, zachował się jak dureń, trzeba było przewidzieć taką ewentualność i zaopatrzyć się w pismo i do Kieżmy.

- Zajdę jednak do Kosołapowa - powiedział Borys. - Może coś zaradzi. Ten Baranow w pełni uzasadnia swoje nazwisko.

Sasza i Karcew wrócili na kwaterę. Karcew zupełnie osłabł, ledwie dowlókl się do chaty, opadł na ławę, chciał pić, miał dreszcze. Sasza okrył go i spytał staruszkę:

- Macie gotowaną wodę?

- Warzoną? A tam, w kotle.

Siedziała w swoim kącie jak sowa.

- Zaniemógł widać w drodze. Nic mu nie będzie. Młody, wydobrzeje. Jeść będzie?

- Kiedy koledzy wrócą.

Pierwszy przyszedł Wołodia. Zabrał swój worek, powiedział, że zatrzymał się u znajomego, trzeci dom za szkołą, i wyszedł.

Potem wrócił Borys. Kosołapow nic nie może zrobić, o wszystkim decyduje Baranow, od takiego tępaka zależy całe życie! Do diabła z nim!

- Wie pan, Sasza, nawet się cieszę. Przyzwyczailem się do pana. Razem zaczęliśmy tę drogę, i razem skończymy.

Już snuł plany, jak urządzi się w Kieżmie, jak urządzi tam Saszę, wymieniał jakieś cyfry dotyczące rejonu kieżmiańskiego, którymi chciał oszołomić tamtejszego kierownika "Skupu futer".

Zjawiał się Iwaszkin, oznajmił, że znalazł sobie lokum z wyżywieniem za nieduże pieniądze, pensja tu dobra, z dodatkiem za pracę na Północy, będzie mógł nawet posyłać trochę grosza do domu, a może i sprowadzić rodzinę do siebie. Nie został na obiedzie, dzisiejszy wikt już zapłacony.

- Lecę, chłopaki, człowiek na mnie czeka.

Nie zapytał, kiedy wyruszają, nie zostawił adresu, nie prosił o listy, ani sam nie obiecywał, że napisze... Lecę, chłopaki, człowiek czeka.

- Tak rozstają się ludzie - mruknął Borys.

- Nie wyplakał się na pańskiej piersi - zażartował Sasza.

- Pan też to zauważył? Zuch! Zdolny dzieciak!

Pojedli zacierek ze wspólnej miski i poszli na pocztę, zostawili tam informację, by korespondencję przysyłało im do Kieżmy. Sasza napisał do matki, że czuje się doskonale, niczego mu nie brakuje. Angara to potężna rzeka, a pisać należy do Kieżmy, na poste restante.

Wrócili do domu. Na środku ulicy leżały psy łajki, ogony jak obwarzanki, nawet nie podnosiły łbów, gdy obok przechodziła kobieta z nosidłami lub wysypywała się z podwórza gromada dzieciarni.

- Nie widzę tu ani jednego godnego uwagi obiektu - powiedział Borys - dziewczynina na poczcie - to już tutejsza elita... Nawiasem mówiąc, łatwo tu o syfilis, niech pan będzie ostrożny. I jaglica - broń Boże nie wolno wycierać się ich ręcznikami! A wracając do tematu: czy zauważył pan tę dziewczuszkę, która kręci się koło naszego domu? Taka z wystającymi kośćmi policzkowymi, niczego sobie dziewczuska.

Sasza widział ją, rozmawiała z synem gospodyni.

- Strzela za panem oczami - dodał Borys.

- To jeszcze dziecko.

- Dlaczego? Ma jakieś szesnaście lat. Najlepszy wiek. Potem wychodzą za mąż i zamieniają się w woły robocze. Niech pan zwróci na nią uwagę.

- Deprawacja nieletnich - roześmiał się Sasza. - Dziękuję, artykuł pięćdziesiąty ósmy w zupełności mi wystarczy.

Dziewczyna siedziała na przyzbie, nieduża, zgrabna, o mocnych nogach, ładnie zarysowanej buzi, kształtnym czole i pełnych wargach. W nieco wystających zębach dostrzegano coś tunguskiego, mongolskiego. Szczelnie zapięta bluzka, długa wiejska spódnica zakrywa do kostek białe nogi o stwardniałych, brudnych podeszwach. Dziewczyna żuła siarkę i patrzyła na Saszę niedużymi, brązowymi, roześmianymi oczami.

- Czego się śmiejesz? - spytał Sasza.

Parsknęła, zakryła usta dłonią, zerwała się z przyzby i uciekła, trzasnąwszy furtką. Sasza widział jednak, że podgląda go przez szparę.

- Dzikuska, ale świetna, statuetka - powiedział Borys.

Na kolację jedli parzonkę - pokrajaną parzoną brukiew, i burduk - kisiel owsiany. Wszyscy, łącznie z gospodynią i jej synem, jedli z jednej miski. Staruszka skarżyła się, że nie ma ani mleka, ani mięsa, ani ryby - chłopca w domu brakuje, nie ma komu rybaczyć.

Podczas kolacji dziewczyna zjawiała się znowu. Otworzyła drzwi, zobaczyła Saszę,

przymknęła drzwi i schowała się w sieni.

- Czego się chowasz, plemię ty źmijowe? - krzyknęła za nią staruszka. Dziewczyna nadal stała w sieni. - Zwariowana dziewczucha - wyjaśniła stara - Łukieria ją wołają. Łukieszka! - krzyknęła znowu. - Włazże do izby, miastowe insze jedzenie mają!

Sasza pokroił resztkę kielbasy dla Karcewa.

Łukieszka wśliznęła się do izby i stanęła w drzwiach.

- Konuska - powiedziała stara, mając na myśli mały wzrost Łukieszki - w ojca i matkę się wdała, uny też takie... A bracia gdzie?

- A lichy ich wie - odparła Łukieszka, zerkając na Saszę - ani chybi w lesie.

- Na zrębie, robią albo chleją, ciągnie ich do flaszki. Ociec z nimi?

- Z nimi...

Łukieszka wskazała Karcewa.

- Chory?

- Chory - powiedziała stara - ciągiem mrucał. I czego to mrucał? Dusza z ciałem się rozstaje. Czego stoisz? Siadaj, pogadaj, popatrz no, jaki kawalir...

Łukieszka nie usiadła, stała w drzwiach, żuła siarkę, rzucała na Saszę śmiejące się spojrzenia, bosonoga, w bluzce wypuszczonej na długą spódnicę. Jej gibkie ciało pachniało wodą, rzeką, sianem. Była w tym krótkotrwałym okresie wiejskiej młodości, gdy dziewczyna, nie zniszczona jeszcze pracą, domem, dziećmi, jest zgrabna, silna, wszystko wie - wychowała się przecież we wspólnej izbie, gdzie śpi ojciec z matką i bracia z żonami, na rubasznej wiejskiej ulicy - szczerą i naiwnie bezwstydną.

Sasza podał jej kawałek kielbasy.

- Spróbuj.

Łukieszka nie ruszyła się z miejsca.

- Bierz, diablico, żryj! - powiedziała staruszka.

Łukieszka wzięła kielbasę.

- Wasi onegdaj na ryby chodzili? - wypytywała stara.

- Chodzili.

- Dużo nałowili?

- Dwa wiadra będzie.

- Ile masz lat? - spytał Sasza.

- Że co?

- Roków ile masz?

- Kto ich tam wie... Ze szesnaście...

- Czego zmyślasz - nie zgodziła się stara - Wańka ma piętnaście, to i ty masz piętnaście.  
Łukieszka poczochnęła się ramieniem o framugę i nic nie odpowiedziała.

- Łukieszka! - dobiegło z ulicy.

- Na ciebie wołają - powiedziała stara.

- Na mnie - Łukieszka nie ruszała się z miejsca.

- Łukieszka!

- Uch, namolny - zaknęła Łukieszka i wyszła, trzasnąwszy drzwiami.

- Podchodząca dziewczucha - powiedziała staruszka do Saszy - daj ty jej katetkę, to pohula z tobą.

- Co to jest katetka?

- No, chustka po waszemu.

- Ciekawe - uśmiechnął się Sasza.

W nocy Karcew jęczał, dusił się, prosił, by go posadzić, sam nie miał już siły usiąść.

Rankiem Sasza i Borys poszli do wiejskiego szpitala. Na ganku i na korytarzu czekała długa kolejka pacjentów. Sołowiejczyk ominął ich i wszedł do gabinetu. Młody lekarz wysłuchał go i dowiedziawszy się, że sprawa dotyczy zesłańca, polecił przynieść pisemne zlecenie od rejonowego pełnomocnika NKWD.

- Człowiek umiera - gniewnie powiedział Sasza - jakie zlecenie jest jeszcze panu potrzebne?

- Baranow wie, jakie - odparł lekarz.

Zaspany Baranow wyszedł na podwórze, opryskliwie spytał o co chodzi, i niechętnie nagryzmołił na kartce: "Do lekarza rejonowego. Zbadać chorego adm. zesłanego Karcewa".

Wrócili do szpitala. Borys jeszcze raz bez kolejki wszedł do gabinetu. Lekarz powiedział, że zajdzie po dyżurze.

Przyszedł wieczorem, zbadał Karcewa, stwierdził zapalenie płuc i obrzęk jednego płuca na tle ogólnej dystrofii. Potrzebna jest poduszka tlenowa, ale jej nie ma, potrzebna jest hospitalizacja, ale w dziesięcioosobowym szpitaliku leży dwadzieścia osób. Przepisał lekarstwo i polecił dawać na noc gorące mleko. Po poważnym i nieobecny wzroku lekarza Sasza domyślił się jednak, że dla niego Karcew jest już martwy.

Rano Karcew poczuł się lepiej i poprosił o wezwanie Baranowa.

- Po co ci on? - zdziwił się Sasza.

- Idź, powiedz - dusząc się i kaszląc mówił Karcew - tlen jest, wszystko jest. Idźcie, idźcie, niech przyjdzie.

Poszli. Borys zaproponował, by wstąpić po Wołodię Kwaczadze.

- On umie z nimi rozmawiać.

Wołodia wysłuchał ich spokojnie, a nawet życzliwie. Czyżby czuł się winny za tamtą noc nad Czuną, gdy zostawił Karcewa w zimnej szopie? Chyba nie... To raczej coś innego: jest pretekst do nowej awantury z władzą, można utwierdzić swoją wartość we własnych oczach, a i powód poważny - odmowa udzielenia pomocy lekarskiej zesłańcowi.

- Karcew prosił, żeby Baranow przyszedł do niego.

- Co? - Wołodia obrócił się do Saszy, twarz miał straszną. - Prosił, żeby przyszedł Baranow?

Głos mu drżał, i jak zwykle w chwilach zdenerwowania mówił z silnym akcentem gruzińskim.

- W takim stanie nie może przecież sam iść do Baranowa.

- Prosił, żeby przyszedł do niego Baranow? - powtarzał Wołodia, wpatrując się w Saszę z nienawiścią. - I pan zgodził się spełnić tę prośbę?

Sasza miał już dość jego nietolerancji.

- No co tak wytrzeszczasz oczy, pierwszy raz mnie widzisz?

- Wołodia, niech się pan uspokoi - powiedział Borys. - Sasza nie ma z tym nic wspólnego.

Wołodia milczał przez chwilę, potem powiedział posepnie:

- Karcew to prowokator.

- Dlaczego? - zaprotestował Sasza. - Odsiedział trzy lata w więzieniu dla politycznych, ogłaszał głodówkę, podcinał sobie żyły...

- Siedział, głodował, żyły sobie podcinał! - krzyknął Wołodia, miotając się po izbie. - Różni siedzą, rozmaici siedzą, a głodować powinni razem z innymi. Po co powieźli go do Moskwy?

- Ale potem go zesłali - wtrącił Borys.

- No i co z tego? Tacy potrzebni są i na zesłaniu! "Okazaliście skruchę? Odcięliście się? Uznaliście błędy? Nie, to za mało, udowodnijcie praktycznie! Potrzebni nam informatorzy..."

- Gdyby tak było - nie zgodził się Sasza - to Baranow nie wysyłałby go do Czadobca, tylko zostawił tutaj, w Boguczanych.

- Baranow o niczym nie wie! W pakiecie były tylko nasze wyroki, a to przyjdzie później, z pocztą specjalną. Karcew chce wyjawić Baranowowi, że jest swój, że trzeba go leczyć, ratować. Wszystkich z Wierchnieuralska rozesłali po więzieniach i łagrach, a jego jednego - do Moskwy! Po co? Do Galerii Trietiakowskiej?

- Wszyscy, którzy się z tobą nie zgadzają, to albo swołocze, albo prowokatorzy - powiedział Sasza. - Pójdziemy do Baranowa.

- No cóż - rzucił Wołodia z pogrózką w głosie. - Współpracujcie, współpracujcie!

- Nie strasz! Nie takich widzieliśmy!

- Kogo ty widziałeś? - krzyknął znów Wołodia. - Nic nie widziałeś! Nie wycinałeś lasu w czterdziestostopniowy mróz. Nie widziałeś, jak ludzie zdychają na śniegu. Jak plują krwią. Maminsynek! Nad Karcewem się ulitował! A tych, których tacy Karcewowie posyłają na śmierć, to ci nie żal?

- Przede wszystkim żal mi ciebie - powiedział Sasza.

Gdy podeszli do domu Baranowa, Borys przystanął.

- Sasza, przemyślmy to wszystko. Można nie zgadzać się z Wołodią, ale w tym co mówił jest jakaś logika. Po co Karcewowi Baranow? żeby dostać się do szpitala? Tyle to i my możemy zażądać. A więc po co? Pan dopiero zaczyna, ale ja już otarłem się o to i owo. Nie ma nic strasniejszego niż takie podejrzenie, rozchodzi się błyskawicznie. I na całe życie - nie udowodnisz, że to nieprawda. Mogę iść do szpitala, opiekować się Karcewem, mogę robić wszystko, basen wynosić... Ale załatwić mu spotkania z Baranowem nie chcę.

- Pójdę sam - powiedział Sasza.

Borys zamyślił się, potem zaproponował:

- Wie pan co, zrobimy tak - zażądamy od Baranowa szpitala, ale o tym, że Karcew chciał go widzieć, nie powiemy. W szpitalu może sobie wezwać Baranowa oficjalnie, przez lekarza.

- Lekarza wam dałem, czego jeszcze chcecie? - spytał Baranow rozdrażnionym tonem.

- Trzeba umieścić Karcewa w szpitalu.

- Przecież było powiedziane: brak miejsc.

- Ten człowiek umiera.

- Nie umrze.

- Jeżeli umrze, zawiadomimy Moskwę, że odmówiliście pomocy.

- Źle tu zaczynacie, Pankratow - złowieszczo powiedział Baranow.

\* \* \*

Po trzech godzinach podjechał wóz ze szpitala. Sasza i Borys wynieśli Karcewa.

Kończył się upalny czerwcowy dzień, od rzeki wiał lekki wietrzyk. Karcew leżał z zamkniętymi oczami, oddychał równiej, spokojniej.



Wieczorem na przyzbie znów siedziała Łukieszka, tym razem w iczigach, opinających jej drobne stopy, i w jaskrawej chustce na głowie i ramionach.

Posunęła się, zapraszając tym ruchem Saszę do zajęcia miejsca obok niej.

Sasza usiadł.

- No, opowiedz coś, Łusza. Nazywasz się Łusza, prawda?

- Łukieszka mnie wołają.

- Po naszymu Łusza. Będę cię nazywać Łuszeńką.

Zakryła usta chustką.

- Podoba ci się, Łuszeńka?

Opuściła chustkę, w oczach migotały iskierki śmiechu.

- Pracujesz, uczysz się?

- Jużem się nauczyła.

- Ile klas?

- Będzie ze trzy.

- Umiesz czytać i pisać?

- Umiałam, ale zapomniałam.

- Pracujesz?

- Przy kuchni robię. A gdzie będziesz mieszkać?

- W Kieżmie.

- U - prychnęła rozczarowana - daleko. U nas tu też posyłane mieszkają, dużo ich.

- Byłaś kiedyś w Kieżmie?

- Nie, dalej lasu nie byłam.

- A niedźwiedzia się nie boisz?

- Boję się. Poszliśmy raz za jagodami, a un jak nie wyskoczy, ryczy, aż się dąbrowa trzęsie. My w krzyk i do łódki. Jagody żal, jagoda ciężka, wyległa. Rzucili my całą. A on za nami, ale nie prosto, a chyłkiem. My za wiosła, a un we wodę - buch! Ledwośmy uszli, krzyk, strach... Oj, koniec... Na darmo jeździli za wodę. Teraz do lasu nie chodzimy, strach.

Mówiła żywo, ze śmiechem, ale przez cały czas wstydliwie zakrywała usta chustką.

- Pojedziesz ze mną do Kieżmy? - spytał Sasza.

Przestała się śmiać, popatrzyła na niego.

- Jak weźmiesz, to pojedę.

- A co tam będziemy robić?

- Pożyjemy. Ile będziesz mieszkać w Kieżmie?

- Trzy lata.

- Trzy lata pożyjemy, potem wyjedziesz.

- A ty?

- Co ja? Ja zostanę. Tu wszyscy tak, pomieszkają, wyjadą. A może angarskim się zrobisz?

- Nie, nie zrobię się angarskim.

- Jutro na wyspy Sierguńkińskie jedziemy. Jedź z nami.

- Po co?

- Nocowanie będzie - wyjaśniła z naiwną bezwstydną.

- Łukieszka! - rozległo się na sąsiednim podwórku.

- To pojedziesz?

- Trzeba pomyśleć.

- Ech ty, myślący - niewiedzący - roześmiała się Łukieszka i uciekła.

W trumnie leżały wióry. Sasza chciał je wyrzucić, ale Borys powiedział:

- Nie wolno wyrzucać, nie wie pan?

Sasza nie wiedział - pierwszy raz w życiu chował człowieka.

Sanitariusz i woźnica zeszli do piwnicy, do trupiarni.

Lekarz wyszedł na ganek, popatrzył na Saszę tym samym poważnym spojrzeniem, jakim patrzył na konającego Karcewa, i powiedział:

- Akt zgonu przekazano pełnomocnikowi rejonowemu.

Sasza i Borys nie odpowiedzieli - po co im ten papierek, komu go wysłać?

Lekarz nie odchodził, stał, patrzył na nich. Był ich rówieśnikiem.

Sanitariusz i woźnica wynieśli zwłoki, włożyli do trumny.

Przybili wieko. Wóz wyjechał z podwórza. Z boku szedł niewysoki chłop - woźnica, za trumną - Sasza i Borys.

Przejechali długą wiejską ulicą wzdłuż drewnianych czarnoszarych chat, skręcili w drugą ulicę, też taką czarną i szarą, za wsią wjechali na wzgórze, gdzie obok zamkniętej na głucho cerkwi leżał cmentarz.

Wzięli łopaty, zaczęli kopać. Ziemia, choć z wierzchu miękka, w głębi była twarda, zmarznięta, z grudkami lodu.

No i zakończyła się życiowa wędrówka Karcewa, przypadkowego współtowarzysza etapu. Robotnik "Sierpa i Młota", pracownik Komsomołu, więzień polityczny, zesłaniec. Czy Wołodia miał rację? Co skłoniło Karcewa do tego? Chciał odkupić swoją winę, udowodnić szczerą skruchę? Może obiecali mu wolność? A może to po prostu słabość?

Odpowiedzi na wszystkie te pytania Karcew zabrał ze sobą do grobu - tu, w dalekiej

Syberii, na końcu świata.

Jeżeli nawet Wołodia mówił prawdę, to Sasza nie znał takiego Karcewa. Znał tylko chorego i cierpiącego człowieka.

Woźnica odłożył łopatę.

- Starczy. Niedźwiedź nie odkopie.

Zdjęli trumnę z wozu, i nad kopczykiem świeżej ziemi ostrożnie opuścili ją na sznurach do dołu.

Potem wyciągnęli sznury i zasypali grób. Koniec. Woźnica wskoczył na wóz, szarpnął lejce, koń pokłusował w stronę wsi. Sasza i Borys zostali przy grobie.

- Trzeba by choć deseczkę z nazwiskiem - powiedział Borys.

Nie mieli jednak deseczki, ani ołówka.

Ze wzgórza rozpościerał się widok na Angarę, toczyła swe wody wśród skał i lasów z nieznanymi ziemiami ku nieznanym ziemiom. Na horyzoncie woda przybierała kolor nieba, zlewała się z nim w jedno, jak gdyby Bóg nie stworzył jeszcze lądów, by oddzielić wody od wód.

Saszę ogarnęło jakieś gorzkie i równocześnie radosne uczucie. Poprzez tęsknotę i rozpacz, stojąc na opuszczonym wiejskim cmentarzu nagle i z przeraźliwą jasnością uświadomił sobie błahość własnych niedoli i cierpień. Ta nieskończona wieczność umacniała wiarę w coś bardziej podniosłego niż to wszystko, co stanowiło treść jego dotychczasowego życia. Ci, którzy skazują ludzi na zesłanie myślą się sądząc, że w ten sposób można złamać człowieka. Można go zabić, ale nie złamać.

- Przeczytajcie to!

Podczas kiedy Jagoda czytał swój ostatni raport, Stalin przyglądał mu się: grubo ciosana, wąska, ceglasterczerwona twarz, pod nosem malutki wąsik, jak u Hitlera. Ponure, nieufne spojrzenie. Urodziwy to on nie jest...

Na Jagodę zdecydował się już w 1929 roku. Mienżyński był poważnie chory, praktycznie już się nie liczył, i na XVII Zjeździe powołano do KC jego zastępcę, Jagodę. Towarzysza Mienżyńskiego można było również zwolnić ze stanowiska przewodniczącego OGPU i na jego miejsce mianować Jagodę, ale byłoby to źle przyjęte - w Mienżyńskim wszyscy widzieli prawowitego następcę Feliksa Dzierżyńskiego. Przed miesiącem Mienżyński zmarł i Biuro Polityczne bezzwłocznie przyjęło dawno przygotowaną uchwałę w sprawie utworzenia NKWD. Do nowego komisariatu włączono Główny Urząd Bezpieczeństwa Państwowego, milicję, wojska ochrony pogranicza i wojska wewnętrzne, zakłady karne i reedukacji społecznej, a także straż pożarną i urzędy stanu cywilnego. Narkomem spraw wewnętrznych został Jagoda.

Kandydatura Jagody nie wywołała w Biurze Politycznym żadnych sprzeciwów - członek partii o wieloletnim stażu, kadrowy czekista, politykiem nie jest, członkiem Biura Politycznego też nie, osoba "neutralna", równowaga w kierownictwie partyjnym nie ulegnie zachwianiu.

Swierdłow, który był spokrewniony z Jagodą przez swoją kuzynkę, miał swego czasu nie najlepsze zdanie o jego talentach: z początku skierował go do redakcji "Biedoty Wiejskiej", potem na szeregowego porucznika do WCzeKa. Ale Swierdłow kiepsko znał się na ludziach i niepotrzebnie się przechwalał, jakoby jego własny notatnik zastępował mu cały dział personalny KC. Jego też przecież uważał za "indywidualistę", mówił mu o tym jeszcze tam, na zesłaniu, w turuchańskiej guberni, i On się nie obrażał. W ogóle Swierdłow był to poczciwy, przyzwoity człowiek, ale żadna indywidualność. Dlatego Lenin postawił go na czele WCKW - stanowisko czysto reprezentacyjne. Po śmierci Swierdłowa posadził na tym stołku twerskiego kmiotka Kalinina, "wszechrosyjskiego starostę".

Nieboszczyk Dzierżyński też nie przepadał za Jagodą, trzymał go na podrzędnym stanowisku kierownika działu administracyjnego. Ale towarzysz Dzierżyński mimo wszystkich swoich zalet był z pochodzenia jaśniepanem. Trudno się dziwić, że Mienżyński, też jaśniepan, w dodatku poliglota, znający czternaście języków (po co bolszewikowi czternaście języków), był mu bliższy niż Jagoda, aptekarz z Niżnego Nowgorodu. Poza tym

mimo wszystkich swoich zalet towarzysz Dzierżyński, co tu dużo gadać, był trochę pozerem. Dlatego tak nie lubił Trockiego, który w pozerstwie zdecydowanie go przewyższał. Trudno się dziwić, że nie doksztalony "kancelista" niezbyt imponował Żelaznemu Feliksowi.

Ale w GPU aniołowie nie są potrzebni i urodziwi też nie są potrzebni. Sztuka rządzenia polega na stawianiu właściwych ludzi na właściwym miejscu i, co najważniejsze, na usuwaniu ich, kiedy stają się niepotrzebni. Jagoda rozumie, co się do niego mówi, a więc jak na razie znajduje się na właściwym miejscu.

Podjejrzenia co do tego, że Jagoda pracował dla carskiej Ochrany, nie są, być może, bezpodstawne. Ale to sprawy bardzo trudne i zawile, i zbadanie zasadności podejrzeń jest praktycznie niewykonalne. Dowody pośrednie są zawsze niepewne i zawodne, a niezbitych dowodów prawie nie ma - Ochraha w pierwszych godzinach po wybuchu rewolucji zniszczyła wszystkie archiwa. Czyż aż tak dużo nazwisk byłych denuncjatorów wpadło w nasze ręce? A i to, czym dysponujemy, jest nieprzekonywające: Ochraha potrafiła wikłać ślady, a nawet kierować podejrzenia na fałszywy trop. I w ogóle człowiek, który stykał się z wyższymi szarżami żandarmerii i musiał tak manewrować, żeby zachować życie dla partii, nie mógł uniknąć sytuacji, które teraz, po wielu latach, mogą się wydać podejrzone.

Dowieść tego, że ktoś był związany z Ochraha, nie jest łatwo, ale jeszcze trudniej dowieść, że nie był z nią związany, jeśli takie posądzenie padło i jeśli istnieją jakieś takie materiały. Jakieś takie materiały przeciwko Jagodzie istnieją, raczej poszlaki, materiały nieprzekonywające, ale wystarczające, żeby w razie potrzeby oskarżyć Jagodę o działalność prowokatorską. Osobie, która te materiały przedstawiła, On oświadczył wtedy, że partia uważa je za nieprzekonywające, i nakazał nigdy nikomu o nich nie wspominać. Jednakże materiały zatrzymał u siebie. I Jagoda o tym wie. Człowieka, który te materiały przedstawił, nie pozwolił ruszać. I o tym Jagoda też wie. Będzie mu oddany ze strachu, a to jest znacznie pewniejsze niż oddanie z przekonania. Przekonania mają to do siebie, że się zmieniają, strach nie mija nigdy.

Jagoda położył papiery na stole, ale nic nie powiedział - Stalin o nic go nie pytał. Nawet nie patrzył na Stalina. Patrzeć na towarzysza Stalina znaczyło zadawać mu nieme pytanie, prowokować do rozmowy, a Stalin nie lubił tego. Stalin sam wiedział, kiedy i co powinien powiedzieć. Teraz pokazał mu jego własny raport, ale na razie nie wiadomo było, co się za tym kryje.

Stalin ledwie dostrzegalnym ruchem ręki wskazał krzesło, obok którego stał Jagoda. Poprosił go, żeby usiadł, czyli że rozmowa zapowiadała się długa i, jak domyślał się Jagoda,

poważna, poważna w tym sensie, że będzie musiał rozwiązać sporo rebusów.

Przechadzając się po gabinecie Stalin powiedział:

- O czym świadczy wasz meldunek! O tym, że towarzysz Zaporozec nie radzi sobie ze swoimi obowiązkami. Gdyby likwidacja zinowiewowskiej opozycji była sprawą prostą, można by ją powierzyć towarzyszowi Miedwiedowi i jego aparatowi. Ale towarzysz Miedwied. to człowiek Kirowa, a towarzysz Kirow nie zdaje sobie, niestety, sprawy z rozmiarów zagrożenia tak dla partii, jak i dla siebie osobiście. Towarzysz Kirow błędnie ocenia sytuację w Leningradzie.

Stalin wolno i bezszelestnie przechadzał się po dywanie.

- Na czym polega osobliwość tej sytuacji? - ciągnął. - Osobliwość tej sytuacji polega nie tylko na tym, że w leningradzkiej organizacji partyjnej pozostało wielu zinowiewowców. Najważniejsze, że zostało ich wielu w kierownictwie tej organizacji. Ciekawe, gdzie się podziały te dziesiątki tysięcy ludzi, którzy przed XIV Zjazdem głosowali na Zinowiewa. Nadal są tam, gdzie byli, w Leningradzie, na tych samych miejscach, na tych samych stanowiskach. Towarzysz Kirow twierdzi, że teraz wszyscy oni popierają generalną linię partii, że popierają KC... Czy aby na pewno? Oni popierają towarzysza Kirowa, to prawda, ale to nie znaczy, że popierają KC! Jak mogliby nie popierać towarzysza Kirowa, skoro dzięki niemu uchwali się cało i zdrowo? To oczywiste, że popierają towarzysza Kirowa, to oczywiste, że są wierni towarzyszowi Kirowowi. Ale czy towarzysz Kirow nie myli przypadkiem wierności wobec siebie z wiernością wobec partii? Czy towarzysz Kirow nie stawia czasem znaku równości między sobą a partią? I czy nie za wcześnie to robi? I czy można się wobec tego dziwić, że uczciwi leningradzcy komuniści nie są zadowoleni z sytuacji panującej w leningradzkiej organizacji partyjnej? Nie, nie można. Takie niezadowolenie jest zjawiskiem normalnym, szczególnie, jak o tym sami piszecie w swoim raporcie, wśród młodych komunistów, którzy dorosli i dojrzelili już po okresie Zinowiewa. Ci ludzie protestują przeciwko takiej sytuacji, zwłaszcza że na drodze ich rozwoju, ich awansu, stoją stare zinowiewowskie kadry, które, rzecz jasna, awansują swoich, zamykając drogę innym, obcym, a obcy to dla nich ci właśnie uczciwi i szczerzy stronnicy KC.

Stalin zamilkł, nie przestając wolno, bezszelestnie spacerować po gabinecie, po czym podjął znowu:

- Na czym polegało zadanie towarzysza Zaporozca? Towarzysz Zaporozec miał zmienić sytuację w Leningradzie, miał zmienić stosunek leningradzkiej organizacji do zinowiewowców, miał unaocznić rozmiary trockistowsko-zinowiewowskiego zagrożenia. A co zrobił towarzysz Zaporozec? Nic nie zrobił. Skarży się, że Kirow i Miedwied. nie

pozwalają mu na to, widział kto coś podobnego! Takie skargi są niegodne prawdziwego czekiisty. On się skarży, że aparat podlega nie jemu, tylko Miedwiediewi. Dureń! To niech stworzy własny aparat albo niech się przyzna, że się do niczego nie nadaje!

Stalin nagle zatrzymał się przed Jagodą.

- Ze stronnikami Zinowiewa i Kamieniewa trzeba raz na zawsze skończyć! Towarzysz Kirow otoczył się zinowiewowcami i oni odwdzięczą mu się za wszystkie jego dobrodziejstwa. Nie ulega wątpliwości - Stalin znowu zaczął się przechadzać po pokoju - nie ulega wątpliwości, że w obecnej sytuacji usunięcie Kirowa nie jest zinowiewowcom na rękę, bo towarzysz Kirow chroni ich kadry w Leningradzie. Ale jeśli sytuacja ulegnie pogorszeniu, na przykład w warunkach walki o władzę, Kirow przestanie im być potrzebny. Sytuację może skomplikować również groźba wojny. A wojna jest korzystna tylko dla przeciwników KC, bo otwiera drogę do zmiany władzy. Teraz Zinowiew i Kamieniew próbują wykorzystać towarzysza Kirowa w charakterze siły uderzeniowej przeciwko KC, ale nadejdzie czas, kiedy Kirow przestanie im być potrzebny, a wtedy usuną go, żeby wywołać w kraju sytuację kryzysową. Kirow trzyma w zanadrzu trockistowską zmię przeciwko towarzyszowi Stalinowi, ale czy ta zmię nie ukąsi czasem samego towarzysza Kirowa?

Stalin wziął ze stołu meldunek i rzucił go Jagodzie.

- Partii potrzebne są nie papierki, lecz działanie. Możecie odejść.

\* \* \*

Jagoda wyszedł. Czy go zrozumiał? Na pewno! Oczywiście, byłoby najlepiej, gdyby Kirow przeniósł się do Moskwy. Jest sekretarzem KC i niech pracuje jako sekretarz KC. W Moskwie będzie na oku. Co prawda, blisko Ordżonikidzego, ale zobaczymy jeszcze, czym skończy się ta ich czuła przjaźń, kiedy w gestii Kirowa znajdzie się cały przemysł, w tym również ciężki, a więc i Sergo z całym swoim aparatem. Ordżonikidze rozumem nie grzeszy, w tym duecie gra drugie skrzypce, ale podporządkować się Kirowowi bezpośrednio nie zechce. No cóż, zdrowa nieufność to najlepsza podstawa do współpracy.

Stalin udał się do sekretariatu i kazał Poskriebyszewowi wezwać towarzysza Jeżowa.

Do aparatu KC Jeżow przyszedł w dwudziestym siódmym roku. Był malutki, prawie karzełek. Stalin lubił nie wyrośniętych, sam miał zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu.

Rzadki przypadek - Stalin zapomniał, kto go polecił. Mechlis? Poskriebyszew? Towstucha? Któryś z nich. Przedtem Jeżow pracował w aparacie partyjnym w Kazachstanie.

W sekretariacie dał się poznać z jak najlepszej strony, pamiętał, kto, gdzie, kiedy i na jakim stanowisku pracował. Miał w głowie setki nazwisk. Urodzony kadrowiec. W 1930 roku On zrobił go kierownikiem Działu Kadr KC. I nie pomylił się. W ciągu dziesięciu minut Jeżow potrafił udzielić wyczerpującej informacji o każdym pracowniku nomenklatury, w tym również o każdym członku Biura Politycznego - kartoteka Jeżowa obejmowała wszystkich, ten konus nie uznawał autorytetów, staż partyjny, pochodzenie społeczne, dawne zasługi nie miały dla niego żadnego znaczenia. Wszystkie te pojęcia uważał za przestarzałe, a nawet szkodliwe, gdyż ich posiadaczowi dawały iluzoryczne prawo do wyjątkowości. Kiedy Jeżow składał doniesienie na członka Biura Politycznego, jego fiołkowe oczy przybierały wyraz całkowitej obojętności, dla niego członkowie Biura Politycznego niczym nie różnili się od ludzi z nomenklatury. Do niedawna nikomu nie znany pracownik aparatu z dalekiego Kazachstanu, jako jedyny w Sekretariacie nie był skrepowany powiązaniem osobistymi, dlatego tak nienawidził starej kadry działaczy, scementowanych dawnymi koneksjami, te "taśmy karabinowe" niszczył bezlitośnie, wyłuskując z nich najważniejsze ogniwa, prowadząc Jego politykę niszczenia więzi wśród ludzi aparatu. Oczywiście Jeżow - jednostka - walcząc z potężnymi "taśmami" bronił siebie i swojej pozycji. Nie ulega też wątpliwości, że ślepa nienawiść nie jest dla polityka cechą odpowiednią, bo przeszkadza w podejmowaniu słusznych decyzji, ale i złe cechy charakteru można wykorzystać. Jeżow to nie "białe rękawiczki". Jeżow to "czarne rękawiczki", ale i one są pożyteczne dla sprawy. Jeżow nie bawi się w rozważania, lecz działa, obce mu są wszelkie skrupuły i normy etyczne. Mimo pozorów skromności ma wygórowane ambicje, pragnie kierować ludźmi, decydować o ich losach, ale potajemnie, w swoim gabinecie, przy swoim biurku, ze swoimi dossier, ze swoją wszechpotężną kartoteką. Praktycznie rzecz biorąc, już kontroluje NKWD i Jagoda go nienawidzi - a więc tu równowaga została znaleziona. Na XVII Zjeździe On wprowadził go w skład KC - była to jedna z niewielu zmian, jakie udało mu się wtedy przeforsować. Teraz trzeba go wprowadzić do Sekretariatu i powierzyć mu kontrolę nad organami NKWD, sądownictwa i prokuratury - wtedy równowaga będzie ustanowiona ostatecznie. Z Jeżowem i Jagodą, dwoma nienawidzącymi się nawzajem partnerami, o ten odcinek można być spokojnym.

Stalin wskazał krzesło.

Jeżow usiadł i położył przed sobą notatnik.

- Jest propozycja, żeby zmienić strukturę KC, poszerzyć aparat KC o nowe wydziały - powiedział Stalin.

Kiedy towarzysz Stalin mówił "jest propozycja", oznaczało to, że propozycję wysuwa



sam towarzyszu Stalin.

- Czym podyktowana jest ta propozycja? - Stalin zadał to pytanie jakby samemu sobie.

I sam na nie odpowiedział:

- Sądzę, że ta propozycja jest podyktowana rozsądnymi względami.

Jeżow patrzył w notatnik, trzymając ołówek w pogotowiu.

- Wybaczyliśmy towarzyszowi Riazanowowi jego czyn - powiedział Stalin. - Wybaczyliśmy mu, bo do tego czynu został sprowokowany przez Piatakowa. Niemniej sam czyn jest oburzający. Aresztować komisję z centrali! Czegoś takiego nie odważyłby się zrobić żaden sekretarz obkomu. A dyrektor zakładu przemysłowego odważył się i nawet nie porozumiał się z sekretarzem komitetu miejskiego partii. To poważny sygnał.

Stalin zrobił pauzę, Jeżow, nie podnosząc głowy, notował.

- O czym świadczy ten sygnał? - znowu zadał sobie pytanie Stalin.

I sam sobie odpowiedział:

- Ten sygnał świadczy o tym, że kadry kierownicze w przemyśle wymykają się spod kontroli. Aparat przemysłowy przekształca się z aparatu radzieckiego w technokratyczny. A to jest bardzo groźne.

W tym miejscu Stalin zrobił ową szczególną pauzę, oznaczającą, że zaraz wygłosi zdanie-uogólnienie, które należy podać do publicznej wiadomości. Jeżow skoncentrował się, żeby wszystko dokładnie zapisać.

- Aparat technokratyczny dąży do panowania ekonomicznego, panowanie ekonomiczne jest równoznaczne z panowaniem politycznym, to elementarna prawda marksizmu. Dopuścić do ekonomicznego, a co za tym idzie, do politycznego panowania technokracji nie możemy, bo to oznaczałoby koniec dyktatury proletariatu.

Stalin poczekał, aż Jeżow zapisze, po czym dodał:

- Niestety, towarzyszu Ordżonikidze nie docenia tego niebezpieczeństwa.

Jeżow przestał pisać. Wszystko, co dotyczyło członków Biura Politycznego, miał nie notować, lecz zapamiętywać.

- Zresztą towarzyszu Ordżonikidze powtarza błędy wielu naszych przywódców, którzy wierność podległego sobie aparatu biorą za wierność tego aparatu wobec partii i państwa. Aparat technokratyczny rzeczywiście jest oddany towarzyszowi Ordżonikidze. Bo i dlaczego nie miałby mu być oddany? Towarzysz Ordżonikidze na wszelkie sposoby broni tego aparatu, ochrania go, osłania przed kontrolą partii, popiera jego dążenia do autonomii, sprzeciwia się aresztowaniu każdego kolejnego inżyniera-szkodnika, był przeciwny procesowi Partii Przemysłowej. To zrozumiałe, że w tych warunkach aparat

technokratyczny jest mu oddany. Ale będzie mu oddany do pewnego czasu, póki nie okrzepnie. Za to kiedy okrzepnie, towarzyszu Ordżonikidze przestanie mu być potrzebny. Riazanow aresztował i przepędził komisję przysłaną przez Piatakowa. Ale przecież Piatakow jest zastępcą towarzysza Ordżonikidze! Skąd wiadomo, czy jutro towarzyszu Riazanow nie przepędzi komisji przysłanej przez samego Ordżonikidzego? Towarzyszu Riazanow przepędził przedstawicieli Moskwy, co jest już aktem politycznym. Dlaczego tego swojego politycznego posunięcia nie uzgodnił z politycznym kierownictwem w osobie sekretarza komitetu miejskiego, towarzyszem Łominadze? Może towarzyszu Łominadze nie jest dla towarzysza Riazanowa autorytetem? Powiedzmy. Ale kimkolwiek byłby towarzyszu Łominadze, stoi on na czele organizacji partyjnej, a organizacji partyjnej nikt nie ma prawa pomijać...

Od momentu, kiedy Stalin przestał mówić o Ordżonikidzem, a zaczął o Riazanowie, Jeżow znowu zaczął notować.

- Towarzyszu Riazanow - kontynuował Stalin - nie liczy się już ani z Moskwą, ani z miejscowym kierownictwem partii. Co to oznacza? To oznacza, że aparat technokratyczny nie jest kontrolowany, że czuje się bezkarny. Dlaczego?

Stalin znowu zrobił pauzę, zapowiadającą uogólnienie. Jeżow znowu pochylił się nad notesem.

- Aparat gospodarczy - ciągnął Stalin - nie jest kontrolowany, bo nie istnieje równorzędna mu kontrola partyjna. Jaką rolę może odgrywać komórka partyjna narkomatu przemysłu ciężkiego, jeśli na czele narkomatu stoi członek Biura Politycznego? Jaką rolę mogą odgrywać komórki partyjne w zarządach głównych, zjednoczeniach, fabrykach i innych zakładach przemysłowych, jeśli naczelnicy zarządów i dyrektorzy fabryk są członkami komitetów obwodowych, a nawet KC partii, a sekretarze komórek partyjnych w najlepszym razie są członkami komitetów rejonowych? Na tym poziomie rola organizacji partyjnej praktycznie równa się zeru. Sprawa Riazanowa podsuwa nam rozwiązanie zadania pierwszorzędnej wagi: kontrolę aparatu gospodarczego należy przeprowadzać na równorzędnym poziomie partyjnym. Aparat partyjny powinien kontrolować wszystkie aparaty w kraju, w tym również aparat gospodarczy, a przede wszystkim aparat przemysłowy, który dysponuje najbardziej niezależną, wykształconą i butną kadrą pracowników.

Przy słowie butną w żółtych oczach Stalina błysnął gniew. Po krótkiej pauzie Stalin dodał:

- Wszelkie próby stworzenia w naszym kraju technokracji należy zdusić w zarodku,

zniszczyć do cna. Stąd wzięła się propozycja zorganizowania obok już istniejących wydziałów KC trzech nowych: Przemysłu, rolnictwa i transportu. W ten sposób podstawowe dziedziny gospodarki narodowej - przemysł, rolnictwo i transport - będą związane bezpośrednio z Komitetem Centralnym Partii. Pozwoli to partii skuteczniej pomagać najważniejszym gałęziom gospodarki. Kierownicy tych nowych wydziałów powinni być pracownikami tej samej albo nawet wyższej rangi niż komisarze ludowi, co podniesie ich znaczenie i autorytet. Przygotujcie projekt uchwały o reorganizacji i pokażcie mi go. Następnie zastanówcie się nad kandydaturami na stanowiska kierowników nowych wydziałów i też mi je przedstawcie. Nadzór nad nowym wydziałem będzie sprawował członek KC, a może nawet członek Biura Politycznego. Wydział przemysłu, jako najważniejszy, powinien koniecznie nadzorować członek Biura Politycznego. Na przykład towarzysz Kirow. A propos, przynieście mi jego dossier.

Stalin wstał.

Jeżow podniósł się pośpiesznie, zamykając notes i wsuwając wieczne pióro do kieszonki na piersi.

Już stojąc Stalin powiedział:

- Ukarać Riazanowa natychmiast znaczyłoby usprawiedliwić prowokacyjny wyskok Piatakowa. Jednakże zasady centralizmu demokratycznego naruszać nie wolno, nawet jeśli centrala nie ma racji. Tą sprawą powinien się teraz zająć obkom. Niech obkom zażąda wyjaśnień, niech przeprowadzi śledztwo i materiały przedstawi wam. Nie można przejść do porządku nad tym incydentem.

Jeszcze wiosną, na krótko przed ukończeniem instytutu, do Szaroka zadzwoniła Malkowa i poleciła mu stawić się następnego dnia rano w dziale kadr Ludowego Komisariatu Sprawiedliwości.

A więc klamka zapadła. Jeśli do fabryki, to wspaniale, jeśli do sądownictwa lub prokuratury, to niewątpliwie w Moskwie, w przeciwnym razie nie wzywano by go do komisariatu. W instytucie wszyscy już dostali nakazy i wszyscy jak jeden mąż na prowincję.

Następnego dnia o wyznaczonej godzinie zjawił się u Malkowej. Zobaczywszy go Malkowa wstała i rzuciła oschle:

- Proszę za mną!

Zaprowadziła go do małego, prawie pustego pokoju o nagich ścianach. Stało tam tylko odrapane biurko bez szuflad, przykryte zielonym kartonem, upstrzonym atramentowymi plamami, i trzy krzesła. Spod sufitu zwisała na sznurze goła żarówka. Zaniedbany pokój o niewiadomym przeznaczeniu.

Przy mętym, dawno nie mytym oknie stał niewysoki mężczyzna. Na odgłos otwieranych drzwi odwrócił się. Malkowa puściła Szaroka przodem i natychmiast wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi.

Przez chwilę nieznamy i Szarok przyglądali się sobie nawzajem. Mężczyzna miał nieruchomą dziecinną twarz, której duże rogowe okulary przydawały nienaturalnej powagi. Jura zawsze stronił od takich ważniaków - słabeusze, przy tym drażliwi i mściwi. Ważniak przedstawił się jako Diakow, poprosił Szaroka o zajęcie miejsca i sam usiadł naprzeciw niego.

- Kończycie studia, towarzyszu Szarok - zaczął - niedługo otrzymacie skierowanie do pracy. Chciałbym poznać was bliżej. Opowiedzcie o sobie.

Dokładnie w ten sam sposób rozpoczęła z nim swego czasu rozmowę Malkowa. Niezbyt oryginalni są ci kadrowcy. I Szarok odpowiedział tak samo, jak odpowiedział Malkowej: jest synem pracownika zakładów krawieckich, jego poprzednia specjalność - frezer, w instytucie wykonywał taką a taką pracę społeczną. Istnieje też pewna komplikacja - brat został skazany za kradzież. Słowem, odpowiedział tak, żeby się nie skompromitować, a jednocześnie żeby go uznano za człowieka nie nadającego się do pracy w sądownictwie i skierowano do fabryki.

Jednakże, w przeciwieństwie do Malkowej, Diakow nie zaczął mu prawić morałów z powodu brata - widocznie był już o tym poinformowany. Za to wypytał go dokładnie o co

innego: skąd pochodzą rodzice, kim są jego krewni, gdzie mieszkają, jakie Szarok ma mieszkanie i - wreszcie - co zamierza robić po ukończeniu instytutu.

- Chciałbym wrócić do fabryki - odpowiedział Szarok.

Diakow kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Moim obowiązkiem jest zorientować się, jakie są wasze plany, decyzja należy do kierownictwa. Jeszcze do was zadzwonię.

A więc chcą go wziąć do Komisariatu albo do prokuratury, nie wiadomo tylko, do jakiej roboty. Jego jednego wyróżniono z całego roku, to naturalnie zaszczyt, ale psuje mu plany. I chociaż zarówno Ludowy Komisariat, jak i prokuratura oznaczały pozostanie w Moskwie, postanowił walczyć o skierowanie do fabryki.

Diakow zadzwonił po kilku dniach i poprosił go o przybycie do Komisariatu Sprawiedliwości. Jura przyjechał. Diakow czekał na niego w biurze przepustek. Wjechali windą na trzecie piętro i weszli do tego samego pokoju, w którym Diakow przyjmował go poprzednim razem.

Przy oknie siedział czytając gazetę tęgawy mężczyzna w mundurze wojskowym z czterema rombami na naramiennikach bluzy. Naramienniki były w kolorze malinowym - a więc formacje OGPU. Jura drgnął - zrozumiał, jaką pracę chcą mu zaproponować.

- Towarzysz Bieriezin - zakomunikował Diakow.

Bieriezin opuścił gazetę. Jura zobaczył jego brunatną, eskimoską twarz i znowu poczuł niepokój.

Bieriezin gestem wskazał mu krzesło.

Diakow stał dalej i usiadł już w trakcie rozmowy, kiedy Bieriezin również jemu wskazał krzesło.

Bieriezin przyglądał się Jurze w milczeniu, potem powiedział wolno:

- Organizacja partyjna rekomenduje was do pracy w organach NKWD. Zapoznałem się z waszymi aktami personalnymi. Wasz brat został skazany za przestępstwo kryminalne. Czy znaliście tych, których sądzono razem z nim?

- Zobaczyłem ich po raz pierwszy na rozprawie.

- Przyjaźniliście się z bratem?

- Brat jest starszy ode mnie o cztery lata. On miał swoje towarzystwo, a ja swoje.

- Utrzymujecie z nim kontakt?

- Brat pisze do ojca, do matki... I oni odpisują na listy. Ja przekazuję mu przez nich pozdrowienia i życzenia, żeby odsiedział wyrok i jak najszybciej wrócił do normalnego życia i do pracy. Czy moje rady poskutkują, tego nie wiem.

Bieriezina interesuje nie brat, lecz on - Jura zdawał sobie z tego sprawę. I trzeba odpowiedzieć tak, żeby nie zwątpili w jego szczerość, ale jednocześnie żeby go nie wzięli do pracy w organach. Oni sami powinni z niego zrezygnować. Bierezin nigdy nie będzie mu ufał, to człowiek ulepiony z tej samej gliny, co Budiagin, on też jest z żelaznej gwardii.

- A z kim się przyjaźnicie?

- Szczególnie bliskich przyjaciół nie mam - zaczął Szarok ostrożnie, rozumiejąc, że to jest pytanie najważniejsze. Tylko o kogo Bierezinowi chodzi: o Saszę Pankratowa czy o Lenę Budiaginę? Ale przecież i Sasza, i Lena dawno już przestali być jego przyjaciółmi... - Bliskich przyjaciół nie mam - powtórzył. - Mam znajomych z instytutu, ze szkoły, w której się uczyłem, z domu, w którym mieszkam.

- Chodziliście do szkoły numer siedem?

No oczywiście, chodzi mu o Saszę albo o Lenę.

- Tak, do siódemki.

- W zaułku Kriwoarbackim?

- Tak.

- Niezła szkoła. Z kim spośród szkolnych kolegów utrzymujecie stosunki?

Naprowadza na Saszę Pankratowa. Przemilczeć? A po co? I tak wiedzą. I co mu mogą zarzucić? Żadnej przyjaźni przecież między nimi nie było, na odwrót, była wrogość. Ale o wrogości też lepiej nie mówić, powiedzą, że obszczekuje aresztowanego. Nie było nic - ani przyjaźni, ani wrogości. Mieszkali w tym samym domu, rówieśnicy, dlatego chodzili do tej samej szkoły, potem pracowali w tej samej fabryce, wszystko to było dawno...

- Właściwie - zaczął Jura, starannie obmyślając każde słowo - to się już nie spotykamy. Zresztą i dawniej spotykaliśmy się raczej przypadkowo, po prostu mieszkaliśmy w tym samym domu. A teraz nasze drogi w ogóle się rozeszły. Maksym Kostin ukończył oficerską szkołę piechoty i wyjechał na Daleki Wschód. Aleksandra Pankratowa aresztowano, szczerze mówiąc nawet nie wiem, z jakiego powodu. Nina Iwanowa jest nauczycielką, spotykamy się czasami na podwórku, cześć - cześć... Poza tym Wadim Marasiewicz... nie mieszka w naszym domu, ale też na Arbacie, jest filologiem... Kto tam jeszcze? Lena Budiagina, mieszka w Piątym Domu, też prawie się nie widzimy.

- To córka Iwana Grigoriewicza?

- Tak.

- Macie narzeczoną, sympatię?

To pytanie, zadane zaraz po tym, jak Szarok wspomniał o Lenie, dowodziło, że są o nim dobrze poinformowani. Zresztą inaczej być nie mogło. I celem pytań było nie tyle

ujawnienie szczegółów z jego życia, co sprawdzenie jego prawdomówności.

- Żenić się na razie nie mam zamiaru - odpowiedział Jura z uśmiechem.
- Lubicie teatr, kino, potańczyć?
- Wiedzą, że bywał z Leną w restauracjach.
- Potańczyć lubię.
- Z ładnymi dziewczętami?
- Wolę z ładnymi, oczywiście.

Bieriezin chwilę milczał, potem zapytał:

- Wspomnieliście o Pankratowie. To Aleksander Pawłowicz Pankratow?

- Tak. Nazywaliśmy go po prostu Sasza. Był u nas sekretarzem organizacji komsomolskiej. Ale został aresztowany.

- Co to za człowiek?

Szarok znowu wzruszył ramionami.

- To było dawno, osiem lat temu. Wtedy robił wrażenie uczciwego, przyzwoitego chłopaka - powiedział i dodał z uśmiechem: - Taki komsomolski przywódca. No a co się z nim stało później, tego nie wiem.

Inaczej nie mógł odpowiedzieć. Negatywna, a nawet powściągliwa opinia wywołałaby pytania, na które nie potrafiłby odpowiedzieć, a zresztą po co? Wtedy Pankratow był przyzwoitym chłopakiem, wtedy Sasza miał lat piętnaście, wtedy i Szarok miał lat piętnaście, wtedy patrzył na wszystko młodymi, ufnyimi oczami, wątpliwe, żeby im odpowiadał, taki otwarty, szczery i w dodatku brat kryminalisty.

Szarok nie podejrzewał, że właśnie ta pozytywna, szczerza opinia o Saszy Pankratowie zdecydowała o jego losie. Na niego, Szaroka, Bieriezin przeniósł swój stosunek do Saszy. Podobnie jak kiedyś w Pankratowie, zobaczył w Szaroku dobrego, uczciwego chłopaka. Popęlnił poważny błąd, który miał go później drogo kosztować.

A teraz powiedział:

- Zastanowimy się nad waszą kandydaturą. Ale przede wszystkim wy powinniście zdecydować, czy chcecie u nas pracować. To duży zaszczyt, organy CzeKa to zbrojny oddział partii. Siłą nikogo nie zmuszamy, jeśli odmówicie, nie będziemy mieć do was żalu.

Znowu zwrócił się do Diakowa:

- Dajcie towarzyszowi Szarokowi swój telefon.
- Tak jest - Diakow podniósł się z krzesła.
- Sprawa jest otwarta - powiedział Bieriezin - i rozmowa zostaje między nami.
- Rozumiem - odparł Szarok.

Dlaczego właśnie on? Studentem był średnim, nie wyróżniał się. I społecznikiem też był średnim - po prostu wykonywał powierzone mu zadania. Widocznie tacy średni są właśnie potrzebni.

Próbował wyobrazić sobie ich rozmowę na jego temat. Bieriezin będzie się wahał. Dlaczego brat jest kryminalistą? Dlaczego włóczy się po restauracjach? Tamten, kryminalista, też pewnie lubił wystawne życie, no i proszę, obrabował jubilera. Dlaczego właśnie takiego mamy angażować? A Diakow będzie po jego stronie, to on wysunął jego kandydaturę i teraz powinien dowieść trafności swego wyboru. Coś jakby nieuchwytna nić porozumienia zadzierzgnęła się między nimi. Szarok czuł, że z Diakowem mógłby pracować. A z Bierezinem?...

- Bywacie z ojcem na wyścigach? - zapytał Bieriezin.

- Nie, nie bywam.

To pytanie wydało mu się najbardziej nieprzyjemne. Oni wiedzą o nim wszystko. Oni wiedzą wszystko o wszystkich. A on zawsze bał się Budiagina. Nie Budiagina trzeba się bać, lecz Bieriezina. Budiagin jest znany, Bieriezin nie, a jednak to Bieriezin jest ważniejszy. Dysponując władzą tajną, Bierezinowie stoją za plecami tych, których władza jest widoczna.

I Diakow też jest ważny, choć wstawał za każdym razem, kiedy Bieriezin się do niego zwracał. Jura przypomniał sobie swoje pierwsze spotkanie z nim - z jaką pewnością rozsiadł się wtedy na krześle. Nie, on nie średniaków wyszukiwał w instytucie, po co im średniacy? Wybór Diakowa był trafny - to on, Szarok, jest stworzony do tej roboty, właśnie on, a nie prostoduszny Maksym Kostin, nie mięczakowaty inteligent Wadim Marasiewicz, nie przesadnie niezależny Sasza Pankratow. Jemu nikt by się nie wywinął, przed nim nikt nie zdołałby się usprawiedliwić, on nie wierzy w niczyją szczerłość - nie sposób wierzyć w to wszystko, i ten kto twierdzi, że wierzy, kłamie.

Stop. Wybór jest trafny. Trzeba się zdać na los. Wyrazi zgodę, a już oni niech decydują. Zechcą, to go wezmą, a nie zechcą, to nie wezmą. Właśnie tam będzie bezpieczny. Tam go nikt nie ruszy, to oni wszystkich ruszają.

Jura zadzwonił do Diakowa i zawiadomił go, że podjął decyzję pozytywną.

- Przyjdźcie do mnie wieczorem - powiedział Diakow.

Z przepustką w rękę Jura kroczył długim korytarzem, wpatrując się w numery gabinetów. Czy naprawdę będzie tu kiedyś pracował?

Gabinet, w którym Diakow go przyjął, był maciupieńki, ale to był jego gabinet i Diakow siedział w nim jak prawowity gospodarz. Tym razem miał na sobie mundur z trzema



belkami na naramiennikach bluzy. W mundurze, o dziwo, było mu dobrze, jego niepozorna sylwetka prezentowała się okazalej.

- Podjąłeś słuszną decyzję - powiedział Diakow.

Zwracał się do niego per "ty", traktował go przyjaźnie, jak swojego człowieka.

- To twoje akta. - Wyciągnął z szuflady teczkę. - Zaraz załatwimy formalności.

Jura czuł, że podoba się Diakowowi.

- Posłuchaj - powiedział Diakow. - Poprzednim razem wspomniałeś o Pankratowie. Co to za człowiek?

- Już to mówiłem... - Jura wzruszył ramionami. - W szkole był sekretarzem grupy komsomolskiej. Wtedy robił wrażenie uczciwego. Miał też pewne słabości, chciał uchodzić za mądrzejszego od innych, takiego, co to zawsze więcej wie, jest lepiej poinformowany.

- A może naprawdę był lepiej poinformowany?

- Możliwe - zgodził się Jura, który wszystko zrozumiał i teraz już wiedział, co powinien mówić. - Jego wuj, Riazanow, kieruje wielką budową. W ogóle w naszej szkole uczyło się sporo dzieci pracowników wysokiego szczebla. Pankratow bywał u nich w domu. Można by powiedzieć, że lubił przewodzić, lubił być pierwszy.

- Otóż to - wtrącił Diakow poważnie. - No i nabroił. Nie dość, że sam się zaplątał, to jeszcze innych wkopał, Bogu ducha winnych.

- Podobno zredagował jakąś gazetkę ścienną.

- To też było i jakieś kontakty po innej linii. Powiedz, u kogo z wysokich funkcjonariuszy bywał.

Interesuje go Budiagin, zrozumiał Szarok, ale nie chce wymieniać jego nazwiska, to zbyt poważna persona. On, Jura, też go nie wymieni, niech taka informacja wyjdzie nie od niego. W rozmowie z Bieriezinem wspomniał już o Lenie, to wystarczy!

- W naszej szkole uczyły się dzieci z Piątego Domu. Właśnie u nich bywał.

Diakow zerknął na Szaroka.

- Wypełnisz ankietę i napiszesz życiorys - powiedział i dodał wesoło: - Myślę, że będzie nam się dobrze pracowało.

Do nowych warunków Jura przystosował się bez trudu. Pasował do tej instytucji, a nawet stał się jej ozdobą dzięki swojej młodości, przyjaźnie uśmiechniętej, otwartej rosyjskiej twarzy, której rysy z upływem lat nabrały jakiejś nordyckiej regularności. Smukły i zręczny, miał poza tym szybki refleks, był rzeczowy i opanowany - cechy, które doceniał w nim zarówno Diakow, jak i Bieriezin.

Poparcie Bieriezina dawało Szarokowi szansę zrobienia szybkiej kariery, ale Jura bał

się tego poparcia ze względu na Diakowa. Bieriezin siedzi wysoko, całymi tygodniami go nie widać i przypomina sobie o Jurze dopiero wtedy, kiedy ten staje przed nim. Diakow jest blisko, może w każdej chwili wykorzystać jego brak doświadczenia i podstawić mu nogę. Bieriezin jest jeden, Diakowów dużo. I w ogóle Szarokowi bardziej odpowiadała drobiazgowa formalistyka Diakowa niż prostolinijność Bieriezina. Bieriezin wierzył. Jura w nic nie wierzył. Diakow udawał, że wierzy.

Ale z Diakowem trzeba być ostrożnym, to intrygant - Szarok szybko go rozszyfrował i miał się na baczności. Diakow przekazał mu kilka osób, z którymi pracował, między innymi Wikę Marasiewicz.

Przypadkowo mu ją przekazał czy coś wie o łączących ich stosunkach?

Szarok na wszelki wypadek powiedział:

- Tę Wikę Marasiewicz znam, chodziliśmy do tej samej szkoły. Z jej bratem nawet do tej samej klasy, a ona była albo o rok wyżej, albo o rok niżej, już nie pamiętam.

Ale Diakow nie zdradził się, czy coś wie na ten temat. Wyjaśnił obojętnie:

- Ta pannica wpadła na cudzoziemcach, zapoznasz się z jej dossier, to zobaczysz. Ale u jej ojca, profesora Marasiewicza, bywa Gliński, i na ten kontakt trzeba ją naprowadzić. Przyjmować będziesz na Marosiejce. Jej dzień - wtorek. Godzina jedenasta. Przychodzi punktualnie, nie spóźnia się.

Wika rzeczywiście przysłała punktualnie o jedenastej. Jura otworzył jej drzwi. Na jego widok cofnęła się w stronę windy. Wiedziała, że Jura pracuje w NKWD, ale nie przypuszczała, że to on będzie ją "prowadzić".

- Wchodź, wchodź, kochaneczko, nie krępuj się - powiedział Jura z szerokim uśmiechem. - Dawnośmy się nie widzieli.

Zaprowadził ją do pokoju, uprzejmie podsunął krzesło - smukły, bardzo przystojny w mundurze. Wszystko - pasy, belki na bluzie, wysokie buty - miał nowiutkie, lśniące, błyszczące. Był uosobieniem siły, władzy, sukcesu, rozmawiał z nią przyjaźnie, nawet wesoło, jakby w tej jej roli nie było nic szczególnego. I jakby nic szczególnego nie było w okolicznościach, w jakich się spotkali.

Kiedy jednak na następne spotkanie Wika przysłała w wydekoltowanej letniej sukni, mocno opinającej biodra, i zręcznym ruchem zsunęła ramiączko obnażając białe krągłe ramię, Jura prześliznął się po nim obojętnym wzrokiem i patrząc jej prosto w oczy powiedział:

- Chodziliśmy do tej samej szkoły i jeśli czasem całowaliśmy się ukradkiem na przerwach, to nikogo to nie obchodzi. Poza tym nic między nami nie było, jasne?

Wika poprawiła ramiączko i bąknęła bardzo speszona:

- Tak, tak, oczywiście.

Swego czasu Diakow wciągnął do roboty Wikę, kiedy wyłoniła się konieczność inwigilowania domu profesora Marasiewicza, wywołana z kolei sprawą Łominadzego.

Gliński - wspólnik Łominadzego, bywał w domu Marasiewiczów - ni to jako ich ziomek, ni to krewny - i spotykał się tam z cudzoziemcami. Dlaczego za ich pośrednictwem nie można by nawiązać tajnych kontaktów ze stronnikami Łominadzego w zagranicznych partiach komunistycznych?

To zaskakujące na pierwszy rzut oka przypuszczenie pozwalało stworzyć wersję, wzmocnić niespójne zeznania Czera, podbudować je nazwiskami ludzi, nie związanych bezpośrednio z Kominternem. Pośrednie powiązania podnoszą rangę sprawy, przydają jej wiarygodności. Każdy fakt ma swoją wagę, istotne stają się nawet błahе zeznania Wiki, jeśli się je powiąże z wersją, nazwisko Glińskiego pojawia się obok nazwisk ludzi, o których Czer na pewno sobie przypomni jako o kurierach Łominadzego. Z drugiej strony żona Glińskiego jest dyrektorem instytutu, w którym wykryto trockistowskie podziemie, a kierował tym podziemiem jej zastępca Kriworuczko.

Szarok jeszcze w szkole poznał syna Glińskiego, Jana, słyszał jego ojca, kiedy występował ze wspomnieniami o Leninie, widział jego matkę, dostojną damę. Glińska została później dyrektorem instytutu, w którym studiował Sasza, i nawiasem mówiąc, wyrzuciła go z tego instytutu. Nie wiedziała, idiotka, że sprawa Saszy stanie się z czasem częścią sprawy jej męża, a potem i jej własnej.

Teraz tym wszystkim zajmował się on, Szarok.

Zetknięcie się tu, w tym nowym świecie, ze znajomymi nazwiskami, związało jego przeszłość z dniem dzisiejszym. Po raz pierwszy poczuł realność zemsty na tych, którzy w tamtym świecie ponizali go i pomiatali nim. Sasza Pankratow już dostał za swoje, nie od niego, co prawda, ale dostał. Teraz kolej na innych.

Mieszkanie, w którym Jura przyjmował Wikę, należało do Diakowa, ale Diakow mieszkał u swojej żony, Rebeki Samojułowny, kobiety otyłej, niezgrabnej i wyjątkowo brzydkiej, za to obkutej politycznie. Żona Diakowa wykladała ekonomię polityczną. Dzięki niej Diakow stał się również politycznie obkuty, chociaż Szarok zauważył, że jedyną książką, jaką Diakow czyta, są "Zagadnienia leninizmu" Stalina.

Szarok nie darzył Rebeki sympatią. Prawdę mówiąc, w ogóle nie lubił Żydów. Na podwórku i w szkole nikt nie odróżniał Żydów od nie-Żydów, a on Szarok, odróżniał. Ojciec i matka też odróżniali.

Antysemityzm Szaroków był zastarzały, rodem z Ochotnego Riadu. W ich pamięci majaczył jakiś Żyd jeszcze z tych czasów, kiedy ojciec i dziadek trudnili się krawiectwem na ulicy Zamoskworieckiej, a obok, w zaułkach Zariadia, koło zajazdu Glebowa, mieszkali Żydzi i stała ich synagoga. Tamtejsi subiekci zabawiali się ich kosztem, a teraz ci wyzuci z praw krawcy, czapnicy, kuśnierze stali się nagle władzą. Swój, rosyjski chłop, niepiśmienny Iwan, zagarnął władzę - i to było nie do zniesienia, ale jeszcze trudniejsze do zniesienia było to, że podzielił się tą władzą z Mośkiem. Swój protest przeciwko nowemu ustrojowi stary Szarok wyrażał przez nienawiść do Żydów. Protestować przeciwko samemu ustrojowi było niebezpiecznie.

To, że Diakow ożenił się z Rebeką, Szarok tłumaczył sobie jego niepozornym wyglądem. O Żydach z Diakowem nie rozmawiał i w ogóle o nich nie rozmawiał. Nawet w domu, kiedy ojciec zaczynał sobie na ten temat używać, tylko się ironicznie uśmiechał.

Rodzina stała się teraz dla Szaroka poważnym problemem. Matkę szybko przywołał do porządku, zabronił jej przesiadywać na podwórku. Zresztą nie miała teraz czasu na pogaduszki: codziennie jeździła do zamkniętego konsumu, gdzie sprzedawano to to, to owo. Na podwórku nie zatrzymywała się, bo po co ludzie mają wiedzieć, czym są wypchane jej torby? Gorzej było z ojcem. Nadal szył w domu. Niedużo, dwa, trzy kostiumy w miesiącu, ale to ukrywane przed inspektorem podatkowym zajęcie pozwalało staremu jeździć na wyścigi, grać w totalizatora. Wszystko to kompromitowało Jurę, mogło zniweczyć jego karierę.

Zrezygnować z pokątnego szycia stary nie zgadzał się pod żadnym pozorem, był to przejaw jego niezależności od przeklętej władzy. W zakładzie był niczym, ot, zwykły pracownik, w domu był panem. Próbowaly się do niego dopchać, często bezskutecznie, najszykowniejsze moskiewskie elegantki, skakały koło niego, zgadzały się na każdą cenę.

Stary lubił ślicznotki, ich nóżki w ażurowych pończoszkach, ich kokieterię, nawet jeśli była podyktowana interesem. Wybierał klientki młode i ładne, czasem nawet młodym Żydówkom zgadzał się coś uszyć. Bywają wśród nich takie czarnulki, że w głowie się kręci! Najważniejsze, żeby kobitka była młoda, świeża, jędrna, lubił piersiaste, o obfitych kształtach, starym kobietom czy choćby tylko nie pierwszej młodości, odmawiał - brak talii, żadnego efektu.

Ojciec był jedynym człowiekiem, którego Jura szanował, do którego był przywiązany, którego cenił za mądrość życiową. I wiedział, że i on jest ulubieńcem ojca. Wołodię ojciec prał bezlitośnie, jego palcem nie tknął. Obaj, podobni do siebie, przystojni, kochający życie, byli przeciwieństwem matki, podwórkowej kłótnicy, i starszego brata, kryminalisty. Stary Szarok niczym nie zdradził, co myśli o nowej pozycji syna. Tak samo swego czasu ani nie potępił, ani nie pochwalił wstąpienia syna do Komsomołu i do partii, nie potępił też i nie pochwalił związku, a potem zerwania z Leną. Brało się to nie z obojętności, lecz z zaufania. Wszyscy służą, wszyscy są dziś upaństwowieni, poza tym nie ma komu służyć, i każdy służy, jak potrafi. On sam obronił swoją niezależność i nie zamierzał wyrzec się swojego procederu. Jura nie mógł się nawet zająknąć na ten temat, byłaby to obelga, której ojciec nigdy by mu nie wybaczył.

Wyprowadzić się? Pozbawić siebie i swoich starych rzadkiego w Moskwie przywileju, jakim jest samodzielne mieszkanie? Na zawsze zerwać z ojcem?

Jura nie mógł nic wymyślić. Ale ukrywać w pracy swoich kłopotów też się nie odważył. Lepiej niech się dowiedzą od niego niż od kogoś obcego.

- Mieszkamy w tym domu od dawna, od lat przedwojennych - powiedział do Diakowa. - Sami znajomi, zaprzyjaźnieni, temu przenicuj marynarkę, temu skróć palto, tamtemu przyszyj łatę. W dodatku rodzic mój lubi sobie golnąć ćwiartuchnę, jak to krawiec, sam rozumiesz.

- Twój ojciec pracuje w zakładzie - odparł Diakow. - Przyszyć po godzinach pracy parę łat to żadne przestępstwo i wypicie ćwiartuchny też nie jest przestępstwem.

Diakow lekcewał to, co ktoś mógł o nich pomyśleć lub powiedzieć. Obaj z Szarokiem decydowali o losach i życiu ludzi, znajdowali się na pierwszej linii walki z wrogiem, spoczywała na nich szczególna odpowiedzialność, dlatego i prawa mieli szczególne. Zarówno ich praca, jak i życie osobiste otoczone były tajemnicą. Przesadne zainteresowanie tym życiem można było interpretować różnie.

Jura nosił mundur NKWD. Do domu wracał nad ranem, do pracy wychodził po obiedzie, na podwórku prawie nikogo nie spotykał, a jeśli spotykał, to udawał, że nie

zauważa.

Klienci z ich domu przestali przychodzić. Dawniej też ich było niewielu, a teraz stary w ogóle się z nimi rozstał. Jura dostrzegł w tym takt i zrozumienie sytuacji. Ojciec posunął się tak daleko w delikatności, że zaczął sam chodzić do dwóch swoich głównych klientek, do których z kolei przychodziły inne klientki.

W ten sposób ta strona życia jakoś się ułożyła, a rodzina Szaroków zyskała pewność siebie, której tak długo była pozbawiona, złagodniało też nieco nękające ich uczucie strachu. Pozostawała druga strona życia - kobiety.

Jura i dawniej zachowywał w tych sprawach ostrożność - bał się alimentów. W nowej pracy kobiety pożerały go oczyma, ale w swoim kolektywie amatorów się nie uprawia. Nowych znajomości nie nawiązywał, starych nie odnawiał.

Podobała mu się Waria Iwanowa. Zawsze miała w sobie coś, a teraz - po prostu madonna! Ale to kanalia. Któregoś dnia spotkał ją na podwórku, uśmiechnął się do niej serdecznie, a ona odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym nienawiści. To towarzystwo Saszki, ona i Nina, jej siostrzyczka-histeryczka! Jura nie zapomniał tamtego Sylwestra. Obraził go wtedy Sasza, ale wywołała całą tę historię Nina, to ona wszczęła awanturę. Z Saszą sprawa załatwiona. Saszę zabrano. Tych też mogą zabrać. Ale on do tego ręki nie przyłoży. Są z tego samego podwórka. Takie uczucie Diakow nazwałby burżuazyjną pseudoucziwością. Ale tu jest jego dom, tu się wychował, tu mieszka jego ojciec i matka, tu wróci jego brat - nie chciał ich otaczać wrogami.

Wspomnienie jednej tylko kobiety budziło w nim wzruszenie. Lena. Nie mógł zapomnieć jej kochającej, pełnej cierpienia twarzy. Była jedynym, obok ojca, człowiekiem, z którym czuł się związany, w którego przywiązanie wierzył. Lena gotowa była poświęcić się dla niego i dowiodła tego. Tamta straszna noc, szpital, i ani słowem, ani westchnieniem nie zdradziła go. Kochała go. Pamiętał tamten ostatni gorący, gorczyczny zapach, który podniecał go jeszcze teraz. Dręczyła go myśl, że Lena może pokochać innego, związać się z innym, wyjść za mąż. Omal nie spowodował jej śmierci, porzucił ją, a jednak tylko on miał do niej prawo. Zmusi ją, żeby do niego wróciła, żeby o wszystkim zapomniała, i znowu uczyni ją swoją.

Liiczył na przypadkowe spotkanie, ale właściwie nie mieli się gdzie spotkać. Wiedział, gdzie Lena pracuje, ale nie wypadało mu iść do niej do pracy. Postąpił tak, jak postępował dawniej, zatelefonował do niej do domu. Niestety, musiał odłożyć słuchawkę, bo do telefonu podszedł Iwan Grigoriewicz.

Następnego dnia zadzwonił do pracy.

Lena nie zdziwiła się albo udała, że się nie dziwi. Ten sam zmysłowy, głęboki głos. Zdrowie? W porządku. Zobaczyć się? No cóż, czemu nie? Tylko że z pracy jedzie wprost na daczę. Trzeba się dzwonić, może udałoby się ściągnąć całą paczkę?

Jura nie zrozumiał.

- Kogo masz na myśli?

Roześmiała się.

- Tak, rzeczywiście... Myślałam o Ninie, ale Nina wyjechała na jakieś seminarium. Może Wadim, zadzwoń do niego.

- Spróbuję - odpowiedział Jura, zdecydowany nigdzie nie dzwonić. - To jak się umawiamy?

- Może w niedzielę?

Odpowiedź niezbyt pewna, ale Lena zawsze tak mówi. Wymawia wyraźnie zakończenia słów, akcentuje sylaby, co nadaje jej odpowiedziom cień niepewności.

Podawała godzinę odjazdu autobusu z placu Teatralnego, numer linii (tak nazywa się ulice w Srebrnym Borze), numer daczki, i wytłumaczyła, jak się idzie od pętli autobusowej, z której autobus odjeżdża z powrotem do Moskwy.

Ani wyrzutów, ani obrażonego tonu, ani radości, ani gniewu, ani zakłopotania. Trochę obraźliwa delikatność. Wyższość arystokratki. Mimo wszystko odpowiadało mu to.

Niepokoili go perspektywa spotkania Iwana Grigoriewicza i Aszchen Stiepanowny, chociaż oboje mogli o niczym nie wiedzieć. Iwan Grigoriewicz nie lubi go, no cóż, dawniej też go nie lubił. A zresztą czy go w ogóle zobaczy? Pójdą z Leną nad rzekę wykąpać się, na obiedzie nie zostanie, musi z nią tylko porozmawiać, wszystko załagodzić, przywrócić dawne stosunki. I niewykluczone, że Lena będzie sama.

Rodzice mogli wyjechać na urlop i zabrać ze sobą Władlena. Może dlatego właśnie zaprosiła go na niedzielę i powiedziała, żeby przywiózł ze sobą Wadima - boi się zostać z nim sama.

Myśl o tym, że za dwa dni, w niedzielę, znowu ją zobaczy, przeniosła go w przeszłość. Przypomniał sobie, jak siedział w gabinecie Iwana Grigoriewicza, a ona przebierała się w swoim pokoju, czekał na nią, serce zamierało w nim z podniecenia. Teraz też był wzruszony, chyba nawet bardziej niż wtedy.

Nowa praca, nowa pozycja, ukryta potęga przydawały Szarokowi pewności siebie. Kiedy jednak przyjechał do Srebrnego Boru, poczuł się onieśmielony. Ulice czy, jak je tu nazywano, linie, różniły się tylko numerami. Równe rzędy sztachet z nawisłymi nad nimi krzakami bzu i jaśminu, jednakowe furtki, też ze sztachet, alejki prowadzące od furtki do domu, ukryte za drzewami i krzakami. Ani szlabanów, ani wartowników, nikogo obcego - jak w rezerwacie.

Furtka nie była zamknięta. Jura przeszedł ścieżką obsadzoną kwiatami i znalazł się przed piętrową daczą, pomalowaną na bladozielony kolor. Dokoła - żywej duszy, cisza. Na dużej werandzie stoi stół, jeszcze nie sprzątnięty po śniadaniu, szklanki, filiżanki, talerzyki. Dużo naczyń, dużo krzesel, a więc Lena nie jest sama.

Stał niezdecydowany przed werandą, nie wiedząc, jak dać znać o sobie. Z okna wyjrzała służąca i popatrzyła na niego pytająco:

- Ja do Leny - powiedział.

- Niech pan obejdzie dookoła - pokazała mu, jak ma iść.

Jura obszedł dom i zobaczył jeszcze jedną werandę, malutką, obrośniętą dzikim winem, usłyszał męski głos i od razu poznał Wadima.

Skąd on się tu wziął? Przecież nie zadzwonił do niego. Dziwny zbieg okoliczności. Czyżby tu był stałym bywalcem? Czy może specjalnie został sprowadzony po to, żeby zapobiec t~ete--a-t~ete?

Zresztą skoro wszyscy są w domu, obecność Wadima jest mu nawet na rękę. Z Wadimem poczuje się tu pewniej, rzeczywiście będzie wyglądał na starego szkolnego kolegę. Widocznie Lena sama zaprosiła tego chłystka, żeby uniknąć niezręcznej sytuacji.

Wszedł po drewnianych schodkach. Na werandzie w wyplatanych fotelach siedzieli Lena i Wadim. Stał tam poza tym okrągły stolik i wąska wiklinowa leżanka, na której usiadł Jura. Weranda przylegała do malutkiego pokoiku.

Jeśli Wika coś wyaplala Wadimowi, to zdradzi go spojrzenie, zmieszanie, zakłopotanie. Ale nie... Wadim jest taki jak zawsze, wstaje, płąsa, przytupuje z gracją słonia, otyły, i jak dawniej mówi tylko to, co wie on i czego nie wiedzą inni. Lena przysłuchuje się uważnie. Zupełnie się nie zmieniła. Wciąż ten sam nieco posępny uśmiech. Ten sam węzeł czarnych włosów na karku, jaskrawoczerwone, lekko odęte wargi. Zachowuje się prosto i naturalnie. I kocha go jak dawniej - od razu to zrozumiał. Serce wypełniła mu duma i radość.



Ale, tak jak dawniej, nie czuje się dobrze w tym dygnitarskim domu, czegoś się boi, dziwne, to jego powinni się teraz bać. Dotąd nie zdołał zrozumieć sekretu władzy tych inteligentów. Dlaczego on powinien służyć im? A nie rozumieć, znaczy - bać się.

Wadim opowiadał, że do Wenecji wyjechała delegacja wioząc cztery filmy: "Baryłeczkę" Michała Romma z Galiną Siergiejewą, "Świat się śmieje" Aleksandrowa z Leonidem Utiosowem w roli głównej, "Czeluskina" Posielskiego, operatorem był Trojanowski, który pływał na "Czeluskinie", i "Nowego Guliwera" Ptuszki.

Wadim dawał do zrozumienia, że on również ma swój udział w wyborze tych filmów, opowiadał ich treść, przepowiadał im powodzenie, szczególnie "Baryłeczce". Z wyjątkiem "Czeluskina" filmy te nie weszły jeszcze na ekrany. Jura i Lena ich nie widzieli, i znowu wyszło tak, że Wadim opowiada o czymś, o czym jemu wiadomo, a innym nie.

Wadim twierdził, że wiele filmów zostało zepsutych przez formalistyczne wygibasy i snobistyczne eksperymenty. Jednakże "Baryłeczka" i "Świat się śmieje" mają duże szanse. Nasz film, mówił Wadim, staje się w prawdziwym tego słowa znaczeniu sztuką dla ludu.

- "Baryłeczka" Maupassanta dla ludu? - zapytał Jura z powątpiewaniem.

- Tak, tak, tak! - wykrzyknął Wadim. - Wyobraź sobie! to jest nie tylko historia prostytutki. To jest film antywojenny, antyfaszystowski. Masy to rozumieją, jest im to potrzebne!

Jura ugryzł się w język. Dla niego "Baryłeczka", tak jak i cały Maupassant, to tylko erotyka. Przeoczył, że Baryłeczką owładnął pruski oficer.

- "Pancernik Potiomkin" też jest dość skomplikowany, a jednak pokazywano go - wtrąciła Lena.

- Tak - zgodził się Wadim - ale do czego doprowadził Eisensteina jego formalizm? "Październik" jest już dla widza w ogóle niezrozumiały, wielki temat został strywializowany. Albo Dziga Wiertow! Oglądaliście jego "Symfonię Donbasu"? To chaos, parodia rzeczywistości. Teraz Wiertow kręci film o Leninie - Wadim wzruszył tęgimi ramionami - dopuścić Dzigę do takiego materiału! To ludzie wybitni, ale najwyższy czas zdecydować się: po czyjej jesteś stronie?

Jura przypomniał sobie, z jakim upojeniem Wadim rozprawiał swego czasu o Henri Regnerze i innych Francuzach, dawał mu nawet do czytania pikantne historyjki z życia francuskich sutenerów.

Może i nie należało docinać Wadimowi, ale chęć odegrania się za "Baryłeczkę" zwyciężyła.

- Twoje gusta się zmieniają, Wadik - powiedział.

- Na lepsze, na lepsze, mój drogi - odpowiedział Wadim wyzywająco. - Wszyscy przechodzimy ewolucję, ale ważne, w jakim kierunku się posuwamy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Jura chmurnie. Agresywność Wadima zaskoczyła go. To nie Wika. Jest pewny siebie.

- Chcę powiedzieć to, co powiedziałem - odparł Wadim opryskliwie. - Człowiek się rozwija, ważne tylko, w jakim kierunku. Każdy bierze przeszkodę, ważne tylko, jaką, dokąd skacze. W szkole moje gusta literackie były jeszcze nie wyrobione, ale ważne jest, do czego doszedłem. W szkole ty nie spieszyłeś się ze wstąpieniem do Komsomołu, a teraz jesteś członkiem partii, i ja taką ewolucję uważam za normalną.

A jednak nie wolno stwarzać konfliktowych sytuacji. Trzeba być miłym, uступliwym, w ten sposób tylko zyska w oczach Leny.

- Świetnie - powiedział. - Może i Eisenstein stanie się kiedyś realistą socjalistycznym.

Wymienił tylko Eisensteina, bał się, że pomyli imię i nazwisko drugiego reżysera. Dziwne nazwisko, dziwne imię. Gdzie spojrzeć, tam Rabinowicze, diabeł się w tym nie połapie!

Lena popatrzyła na niego z wdzięcznością.

- Może stagnacja, o której mówi Wadim, jest zapowiedzią przejścia do kina dźwiękowego?

Wadim z miejsca zaproponował:

- Nie mówiłem o stagnacji, ale jeśli chodzi o kino dźwiękowe, jestem ostrożny w prognozach. Cokolwiek by się powiedziało, kino - to wielki niemowa. Słowo może przekształcić kino w teatr na ekranie. Możecie sobie wyobrazić Charlie Chaplina mówiącego? Bo ja nie.

W Londynie Lena widziała mnóstwo filmów dźwiękowych. Kino dźwiękowe już się tam przyjęło, przyjmie się i u nas. Nie chciała jednak podejmować dyskusji z Wadimem, więc uśmiechnęła się tylko, przypomniawszy sobie, jak na pokazie amerykańskiego filmu widzowie śmiali się z wymowy amerykańskich aktorów.

- No a "Turbina 50000", "Złote góry"? - zapytał Jura pojednawczo, uznając przewagę Wadima.

Wadim uśmiechnął się.

- A czy to są filmy dźwiękowe? To tylko taśmy udźwiękowane muzyką Szostakowicza. Jego muzyka jest interesująca sama w sobie, a także dlatego, że jest oparta na motywach ludowych. To ważne dla rozwoju kompozytora.

Wadim demonstrował swoje rozeznanie, starał się uświadomić Szarokowi, że jest

okopany ze wszystkich stron. Jura zrozumiał to, zrozumiał też, że powodem tych usiłowań Wadima jest strach przed nim. W tym również kryła się przyczyna dziwnej agresywności Wadima. Jura nie mógł powstrzymać uśmiechu, uśmiechnął się do Leny i Lena odpowiedziała mu uśmiechem, dziękując za wyrozumiałość.

- Wykapiemy się przed obiadem czy po?

- Ja nie będę wam towarzyszył - oświadczył Wadim, zerkając na zegarek - muszę jeszcze skoczyć do Śmidowiczów. Wrócę na obiad, jeśli pozwolisz.

Lena poszła się przebrać, zamykając za sobą drzwi. Wadim i Jura zostali na werandzie. Na werandę wychodziło okno pokoju Leny zasłonięte lekką firanką. Firanka powiewała na wietrze, wydymała się i wtedy widać było Lenę, jak podniósłszy ręce do góry ściąga przez głowę suknię. Jura stanął przy oknie, zasłaniając je sobą i przyciskając firankę.

- Jak twoje sprawy, Wadik? - zapytał.

Wadim przekładał książki na stoliku.

- Wszystko po staremu. Nie dzwonisz, nie odzywasz się.

- Jestem bardzo zajęty.

Wadim wziął ze stołu książkę i pokazał Jurze.

- Czytałeś?

- Co to jest?

- Wspomnienia Panajewa.

- Nie pamiętam... Jeśli się nie mylę, miałem kiedyś w ręku wspomnienia Panajewej.

- To jego żona. Oficjalna. W rzeczywistości nieoficjalna żona Niekrasowa. Jej wspomnienia są dość interesujące. A to jest sam Panajew - powiedział Wadim kartkując książkę. - Można tu znaleźć ciekawe rzeczy.

Z sąsiedniej dachy dobiegł przyjemny męski głos.

- "Czemu kocham, o nocy, twoje srebrne lśnienie."

Wadim oderwał się od książki, chwilę słuchał.

- Muzyka Czajkowskiego, słowa Jakowa Połońskiego - powiedział i znowu zabrał się do kartkowania książki.

Wróciła Lena. Była w czerwonym cygańskim sarafanie na ramiączkach, z obnażonymi ramionami i plecami.

Efektowna kobieta, duża, okazała. Taka, jaka mu jest potrzebna.

Lena uśmiechnęła się, zawstydzona swoją nagością.

- Włożyłam kostium kąpielowy, żeby się tam nie przebierać. Idziemy?

- Zaraz, chwileczkę! - zawołał Wadim, który znalazł wreszcie to, czego szukał. - To

bardzo interesujące. Panajew cytuje Bielińskiego. Bieliński mówi: "Potrzebny nam jest Piotr Wielki, nowy genialny despota, który by w imię ogólnoludzkich zasad obchodził się z nami bezlitośnie i nieubłagane. Powinniśmy przejść przez terror. Dawniej potrzebny był kij Piotra Wielkiego, żeby nas uczynić choć trochę podobnymi do ludzi, teraz musimy przejść przez terror, żeby stać się ludźmi w pełnym i szlachetnym znaczeniu tego słowa. Nas, Słowian, nieprędko da się rozbudzić do świadomego życia. Wiadomo, że dopiero jak Pan Bóg zagrzmie, to chłop do pacierza. Tak, moi panowie, mówcie sobie, co chcecie, ale gilotyna to dobra rzecz".

Wadim opuścił rękę z książką.

- No? co wy na to?

Jura milczał, nie wiedział, jak ma zareagować na tę przejrzystą aluzję. Zaskakujące słowa, od Wadika można się tego i owego nauczyć, ale żeby tak wprost...

Sytuację znowu uratowała Lena.

- Czytałam ten fragment. To nie jest pogląd Bielińskiego, tylko Panajewa. Panajew przypisuje go Bielińskiemu.

- To jest dokładny cytat z Bielińskiego - upierał się Wadim. - Te słowa można znaleźć również we wspomnieniach innych autorów, między innymi u Kawielina. Tak, Bieliński był człowiekiem wybitnym, rozumiał, że Rosji potrzebna jest mocna władza. Ale był człowiekiem swoich czasów, dlatego nie wiedział i nie mógł wiedzieć, że ta władza powinna być dyktaturą proletariatu.

Jura pomyślał, że polityczny spryt Wadima jest zaiste godny podziwu

- "Wszak to nie mnie, to innym zsyłasz ukojenie..."

To był ten sam głos z sąsiedniej dachy.

- Ładnie śpiewa - powiedział Jura. - Kto to jest?

- Nasz sąsiad - odpowiedziała Lena. - Pracownik KC. Mikołaj Iwanowicz Jeżow.

Wadim pokręcił głową dając do zrozumienia, że po raz pierwszy słyszy to nazwisko. A już kto jak kto, ale on zna wszystkie nazwiska.

- Nie wiem, kto to jest - wyznał Jura - ale śpiewa pięknie.

- Bardzo sympatyczny człowiek - powiedziała Lena.

\* \* \*

Kiedy zostali sami, Lena powiedziała:

- Nie poznaję Wadima. Nawet boję się go. Zrobił się taki apodyktyczny,

nietolerancyjny, podejrzliwy. Broni władzy radzieckiej! Przed kim? Przede mną? Przed tobą?

Lena zawsze ukrywała swoją szczególną pozycję społeczną i teraz też starała się nie wyróżniać. Niemniej należała do tej grupy ludzi, którzy rządzą państwem, a nie tylko służą mu, tak jak Wadim i jego ojciec. Jura też należy do tych, którzy rządzą państwem, pochodzi z klasy robotniczej, z ludu, a właśnie stąd wywodzą się teraz przywódcy. Dlatego wzięto go do pracy w organach. W domu Leny na ulicy Granowskiego i tu, w Srebrnym Borze, mieszkają znani czekiści, są wśród nich wspaniali ludzie, jej ojciec też był kiedyś członkiem WCzeKa-OGPU. W zachowaniu Wadima było coś nienaturalnego, fałszywego, raziły te jego: "My możemy", "My nie możemy", "To już u Nas jest", "Nasze państwo". Tak mogłaby powiedzieć Nina Iwanowa, ostatecznie Sasza Pankratow, to jest ich świat, oni mają do tego prawo. A Wadim takiego prawa nie ma. Wadim może tylko służyć, i to wszystko.

W momencie, kiedy Lena pomyślała o Saszy, Jura zaczął o nim mówić. Był to czysty przypadek, ale Lena aż się wzdrygnęła.

- Wadim zmienił się po aresztowaniu Saszy - powiedział Jura - od razu to wtedy zauważyłem. Aresztowanie Saszy przestraszyło go. Teraz ze strachu stara się krzyczeć głośniej niż inni.

- Tak - zgodziła się Lena ze smutkiem. - Po aresztowaniu Saszy wszyscy staliśmy się inni.

Tak jak w czasie rozmowy z Bieriezinem Jura zrozumiał, że od tego, co powie o Saszy, zależy bardzo dużo.

- Szkoda Saszy. Nie miałem wtedy racji. Obraził mnie na tamtym spotkaniu w Sylwestra i byłem nieobiektywny.

- Ale co się właściwie stało? - Lena spojrzała na Jurę z ufnością.

Dobierając starannie słowa powiedział:

- Sasza przywykł grać pierwsze skrzypce. W instytucie pierwsze skrzypce grali inni. Sasza przyłączył się do tych, którzy chcieli tamtych obalić. A obalić kierownictwo partyjne chcieli frakcyjniści. Sasza dał się wciągnąć. Trzy lata zesłania to wszystko, co można było dla niego zrobić. Inni dostali wysokie wyroki, więzienie, obóz...

Jego słowa zawierały delikatną aluzję, że on też to i owo zrobił dla Saszy.

- Do pracy w NKWD poszedłem po ukończeniu instytutu, z nakazu, jestem przecież prawnikiem, jak ci wiadomo - ciągnął Szarok. - Zbiegło się to z rozprawą Saszy. Prawdę mówiąc, do ostatniej chwili nie wiedziałem, w jakim charakterze jestem tam wezwany.

- Aż tak?! - zdumiała się Lena. - Ale przecież studiowaliście w różnych instytutach, a

szkoła... W szkole wszyscy się przyjaźnili.

Uśmiechnął się wymownie.

- Lenoczka! Jeśli nie zainteresowali się wszystkimi przyjaciółmi Saszy, to nie znaczy, że nie zainteresowali się niektórymi. Nie zapominaj, że z Saszą mieszkalem w tym samym domu, na tej samej klatce schodowej, dwa lata przepracowaliśmy w tej samej fabryce. Wadik wystraszył się nieprzypadkowo. Kiedy aresztowano Saszę, zmuszony byłem zerwać wszystkie kontakty, w tym również z tobą, nie mogłem przecież dopuścić do tego, żeby Iwan Grigoriewicz miał jakieś kłopoty. Twój ojciec wstawiał się za Saszą, wtrącił się do sprawy, o której był niedostatecznie poinformowany. Na szczęście wszystko się wyjaśniło. Sasza wykręcił się stosunkowo małym kosztem. Jego przyjaciele są wolni od podejrzeń. Tylko Wadik wciąż się denerwuje.

Lena szła obok niego z przechyloną głową. Czy mu wierzyła? Nie miała podstaw, żeby nie wierzyć. Wiedziała przecież nie tylko o tym, jacy wspaniali ludzie pracują w organach, ale i o tym, jakich wspaniałych ludzi te organy przesładują. Dopuszczała ewentualność, że innych wzywano, a jej nie, to też swego rodzaju loteria. I Jura, jak twierdzi, też miał kłopoty, a jednocześnie nie chciał dopuścić do tego, żeby i jej ojciec miał kłopoty, i słusznie, Stalin nie lubi ojca, byle pretekst może doprowadzić do poważnych przykrości. Ktoś inny postąpiłby zapewne inaczej, powiedziałby, wytłumaczył. Ale Jura jest taki, jaki jest. Ważne są pobudki.

Ludzi na plaży było niewiele. Przy brzegu pluskały się rozkrzyczane dzieciaki, na piasku grali w karty opaleni młodzieńcy w kąpielówkach.

Lena zrzuciła sarafan i została w czarnym kostiumie kąpielowym, jakby przyklejonym do ciała: piersi i biodra. Znowu uśmiechnęła się do niego z zawstydzeniem, ale nie odwróciła się, kiedy wkładał slipy, wciągając je pod spodenki.

- Chodźmy dalej, tam jest głębiej - powiedziała.

Płynęła zagarniając wodę zgiętymi w łokciach rękami, z nisko, aż do samej wody opuszczoną głową, odwracając ją to w lewo, to w prawo. Jura nie znał tego stylu. Sam pływał po kozacku. Był zdumiony, widząc, jak dobrze pływa Lena. Ujrzał ją jakby od nowej, nie znanej mu dotąd strony. Obawa, że przywrócić dawne stosunki nie będzie ani łatwo, ani prosto, zaczęła się zakradać do jego serca.

Potem leżeli na piasku wystawiając do słońca nagie plecy. Położywszy głowę na splecionych ramionach, Lena zerkała na niego z ukosa, a jemu znowu zaczęło się wydawać, że kocha go jak dawniej.

A ona rzeczywiście go kochała. Może dlatego, że tej miłości nie zastąpiła żadna inna?

Poza tym była naturą namiętną, a Jura był jej pierwszym i jak dotąd jedynym mężczyzną. Cierpienia, jakie jej zadał, tylko pogłębiły to uczucie, bo przecież on również cierpiał.

- Kiedy się spotkamy? - zapytał.

Odpowiedziała zwyczajnie:

- Kiedy zechcesz.

Mógłby ją przyprowadzić do siebie, do swego pokoju. Ojciec skrzywi się, matka załamię rękę, nie szkodzi, przeżyją to jakoś. Ale powstrzymywała go prymitywna męska ostrożność. Odnowić stosunki - owszem, ale nie angażować się zbytnio. Po raz drugi nie wywinie się tak łatwo.

Gdzież więc mogliby się spotkać? Dokąd ją zaprosić? Istniała tylko jedna możliwość - mieszkanie Diakowa. Diakow praktycznie mieszkał u żony na Zamoskworieczju. Niezbyt to odpowiednie miejsce na randki. Jeśli Lena się dowie... Ale nie dowie się. Pościel stara, brudna, nie był nawet pewien, czy powleczona. Nie szkodzi. Prześcieradła przywiezie z domu w teczce.

- Wiesz, chodzi o to - powiedział - że u nas w mieszkaniu jest remont, śpimy wszyscy razem, koczujemy z pokoju do pokoju, targamy rzeczy ze sobą. Mam znajomego kolegę z instytutu, akurat wyjechał na urlop, dał mi klucze do pokoju. Moglibyśmy tam posiedzieć.

- Dobrze - zgodziła się Lena.

Zoja wpadła w cielący zachwyty na wiadomość, że Waria tańczyła w “Metropolu” z Lowoczką. Nazywa się Siniawski, jest kreślaczem w biurze konstrukcyjnym, bardzo sympatyczny, morowy chłopak, w pracy zawsze chętnie pomoże. A jak się ubiera! U najlepszych krawców. A jak tańczy! Nie gorzej niż słynny Wagan Chrystoforowicz. Ta ładna grubaska, która siedziała z Lowoczką, też jest kreślarką. Na imię jej Rina.

Zoja przypochlebnie zaglądała Wari w oczy. Zawsze marzyła o tym, żeby się wkręcić do towarzystwa Lowoczki, i nie udawało jej się. Co to znaczy być ładną, wszystko samo wpada w ręce, bez żadnych zabiegów.

- Ach - westchnęła szczerze. - Ale masz szczęście.

Wari Lowoczka podobał się nieszczęśliwie - jakiś taki niemęski. Ale tańczył cudownie i w ogóle to swój chłopak, tak jak cała ich paczka. To nie Wika ze swoim Witalikiem i nie tamte dziwki z ich cudzoziemcami. Jedyną osobą, która zrobiła na Wari wrażenie, był Igor Władimirowicz, ale ma już trzydzieści pięć lat i w jego obecności czuła się skrępowana. Z nim wszystko musiałoby być na serio, a ona nie mogłaby pokochać takiego starego i nie chciała mu zawracać głowy. To człowiek szlachetny, budzący szacunek i wstyd byłoby sprawić mu przykrość. Waria miała własny kodeks etyczny, wiedziała, co wolno, a czego nie wolno.

Liczyła na to, że Lowoczka przyjmie ją do swojej paczki, i czekała na zaproszenie. Zaproszenie przyszło nie od razu, jakieś dwa tygodnie po tym, jak go poznała w “Metropolu”.

Przybiegła podekscytowana Zoja i oświadczyła tryumfalnie, że jutro cała paczka spotyka się w parku “Ermitaż” i że one też są zaproszone.

Wkrótce potem zadzwoniła Wika i zaproponowała, żeby następnego dnia wieczorem pójść w towarzystwie Igora Władimirowicza do restauracji “Kanatik”.

- Nie mogę - odpowiedziała Waria - idę do “Ermitażu”.

- Ciekawe, z kim?

- Z paczką Lowoczki. Angażują mnie do pracy.

- I dlatego musisz z nim iść? Zadzwoń i powiedz, że nie możesz, Mówię ci przecież, że pójdzie z nami Igor Władimirowicz.

- Nie mogę. Obiecałam i nie mogę im sprawić zawodu.

- Ale ja też obiecałam - oburzyła się Wika. - I nie jakiemuś tam gówniarzowi Lowoczce, tylko Igorowi Władimirowiczowi. Nie myślałam o sobie. Podobasz mu się. On jest



nieżonaty.

- Wybacz - odpowiedziała Waria - może innym razem. Dzwon. Cześć - i odłożyła słuchawkę.

Tak jak wtedy w "Metropolu", również i tu, w "Ermitażu" kompania Lowoczki to powiększała się, to zmniejszała, różni ludzie podchodzili, znikali, znowu wracali. To naturalne, niekoniecznie przecież trzeba spacerować gromadą. Zresztą oni nawet wcale nie spacerowali, po prostu stali przy głównym wejściu, żeby widzieć wszystkich i żeby wszyscy widzieli ich.

Towarzystwo męskie: Lowoczka, dwóch chłopaków z pracowni projektowej - Wola mały i Wola duży, przystojny młody człowiek o dziwnym imieniu Ika, następnie Willi Long, syn działacza Kominternu wysokiego szczebla, osiłek z twarzą chuligana, i wreszcie Miron, asystent słynnego nauczyciela tańców, Wagana Chrystoforowicza, kędzierzawy chłopak o duszy biznesmena. Jedyłą stałą dziewczyną w tej paczce była pulchniutka Rina, dziewczyna-piegus, piegi pokrywały jej skórę niczym opalenizna, i wyglądało to bardzo sympatycznie. Wola duży mówił, że to pocałunki słońca. Rina przyszła na świat, żeby się bawić, emanowała radość wraz z piegami, jej rude włosy płonęły jak nasturcja.

Inne dziewczyny przewijały się w towarzystwie przypadkowo. Taką przypadkową dziewczyną była tego dnia i Waria. Nikt jednak nie traktował jej jak nowicjuszki. Nikt się tu do nikogo nie zalecał, wszyscy byli równi, dziewczęta i chłopcy, zwykli kreślarze, jak Zoja. Obiecali Wari, że pomogą jej się zaczepić w pracowni Szczusiewa, projektującej aktualnie hotel "Moskwa", gdzie pensje były nie mniejsze niż w pracowniach projektujących obiekty przemysłowe.

Lowoczka, chłopak o twarzy cherubina, uśmiechał się sympatycznie, pokazując ukośny ząb, Rina też uśmiechała się jak słoneczko, wszyscy o czymś paplali, lustrowali i obmawiali przechodzące dziewczęta, robili to na wesoło, bez cienia wulgarności, i dziewczęta nie obrażały się.

To oni byli panami parku, ci chłopcy bez pieniędzy, nawet tutaj przyszli bez kart wstępu, ale mimo to zaraz pojedą do jakiejś restauracji potańczyć. Kędzierzawy Miron, dobroduszny biznesmen, coraz to gdzieś zniknął, kręcił coś, wciąż mówił o jakimś Kostu, ale nikt się nie denerwował, wszyscy byli pewni, że tak czy inaczej do restauracji pojedą.

Waria czuła się w tym towarzystwie lekko i swobodnie, widziała, że podoba się chłopcom, milczącemu Ice, Lowoczce, ale nie miała pewności, czy ją zabiorą do restauracji, tym bardziej z Zoją. Zoja była tu intruzem, zachowywała się hałaśliwie, była podekscytowana i jak zawsze w takich wypadkach reszta towarzystwa próbowała jej się

pozbyć.

Nie opodal wejścia stał nieduży stolik, przy którym siedział mężczyzna z bródką. Na stoliku leżał plik kopert i ołówki, i stała tabliczka: "Grafolog D. M. Zujew-Insarow. Badanie charakteru na podstawie charakteru pisma. Cena pięćdziesiąt kopiejek".

- Ja już dawno chciałam się dowiedzieć, jaki mam charakter - oświadczyła nagle Zoja. - Są jeszcze chętni?

Rina ze zdumieniem uniosła brwi.

Willi Long westchnął z politowaniem, rozłożył ręce.

- Szkoda, że nie ma karuzeli, bo byśmy sobie pojeździli - powiedział.

Waria zrozumiała, jaką gafę strzeliła Zoja. W oczach ferajny to była rozrywka rodem z wesołego miasteczka.

Zoja podeszła do stolika, zawołała Warię.

- Waria, chodź tu!

Jeśli nie podejdziesz do Zoi, może zaproszą ją do restauracji, myślała Waria, jeśli podejdziesz, zostanie odtrącona razem z Zoją.

Mimo to podeszła do stolika grafologa. Przekartkowała księgę pamiątkową... Maksym Gorki, Łunaczarski, znani aktorzy... "Zujewowi-Insarowowi zdemaskowany Jaron".

Zoja napisała tekst na kopercie, podała ją grafologowi, skinęła na Warię.

- Pisz - powiedziała.

- Nie chcę - wymówiła się Waria. Miała zaledwie osiem kopiejek na tramwaj. Zresztą jak można określić charakter, w dodatku na podstawie kilku słów napisanych na kopercie? Bzdura!

Ale Zoja już wręczyła grafologowi rubla.

- Za mnie i za nią - powiedziała.

Waria napisała tekst i obie wróciły do towarzystwa. Nikt im słowa nie powiedział, normalna rzecz, każdy mógł odejść i wrócić.

Zjawił się Miron, bąknął coś niewyraźnie i znowu znikł.

Korzystając z tego, że Zoja zajęta była rozmową z którymś z chłopców, Rina szepnęła Wari:

- Jedziemy do "Savoyu", ale bez Zoi.

- A cóż ja z nią zrobię?

Rina wzruszyła ramionami: to twoja sprawa, ciebie zabieramy, a jej nie, radź sobie, jak chcesz. Uśmiechając się słonecznie, Rina odwróciła się, jakby w ogóle nic nie mówiła.

I zaczęli się rozchodzić, nie wszyscy naraz, lecz pojedynczo, zręcznie i niepostrzeżenie,

jak sztukmistrze... A teraz proszę otworzyć oczy - nikogo nie ma...

Zoja i Waria zostały same.

- Ulotnili się - wyszeptała Zoja i rozplakała się.

- A ty myślałaś, że cię odwiozą samochodem - zapytała Waria z kpiną. - Albo karetą...

- Świnie - powiedziała Zoja ponuro. - A największa świnia to Rina. Zarozumiały piegus.

Rudzielec.

Ruszyły alejką, zmieszały się z tłumem - tłum był gęsty i w teatrze, i przed estradą, gdzie występowała orkiestra dżezowa Cfasmana i gdzie właśnie ogłoszono przerwę. Znudzone okrążyły dwa razy ogród i nagle zobaczyły Ikę na tym samym miejscu, na którym pętali się cały wieczór.

- Dziewczęta! - krzyknął Ika. - A ja was szukam... Chodźmy, szybko!

- Dokąd? - zapytała Waria.

- Do "Savoyu". Czekaliśmy na przystanku, a was nie ma i nie ma. Wszyscy pojechali, a mnie posłali po was.

- Nikt nam o niczym nie mówił - powiedziała Zoja.

- To już nie wiem - Ika nie chciał nic tłumaczyć. - Chyba czegoś nie zrozumieliście. Chodźmy, szybko!

Towarzystwo siedziało już przy dużym owalnym stole. Przybycie Wari i Zoi nie wywołało specjalnego wrażenia, przyszłyście - to siadajcie. Tak więc Waria nie dowiedziała się, czy Ika wrócił po nie z własnej inicjatywy, czy mu kazano.

Przy stole toczyła się rozmowa o jakiejś Alewtynie, którą zabił z zazdrości mąż bucharczyk. Rina była na rozprawie.

- Uratował go obrońca Braude - opowiadała. - Gadał tak, że sędziowie słuchali z rozdziawionymi ustami. "Obrotowe drzwi hotelu "National" wciągają nasze dziewczęta w błędne koło restauracyjnego życia". - Rina pokręciła ręką, pokazując, jak obracające się drzwi wciągają dziewczęta w błędne koło restauracyjnego życia.

- Zabił kobietę i dostał za to zaledwie dwa lata! - oburzyła się Zoja.

- I to pewnie z zawieszeniem z uwagi na niski poziom kulturalny.

Lowoczka uśmiechnął się jak cherubin, obnażając sympatycznie ukośny ząb.

- A jeśli będziemy wchodzić nie głównym wejściem, nie przez drzwi obrotowe, to nie zostaniemy wciągnięci? - zapytał.

- Na całym świecie ludzie spędzają wolny czas w restauracjach i kawiarniach - zauważył Willi Long.

Wola mały zasłonił twarz rękami i kiwając się jak muzułmanin w czasie modlitwy zamruczał:

- Biedna Alewtyna, nieszczęsna Alewtyna, za co ją zarznął dziki bucharczyk, zarznął ją jak kurkę, zarznął ją jak kurczaka...

- Kurczę pieczone, kurczę smażone - zaśpiewał Wola duży - kurczątko także chciało żyć...

- A jeśli zlikwidować drzwi obrotowe i wstawić zwyczajne, to błędnego koła nie będzie?

- Zapytał znowu Lowoczka.

Zjawił się Miron i siadając przy stole zakomunikował:

- Kończy partię, zaraz przyjdzie.

- Idzie! - oznajmił siedzący twarzą do drzwi Willi.

Do ich stołu zbliżał się mężczyzna, wyglądający na lat dwadzieścia osiem, krępy, barczysty, z małutkimi wąsikami, w lśniących lakierowanych półbutach i we wspaniale skrojonym garniturze, który leżał na nim trochę niedbale, a więc lepiej niż na nienagannie ubranym Lowoczce. Kroczył przez salę lekkim, pewnym, ale trochę jakby nerwowym krokiem, kiwał głową znajomym i odpowiadał z uśmiechem na powitania. Był to Kostia,

znakomity bilardzista, o którym przelotnie wspomniał Miron w "Ermitażu".

Towarzystwo przywitało go hałaśliwie. Kostia powoli powiódł wzrokiem po obecnych. Dziwny to był wzrok, łobuzerski, a zarazem nieufny, jakby pytał, co to za ludzie tu siedzą, choć znał ich wszystkich jak zły szeląg. Jego wzrok zatrzymał się tylko na osobach nieznanym - Wari i Zoi.

Usiadł koło Wari.

- Nic nie zamówiliście - stwierdził.

- Rina opowiadała o Alewtynie, była na rozprawie - pospieszył wyjaśnić ugrzeczniony Lowoczka.

Prostolinijny Ika sprostował gburowato:

- Czekaliśmy na ciebie.

Kostia spojrział uważnie na Ikę i powiedział:

- Szkoda Alewtyny, sympatyczna z niej była dziewczyna. Ostrzegalem ją - nie zadawaj się z bucharczykiem, ale nie chciała mnie słuchać.

Mówił wolno, wyraźnie, rozciągając wargi i odrobinę zaciągając, tak jak się mówi na południu Rosji. Oczy miał ciemnopiwe, włosy w ciepłym, jasnozłocistym kolorze.

Popatrzył na Warię:

- Dziewczyny pewnie zgłodniały...

- Mnie się nie chce jeść - powiedziała Zoja krygując się.

- A mnie się chce - oświadczyła Rina. - Strasznie. Zaraz wszystko zjem.

- Przekąsić coś trzeba - zauważył Ika.

Wyglądało na to, że on jeden nie był uzależniony od Kosti.

Podszedł kelner.

- Na razie przynieś papierosy - zwrócił się do niego Kostia.

- "Hercegowinafleur"?

- Tak.

Mówił i robił wszystko z umyślną powolnością. Wszyscy chcieliby jak najprędzej coś zjeść, on wie o tym, ale nie spieszy się.

Paznokciem otworzył pudełko, bez słowa rzucił na stół. Tylko Warię zapytał:

- Pani pali?

W jego głosie dosłyszała jakby oczekiwanie odmowy, widocznie wolałby, żeby nie paliła.

Ale Waria wzięła papierosa.

- Myślałem, że pani nie pali.

- Cóż za rozczarowanie! - roześmiała się Waria jak prawdziwa kokietka.

Kostia wolno odwrócił od niej wzrok i rozciągając słowa zapytał:

- No więc co będziemy jeść, co będziemy pić?

Lowoczka zaczął czytać kartę. Kostia przerwał mu:

- Sałatka, galareta - ogarnął wzrokiem stół, policzył obecnych - dwie butelki wódki, jedna muskatu. Czerwony czy różowy?

- Lepiej czerwony - powiedziała Rina.

Zwrócił się do Wari:

- A pani?

- Mnie wszystko jedno.

- A więc dwie butelki wódki i jedną czerwonego muskatu. Na drugie - zapiekany karp.

- O-o! - mruknął Willi Long.

- Kostia, nie szarżuj - odezwał się Miron.

- Ja stawiam - odparł Kostia.

- Dzisiaj są pana urodziny? - zapytała Waria poważnie.

- Tak. Urodziny. W pewnym sensie.

Ten człowiek zmierza prosto do celu. On nie będzie się zachwycał wykrojem jej oczu. Ale spotka go odprawa. Na razie nie jest to konieczne, to tylko popisy.

Zjawił się jakiś typ z gębą bandyty, pochylił się nad Kostią, zaczął mu coś szeptać do ucha.

- Nie - odparł Kostia. - Na dzisiaj starczy.

Typ oddalił się, rozpląnął w powietrzu.

Nieoczekiwanie dla Wari i niepostrzeżenie dla innych Kostia wziął z jej kolan torebkę, włożył do niej plik banknotów i powiedział półgłosem:

- Żeby już dzisiaj więcej nie grać.

Waria zmieszała się. Jeśli zechce grać, to po prostu zabierze pieniądze, jeśli nie zechce, to może je trzymać w kieszeni. Prymitywne cwaniackie zagrania. Okazuje jej zaufanie, żeby ją zrobić swoim współnikiem. Pewnie tak właśnie złodzieje dają pieniądze swoim manom. Ale zwracać pieniędzy otwarcie nie wypadało, a zrobić to niepostrzeżenie, jak zrobił to on, nie potrafiłaby. Pieniądze zostały w torebce. Była jednak niezadowolona.

Kelner ustawiał na stole alkohol i zakąski. Kostia obserwował to okiem gospodarza, który lubi ładnie nakryty stół. W "Metropolu" i "Ermitażu" ich towarzystwo ciągle się zmieniało, jedni odchodzili, inni przychodzili, panował harmider i rozgardiasz. Tu wszyscy siedzieli przykładowie. I Waria zrozumiała, że to nie jest towarzystwo przypadkowe, jak jej

się początkowo wydawało, lecz skupione wokół Kosti, że to jest jego paczka. Tylko Miron pozwalał sobie na oddalanie się w jakichś swoich biznesmeńskich sprawach i Ika, demonstrując swoją niezależność, przysiadł się do sąsiedniego stolika.

Kucharz w białym fartuchu i wysokim białym kołpaku przyszedł z sadzem, na którego dnie rzucała się żywa ryba.

- Jak się nazywa ta ryba? - zapytał Kostia Warię i ostrzegawczo podniósł palec, żeby nikt nie śmiał podpowiadać.

- Przecież zamawiał pan karpia - odparła Waria - więc to pewnie karp.

- Ale jaki karp? Zwyczajny czy lustrzany?

- Nie mam pojęcia.

- To karp lustrzany, czyli lustrzeń - wyjaśnił Kostia. - Grzbiet ma wysoki, ostry, widzi pani, i dużą łuskę. A zwyczajny karp ma grzbiet szeroki i łuskę drobną. Jasne?

- Jasne. Dziękuję. Teraz już mogę zdawać na ichtologię.

Kostia skinął głową kucharzowi i ten oddalił się ze swoją rybą.

- Pan jest wędkarzem? - zapytała Waria.

- Nie jestem wędkarzem, tylko rybakiem, z Kerczu, mój ojciec, też jest rybakiem i dziadek był rybakiem, już jako mały chłopak wypływałem w morze na połowy.

- Od kiedy to karp jest rybą morską? - zapytał Ika wracając do stolika.

- Ja nie wypływałem w morze po karpie - Kostia rozciągnąwszy wargi patrzył gniewnie na Ikę. - Ja łowiłem taranie. Wiesz, jaka jest różnica między taraniem a płotką kaspijską? Nie wiesz? Patrz, przyszła orkiestra, idź zatańcz, później ci wytłumaczę. Waria tańczyła z Lowoczką, z Iką, z Willim. Kostia nie tańczył, nie umiał. I to nie wydawało się już Wari takim mankamentem, a nawet korzystnie wyróżniało Kostię spośród innych. Siedział przy stole sam i unosił głowę tylko po to, żeby spojrzeć na Warię i uśmiechnąć się do niej. Wari zrobiło się go żal: bawią się na jego koszt, a zostawili go samego, tańce są dla nich ważniejsze niż kolega.

Kiedy wszyscy wstali do następnego tańca Kostia przytrzymał ją za rękę.

- Niech pani ze mną posiedzi - poprosił.

Waria została.

- Pracuje pani czy uczy się?

- Skończyłam szkołę, teraz idę do pracy.

- Dokąd?

- Do biura projektów. Skończyłam szkołę o profilu kreślarsko-konstruktorskim.

- A uniwersytet?

- Na razie się nie wybieram.

- Dlaczego?

- Stypendium za małe. Wystarczy panu taka odpowiedź? I w ogóle co za rozmowa. Pan też jest projektantem?

- Projektantem? - zapytał z krzywym uśmiechem. - Nie.

- Bilardzistą?

Pochwyił w jej tonie ironię, spojrzał na nią ciężkim wzrokiem, w jego oczach mignął gniew, ale opanował się. Wolno, przeciągając słowa, powiedział:

- Bilard to nie jest zawód. Bilard to, jak mówił pewien wykształcony człowiek, sztuka.

- A ja myślałam, że bilard to gra - zaproponowała. Miała ochotę go trochę podrażnić, niech nie zadziera nosa.

- Moja specjalność to medyczny sprzęt elektrotechniczny - powiedział poważnie - soluks, lampy kwarcowe, bezcieniowe, wiertarki dentystyczne. Lubi pani wiertarki?

- Nienawidzę.

- Ja też. Naprawiam je. - Widocznie uznał, że powiedział o sobie wystarczająco dużo, bo spytał:

- Od dawna zna pani Rinę?

Chciał się widocznie dowiedzieć, w jaki sposób znalazła się w jego paczce.

- Skądże, poznałam ją dopiero dzisiaj. Pracuje razem z Zoją, a my z Zoją mieszkamy w tym samym domu.

- W tym samym domu? - zdziwił się nie wiadomo dlaczego. - A gdzie?

- Na Arbacie.

- Na Arbacie? - znowu się czemuś zdziwił. - Z tatusiem i mamusią?

- Ja nie mam ani tatusia, ani mamusi, od dawna nie żyją. Mieszkam z siostrą.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Kawiarniane panienki starają się uchodzić za istoty szczególne, albo w czepku urodzone, albo naznaczone przez los. Być sierotą w siedemnastym roku życia to też jest los szczególny.

Ale dziewczyna, która siedziała obok niego, nie była kawiarnianą panią.

- A moi wszyscy żyją - powiedział. - Ojciec, matka, czterech braci, trzy siostry, dziadek, babcia, proszę, jaka rodzina.

- I wszyscy mieszkają w Kerczu?

- Nie, przenieśli się - odparł wymijająco. - A w Moskwie nie mam nikogo. I niczego. Nawet mieszkania.

- To gdzie pan mieszka?



- Wynajmuję pokój w Sokolnikach.

Waria zdziwiła się.

- Ma pan tylu przyjaciół i nie mogą się dla pana postarać o pokój w śródmieściu?

Przyszło jej do głowy, że mogłaby mu załatwić mieszkanie u Sofii Aleksandrowny, sublokatorka miała się niedługo wyprowadzić. Kosti naturalnie nie należało o tym mówić, póki nie porozumie się z Sofią Aleksandrowną, ale chęć dokuczenia jego niewdzięcznym przyjaciołom wzięła górę.

- To nic pewnego, ale zapytam pewną osobę w naszym domu. Ma wolny pokój, może zgodzi się panu wynająć.

Kostia znowu spojrzał na nią z niedowierzaniem.

Wyglądało na to, że dziewczyna mówi poważnie.

- To byłoby cudownie - powiedział. - To byłoby po prostu wspaniale. Ta pani ma telefon?

- Najpierw muszę sama z nią porozmawiać.

Kostia roześmiał się.

- Źle mnie pani zrozumiała. Nie mam zamiaru do niej dzwonić. Muszę mieć mieszkanie z telefonem ze względu na moją pracę.

- Telefon ma.

Niepotrzebnie powiedziała mu o tym pokoju. Może nic z tego nie wyjdzie.

- Jak to się stało, że z rybaka przedzierzgnął się pan w elektryka?

- Jaki tam ze mnie rybak! Mieszkałem na wybrzeżu, to i byłem rybakiem.

- A ja nigdy nie byłam nad morzem - powiedziała Waria.

Zdziwił się.

- Ani razu nie widziała pani morza?

- Tylko w kinie.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- A chciałaby pani zobaczyć? - zapytał.

- No pewnie!

Muzyka umilkła. Wszyscy wrócili do stołu.

Kostia odchylił się na oparcie krzesła, uniósł w górę kieliszek.

- Proponuję wypić za nasze nowe znajome - Warię i Zoję!

- Hura-a! - krzyknął Wola mały kpiąco.

Toasty rzeczywiście niezbyt pasowały do tego towarzystwa, w dodatku ten był wzniesiony jakby nie w porę, zjedli już wszystko i wypili, na stole panował rozgardiasz,

podchodzili jacyś ludzie, przysiadali się, rozmawiali.

Obok Kosti wyrósł jakiś młodzieniec w okularach, o twarzy profesora. W ręku trzymał banknot, sądząc po kolorze, dziesięciorublowy. Młodzieniec zapytał:

- Parzyste czy nieparzyste?

- Nie gram - odparł Kostia.

Potem zmienił zdanie.

- Poczekaj! Wariu, niech pani sobie coś pomyśli. Jakieś życzenie. Pomyślała pani?

- Tak - odparła Waria, choć nic nie pomyślała.

- Teraz niech pani powie: parzyste czy nieparzyste?

- Parzyste.

- Parzyste - powtórzył młody człowiek.

- Parzyste - potwierdził Kostia.

Młody człowiek położył banknot na stole. Waria nic nie rozumiała. Kostia uśmiechnął się, wziął banknot i powiedział do Wari:

- Ja wygrałem pieniądze, a pani życzenie. Co pani pomyślała?

Powiedziała pierwsze, co jej przyszło do głowy:

- Żeby mnie przyjęli do pracy.

- To mogła sobie pani darować, i tak by panią przyjęli.

Był wyraźnie rozczarowany.

- Co to za gra? - zapytała.

Kostia rozprostował banknot i pokazał jej numer: 341672.

- Sześć liczb, pani wybrała parzyste: cztery, sześć, dwa, razem dwanaście. Dla niego zostały nieparzyste: trzy, jeden, siedem, razem jedenaście. Pani ma więcej, pani wygrywa, pieniądze należą do pani. Gdyby on miał więcej, musielibyśmy mu dać dziesięć rubli. Jasne?

Waria roześmiała się.

- Wyższa matematyka to nie jest.

- Tym lepiej: otworzysz dłoń i zaraz widać - wygrałeś czy przegrałeś? - powiedział Kostia z dziecinną radością.

- A jak się nazywa ta skomplikowana gra?

- Ciuchcia. Nie chemin de fer, tylko zwyczajnie ciuchcia.

- Ciuchcia po sawojsku - powiedziała Waria.

Kostia roześmiał się.

- Słyszycie? Słyszysz, Lowa? Ciuchcia po sawojsku.

- Miała pani na myśli "Savoy" czy "La Savoie"? - zapytał Ika z uśmiechem, dając do zrozumienia, że nikt oprócz nich dwojga, a już najmniej Kostia, nie rozumie różnicy między restauracją "Savoy" a oryginalną, francuską nazwą Sabaudii.

- Miałam na myśli restaurację "Savoy" - odparła Waria, rozdrażniona tym, że Ika pokpiwa sobie z Kosti.

- No pewnie, że restaurację "Savoy" - podchwycił Kostia.

Miał szybki refleks i w mig uchwycił różnicę, chociaż rzeczywiście pojęcia nie miał, co to jest "La Savoie". Siedział, odchyliwszy się od stołu, z ręką na oparciu krzesła Wari, ale nie dotykając jej.

Chce ją zdobyć i robi to prymitywnymi metodami, jest zuchwały, uparty, ale potrafi nad sobą panować. Waria rozszyfrowała wszystkie jego chwytaki. Ale nie chciała go obrażać, ostatecznie ona również, tak jak i inni, ucztowała tu na jego koszt. Poza tym na swój sposób podobał jej się: ma nie tylko gest, ale i dobre serce. Jest otwarty.

Zagrała muzyka, wszyscy poszli tańczyć, a on znowu ją zatrzymał.

- Naprawdę nigdy nie była pani nad morzem?

- Już mówiłam, że nie.

Wolno, patrząc jej w oczy, powiedział:

- Pociągiem do Sewastopola, autobusem wzdłuż wybrzeża do Jałty. Jedziemy jutro, póki jeszcze mamy pieniądze - wskazał na torebkę. - Pociąg odchodzi w dzień, zabierz rzeczy niezbędne, kostiumy kąpielowe, sukienkę plażową, wszystko to zresztą można kupić na miejscu.

Waria nie posiadała się ze zdumienia. Jak on śmiał zaproponować jej coś takiego? Czyżby mu dała powód? Jaki?

- Nie ma pan z kim spędzić kolejnego urlopu? - zapytała wkładając w te słowa całą pogardę i całą ironię, na jakie ją było stać.

Uniósł dumnie głowę i powiedział dobitnie:

- Ja nie miewam kolejnych urlopów, ja sam sobie wyznaczam urlopy, od nikogo nie jestem zależny.

Teraz zrozumiała, co ją w nim tak pociągało: jest niezależny i proponuje, żeby dzieliła z nim tę niezależność. Rozumiała, do czego się zobowiąże, wyrażając zgodę. Ale tego się nie bała. To musiało prędzej czy później nastąpić. Bała się czego innego. Jest graczem, wygrał pieniądze i teraz chce je przepuć z porządną panienką.

Dając do zrozumienia, że proponuje jej nie tylko tę podróż, Kostia powiedział:

- Inne rzeczy kupimy po powrocie.

Waria milczała zastanawiając się, potem powiedziała:

- Jak mogę z panem pojechać, skoro pana zupełnie nie znam?

- To mnie poznasz.

- A dlaczego pan mi mówi "ty", przecież nie piliśmy bruderszaftu?

Sięgnął po butelkę.

- Możemy wypić - powiedział.

Odsunęła jego rękę i rozumiejąc banalność swoich słów, ale nie znajdując innych, zapytała:

- Za kogo mnie pan bierze?

- Biorę cię za to, kim jesteś. Jesteś uroczą, porządną dziewczyną - powiedział szczerze i położył dłoń na jej dłoni.

Spokojnie i wyniośle spoglądał na rozbawioną salę, niezależny, mocny człowiek przy pieniądzech, siedzący obok dziewczyny, jedynej tu osoby, której ufał i którą cenił. Ideały wprawdzie nie istnieją, ale ten nie będzie stał na baczność i pożerał władzy oczami, nie będzie taszczył pod konwojem swojej walizki po peronie.

Nie patrząc na Warię Kostia nagle powiedział:

- Może przy tobie i ja stanę się człowiekiem.

Spochmurniał. I odwrócił się.

- Dobrze - powiedziała Waria - pojedę.

Sasza założył szelkę i zdziwił się, jak lekko idzie pod prąd duża załadowana łódź. Dzięki linie przerzuconej przez łączek, wysoką żerdź umocowaną na dziobie, łódź zachowywała odpowiednią pozycję, szła równolegle do brzegu lekko, bez myry, jak Nił Ławrientiewicz, poczciarz, nazywał falę.

Na drugi brzeg przeprawiali się na wiosłach. Sasza i Borys siadali na ławce, wsuwali wiosła w dulki i napierali na nie ze wszystkich sił, bo prąd był tu silny. Ale nawet w farwaterze widać było kolorowe otoczaki na dnie, tak czysta i przejrzysta była woda. Tylko jej kolor się zmieniał w zależności od pogody, był to stalowoszary, to ciemnogrnatowy, to błękitnozielony.

- Pobieźmy żwawo - dowcipkował Nił Ławrientiewicz. - Chłopaki młode.

Nił Ławrientiewicz, skrętny chłopak o drobnej ruchliwej twarzy, trudnił się kiedyś wydobywaniem złota nad Leną, walczył w partyzantce, a teraz pracował w kolchozie. O partyzantce opowiadał mętnie, znał ją pewnie ze słyszenia, łgał, ale co się tyczy złota, to mówił prawdę. Nad Angarą kawalerka zwykła chodzić do kopalni złota na zarobek. Wrócił taki z obrączką na ręce, czyli że był w kopalni złota i może się żenić. Tak też i Nił Ławrientiewicz: popracował w kopalni, wrócił, ożenił się, założył gospodarstwo - na sześć krów. W tych stronach nawet przy dziesięciu krowach nie było się kułakiem, tym bardziej że parobków nie wynajmował, wirówki do mleka nie miał, z Tunguzami nie handlował. Jesienią wyprawiał się do lasu, polował na popielice, przez zimę potrafił zdobyć sześćset do siedmiuset skórek. Teraz popielice przeniosły się na północ, zostały przetrzebione przez sobole, poza tym trzeba pracować w kolchozie. Dawniej chłop pomachał kosą na łące, i to wszystko, reszta roboty w gospodarstwie spoczywała na kobietach. Teraz chłop czy baba - żadnej różnicy, w kolchozie praca jednaka.

Tak oto, słuchając gawędzenia Niła Ławrientiewicza, posuwali się brzegiem wzdłuż nawisających skał, po kamienistych osypiskach, albo jeśli skały podchodziły do samej wody - to rzeką w bród. Za dnia słońce stało wysoko nad głową, pod wieczór opadało za las i wtedy na brzeg kładły się liliowe smugi.

Od czasu do czasu pokaże się samotna łódź rybacka, mignie przy brzegu drewniany spławik - znak, że gdzieś tu w pobliżu założono pułapkę, czyli mordę, przepłynie w oddali płaskodenna krypa ze stojącym w niej koniem i znowu długo ani żywej duszy - ni człowieka, ni zwierzęcia, ni ptaka. Szumiały bystrza, jak szumi tajga w czasie silnego wiatru, woda przelewała się przez głazy i bloki skalne, kipiała w wirach, bryzgi mieniały się

w słońcu. Na bystrzach łódź ciągnęli wszyscy, a Nił Ławrientiewicz stojąc w łodzi kierował wiosłem sterowym. Nawet jego żona, chorowita, milcząca kobieta, opatulona dużą chustką, też zakładała szelki i ciągnęła.

Borys, który obtarł sobie ramię i odbił stopy na nadbrzeżnych kamieniach, mówił:

- Wołodia Kwaczadze nie ciągnąłby łodzi, tylko kazałby się wieść.
- Jesteś za konia, za to bez konwoju - odpowiadał Sasza.

We wsi Goltawino stali na brzegu, wyczekując na łódź, miejscowi zesłańcy: malutka siwa staruszka, Maria Fiodorowna, znana swego czasu eserówka, Anatolij Georgiewicz, anarchista, też drobny i siwy, i niezwyklej piękności dziewczyna imieniem Frida.

Poczta nie funkcjonowała od dwóch miesięcy i teraz Nił Ławrientiewicz wręczył każdemu plik listów, gazet i czasopism, a Fridzie ponadto paczkę.

- Trzeci dzień dyżurujemy - powiedział wesoło Anatolij Georgiewicz. - Od rana do wieczora.

- Sortowanie nas zatrzymało - wyjaśnił Nił Ławrientiewicz. - Na tamten brzeg popłyniemy do Dworca.

Ta nowina wywołała żywą dyskusję: jeśli urząd pocztowy znajduje się teraz we wsi Dworiec, to poczta, idąca tajszeckim traktem, będzie przychodzić szybciej. Z drugiej strony otwarcie nowego urzędu pocztowego może zapowiadać zmiany administracyjne. Może w Dworcu zrobią nowy rejon. A to oznacza nowe władze, nową miotłę, i ta miotła będzie bliżej.

- Bierzcie rzeczy - odezwała się Maria Fiodorowna. - Załatwimy wam nocleg.
- Dziękujemy - odparł Sasza - ale Nił Ławrientiewicz obiecał nam już kwaterę.
- U Jefrosini Andrianowny?
- Tak - potwierdził Nił Ławrientiewicz, wyciągając z łodzi worek z pocztą.
- To wspaniale, wobec tego porozmawiamy sobie wieczorem. Frida przyjdzie po was.

Dobrze, Frida?

Frida czytała list, który otrzymała z tą pocztą.

- Frida, niech się pani obudzi.

- Tak, tak - dziewczyna włożyła list do koperty i podniosła na Marię Fiodorownę ogromne niebieskie oczy. Czarne kosmyki włosów opadały na stareńką bluzkę, lekko opinającą smukłą talię.

- Wstąpi pani po nich - powtórzyła Maria Fiodorowna. - Posiedzimy trochę u Anatolija Georgiewicza.

- U mnie, u mnie - przytaknął Anatolij Georgiewicz przeglądając gazetę.

- Moi państwo, zdążycie jeszcze wszystko przeczytać - powiedziała Maria Fiodorowna władczo. - Chodźmy.

Borys podniósł paczkę Fridy.

- Pan ma własne rzeczy - zaprotestowała Frida.

- Nie szkodzi!

Borys zamaszystym ruchem zarzucił sobie paczkę na plecy, podniósł walizkę. Zmęczenie jak ręką odjął.

- Walizkę niech pan na razie zostawi. Przyjdzie pan jeszcze raz - poradziła mu Maria Fiodorowna.

Sasza pomógł staremu Niłowi wyładować łódź. Potem wrócił Borys i we trzech przenieśli wszystko do stojącej nad rzeką chaty.

Podczas gdy gospodyni oprawiała ryby, Sasza i Borys wyszli na dwór.

- No i co pan powie? - Borys spojrzał na Saszę pytająco.

Sasza udał, że nie rozumiał pytania.

- Przyjemni ludzie, sympatyczni, gościnni - odparł.

- Tak - podchwycił Borys niecierpliwie. - To nie ci, z Czuny, znajomkowie Wołodi, to prawdziwi inteligenci, ich nie obchodzi, w kogo pan wierzy, dla nich ważne jest to, że pan jest takim samym zesłańcem jak oni! To są ludzie! No a co pan powie o Fridzie?

- Ładna dziewczyna!

- Też coś, ładna! - wykrzyknął Borys. - To Sulamitka! Estera! Pieśń nad pieśniami! to trzeba było przenieść przez tysiąclecia wygnania, tułaczki, przez pogromy...

- Nie wiedziałem, że z pana taki nacjonalista - roześmiał się Sasza.

- Rosjanka jest ładna - nie jestem nacjonalistą. Żydówka ładna - zaraz nacjonalista. Przecież ja mam na myśli typ, rasę. Moja żona też była Żydówką, ale się do niej nie umywała! Co za gracia! Ile godności! To jest człowiek! Żona, matka, pani domu!

- Odezwał się w panu żydowski mąż.

- Tak, a co?

- Pan ma wyrok i ona ma wyrok. Pan ma rejon kieżemski, ona boguczański.

- Głupstwo! Jeśli się pobierzemy, to nas połączą!

Saszę zdumiało to fantazjowanie, ale zauważył tylko:

- Skąd pan wie, że nie jest mężatką?

- To byłoby gorzej.

Na talerzach ryby, śmietana, konfitury z czarnych jagód. Nił Ławrientiewicz i jego żona wypluwali ości na stół, Sasza już do tego przywykł.

Gospodyni, tęga, roztropna kobieta, skarżyła się na syna: nie chce, mówiła, pracować w kolchozie, gierbowniki namawiają go, żeby pojechał na budowę do Rosji.

- Okropni ludzie - wtrącił Nił Ławrientiewicz, mając na myśli werbowników. - Liczykrupy, szwendają się, wałęsają...

Syn gospodyni, kompletny Cygan, zerkał z zaciekawieniem na Borysa i Saszę i w milczeniu wysłuchiwał utyskiwań matki. Gospodarz, też podobny do Cygana, siedział na ławce i palił. Borys coraz to spoglądał na drzwi, czekał na Fridę. Gospodyni wciąż skarżyła się na syna:

- Onegdaj żem u niego zapalki znalazła, dziury w kieszeni, papierosy chowa, no i popalił kieszenie. A źle mu tu? Do roboty go nie gonimy, wszystko sami we dwoje z chłopem... Jeszcze ptaki śpią, a my już w polu. Władze się domagają, po co je złościć?

Syn milczał, popatrywał z ukosa na Saszę i Borysa. I gospodarz też milczał, też go pewnie ciągnęło w świat. A gospodyni wciąż się żaliła: pojedzie chłopak, wpadnie w złe towarzystwo i skończy w więzieniu.

Przyszła Frida, przywitała się, usiadła w milczeniu na ławce, nie przeszkadzając w rozmowie. Była w butach z cholewami, w zniszczonym palcie i w chusteczce obwiązanej dookoła głowy i szyi. Chusteczki nie zdjęła, siedziała w niej cały czas, czekając, aż mężczyźni skończą kolację.

Borys wstał, popatrzył na Saszę niecierpliwie, żeby i on się pośpieszył.

W poczesnym kącie szafka ze świętymi obrazami, w drugim - narożnik, a na nim lustro, tiuruczek - szpulka nici. Obok wykotiernik, czysty, wyszywany ręcznik, na parapetach kamienie, próbki minerałów, w pudełeczkach nasiona, w doniczkach rozsada.

- Anatolij Georgiewicz to nasz agronom, geolog, mineralog, paleontolog, już sama nie wiem, co jeszcze - powiedziała Maria Fiodorowna z ironicznym uśmiechem. - Ma nadzieję, że go docenią.

- Niech docenią ten region - odpowiedział Anatolij Georgiewicz. - Takich bogactw, jak nad Angarą, nie ma nigdzie. Węgiel, metale, ropa naftowa, drzewo, futra, niewyczerpane zasoby wodne...

Obracał w szczupłych palcach kamyki, kawałki lawy, odłamki skał poprzecinanych żyłkami srebra, uszczęśliwiony zainteresowaniem swoich przypadkowych słuchaczy - następni zjawią się tu może za rok, a może nigdy.

- Nad Angarą przebywałem na zesłaniu jeszcze przed rewolucją lutową - ciągnął - i znowu tu jestem. Tylko że wtedy moje artykuły o tym regionie drukowano, a teraz nawet marzyć o tym nie śmiem. A mimo to nie tracę nadziei, że moje notatki jeszcze się kiedyś



przydadzą.

- Konieczność stworzenia drugiej bazy metalurgicznej na wschodzie czyni poszukiwania bogactw naturalnych sprawą pierwszorzędnej wagi - powiedział Borys, zerkając z ukosa na Fridę. - Po Zagłębiu Kuźnieckim uprzemysłowienie będzie się przesuwac tutaj. To kwestia czasu.

Powiedział to dobitnie jak wysoki dostojnik, który zachęca do pracy miejscowych entuzjastów. Biedny Borys! Chciałby się zaprezentować przed Fridą jako człowiek nieprzeciętny, ale jego nieprzeciętność polegała na czymś zupełnie innym.

Maria Fiodorowna ironicznie pokiwała głową:

- Też się panu zachciało: uprzemysłowienie, pięciolatka... Pana pozbawiono wolności - o tym trzeba pomyśleć. Zastanawia się pan, co się stanie z regionem za pięćdziesiąt lat, jak będzie wyglądać Syberia. A czy zastanowił się pan, czym przez te pięćdziesiąt lat stanie się człowiek, któremu nie pozwalają być dobrym i miłosiernym?

- A mimo to nie sposób negować oczywistych faktów - wtrącił Anatolij Georgiewicz. - Rosja przeżywa rewolucję przemysłową...

Ten siwy staruszek zupełnie nie pasował do wyobrażeń Saszy o anarchistach.

- To po cóż pan tu siedzi? - wykrzyknęła Maria Fiodorowna. - Niech się pan odetnie. Mianują pana członkiem akademii!

- Co to, to nie! - odparł Anatolij Georgiewicz. - Niech wiedzą, że istnieją ludzie o odmiennych poglądach. Bez różnorodności poglądów nie ma myśli. A pracować tak czy inaczej trzeba, człowiek nie może nie pracować. - Wskazał na rozsądę: - Ja tu jeszcze pomidory hoduję, arbuzy...

- Za te pomidory pana pierwszego stąd szurną - zauważyła Maria Fiodorowna. - Nosi się pan z tymi swoimi pomidorami, a kolchoźnicy mają do rozwiązania problem zboża. W Rosji go nie rozwiązano, to postanowiono rozwiązać nad Angarą, gdzie jak świat światem zboża nie uprawiano.

Westchnęła.

- Dawniej można było jakoś wytrzymać, zesłańcy pracowali u chłopów albo utrzymywali się z tego, co im przysyłano z domu, rzadko kto się nimi interesował. A teraz potworzyły się kolchozy, pojawiły się władze, przyjeżdżają pełnomocnicy, każde nieznanne słowo biorą za agitację, cokolwiek się w kolchozie stanie, od razu szukają winnego, a kto jest winny - naturalnie zesłaniec, kontrrewolucjonista, to on oddziałuje na ludność miejscową, i to tak oddziałuje, że i kartofle nie rosną, i ryby nie chcą brać, i krowy się nie cielą i nie dają mleka. Fridę na przykład biorą za baptystkę. Jeden tak jej dosłownie

powiedział: Niech sobie pani da spokój z tą swoją baptystyczną agitacją. Czy nie tak, Frida?

- Tak - odpowiedziała Frida z uśmiechem.

- Tyle tylko osiągnęli - ciągnęła z ironią Maria Fiodorowna - że chłop nie zechce walczyć. Bo i o co ma walczyć? Dawniej bał się, że wrócą obszarnicy i odbiorą mu ziemię. A teraz ziemię i tak odebrano, to o co on będzie wojował?

- To sprawa dyskusyjna - odezwał się Sasza. - Istnieją wartości, o które naród będzie walczył.

- A pan pójdzie walczyć?

- Oczywiście.

- I czego pan będzie bronił?

- Rosji, władzy radzieckiej.

- Ale przecież ta władza radziecka zapędziła pana na Syberię.

- Niestety, to prawda - przyznał Sasza. - A jednak to nie władza radziecka zawiniła, tylko ci, którzy jej nadużywają...

- Ile pan ma lat? - zapytał Anatolij Gieorgiewicz.

- Dwadzieścia dwa.

- Młody pan jeszcze - powiedział Anatolij Gieorgiewicz z uśmiechem. - Wszystko pan ma przed sobą.

- A co ma przed sobą? - zapytała Maria Fiodorowna ponuro. - Jaki pan dostał wyrok?

- Trzy lata. A pani?

- Ja nie mam wyroku - odpowiedziała zimno.

- Jak to?

- A tak. Zaczęłam w dwudziestym drugim: zesłanie. Sołowki, więzienie dla politycznych, znowu zesłanie, a w perspektywie znowu pewnie Sołowki albo więzienie dla politycznych. Teraz mówi się, jakoby przy pomocy kontry, czyli nas, zamierzali zagospodarować Północ. Pana też to czeka. Kto raz dostał się na tę orbitę, już z niej nie zejdzie. No, może Fridzie się uda, jeśli ją wypuszczą do Palestyny.

- Wybiera się pani do Palestyny?

- Tak.

- A co pani tam będzie robić?

- Pracować - odpowiedziała dziewczyna, lekko grasejując. - Ziemię będę kopać.

- A umie pani kopać ziemię?

- Umiem trochę.

Sasza zaczerwienił się. W jego pytaniu zabrzmiała nieżyczliwość: "A umie pani kopać?"

A przecież ona tu też kopie ziemię, z tego żyje.

Chcąc załagodzić swój nietakt zapytał:

- A czy pani źle w Rosji?

- Nie chcę, żeby mnie nazywano Żydówką.

Powiedziała to spokojnie, ale z tym nieugiętym uporem, jaki Sasza spotykał u ludzi opętanych jakąś ideą. Nie uda się Borysowi, chyba że przejdzie na jej wiarę.

I Maria Fiodorowna, i Anatolij Gieorgiewicz to relikty tamtej krótkiej porewolucyjnej epoki, kiedy odmienne poglądy traktowano jak zjawisko nieuchronne. Teraz uważa się je za przeciwne naturze. Baulinowie, Stolperowie, Diakowowie są przekonani, że mają prawo sprawować sądy nad starymi, słabymi ludźmi, którzy ośmielają się myśleć inaczej niż oni.

- Mam do pana prośbę - zwróciła się Maria Fiodorowna do Saszy. - Niech pan z łaski swojej odszuka w Kieżmie Jelizawietę Samsonową, to taka sama staruszka jak ja, i niech pan jej to odda.

Podala Saszy kopertę.

Czy powinien się zgodzić? Co jest w tej kopercie? Dlaczego jej nie wysłał pocztą?

Wahanie, które odbiło się na jego twarzy, nie uszło uwagi Marii Fiodorowny. Otworzyła kopertę, w środku były pieniądze.

- Tu jest dwadzieścia rubli, niech jej pan to odda i niech jej pan powie, że jeszcze żyję.

Sasza znowu się zaczerwienił.

- Dobrze, oddam.

I znowu kroczyli brzegiem rzeki, forsowali bystrza, przepływali z jednego brzegu na drugi. Było gorąco, ale żona Niła Ławrientiewicza wciąż siedziała na rufie opatulona chustką i sam Nił też nie zdejmował z siebie brezentowego płaszcza.

W oddali usłyszeli szum.

- Murski Poroh - wyjaśnił z zatroskaniem Nił Ławrientiewicz.

Coraz częściej natykali się na podwodne głazy, prąd stawał się coraz bardziej wartki, szum narastał, przechodził w nieustający huk, wreszcie stał się wprost niesamowity. Rzeka przed nimi była spowita białym obłokiem, z wody wysterczały nagie głazy, nad którymi przewalały się spienione fale, szum przypominał łoskot setek armat. Z lewego brzegu z wściekłym rykiem wyrywała się ze skalistego wąwozu rzeka Mura. Przy jej ujściu do Angary wznosiła się ogromna, poszarpana granitowa skała.

Wyciągnęli łódź na brzeg, wyladowali, przenieśli rzeczy powyżej progu, potem wrócili i przeciągnęli samą łódź.

Borys nie odczuwał zmęczenia, wręcz przeciwnie, narzekał, że idą zbyt wolno, chciał

jak najprędzej dotrzeć do Kieżmy, urządź się i rozpocząć starania o przeniesienie tam Fridy. Był absolutnie pewny, że się pobiorą.

- Nie ma ani narzeczonego, ani męża. Matka mieszka gdzieś pod Czernichowem. Jak ona się musi czuć taka samotna? Zamieszkamy w Kieżmie, do pracy jej nie puszczę, niech się zajmie domem, przyjdzie na świat dziecko, tu też przecie dzieci się chowają, skończy nam się wyrok i wyjedziemy. Wyobraża pan ją sobie w Moskwie, w teatrze, w wieczorowej sukni? Żeby zdobyć dobrą żonę, warto pojechać choćby nad Angarę. Zesłanie - na trzy lata, żona na całe życie.

- Ona się wybiera do Palestyny.

- Bzdury! Przejdzie jej! Jeszcze się nie poczuła kobietą. Jak będzie miała dom, rodzinę, dzieci, Palestyna wywietrzeje jej z głowy.

Sasza przypomniał sobie wyraz uporu na pięknej twarzy Fridy i zdziwiła go ślepotą Borysa.

- Ona twierdzi nawet, że wierzy w Boga - ciągnął Borys. - Pan myśli, że mówi to poważnie? Niech mi pan pokaże współczesnego Żyda, który by wierzył w Jehowę. Religia dla Żydów to tylko forma narodowego instynktu samozachowawczego, sposób przeciwko asymilacji. Ale asymilacja jest nieunikniona. Mój dziadek był cadykiem, a ja nie znam żydowskiego, to jaki ze mnie Żyd?

- Boria, pan zna ją od kilku godzin.

- Żeby poznać człowieka, wystarczy pięć minut. Pana zobaczyłem w komendanturze i powiedziałem sobie: z tym się dogadamy. I nie pomyliłem się. Jeśli spotkam prawdziwą kobietę, żadna inna nie będzie mi potrzebna. A kto przed żeniactwem był cacy-chłopczykiem, ten poleci za pierwszą lepszą spódniczką, rzuci żonę, dzieci, rozbije rodzinę.

Cokolwiek by się kryło za tymi słowami - samotność, współczucie dla dziewczyny, która, tak jak i on, znalazła się w tym zapomnianym przez Boga kraju, była to na pewno miłość, nieoczekiwana u takiego praktycznego człowieka, kobieciarza i lekkoducha. Kiedy mówił o Fridzie, jego twarz promieniała tkliwością.

Minęli wieś Czadobiec, gdzie miał się osiedlić nieboszczyk Karcew, potem inne jeszcze wsie, nocowali u znajomych albo krewnych Niła Ławrientiewicza.

Sasza i Borys zaraz po kolacji kładli się spać, a Nił Ławrientiewicz długo jeszcze siedział z gospodarzami. Przychodzili ludzie, Sasza słyszał przez sen trzaskanie drzwi, urywki długich chłopskich pogwarek.

Wstawali wcześnie, rozbudzeni zapachem pieczonej ryby, szczękaniem szybru, przesuwanym w piecu garnków.

- Jak wam się spało, nie pogryzło was co aby? - pytała gospodyni.

- Dzięki. Dobrze nam się spało.

Przy porannym posiłku nie marudzili zbyt długo. Spieszyli się w drogę. Z ulicy już dobiegały głosy.

- Do roboty gonia, jednakowoż - wyjaśniła gospodyni.

- Dzięki stokrotne - mówił Nił Ławrientiiewicz czkając i robił niedbale znak krzyża.

Później w łodzi po takich noclegach perorował:

- Jakie tu mogą być kołchozy? Ziemia licha, zmarznięta, leśna, to nie to, co w Rosji, zboża się stąd nie wywiezie, byle dla dzieciaków starczyło. Cóż my państwu możemy dać, niczego oprócz popielicy. Były czasy, kiedy bydło pędzili aż nad Lenę, teraz kapki mleka nie dostanie. Dawniej najmowali zesłańców, politycznych, karczowało się las, a teraz się nie karczuje. I orzeszków cedrowych też się nie strąca.

Minęli osiedle Kalinińskie, zbudowane przez specprzesiedleńców czyli wysiedlonych z Rosji kułaków.

- Przywieźli ich pod sam koniec stycznia - opowiadał Nił Ławrientiiewicz. - Chłopy, co śmielsze, poszły do najbliższej wsi, do Kody, będzie z osiem wiorst, może przygarniecie, powiadają, dzieciaki? Ale kodzińscy się zlekli, oni tam wszyscy są Rukosujewowie, od nich też miejscowych kułaków powyszarpywali, najbardziej zajadłych powywozili, no i zlekli się. Chłopy z powrotem do lasu, dawaj kopać ziemianki, a spróbuj tu ziemię ugryźć w mróz i śnieg. Niektórzy pomarli, inni jakoś przeżyli. Wiosną karczowali las, uprzętały wyręby, orali, siali, robotny naród, gospodarny, rodzinny, zręczny. Teraz żyją sobie, pomidory sadzą. Dawniej u nas pomidory tylko Natolij Jegorycz sadił, zesłany polityk, śmiali się z niego, aż się turlali, naród u nas dziki, ciemny, a teraz ci kułacy dowiedli, że można. No i państwo ma z nich pożytek.

Ostatnie słowa powiedział poważnie, z przekonaniem, podkreślił, że rozumie interesy państwa: i konieczność rozkułaczania, i pożytek z sadzenia pomidorów.

Ale mimo wszystkich tych ostrożności widać było, że współczuje specprzesiedleńcom, on też przecie ma dzieci i niczym się nie różni od tamtych. I jest wstrząśnięty tym, co się dzieje, nie ma pojęcia, co będzie dalej, czy nie spotka go los chłopów z Ukrainy i Kubania, wyszarpniętych z rodzinnych stron i przypędzonych nie wiadomo gdzie i nie wiadomo za co.

Sasza wpatrywał się w nowe domy, takie niepodobne do miejscowych. Rosyjskie dwuizbowe chaty z ganeczkami od strony ulicy i z przyzbą wzdłuż ściany - kawałek Rosji, wyszarpniętej z rodzinnej ziemi i rzuconej w śnieg pośród tajgi, ale odtworzonej na nowo i

zachowanej tutaj przez ludzi z Rosji.

Sasza chętnie by na nich popatrzył, żeby zobaczyć, jacy są teraz. Ale ludzie byli w pracy, wieś leżała cicha, spokojna, a brzeg był taki sam jak w innych wsiach nad Angarą, z łódkami, promami i sieciami. Żyją jak wszyscy. Naturalnie ci, co przeżyli. Po zboczu pagórka przebiegła gromada dzieciaków. I dzieci też były te, co przeżyły, a nie te, które zamarzły na śniegu. A może narodziły się nowe?

I znowu spokojna, potężna rzeka, granatowe skały, bezkresna tajga, słońce na błękitnym niebie, wszystko to szczerze i obficie stworzone dla dobra ludzi. Spokojna rzeka, drobne, bezimienne płycizny. Na prawym brzegu leży wieś Koda, tam mieszkają Rukosujewowie, do których specprzesiedleńcy zwrócili się o pomoc i nie znaleźli jej. I ona też jest cicha, spokojna, bezludna.

“Dobrze, pojedę” - to łatwo było powiedzieć wczoraj, kiedy siedzieli w restauracji, kiedy grała orkiestra, a wystrojone kobiety tańczyły z eleganckimi mężczyznami. To było nowe, niezależne życie. Kostia i jego propozycja wyjazdu na Krym były częścią tego życia, dlatego wczoraj prosto z restauracji mogłaby pojechać z nim, gdzie oczy poniosą. Ale dzisiaj w ich komunalnym mieszkaniu, w ich bezbarwnym pokoju wszystko wyglądało zupełnie inaczej, wydawało się nierealne, niewykonalne, wydawało się grą, częścią gadaniną. W towarzystwie Wiki w taki sposób mówiło się o podróżach za granicę, w towarzystwie Kosty o podróżach na Krym albo na Kaukaz.

I kim właściwie jest ten cały Kostia? Restauracyjnym bilardzistą, graczem. W jak prymitywny sposób ją uwodził: włożył jej pieniądze do torebki, zamawiał drogie potrawy i drogie wina, popisывał się, zadzierał nosa... Ile takich dziewczyn już było w jego życiu, ile próbował skusić obietnicą wyjazdu na Krym? Ale ona nie złapie się na taką przynętę! Ona nie pozwoli się wykiwać jakiemuś tam bilardziście! Ładnie będzie wyglądać, jeśli ją potem rzuci lub zostawi na Krymie, dobrze jeszcze, jeśli da jej pieniądze na bilet powrotny, a może przecież nie dać i wtedy rób, co chcesz, depeszuj do Niny, ratuj, siostrzyczko, a Nina dostanie zawału, od czegoś takiego każdemu pękłoby serce: wczoraj się poznali, a dzisiaj pojechali na Krym. I dlaczego wyjeżdżać już dzisiaj? Po co ten pośpiech?

Z Sofią Aleksandrowną oczywiście porozmawia, skoro już obiecała. Jeśli mu wynajmie pokój, poznają się lepiej i wtedy może nawiązą się między nimi jakieś bliższe stosunki.

Wczoraj odwiózł ją i Zoję do domu taksówką, żegnając się powiedział:

- Jutro nie wychodź z domu, czekaj na mój telefon. Zadzwoń przed południem.

Już dwunasta i najrozsądniej byłoby wyjść, do Sofii Aleksandrowny na przykład albo do Zoi do pracy. A jeśli zadzwoni wieczorem, powiedzieć: “Czekałam na pana telefon całe przedpołudnie a pan nie zadzwonił”. A zresztą czy w ogóle zadzwoni? Sam już pewnie nie pamięta, co wczoraj napłótl. W jaki sposób mógłby tak od razu wyjechać na Krym? Rzucić wszystko? A jak zdobędzie bilety? Nawet wyjeżdżającym służbowo, którzy korzystają z rezerwacji, z trudem się to udaje, a zwykli śmiertelnicy wyczekują na dworcach całymi tygodniami. Może spokojnie siedzieć w domu. Po co uciekać - to poniżające. Skoro obiecała poczekać, to poczeka. To nawet ciekawe - zadzwoni czy nie zadzwoni. I jak się będzie tłumaczył.

Zadzwonił o wpół do pierwszej i powiedział, że bilety już ma, pociąg odchodzi o czwartej, o trzeciej po nią przyjedzie, które piętro, jaki numer mieszkania...

Usłyszawszy jego głos, jego łagodny, a zarazem stanowczy ton, straciła głowę. Tak jak i wczoraj, mówił wolno, wyraźnie, lekko zaciągając. Przypomniała jej się jego twarz, jego dziwne, łobuzerskie, a zarazem nieufne spojrzenie, które zatrzymywał na niej długo, jego szeroki gest, zawadiackość, a jednocześnie naiwność: zdziwił się, że mieszka na Arbacie, był rozczarowany, że pomyślane przez nią życzenie nie było takie, jakie chciałby usłyszeć. Przypomniała sobie też, jak obruszyła się na jego przyjaciół, że piją i uczują na jego koszt, a jednocześnie zostawiają go samego. Jak powiedział: "Może przy tobie i ja stanę się człowiekiem". Jak spochmurniał i zawstydzil się tego wyznania.

Jak mogłaby go oszukać, złamać dane słowo? Niepotrzebnie obiecywała, ale obiecała! Nie może mu powiedzieć "Nie!", to słowo nie przejdzie jej przez gardło.

- Do mnie proszę nie przychodzić - powiedziała - będę na pana czekać w zaułku Nikolskim, drugi dom od rogu.

- Dobrze, tylko przyjdź na czas, żebyśmy się nie spóźnili na pociąg.

\* \* \*

Do zaułka Nikolskiego postanowiła iść przez przechodnie podwórze, żeby w bramie nie spotkać przypadkiem Niny.

Walizka okazała się niepotrzebna. Wszystkie swoje rzeczy miała na sobie. Jeszcze jedną sukienkę, plażówkę, jedną zmianę bielizny, parę pończoch, szczotkę do zębów, mydło, grzebień włożyła do teczki.

I dobrze się stało, że nie miała z sobą walizki, bo przechodnie podwórze okazało się zamknięte. Dopiero teraz przypomniała sobie, że przed kilkoma dniami zamknięto wszystkie przejścia na sąsiednie podwórka. Arbat stał się ulicą rządową, tędy przejeżdżał niekiedy Stalin w drodze na daczę. Trzeba było iść do Nikolskiego normalną drogą. Na szczęście nikogo nie spotkała, a gdyby nawet, to co - idzie sobie ze starą szkolną teczką.

Ninie zostawiła kartkę: "Wyjeżdżam z przyjaciółmi na Krym, wrócę za dwa tygodnie. Trzymaj się. Waria".

Skręciwszy w zaułek Nikolski zobaczyła taksówkę, a przy niej Kostię w tym samym garniturze, w którym był wczoraj w "Savoyu".

Jechali w wagonie klasy międzynarodowej. Waria widziała taki wagon po raz pierwszy w życiu. Do ciotki do Kozłowa, który teraz przemianowano na Miczurińsk, jeździły z Niną w ogólnym wagonie z miejscówkami. Słyszała, że istnieją wagony podzielone na zamknięte czteroosobowe przedziały, ale o przedziałach dwuosobowych z osobną umywalką nigdy nie



słyszała. I oto teraz jedzie w takim wagonie, w takim przedziale, wszystko obite pluszem, wszędzie mosiądz, nawet klamki u drzwi są z mosiądzu. Korytarz wyłożony miękkim chodnikiem, w oknach pluszowe zasłony, na stole lampa z pięknym abażurem. Konduktor roznosił herbatę w szklankach włożonych w masywne podstawki, był uważny, uprzedzająco grzeczny, szczególnie wobec Kosti.

Waria domyślała się, że w tym wagonie jadą ważni, może nawet wybitni ludzie: sąsiedni przedział zajmował wojskowy z czterema rombami na naramiennikach, a więc jakaś wyższa szarża, następny - starsza przystojna pani z mężem, zapewne aktorka, Wari wydało się nawet, że widziała ją w jakimś filmie. W innych przedziałach też jechali albo komisarze ludowi, albo zastępcy komisarzy ludowych, wszyscy we frenczach, w bryczesach, w butach z cholewami - typowy strój funkcjonariuszy zajmujących wysokie stanowiska. Ale zarówno konduktor, jak i roznosiciel win i zakąsek oraz kelner, który przychodził zapisywać tych, co chcieliby zjeść obiad w wagonie restauracyjnym, a następnie kelner i bufetowy w wagonie restauracyjnym odnosili się do Kosti ze szczególną uprzejmością. W jego twarzy, w sposobie bycia było coś takiego, co sprawiało, że wszyscy ci ludzie od razu wyróżniali go spośród innych pasażerów.

Warię z początku raziła jego gburowata familiarność, do wszystkich osób z personelu zwracał się per "ty", ale oni wyczuwali w nim swojego człowieka i nikt się na niego nie obrażał, śmiali się z jego żartów, z widocznym zadowoleniem spełniali jego życzenia. Usłużność kelnerów Kostia przyjmował z łaskawym uśmiechem, jak przystoi człowiekowi, który znajduje się u szczytu powodzenia i rozumie, że to sukces przyciąga do niego ludzi. Był pogodny i przyjaźnie usposobiony.

Kostia nie ma żadnych rang ani tytułów, ani stanowisk, rozmyślała Waria, ale to wszystko nie jest mu potrzebne. Niezależny, ryzykant, pełen uroku, potrafi osiągnąć to, czego inni nie potrafią. Kto na przykład w czerwcu, w pełni sezonu urlopowego, potrafiłby zdobyć bilety na Krym w dniu wyjazdu, w dodatku do wagonu międzynarodowego, zarezerwowanego wyłącznie dla wysokich osobistości? A Kostia potrafił, chociaż domyślała się, że musiał za nie zapłacić podwójną, a może nawet potrójną cenę. Dawał wysokie napiwki, nie brał reszty, dzielił się z ludźmi swoim sukcesem.

Wobec Wari zachowywał się tak, jakby się znali od niepamiętnych czasów, jakby nie było nic szczególnego w tym, że jadą we dwoje w jednym przedziale. O nic jej nie wypytywał, jakby już wszystko o niej wiedział, i o sobie też nic nie mówił, jakby i ona wszystko o nim wiedziała. Opowiadał o miejscowościach, przez które przejeżdżali. Domyślała się, że jedzie tędy nie po raz pierwszy. Nie narzucał się. Ani razu nie próbował

jej objąć, pocałować, jakoś to wszystko zacząć. Tylko kiedy stali w korytarzu i wyglądali przez okno, położył jej rękę na ramieniu. Zarówno ten gest, jak i poza były zwyczajne i naturalne - ot, stoi sobie na korytarzu młode małżeństwo i młody mąż trzyma rękę na ramieniu młodziutkiej żony. Zresztą w wagonie rzeczywiście wszyscy brali ich za młode małżeństwo, uśmiechali się do nich, a nawet, jak się Wari wydawało, zachwycali się nimi, a szczególnie nią, Warią. Waria widziała, że Kosti sprawia to przyjemność, pochlebia mu, że wszyscy zachwycają się jego żoną.

Jedno ją tylko męczyło: co będzie nocą? Kostia jest naturalnie przekonany, że skoro zgodziła się z nim jechać, to zgodziła się również na to. Mężczyźni w ogóle uważają, że jeśli zaproszą dziewczynę do teatru, do kina albo na zabawę, to już mają prawo do tego i obrażają się, złością, kiedy im się na to nie pozwala. A on zabiera ją na Krym, będą mieszkać w jednym pokoju, ona będzie na jego utrzymaniu... No nie, taka transakcja jej nie odpowiada, na taką transakcję ona nie może się zgodzić. Nie narzucała mu się, nie napraszała się, jedzie na Krym tylko dla niego, poprosił ją, więc się zgodziła, ale na nic innego nie wyrażała zgody. Chce się przespacerować po Krymie z młodą ładną dziewczyną, proszę bardzo, tej przyjemności nie będzie mu odmawiać.

Za oknem zaczęło się ściemniać. Kostia spojrzał jej w oczy, uśmiechnął się.

- No, jak samopoczucie? - zapytał.

- W porządku - odparła tym samym tonem, chociaż w miarę, jak zbliżał się wieczór, czuła się coraz bardziej onieśmielona.

Co innego, gdyby się zakochała, gdyby straciła głowę z miłości. To się jednak nie stało i nie wiadomo, czy się kiedykolwiek stanie. Imponował jej, tak jak i innym, jego szeroki gest, zawadiacki sposób bycia, ale w ogóle to była przyzwyczajona do ludzi bardziej powściągliwych. Kostia był niewychowany, należał do jakiegoś innego świata. Ona zaś, choć chowała się na podwórku, była wychowana. I jej koledzy też byli wychowani: Lowoczka, Ika, Rina, Wola duży i Wola mały - wszyscy oni byli kulturalni, a Kostia nie był kulturalny. Oni garnęli się do niego, bo miał to, czego nie mieli oni - pieniądze, on natomiast otaczał się nimi, gdyż oni mieli to, czego jemu brakowało - kulturę. Oczywiście, to człowiek z ludu, z prowincji, człowiek z charakterem, bliski natury, i trzeba go brać takim, jakim jest. Ale taki, jaki był, niezupełnie jej odpowiadał.

Co jej się w nim naprawdę podobało, to jego niezależność. Jednakże osobiście mogłaby się poczuć niezależna tylko wtedy, gdyby sama zarabiała na swoje utrzymanie. Nawet gdyby została jego żoną. Czy jednak chciałyby zostać jego żoną, tego nie wiedziała. O małżeństwie nie było między nimi mowy. Czyli że zostanie jego kochanką? Ale kochanków

musi łączyć miłość. To znaczy, że zostanie jego utrzymanką? No nie, na to nie może się zgodzić.

Niestety, cokolwiek by sobie mówiła, czuła, jak nieprzekonywające są jej argumenty. No cóż, co się ma stać, to się stanie. Krygowanie się oznaczałoby tylko odgrywanie komedii.

We wsi Dworiec rozstali się z przewoźnikiem i jego milczącą żoną. Nił Ławrientiewicz udał się na pocztę, wrócił z miejscowym poczciarzem, wyładował z łodzi worki, krzątał się, klócił, Saszy i Borysa w ogóle już nie zauważał. Przywiózł przy okazji zesłańców, no i co, kazali mu, to przywiózł.

- Może poszlibyśmy na komendanturę? - zwrócił się Borys do Saszy.

- Po co?

- Wyślą nas do Kieżmy.

- Sami dojedziemy. Nakaz mamy przecież przy sobie.

- Mogą być nieprzyjemności - skrzywił się Borys. - Dlaczegoście się nie stawili, nie zameldowali... Nie należy ich drażnić bez powodu.

Sasza nie miał ochoty iść na komendanturę. Każda wizyta w tym urzędzie to upokorzenie. Borys myśli tylko o Fridzie, chciałby jak najprędzej rozpocząć starania, jest dosłownie opętany tą myślą. Dowiedział się, że Dworiec ma zostać ośrodkiem rejonowym, i chce pewnie nawiązać jakieś znajomości, kontakty, które by mu później ułatwiły przeniesienie Fridy do niego lub jego do Fridy. Fantasta!

- Zobaczymy jutro - powiedział Sasza.

- Dobrze - zgodził się Borys. - Niech pan popilnuje rzeczy, a ja rozejrzę się za kwaterą.

Słońce kryło się za chmurami, dał chius, zimny wiatr od rzeki - tarosił giętką wiklinę na brzegu. Sasza narzucił na ramiona palto, przyniósł z łodzi walizkę. Czuł się straszliwie przygnębiony. Dlaczego nie poszedł na komendanturę? Kwaczadze by poszedł, o coś by walczył, Borys też zamierza pójść, chce się jakoś urządzić, ma do tego prawo. A on nie poszedł i nie pójdzie. Przez ten tydzień, kiedy szli bez konwoju, wzdłuż tej wolnej rzeki, on też poczuł się względnie wolny. Czyżby ta wolność miała się skończyć? Tu, na krańcach świata, wyglądało to szczególnie niesamowicie i nienaturalnie. Nie, nie pójdzie! Nawet jeśli to tylko złudzenie, samookłamywanie się, trudno!

Wrócił Borys, powiedział wesoło:

- Zaraz pana poznam z reliktem imperium. Kucharz Jego Cesarskiej Mości! Jadał u niego książe Jusupow i Grigorij Rasputin. Niezwykłe indywiduum!

W chacie, do której Borys przyprowadził Saszę, siedział na ławce tęgi starzec o czerwonym nosie, w pikowanym waciaku ochronnego koloru i w pikowanych spodniach, wpuszczonych w wysokie buty z rozciętymi cholewami. Nabrzmiała, gładko ogolona twarz, równo, na jeża podstrzyżone siwe włosy zdradzały w nim człowieka miastowego.

- Poznajcie się - powiedział podniecony Borys. - Antoni Siemionowicz, szef kuchni na dworze Jego Cesarskiej Mości.

- Raczej lejbkucharz - zauważył Sasza, przyglądając się staremu z zaciekawieniem. Starzec również uważnie, spod półprzymkniętych powiek, spojrział na Saszę.

- Antoniego Siemionowicza wzywają z powrotem do Moskwy - ciągnął Borys. - Będzie gotował dla ambasadorów i posłów. Kotlety de volaille, sos proven~cal... Znałem kucharzy w Moskwie, ma się rozumieć, nie tej rangi, co pan, ale uchowali się... W "Grandhotelu" Iwan Kuzmicz, zna go pan?

- Nie przypominam sobie - odparł Antoni Siemionowicz obojętnie, dając do zrozumienia, że nie może pamiętać każdego Iwana Kuzmicza, natomiast każdy Iwan Kuzmicz powinien pamiętać jego, Antoniego Siemionowicza.

- Nieźle gotuje - ciągnął Borys - naturalnie, kiedy ma z czego, mistrz Albert Karłowicz.

- Znam - powiedział krótko Antoni Siemionowicz.

- Klasa, i taki reprezentacyjny - Borys jeszcze bardziej się ożywił, gdy znaleźli wspólnego znajomego.

- Czym się tu można zaprezentować? - zauważył gderliwie Antoni Siemionowicz. - Pierwsze, drugie, trzecie...

- Właśnie mówię - podchwycił Borys - jeśli ma z czego. I dla kogo. Kiedy boeuf Stroganow jest szczytem marzeń...

- Zrobić dobry boeuf Stroganow to też sztuka! - powiedział Antoni Siemionowicz i obejrzał się na gospodynię, która krzątała się koło obiadu z zaaferowaną miną.

- Kiedy pan wyjeżdża? - zapytał Borys.

- Kiedy mnie puszczą.

- Przecież pan mówił, że ma zwolnienie w kieszeni.

- Pracuję w komendanturze. Oni też chcą jeść, no i nie spieszą się.

Gospodyni oprawiła ryby i rzuciła je na patelnię.

Borys, kiwnąwszy w stronę pieca, powiedział:

- Wyobrażam sobie, jakby to smakowało u pana.

Antoni Siemionowicz milczał wyniośle.

- Jak wrócimy do Moskwy, to nas pan dopiero podejmie! - roześmiał się Borys.

Antoni Siemionowicz spojrział na niego z ukosa, po czym z nachalną pijacką natarczywością oświadczył:

- Jeśli iść, to zaraz...

Borys wręczył mu pieniądze, Antoni Siemionowicz podniósł się z wysiłkiem i wyszedł.

- Alkoholik - stwierdził Sasza.

- Nie - zaprzeczył Borys - stęsknił się za ludźmi.

Antoni Siemionowicz wrócił z butelką spirytusu.

- To, czego człowiekowi potrzeba. Dla serca - powiedział.

Pił prawie nie zakąszając i natychmiast się upił. Szyja mu poczerwieniała, twarz zrobiła się zła. Wyglądał na takiego, co to lubi się upić na cudzy koszt i jeszcze temu komuś nauragać. Borys nie zauważył tego i nadal wymieniał nazwiska różnych znanych sobie kucharzy i ma~itre d'h~otelów.

- Za co pan się tu znalazł? - zapytał Sasza.

Antoni Siemionowicz spojrzał na niego ciężkim wzrokiem, zamierzając posłać do diabła swoich przypadkowych kompanów od kieliszka, moskiewskich głuptaków, którymi serdecznie pogardzał przede wszystkim za to, że tak łatwo dają się naciągnąć.

Ale natknął się nie na delikatne spojrzenie moskiewskiego głuptaka, patrzyła na niego moskiewska ulica, kpiarska, wszystko rozumiejąca, która każdemu potrafi dać odprawę.

Antoni Siemionowicz odwrócił ciężki wzrok i oddychając z wysiłkiem powiedział niechętnie:

- Pracowałem w stołówce w rejonie. Napisałem w karcie "pierogi leniwe". A tu prokurator: "Dlaczego leniwe? Co to za kpiny z przodowników pracy?" Pokazuję mu książkę kucharską z tysiąc dziewięćset trzydziestego roku: "Pierogi leniwe". W porządku? Akurat! To też, powiada, pisała kontra!

Ze wszystkiego, z czym Sasza się zetknął, to było najbardziej absurdalne.

- Dzięki Bogu, ma pan to już za sobą - odezwał się Borys współczująco. - Oskarżenie cofnięto, teraz wróci pan do domu.

- Do domu? - Antoni Siemionowicz spojrzał na Borysa z nienawiścią. - Gdzież ten mój dom? W Cadykowie?

Ta-ak! Dostało się Borysowi: a nie wpadaj w ciełęcy zachwyty na widok byle kreatury!

- Ano, zjeżdżaj stąd do takiej owakiej pomnożonej przez czterdzieści! - powiedział Sasza.

- O nie! - Borys wstał, podszedł do drzwi, zamknął je na haczyk.

- No co wy, chłopaki? - wymamrotał Antoni Siemionowicz. - Przecież ja żartuję...

- Ostatni raz żartowałeś, ty ścierwo! - powiedział Sasza.

Borys rzucił się na kucharza, przycisnął mu głowę do stołu.

- Puście, chłopaki! - wychrypiął Antoni Siemionowicz wytrzeszczając swoje rybie, bezbarwne oczy.

- Stop, Borys, niech pan i mnie pozwoli! - zawołał Sasza.

Nienawidził tej obmierzłej mordy z białymi oczami. Ścierwo! Chciał się nad nimi popastwić! Drań! Gnida! Towarzysz w nieszczęściu! Kolega!

Ohydna scena, ale strącono ich na dno, z tymi mętami inaczej nie sposób...

- Przepróż, bydlaku!

- Przepraszam - wychrypiał Antoni Siemionowicz.

- A teraz zjeżdżaj stąd do takiej owakiej zafajdanej...

Borys wypchnął go za drzwi, zrzucił z ganku, potem opadł bezsilnie na ławkę.

- No i ma pan lejbkucharza Jego Cesarskiej Mości! - roześmiał się Sasza.

- I wśród takich ludzi musi żyć Frida! - powiedział Borys.

Następnego dnia trafiła im się okazyjna łódź. Sprzedawca ze spółdzielni zgodził się ich zabrać pod warunkiem, że będą holować łódź na równi z nim i przewoźnikiem. Do Kieżmy jest siedemdziesiąt kilometrów i jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, powinni tam być za dwa dni. To był prawdziwy fart.

Zanieśli rzeczy na brzeg do ogromnej, ciężko załadowanej łodzi, którą mieli ciągnąć. Koło łodzi krzątał się spółdzielca, pyzaty, wesoły chłopak w brezentowym płaszczu i bokariach, wysokich aż po pachwiny butach, podobnych do rybackich, tyle że zrobionych z kamusa, miękkiej reniferowej "pończochy".

- Prędko ruszamy? - zapytał Borys.

- Załatwimy dokumenty i w drogę - odparł spółdzielca.

- Wie pan - zaczął znowu Borys, odprowadzając Saszę na bok. - Myślę, że trzeba jednak pójść na komendanturę. Powiemy, że znaleźliśmy łódź, że już się załadowaliśmy i tylko wpadliśmy się zameldować. Bo mogą być kłopoty w Kieżmie. Ten sukinsyn, kucharz Jego Cesarskiej Mości, na pewno doniósł, że tu jesteśmy.

- To niech pan idzie - odparł Sasza chłodno. - Ja nie pójdę. I niech im pan nie mówi, że i ja tu jestem. Mam się stawić w Kieżmie, to stawię się w Kieżmie.

- Jak pan uważa - Borys wzruszył ramionami - ja jednak pójdę.

Zupełnie jakby diabeł w niego wstąpił. Opętany myślą o małżeństwie z Fridą, wszystko podporządkował tej jednej sprawie, bał się popełnić błąd.

Borys nie wrócił ani za pół godziny, ani za godzinę. Spółdzielca poszedł załatwić dokumenty i wrócił, a Borysa wciąż nie było.

- Idź, poszukaj go - powiedział spółdzielca do Saszy. - Czas ucieka, wyruszmy bez niego.

Sasza nie wiedział, co robić. Nie mógł zostawić Borysa, ale nie chciał iść na

komendanturę, zresztą było już za późno, zapytają go, dlaczego nie przyszedł od razu.

- Poczekajmy jeszcze trochę... - poprosił.

Wreszcie wrócił Borys, bez słowa wyciągnął walizkę z łodzi.

- O co chodzi? - zapytał Sasza, który domyślił się już, co się stało.

- Kazali mi jechać do Rożkowa - odparł Borys. Był blady jak ściana.

- Rożkowo, maciupęnką wioszczyne na lewym brzegu, minęli poprzedniego dnia z Nilem Ławrientiewiczem.

- Jak to, bez pełnomocnika?

- Oni mają prawo sami wyznaczać miejsce zamieszkania.

- Niech pan gwizdże na nich. Jedziemy!

- Odebrali mi skierowanie.

Głos mu drżał.

- Niech się pan nie martwi - powiedział Sasza. - Po przyjeździe do Rożkowa niech pan od razu napisze do Kieżmy albo do Kańska, przecież w Rożkowie nie ma dla pana pracy. Ja ze swej strony powiem o tym pełnomocnikowi w Kieżmie.

Borys machnął ręką.

- Wszystko przepadło! Och, co za idiota ze mnie!

Saszy szkoda było Borysa i żal rozstawać się z nim. Dobry kolega, wesoły, nie upadający na duchu. Uściskali się, ucałowali. Borys miał łzy w oczach.

Sasza wszedł do łodzi. Przewoźnik odepchnął łódź od brzegu i sam do niej wskoczył. Przez jakiś czas szli na wiosłach - stojące przy brzegu łódki i sieci nie pozwalały wziąć łodzi na hol. Sasza wpatrywał się w smętną postać Borysa. Borys chwilę patrzył, jak odpływają, potem podniósł walizkę i ruszył pod górkę.



Sam nad wielką rzeką, Sasza szedł na spotkanie swej przyszłości. Lepiej czy gorzej, ale wszyscy byli już przypisani do miejsca, tylko on jeden nie wiedział, co go czeka, dokąd go poślą. Już nigdy więcej nie zobaczy Wołodi, Iwaszkina, zesłańców, których spotykał we wsiach, a zapewne i Borysa, mimo że obaj będą mieszkać w tym samym rejonie. Czuł gorycz w sercu - utracił ludzi, z którymi przebył pierwsze setki kilometrów swojej drogi.

Na rufie siedział przewoźnik, małowówny mężczyzna lat około czterdziestu, o surowej twarzy feldfebla. Sasza i spółdzielca ciągnęli łódź na przemian, a na bystrzach we dwóch.

Spółdzielca miał na imię Fiedia: zdemobilizowany żołnierz, z natury wesoły i towarzyski, pracował jako sprzedawca w Mozgowie, wiosce położonej niedaleko Kieżmy, tytułował sam siebie kierownikiem, chwalił się, że zapisano go na jakieś tam kursy w Krasnojarsku, dokąd miał jechać zimą. Z zabawną powagą rozprawiał o roli wiejskiego sprzedawcy, jako rzecznika polityki państwowej na wsi. Reprezentował nowy typ wiejskiego aktywisty, był bystry, wszystko akceptował łatwo, z wesołą gotowością, bez dyskusji i wątpliwości, w dodatku ładnie śpiewał i grał na harmonii. Fakt, że Sasza jest zesłańcem, nie miał dla niego żadnego znaczenia. Tak już jest ten świat urządzony, zesłańcy zawsze byli, od niepamiętnych czasów, i teraz też są, ludzie jak ludzie. Ale gdyby służył w plutonie porządkowym i gdyby mu kazano Saszę rozstrzelać, to by rozstrzelał. I też oczywiście dlatego, że tak jest urządzony ten świat.

Fiedia wypytywał Saszę o Moskwę, na jakiej ulicy mieszkał, czy ta ulica jest ładna, jakie jeszcze istnieją ulice w Moskwie, kim są jego rodzice, czy był kiedykolwiek na Kremlu, czy widział towarzysza Stalina i innych przywódców i jakie są ceny w sklepach. Wszystkiemu się dziwił, wszystkim się zachwycił. Moskwa stanowiła szczyt jego marzeń. Sasza też budził jego zachwyt - tak czy owak rodowity moskwianin! Częstoował go papierosami "Lux", przeznaczonymi dla władz rejonowych.

Czasami śpiewał "Zapomniany, porzucony", piosenkę popularną nad Angarą, przywiezioną przez zesłańców. Śpiewał bardzo ładnie:

"Nad moją mogiłką nigdy się nikt nie pochyli, może tylko ptaszyna o wiosnie nad nią pokwili, pokwili, nim przed zimą w inne strony uleci, a mogiłka moja w śnieżnej utonie zamieci..."

Na zarobek do kopalń złota Fiedia nie chodził, ten zwyczaj już przeminął. Za to przed wojną przez dwa miesiące przebywał w ekspedycji profesora Kulika, szukali tunguskiego meteorytu, ale nie znaleźli, widocznie zapadł się pod ziemię. W tych okolicach

powstały jeziora, które się później przemieniły w bagna, komarów tam - wprost nie do wytrzymania, wszyscy uciekają. I Fiedia też uciekł, tym bardziej że dostał wezwanie do wojska. Do wojska w tych stronach zaczęto brać od dwudziestego szóstego roku i szkoły też otwarto w dwudziestym szóstym, przedtem żadnych szkół nie było, z tutejszych chłopaków on jeden umiał czytać i pisać, nauczył się od ojca, jego ojciec pracował w faktorii, handlował z Tunguzami.

- To naród nieuczony, ciemny - opowiadał Fiedia dobrodusznie o Tunguzach - ale kraść nie kradną. Na Rosjan mówią: Pietruszka, Iwaszka, Pawłuszka, Kornilka... "Mąka mój dawaj", "Musi mało-mało patrzeć", "Sprzedaj dwa bułka"... Lubią tytoń, piją i palą i mężczyźni, i kobiety, i ubierają się tak samo, żadnej różnicy. Dzieci, owszem, można rozróżnić: chłopcy mają jeden warkoczyk, a dziewczuchy dwa. Lubią koraliki, przyczepiają je do kozucha, do kamasinów...

"Kamus" - to po tungusku "pończocha" z nogi renifera albo łośia, z tej "pończochy" robi się obuwie, czyli kamasy. To słowo zaskoczyło Saszę swoim podobieństwem do indiańskiego słowa mokasyny. Jeszcze jeden dowód, że Tunguzi są spokrewnieni z północnoamerykańskimi plemionami Indian.

Jak dobrze byłoby przyjechać tu z ekspedycją, badać miejscowe dialekty, albo przyjść z geologami, ziemia tutejsza kryje niezliczone bogactwa. Tymczasem zesłano go do zabitej deskami wsi, bez prawa wyjazdu, trzy lata będzie tu wegetować bez pożytku dla siebie i innych.

Dlaczego to na niego spadło? Czy aby sam nie jest temu winien? Gdyby wtedy powiedział o Kriworuczce, teraz byłby na wolności. Ale on nie powiedział, uważał, że to amoralne. A co to jest moralność? Lenin mówił: moralne jest to, co służy interesom proletariatu.

Ale proletariatu to ludzie, a moralność proletariacka to moralność ludzka. Pozostawianie dzieci na śniegu to rzecz nieludzka, a więc i amoralna. I ratowanie własnego życia cudzym kosztem też jest amoralne.

Ostatni nocleg wypadł we wsi Zaimka na wyspie o nieoczekiwanej nazwie Turgieniew. Długość wyspy - dwadzieścia dwa kilometry, na jednym cyplu leży wieś Aloszkino, na drugim - Zaimka. Chata, do której zaprowadzono Saszę, była duża, przestronna, z dobudówkami i wymoszczonym deskami podwórzem. W chacie - gospodyni, dorodna, okazała kobieta, w młodości musiała być bardzo przystojna, gospodarz - pokrzywiony, rudy starowina, synowie - kruczoczarni bruneci o garbatych nosach i krzaczastych brwiach, prawdziwi kaukazczycy, najstarszy dobiegał czterdziestki, najmłodszy miał około

trzydziestki, ich żony i dzieci.

- Zaraz wróci ojciec Wasilij - powiedziała gospodyni - to razem powieczerzacie.

Niebawem rzeczywiście przyszedł duchowny, mężczyzna o pięknej, uduchowionej twarzy i płowej bródce. Był w butach z cholewami i deszczowcu, zaraz przebrał się w domową sutannę. Gospodyni podała na stół suszoną rybę, jajecznicę i mleko. Podczas posiłku ojciec Wasilij wypytywał Saszę, skąd przybył i dokąd idzie, gdzie się urodził i kim są jego rodzice. Powiedział mu, że sam też jest zesłańcem. O to, za co Sasza został zesłany, nie pytał, i o sobie też nic nie powiedział.

Po kolacji przeszli do małej izdebki, gdzie stało łóżko ojca Wasilija i malutki stolik. W pomieszczeniu panował mdły, cerkiewny zapach.

- Niech się pan rozbierze i wymoczy nogi, to panu dobrze zrobi - powiedział ojciec Wasilij. Przyniósł kocioł z gorącą wodą, miednicę, dał Saszy mydło i ręcznik. Sasza włożył nogi do gorącej wody, poczuł ogarniającą go słabość i błogość ustępującego zmęczenia.

Ojciec Wasilij stał oparty o drzwi i patrzył na niego dobrymi oczyma. Teraz, kiedy Sasza przyjrzał mu się bliżej, zauważył, że jest zupełnie młody, w pierwszej chwili wydał mu się starszy - z powodu bródki, z powodu sutanny i dlatego, że był osobą duchowną, bo duchownych zawsze wyobrażał sobie jako starców. Sądził nawet, że wszyscy oni pochodzą z czasów przedrewolucyjnych.

- Można by napalić w łaźni - powiedział ojciec Wasilij - ale łaźnia stoi nad rzeką, wracając mógłby się pan przeziębnić, a czeka pana droga...

- I tak jest wspaniale, dziękuję - odparł Sasza.

- W tych stronach myją się w kurnych łaźniach - ciągnął ojciec Wasilij. - W Moskwie miał pan pewnie łaźienkę?

- Tak, rzeczywiście.

- W moich stronach też są kurne łaźnie albo po prostu wchodzi się do pieca i myje się. Tu ludzie są znacznie schludniejsi.

- Skąd pan pochodzi? - zapytał Sasza.

- Z Rianzańskiego. Rejon korabliński. Słyszał pan o takim?

- Obwód rianzański znam, ale rejonu korablińskiego nie.

- U nas to już południe - mówił z uśmiechem ojciec Wasilij. - Królestwo jabłoni. Tu nie spotka pan ani jabłka, ani gruszki, będzie ich panu brakowało. Borówki, czarne jagody, łochynie i to wszystko, no oczywiście morozzka, czarne porzeczki, ale drobne, leśne. A owoców nie ma żadnych.

- Trzeba się będzie obejść bez owoców - powiedział Sasza, z rozkoszą poruszając

palcami w gorącej wodzie.

- Mydło, mydło niech pan weźmie, o, zaraz panu pomogę - ojciec Wasilij wziął mydło i myjkę.

- Ależ co pan, co pan, nie trzeba, ja sam! - zaprotestował speszony Sasza.

Ale ojciec Wasilij już zmoczył myjkę, namydlił ją, pochylił się nad miednicą i zaczął myć Saszy nogi.

- Nie trzeba, no co też pan, doprawdy! - krzyknął Sasza, usiłując wyrwać nogę z rąk ojca Wasilija i jednocześnie bojąc się, że nachłapie.

- Cóż takiego, cóż takiego - mówił ojciec Wasilij łagodnie, szorując nogę Saszy. - Panu jest niewygodnie, a mnie wygodnie.

- Nie, nie, dziękuję! - Saszy wreszcie udało się wyrwać ojcu Wasilijowi myjkę.

- No proszę, niech pan się myje - powiedział ojciec Wasilij i wytarł ręce ręcznikiem.

- Czym pan się tutaj zajmuje? - zapytał Sasza.

- Pracuję, pomagam gospodarzom, dają mi za to jeść, Bogu niech będą dzięki. Ludzie tu dobrzy, serdeczni. Pan do nich z sercem i oni się panu odwdzięczą. Zesłańców pewnie przestaną tu przysyłać.

- Dlaczego?

- Z powodu kolchozów. Prywatnych gospodarstw nie ma, nie ma gdzie zarobić na życie, a kolchozy zesłańców nie przyjmują. W okolicy są kolchozy specprzesiedleńców, ale tam też nie przyjmują...

- Dziwnie wyglądają synowie gospodarzy, tacy podobni do Czerkiesów.

Ojciec Wasilij uśmiechnął się.

- Gospodyni zgrzeszyła w młodości. Był u nich na kwaterze zesłaniec z Kaukazu, podobno bardzo przystojny. No i zdarzył się grzech...

- Widocznie nie jeden - zauważył Sasza - trzech synów.

- Ten człowiek mieszkał u nich dziesięć lat - ochoczo wyjaśniał ojciec Wasilij. - Potem wyjechał, a dzieci zostały. Gospodarz uważa je za swoje, a one jego za ojca. Tu od niepamiętnych czasów było miejsce zesłania, ludzie się przemieszali. Warunki nieźle, żyją zgodnie, nawet mnie przygarnęli. Specjalnie religijni nie są, w tych stronach wiara nigdy nie była silna. Syberia! Ale sumienie domaga się swego...

- Odprawia pan nabożeństwa?

- Cerkiew jest zamknięta... Tak po prostu, porozmawia się, pocieszy.

Sasza wytarł nogi, wciągnął skarpety.

- Niech się pan położy, odpocznie - powiedział ojciec Wasilij.

- Wyleję wodę, potem się położę - odparł Sasza.

- Ja wyniosę - ojciec Wasilij podniósł miednicę. - Pan nie wie gdzie.

Potem wrócił ze ścierką, wytarł podłogę, wyniósł kocioł.

Znowu wrócił, pościelił łóżko.

- Może się pan położyć.

- Jak to? A pan?

- Ja znajdę sobie miejsce, jestem u siebie, niech się pan kładzie.

- Za nic! Położę się na podłodze!

- Na podłodze jest zimno, przeziębisz się pan. A ja lubię spać na piecu.

- Ja też lubię spać na piecu - powiedział Sasza.

- Gospodarze już się położyli, nie trzeba ich budzić - odparł ojciec Wasilij. - A ja wsunę się cichutko, nikt nie usłyszy.

Mówił łagodnie, ale w tej łagodności wyczuwało się stanowczość człowieka, któremu nic nie przeszkodzi w wypełnieniu obowiązku. Obowiązkiem człowieka jest dzielić się z innymi tym, co ma, a ojciec Wasilij nie miał nic oprócz miednicy z wodą i wąskiego, twardego łóżka.

Sasza położył się, poczuł chłód prześcieradeł, dawno już nie spał na prześcieradle i nie przykrywał się miękką kołdrą, przeciągnął się, odwrócił do ściany i zasnął.

Od czasu pobytu w więzieniu spał czujnie. Rano obudził go cichy szelest. Ojciec Wasilij wstał z podłogi, gdzie spał na dosze, przykryty futrem.

- No proszę - odezwał się Sasza siadając na łóżku. - A mówił pan, że będzie spał na piecu.

- Wchodzę na piec - odpowiedział ojciec Wasilij wesoło - a tam już wszystko zajęte. Ale i tu nieźle się urządziłem, wyspałem się wprost cudownie.

- Nie powinien pan odstępować łóżka każdemu przyjezdnemu, ich jest dużo, a pan jeden.

- Gdzie tam dużo! - zaproponował ojciec Wasilij, przyczepiając się przed wiszącym na ścianie małym lusterkiem i zawiązując warkocz. - Od trzech miesięcy nikogo nie było. Przecież i okazja nie co dzień im się trafia, poza tym zakwaterowują ich u gospodarzy po kolei. Do naszych gospodarzy może przyjść w ciągu roku jedna albo dwie osoby. Ja na tym łóżku śpię codziennie, dla mnie to obojętne, a dla pana bądź co bądź wypoczynek. Niech pan śpi, jeszcze wcześniej.

Ojciec Wasilij wyszedł. Sasza przewrócił się na drugi bok i zasnął.

Potem ojciec Wasilij obudził go po raz drugi. Wrócił, zdjął zabłocone buty i przebrał się

w domową sutannę.

- A teraz już czas wstawać. Umyje się pan i zjemy śniadanie.

Na śniadanie znowu była jajecznica, gorące oładki i prasowana herbata. Wszyscy poszli do pracy, tylko stara gospodyni krzątała się koło pieca.

- Ile pan ma lat? - zapytał ojciec Wasilij.

- Dwadzieścia dwa. A pan?

- Ja? Ja mam dwadzieścia siedem - odparł ojciec Wasilij z uśmiechem.

- A jaki pan ma wyrok?

Ojciec Wasilij znowu się uśmiechnął.

- Wyrok mam nieduży - trzy lata. Dwa już odbyłem, został mi jeszcze rok. Ciągnie mnie do rodzinnych stron, ale i wyjeżdżać stąd też mi szkoda, przyzwyczailem się...

- I niech ojciec tu zostanie - wtrąciła gospodyni. - Ożeni się ojciec. W Rosji nie pozwolą ojcu służyć Bogu...

- Bogu wszędzie można służyć - odparł ojciec Wasilij.

Zwrócił się do Saszy:

- Z początku będzie pan tęsknił, ale później pan przywyknie. Nie trzeba upadać na duchu, chować w sercu złości, zło nie trwa wiecznie, potem zawsze przychodzi dobro. Pamiętam, co napisał Aleksander Dumas: nieszczęścia są jak paciorki różańca, nanizane na nić naszego losu, mędrzec przesuwają je spokojnie. Świecki pisarz, pisał powieści awanturnicze, a jak ładnie i mądrze to powiedział.

Zapukano do okna, wzywając Saszę do drogi.

- Ile jestem dłużny? - zwrócił się Sasza do gospodyni.

- A nic - odparła gospodyni machnąwszy ręką.

Ojciec Wasilij dotknął jego ramienia.

- Niech jej pan nie obraża - powiedział.

Potem odprowadził Saszę, pomógł mu umieścić walizkę w łodzi. Przewoźnik odwinął linę, odepchnął łódź i usiadł na rufie przy sterze. Fiedia przerzucił szelkę przez ramię i ruszył naprzód, powoli naciągając linę i wciąż oglądając się za siebie, żeby zobaczyć, czy przewoźnik prawidłowo wyprowadza łódź..

Widząc, że łódź idzie, jak należy, powiedział:

- Dociągniemy do cypla i pójdziemy na wiosłach do brzegu.

Sasza wyciągnął rękę do ojca Wasilija.

- Do widzenia. Dziękuję za wszystko.

Fiedia krzyknął wesoło:

- W drogę!

Pochylając się i naciągając linę Sasza ruszył naprzód.

- Niech pana Bóg ma w swojej opiece! - powiedział ojciec Wasilij.

## **Część trzecia**



Na miejsce zesłania wyznaczono Saszy wieś Mozgowę, położoną o dwanaście kilometrów od Kieżmy w górę Angary.

Mieszkanie trafiło mu się przyzwoite. Dom był duży, dostatni, w domu gospodyni - wdowa, dwóch dorosłych synów i przyszywany mąż gospodyni, nietutejszy, obcy, zdemobilizowany żołnierz. Swego czasu synowie nie pozwolili matce wyjść za niego za mąż, nie chcieli mieć współnika do gospodarstwa. Teraz gospodarstwo zabrał kołchoz, ale kiedy żołnierz się upił, przypominała mu się stara krzywda, biegał po wsi czerwony na twarzy, z rozczochraną siwiejącą głową i odgrażał się, że zabije pasierbów. Pasierbowie łapali go i zamykali w komórce, żeby się odespał.

Młodszy syn, Wasilij, zgrabny chłopak o wyrazistych rysach twarzy, przespał się chyba ze wszystkimi dziewczuchami ze wsi - obyczaje tu panują swobodne. Do domu wracał nad ranem albo w ogóle nie wracał. Sasza prawie go nie widywał, a kiedy go z rzadka spotykał, Wasilij uśmiechał się do niego w milczeniu, był małomówny, ale życzliwy.

Starszy, Timofiej, dziewczuchami się nie interesował, wieczorami nie spacerował z młodymi po ulicy. Nocował zawsze w domu. Nie pytając o pozwolenie wchodził do pokoju Saszy, oglądał jego rzeczy, wypytywał: "A to po co, a to?" Patrzył nieufnie, milczał. Saszę raziła ta bezceremonialność, ale cierpliwie odpowiadał na wszystkie pytania. Co robić - to lud! Wielki, potężny, ale jeszcze ciemny, prymitywny. Sasza, jak każdy rosyjski inteligent, miał wobec niego poczucie winy.

Któregoś dnia popłynął z Timofiejem na wyspę kosić siano. Kosić nie umiał, ale postanowił spróbować. Siedział przy wiosłach, a Timofiej na rufie, przy sterze. Na dnie łodzi leżały dwie kosy, oselka, maski przeciw komarom: jedna zwyczajna, z końskiego włosia - Timofieja, druga z jedwabnej siatki - Saszy, kupiona w Kańsku za radą Sołowieczyka. Przyglądając się tej jedwabnej siatce Timofiej powiedział:

- Wszystko wy, miastowe, macie, nie to, co my, chłopci, my niczego nie mamy, niczegośmy nie widzieli, choć siedzicie nam na karku.

W prymitywnej formie Timofiej wyłożył teorię wartości dodatkowej: Dobra materialne produkuje Timofiej, czyli chłopci, a Sasza i tacy, jak Sasza, nic nie produkuje.

Tak myślał Sasza, ze wszystkich sił napierając na wiosła, żeby nie zniosło łódki poniżej wyspy - w odnodze prąd był bardzo silny.

- Przysyłają was tu na nasze nieszczęście - ciągnął Timofiej - żyjecie z naszej krwawicy.

Sasza nic nie odpowiedział. Bo i cóż mógł odpowiedzieć? Gdyby Timofiej chciał

zrozumieć... Ale on nic nie chce zrozumieć. Siedzi przed nim zesłany, wyzuty z praw, można się nad nim poznęcać.

- Co, лыso ci? Boisz się? - uśmiechnął się Timofiej drwiąco. - Dźgne cię kosą, zepchne do rzeki, śladu po tobie nie zostanie! I nic mi za to nie będzie. Uciekł do Rosji, powiem. Wszyscyście kontry, trockiści, nikt się za wami nie ujmie! Zapamiętaj se.

Sasza podpłynął do brzegu, wszedł do wody, podciągnął łódź. Timofiej nie wstał, nie pomógł, siedział na rufie, uśmiechał się drwiąco, i dopiero kiedy Sasza całkiem wyciągnął łódź i rzucił łańcuch, wyszedł na brzeg.

- No i dlaczegoś mnie nie utopił? - spytał Sasza.

- Jak się będziesz stawiał, to cie jeszcze nie minie!

- Żałuj, żeś tego nie zrobił!

- A to czemu?

- A temu, że zaraz cię zabiję!

Timofiej cofnął się.

- No, no, nie wygłupiaj się! - krzyknął.

Bezludna wyspa na krańcu świata. Gdzieś w głębi pracują kosiarze. Powietrze aż huczy od komarów, a poza tym absolutna cisza. Świata nie ma, ludzkości nie ma, są tylko oni dwaj, i oto wreszcie Abel odplaci Kainowi za grzechy jego, za wszystkie przestępstwa jego.

Nie spuszczać z Saszy napiętego spojrzenia Timofiej cofał się wolno, potem odwrócił się i rzucił w stronę łodzi, gdzie leżały kosy. Sasza dopadł go, pchnął pięścią w plecy. Timofiej zwałił się do wody, podniósł się, odwrócił i wtedy Sasza z całej siły uderzył go w twarz. Timofiej znowu upadł i rozpryskując wodę poczołgał się do brzegu.

Nie, nie zabije Timofieja! Nie będzie się narażał z powodu takiej gnidy! Timofiej nie ruszał się, leżał na brzegu, patrząc ze strachem na Saszę. Ohydna mordą!

O-o, cóż za koszmar!

Sasza podszedł do łodzi, wyrzucił na brzeg kosy, oselkę, siatkę Timofieja, ujął wiosła i popłynął do wsi.

Przy kolacji oznajmił, że przenosi się na inną kwaterę.

- Źle ci u nas? - zapytał go żołnierz. - Daleś Timofiejowi nauczkę i dobrześ zrobił. Toż on stuknięty, nic tylko wszystkim grozi, taki paskudnik, nikomu nie przepuści. A z ciebie, proszę, jaki osilek, idź z Waską, wszystkie dziewczuchy są jego, może ci której ustąpi...

- Na niego nauczycielka zyrka - roześmiał się Wasilij. Timofiej milczał, na nikogo nie patrząc.

Mieszkanie było przyzwoite, ale żyć pod groźbą czyjejś zemsty to żadna przyjemność, a

w jego sytuacji nawet niebezpiecznie. Nazajutrz rano Sasza przeniósł swoje rzeczy na nową kwaterę.

W nowej chacie oprócz kuchni była jeszcze mała izdebka i tę mu wynajęto. Gospodarze, dwoje starszków, byli biedniejsi niż poprzedni, ale wyżywienie okazało się całkiem znośne. W kolchozie pracowali niewiele, cały dzień spędzali w domu, nie kłócili się, staruszka nazywała starego “mój krzywulec”, stary rzeczywiście był jakiś pokręcony, drobniutki. W domu - spokój. Staruszka krząta się koło pieca z uchwytem do garnków, stary postukuje siekierą na podwórku, coś naprawia. W izdebce pachną świeżo wyszorowane podłogi, na poczerniałych ze starości drewnianych ścianach wiszą portrety Lenina i Kalinina, a obok wycięte z “Niwy” fotografie carskiej rodziny w otwartym powozie.

Czasami stary wychodził na cały dzień, wracał pod wieczór. Na pytanie, co robił w kolchozie, odpowiadał:

- Co mi kazali, to i robiłem.

W tych stronach kolchoz to pojęcie względne. Kolektywizacja zaczęła się tu później niż w innych rejonach, a po artykule Stalina “Zawrót głowy od sukcesów” kolchozy kompletnie się rozpadły, potem organizowano je na nowo z półtorarocznym, a czasem i dwuletnim opóźnieniem. Bo i co tu kolektywizować? Ze względu na krótki okres wegetacji zboża uprawia się tyle, że ledwie go starcza na wyżywienie rodziny. Gdyby to zboże kazano odstawić, trzeba by je wieźć sześćset kilometrów saniami albo spławiać Angarą przez porohy i bystrza, co jest po prostu nierealne. Bydło? Krów w każdym gospodarstwie było do dziesięciu, dwa tysiące na wieś, i około tysiąca koni. Bydło upaństwowiono, zapędzono w obejścia wysiedlonych kulaków, ponad połowę zamorzono głodem, zimy tu panują srogie. Potem znowu zwrócono je gospodarzom, ale już nie jako własność prywatną, lecz kolchozową, a gdzie odstawić mleko, komu? Mleczarni nie ma, maślarni nie ma. Odwozić do Kieżmy dla władz? Władz istotnie przybywało, w przeciwieństwie do bydła, którego pogłowie zmniejszało się z roku na rok. Pozostawało łowiectwo. Właśnie wtedy, przez Mozgowę, prowadził główny szlak do Tunguzów, na Wanarawę. Przed kolektywizacją popielice odstawiano do “Skupu futer”, do kooperatywy. Teraz pośrednikiem stał się kolchoz, a kolchoz zatrzymuje dla siebie połowę pieniędzy. Co robić? Myśliwi zaczęli chować skórki, sprzedawali je Tunguzom, w faktoriach dawano im pełną cenę.

Minęły chyba ze dwa lata, nim w centrali zauważono, że skup spada. A popielice to waluta! Przesłano komisję, obradowano tak i owak, wreszcie podjęto decyzję: myśliwym przeszkadza rolnictwo, to ono wszystkiemu winne, jest nietowarowe, państwo nie ma z niego żadnego pożytku, tylko same straty, w związku z czym należy uznać rejon za

nierolniczy, niech się specjalizuje w łowiectwie, a zboże będzie się dowozić z innych, rolniczych rejonów, tak jak się dowozi Ewenkom.

Teraz kołchoźnicy sprzedawali skórki Tunguzom za chleb: uprawiać zboże im zabroniono, a z innych rejonów nie dowieziono, zwyczajnie zapomniano. Przed władzami tłumaczyli się tym, że popielice przeniosły się na północ, sama droga zajmie trzy tygodnie, poza tym trzeba zakładać nowe zimowiska, a Tunguzi te zimowiska niszczą, dochodzi niemal do strzelaniny. W rzeczywistości nigdy się tak nie przyjaźnili z Tunguzami jak teraz, a skórki wymieniali nie tylko na chleb, ale i - przeważnie - na spirytus. I razem pili.

Zabita deskami syberyjska wieś, która dawniej dawała państwu do stu tysięcy popielic rocznie i dostarczała do Irkucka stada bydła, która produkowała na własne potrzeby zboże, mleko, miała pod dostatkiem ryb, teraz zarzuciła łowiectwo, przestała uprawiać zboże, hodowała dziesięciokrotnie mniej bydła i razem z innymi nadangarskimi wsiami spadła na kark ałtajskiemu chłopu, który sam nie miał co włożyć do ust.

I mimo to tutejsi ludzie nie zaznali głodu początku lat trzydziestych. Uratowała ich odległość, zacofanie, odwieczny system naturalnej w gruncie rzeczy gospodarki. Żywiła ich rzeka - ryby można było niemal czapką łowić: i chariusy, i tajmienię, łososie i jesiotry, które ciągnęły tu na tarło; żywił las, dostarczając jagód i grzybów; żywiło bydło, które wprawdzie uchodziło za własność kołchozu, ale stało w obejściu, bo fermę budowano już trzeci rok; żywiło ptactwo domowe, świnia z prosięciem i barany, hodowane na wełnę - też nie upaństwowione. Najważniejsze zaś, że nie było kontyngentów, nie było planu skupu, wyjąwszy skórki, zresztą i plan skupu skórek zmniejszano z roku na rok, aż wreszcie uznano rejon nie tylko za nierolniczy, ale i niełowiecki. Zakwalifikowano go jako towarowomlecny i nakazano codziennie dostarczać świeże mleko władzom rejonowym, których kieżemski kołchoz nie był już w stanie wyżywić. Mozgowa dostarczała mleko skrupulatnie, co nie było rzeczą trudną - z dwóch tysięcy krów zostało dwieście, załadowało się na wóz dziesięć baniek mleka i w drogę.

Kiedy Sasza przybył do Mozgowy, wieś niezupełnie jeszcze podupadła. Pieniądze jeszcze miały swoją wartość, za mieszkanie z wyżywieniem płacił gospodarzom dwadzieścia rubli, czasem, kiedy naprawił kołchozową wirówkę, przynosił osełkę masła.

Wirówka była produkcji szwedzkiej, z końca ubiegłego wieku, tak zwana lavalowska "Alfa-C", z talerzykami, o bardzo skomplikowanej budowie i dlatego trudna do rozebrania i czyszczenia. Z wirówkami Sasza zapoznał się przed trzema laty na praktyce studenckiej. Posłano całą kolumnę samochodów na wieś do pomocy przy zniwach. Po jakimś kułaku została wirówka, ale nikt nie umiał się nią posługiwać. Mechanik kolumny samochodowej

rozebrał wirówkę na części, oczyścił i złożył na powrót. Sasza zrobił to samo z ciekawości i teraz bardzo mu się to przydało. Sprzęt był stary, gwinty na wałku starte, nakrętka ledwie się trzymała, a naciąg nowych gwintów nie było czym.

- Powiedźcie waszemu przewodniczącemu - zwrócił się Sasza do kobiet - niech zawiezie wirówkę do Kieżmy, żeby nacięli nowe gwinty, bo całkiem się rozleci.

Trudno powiedzieć, czy to kołchoźnice nie przekazały jego słów przewodniczącemu, czy też przewodniczący nie miał czasu zająć się wirówką.

Wirówka to klub męzatek. Iść na wirówkę oznaczało choć na godzinkę urwać się z domu, poplotkować, póki się czeka w kolejce - chwila wytchnienia w ciężkiej kobiecej doli. W tych stronach wszystko spoczywa na barkach kobiety: pole, ogród, rzeka, bydło, dom. Prawdziwy Angarczyk to myśliwy, włóczęga, pracą pogardza, szczególnie domową. Sołowiejczyk miał rację: tutejsza kobieta w dwudziestym roku życia jest wołem roboczym, w trzydziestym - starą szkapą. Jej najlepszy okres trwa między trzynastym a szesnastym rokiem życia, do zamążpójścia. Bo choć pracę zarówno w kołchozie, jak i w gospodarstwie wykonuje na równi z dorosłymi, starcza jej jeszcze siły na ulicę. Na przedzie w dwóch rzędach idą dziewczyny i śpiewają, za nimi, również w dwóch rzędach, chłopaki z harmonistą. Dochodzą do opłotków, zawracają, i tak to trwa aż do zmroku, wtedy rozchodzą się parami po gumnach, po stodołach. Jeśli mąż coś żonie wytyka, to właśnie to, że okazała się cała. Widocznie nawet za panieńskich czasów nikt nie miał na nią chętki.

Wbrew oczekiwaniom incydent z Timofiejem tylko umocnił autorytet Saszy we wsi: zesłany nie bał się wygrzmocić miejscowego. Tym zesłanym jeszcze za carskich czasów nie pobłażano - za kradzież, za pijaństwo, za bójki rozprawiano się całą wsią, winnych nie było. Co prawda, wtedy byli to kryminaliści, polityczni w bójkach nie uczestniczyli. A ten zesłany, opowiadał Fiedia, pochodzi z samej Moskwy, nikogo się nie boi, bo zna chwyt. Fiedia chętnie używał nieznanych słów, żeby podkreślić, jaki to on kształcony.

To dzięki niemu Sasza trafił do Mozgowy.

W przeciwieństwie do boguczańskiego pełnomocnika NKWD, mężczyzny powolnego i ospałego, kieżemski pełnomocnik Ałfierow był bardzo ruchliwy i chorobliwie chudy. Nie spuszczał z Saszy przenikliwych oczu zapytał porywczo:

- Jak pan tu przybył?

- Ze spółdzielcą z Mozgowy.

- Czy on już wyjechał?

- Nie.

- To niech pan z nim jedzie do Mozgowy. - Ałfierow uznał widocznie, że takie

rozwiązanie jest najmniej kłopotliwe - ostatecznie człowiek już siedział w łódce.

I Sasza też był zadowolony: będzie mieszkał dwanaście kilometrów od Kieżmy i na miejscu będzie miał nie takiego znowu nadzwyczajnego, ale bądź co bądź znajomego.

Któregoś wieczoru Fiedia wstąpił do Saszy i wywołał go na ulicę. W zaułku siedziała na kłocach rozwódka Laryska, niepozorna kobieta o wągrowatej cerze i małych zezowatych oczkach, oraz Marusia, siostra Fiedi, dobrodusznna dziewczucha o szerokiej, płaskiej twarzy.

Fiedia usiadł na kłocach obok Laryski, i zwracając się do Saszy powiedział:

- Siadaj koło siostry.

Marusia podniosła na Saszę oczy i uśmiechnęła się zachęcająco: siadaj, mówiły te oczy, obejmij mnie za ramiona, widzisz, jakie są szerokie, podatne, i pierś też mam szeroką, ciepłą, pogrzejesz się.

Mimo to Sasza usiadł w pewnej odległości. Coś go powstrzymywało. Boguczańska Łukieszka miała w sobie coś z podlotka, jakąś iskierkę, umizgała się do niego z naiwnym bezwstydem, przypominając mu trochę Katię. A z tą kwadratową grubaską nie wiedział, o czym rozmawiać, z nią pewnie w ogóle nie trzeba rozmawiać, tylko od razu zwalić na siano...

Z ulicy dobiegały śpiewy i dźwięki harmonii. Przeszła nauczycielka Zida, Nurzida Gazizowna, Tatarka, wyglądająca na dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat. We wsi nazywano ją Ziną, Zinką, a dzieci Zinaidą Jegorowną. Przeszła powoli obok zaułka, w którym siedział Sasza ze swoimi nowymi znajomymi. Marusia uśmiechnęła się dobrodusznie i powiedziała zwracając się do Saszy:

- Ciebie szuka.

- Dlaczego mnie?

- Wpadłeś jej w oko, chcesz, to cię z nią poznam.

Saszy spodobała się jej życzliwa otwartość: nie chcesz mnie, to bierz inną, sama cię do niej zaprowadzę. Zwyczajnie, bez dąsów.

- Nie, nie trzeba.

- Nie spodobała ci się?

- Za chuda - odpowiedział za Saszę Fiedia.

- Za to kiecki ma miastowe i szarawary jedwabne - wtrąciła Laryska.

- A pod szarawarami gnaty - zauważył Fiedia.

Wstał, przeciągnął się.

- Chodźmy, Laryska, bo oładki wystygną.

- Owinęłam je w szmatkę, będą gorące.

Na podwórku Laryska powiedziała:

- Włażcie na górę, ja pójde po oładki.

Wdrapali się po drabinie na strych szopy. Pachniało zeszłorocznym sianem. Noc była księżycowa, jasna, bieląla okrągła twarz Marusi. Sasza wyczuwał na sobie jej wyczekujące spojrzenie, słyszał jej oddech. Fiedia poszperał za belką, w jego ręce błysnęła butelka, szcęknęły szklanki.

\* \* \*

Tę noc Sasza pamiętał jak przez mgłę. Laryska i Marusia piły niewiele, a on, żeby nie zostać w tyle za Fiedią, wypił pół szklanki spirytusu, sparzyło mu gardło, popił wodą, przegryzł suszoną rybą, a potem zaczął fantazjować, przechwalać się, jak to się pije w Moskwie. Uderzyło mu do głowy, poniosło go, wrywał się z samego siebie, ze swojej gorzkiej doli, żądał spirytusu, Fiedia podnosił butelkę, pokazywał, że już nie ma.

Potem wymiotował, to już było nie na sianie, lecz na ziemi, pachniało obornikiem, widział pochylone nad sobą białe twarze Marusi i Fiedi, czuł stukający o zęby czerpak, lali mu wodę za kołnierz, usiłował wstać, dokąś się wrywał, znowu napływały mdłości i znowu wymiotował, długie, męczące ataki torsji, w dalekim niebie migotały gwiazdy, gdzieś ujadaly psy, ciągnęli go, a on się opierał, do domu jednak wlał przez okno, nie chciał budzić gospodarzy, kompromitować się.

Rano słyszał, jak starzy zbierają się do pracy, udał, że śpi, i rzeczywiście zasnął, a kiedy się obudził, w domu nikogo już nie było. Wstał i zszedł do piwnicy, poczuł przyjemny, wilgotny, pachnący ziemią chłód, wziął z deski dzbanek ze śmietaną, przykryty drewnianym wieczkiem, wrócił do kuchni, wyjął spod ręcznika kołacz, jeszcze ciepły, mięciutki, i maczając go w śmietanie zjadł. Poczuł się lepiej, znowu zasnął i spał do wieczora, wstał dopiero na kolację. Gospodarze o nic go nie pytali, ale był przekonany, że o wszystkim wiedzą.

Następnego dnia rano czuł się już zupełnie dobrze, ale był w parszywym nastroju, nie miał ochoty wychodzić z domu, bał się spotkania z Fiedią, Marusią, Laryską, bał się ich kpiących oczu, nie rozumiał, jak mógł upaść tak nisko. Że się upił, trudno, to mu się zdarzało, ale skąd ta chępliwość, fanfaronada! Mimo wszystko musiał pójść do sklepu, bo skończyły mu się papierosy. Fiedia przywitał go z życzliwym uśmiechem. Cześć! Cześć! Jak tam głowa? Nie boli? No to w porządku! Sprzedał mu papierosy i zapalki. Zapytał, czy nie kupiłby gitary z samoucziem. Przysłali trzy sztuki, a tu ani Tunguzi, ani miejscowi

czaltoni na gitarach nie grają. Sasza nie kupił, czego później żałował, bo nauczyłyby się grać.

Na ulicy spotkał Marusię, szła z nosidełkami na ramionach, niosła wodę z rzeki. Uśmiechnęła się do niego jakby nigdy nic.

Wieś nie zwróciła uwagi na ten incydent, niepotrzebnie się martwił. Podpił sobie człowiek, no i co w tym nadzwyczajnego? Poza tym Fiedia przykazał dziewczuchom trzymać język za zębami, spirytus był darmowy, z kooperatywy.

Jedyną osobą, która go o to zagadnęła, był Wsiewołod Siergiejewicz, zesłaniec z Moskwy, suchy, żylasty mężczyzna lat około trzydziestu pięciu, ale wyglądający na więcej: był łysy, miał duży, mięsisty nos i wąskie, skore do uśmiechu usta. Wsiewołod Siergiejewicz pośmiał się z niego dobrodusznie: no cóż, zdarza się...

Nie mówił, za co został zesłany - tu nie jest to przyjęte. W etapie owszem, a tu tylko wymienia się artykuł. Artykuł prawie wszyscy mieli ten sam: pięćdziesiąty ósmy, paragraf dziewiąty.

Wyrok Wsiewołod Siergiejewicz odsiadywał najpierw w Kieżmie, potem go szurnęli do Mozgowy, bo nawiązał romans z urzędniczką rejonowego urzędu finansowego, co zesłańcom jest surowo wzbronione. Mogli go przenieść gdzie indziej, nawet sto kilometrów dalej, bo odległości są tu duże, ale był jeszcze potrzebny w Kieżmie, i musiał codziennie maszerować pieszo dwadzieścia cztery kilometry. Na wiosnę zwolniono go jednak, bo z okręgu przysłano nowego księgowego, i teraz Wsiewołod Siergiejewicz dorabiał sobie w Mozgowie: zajmował się ciesiołką, kosił, zwoził siano, kopał ziemię w ogrodach, łowił ryby brodnikiem, wprawiając wieś w zdumienie swoimi kąpielówkami - kąpielówek nikt tu na oczy nie widział, wszyscy nosili kalesony - pomagał kołchozowemu rachmistrzowi, młodemu chłopcu, który ukończył kursy w Kańsku.

Ale najważniejsze dla niego były kobiety, mówił o nich otwarcie, cynicznie. Widząc, że Sasza się skrzywił, powiedział bez urazy:

- A cóż nam jeszcze zostało w tym życiu? Co pan tu zamierza robić? Tu jedyna radość to kobiety, innych pan mieć nie będzie. Należy cenić okruchy, które daruje nam komendantura. Jak długo jest pan mężczyzną, jest pan człowiekiem.

Saszę raziły te wynurzenia, ale mimo to zaprzyjaźnił się z Wsiewołodem Siergiejewiczem. Było w nim coś z Moskwy lat dwudziestych, Moskwy jego dzieciństwa, z jej powiedzonkami, anegdotami, cygańskimi romansami. Śpiewał przyjemnym barytonem: "W małym białym domku mieszka moja miła, przychodzić do domku miłym zabroniła..." Miał w sobie jakąś naturalność i, jak to Sasza zrozumiał później, człowieczeństwo tamtego



okresu. Nie czuło się w nim moskwianina lat trzydziestych. Widocznie dawno wyjechał z Moskwy.

Nie powiedział, skąd wie o pijackim wybryku Saszy, tylko skrzywił się:

- To nie jest towarzystwo dla pana. Niech się pan zainteresuje nauczycielką. Czarująca, inteligentna kobieta! I proszę, dokąd ją przyniosło!

- Mnie też to zdziwiło - przyznał Sasza. - Przyjechać do takiej wiochy!

- Widocznie jakiś miłosny kataklizm - podjął Wsiewołod Siergiejewicz. - A kobieta, która się zbliża do trzydziestki, samotna, w dodatku kobieta Wschodu, to taki aromat, taki zapach...

- Nie wygląda na Tatarkę - zauważył Sasza.

- Syberyjscy Tatarzy zupełnie się zrusyfikowali - powiedział Wsiewołod Siergiejewicz. - Tobolscy, tomscy, kuznieccy Tatarzy to już właściwie Rosjanie, Sybiracy. Muzułmanie? Jacy tam dzisiaj muzulmanie? Nawet prawosławnych pan już nie uświadczy. Ale charakter narodowy, mentalność, typ - to wszystko naturalnie pozostało, szczególnie u kobiet - niewolnica mężczyzny, wierna, oddana, ale harda. W jej spojrzeniu jest coś chańskiego. Będę z panem szczery: mnie nie chciała! Dlaczego? Trudno powiedzieć. Ale pan to co innego... Życzę powodzenia, Sasza! Wszystko przemija, pozostają kobiety, z którymi zetknęło nas życie. Niech się pan nią zajmie, rozerwie się. Takie kobiety w naszych czasach to rzadkość, niech mi pan wierzy. Taka kobietka to nawet w Moskwie smaczny kąsek.

- Może mieć przykrości - powiedział Sasza.

- Nie sądzę, innej nauczycielki nie znajdą. Poza tym nikt do niej nie uderza, czyli że nie ma potencjalnego donosiciela. Afiszować się naturalnie nie należy. W najgorszym wypadku przeniosą pana do Sawina albo do Frołowa, warta jest tego.

Obok krępych wiejskich dziewczuch o szerokich płaskich twarzach, bosonogich, w długich, rozwiewających się spódnicach, Zida, niewysoka, szczupła, podobna do podlotka w swoich krótkich, wąskich, miejskich sukienkach, wydawała się obca i bezbronna: samotna przyjezdna nauczycielka w głuchej, zagubionej pośród tajgi wiosce, gdzie ludzie uważają, że nauka to niepotrzebna strata czasu, a szkoła to tylko kłopot.

Wstąpiła do sklepu, kiedy tam był Sasza. Zrobiła to nieprzypadkowo. Jej szare oczy patrzyły na niego spokojnie, otwarcie, choć ich spojrzenie było jakby trochę nieobecne. Uśmiechała się łagodnie i przyjaźnie. I rozmawiała z Saszą zwyczajnie, jak ze znajomym, we wsi wszyscy się znają. I mimo to gdzieś w głębi jej spojrzenia było jeszcze coś...

Fiedia skarżył się, że już drugi rok nie przywożą mydła i prasowanej herbaty, i nafty też nie przywieźli, a kreton choć i przywieźli, ale nie w tym kolorze, który tu idzie. Zida

słuchała z uwagą i zrozumieniem, odpowiadała krótko, ale tak, jak należy odpowiadać, kiedy niczym poza zrozumieniem drugiemu człowiekowi pomóc nie można.

Sasza przekartkował przywiezione na sprzedaż książeczki o lnieniu i bawełnie. Ani len, ani bawełna w tych stronach nie rosną.

- W szkole są książki do czytania, chce pan? - zwróciła się do niego Zida.

- Wspaniale!

- Niech pan przyjdzie wieczorem na brzeg, tam gdzie stoją łodzie, to panu przyniosę.

Powiedziała to prosto, zwyczajnie, ale wtedy, kiedy Fiedia wyszedł na zaplecze.

Wieczorem spotkali się nad rzeką, koło łodzi, pachnących mokrym drewnem, rybami i smołą. Zida była w palcie zapiętym na wszystkie guziki, ale z gołą głową. W świetle księżyca jej twarz o regularnych, wyrazistych rysach wydawała się bardzo młoda, dziewczęca, tylko spojrzenie zdradzało doświadczenie dojrzałej kobiety.

- Nie wiem, jakie książki pana interesują - powiedziała - może wstąpi pan do mnie, sam pan wybierze.

Sasza przyciągnął ją do siebie, pocałował w miękkie wargi, zamknęła oczy, słyszał, jak bije jej serce... Potem odchyliła się do tyłu, spojrzała mu prosto w oczy i ostrożnie uwalniając się z jego objęć wyszeptowała:

- Poczekaj...

Poprawiła chusteczkę na szyi, wzięła go za rękę i poszli najpierw brzegiem rzeki, potem ścieżką obok małych ciemnych łaźni wspięli się na skarpe.

- Zaczekaj tu chwilę, jak zapalę światło, to wejdiesz. - Sasza czekał, opierając się o poczerniałą ścianę łaźni. W okienku mignęło światło. Przeskoczył przez chruściany płot, przeszedł przez podwórko. Drzwi były otwarte...

Wyszedł od Zidy przed świtem i tą samą drogą, którą szli oboje, obok łaźni, potem brzegiem rzeki, wrócił z drugiego końca wsi do siebie.

Nie umawiali się, mieli przed sobą cały dzień, jeszcze zdążą, myślał. Ale w ciągu dnia nie spotkał jej. Okazało się, że wyjeżdżała do Kieżmy.

Późnym wieczorem wyszedł z domu. Wieś spała, ale w oknie u Zidy paliło się światło. Tak jak wczoraj przeskoczył przez chruściany płot, ujął klamkę, drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem.

- Dlaczego się nie zamykasz? - zapytał.

- A jeśli ty przyjdiesz?

Po rosyjsku mówiła czysto, bez akcentu, ale poza tym, jak słusznie zauważył Wsiewołod Siergiejewicz, była kobietą Wschodu - uległa, namiętna, traciła zmysły przy pierwszym

dotknięciu... “Co ty ze mną robisz?...” A jednocześnie miała w sobie wschodnią powściągliwość, a nawet skrytość. O sobie mówiła niewiele i niechętnie, któregoś dnia napomknęła nagle o mężu, ale zaraz się poprawiła: były mąż. W Tomsku, u rodziców, wychowywała się jej córeczka Roza, zaczęła już szósty roczek... Tam też, w Tomsku, Zida ukończyła instytut pedagogiczny, przez pięć lat pracowała jako nauczycielka, potem przyjechała tutaj. “Wszystko mi tam obrzydło...” - powiedziała. Ale dlaczego przyjechała właśnie tu, do tej dziury, nie mówiła. “Tak się złożyło...” Sasza nie chciał jej narażać na przykrości, uważał, że ich związek powinien być utrzymany w tajemnicy, zgodziła się z nim w milczeniu, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że we wsi nie jest to możliwe. Ale nie oponowała, nie upierała się, nie było ani łez, ani kłótni, ani wylewnej radości, ani wyznań miłosnych. Raz tylko, obudziwszy się w nocy, zobaczył, że Zida nie śpi, wsparta na łokciu wpatruje się w jego twarz.

Pogładził ją po policzku.

- Dlaczego nie śpisz?

- Rozmyślam.

- O czym?

Roześmiała się i powiedziała:

- Zastanawiam się, gdzie rodzą się tacy piękni mężczyźni.

2

Któregoś dnia przysłano po Saszę - znowu nawaliła wirówka. Kiedy ją ostatni raz reperował, wiedział, że to się nie na wiele zda, gwinty się starły, nakrętka ledwie się trzyma, tyle razy powtarzał, żeby zawieźli do SMT, i dotąd tego nie zrobili.

Mimo to poszedł. Koło wirówki stały roztrajkotane gospodynie. Był tam również przewodniczący kołchozu, Iwan Parfienowicz, krzepki, przysadzisty chłop. Sasza nie znał go osobiście, ale słyszał, że ma twardą rękę i nie zawsze trzyma ją przy sobie. Teraz rozmawiała z nim Zida, która zerknęła na Saszę, kiedy wszedł.

- Dzień dobry - powiedział Sasza wesoło. - Co się stało?

Co się stało, to zobaczył od razu: wirówka się rozleciała. Tego się należało spodziewać.

- To twoja robota? - zwrócił się do niego Iwan Parfienowicz.

- Dlaczego moja? - odpowiedział Sasza. - Robota szwedzka. Tę wirówkę wyprodukowali Szwedzi.

- Szwecja, Szwecja - burczał ponuro Iwan Parfienowicz. - Jak zepsuleś, to teraz naprawiaj.

- Ja jej nie psułem, nikt jej nie psuł. Ta wirówka ma już ze sto lat, gwinty się starły, mówiłem już parę razy, że trzeba ją zawieźć do SMT, żeby ponacinali nowe.

- Komuś to mówił?

- Wszystkim mówiłem, wszyscy słyszeli.

- Mnie trzeba zawiadamiać, a nie baby, do takiej siakiej owakiej...

- O ile mi wiadomo, ja u pana nie pracuję i nie mam obowiązku pana o czymkolwiek zawiadamiać.

- Ach, ty draniu, ty szkodniku! - wybuchnął przewodniczący. - Zepsułeś wirówkę, a teraz na baby zwalasz?!

- Jak pan śmie rozmawiać ze mną takim tonem?

- Co?! Ja z tobą nie śmiem rozmawiać?! Ty trockisto przekłety! A wiesz ty, kim ja jestem?! - przewodniczący zacisnął pięści.

- Wiem! Durniem! - wypalił Sasza z ironicznym uśmiechem, patrząc przewodniczącemu prosto w oczy. - Durniem! Dotarło to do pana?!

Odwrócił się i wyszedł. Przewodniczący coś jeszcze rzucił pod jego adresem, ale co, tego Sasza już nie dosłyszał.

\* \* \*

Tego samego dnia pod wieczór przed domem Saszy zatrzymał się wóz, z wozu zeskoczył nieznajomy mężczyzna, wszedł do domu i wręczył Saszy wezwanie: "Adm.-zesłany Pankratow A. P. Niniejszym zawiadamia się adresata o obowiązku bezzwłocznego stawienia się u pełnomocnika NKWD rejonu kieżemskiego, tow. Ałfierowa, we wsi Kieżma". I podpis Ałfierowa, podpis inteligentny, bez zawijasów.

Sam Ałfierow też zrobił na Saszy wrażenie człowieka inteligentnego, trochę nawet dziwiło, że jest zaledwie pełnomocnikiem rejonowym. W dodatku nie wiadomo, w jakiej randze - podobnie jak poprzednim razem Ałfierow był w cywilu.

Jego kancelaria mieściła się w tym samym domu, w którym mieszkał, zajmowała przednią połowę chaty. Przyjął jednak Saszę nieoficjalnie, w przestronnej izbie, z której jedne drzwi prowadziły do kancelarii, drugie do sypialenki, trzecie do kuchni, skąd zaciągało chłodem, widocznie tam były drzwi na podwórze.

- Niech pan siada - powiedział Ałfierow wskazując krzesło przy stole i sam usiadł po przeciwnej stronie, uprzejmy, ożywiony, Saszy wydało się, że jest na rauszu. - Jak się pan urządził na nowym miejscu?

- Urządziłem się jakoś.
- Mieszkanie ma pan przyzwoite, gospodarze przyzwoici?
- Nie narzekam.
- To dobrze, bardzo dobrze.

Ałfierow wstał, wyjął szkło ze zwisającej nad stołem lampy, zapalił knot, wyregulował, wstawił szkło na powrót. W kątach izby pociemniało, nad stołem rozjaśniło się. I Sasza zauważył leżący na stole papier, i od razu się domyślił, że to skarga na niego.

- Ta-ak - zaczął Ałfierow sadowiąc się wygodnie na krześle. - Wszystko dobrze, wszystko w porządku, wszystko ładnie, pięknie... A to - wskazał na leżący przed nim papier - nie jest w porządku. Skarżą się na pana: umyślnie, świadomie działając na szkodę - tak tu jest napisane: działając na szkodę - zepsuł jedyną we wsi wirówkę. Co pan na to?

- Ja nie psułem wirówki - odparł Sasza - ja ją trzy razy naprawiałem, w tym celu trzeba ją rozmontować, a to wcale nie jest proste. Kiedy rozebrałem ją po raz pierwszy, stwierdziłem, że gwint na wałku jest starty, nakrętka długo się na nim nie utrzyma, trzeba zawieźć wirówkę do SMT i ponacinać nowe gwinty. To może potwierdzić byle mechanik, byle ślusarz. Od razu im to wtedy powiedziałem i powtórzyłem, kiedy reperowałem wirówkę drugi i trzeci raz. Więc nie ja jestem winien. Winni są ci, którzy w odpowiednim czasie nie zawieźli wirówki do SMT. Nie mogłem zrobić tego osobiście, bo nie mam prawa wydalać się ze wsi.

Ałfierow słuchał uważnie, tylko kilkakrotnie zmieniał pozycję, sadowiąc się na krześle wygodniej, i jakoś dziwnie spoglądał na Saszę. Widocznie golnął sobie przy obiedzie, pomyślał Sasza, i ma ochotę pogadać, a czasu mu nie brakuje.

- Ta-ak - powiedział Ałfierow - to znaczy, że już za pierwszym razem zauważył pan, że gwinty są zdarte. Dobrze pana zrozumiałem?

- Tak. I zaraz wtedy powiedziałem...

- To na razie zostawmy. Twierdzi pan, że każdy mechanik, każdy ślusarz potwierdzi, że z takimi gwintami urządzenie nie nadaje się do użytku.

- Oczywiście, że potwierdzi.

- No więc niech mnie pan posłucha. Mechanik potwierdzi, że teraz, powtarzam, teraz gwint jest zerwany. Ale żaden mechanik nie potwierdzi, że gwint był zerwany miesiąc temu, kiedy pan po raz pierwszy rozbierał maszynę. A jeśli go zapytają, czy obywatel Pankratow mógł, zakładając nakrętkę, tak ją przekręcić, że zerwał gwinty? Co odpowie mechanik? Tak, powie, tak też mogło być. Nieprawidłowo nałożył nakrętkę, przekręcił kluczem i zniszczył gwint. Czy rozumiuję logicznie?

- Nie, nielogicznie - odparł Sasza.

- Naprawdę? - zdumiał się Ałfierow. - A ja myślałem, że logika jest moją mocną stroną. Gdzie pan tu widzi brak logiki?

- Kiedy po raz pierwszy rozmontowałem wirówkę, od razu powiedziałem, że trzeba ją zawieźć do SMT i ponacinać nowe gwinty.

- Komu pan to powiedział?

- Wszystkim, którzy tam byli.

- A kto tam był?

- Kobiety, kołchoźnice, ze dwadzieścia osób.

Ałfierow patrzył na niego wesoło.

- Proszę pana! pan jest przecież mądrym, inteligentnym, wykształconym człowiekiem! Pan im powiedział, a one co według pana powinny były zrobić?

- Zameldować przewodniczącemu kołchozu.

- Proszę pana! Przecież to są niepiśmienne wiejskie kobiety, one takich słów w życiu nie słyszały: gwint, wałek, nakrętka, one ich nawet nie potrafią powtórzyć! One nie odważą się nic powiedzieć przewodniczącemu, bo on im odpowie, żeby się nie wtrącały w nie swoje sprawy. Zresztą one same nie chcą, żeby zabrano wirówkę, bo zabiorą i nie przywiozą z powrotem, a tak to jakoś tam działa, no i dobrze. Przewodniczącemu powinien zameldować pan, a pan tego nie zrobił i w rezultacie aparat przestał działać. No i jak się panu teraz podoba moja logika?

- Nie bardzo.

- Tak? Dlaczego?

- Ja w kołchozie nie pracuję, za reperację pieniędzy nie brałem, po prostu chciałem pomóc ludziom. I jeśli już za pierwszym razem, kiedy rozmontowałem wirówkę, przy wszystkich oświadczyłem, że urządzenie jest niesprawne, to znaczy, że go nie psułem. A to, że o tym mówiłem, mogą potwierdzić wszyscy.

Ałfierow patrzył na niego z uśmiechem, potem nagle zapytał cicho, a nawet jakby ze smutkiem:

- I potwierdzą?

- Dlaczego mieliby nie potwierdzić? - odparł niezbyt pewnie Sasza, który nagle poczuł słabość swojej pozycji.

- Ach, Pankratow, Pankratow - powiedział Ałfierow wciąż tak samo cicho i ze smutkiem. - Ależ z pana naiwny człowiek. Gdzie pan mieszkał w Moskwie?

- Na Arbacie.

- To znaczy, że jesteśmy sąsiadami - ciągnął Ałfierow w zadumie, nie powiedział jednak, gdzie znajduje się jego moskiewskie mieszkanie. - Tak, jest pan bardzo naiwny. Proszę sobie wyobrazić, że te kobiety zostaną wezwane do sądu. Po pierwsze, czy potrafi pan wymienić ich imiona i nazwiska? Wątpię. Po drugie, wszystkie one śmiertelnie boją się sądu i na wszelkie sposoby będą się usiłowały od tego wykręcić. Jeśli mimo to uda się ściągnąć na rozprawę dwie-trzy baby, to wszystkie one będą powtarzać w kółko: o niczym nie wiem, nic nie widziałam, nic nie słyszałam. Na jednej szali znajduje się pan - zesłaniec, kontrrewolucjonista, na drugiej - przewodniczący kołchozu, siła, władza, pan ich życia. Za kimże one będą świadczyć? Niech pan przestanie bujać w obłokach i spróbuje trzeźwo ocenić sytuację. Nie ma pan ani jednego świadka. A za przewodniczącym będzie świadczyć cała wieś. I prokurator ma wszelkie podstawy, żeby oskarżyć pana o umyślne uszkodzenie sprzętu rolniczego, czyli o szkodnictwo. Czyta pan, naturalnie, gazety?

- Jeszcze nie dostaję poczty.

- No to w Moskwie pan czytał. Zauważył pan chyba? Na każdym kroku szkodnictwo: traktory, kombajny, młockarnie, żniwiarki - wszędzie szkodnictwo. Czy to na pewno tak? Specjalnie psują? Kołchoźnicy? Po co? I wychodzi na to, że nie mamy innego wyjścia. Nasz chłop od stuleci znał tylko jeden rodzaj techniki: siekierę, a my go na traktor, na kombajn, do samochodu, on je psuje, bo nie umie, bo się nie zna, bo jest technicznym i wszelkim innym analfabetą. To co mamy robić? Czekać, aż wieś zdobędzie wiedzę techniczną, upora się ze swoim wielowiekowym zacofaniem? Aż chłop zmieni swą naturę, ukształtowaną w ciągu wieków? A na razie niech psuje traktory, kombajny, samochody, niech się w ten sposób uczy? Nie możemy sobie na to pozwolić, żeby nasz sprzęt techniczny został zniszczony, żeby poszedł na złom, bo zapłaciliśmy za niego krwią. I czekać też nie możemy - kraje kapitalistyczne nas zduszą. Mamy tylko jeden sposób, surowy, ale jedyny - strach. Strach jest ucieleśniony w słowie "szkodnik". Zepsuleś traktor, to znaczy, że jesteś szkodnikiem - dziesięć lat! I za żniwiarkę, i za młockarnię też dziesięć! Wtedy dopiero nasz chłop zaczyna się zastanawiać, zaczyna się drapać w głowę, trzęsie się nad traktorem, stawia butelkę jako tako obznajmionemu człowiekowi - pokaż, pomóż, ratuj. Idę onegdaj brzegiem, widzę, siedzi chłopak w motorówce i płacze: "Pociągnąłem za linkę, coś się zerwało, motor wysiadł, teraz mi wlepią pięć lat". Motor prościutki, prymitywny, zajrzałem do środka, widzę, dźwignia się urwała, umocowałem ją i motor ruszył. A przecież skazaliby chłopaka za zepsucie motoru, za niewykonanie planu połowów albo jeszcze za coś innego. Takie jest teraz nastawienie sądów. Innego wyjścia nie ma. Ratujemy sprzęt techniczny, ratujemy przemysł, ratujemy kraj, jego przyszłość. Dlaczego na Zachodzie tego nie robią?

To proste. My swój pierwszy traktor wyprodukowaliśmy w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym, a na Zachodzie w tysiąc osiemset trzydziestym, sto lat wcześniej, mają stuletnie doświadczenie i traktory są tam własnością prywatną, właściciel dba o swoje mienie. A nasze mienie jest państwowe, dlatego trzeba o nie dbać po państwowemu. Jeśli nie douczony wiejski chłopak dostaje za swoją niewiedzę pięć, a nawet dziesięć lat jako szkodnik, to ile powinien dostać pan, zesłany kontrrewolucjonista, prawie inżynier? Ale każdy sędzia skáže pana bez wahania, z czystym sumieniem, powiem więcej, oczyści sobie dzięki panu sumienie, powie: tamtych nieszczęsnych chłopów skazałem, bo mi tak kazali, to choć tego skażę sprawiedliwie. Pan nie rozumie swojej sytuacji. Pan sądzi, że na zesłaniu jest pan wolny. Myli się pan, powiem więcej: tym, co są w obozie, jest lepiej. O tak, naturalnie, tam jest ciężko, tam trzeba pracować na mrozie, przy wyrębie lasu, o chłdzie i głodzie, tam pan siedzi za drutami, ale tam otaczają pana tacy sami więźniowie, tam niczym się pan nie odróżnia. Tu nie ma strażników, nie ma wież strażniczych, dokoła las, rzeka, zdrowe powietrze, ale tu pan jest obcy, jest pan wrogiem, tu nie ma pan żadnych praw. Wystarczy jeden donos, żeby pana wsadzić. Przyjdzie pana gospodyni, powie: gadał na towarzysza Stalina. I będzie pan oskarżony o przygotowywanie aktu terrorystycznego.

Ałfierow patrzył na Saszę i uśmiechał się.

- Tak wygląda sprawa, jeśli chodzi o punkt pierwszy. Za to w najlepszym razie dostanie pan dziesięć lat. Zrozumiał mnie pan?

- Tak, zrozumiałem - odpowiedział Sasza.

Zrozumiał doskonale. Jeśli Sołowiejczyka zesłano za niewinną anegdotę, Iwaszkina za błąd literowy w gazecie, kucharza za słowa "pierogi leniwe", jeśli za kradzież pary zelówek dają dziesięć lat według ustawy z siódmego sierpnia, jeśli jego samego zesłano za jakieś kretyńskie fraszki, to za wirówkę, za "sprzęt rolniczy", dowala mu oczywiście tak, że popamięta.

- Dobra - powiedział Ałfierow - przejdźmy do punktu drugiego: "Dyskredytacja kierownictwa kolchozowego". W obecności kolchoźników nawymyślał pan przewodniczącemu od durniów. To prawda?

- Tak, ale najpierw on puścił we mnie wiązanekę, nazwał mnie draniem, szkodnikiem, trockistą, kontrrewolucjonistą i jeszcze czymś takim.

- To nieładnie, oczywiście - powiedział Ałfierow. - Ale niech pan sobie na chwilę wyobrazi siebie i jego przed sądem. Panu udowodniono zepsucie wirówki. I oto przewodniczący kolchozu, któremu leży na sercu dobro kolchozu, nazwał pana szkodnikiem. Powiedział prawdę i nawet gdyby pana ze złości uderzył, sędziowie by go



usprawiedliwili. A na "wiązanki" tutaj nie zwraca się uwagi, za "wiązanki" się nie karze. Pan natomiast nie dość że zepsuł wirówkę, to jeszcze publicznie nazwał go durniem. Przecież on jest przewodniczącym kołchozu, jego władza opiera się na autorytecie, a pan ten autorytet poderwał. Teraz on powinien ustąpić z tego stanowiska. Jeśli panu wlepią dziesięć lat, kołchoźnicy będą wiedzieli, co to znaczy obrażać przewodniczącego, będą go szanować, będą się go słuchać. Tak wygląda sprawa. Zrozumiał pan?

- Powiedziałem już panu, że zrozumiałem.

- Chciałbym zrozumieć, co pan rozumiał.

- Zrozumiałem, że jestem człowiekiem pozbawionym jakichkolwiek praw, że można ze mną zrobić absolutnie wszystko, można mnie skazać za szkodnictwo, za podrywanie autorytetu, można mnie obrażać i pluć mi w twarz. Ale niech pan sobie zapamięta, że na obelgę ja będę odpowiadał obelgą, kiedy ktoś plunie mi w twarz, ja odpowiem mu tym samym.

Ałfierow patrzył na niego z zaciekawieniem.

- A poza tym, jeśli pan pozwoli - ciągnął Sasza - pańskie wywody o szkodnictwie uważam za amoralne. Zakładam, że popełnia się błędy, i to niemało błędów, sam tego doświadczyłem. Ale żeby szkodnictwo było pomyślane jako metoda państwowej, partyjnej polityki, w to uwierzyć nie mogę, musiałbym przestać wierzyć w partię, a ja, niezależnie od wszystkiego, co się ze mną stało, wierzę w partię.

Ałfierow nie przestawał na niego patrzeć z zainteresowaniem.

- I co dalej?

- To wszystko.

- No cóż - powiedział Ałfierow z naciskiem - co do teorii szkodnictwa, to jeszcze o tym porozmawiamy, jeśli nadarzy się okazja, naturalnie. Mówi pan, że wierzy w partię, to dobrze. Ja wstąpiłem do partii przed rewolucją, jestem starym bolszewikiem i przypuszczam, że na polityce partii znam się nie gorzej niż pan. Ale teraz nie o to chodzi. Teraz chodzi o pana, muszę zdecydować, jak postąpić. Pan patrzy na mnie jak na swojego nadzorcę, ciemiężcę. Niewątpliwie, sprawuję nad panem nadzór, to należy do moich obowiązków. Równocześnie jednak odpowiadam za pana, za pańskie zachowanie, ale także i za pana bezpieczeństwo. Pan w Boguczanych spotykał się z tamtejszym pełnomocnikiem Baranowem? Widział pan tego bęcwała? Gdyby on był na moim miejscu, dawno by pan siedział w kańskim więzieniu i czekał na wyrok. Ale ja, jak pan zapewne zauważył, nie jestem Baranowem. Rozmawiam z panem. Dlaczego to robię? Z nudów? Z nudów też, nie przeczę. Ale tylko w pewnym stopniu. Najważniejsze, że muszę podjąć decyzję. Jeśli jej nie

podejmę, podejmą ją inni, i konsekwencje tego będą dla pana znacznie dotkliwsze. W każdym razie na początek powinienem pana zabrać z Mozgowy. Zostawić pana w Mozgowie oznaczałoby uznać, że racja leży po pana stronie, a wina po stronie przewodniczącego, a to z kolei oznaczałoby narażenie pana na niebezpieczeństwo nowego konfliktu. Przewodniczący kołchozu gotów panu spłatać gorszego figla niż wirówka. I co pan na to?

Przenosić się na nowe miejsce, zaczynać wszystko od początku, rozstać się z Zidą, do której zdążył się przywiązać, z Wsiewołodem Siergiejewiczem, z którym się zaprzyjaźnił, znowu zmiana adresu - najpierw był Kańsk, potem Boguczany, potem Kieżma, potem Mozgowa, teraz znowu coś. Co mama pomyśli... to okropne... Z drugiej strony Alfierow ma rację: w Mozgowie nie powinien zostawać, po Iwanie Parfienowiczu wszystkiego można się spodziewać. Ale dlaczego Alfierow sam nie podejmuje decyzji? Dlaczego pyta jego?

- Pan bardzo przekonująco udowodnił, że dadzą mi co najmniej dziesięć lat - powiedział Sasza. - Wobec tego jakie znaczenie ma dla mnie to, gdzie czekać? Już lepiej w Mozgowie, długo to pewnie nie potrwa.

Alfierow pokręcił głową:

- Któż to wie, jak długo... Nim ja wyślę pismo do Kańska, nim tam coś postanowią, może minąć sporo czasu, a we wrześniu drogi staną się nieprzejezdne, czyli że odpowiedź nadejdzie zimą, za pół roku.

Co on kręci? Co znowu knuje? Nikogo nie musi pytać. Może już jutro odesłać go do Kańska z oskarżeniem o szkodnictwo, to leży w jego kompetencjach. Czego on od niego chce?

- Niech pan robi, jak pan uważa. I tak postąpi pan, jak uzna za stosowne.

Alfierow wstał, podszedł do komody, nalał sobie kieliszek jakiegoś ciemnego trunku i wypił. Potem zwrócił się do Saszy:

- Wypije pan kieliszek? Wspaniała nalewka.

- Dziękuję. Nie.

- Nie pije pan?

- Nie w takiej sytuacji.

- Słusznie. Uderzy do głowy, jeszcze pan coś powie, podpisze...

Wychylił drugi kieliszek, zagryzł jagodami.

- Wspaniała nalewka - powtórzył - moja gospodyni robi ją z jakichś leśnych jagód, twierdzi, że jest bardzo wskazana, szczególnie dla mężczyzn. Pan jest młody, dla pana to nie ma znaczenia, ale w moim wieku trzeba to mieć na uwadze.

Wrócił do stołu.

- No więc co robimy?

- Niech pan mnie wyśle do Kańska i sprawa załatwiona. Zesłańcy mają takie powiedzonko: im prędzej cię wsadzą, tym prędzej cię wysadzą.

Ałfierow nie zareagował na żart.

- Ja wiem, że pan nie zniszczył wirówki, i nie mam zamiaru brać na swoje sumienie pańskich dziesięciu lat. I w ogóle nie ma potrzeby się spieszyć. Ta-ak! Skarga jest, zawsze można jej nadać bieg.

Znowu się uśmiechał. Potem wstał, przeszedł się po pokoju, zamknął drzwi do kuchni, skąd mocno zaciągało chłodem, usiadł, powiedział poważnie:

- Niech pan wraca do Mozgowy. Ale niech pan ma na uwadze to, że przewodniczący nie daruje panu tego "durnia". Musi się pan zachowywać bardzo rozważnie, rozstać się ze złudzeniami, z nikim nie zadzierać.

W jego głosie zabrzmiało coś ludzkiego, mimo to Sasza pomyślał, że nie wolno się poddawać, rozczulać.

- Może nie powinienem wychodzić na dwór? - zapytał.

- Jeśli to niebezpieczne, to nie należy wychodzić.

- A z czego mam żyć?

- Rodzina panu nic nie przysyła?

- Przysyła. Ale moja matka ma nędzną pensję, pracuje w pralni, a ojciec od dawna z nami nie mieszka.

- To niedobrze, ale w niczym nie mogę panu pomóc. Inni zesłańcy jakoś sobie radzą. W ogóle zesłanie tutaj jest anachronizmem, pozostało z przedkołchozowych czasów, kiedy zesłańcy mogli pracować w prywatnych gospodarstwach. Niedługo prawdopodobnie przestaną tu zsyłać ludzi, zaczną ich kierować do miast. A propos, jaki pan ma zawód?

- Zabrano mnie z ostatniego roku instytutu transportowego.

- Należałoby pana skierować do SMT - oświadczył Ałfierow w zamyśleniu.

- Nie znam się na sprzęcie rolniczym.

Ałfierow nagle znów się roześmiał:

- Nie zna się pan na sprzęcie rolniczym, a zabiera się do naprawy wirówki. W dodatku zarzuca mi pan brak logiki. Teraz przemawia przeze mnie urażona ambicja byłego filozofa. I co to za technika? Kto potrafi odróżnić koło zębate od sworznia, już jest technikiem. Dyrektorem naszej SMT jest ślusarz, głównym mechanikiem - traktorzysta. A pan jeśli zna samochód, to poradzi sobie z traktorem. Kiedy pan tu przybył, nie znałem pana

kwalifikacji, bo zostawiłbym pana w Kieżmie. Widzi pan, od jakiej drobnostki zależą pańskie losy. Gdybym pana wtedy o to zapytał, mieszkałby pan teraz w centrum rejonowym, pracowałby pan w SMT... Dobra, do tego jeszcze wrócimy, trzeba skończyć z tą sprawą - wskazał na skargę Iwana Parfienowicza. - Niech pan wraca do Mozgowy, ale, powtarzam, niech pan będzie ostrożny albo, jak to się teraz mówi, czujny.

Wyszli na ciemną już ulicę.

- A pańska furmanka odjechała - zauważył Ałfierow. - Pewnie sądzili, że z powrotem już nie trzeba będzie pana wieźć.

- Nie szkodzi, dojdę jakoś.

- Dwanaście kilometrów tajgą po nocy... Nie boi się pan?

- Nie, nocą niedźwiedź śpi.

- Jeśli pan chce, może pan zostać, przenocować - zaproponował Ałfierow. - W sąsiedniej chacie mieszka siostra mojej gospodyni, załatwi panu nocleg.

- Nie, dziękuję, nie trzeba.

Po powrocie z Krymu Waria i Kostia zamieszkali u Sofii Aleksandrowny - sublokatorka już się wyprowadziła i pokój był wolny.

Wiadomość o małżeństwie Wari Sofia Aleksandrowna przyjęła po stoicku: jeszcze jedna żywa dusza opuściła Saszę, cóż robić. Wszyscy jego koledzy zapomnieli o nim, nie dzwonią, nie pytają o niego, ani Wadim, ani Lena Budiagina, o Juriju Szaroku nawet mówić nie warto, Jurij nawet się jej nie kłania. Nina Iwanowa początkowo przychodziła, a potem przestała, bojkotuje Sofię Aleksandrownę, nie może jej darować, że przygarnęła Warię i Kostię. Szczerze mówiąc, Sofia Aleksandrowna była nawet zadowolona, że Nina nie przychodzi. Z początku Nina uważała, że aresztowanie Saszy to fatalna pomyłka, potem w jej słowach zaczęły się pojawiać nowe nutki: skomplikowana sytuacja międzynarodowa, zaostrzenie walki klasowej, aktywizacja antypartyjnych ugrupowań, każdy powinien zajmować jasną, niedwuznaczną pozycję, to teraz szczególnie ważne, Sasza tymczasem własne rozumienie spraw i wydarzeń stawiał wyżej niż pogląd kolektywu. Jednym słowem, dawała do zrozumienia, że aresztowanie Saszy nie było bezpodstawne.

Tylko Waria nie opuściła Sofii Aleksandrowny, a więc i Saszy. Nic ich nie łączyło, a przecież stała z nią w więziennych kolejkach, pomagała przygotowywać paczki, broniła jej przed chamstwem klientów w pralni, swoją troskliwością umilała jej samotne życie. I robiła to nie tylko ze współczucia. Za tym wszystkim stał niewidoczny Sasza, życzliwy stosunek do niego, zainteresowanie jego losem.

Cóż robić? Życie jest życiem. Sofia Aleksandrowna odnosiła się do Wari jak matka, życzyła jej jak najlepiej. Uważała co prawda, że Waria pośpieszyła się z zamążpójściem, czy aby będzie szczęśliwa? Kostia to dobry chłopak, ma dobre serce, szeroki gest, przynosi z restauracji różne frykasy, któregoś dnia przytargał ogromny tort i wręczył go Sofii Aleksandrownie, nie wiedziała, co z nim zrobić, bała się, że się zepsuje, pokrajała go i zawiozła siostrze. Kostia darował jej różne drobiazgi, komplet damskich chusteczek do nosa, pończochy, nawet parasolkę. I chociaż Sofia Aleksandrowna wzbraniała się przyjmować prezenty, nie potrafiła się oprzeć jego szczodrości.

I mimo to, myśląc o nim, odczuwała niepokój. Nigdzie nie pracuje - jak to jest możliwe w naszych czasach? Waria opowiadała jakoby wynalazł jakiś tam amalgamat do pokrywania żarówek, opatentował swój wynalazek, płaci podatki, ma do czynienia z inspektorem podatkowym. Wszystko to wyglądało bardzo dziwnie, jakby wróciły czasy NEP-u. Słowa "nepman", "nepmański" były dla niej synonimem nuworyszostwa,

obliczonego na efekt zbytku, kramarstwa. I oto nagle zjawia się człowiek, jakby żywcem wyjęty z tamtych czasów, nigdzie nie pracuje, prowadzi przez telefon niezrozumiałe rozmowy, ubiera się z wyzywającą elegancją, właśnie tak, jak ubierali się w tamtych czasach młodzi nepmani. Sofii Aleksandronnie było przykro, że Waria, córka ludzi pracy, weszła w obce sobie środowisko. Kostia każdy wieczór spędza w restauracji, Waria bywa tam jeśli nie codziennie, to na pewno w soboty i niedziele. Sama Waria wyznała jej, że Kostia gra w bilard i że to jest w gruncie rzeczy główne źródło jego dochodów, a żarówki, amalgamat mają tylko nadawać pozory legalności jego sytuacji - że niby środki na utrzymanie zdobywa zgodnie z przepisami. W rzeczywistości to gracz, restauracyjny bilardzista, dlatego wraca do domu nad ranem. Musiała mu dać klucz od drzwi wejściowych i prosić Warię, żeby, kiedy wszyscy zasną, zdejmowała łańcuch z drzwi, inaczej Kostia nie mógłby się dostać do mieszkania. W ten sposób naruszyła przyjęty od lat zwyczaj zamykania na noc drzwi na łańcuch, ale cóż było robić - gdyby drzwi zamykano na łańcuch, Kostia musiałby dzwonić.

Któregoś dnia Waria zapomniała zdjąć łańcuch. Kostia wrócił o czwartej nad ranem i wszystkich obudził. Michaił Juriewicz nic nie powiedział, ale sąsiadka Gala rozkrzyczała się: "Włóczą się po nocach różni tacy, spać człowiekowi nie dają!"

Gala ostrzyła sobie zęby na pokój Saszy: ona z mężem i dzieckiem mieszka w czternastometrowym pokoju, a Sofia Aleksandrowna ma zbędny pokój, wynajmuje go, a to spekulacja. Gala świadomie dążyła do zaostrzenia stosunków, usiłowała awanturami zwrócić uwagę na łamanie przepisów i wywalczyć pokój dla siebie. Sofię Aleksandrownę bardzo to niepokoiło. Pokój należał wprawdzie do jej męża, Pawła Nikołajewicza, nakaz był wydany i odnotowany w Moskiewskiej Radzie Narodowej, a że mieszka w nim Waria, nikomu nic do tego! Waria jest zameldowana w ich domu, ale nie może przecież spać z młodym mężem w tym samym pokoju, co siostra! Dlatego Sofia Aleksandrowna pozwoliła im przebywać w swoim wolnym na razie pokoju i to nikogo nie powinno obchodzić! Ale Kostia? Waria mówi, że jest zameldowany w Sokolnikach, ale czy na pewno? Nie wypada żądać od Kosti pokazania dowodu. Co będzie, jeśli Gala sprowadzi milicję i okaże się, że Kostia nie ma moskiewskiego meldunku? Choć Sofia Aleksandrowna nie chciała martwić Wari, zdecydowała, że musi z nią porozmawiać. Niebawem nadarzyła się po temu sposobność.

Waria źle się czuła i Kostia przyniósł z restauracji obiad w menażkach. Nie pozwalał Wari gotować w domu, nie chciał, żeby pachniało od niej kuchnią, żeby sobie niszczyła ręce. Obiady przynosił drogie i nie tylko dla Wari, ale i dla Sofii Aleksandrowny.

Zazwyczaj obiad odgrzewała Waria, ale tym razem Sofia Aleksandrowna podjęła się zrobić to sama.

Wyłożyła kotlety cielece na patelnię i po kuchni rozszedł się smakowity zapach restauracyjnej potrawy.

- Patrzcie, jak pachnie... Aż ślinka leci - zauważyła Gala, uśmiechając się z przekąsem.

Udając, że nie dostrzega ironii, Sofia Aleksandrowna powiedziała:

- Waria jest chora i Konstantin Fiodorowicz przyniósł obiad z restauracji.

- Dobre są te burżujskie obiady - ciągnęła Gala ironicznie - a my poza dorszem nic innego nie widzimy. Taki obiad kosztuje pewnie z osiem, jeśli nie całe dziesięć rubli.

- Ja nie wiem, ile kosztuje - odparła Sofia Aleksandrowna oschle i odwróciła się do płyty kuchennej.

- I skąd też ludzie biorą pieniądze! - nie mogła się uspokoić Gala. - Pracuje po nocach, jest stróżem nocnym czy jak?! Ale przecież stróże nocni zarabiają mniej niż dozorca!

- Niech pani przestanie, Galu, bardzo proszę, tak nie wolno - powiedziała Sofia Aleksandrowna. - Przecież pani jest dobrym, przyzwoitym człowiekiem.

- Właśnie dobrym dziś chodzą po głowach! - wypaliła Gala ze złością. - Dobrymi dzisiaj orzą i wodę nimi wożą! Dobrzy całymi dniami stoją w kolejkach, nie mogą kartek wykupić, w tramwaju wiszą na stopniach, tylko patrzeć, jak polecą pod koła, a niedobrzy rozjeżdżają się taksówkami i przesiadują w restauracjach.

Sofia Aleksandrowna nic na to nie odpowiedziała, wzięła obiad i zaniósła do pokoju. Waria jednak zauważyła, że coś z nią nie tak.

- Co się stało? - zapytała.

- Przed chwilą Gala w kuchni: burżujskie obiady, łażą po restauracjach, wracają do domu nad ranem...

- A ją co to obchodzi?

- Pewnie zazdrości.

- Wstrętna jędza! - powiedziała Waria.

- A może chce zająć pokój Saszy?

- Pani przecież ma nakaz.

- Ona myśli, że jeśli dowiedzie, że ja tym pokojem spekuluję, to mi go odbiorą.

- Boi się pani Gali?

- Nie boję się, ale te awantury...

- To wiedźma! - Waria nie posiadała się z oburzenia. - Już ja się nią zajmę, odechce jej się awantur!

- Nie trzeba, Wariu, ona może zaszkodzić.

- Ciekawe, w jaki sposób ona mi może zaszkodzić?!

- Jeśli nie tobie, to Konstantinowi Fiodorowiczowi.

- A kim on jest, złodziejem, bandytą?

- Co ty wygadujesz, Wariu! Ale musisz przyznać, że jego pozycja nie jest jasna. Przecież on nigdzie nie pracuje, nigdzie nie jest zatrudniony.

- Jak to nie pracuje? - zaproponowała Waria. - Pracuje w kooperatywie, a że gra w bilard, to przecież to jest bilard państwowy. Tego nikomu się nie zabrania.

- Warieńka, ja nie mam nic przeciwko Konstantinowi Fiodorowiczowi. Ale Gala może wykorzystać fakt, że nie jest tu zameldowany.

- Ja też nie jestem u pani zameldowana.

- Ale jesteś zameldowana w tym domu.

- A on w innym domu, co za różnica!

- Jesteś pewna, że jest zameldowany w Moskwie?

- Oczywiście!

W tej kategorycznej w tonie odpowiedzi Sofia Aleksandrowna wyczuła jakby wahanie. Nie ośmieliła się jednak zapytać Wari, czy widziała to zameldowanie na własne oczy. Powiedziała tylko:

- I wasze małżeństwo też nie jest zalegalizowane.

Waria uśmiechnęła się z przekąsem:

- W naszym kraju faktyczne małżeństwo jest zrównane z oficjalnym. Prowadzimy wspólne gospodarstwo, śpimy w jednym łóżku, jesteśmy mężem i żoną.

- Co ty wygadujesz, Wariu! - skrzywiła się Sofia Aleksandrowna.

- A cóż takiego? Niedawno byłam w sądzie, rozpatrywano sprawę o alimenty. Sędzia zapytał wprost: wspólne gospodarstwo prowadziliście? Spaliście w jednym łóżku?

Sofia Aleksandrowna znów się skrzywiła.

- Niech pani powie szczerze - zapytała Waria poważnie - pani jest nie na rękę mieć nas u siebie? Boi się pani?

Sofia Aleksandrowna równie poważnie odpowiedziała:

- Póki się nie urządzą, nie zdobędziecie własnego pokoju, możecie zostać u mnie. Tylko trzeba zrobić wszystko, żeby uniknąć kłopotów. Zgadzasz się ze mną?

- Naturalnie, i zastanowię się nad tym.

- A poza tym, Wariu, widziałam u was w pokoju strzelbę, nawet kilka.

- To przecież broń myśliwska, Kostia poluje.



- Nieważne. Musisz mnie zrozumieć. Arbat to ulica rządowa i w mojej sytuacji nie mogę sobie pozwolić na trzymanie w mieszkaniu broni - w głosie Sofii Aleksandrowny brzmiała stanowczość. - Teraz traktuje się te sprawy bardzo surowo. W swoim mieszkaniu Konstantin Fiodorowicz sam by za to odpowiadał, a w moim mieszkaniu odpowiadam ja.

- Dobrze - odparła Waria. - Więcej w mieszkaniu broni nie będzie.

\* \* \*

Na własne oczy Waria nie widziała meldunku Kosti. Na Krymie, w hotelu, razem z jej dowodem podał i swój, wypełniał kartę hotelową, wpisywał adres: Moskwa i tak dalej, czyli pisał to, co było w dowodzie, bo przecież recepcjonistka później sprawdza.

A jednak dowodu Kosti Waria nigdy nie miała w ręku. A jeśli się pomyliła, jeśli wpisał wtedy nie Moskwę, tylko jakieś inne miasto? Jej było wszystko jedno, ale Sofii Aleksandrowny narażać nie mogła.

Jeszcze tego wieczoru powiedziała do Kosti:

- Sofię Aleksandrownę niepokoi sprawa twojego zameldowania.

- Przecież mówiłem jej, gdzie jestem zameldowany. Nie wierzy mi czy jak?

- Wierzy ci. Ale Gala, sąsiadka, rozrabia, ma chrapkę na ten pokój, rozpowiada wszędzie, że Sofia Aleksandrowna nim spekuluje. I jeśli się okaże, że nie jesteś zameldowany w Moskwie, Sofia Aleksandrowna może mieć przykrości.

- Mam jej pokazać dowód?

- Tak byłoby najlepiej.

- Ale kiedy mam to zrobić? Kiedy ja wracam, ona śpi, kiedy ja się budzę, jej już nie ma.

- Zostaw mnie, ja jej pokażę.

Kostia spojrział na Warię z ukosa.

- Nie mogę zostawić dowodu, bo jest mi potrzebny. Obudź mnie jutro wcześniej, sam jej pokażę.

- Poza tym ona prosi, żebyś nie przynosił do domu broni.

- Ale przecież to broń myśliwska, to nie jest zabronione.

- Nie szkodzi, Gala może donieść.

- Powiedz jej, że mam dokument, pozwolenie.

- Pozwolenie można mieć na jedną sztukę, a ty ich masz kilka.

- Niczego niezgodnego z prawem nie robię, niech Sofia Aleksandrowna powściągnie swoje nerwy - powiedział Kostia z rozdrażnieniem.

- Nas obowiązuje tylko jedno prawo: Sofia Aleksandrowna - oświadczyła Waria. - Ona tu jest właścicielką. I albo dostosujemy się do jej wymagań, albo musimy się stąd wynosić.

- Niech będzie po twojemu - burknął Kostia z niezadowoleniem.

Rano wstał, ziewając i przeciągając się, nie był przyzwyczajony do wczesnego wstawania, narzucił szlafrok, wyjął z marynarki dowód, zapukał do Sofii Aleksandrowny, wszedł do jej pokoju, potem wrócił.

- Wszystko w porządku - powiedział.

I znowu się położył.

Nie dał jej dowodu do ręki. Waria zwróciła na to uwagę, ale nie chciała się nad tym zastanawiać. Przez ten krótki czas, który przeżyła razem z Kostią, oswoiła się z myślą, że Kostia jest człowiekiem, którego koleje losu i sytuacja nie należą do prostych i że nie trzeba go o nic pytać, bo tego, o czym nie chce powiedzieć, i tak nie powie. Jego rodzice, zruszczeni Grecy, azowscy rybacy, zostali rozkułaczeni i wysiedleni z Mariupola. Kostia, który służył jako marynarz we flocie handlowej, odbywał akurat zagraniczny rejs i dlatego tylko uniknął losu rodziców. Przyznał się Wari, że kiedy wrócił z rejsu i dowiedział się o wysiedleniu rodziców, żałował, że nie został w Pireusie albo Stambule, żyłby tam sobie teraz śpiewająco. Ze służby we flocie zrezygnował, ci, co pływali na trasach zagranicznych, byli dokładnie sprawdzani, mogło wyjść na jaw, że rodziców rozkułaczono, i wtedy jego też by wysiedlono. Wyjechał do Moskwy, w stolicy łatwiej się zgubić, pracował jako monter, zmieniał pracę, wynalazł amalgamat, wstąpił do kooperatywy, ale najważniejszy był bilard. Zwrócił na niego uwagę Bejlis, główny moskiewski bilardzista, wprowadził go do sal bilardowych, w których ogrywano "frajerów", nafaszerowanych forszą prowincjuszy, delegowanych do Moskwy z państwowymi funduszami. Kostia był wobec nich bezlitosny, zwabiał ich pierwszą łatwą wygraną, a potem oskubywał do ostatniej nitki.

Lowoczka powiedział kiedyś, że gdyby Kostia mieszkał w Ameryce, zostałby milionerem. Ika zauważył z kpina, że milionerami w Ameryce zostają nie tylko pucybuty, ale i mafiosi. Waria wpadła w złość i poradziła Ice, żeby trzymał język za zębami. Ale Kosti o tej rozmowie nie wspomniała, Kostia nie wybaczyłby Ice tego "pucybuta".

Dzięki małżeństwu z Kostią Waria za jednym zamachem przeskoczyła wszystkie szczeble, znalazła się wyżej niż Wika Marasiewicz, Nina Szeriemietiewa i Noemi - one były uzależnione od swoich kochanków, ona natomiast przychodziła do restauracji z własnym mężem, wszyscy o tym wiedzieli i nadszkwili jej. Nie musiała im też zazdrościć zagranicznych fatalaszków, które sobie nawzajem odsprzedawały. Kostia zawiózł ją do najlepszych moskiewskich krawców, do najlepszych szewców i kuśnierzy. Palto szył jej

Ławrow, suknie - Nadieżda Łamanowa, Aleksandra Lamina, Warwara Daniłowa, a nawet Jefimowa, staniki - Łubieniec, pasy - Koszke na Arbacie, kapelusiki robiła jej Tamara Tomasowna Amirowa, pantofle - Barkowski, Gutmanowicz, Duszkin. Tanich fachowców Kostia nie uznawał, garnitury szył mu Żurkiewicz, który uchodził za najdroższego krawca w Moskwie.

Tak więc pozornie wszystko wyglądało interesująco, niezwykle, odświeżenie. A mimo to Waria czuła, że jej związek z Kostią nie potrwa długo. Dlaczego? Gdybyż to wiedziała. W poprzednim okresie wiele rzeczy budziło jej sprzeciw, ale wszystko było wtedy jasne, zrozumiałe. Teraz nie było żadnej jasności, nie wiedziała, dokąd zmierza, dokąd dryfuje. Kostia był od niej prawie o dziesięć lat starszy, ale nic nie czytał, nawet "Trzech muszkieterów". Z całego Puszkina znał tylko cztery linijki: "Mija południe: on zawile coś tam oblicza przy bilardzie. I sam ze sobą gra uparcie tęnym kijaszkiem we dwie bile" (A. Puszkina "Eugeniusz Oniegin". Tł. A. Ważyk.). Ale Kostia był inteligentny i cytował te wiersze nie po to, żeby pokazać, iż Puszkina nie jest mu obcy, lecz że Puszkiniowi, tak jak i jemu, nie był obcy bilard.

Czy go kochała? Trudno powiedzieć. To stało się w hotelu w Jałcie. Nie opierała się, może z chęci doznania niewiadomego, o czym opowiadały znajome dziewczyny, a może z chęci zostania kobietą w pełnym tego słowa znaczeniu.

Ale nawet po tym nie nastąpiło między nimi całkowite zbliżenie, istniał dystans, prawdopodobnie z powodu różnicy wieku. Kostia znakomicie pływał, a mimo to na plaży czuła się nieswojo: krępy, barczysty, ale krótkonogi (garnitur to maskował), owłosiony, ręce, nogi, plecy, wszystko obrosnięte włosami, na piersiach wytatuowany orzeł, przy tym na plaży wydawał się znacznie starszy... Wracali do hotelu, Kostia zamykał drzwi na klucz, brał ją w ramiona, całował w szyję, piersi, ale ona wstydziła się dziennego światła, bała się, że kiedy zjedzą do restauracji, wszyscy z jej twarzy wyczytają, że przed chwilą to się stało. Kładąc się do łóżka, Waria gasiła światło, wstydziła się rozebrać przy Kosti, krępować się pięścią go, obejmować, całować. I nie miała ochoty tego robić.

Rozpoczęła nowe życie, ale nie doznała ani wstrząsu, ani upojenia. To, co dawniej wydawało się nieosiągalne, stało się nagle dostępne, zwyczajne, jakby tak żyła zawsze. Wciąż jeszcze pociągał ją odświeżony wygląd wieczornej sali restauracyjnej, podobały jej się piękne stroje, ale nudziły długie przymiarki, irytowała niesłowność krawcowych, męczące przesiadywanie u fryzjera Paula, chociaż spotykał się tam cały moskiewski beau-monde.

Salon mieścił się na Arbacie, obok restauracji "Praga". Swego czasu Kostia zainstalował tam aparaty do suszenia włosów i Waria, jak wszystkie stałe klientki, wchodziła do salonu

od podwórza, przez mieszkanie prywatne. Fryzjer Paul, czyli Paweł Michajłowicz Kondratiew, i jego żona, Wiera Nikołajewna, nie wiadomo czemu wyróżniali Warię. W tych czasach wchodziła w modę trwała ondulacja, ale Paul odradził Wari robienie tej ondulacji.

- Jak można szpeciść taką twarz?

Usłyszały to oczekujące w kolejce panie i naturalnie poczuły się dotknięte. Ale Wari było to obojętne. Miała własny krąg znajomych, własne towarzystwo, a raczej dawną paczkę Kosti. W restauracji zawsze siadywali przy tym samym stoliku, i Waria tańczyła tylko z nimi. Kostia z rzadka i na krótko wychodził z sali bilardowej, wypijał kieliszek wódki, coś przekąsił, czule obejmował Warię ramieniem, jakby chciał wszystkich upewnić, że ta ślicznotka - jego żona, i to towarzystwo - jego towarzystwo, je i pije na jego koszt. Waria podejrzewała nawet, że Lowoczka również ubiera się na koszt Kosti - drodzy krawcy byli nie na jego kieszeń. Lowoczka, chodzący ideał, nie grał w bilard, prawie nie pił alkoholu, był uprzejmy, łagodny, uprzedzająco grzeczny, w dodatku zwykły kreślarz. Kosti potrzebne było takie otoczenie, ci chłopcy z dobrych inteligentkich moskiewskich domów, tak jak potrzebna mu była taka żona, porządna, przyzwoita dziewczyna. Oni robili mu markę, zapewniali pozycję w towarzystwie i poczucie własnej wartości. Nic nie czytając, Kostia wiedział, co się aktualnie czyta, kto jest w modzie, kto zdobył rozgłos, nie chciał uchodzić za profana, łatwo zapamiętywał nazwiska, był inteligentny i bystry.

Kiedyś przy stole Ika takim tonem, jakby zadawał pytanie z krzyżówki, zapytał:

- Rokujący duże nadzieje reżyser, dwa jego filmy zaczynają się na "O". Nazwisko?

Kostia pochwyił jego spojrzenie, obrócił się i błyskawicznie odpowiedział:

- Barnet.

Kostia nie lubił kina, nie znosił zaduchu, wolał estradę, operetkę, balet, filmów Barneta nie oglądał, ale na pytanie Iki pierwszy odpowiedział on. I przyjaźnie skinął Barnetowi głową.

- Polowaliśmy razem - rzucił niedbale.

- Tak, tak, przypominam sobie - podjął Ika kpiąco - opowiadałeś nam tę historię. Zabiliście razem wilka.

- Nie z nim, tylko z Kaczałowem - odparł Kostia rozciągając wargi - i nie wilka, tylko całą wilczą rodzinę. Natrafiliśmy na wilcze legowisko, zastrzeliliśmy wilka, potem wilczycę, a potem wzięliśmy trzy wilczki. Widziałeś kiedy wilki? Jeśli nie, to idź do ogrodu zoologicznego i obejrzyj sobie, tylko niech ci nie wpadnie do głowy pogłaskać je, bo zostaniesz bez ręki.

Wypił jeszcze jeden kieliszek wódki, nachylił się do Wari i powiedział cicho:

- A ty, lalúsku, masz mi za złe moje strzelby. Oni - powiódł ręką po sali - wszystko są gotowi oddać, bylebym pojechał z nimi na polowanie. Pójdziemy jutro do Klubu Artystów, to zobaczysz, jak będą koło mnie skakać.

- Tam przecież wpuszczają tylko artystów.

Był szczerze zdziwiony.

- Lalúsku, nie wierzysz mi? zaraz jutro tam pojedziemy!

Następnego dnia wrócił do domu wcześniej, żeby się zająć jej toaletą. Najpierw przymierzyła granatową jedwabną garsonkę z plisowaną falbaną u spódnicy i plisowanym kołnierzem, potem szary atlasowy kasak, haftowany złotą nitką, z wąską rozcinaną spódnicą, wreszcie wydekoltowaną brązową suknię. Nie mogła się nadziwić: Kostia, taki bezwzględny we wszystkim, co dotyczyło interesów, potrafił długo lubować się jej strojami, wpadał w uniesienie patrząc na nią, cieszył się jak dziecko.

- Prima, Lalúsku, sam szyk!

Waria wierzyła w jego gust. Ale jeśli tamtejsze znakomitości będą traktować Kostię z góry? Kim on jest dla nich? Bilardzistą! A teraz się okazuje, że jeszcze i naganiaczem. I ona, żona naganiacza, taka wystrojona, będzie wyglądała idiotycznie.

Ale jej obawy okazały się nieuzasadnione.

W klubie bywały znakomitości i nieznakomitości, ale wszyscy udawali, że się dobrze znają, żeby zaakcentować równość braci aktorskiej. Był tam bilard na dwa stoły. Kostia grał niewiele. Stał ze znakomitym markierem, Zacharem Iwanowiczem, też jego znajomkiem, udzielał rad graczom, a jeśli grał, to niewysoko, żeby nie obrazić swoich sławnych przyjaciół. Na Staropimenowskim odpoczywał od interesów, był wesoły, beztroski, i Waria lubiła z nim jeździć do Starego Pimena.

Klub mieścił się w podwórzu dawnego pańskiego pałacyku, w półsuterenie, umeblowanej antykami. Po bokach biegły łoże, niewielkie otwarte gabineczki na osiemdziesiąt osób. Czasami Kostia zabierał ze sobą do klubu Lowoczkę i Rinę i wtedy zamawiali stolik na cztery osoby. Łoże zajmowały liczniejsze grupy. Kostia pokazał jej Iljińskiego i Klimowa, Waria poznała ich, widziała ich w filmie "Proces o trzy miliony". Poznała też Smirnowa-Sokolskiego, który często występował na estradzie w "ERmitażu". Smirnow-Sokolski, siedział lekko zwrócony w stronę łysego, wąsatego mężczyzny i coś do niego mówił, zasłaniając usta dłonią, czy to nie chciał, żeby go słyszeli pozostali, czy może o coś go prosił. Łysy milczał, mrużył tonące w tłustej twarzy chytre oczka, podobny do sytego kota.

- To Demian Biedny - powiedział Kostia.

Wari podobało się w klubie. Wódki i wina nie podawano, tylko wodę mineralną i soki, o czym obwieszczał plakat: “Narzanu w lampkach nie podajemy”. Za to kuchnia była wyśmienita, wszystko było tam smaczne, restaurację prowadził znakomity kuchmistrz Moskwy, Jakow Daniłowicz Rozental, znany ogólnie jako Broda.

Na ścianie, jako dowód przyzwoitości lokalu, widniał czterowiersz:

Miej zasadę niewzruszoną:

do klubu przychodź zawsze z żoną!

Wbrew burżujskim lowelasom -

nigdy z cudzą, zawsze z własną!

Rina twierdziła, jakoby dwa pierwsze wersy napisał poeta Tretiakow, a dwa następne - Majakowski na krótko przed śmiercią.

Rina miała tu nie mniej znajomych niż Kostia. Bardzo towarzyska, ze wszystkimi żyła za pan brat, ale potrafiła też trzymać ludzi na dystans. Na dobrą sprawę Waria niewiele o niej wiedziała: mieszka na Ostozence, koło klasztoru Niepokalanego Poczęcia, w drewnianym domku, nikogo do siebie nie zaprasza, mówi ze śmiechem: “Dom w każdej chwili może się zawalić”. Rina bywała w klubie i bez nich, ale nigdy nie widzieli, z kim przyszła i z kim wychodzi. Goście zjeżdżali się po jedenastej wieczorem, po zakończeniu spektakli w teatrach, a rozjeżdżali się około drugiej, trzeciej po północy. Nocą w bocznych uliczkach czekały na nich fiakry.

- Odwieźć cię? - pytał Kostia Rinę.

Rina kokieteryjnie unosiła jasne brwi:

- Jestem w towarzystwie...

Kostia podsadzał Warię, Waria odchyłała się na oparcie siedzenia i sadowiła się wygodnie. Staropimenowskim wyjeżdżali na Małą Dmitrowkę, stamtąd na bulwary, miasto wydawało się nieznajome, w wyludnionych ciemnych ulicach, w cichych, pogrążonych we śnie domach czaiło się coś niepokojącego. Waria milczała, rozpamiętując wrażenia wieczoru.

Często z restauracji publiczność przechodziła na salę widowiskową, gdzie urządzano wieczorki amatorskie. Aktorzy sami pisali parodie, scenki, skecze, niekiedy robili to również pisarze, grano to wszystko błyskotliwie, śpiewali Cyganie, śpiewała Rusłanowa - czegoś takiego nie zobaczy się w żadnym teatrze. Któregoś wieczoru na scenę wyszedł Sergiusz Obrazcow, niosąc siwobrodą i siwobrewą kukiełkę. Na widowni rozległy się oklaski, wszystkie głowy zwróciły się w stronę Feliksa Kona - prezesa Głównego Zarządu do

Spraw Sztuki i przewodniczącego zarządu klubu. Podobieństwo kukły do Kona było zaskakujące. Głosem Kona Obrazcow oznajmił, że wygłosi referat o “Radzieckiej kołysance”. “Radziecka kołysanka” - kukła wyciągnęła w stronę widowni wskazujący palec - ulubiony gest Kona - radziecka kołysanka to nie jest piosenka burżuazyjna! Ona powinna budzić niemowlę...! I nic, wszystko uchodziło na sucho. W ogóle, jak zauważyła Waria, ci ludzie na wiele mogli sobie pozwolić.

Kostia powiedział jednak, że w klubie mogą być częściej niż raz w tygodniu. “Pieniądze zarabia się nie w klubie, sama rozumiesz”. I bardzo rygorystycznie przestrzegał tej zasady, raz tylko ustąpił Wari, kiedy w klubie inscenizowano “Sąd nad autorami, nie piszącymi ról dla kobiet”. W roli sędziego wystąpiła Natalia Sac, podsądnymi byli Katajew, Olesza i Janowski, prokuratora grał Meyerhold.

Waria i Kostia siedzieli w siódmym rzędzie, w tym samym rzędzie siedział Aleksy Tołstoj, artyści plastycy Denis i Moor. Mignęła w tłumie Wika Marasiewicz, Waria widziała ją tu po raz pierwszy. Natomiast jej brat Wadim, który został krytykiem literackim i teatralnym, był tu stałym bywalcem, kręcił się wokół różnych znakomitości. Teraz szedł przejściem mrużąc krótkowzroczne oczy, szukał wolnego miejsca. Za nim, widocznie zaproszeni przez niego, szli Jura Szarok i Lena Budiagina. Lena poznała Warię i skinęła jej przyjaźnie głową. Jura, idąc za jej wzrokiem, też spojrzął na Warię, ale Waria odwróciła się, nie znosiła go.

Od razu przypomniał jej się tamten sylwestrowy wieczór, kłótnia między Jurą i Saszą. Teraz Sasza był na zesłaniu, a Jura i Wadim, Lena Budiagina i Wika Marasiewicz bawili się w tym wspaniałym klubie.

Waria zamyśliła się i nie dosłyszała słów Natalii Sac. Ocknęła się, kiedy zaczęto wywoływać “podsądnych”. Pierwszy wstał Katajew. Głos miał nieprzyjemny, mówił przez nos, jakby był przeziębiony. Publiczność przyjęła go tak sobie, klaskano mu słabo, tak samo słabo klaskano Janowskiemu. Za to każda replika Oleszy wywoływała wybuch śmiechu. Wysoki, nosaty Meyerhold naskakiwał na Oleszę jak jastrząb. Malutki, z rozwianymi włosami Olesza błyskawicznie odparowywał ataki. Siedzący przed Warią Jaron co chwila odwracał się do Aleksego Tołstoja, mrugał do niego radośnie - słyszałeś! - i jednocześnie zerkał na Warię. Po zakończeniu sądu zwrócił się twarzą do Wari i zastygł w jakiejś idiotycznej pozie, przeszkadzał ludziom wychodzić, potem nagle powiedział: “Obejrzałem się za piękną kobietą i skamieniałem jak żona Lota!” Zabrzmiało to tak zabawnie, że Waria wybuchnęła śmiechem.

- Pani jest aktorką? - zapytał Jaron. - Dlaczego ja pani nie znam?

- Nie jestem aktorką, dlatego pan mnie nie zna - odparła Waria oschle, bojąc się, żeby jej śmiech nie został zrozumiany jako zachęta.

Jej stosunek do wszystkich tych znakomitości był złożony. Bynajmniej nie podzielała zachwytów Kosti i Riny. Ot, komedianci, dlatego pozwalają im się wygłupiać. Osobiście wolała oglądać aktorów na scenie, tam oklaskiwała ich z całego serca - talent jest zawsze talentem. Ale zawierać z nimi znajomości? Po co? Kosti bardzo odpowiadała jej postawa, nie posiadał się wprost z radości, ale samej ani do klubu, ani w inne miejsca publiczne nie puszczał, najwyżej do kina z Zoją lub Riną.



Natknąwszy się w Klubie Artystów na Jurę Szaroka, Wika Marasiewicz postanowiła tam nigdy więcej nie chodzić. Po co mu niepotrzebnie włożyć w oczy? Wystarczą spotkania na Marosiejce. Przynosiła mu kolejne informacje: dnia takiego a takiego w takiej a takiej restauracji siedzieli przy stole tacy a tacy ludzie, rozmawiali o tym i o tym... Szarok żądał, żeby wypowiedzi każdego rozmówcy zapisywała dosłownie, chociaż rozmowy były tak absolutnie wyzbyte treści, że nie potrafiła ich zapamiętać. W końcu przeszła na komunikowanie nowości...

...Noemi w dalszym ciągu trzyma się swojego Japończyka, chociaż pewien Włoch chce się z nią ożenić i zabrać ją ze sobą...

...Zjawilo się dwóch nowych Niemców, kręcą się koło nich dziewczyny z "Metropolu", Zuzanna i Katia. Kim są Niemcy, dziewczyny nie mówią.

...Ślicznotka Nelli Władimirowa rozeszła się z Cyganem Polakowem i wyszła za mąż za bogatego francuskiego handlowca George'a - ogromne mieszkanie, dywany, antyki, porcelana, samochód...

Swoje spotkania z Szarokiem Wika starała się utrzymać w tonacji wielkoświatowego szczebiotu. Synowi krawca coś takiego powinno było imponować. Rychło się jednak przekonała, że wszystko to niewiele go interesuje. Może w ogóle nie spodziewał się po niej nic szczególnego? Po prostu, wpadłaś na cudzoziemcach, to teraz pracuj...

A jednak czegoś chyba po niej oczekiwał... Ale czego? Analizowała każde jego słowo, każdą reakcję na wymienione przez nią nazwisko... I wreszcie domyśliła się... Józik Liberman! Oto kto go interesuje! Wysoki, o dużych wywiniętych wargach młody człowiek był, jak niosła fama, wtyczką wysokiej rangi, swobodnie opowiadał antyradzieckie kawały, pozwalał sobie na ryzykowne żarty i figle, cudzoziemcami się nie interesował, za to miał (zapewne przez matkę) szerokie znajomości w kołach wybitnych działaczy, znajomości osobiste, intymne. Józik Liberman interesował Jurę właśnie ze względu na jego znajomości z pracownikami wysokiego szczebla, bo to o nich zbierał Jura materiały. Nie miało znaczenia, co tacy ludzie mówią. Paple przeważnie Józik, ale paple przy ogólnym stole, wszyscy się śmieją, czyli że reagują, a więc wszyscy paplają.

Zorientowawszy się, o co chodzi, Wika zaczęła się trzymać blisko Józika, Józik chętnie zabierał ją ze sobą, a ona później pisała szczegółowe doniesienia: u kogo kiedy kogo spotkała, co usłyszała. To Szaroka interesowało, właśnie to mu było potrzebne, chociaż zapewne nic nowego w porównaniu z doniesieniami Józika jej informacje nie zawierały, ale

widocznie w takim właśnie charakterze była przydatna.

Nie zdradziła się jednak przed Szarokiem, że rozgryzła Józika Libermana, że domyśliła się, jakie zadania stawia przed nim Szarok, aż taka głupia nie była. Podnoszenie wartości własnej osoby w tej instytucji nie leżało w jej zamiarach, wołała uchodzić w oczach Szaroka za istotę głupiutką, ograniczoną, od której nic poważnego domagać się nie należy.

Prowadząc z Szarokiem tę chytrą grę, strzegła przed nim czegoś bardzo dla siebie ważnego, a mianowicie grupy wybitnych architektów, z którymi poznał ją dawny jej znajomy, Igor Władimirowicz, również architekt.

Z marzeniami i pomysłami wydania się za męża za sławnego lotnika, świeżo upieczonego bohatera Związku Radzieckiego, dawno się rozstała. Skąd tych lotników wziąć, zwłaszcza że ich żony, Marfutki, jak tylko coś, zaraz - do egzekutywy, do dowództwa, do samego Stalina, nawet gdyby się udało któregoś uwieść, to taki "bohater" żadnej przyszłości już przed sobą mieć nie będzie, wyślą go ciupasem jako szeregowego lotnika na Czukotkę. Eryk! Sympatyczny mężczyzna, ale nie szczególnego, zwykły cudzoziemiec. Codziennie bierze kąpiel, codziennie się goli, zmienia bieliznę, ładnie pachnie. I co dalej? Do oświadczeń mu niesporo, bez mamusi i tatusia na taki krok się nie odważy. Honor firmy! W najlepszym razie za jakiś rok zjawi się tatuńcio, czcigodny ojciec, a jej tymczasem stuknie dwadzieścia cztery lata.

Jej potrzebny jest człowiek z imponującą przyszłością. Taki człowiek istnieje, jest to wybitny architekt, jeden z autorów projektu Pałacu Rad - najważniejszej inwestycji Moskwy, dziecięcia Stalina. Jeszcze niestary, ma czterdzieści trzy lata, dobrze zakonserwowany, smukły, zadbany, wiele lat spędził we Włoszech - Europejczyk! To dopiero byłby związek! Nie jakiś tam lotnik w butach z cholewami, lecz światowej sławy architekt i ona, Wika, jego żona, córka znakomitego profesora, rodowita moskiewska inteligentka. Na taki alians żaden Szarok, żaden Diakow się nie targnie, bo prędko dostaną po łapach!

"Jakże to tak, Józefie Wissarionowiczu - zwróci się w razie czego jej mąż do Stalina. - Jeśli mi się nie ufa, można powierzyć nadzór nad moją osobą innym ludziom. Ale kazać śledzić mnie mojej żonie jest rzeczą amoralną".

No, wtedy dopiero Szarok i Diakow dostaną za swoje, polecą ze swoich stołków, a z ich stołków dale-eko się leci!

Architekt co prawda ma żonę. Żona również pochodzi z Odessy, mieszkała z nim we Włoszech, otrząsała się tam trochę, podciągnęła... Chuda, nosata brunetka, pali długie, cienkie papierosy, mruży oczy, jest krótkowidzem, lecz okularów nie nosi. Ma dwoje

dorosłych dzieci z pierwszego małżeństwa, jest starsza od Architekta o całe osiem lat, on ma czterdzieści trzy, ona pięćdziesiąt jeden i mimo to ta zdzira zdradza go na każdym kroku. Aktualnym jej ukochanym jest Kola Kryłow, zupełny jeszcze młokos, taki złotowłosy cherubinek z Podmoskowja, wkrótce zostanie powołany do wojska i ona usiłuje wepchnąć go na adiutanta jakiejś wysokiej szarży. Z mężem nigdzie nie bywa, w ciągu dwudziestu lat znudzili się sobą. On cały dzień spędza w pracowni, czasem tam nawet nocuje, często wyjeżdża za granicę i wtedy jego żona korzysta z pełnej swobody. A kiedy Architekt wyjeżdża pod Moskwę, do Domu Architekta, w Suchanowie, w jego moskiewskim mieszkaniu nocują jej kochankowie, on widocznie wie o tym, bo nigdy nie wraca bez uprzedzenia, unika skandalu, który tylko by go upokorzył. Wika zauważyła, że żona jako kobieta go nie pociąga.

Pokonać tę odesko-italską damę nie będzie trudno. W każdym razie stosunki są już nawiązane, on jest w niej zakochany, spędza w jej łóżku upojne chwile, ona jest młoda, piękna, doświadczona, zręczna, on jeszcze krzepki i z temperamentem. Nie mogą przeżyć dnia bez spotkania albo przynajmniej telefonicznej rozmowy.

Ale dla otoczenia ich związek pozostaje tajemnic- Wszyscy znają tylko Igora Władimirowicza, znają go jako jej starego przyjaciela, jako "miniony etap", wiedzą, że to właśnie z nim chodzi do Domu Architekta, mieszczącego się w dawnym pałacyku adwokata Plewako na bulwarze Nowińskim. Ale panienki tam nie chodzą. Dom Architekta nie stał się jeszcze modny, chociaż jest tam restauracja, co prawda trzeciej kategorii. Urządzano w nim wystawy projektów - kogo to mogło interesować?

Tym łatwiej było jej ukryć ten związek. Do Domu Architekta przychodziła tylko z Igorem Władimirowiczem, potem przyłączał się do nich Architekt. Ta konspiracja wydawała mu się zbędna, ale cenił w Wice jej delikatność, zainteresowanie, jakie wykazywała dla jego spraw. Wika przychodziła na posiedzenia, na których omawiano projekty, uważnie przysłuchiwała się dyskusjom, sporom.

Na posiedzeniach bywały starsze panie - architektki, ale one nie stanowiły dla niej zagrożenia, niepokoiła ją natomiast obecność ładniutek dziewcząt, kreślarek, w pracowni. Igor Władimirowicz uspokoił ją jednak, twierdząc, że dla czołowego, a tym bardziej naczelnego architekta dziewczyny z jego pracowni nie wchodzi w rachubę.

- Pierwsze prawo wytrzymałości materiałów - żartował Igor Władimirowicz - głosi: każdy związek ogranicza o jeden stopień wolność. Tymczasem Architekt powinien się w swojej pracowni czuć absolutnie wolny.

Swoją rolę Wika grała bezbłędnie. Nawet Igor Władimirowicz uwierzył, że jest

zakochana w jego przyjacielu. Był to trudny okres ścierania się w architekturze różnych prądów, szkół, kierunków, tradycji. Sam Architekt, który kształcił się we Włoszech, zjeździł wiele krajów i znał nowoczesną architekturę Zachodu, reprezentował szkołę nawiązującą do tradycji klasycznych, ale uwzględniającą nowoczesne konstrukcje, zwłaszcza wysokościowe. Był za to atakowany, ale Wika obwołała go geniuszem, jego budowle, projekty, pomysły - genialnymi, mówiła to wszystkim - i jego przyjaciołom, i jego wrogom. To geniusz! Nie z tych, na których poznają się dopiero po latach, lecz żywy i uznany za takiego już dziś! Wszystko, czego dotknęła jego ręka, jest genialne!

O tak, to była dobrze wybrana rola, i Wika grała ją po mistrzowsku. W niczym nie sprzeciwiała się Architektowi, nigdy z nim nie polemizowała, nie kaprysiła, nie obrażała się - kiedy ma się do czynienia z człowiekiem wielkim, trzeba być na poziomie.

- Mam mnóstwo wad - zwierzała mu się - ale, rozumiesz, nie mam w sobie nic typowo babskiego, małostkowego, nie, tego nie mam w sobie za grosz, chciałabym, żeby ci było ze mną dobrze, żeby ci nic nie ciążyło. Najważniejsze, żebyś miał zapewniony spokój.

Gdy nie mógł przyjść na spotkanie, uprzedzał ją o tym telefonicznie, pytał serdecznie:

- Co będziesz robić?

Uspokajała go:

- Kochany, nie martw się, poleżę, poczytam, pójdę do koleżanek, wyskoczymy na jakiś film. Tylko koniecznie zadzwoń jutro rano!

Naturalnie, ani myślała leżeć na kanapie, odwiedzać koleżanki czy biec z nimi do kina, miała inne sprawy do załatwienia: wizyty u krawcowych, u szewców, spotkania z Józikiem Libermanem, z Szarokiem - w tych sprawach nie mogło być żadnego potknięcia. I z Architektem też nie mogło być żadnego potknięcia. Niech wie, że ma w niej wierną, oddaną przyjaciółkę. Bądź co bądź jest córką profesora, z hetmańskiego rodu, bądź co bądź! To nie jej wina, że urodziła się tu, wśród tych chamów, jest arystokratką, do diabła!

Tylko raz nie potrafiła nad sobą zapanować.

Stało się to w Muzeum Sztuk Pięknych, na wystawie konkursowych projektów Pałacu Rad. Przez muzeum od rana do wieczora przewalały się tłumy, długachna kolejka ciągnęła się aż po Wołchonce. Architekci, w tym również zagraniczni, stali obok swych projektów, udzielali wyjaśnień, odpowiadali na pytania. Wika przychodziła tam codziennie, spotykała się z Architektem, w tym środowisku miała już sporo znajomych, może ktoś i domyślał się, jaką rolę gra przy Architekcie, ale sama Wika zachowywała się skromnie.

W salach panował gwar i ożywienie, zwiedzających nie ubywało, i tylko jedna osoba ani razu nie pokazała się w muzeum - żona architekta.

- Nie złość się na nią - mówił Architekt - w ciągu dwudziestu lat dość się napatrzyła na moje projekty, znudziło się jej.

- Ale przecież to jest twój główny projekt, dzieło twego życia!

- O, kiedy projekt zostanie zatwierdzony, kiedy będą wręczać dyplomy, wtedy na pewno przyjdzie - zażartował Architekt.

- Właśnie! Wtedy będzie stać obok ciebie, będzie dzielić z tobą twój tryumf!

Architekt spojrział na nią uważnie, zrozumiał aluzję: to ona chciałaby stać obok niego, to ona chciałaby dzielić z nim jego tryumf.

Wika spostrzegła się, jaką strzeliła gafę, ujęła go za rękę.

- Ja niczego się nie domagam. Po prostu nie mogę się pogodzić z taką obojętnością wobec ciebie, wobec twojej pracy. Stać przy tobie tylko w dniu twój tryumfu, to wiesz - skrzywiła pogardliwie wargi. - Wybacz, ale zrobiło mi się przykro za ciebie.

Następnego dnia obudził ją telefon. Architekt zawiadamiał ją, że tego dnia odbędzie się pokaz zamknięty, żeby nie przyjeżdżała i czekała na jego telefon.

Zamknięty pokaz oznaczał, że na wystawę przyjedzie Stalin i inni członkowie rządu.

Cały dzień Wika przesiedziała w domu, nie odchodziła od telefonu. Architekt zadzwonił pod koniec dnia.

- Jadę do ciebie! - zawołał.

Przyjechał z butelką szampana - był to dzień jego zwycięstwa, ich zwycięstwa. Stalinowi spodobał się jego projekt.

Nazajutrz rano wyjechali na dwa tygodnie do Suchanowa.

Stalin siedział w wyplatany fotelu na werandzie soczińskiej daczy, wystawiając twarz do słońca. Lubił Soczi, dzieło swoich rąk, lubił spędzać lato na południu, chociaż lekarze zalecają południe tylko jesienią. Ale co oni tam wiedzą. On i w dzieciństwie lubił tę porę roku, lubił błąkać się po ruinach Goris-Ciche, starodawnej twierdzy na górze, zbudowanej przez bizantyjskich cesarzy. Tam właśnie upadł i uszkodził sobie rękę. Soczi przypominało mu Gori, chociaż w Gori nie ma morza i nie ma takiej roślinności. Na stoliku przed Stalinem leżały książki: Sołowiow, Kluczewski, Pokrowski i złożone przez referentów "Uwagi do konspektu historii ZSRR". Pracą kierował Żdanow.

To był Jego wybór. W tym roku zabrał Żdanowa z Gorkiego i zrobił go sekretarzem KC. Nie dlatego, że Żdanow dobrze kierował obwodem i radził sobie z budową gorkowskiej fabryki samochodów. Inni sekretarze też sobie radzą. I nie dlatego, że Żdanow ma zaledwie trzydzieści osiem lat. Inni sekretarze też nie są starzy. Chruszczow, Werejskis, Ejche skończyli czterdziestkę, Chatajewicz ma czterdzieści jeden, Kabakow - czterdzieści trzy... Po prostu Żdanow to inteligent, zna się na literaturze, na sztuce. Inteligent nie typu tego mądrali Łunaczarskiego, nie obnosi się ze swoim wykształceniem, nie popisuje się obcymi wyrazami, nie pretenduje do roli teoretyka jak Bucharin, ale to jednak inteligent. W kierownictwie potrzebny jest człowiek wykształcony. Żdanow się do tego nadaje. Pierwsze powierzone mu poważne zadanie - organizację Związku Pisarzy - realizuje chyba całkiem dobrze. Zbliżający się zjazd będzie punktem zwrotnym w stosunkach partii z inteligencją: pisarze to czołowy oddział inteligencji, zawsze pretendowali do roli duchowych przywódców narodu.

W walce o władzę Lenin opierał się na inteligencji. I słusznie. Inteligencja zawsze reprezentowała odmienne poglądy, a odmienne poglądy to skuteczny oręż w walce o władzę. Kiedy jednak władza jest już zdobyta, nie wolno opierać się na inteligencji, bo orężem władzy jest nie wielość poglądów, lecz jednomyślność. RAPP i inne ugrupowania prowadziły do rozbicia inteligencji, różnicowały jej postawy. Nam potrzebna jest organizacja, która zapewniłaby jednomyślność. Taką organizacją będzie właśnie Związek Pisarzy.

Gorki potrafi zjednoczyć wokół siebie pisarzy. W gruncie rzeczy to lewicowy socjaldemokrata z poważnym odchyleniem w stronę drobnomieszczańskiego liberalizmu. Lenin cackał się z nim i słusznie. Gorki to nazwisko, ma kontakty z poważnymi pisarzami Zachodu. U nas wiele rzeczy mu się nie podoba. Ale życie na emigracji przekonało go, że

tam, za granicą, nie ma żadnych perspektyw. Prawdziwy pisarz powinien żyć i umrzeć w ojczyźnie. Wiktor Hugo mógł czekać na upadek Napoleona III, bo to, co napisał, było wydawane we Francji. Rosyjscy emigranci nie są u nas wydawani i wydawani nie będą. Wybryk z Arkadijem Awerczenką już się nie powtórzy. Bunin? Cóż on osiągnął? Dostał Nagrodę Nobla w sześćdziesiątym trzecim roku życia - i co mu z tego przyjdzie? Kto go czyta? Umrze zapomniany w tym swoim Paryżu, wszyscy oni tam pomrą, nikt z nich nie wejdzie do literatury rosyjskiej. Gorki chce wejść do literatury, chce mieć pomniki w ojczyźnie. Można go zrozumieć. I będzie miał te swoje pomniki. I swoje utwory wybrane też będzie miał. I nawet honoraria w obcej walucie. On sam jest teraz walutą, cenią go i pisarze zachodni, i nasi, nawet "Serapionowi Bracia" - Fiedin, Tichonow. To prawdziwi pisarze, zdolni, doświadczeni, i to przede wszystkim oni powinni służyć sprawie socjalizmu. A tymczasem RAPP odsuwa ich od literatury, wysuwa na plan pierwszy jakichś proletariackich wierszokletów. Co z tymi wierszokletami można osiągnąć? Jaki pomnik literatury wystawią Jego epoce? Demian Biedny? Po Demianie Biednym pozostanie tylko jego biblioteka, podobno niezła biblioteka. Majakowski? To zdolny poeta, jego wiersze należy wykorzystywać, ale to już raczej polityka.

Kiedyś On też zabawiał się pisaniem wierszy. Jako seminarzysta zaniósł Ilji Czawczawadze, redaktorowi "Iwarii", swój wiersz "Dila" - "Ranek". Podpisał go pseudonimem "Soselo", w seminarium nie wolno było podpisywać wierszy własnym nazwiskiem. Czawczawadze opublikował wtedy z pięć czy sześć jego wierszy, wspomnienia o Gori, o ojcu, o drodze do Ateni, o ojcowskich biesiadach z przyjaciółmi. Później już wierszy nie pisał, pisanie wierszy nie jest jego przeznaczeniem. Czy to były dobre wiersze? Potem nigdy ich już nie czytał. Ale pamiętał, że Ilja Czawczawadze chwalił jego "Ranek"...

Pąk róży rozwinął się i czule przyłgął do fiołka.

A w niebie wysoko rozległy się trele skowronka...

A po trzech latach, w roku tysiąc dziewięćset szesnastym, "Ranek" znalazł się w gruzińskim podręczniku dla szkół podstawowych Jakoba Gogebaszwili, podpisany tym samym nazwiskiem "Soselo". Jeśli w dwadzieścia lat po pierwszej publikacji Jakob Gogebaszwili zamieścił go w podręczniku, to znaczy, że coś w nim musiało być, że jest coś wart! A mimo to On nie urodził się dla poezji, poeta nie potrafi być człowiekiem walki, poezja czyni człowieka miękkim. Dziennikarstwo - tak, dziennikarstwo nadaje się do walki, jego pióro dobrze służyło rewolucji. Pisał dużo, pod różnymi pseudonimami: Dawid, Nameradze, Czyżykow, Iwanowicz, Biesoszwili, Kato, Koba... Koba stało się potem jego

pseudonimem partyjnym, podobał mu się ten pseudonim. Koba to szlachetny bohater powieści Kazbegiego "Ojcobójca". Niestety, pod tym pseudonimem stał się znany policji i nie mógł już nim podpisywać swoich artykułów, zaczął używać innych pseudonimów: K. Steffin, K. Stalin, K. Solin - aż wreszcie w styczniu 1913 roku, chyba w gazecie "Socjaldemokrata", podpisał się "J. Stalin". Teraz jest to jego nazwisko, pod którym zna go cały świat.

Więcej już wierszy nie pisał, nie został pisarzem, ale czytać zawsze lubił, czytał dużo. Nie pamięta już, jakimi książkami zachwycał się w młodości, przemieszały mu się z późniejszymi - czytał i w więzieniu, i na zesłaniu - zawód rewolucjonisty pozostawia sporo czasu na czytanie i, co najważniejsze, zobowiązuje do czytania.

Seminarium duchowne dawało wykształcenie na poziomie gimnazjum klasycznego. Uczono greki, łaciny, hebrajskiego, francuskiego, angielskiego, niemieckiego. Ale Jemu języki obce nigdy nie szły, na zesłaniu też się nimi nie zajmował - tylko strata czasu. Rosyjski opanował jednak dobrze, wykłady w seminarium były prowadzone w języku rosyjskim, a spędził tam całe pięć lat. Tylko akcent pozostał mu gruziński - z dzieciństwa, zresztą nigdy nie próbował się go wyzbyć. Wielkie rzeczy - akcent! Dość się napatrzył w życiu na Rosjan, którzy ani przecinka nie potrafili postawić, ani zdania prawidłowo zbudować.

Podrzędnych, drugorzędnych pisarzy nie czytał - szkoda na nich czasu. Czytał klasyków - dla rosyjskiego rewolucjonisty było to konieczne... Gogol, Sałtykow-Szczedrin, Czechow, Gorki - ich teksty można było wykorzystać w walce z władzą, w dyskusjach posługiwali się nimi oponenti, a więc należało je znać. Pisarzy chłopskich, tych wszystkich Złatorwatskich, Lewitowów, Karoninów, a nawet Niekrasowa, Nikitina, czy Surikowa nie lubił i nie czytał - oni chłopów żalowali, a sam chłop nikogo nie żałuje, On to doskonale wie, doświadczył tego na własnej skórze.

Tołstoj był wielkim pisarzem, ale nie rozumiał istoty władzy, idealizował człowieka, pouczał, moralizował obniżając tym wartość swojej twórczości. "Zwierciadło rosyjskiej rewolucji" - czego to się nie mówi dla pozyskania inteligenckich liberałów! Dostojewski to też żaden filozof, podobnie jak Tołstoj nie orientował się w mechanizmach ustroju społecznego i państwowego. Ale w odróżnieniu od Tołstoja nie idealizował człowieka, widział jego marność, moralną nicość, upodlenie, głosił ideę cierpienia, a idea cierpienia to potężny środek oddziaływania na ludzi. Kościół wie coś o tym i umiejętnie to wykorzystuje. Ale jako pisarz Dostojewski jest nudny, pisał nieciekawie, niezajmująco.

Największym rosyjskim pisarzem jest Puszkina! Wszystko rozumiał, wszystkiego się



domyślał, wszystko potrafił. Jaką głębią odznacza się choćby obraz Piotra! ...jego "dłoń szarpnęła Rosję twardą uzdą, że dęba wspięła się jak koń!" (A. Puszkina - "Miedziany jeździec", tłum. J. Tuwim.). Szczytem jego twórczości jest "Borys Godunow": "Lud nasz głupi, łatwowerny, rad jest zawsze różnym cudom i nowinom; A bojarzy pamiętają, że Godunow był im równy... Jeśliś chytry i stanowczy..." (A. Puszkina - "Borys Godunow", tłum. S. Pollak). Dobrze powiedziane! "Głupi i łatwowerny" - to istota narodu. "Chytrność i stanowczość" - to istota Jego władzy. "Pamiętają, że był im równy" - to istota jego przeciwników. "Borys Godunow" fascynował go już w młodości, szczególnie postać Otriepiewa... "Zbiegły mnich przeklęty... A lat ma dwadzieścia... A wzrostu jest małego, pierś szeroka, jedna ręka krótsza od drugiej... włosy ryże". Możliwe, że czytał Puszkina już w seminarium, Puszkina był w programie, ale tak naprawdę przeczytał "Borysa Godunowa" później w obserwatorium fizycznym, gdzie pracował jako statystyk po wydaleniu go z seminarium. Teraz piszą, jakoby go usunięto z seminarium za propagowanie marksizmu, sam zresztą napisał swego czasu w ankiecie: "...Zostałem wyrzucony z Tyfliskiego Seminarium Duchownego za propagowanie marksizmu". W rzeczywistości powód wydalenia był inny - nie zapłacił chesnego, mimo że matka co miesiąc przysyłała mu pieniądze, które otrzymywała od Egnatoszwilego. Ale On nie chciał kończyć seminarium, nie zamierzał być duchownym, w tym czasie związał się już z kółkiem marksistowskim. Jednak wersja o wydaleniu go za rzekome propagowanie marksizmu jest słuszna, bo pracuje na obraz wodza, a co za tym idzie, służy rewolucji.

Właśnie w obserwatorium przeczytał "Borysa Godunowa" powtórnie... "Zbiegły mnich przeklęty... A lat ma dwadzieścia... A wzrostu jest małego, pierś szeroka, jedna ręka krótsza od drugiej... włosy ryże". On też miał wtedy lat dwadzieścia i też rok przed ukończeniem seminarium zrezygnował z kariery duchownego, on również był małego wzrostu i szeroki w ramionach, włosy miał rudawe i prawie bezwładną rękę. Nie był już wtedy małym chłopcem ani bezpłodnym marzycielem i oczywiście żadnej analogii między sobą a Otriepiewem nie przeprowadzał, zresztą ten pechowiec ani trochę mu nie imponował. A mimo to zewnętrzne podobieństwo dosłownie go oszołomiło. Uderzyła go też siła, z jaką Puszkina wniknął w przyczyny niepowodzeń Otriepiewa: Gadatliwy - swoją wielką tajemnicę zdradził lekkomyślnej Polce, pięknoduch o wrażliwym sumieniu, zadreślał się myślą o środkach, do jakich musi się uciekać każdy polityk. "Ja do świętej Moskwy wskazuję wrogom zakazaną drogę!". Romantyczny awanturnik, a nie polityk! Wszystko tu było: chęci, wybujałe ambicje, odwaga, gotowość do ryzyka, dążenie do zwycięstwa i kompletna nieumiejętność utrwalenia go, spożycia owoców tego zwycięstwa. Zdobyć

władzę najwyższą i nie móc jej utrzymać - oto los nieudolnych polityków, utrzymać się przy władzy jest znacznie trudniej, niż ją zdobyć. Otrępiew nie utrzymał się. Nie utraciłby władzy, gdyby po wstąpieniu na tron w Moskwie powtórzył choć dziesiątą część tego, co robił car, którego synem się obwołał.

Zresztą tak On myśli dzisiaj, a jak myślał wtedy, nie pamięta. Pamięta tylko zewnętrzne podobieństwo, które go tak wtedy zdumiało. Zdumiał go los zbiegłego mnicha, wyniesionego na szczyty władzy świeckiej. Z czasem postać ta zbladła w jego pamięci, wyparta przez inne postaci historyczne, które zawładnęły jego wyobraźnią. A jednak gdzieś w zakamarkach jego mózgu obraz ten żył nadal. Czy nie wypłynął podświadomie wówczas, kiedy spotkał w Baku Zofię Piotrowską, rodowitą polską szlachciankę? Podobał jej się, on, proletariacki rewolucjonista-konspirator, karbonariusz w wystrzępionych spodniach, nie ogolony, ponury, zamknięty w sobie człowiek z charakterem. Któregoś dnia nie zastał jej w domu, a kiedy przyszedł następnym razem, powiedziała mu ze śmiechem:

- Córeczka sąsiadów mówi do mnie: Pani Zofio, przychodził do pani taki straszny pan.

Uśmiechnął się wtedy drwiąco, ale ta charakterystyka sprawiła mu satysfakcję: chciał, żeby się go bano.

Zofia, łagodna, wrażliwa, troszczyła się o niego, była to w gruncie rzeczy największa miłość w jego życiu. Mimo że związana z eserowcami, nigdy się z nim nie spierała, nie miała w sobie nic z owej zaciekłości właściwej funkcjonariuszkom partyjnym, nie narzucała mu swoich poglądów, wręcz przeciwnie, uchylała się od politycznych sporów, wiedząc, że wszelkie rozbieżności poglądów irytują go. Ona go jednak nie irytowała, była to jedyna kobieta, która go nie irytowała. Niestety, niebawem nadszedł kres ich stosunków... Zofia zmarła na gruźlicę.

Oczywiście, on nie jest Otrępiewem, a ona Maryną Mniszech. A jednak teraz przychodzi mu do głowy, że pierwszy impuls pobudzający go do działania zrodził się w nim pod wpływem tego skojarzenia, drzemiącego gdzieś w zakamarkach jego mózgu: polska szlachcianka i nikomu nie znany, niedoszły duchowny, konspirator o niejasnych jeszcze, ale dalekosiężnych planach.

We wrześniu na cmentarzu szychowskim chowano Chandara Safaraliewa, robotnika-nafciarza, zamordowanego przez czarnosecińców. Pogrzeb przekształcił się w potężną manifestację, zawodziły buczi fabryczne, w kondukcje kroczył On, szedł Szaumian, Jenukidze, Azizbekow, Ordżonikidze, Dżaparidze, Fioletow. On przemawiał. Była tam również Zofia. A pół roku później chowano ją na tym samym cmentarzu. Manifestacji nie było, nie zawodziły syreny fabryczne. Za trumną szły sąsiadki, znajomi Polacy. Złożyli ją do

grobu, zasypali ziemią i rozeszli się. A on został, nie chciał wracać z nieznanymi ludźmi, nie miał o czym z nimi rozmawiać. Pozostał, przysiadł nie opodal świeżo usypanego wzgórze.

Skalisty cypl Sychowa wrzynał się głęboko w morze, górując nad Bibi-Ejbetem, usianym niezliczonymi wieżami szybów naftowych. Robotnicy byli niewidoczni, ale wahacze poruszały się w górę i w dół, pompując ropę. Choć był dopiero początek wiosny, słońce już mocno przygrzewało. On siedział samotnie na górze, na skalistym cyplu Sychowo, na brzegu Morza Kaspijskiego, i patrzył na zatokę, na niezliczone wieże szybów naftowych. Pochował Zofię, jedyną kobietę, którą cenił, ale ból nie był obezwładniający. On miał już za sobą więzienia - i batumskie, i kutaiskie - i zesłanie na wschodniej Syberii, i ucieczkę z zesłania, już odeszli jego towarzysze z "Mesami-Dasi", zginął w więzieniu Kecchoweli, zmarł Cułukidze. Wszyscy odchodzą i wszyscy odejdą, życie człowieka to tylko mgnienie w tym kołowrocie. Istnieje tylko Dzisiaj - też tylko mgnienie, ale dla rewolucjonisty mgnienie prawdziwego życia. Tylko rewolucjonista i tylko władca rozumie marność i nicość ludzkiego życia, ale tylko władca ma prawo siebie oszczędzać. Własne życie nic nie jest warte, póki się walczy o władzę, ale kiedy się ją zdobędzie, wówczas życie staje się nagrodą dla zwycięzcy. Teraz On jest zwycięzcą i potrafi zachować życie, albowiem potrafi zachować władzę.

Wszyscy rewolucjoniści ryzykują życie. On też ryzykował, ale był ostrożny. Przyjeżdżając do Baku, wysiadał w Baładżarach i szedł do miasta pieszo brzegiem morza obok szybów naftowych. A kiedy się zmęczył, przysiadł na ścieżce i tak jak teraz wystawiał twarz do słońca, patrzył w dół na drogę, na wieże, na morze.

Co kieruje rewolucjonistą, co każe mu kroczyć ciernistą drogą? Idea? Idee porywają wielu, ale czy wszyscy oni stają się rewolucjonistami? Życzliwość dla ludzi? Życzliwość dla ludzi to cecha mazgajów, baptystów i tołstojowców. Nie! Idea dla rewolucjonisty to tylko podnieta. Szczęście powszechne, równość, braterstwo, nowe społeczeństwo, socjalizm, komunizm - to hasła, które podrywają masy do walki. Rewolucjonista to charakter, protest przeciwko własnemu poniżeniu, potwierdzenie własnej osobowości. Pięć razy go aresztowano, zsyłano go na Syberię, uciekał z zesłania, ukrywał się, nie dojadł, nie dosypiał - w imię czego? Czy robił to dla chłopów, którzy myślą tylko o gnoju? Czy dla "proletariatu", tych wyrobników? W Baku często nocował w barakach robotniczych Rotszylda na Bałowie, miał wtedy okazję napatrzeć się na "klasę robotniczą". W tym okresie był już znanym działaczem, przywódcą bolszewików w Baku. Wszelkie próby zaprzeczenia temu są niegodziwością. I on te próby ukróci.

Stalin wstał z fotela. Gdzieś nad jego głową latała pszczoła, brzęczała i brzęczała nad samym uchem. Machnął ręką, pszczoła odleciała, usiadła na stole, popęzła w stronę popielniczki. Przygniótł ją tomem Kluczewskiego.

- To draństwo! Draństwo! - powiedział po gruzińsku, znowu sadowiąc się w fotelu i wracając myślą do tamtych czasów i do broszury Awela Jenukidze.

W tej broszurze Jenukidze postanowił nagle opowiedzieć o nielegalnej drukarni, która działała w Baku pod nazwą "Nina".

Drukarnia podlegała Leninowi, korespondencja szła przez Krupską, kierowali drukarnią Krasin, Jenukidze i Kecchoweli. Poza tym nikt, jak pisze Awel, o niej nie wiedział, czyli że nie wiedział o niej również On, Stalin. Jemu, Stalinowi, nawet o niej nie wspomniano.

Krasina, tego inżyniera elektryka, pracującego u Rotszyldów i Montaszewów, można zrozumieć: Lenin nakazał mu ścisłą konspirację. Do Krasina On nie żywi urazy: Krasin dawno nie żyje. Kecchoweli też nie żyje. I przecież nie ta mała drukarnia decydowała o losach rewolucji. Tak było wtedy. Całkiem inaczej mają się sprawy teraz. Jemu nie są potrzebne bakińskie, tyfliskie, zakaukaskie laury. Jemu potrzebna jest prawdziwa historia partii, a prawdziwa historia partii to taka historia, która służy interesom i umocnieniu autorytetu jej kierownictwa.

Jeśli On nie wiedział o istnieniu w Baku, pod jego bokiem, nielegalnej drukarni, to jak można teraz twierdzić, że On kierował partią, w Rosji? Jeśli zaś On kierował partią, to nie mógł nie wiedzieć o istnieniu drukarni. Negować to - oznacza negować jego rolę jako pierwszego pomocnika Lenina. Czyżby towarzysz Awel Jenukidze tego nie rozumiał? Niemożliwe, żeby tego nie rozumiał. To dlaczego opublikował broszurę, z której wynika, że towarzysz Stalin nie miał nic wspólnego z drukarnią "Nina"? Po co mu to było potrzebne? Co go nagle skłoniło do zajęcia się historią? I takiemu człowiekowi On powierzył dozór Kremla, powierzył mu własne życie! Dlaczego w komendanturze YKremla jest tylu starych członków partii? Czyż w ten sposób dobiera się ludzi do ochrony? Strażnik, który swoje obowiązki traktuje jako zadanie polityczne, nie jest człowiekiem pewnym, bo jego poglądy polityczne mogą się zmieniać. Nawet sympatie polityczne nie dają pewności, bo sympatie od antypatii dzieli jeden krok. Strażnik powinien być wierny swojemu szefowi niczym ten pies - dopiero wtedy jest to prawdziwy strażnik. Taki strażnik wie tylko jedno: za najmniejsze przewinienie, za najdrobniejsze niedopatrzenie zostanie pozbawiony nie tylko wszystkich przywilejów i dobrodziejstw, ale i życia. Tylko tak powinno się kompletować jego ochronę. A towarzysz Jenukidze mianował komendantem Kremla Petersona, byłego

naczelnika pociągu Trockiego. Knują przewrót pałacowy? Jenukidze jest z nimi, widać to z jego nędznej broszurki, tą broszurką się zdemaskował!

Z tą plugawą broszurką trzeba się zdecydowanie rozprawić. Awel, ma się rozumieć, zacznie się wypierać, bić się w piersi, kajać się, a człowiek, który się kaja, jest politycznie skończony. Czy po tym wszystkim będzie istniał fizycznie, to już nikogo nie obchodzi, oprócz rodziny i bliskich. A rodzina i bliscy jakoś to przeżyją.

Komu należy zlecić napisanie o tej broszurze? Naajlepiej komuś ze starych bakińczyków. Ale kto ze starych bakińczyków jeszcze żyje?

Ordżonikidze bywał w Baku, pracował w dzielnicy Bałachańskiej w przemyśle naftowym u Szamsi Asadulajewa - jako felczer w przychodni, w malutkim domku na przedmieściu Romanow. On doskonale pamięta ten domek: dwa pokoje, w jednym Sergo mieszkał, w drugim przyjmował pacjentów. Był to pierwszorzędny punkt kontaktowy, wygodny - do felczera może przyjść każdy. Sergo przepracował tam chyba z rok, potem dojeżdżał do Baku. To byłby dobry świadek, właściwy, ale wymówi się nawałem pracy, w dodatku przyjaźni się z Awelem Jenukidze, nie będzie przecież świadczył przeciwko przyjacielowi.

Wyszyński? To skończony łajdak. Przez całe życie był mieńszewikiem i nic dziwnego, mieńszewik nie musi się zajmować robotą, wystarczą mu górnotne frazesy. W 1908 roku na Bałachanach w Domu Ludowym zorganizowano sąd nad zubatowcami - Szendrikowami. Kto występował w ich obronie? Wyszyński. W ciągu jednej nocy pięć razy zabierał głos, tak się upajał swoją sztuką krasomówczą, demagog, krętacz! Latem siedemnastego roku w Moskwie był naczelnikiem arbackiej milicji, wywiesił na murach nakaz odszukania i aresztowania Lenina i nawet, dureń, podpisał go własnym nazwiskiem: "A. Wyszyński". Po przewrocie październikowym zabiegał o spotkanie z Nim, kajał się, bił się w piersi. Ale ani słowem nie napomknął o tym, że w bałowskim więzieniu, gdzie siedzieli w tej samej celi, dzielił się z nim wałówkami. Rozumiał, z Kim rozmawia, rozumiał, że takiego przypomnienia On by mu nie wybaczył, że w zamian za te nędzne wałówki zyskuje teraz życie. W 1920 roku On pomógł mu wstąpić do partii, w 1925 - zostać rektorem uniwersytetu moskiewskiego, w 1931 - prokuratorem RSFRR, teraz Wyszyński jest zastępcą prokuratora generalnego ZSRR, ale na świadka w sprawach bakińskich się nie nadaje, bo w partii pogardzają nim.

Pozostaje Kirow. Przed rewolucją nigdy w Baku nie bywał, ale po rewolucji przez pięć lat był gospodarzem Azerbejdżanu, miał dostęp do wszystkich archiwów, skrupulatnie przestudiował historię bakińskiej organizacji partyjnej, to człowiek dociekliwy, znający się

na rzeczy. On to właśnie mógłby odpowiedzieć na broszurkę Awela Jenukidze, mógłby swoim autorytetem obalić szkodliwą dla partii wersję i poprzeć wersję umacniającą autorytet kierownictwa partyjnego. Wychwała towarzysza Stalina, ale słowa nie wystarczą. Dlatego właśnie zaprosił Kirowa do Soczi, niech popracuje pod jego boki, niech pokaże, kim teraz jest. W trójkę będą stanowili niezłe towarzystwo. Wszyscy trzej na przykład lubią muzykę. On tak zwyczajnie lubi, Żdanow nawet gra na fortepianie, a Kirow to prawie meloman. Chodzi do opery, siedzi nie w łoży rządowej, tylko na parterze - taki demokrata! Zawsze chciał uchodzić za inteligenta, w młodości uczestniczył w studenckich przedstawieniach amatorskich, choć uczył się zaledwie w szkole przemysłowej. On widział kiedyś jego młodzieńczą fotografię, u Sergo czy nawet u samego Kirowa, jego żona, Markus, Maria Lwowna, czy jak jej tam, pokazywała: sztubak w mundurku z ozdobnymi guzikami, w szkolnej czapce ze znaczkiem, na którym widać skrzyżowany młotek i klucz francuski, godło szkoły przemysłowej. Ale nie zorientowani mogą go wziąć za mundur gimnazjalny albo nawet studencki.

Niestety, Kirow opiera się, nie chce przyjechać! Tłumaczy się chorobą, lekarze zalecają pobyt w Wodach Mineralnych. "A co ci jest?" "Mam zgagę..." "Každy miewa zgagę, czy zgaga to choroba? Przyjedź, my cię tu wyleczymy, popracujesz z nami". "Nie znam się na historii..." "A my się znamy? Ale pracujemy, popracuj i ty".

Niech tu trochę pobędzie, niech posiedzi przy nim, właściwie to nigdy nie bywali razem. Przed rewolucją w ogóle się nie spotykali, ze dwa-trzy razy zetknęli się w czasie wojny domowej. Do bliższej znajomości doszło wtedy, kiedy Kirow objął kierownictwo azerbejdżańskiej organizacji partyjnej, przyjeżdżał do Moskwy na zjazdy partyjne, na posiedzenia plenarne KC albo po prostu w jakiejś sprawie. Robił sympatyczne wrażenie, Ordżonikidze wypowiadał się o nim pozytywnie, za granicą nie bywał, nie należał do emigrantów, kadrowy pracownik partyjny, nieprzejednany przeciwnik Trockiego, Zinowiewa, Kamieniewa, Bucharina, choć z tym ostatnim utrzymywał przyjazne stosunki. On go ciągnął w górę. Na X Zjeździe - kandydat na członka KC, na XII - członek KC, w roku trzydziestym wprowadził go do Biura Politycznego. To On skierował go do Leningradu z zadaniem zniszczenia tego wiecznego gniazda frondy, pychy, opozycji. Niestety, Kirow nie spełnił nadziei. Nie zniszczył miasta, lecz stanął na jego czele, zdobył sobie tanią popularność, teraz usiłuje zdobyć popularność w całym kraju, chce w przeciwieństwie do towarzysza Stalina uchodzić za tolerancyjnego, dobrego, wielkodusznego. Na posiedzeniu Biura politycznego występował przeciwko straceni Smirnowa, Tołmaczewa, Ejsmonta. I innych członków biura pociągnął za sobą. Nawet Mołotow i Woroszyłow się wahali. Tylko

Kaganowicz był bezwarunkowo za rozstrzelaniem.

Wielkoduszność w stosunku do zwyciężonych to rzecz niebezpieczna: wróg nigdy nie uwierzy w naszą wielkoduszność, uzna ją za manewr polityczny i przy pierwszej okazji zaatakuje sam. Tylko naiwni mogą rozumować inaczej. Kirow to niebezpieczny idealista, domaga się dla klasy robotniczej dóbr materialnych, nie rozumie, że człowiek żyjący w dostatku nie jest zdolny do ofiar, do entuzjazmu, przekształca się w filistra, w mieszczaucha. Tylko cierpienie wyzwala w narodzie olbrzymią energię, którą można skierować zarówno na niszczenie, jak i na tworzenie. Cierpienie zbliża człowieka do Boga - to podstawowa teza religii chrześcijańskiej, na której naród był wychowywany przez całe stulecia, weszło mu to w krew, i my również powinniśmy to wykorzystać. Socjalizm - raj ziemski, jest bardziej pociągający niż mityczny raj w niebiesiech, chociaż i dla niego trzeba przejść przez cierpienia. Naród, rzecz jasna, powinien być przekonany, że jego cierpienia są przejściowe, że służą osiągnięciu wielkiego celu, że władza najwyższa zna jego potrzeby, troszczy się o niego, broni go przed biurokratami niezależnie od tego, jakie stanowisko ci biurokraci zajmują. Władza najwyższa jest bowiem Wszechwiedząca, Wszechwidząca i Wszechmocna.

O czym on w związku z tym wczoraj myślał? O likwidacji kartek żywnościowych? Ale sprawa kartek jest już przesądzona, od pierwszego stycznia kartki zostaną zniesione. To o czym w takim razie myślał? Ach, tak! Wczoraj myślał o rozmowie z ogrodnikiem, Estończykiem Arwo Iwanowiczem. Na daczę rządową wzięto Arwo Iwanowicza z sanatorium imienia Woroszyłowa, to człowiek tutejszy, jak go poinformowano, i absolutnie pewny, ożeniony z Rosjanką, całe życie mieszkał w Soczi, uchodził za najlepszego ogrodnika. Stalin nie spotykał na Kaukazie Estończyków, chociaż wiedział, że na początku stulecia kilkaset estońskich rodzin przeniosło się z Estonii do okręgu suchumskiego i na wybrzeżu Morza Czarnego pojawiło się kilka estońskich wsi. Estończycy trudnią się tym samym, co ludność miejscowa: ogrodnictwem, hodowlą bydła, tylko ich bydło jest bardziej rosłe niż miejscowe. Jednakże o tym, że Estończycy osiedlili się również w Soczi, nie wiedział. Arwo Iwanowicz wyglądał na lat pięćdziesiąt, był krępy, miał twarz o wystających kościach policzkowych, ciemnoblond włosy i jasne oczy. Jak wszyscy Estończycy, nosił kamizelkę i kurtkę, ale szarawary wpuszczał na sposób gruziński w czuwiaki. Po rosyjsku mówił z akcentem, niekiedy zabawnie kalecząc słowa. Wczoraj przycinał kwiaty, Stalin uważnie obserwował jego pracę, bo sam też lubił kwiaty. Arwo Iwanowicz mamrotał coś pod nosem z naburmuszoną miną i Stalin zapytał, z czego jest niezadowolony. Arwo Iwanowicz odparł, że jego żonę oszukano w sklepie na wadze i w dodatku za dużo jej policzono. Wieczorem Stalin powiedział naczelnikowi ochrony: żonę Arwo Iwanowicza

oszukano na wadze i za dużo jej policzono. Przekażcie sekretarzowi komitetu obwodowego, że winowajców należy surowo ukarać.

Rosyjski kupiec zawsze był oszustem i dzisiejsi sprzedawcy są tacy sami. Po wydaniu ustawy z siódmego sierpnia boją się okradać państwo, więc zaczęli okradać ludność. Naród to widzi, ale nic nie może poradzić. Czyli że za naród musi to zrobić On. On nie chodzi po sklepach, ale dobrze zna potrzeby i troski swojego narodu. Stalin wstał z fotela i przeszedł z werandy do pokoju. Tam przy dużym sekretarskim biurku siedział Towstucha. To On go zabrał do Soczi. Pracują tu uczeni historycy, inteligent Towstucha, zastępca dyrektora IMEL-u, [Instytut Marksa, Engelsa, Lenina.] zna historię i wie, jaka historia jest teraz partii potrzebna, więc na pewno im się przyda. Jeśli chodzi o sprawy bieżące, to w nich Towstucha też jest zorientowany, przez wiele lat był Jego sekretarzem. W dodatku jest chory na gruźlicę, niech pogrzeje się na słońcu, proszę, jaki chudy, zgarbiony, kaszle, patrzy ponuro, lekarze mówią, że długo nie pociągnie. Szkoda, bo to człowiek oddany!

- Przygotujcie projekt uchwały KC - powiedział Stalin. - W sprawie walki z oszukiwaniem na wadze i mierze klientów... nie... spożywców... I o zawyżaniu cen... Albo raczej tak: o fałszowaniu cen detalicznych w handlu... Trzeba przytoczyć fakty i podkreślić, że proceder ten jest sprzeczny z troską partii o interesy masowego nabywcy. W związku z tymi faktami ukarać narkoma handlu Mikojana, przewodniczącego centrali związkowej Zielińskiego, przewodniczącego OCRZZ Szvernika - związki zawodowe też muszą pilnować, żeby nie oszukiwano i nie krzywdzono ludzi pracy. Uchwała powinna być utrzymana w surowym tonie. Niech CKW wyda dekret: za oszukiwanie na wadze i fałszowanie cen - dziesięć lat!

- Wyszukanie odpowiednich faktów zajmie trochę czasu.

- To napiszcie po prostu: do KC wpłynęły... Nie! W posiadaniu KC znajdują się dowody... O tak!

Stalin wrócił na werandę i znowu usiadł w fotelu, wystawił twarz ku słońcu i znowu zaczął myśleć o Kirowie. Nazywają go sukcesorem. A przecież On jest starszy od Kirowa zaledwie o siedem lat, więc o jakiej sukcesji może tu być mowa? Nie wiadomo, kto wcześniej umrze, ludzie z Kaukazu żyją długo! Czyli że chodzi o sukcesję przed śmiercią? Niedoczekanie wasze! Konwent, posyłający na szafot Robespierre'a, nie jest mu potrzebny. Napoleon rozpędził Konwent i dobrze zrobił, dlatego Napoleon to człowiek wielki, a Robespierre, mimo całego swego okrucieństwa, to tylko rozgadany adwokat.

Pewnego razu po przyjeździe Kirowa do Moskwy, zebrali się u Ordżonikidzego. Był On, Sergo, Kirow, Woroszyłow, Mikojan, był też Kaganowicz, mimo że nie został zaproszony.



Sergo nie znosi Kaganowicza. Ale On powiedział: chodźmy, Łazar, Sergo zaprasza na kolację. Nie pamięta już, w związku z czym Kirow zaczął opowiadać, że lubił matematykę, fizykę, chemię, że ukończył szkołę przemysłową z dyplomem, potem wstąpił na kursy przygotowawcze przy Tomskim Instytucie Technologicznym, zamierzał zostać inżynierem. A propos, czy aby nie tam poznał Iwana Budiagina? Budiagin też był na kursach, stąd pewno wzięła się ich przyjaźń.

Kirow to człowiek ze skromnym wprawdzie, ale jednak technicznym wykształceniem, interesuje się techniką, no i dobrze, właśnie on będzie kierował przemysłem. I niech rozbije przemysł na działy: budowa maszyn, chemia, budownictwo mieszkaniowe i tak dalej. Trzeba bezustannie rozbijać te rozrastające się aparaty, te taśmy karabinowe powiązanych ze sobą ludzi, tasować, tasować, tasować. Takim właśnie przemysłem będzie sobie kierował towarzysz Kirow, jako członek Biura Politycznego i sekretarz KC. Nie przyniesie mu to ujmy. Kierować w okresie uprzemysłowienia główną dziedziną gospodarki - przemysłem - to nie ujma. No a jeśli towarzysz Kirow nie zgodzi się, nie zechce przenieść do Moskwy, będzie to oznaczać, że chce zachować niezależność, autonomię, chce kontynuować własną linię.

Nigdy dotąd - ani w Butyrkach, ani w więzieniu zbiorczym, ani w etapie - nie czuł się tak przybity. W Butyrkach, do końca nie tracił nadziei, że zbadają sprawę i wypuszczą go, w etapie miał przed sobą cel: dotrzeć na miejsce przeznaczenia, urządzić się, cierpliwie doczekać końca wyroku. Nadzieja czyniła go człowiekiem, cel pomagał mu żyć. Teraz nie miał ani nadziei, ani celu. Zreperował wirówkę, żeby pomóc ludziom, a oskarżono go o szkodnictwo. Ałfierow udowodnił mu winę z żelazną logiką. I Ałfierow każdej chwili może go zmiążdżyć, wykorzystując przeciwko niemu skargę przewodniczącego kolchozu. Jak tu żyć? Po co mu podręczniki francuskiego, które mają mu przysłać z Moskwy, po co ekonomia polityczna i filozofia? Komu będzie to wykladał, z kim będzie rozmawiał po francusku? Z niedźwiedziami w tajdze? Nawet jeśli Ałfierow zostawi go w spokoju, jak zarobić na utrzymanie? Zelować filcaki - tego może się nauczyć. Oto co go czeka! Zapomnieć, o wszystkim zapomnieć! Ideą, w której duchu został wychowany, zawładnęli Baulinowie, Łozgaczewowie, Diakowowie, depczą tę ideę i niszczą ludzi, którzy są jej wierni. Dawniej uważał, że na tym świecie, żeby nie zginąć, trzeba mieć mocne ręce i niezłomną wolę, teraz zrozumiał, że właśnie z silnymi rękami i niezłomną wolą człowiek musi zginąć, bo jego wola zderzy się z wolą jeszcze bardziej niezłomną, a jego ręce z rękami jeszcze silniejszymi, z rękami, które dzierżą władzę. Żeby zachować życie, trzeba się podporządkować cudzej woli, cudzej sile, ciągle mieć się na bacności, przystosowywać się, żyć jak zając, bojąc się wychylić zza krzaka - tylko za taką cenę można przetrwać fizycznie. Ale czy wobec tego warto żyć?

Siedział w domu i próbował czytać. Gospodarz coś tam naprawiał na podwórku, postukiwał siekierą. To jednostajne, monotonne postukiwanie działało jeszcze bardziej przygnębiająco. Potem stary dokądś poszedł, ale on w dalszym ciągu nie mógł czytać. Odłożył książkę. Nie wytrzyma takiego życia, nie wytrzyma! Położył się na łóżku i zasnął, ale nawet we śnie nie opuszczało go poczucie nieszczęścia, obudził się przerażony, serce waliło mu jak młotem.

Czego chce od niego Ałfierow? Jego życzliwość nie jest przypadkowa, zostawił go tu nie bez kozery. Zgodnie z logiką powinien był go wrobić w sprawę, żeby usprawiedliwić swoje tutaj istnienie. Tymczasem odesłał go z powrotem do Mozgowy, napomknął o przeniesieniu do Kieżmy, o pracy w SMT, i niczego w zamian nie zażądał. Próbuje go sobie zjednać czy, odwrotnie, zdemoralizować? Chce go doprowadzić do ostateczności, utrzymywać w niewiedzy, w napięciu, w nieustającym strachu, mam cię w ręku, bratku,

czekaj, aż cię wezwę, spokojnego życia to ty mieć nie będziesz. Straszne, straszne...

Gospodyni krzyknęła do niego przez drzwi:

- Jeść będziesz?

- Nie będę, zęby mnie bolą! - odkrzyknął.

Przez dwa dni nie wychodził z obejścia, siedział na podwórku, pomagał coś tam robić staremu. Wiedział, że Zida czeka na niego, niepokoi się, ale i jej nie miał ochoty oglądać, była świadkiem jego poniżenia, zaczęła go pocieszać, poczuje się jeszcze bardziej upokorzony. Zresztą wszyscy i wszystko stało mu się obojętne. Czas z tym skończyć! Z tego błędnego koła już się nie wyrwie... Tylko co będzie z mamą? mama tego nie przeżyje, takiego ciosu nie może jej zadać, będzie musiał ciągnąć ten wóz, żeby tylko mama była pewna, że on żyje, żeby tylko mama nie traciła nadziei.

Na trzeci dzień przyszedł Wsiewołod Siergiejewicz.

- Co się z panem dzieje? Czemu pan się nie pokazuje? Choruje pan?

- Nie.

- Alfierow panu dopiekł?

- Udowodnił mi, że jestem szkodnikiem, podkopuję władzę kolchozową. Udowodnił mi to logicznie, przekonująco.

Wsiewołod Siergiejewicz roześmiał się:

- Dziwi to pana? On jest z wykształcenia filozofem.

- Ta-ak?

- Proszę sobie wyobrazić. Niech się pan nie da zwieść jego stanowiskiem. To szycha, gruba ryba, ma trzy, a może nawet cztery romby, więcej niż jego szefowie w Kańsku, właśnie dlatego nie chodzi w mundurze. Nawiasem mówiąc, był za granicą a trafił tutaj. Obawiam się, że to nasz przyszły, że się tak wyrażę, kolega czy współtowarzysz. A może odwrotnie, może znowu wypłynie, wszystko zależy od jakichś wyższych, nie znanych nam okoliczności. Tak czy owak udowodnił panu logicznie, że na podstawie skargi przewodniczącego może pana zetrzeć na proch. Nie dość że zepsuł pan wirówkę, to jeszcze wyzwał pan przewodniczącego od durniów. To panu inkryminował?

- To.

- No widzi pan. Chciałbym pana uspokoić. Tego samego dnia wirówkę odwieziono do Kieżmy, tam zrobili wszystko, co pan kazał, przywieźli z powrotem i teraz wirówka pracuje jak złoto. Może pan iść i przekonać się.

- Nie mam najmniejszej ochoty.

- I słusznie. Jeśli mogę panu radzić, niech pan jej nigdy więcej nie dotyka. Tak więc, jak

sądzę, zarzut szkodnictwa odpada. Niech się pan nie denerwuje.

- Ja się nie denerwuję. Po prostu czuję obrzydzenie.

- Rozumiem. I chciałbym panu coś powiedzieć. Czy mogę być z panem szczerzy? Pozwoli pan?

- Oczywiście.

- Pan, Sasza, jest bez wątplenia człowiekiem. Prawdziwym człowiekiem! Radzieckim człowiekiem! To nie jest komplement, to konstatacja faktu. To wspaniale - być prawdziwym, ideowym radzieckim człowiekiem. Ale pan chce takim być nawet w pańskiej szczególnej sytuacji, chce pan postępować tak, jak powinien postępować człowiek radziecki. A tego panu nie wolno, Sasza. Dla tutejszych ludzi pan nie jest radzieckim człowiekiem, jest pan człowiekiem antyradzieckim. I tylko z tego punktu widzenia oceniają tutaj pana i pańskie postępowanie. Pan idzie ulicą i widzi - wirówka nie pracuje, pan, znając budowę wirówki, natychmiast podchodzi i naprawia wirówkę. A przewodniczący kolchozu, a pełnomocnik, mam na myśli nie Ałfierowa, tylko innego, zwyczajnego, oni myślą inaczej: Po co on się pcha do wirówki? Jasne, żeby ją popsuć. Wróg szkodzi i robi świństwa, gdzie się da - mam nadzieję, że wie pan, czyje są to słowa?

- Wiem.

- Pan nie jest odszczepieńcem, ale musi się pan liczyć ze swoją sytuacją. Pan nawymyślał przewodniczącemu od durniów i to jest pana główny błąd. Gdyby pan mu posłał wiązanekę, nic by się nie stało. Ale dureń to słowo obelżywe, poniżające, za nim kryje się poczucie własnej wyższości i wychodzi na to, że pan jest mądry, a on głupi. Ałfierow nie chciał pana przenieść do innej wsi?

- Chciał.

- No i co? Odmówił pan? Z powodu Nurzidy Gazizowny?

- Ani nie odmawiałem, ani nie wyraziłem zgody. Powiedziałem, żeby sam zdecydował, nie chcę mu nic zawdzięczać, nie chcę mieć żadnych zobowiązań.

Wsiewołod Siergiejewicz zamyślił się, potem powiedział:

- No cóż, może i słusznie pan postąpił. Chociaż w innej wsi czułby się pan spokojniej. Tu miał pan już zatarg z synem pańskiej poprzedniej gospodyni, teraz znowu z przewodniczącym, reputację ma pan tu nieszczególną. Ale miejmy nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. Teraz przeżywa pan okres załamania. Pańskie nerwy były naciągnięte jak sprężyna: aresztowanie, więzienie, etap, nasza Mozgowa, mieszkanie, kłopoty. A kiedy wszystko się ułożyło, sprężyna pękła, nie wytrzymała nowego napięcia. Wszyscyśmy przez to przeszli. Najważniejsze, żeby ten stan nie stał się chroniczny. Ale pan jest mocny, ma

pan charakter, powinien pan się z tym uporać. Wniosek jest jeden: nie wolno panu z nimi zadzierać i niech pan będzie ostrożny z nauczycielką, teraz będą mieli pana na oku, zagięli na pana parol, mogą panu i to przykleić.

Podszedł do łóżka, poklepał Saszę po ramieniu.

- No, dość, wstawać! Idziemy pograć w preferansa!

- Ja źle gram w preferansa.

- Nie szkodzi. Karty to nasza jedyna przyjemność. Kryminaliści grają w oko, a my w preferansa. Niech się pan ogoli, bo zarósł pan, ubierze się i idziemy. Musi się pan wreszcie poznać z miejscową inteligencją.

Saszy nie chciało się iść, ale Wsiewołod Siergiejewicz nalegał; zresztą on sam rozumiał, że nie zaszkodzi popatrzeć, jak radzą sobie z życiem inni ludzie.

Michaił Michajłowicz Masłow, mężczyzna o chmurnej, zmęczonej twarzy, wyglądający na jakieś czterdzieści pięć lat, przyjechał do Mozgowy przed rokiem z Sołowek. Sposób bycia zdradzał w nim byłego oficera.

- A my już myśleliśmy, że nie przyjdziecie - zauważył zgryźliwie, zwracając się do Wsiewołoda Siergiejewicza, kiedy ten wszedł do niego wraz z Saszą.

- Jeszcze zdąży nas pan ograć - odpowiedział dobrodusznie Wsiewołod Siergiejewicz.

Podczas gry Michaił Michajłowicz nie pozwalał się zastanowić, ponaglał, zrzędził, gdy partner źle wyszedł. Tylko Saszy nie przygadywał, zachowywał się wobec niego powściągliwie, wyczuwając w nim człowieka z innego, wrogiego świata. I Saszy też Michaił Michajłowicz wydawał się antypatyczny, nie lubił takich drażliwych, małoszkowatych ludzi, znając swego ojca wiedział, że to nie wina okoliczności, lecz charakteru.

Czwartym do puli był Piotr Kuźmicz, były kupiec ze Starego Oskolu, miasteczka położonego w guberni woroneskiej. Odsiadywanie wyroku zaczął w Narymie, a kończył tu, nad Angarą. Był już po sześćdziesiątce, krępy, barczysty, o szerokiej klatce piersiowej, z krótko przystrzyżoną szpakowatą bródką, miał na sobie starą marynarkę, przetartą i wyświeconą na łokciach i klapach, i spodnie wpuszczone w wysokie buty. W tym towarzystwie był jedynym człowiekiem, który chętnie opowiadał o swojej niedoli.

- Jak nie pozwalali handlować, to nie handlowałem - mówił. - A jak pozwolili, to sprzedawałem, co tam chłopu potrzebne: kosy, sierpy, widły, różne tam chemikalia, do czego zresztą byłem przyuczony od dzieciństwa. We wsi jest kooperatywa, a chłop ciągnie do mnie, u mnie wszystko jest zawsze na czas, wiem, co chłopu potrzebne. A potem wiadoma rzecz: przychodzi inspektor podatkowy, jeden, drugi, przysyłają to podatek, to domiar, to dobrowolne opodatkowanie. W więzieniu żądali ode mnie złota, a skąd ja im

wemę złoto? Moje złoto to żelazo: pręty, blacha, obręcze. Ja dawniej złoto tylko w carskich dziesięcio- i pięciorublowkach widywałem.

Piotr Kuźmicz opowiadał dobrodusznie - wiadomo, od śledczego też wymagają.

- No dobra, ja jestem kupiec, człowiek wyzuty z praw, ale co wspólnego mają z tym moje dzieci? Czy one sobie wybierały rodziców? One też przecie chcą żyć, ciągnie je za innymi to do pionierów, to do Komsomołu, a zewsząd je przepędzają. Młodszy, Aloszka, łebski chłopak, wyjechał do Moskwy, zaczepił się w fabryce, przysłała gazetę: "Ja, taki a taki, zerwałem z ojcem, żadnych stosunków z nim nie utrzymuję". Przykro, naturalnie. Chowałem go przecie, żywiłem, a tu proszę - wyrzeka się! A co miał robić, inaczej nie mógł. I pewnie nawet wierzył, że handel to zajęcie nieuczciwe, z cudzej pracy, powiada, żyjesz... A spróbuj podźwigać w sklepie becзки z pokostem, lemieszce albo skrzynki z gwoździami, zobaczysz, co to za robota... Ale trudno! Wstąpił Aloszka do instytutu, postanowił się szkolić na agronoma, ciągnęło go do ziemi. Mieszka w Moskwie, w internacie, a żona po nocach spać nie może, pewnie, powiada, chłopak głoduje. Posłałem mu trzydzieści rubli, a on mi je z powrotem, taki ideowy... W porządku, skoroś taki ideowy, to siedź głodny! A matkę mimo to serce boli, posłała mu przez ziomków kawał słoniny, domowego placeka, zabroniła mówić, że to od niej. Ziomkowie przyszli do internatu, Aloszki nie zastali, zostawili wałówkę na szafce nocnej, u nich tam przy każdym łóżku stoi szafka nocna, a mieszkali we czterech. Przychodzi Aloszka, zauważył paczkę - kto przyniósł, pyta. Ziomkowie twoi przynieśli, mówią mu. Nie, powiada, to paczka od rodziców, odeślę z powrotem. A oni do niego: po co odsyłać, podjemy sobie kułackiej słoniny - młodzi, zdrowi, wygłodniali. Spałaszowali i słoninę i placek. A potem jeden z nich, co sam ten placek pałaszował, napisał do komórki partyjnej, jakoby mój Aleksy dostawał paczki od rodziców i znaczy się, skłamał, że z nimi zerwał. Wyrzucili Aloszkę z Komsomołu, z instytutu, znowu pracuje w fabryce. Swoich się wyrzekł, a ci, co się do nich przyłączył, wyrzekli się jego...

- Sto razy to słyszeliśmy - przerwał mu Michaił Michajłowicz - niech pan patrzy w karty.

- Dlaczego nie miałbym opowiedzieć młodemu człowiekowi? - zaproponował łagodnie Piotr Kuźmicz. - Dla niego to też może być interesujące. Pańscy rodzice żyją?

- Żyją - odpowiedział Sasza.

- Nie ruszyli ich?

- Za co mieliby ich ruszać?

- Jak zechcą, to znajdą powód. Zresztą i tak nie jest im słodko - syn na zesłaniu! Już lepiej samemu męczyć się na Syberii.

- Niepotrzebnie pan swoich dzieci żałuje - odezwał się Michaił Michajłowicz z wyrzutem. - Posłaliście synowi paczkę i zrobiliście mu krzywdę. Nie umarłby bez waszej paczki, inni studenci jakoś bez tego żyją. I słusznie robią, że się nas wyrzekają, my jesteśmy ludzie skończeni. "Rewolucja to lokomotywa historii", dostał się pan pod jej koła, to niech pan siedzi cicho.

- Czyli że syn nie jest synem, a ojciec - ojcem.

- Właśnie tak - ze wzrastającym rozdrażnieniem ciągnął Michaił Michajłowicz. - "Czcij ojca swego i matkę swoją" - tak przykazał Pan Bóg, a Pan Bóg teraz nikomu nie jest potrzebny. Ich religia to równość. I tak będzie wszędzie, zrobią wszechświatową rewolucję i wszystkich zrównają.

- Też pan wyskoczył z tą wszechświatową rewolucją - wtrącił się do rozmowy Wsiewołod Siergiejewicz. - Bolszewicy sami się jej wyrzekli. Państwo - oto co jest religią Rosjanina. Rosjanin Boga czczy w państwie. I okazuje mu posłuszeństwo. I nie chce żadnej wolności. Wolność przekształciłaby się w powszechną rzeź, a lud domaga się porządku. Jeśli miałbym wybierać, wybrałbym nie Stiepana Razina, nie Jemieliana Pugaczowa, tylko Lenina, a nawet Stalina.

- Dlatego właśnie tu jesteśmy.

- Tak. A przy Razinie czy Pugaczowie wisielibyśmy na suchej gałęzi. Bolszewicy uratowali Rosję, zachowali ją jako wielkie mocarstwo. Przy tak zwanej wolności Rosja rozpadłaby się na części. Nowy samowładca umacnia Rosję, cześć mu za to i chwała, a poza tym niech się dzieje wola boska!

- Państwo powinno bronić obywateli, a wasze państwo z nimi wojuje - powiedział Michaił Michajłowicz - ze mną, z panem, z Piotrem Kuźmichem, wojuje z chłopem, na którym państwo się trzyma, nawet, proszę - kiwnął na Saszę - nawet ze swoimi wojuje. Jestem Rosjaninem i również jestem za Rosją, ale nie za taką.

- Innej nie będzie - roześmiał się Wsiewołod Siergiejewicz.

Wizyta u Michaiła Michajłowicza nie oderwała Saszy od ponurych myśli, nie złagodziła dławiącej go rozpacz. Wszystkie te smienowiechowskie i antysmienowiechowskie wywody były mu znane i nie interesowały go. Ludzka wydała mu się tylko historia Piotra Kuźmicha. Czy naprawdę nie można było zlikwidować NEP-u bez takiego przeginania pały? Złamać życie chłopakowi tylko dlatego, że za namową kolegów zjadł razem z nimi przysłany przez matkę kawałek słoniny! To straszne!...

Do rozpacz dołączył się niepokój o matkę - dotąd nie otrzymał z domu ani jednego listu.

W środy zesłańcy zbierali się nad Angarą i czekali na łódź pocztową - najważniejsze wydarzenie w ich monotonnym życiu. Kobiety płukały bieliznę w rzece, dzieci kąpały się, wychodziły z wody dygocąc z zimna, a zesłańcy snuli się po brzegu i wpatrywali się w zamgloną dal rzeki. Wreszcie w oddali ukazywał się malutki punkcik, podniecenie wzrastało: poczta czy nie poczta? Listonosz w brezentowym płaszczu z odrzuconym na plecy kapturem ciskał na brzeg worek z tekturową tabliczką "Mozgowa", rozdawał pocztę, przyjmował listy do wysłania.

Sasza też wychodził na brzeg i razem z innymi czekał na pocztę, ale listy dostawał tylko od Sołowiejczyka. "Napoleon na zesłaniu" - dosłownie tak było napisane na kopercie. Sołowiejczyk, biedaczysko, wciąż jeszcze żartował, znowu był pełen optymizmu, rozpoczął starania o przeniesienie go do Fridy albo Fridy do niego. Z Moskwy od matki Sasza nic jeszcze nie dostał. Z Kańska depeszował do niej w maju i jednocześnie wysłał pierwszy list. Załóżmy, że do Kańska odpowiedź szła tydzień, że do Kańska przyszła w dniu, kiedy poczta do Boguczanów już odeszła, czyli że w Kańsku przeleżała się jeszcze tydzień. Potem tydzień leżała w Boguczanach, czekając, aż ją preadresują na Kieżmę. W sumie trzy tygodnie, a on tu jest już ponad miesiąc.

Wsiewołod Siergiejewicz uspokajał go:

- Na pierwszy list zawsze czeka się długo. Pan liczy po swojemu a resort po swojemu. Bywa, że list z Moskwy idzie trzy tygodnie, a czasem trzy miesiące, dlaczego, nie wiadomo. Wrzucili przez pomyłkę do innego worka, zepsuła się furmanka, zdali pocztę w radzie wiejskiej, połowę zgubili. Listonoszowi worek wpadnie do Angary - całe życie będzie pan czekał. I nasz drogi towarzysz Ałfierow umiera z nudów, dlatego z przyjemnością czyta nasze listy, a jeśli któryś szczególnie mu się spodoba, powiedzmy, ze względu na walory literackie, będzie go trzymał u siebie z miesiąc, a może w ogóle zatrzyma. Pańska rachuba czasu jest niedokładna, pańską depeszę mogli przekreślić, pański pierwszy list mógł w ogóle z jakiegoś powodu nie dotrzeć do pańskiej matki, pańska matka mogła otrzymać dopiero drugi list i odpowiedź nadejdzie za jakiś miesiąc-półtora. Niech się pan uzbroi w cierpliwość, mój drogi.

Wsiewołod Siergiejewicz miał rację, a mimo to, widząc, że inni dostają listy, gazety i paczki, a on nie, Sasza denerwował się. Za każdym razem wysyłał do matki dwa, a nawet trzy listy, pisał, że urządził się bardzo dobrze, że ma wspaniałe mieszkanie i ludzie dookoła też są wspaniali, żeby mu nic nie przysyłała, bo niczego mu nie brakuje.

Smutny wracał znad rzeki do domu, szedł wiejską ulicą, ludzie kłaniali mu się, jakby się nic nie stało, jakby to nie jego oskarżono o szkodnictwo i wzywano do Kieżmy. Rozumiał,



że dla wsi rzeczywiście nic nie znaczy, on nikogo tu nie obchodzi, jak przyjechał, tak i wyjedzie, takich jak on widziano tu setki. Przyzwyczajono się do umarłych, do zabitych i zaginionych, nawet dzieci specprzesiedleńców nie przygarnięto.

I przewodniczący kołchozu, Iwan Parfienowicz, też nie zwracał na niego uwagi, patrzył na niego obojętnie, zawiadomił, kogo trzeba, i dobrze, niech się oni tym zajmą, on ma swoich kłopotów po uszy.

Kilka razy spotykał Zidę, patrzyła na niego pytająco, kiwał jej głową na powitanie, lecz nie zatrzymywał się, wieczorami widział światło w jej oknie, ale nie zachodził do niej. Żał mu jej było, nie mógł się jednak zmusić, nie miał teraz do niej głowy, nie miał głowy do nikogo i do niczego.

Widywał się tylko z Fiedią, zaglądał do sklepiku to po to, to po tamto. Fiedia odnosił się do niego przyjaźnie jak dawniej, a któregoś dnia poprosił go, żeby mu naprawił rower.

- Wykluczone - odpowiedział Sasza - nic wam już więcej nie będę naprawiał, sami sobie naprawiajcie!

- To z powodu wirówki? - domyślił się Fiedia.

- A choćby z tego powodu!

- Może się jeszcze wszystko dobrze skończy - zauważył niepewnie Fiedia.

Sasza drgnął. A więc we wsi rozumieją, że sprawa wcale nie jest zakończona. Może wszystko się dobrze skończy... A może i nie... Wiadomo, jeśli kogoś wrabiają w szkodnictwo, to już się z tego nie wykręci...

- Myślę, że wszystko skończy się dobrze - zaczął Fiedia nieco pewniejszym tonem. - Wirówka pracuje, zawieźli ją do SMT, a tam powiedzieli, że gwint się przytępił, czyli że wyszło na twoje. I w ogóle to niezły chłop!

- Kto?

- Iwan Parfienowicz, nasz przewodniczący. To przyzwoity chłop, gospodarz, też musisz go zrozumieć. Popielice uciekły, krowy padły, chłopci wyjeżdżają na budowy, radź sobie, człowieku, z samymi babami. A baby z powodu wirówki oczy ci wydrapią, żądają. No, powiedział ci kilka słów, a ty, zamiast zmilczeć, unosisz się honorem.

- Dobra - przerwał mu Sasza - dawaj papierosy, zapalki, nalej nafty, muszę iść.

- Och, Sasza, bądź człowiekiem, łańcuch mi spadł, nie umiem go założyć, potem wypijemy po kielichu, znajdzie się wędzony charius, już ja to ci chyba nic złego nie zrobiłem, co? Ja tawet przewodniczącemu powiedziałem: niepotrzebnieście to zrobili, powiedziałem mu, chłopak miastowy, z Moskwy, chciał dobrze, powiedział babom, a one jak te nogi stołowe! Wszystko będzie dobrze, zobaczysz!

- Dobra - zgodził się Sasza. - Dawaj ten swój rower!

Wyszli przed sklep na podwórko, Fiedia wyprowadził z chałupy rower. Rozbierając go, przeglądając piastę, kółko zębate, ogniwa łańcucha, nakrętki, Sasza przypomniał sobie rower, który miał w dzieciństwie, starą damkę, złożoną z części różnych marek. Wspaniale wtedy jeździł, stawał na siodle, siadał plecami do kierownicy, zeskakiwał do tyłu, puszczając rower pod sobą. Maksym Kostin biegał za nim po podwórku i po ulicy, Sasza pozwalał mu się przejechać, a czasem go woził, Maks siadał na siodełku, a on, stojąc, kręcił pedałami - damskie rowery nie mają poziomej ramy.

Rower przypomniał mu letnisko nad Kłazmą. Wielu chłopców i wiele dziewczynek miało rowery i to nie składane z części, jak jego rower, tylko "Luxy" i "Einfieldy". Były to rowery drogie, ale ludzie tam mieszkali zamożni - "spece", lekarze, adwokaci. Młodzież jeździła na rowerach kąpać się nad Kłazmę, albo nad szerszą od niej Uczę. Ścieżka wiodła wzdłuż linii kolejowej, skręcała do parowu, potem znów biegła równoległe do szyn, żwir bryzgał spod kół, wiatr bił w twarz.

Pod wieczór letnicy zbierali się na peronie, przechadzali się, czekali na moskiewski pociąg, zadbane kobiety w lekkich wydekoltowanych sukienkach wychodziły po mężów, solidnych mężczyzn w czesuczkowych ubraniach, z ciężkimi teczkami.

On zjawiał się na peronie prowadząc rower, czarnowłosa, obnażony do pasa, szeroki w ramionach, pokryty równą młodzieńczą opalenizną. Kobiety oglądały się za nim, uśmiechały, pytały: "Czyj jest ten czekoladowy chłopiec?" Sprawiało mu to przyjemność, odczuwał jakąś błogość, ale i niepokój. Raziło go tylko słowo "chłopiec".

Wieczorami bawili się w chowanego na skraju lasu, jedna dziewczynka, teraz już nie pamiętał jej imienia, chudziutka, wysoka, długonoga, kryła się razem z nim i niby to nieumyślnie przyciskała się do niego. Czuł jej suche, gorące ciało, miał ochotę mocniej się do niej przytulić, ale brakło mu śmiałości, mówił gburowato: nie wierć się, mało ci miejsca?

Pragnienie obudziło się w nim wcześniej, ale tłumił je - to słabość, niegodna mężczyzny, tak myślał wtedy, mając trzynaście lat. Chłopcy z podwórka opowiadali cynicznie o dziewczynach, łgali, przechwalali się, te rozmowy wydawały mu się wstrętne, nie uznawał zabaw w fanty z pocałunkami, uważał, że są trywialne, drobnomieszczańskie, człowiek powinien mieć inne, wznioślejsze zainteresowania. Był chłopcem dumnym, nie chciał uchodzić za słabego, tchórzliwego. W szkole i na podwórku miał opinię silnego, odważnego, nikt nie wiedział, ile go to kosztuje, jak musi z sobą walczyć.

Odrzącił tamtą długonogą dziewczynkę i dziewczynka przykleiła się do Jaszy Raszkowskiego, dotąd pamięta jego imię, smukły chłopak ze znakomitej moskiewskiej

rodziny baletmistrzów. On również uczył się w szkole baletowej Teatru Wielkiego, był starszy od Saszy o rok albo dwa, miał wyścigowego "Luxa", czym wyróżniał się w ich rowerowej paczce, i kiedyś zaproponował, żeby pojechali kąpać się nie nad Ucę, lecz nad Kłaźmę, znalazł tam takie miejsce, z którego można było skakać do wody.

Przyjechali nad Kłaźmę, zeszli z rowerów, rozebrali się, chłopcy zostali w kąpielówkach, dziewczynki w kostiumach kąpielowych, ale skoczył tylko Jaszka - urwisko było rzeczywiście dogodne, strome, zwisało nad wodą, ale bardzo wysokie, jakieś dwanaście metrów, dziewczynki nawet bały się tam stać, patrzyły na rzekę, leżąc na skraju urwiska. Chłopcy też nie mieli odwagi skakać, było za wysoko. Jaszka skoczył, wyprężony jak struna, poszedł pod wodę, potem wynurzył się, zamazyście, po kozacku podpłynął do brzegu w miejscu, gdzie brzeg był łagodny i ukośną ścieżką wspinał się na urwisko.

Dziewczynki patrzyły na niego z zachwytem i ta długonoga też patrzyła z zachwytem. Jaszka Raszkowski był chłopcem dobrze wychowanym, nie chwalił się swoim skokiem, nie zadzierał nosa, nikogo nie namawiał do skoku, położył się na piasku i wystawił plecy na słońce.

Sasza skakał do wody ze słupków, z łódki, ale z wieży albo z wysokiego urwiska nigdy. Ale przecież Jaszka skoczył, dlaczego on również nie mógłby skoczyć? Trzeba skoczyć, trzeba przezwyciężyć strach, myślał. Pływa dobrze, dobrze nurkuje, najważniejsze - trzymać się prosto, wyprężyć ciało, nie upaść na brzuch albo na plecy, wejść w wodę końcami palców. Odezwał się w nim nie duch współzawodnictwa, lecz chęć przezwyciężenia własnego lęku. Jeśli nie skoczy, będzie go to dręczyć i wcześniej czy później wróci tu i skoczy. To już lepiej zdecydować się zaraz.

Wstał, przeciągnął się.

- Trzeba się trochę opłukać... - powiedział.

Stanął na skraju urwiska i skoczył, wszedł głęboko w wodę, zrobił kilka szybkich ruchów, żeby się wynurzyć, wypłynął na powierzchnię i położył się na wznak, żeby wypocząć. Z góry, z urwiska, patrzyli na niego. Jaszka też patrzył i długonoga też...

Te dziecięce wspomnienia jeszcze bardziej rozjątrzyły mu duszę: po cóż hartował wolę, po co wyrabiał charakter?

Ktoś zawołał do niego. Od razu poznał głos Zidy, obejrzał się i zobaczył ją na ganku.

- Byłam u matki Fiedi, przyniosłam jej lekarstwo.

Wiedział, że przywozi lekarstwa z Kieżmy, próbuje leczyć ludzi ze wsi, pomaga im, jak może, wiedział również, że uczniowie opuszczają zajęcia albo w ogóle rzucają szkołę, że w szkole brak podręczników, zeszytów, nawet ołówków. Zida próbowała coś zdobyć w

Kieżmie, a kiedy jej się nie udawało, obchodziła się bez tego, odwiedzała rodziców, przekonywała ich, że powinni przysyłać dziecko do szkoły, czasami odnosiło to skutek, czasami nie. Jest dzielna, uparta, znosi wszystko z pokorą, ale po co jej to, po co męczy się dobrowolnie w tej dziurze?

- Dlaczego nie przychodzisz? - zapytała cicho.

- Nie mam nastroju.

- Przyjdź, Saszku, stęskniłam się...

- Jak zobaczą, będziesz miała kłopoty. Sądziś, że nikt się nie domyśla, dla kogo wypalasz naftę po nocach?

- Nie będę zapalać światła. Przyjdź, jak się ściemni. Nasmażę ryb i oładków.

Jej obecność, brzmienie jej głosu, zapach jej tanich perfum działały na niego podniecająco.

- Wypijemy sobie z Fiedią, jakże ja przyjdę po pijanemu?...

- Nic nie szkodzi.

- Nie myśl już o tej głupiej historii, nie dręcz się - mówiła Zida. - Ałfierow był w SMT, powiedział, żeby zreperowali wirówkę, zrobili to od ręki. On sam nie życzy sobie żadnej rozróby.

- Skąd wiesz?

- Opowiadał mi dyrektor SMT, przyjaźnię się z jego żoną.

Pewnie wymyśliła to wszystko, żeby go pocieszyć. Ałfierow może i przychodził do SMT, może interesował się wirówką, ale jeśli chodzi o naprawę, to na pewno sama prosiła, żeby się pośpieszyli.

- Skończy się ta historia, to wymyślą inną. Znajdą coś - powiedział.

- To, co się z tobą stało, jest czystym przypadkiem, tu nigdy nic takiego się nie zdarzyło.

- Posłuchaj - odezwał się nagle Sasza - a ten twój znajomy dyrektor nie mógłby mnie przyjąć do pracy w SMT? Pewnie potrzebuje ludzi.

Podniosła się na łokciu i spojrzała mu w oczy, jej twarz znajdowała się bardzo blisko, w świetle księżyca, wpadającym przez małe okienko, wydawała się nienaturalnie biała.

- Chcesz się przenieść do Kieżmy?

- Kochana moja - powiedział - przecież muszę coś zrobić, z czegoś żyć.

Opadła znowu na poduszkę, długo milczała. Nie chce, żeby się przenosił do Kieżmy, boi się, że go straci. Głupiutka, i tak go straci. Nawet jeśli szczęśliwie odsiedzi wyrok, to i tam, na wolności, nie będzie miał prawa wiązać się z kimkolwiek. Już wiecznie będzie nad nim ciążył karalność, na zawsze pozostanie w polu widzenia Diaków, czy wobec tego może

brać na siebie odpowiedzialność za losy drugiego człowieka, skazać Zidę na nieustanną tułaczkę i poniewierkę? Będzie musiał się zgubić, rozplynać, ukryć, nie zostawiając po sobie śladu, zerwać wszystkie więzi. Jest człowiekiem napiętowanym, skazanym na samotność. Nie wiedział, czy uda mu się uratować własne życie, ale życia dwóch osób na pewno nie uda mu się uratować.

- Żartowałem - powiedział. - Nie trzeba się za mną wstawiać. Tak czy owak, do pracy mnie nie wezmą. Poza tym w Kieżmie miałbym więcej okazji, żeby wpakować się w jakąś kabałę. Tam wszystko zwałaliby na mnie.

Zida w ciemnościach wyciągnęła rękę, dotknęła jego głowy i pogłaskała go.

- Nie martw się, jesteś jeszcze młody, wszystko przed tobą. Ile ci jeszcze zostało? Dwa lata?

- Dwa lata i cztery miesiące - sprostował.

- Przeleczę, ani się obejrzysz. Wyjdiesz na wolność i wyjedziesz stąd.

- Dokąd? - zapytał. - Do Moskwy mnie nie wpuszczą. Czyli nowa tułaczka, w dodatku z pięćdziesiątym ósmym artykułem na karku.

- Może powinieneś gdzieś wyjechać, na przykład do nas, do obwodu tomskiego?...

W jej słowach wyczuł jakieś niedopowiedzenie.

- A co mi to da?

- Tam cię nie znają... - odparła i znowu wyczuł, że czegoś nie dopowiedziała. Nie ma odwagi powiedzieć od razu, o co jej chodzi.

- Zrozum, w dowodzie będzie moje nazwisko i adnotacje o karalności. Robi się to tak: w dowodzie w rubryce "Na podstawie jakich dokumentów wydano dowód osobisty?" pisze się: "Na podstawie artykułu II ustawy RKL ZSRR z dnia takiego a takiego...", a ta ustawa dotyczy zasad ewidencji ludności i wynikających z nich ograniczeń.

W ten sposób dokądkolwiek bym pojechał, do Tomska czy do Omska, będzie wiadomo, że jestem karany, rozumiesz?

- Jasne, ale dowód można zgubić.

Roześmiał się.

- Gdyby to było takie proste, wszyscy skazańcy dawno już pozbyliby się swoich dowodów osobistych i swoich karalności. Ale jak dotąd nikomu się to chyba nie udało. Przy wydawaniu nowego dowodu osobistego zasięgają informacji, gdzie trzeba, i wszystko wychodzi na jaw.

- Mam tam znajomych, oni wszystko mogą zrobić.

- Nie chcę żyć z nielegalnym, podrobionym dowodem.

- Wszystko będzie zgodne z prawem, tylko trzeba zmienić nazwisko.

- Jak to? ciekawe!

Zida znowu wsparła się na łokciu, pochyliła się nad nim.

- Jeśli po odbyciu wyroku wyjedziemy stąd i pobierzemy się, to całkiem legalnie możesz przybrać moje nazwisko i wtedy wydadzą ci nowy dowód. A w rubryce, o której mówisz, będzie napisane: "Wydany na podstawie świadectwa ślubu". I będziesz już nie Pankratowem, tylko Ischakowem, też nieźle.

- Czyli że zostanę muzułmaninem - roześmiał się Sasza. - A nie będę się musiał poddać obrzezaniu?

- Ja mówię poważnie. Mam tam pewnych ludzi.

- Teraz to wymyśliłaś?

- Całe życie przeżyłam na Syberii i wiem, że tak się robi. Ja ci się nie narzucam, po prostu zastanawiam się, jak najlepiej wybrnąć z tej sytuacji. Potem, jeśli zechcesz, możemy się rozejść. Zostaniesz Ischakowem, ale z czystym dowodem. Zrobisz mi tałak.

- Co znaczy tałak?

- Po tatarsku - rozwód. Kiedy mąż wypędza żonę, wypowiada trzykrotnie słowo tałak.

Biedna Zida, myśli, że czeka ją szczęście, ale szczęścia nie zazna ani on, ani ona. Proponuje mu wariant życia na gapę, pod cudzym nazwiskiem, z cudzym dowodem osobistym. I jeśli gdzieś kiedyś spotka znajomego, będzie musiał tłumaczyć, że nie jest już Pankratowem, tylko Ischakowem, bo, rozumiecie państwo, wyszedłem za mąż. I jeśli Diakowowie kiedyś go mimo wszystko dopadną, będą tryumfować: próbował się ukryć za plecami żony, powiedzą ze złośliwą satysfakcją, nie, bratku, przed nami nie ukryjesz się za niczymi plecami. I nie bez powodu posługujesz się fałszywym dowodem, uczciwy człowiek radziecki nie potrzebuje fałszywego dowodu, uczciwy człowiek radziecki nie zmienia nazwiska.

Ale nie chciał tego tłumaczyć Zidzie. Po co ją obrażać?

- Zrozum - powiedział - kiedy się angażujesz do pracy, musisz wypełniać ankietę, pisać życiorys, gdzie się urodziłaś, gdzie się uczyłaś, kim są twoi rodzice i kim są rodzice rodziców. Ukryć Pankratowa nie ma sposobu. Zaczną zasięgać informacji i wszystko wyjdzie na jaw.

Zida nalegała:

- Wyjedziemy gdzieś w odległe okolice, popracujesz jako kierowca albo mechanik, oni nie muszą pisać ankiet i nikt nie będzie o tobie zasięgał informacji.

- Daj spokój - powiedział Sasza - nasza rozmowa staje się bezsensowna. Z tym

nazwiskiem się urodziłem i z nim umrę. Nic nie będę zmieniał.

Inspektor podatkowy oskarżył Kostię o zatajenie dochodów i wymierzył mu ogromny podatek, niezapłacenie podatku groziło więzieniem. Na razie zaś dokonano opisu majątku Kosti w miejscu zamieszkania, w Sokolnikach, chociaż majątek, jak twierdził Kostia, należał do jego byłej żony, Kławdii Łukianowny. W ten sposób Waria dowiedziała się, że Kostia nie jest rozwiedziony.

Gdyby jej powiedział, że jest żonaty i nie zdążył przeprowadzić formalności rozwodowych, nie przywiązywałaby do tego wagi. Ale on to przed nią ukrywał, właśnie dlatego nie pokazywał jej dowodu osobistego, tego rodzaju wybiegi są upokarzające. Był to pierwszy sygnał z drugiego, nie znanego jej życia Kosti.

- Lalušku - przekonywał ją Kostia - nie mogłem inaczej postąpić. Z Kławdią Łukianowną ożeniłem się tylko po to, żeby się zameldować w Moskwie, zresztą, za duże pieniądze. Nie mówiłem ci o tym, bo bałem się, że nie zrozumiesz. Ale takich transakcji są tysiące, w przeciwnym wypadku ludzie nie mogliby się zameldować w Moskwie. Żeby się wymeldować od Kławdii, muszę się gdzieś zameldować. Ale gdzie? U kogo? Kto mnie zamelduje? Sofia Aleksandrowna? Kto jej pozwoli? Zameldować się u ciebie? Nina się nie zgodzi, nie uznaje mnie.

- Więc jakie jest wyjście? - zapytała Waria. - Kławdia Łukianowna jest twoją żoną oficjalną, a ja faktyczną.

Kostia odpowiedział z godnością:

- Instaluję skomplikowaną aparaturę elektryczną w pewnym instytucie naukowo-badawczym. Oni tam budują dom dla swoich pracowników, obiecali mi pokój.

Jak zawsze w jego ustach słowa: instytut, Akademia Nauk, skomplikowana aparatura, zabrzmiały bardzo przekonywająco... Ale Wari nie wydało się to wiarygodne.

- Jeśli chcą ci dać pokój, powinni cię wziąć na etat.

Rozciągając wargi i cedząc słowa, Kostia odpowiedział:

- Dobrze... Nie chciałem ci mówić, ale nie ma wyjścia... Ty myślisz, że zamówienia dają mi na piękne oczy? Nie, lalušku! Połowę oddaję temu, kto mi daje zamówienie. Żeby dostać swoją część, muszą mnie trzymać na kontrakcie, na dużym kontrakcie, ale duży on jest tylko na papierze - połowę oddaję im, a podatek płacę od całej sumy. To co zostaje dla mnie? Nic! Ani grosza! A przecież oboje musimy z czegoś żyć. Dlatego nie wpisałem do deklaracji dwóch drobnych kwot za pracę w jakichś szpitalach. "Fin" przyczepił się do tego. Uwierz mi! Już dawno rzuciłbym to wszystko w diabły! Nie zrobiłem tego tylko z powodu



instytutu, miałem nadzieję, że dostanę ten pokój. I dzięki Bogu, żeśmy się nie pobrali, bo przyszłoby do ciebie opisywać majątek.

- A Kławdia Łukianowna?

- Co Kławdia Łukianowna?

- Za co jej opisano majątek?

- O Kławdię Łukianownę się nie martw. Ona nie da sobie zrobić krzywdy, bywała już nie w takich opałach! Nie kłopotz się o nic i o nikogo, wszystko się ułoży, wszystko minie. Jeśli czegoś nie mówię do końca, to tylko dla twojego spokoju, twój spokój jest dla mnie najważniejszy.

Mówił długo, kiedy chciał kogoś o czymś przekonać, znajdował tysiące słów i setki argumentów.

Czy mu wierzyła? Raczej chciała mu wierzyć, w przeciwnym razie jak z nim żyć? Jednak z goryczą myślała o tym, że nie ma ludzi niezależnych, i Kostia też do nich nie należy, może nawet jest bardziej uzależniony niż inni. Lowoczka jest uzależniony od swego stanowiska, może mizernego, ale legalnego, od swojej pensji, może i nędznej, ale legalnej. Kostia jest uzależniony od setek okoliczności, niebezpieczeństwo grozi mu na każdym kroku. Dzisiaj jest bogaty, jutro stanie się najbiedniejszy ze wszystkich, dzisiaj znajduje się na wozie, jutro może się znaleźć pod wozem, na samym dnie.

Nie miała pojęcia, w jaki sposób udało się Kosti wykręcić z tej historii, ale widocznie się wykręcił. Przez dwa tygodnie prawie nie bywał w domu, nie bywał w restauracjach, w salach bilardowych, dwa tygodnie gorączkowej, nie znanej Wari działalności, nim jej wreszcie powiedział, że zapłacił podatek. Jednakże z artelem koniec. Jakie teraz miał plany, Waria nie wiedziała, Kostia nie wtajemniczał jej w swoje sprawy, a ona go nie pytała.

Powiedział jej tylko, że zaczął pracować w warsztacie naprawy maszyn do pisania, na maszynach do pisania się znał. Dał jej telefon warsztatu, ale jednocześnie uprzedził, że zastać go tam trudno: o dziesiątej rano wyjeżdża do różnych urzędów naprawiać maszyny, a czasami, kiedy dostaje zamówienie poprzedniego dnia, jedzie tam prosto z domu. Waria szybko domyśliła się, a potem i przekonała, że Kostia jest w warsztacie tylko figurantem, a pracę wykonują inni, oni też biorą za niego pensję. Kostia zyskiwał przez to oficjalne stanowisko specjalisty od naprawy maszyn do pisania. Jedyńm jego zajęciem i jedynym źródłem zarobków stał się teraz bilard, wyłącznie bilard.

I wówczas Waria zdecydowała się: Dość tego! Czas iść do pracy!

Lowoczka i Rina obiecali, że jej pomogą. Oboje pracowali w biurze projektowym hotelu "Moskwa", tam gdzie i Zoja. W ogóle to mogłaby dostać pracę bez czyjejkolwiek pomocy,

kreślarze byli potrzebni wszędzie, ogłoszenia wisiały na wszystkich tablicach. Ale Waria chciała pracować ze znajomymi. Od Riny i Lowoczki wiedziała, że hotel "Moskwa" jest największą i najważniejszą inwestycją w Moskwie, podlegającą bezpośrednio Moskiewskiej Radzie Narodowej, zarobki są tam wyższe i bardzo dobra stołówka. Nowy gmach zostanie połączony z "Grandhotelem" i wtedy będzie to jeden z największych hoteli w Europie. Do biura projektowego ściągnięto najlepszych architektów, plastyków, inżynierów i techników. Rina i Lowoczka szczególnie wychwalali swojego kierownika, o którym mówili po prostu Igor. Jest to młody, zdolny architekt, mówili, współautor projektu, dobry, życzliwy. I jeśli Waria dobrze się spisze, to Igor może ją awansować, tak jak awansował Lowoczkę, który już jest technikiem. I Rina też ma awansować. Biuro mieści się na czwartym piętrze "Grandhotelu" na Ochotnym Riadzie, od ich domu na Arbacie to zaledwie siedem przystanków i są aż dwa tramwaje: czwórka i siedemnastka. Tę okoliczność szczególnie podkreślała Zoja. Zoja pracowała w tym samym biurze, ale w innym dziale.

W wyznaczonym przez Lowoczkę dniu Waria przyjechała do "Grandhotelu".

Składy Ochotnego Riadu, cerkiewka i inne budowle między "Grandhotelem" a Maneżem zostały rozebrane, plac budowy otoczono parkanem. Waria weszła do hotelu od strony placu Woskriesieńskiego. Szwajcar w liberii odprowadził ją spojrzeniem, ale nie zapytał, dokąd idzie, windziarz, który zawiózł ją na czwarte piętro, też o nic nie pytał.

Waria wyszła z windy, zgodnie ze wskazówkami Lowoczki skrzyła w lewo i poszła długim korytarzem, odczytując numery pozostałe na drzwiach jeszcze z tych czasów, kiedy piętro należało do hotelu. Zauważywszy numer 526 otworzyła drzwi.

W takim samym pokoju mieszkała z Kostią w Jałcie w hotelu "Orianda" - wysokie sufity, wysokie, dość wąskie okna, tylko tutaj zamiast mebli hotelowych stały proste stoły biurowe, a na nich na przechylonych podpórkach - deski kreślarskie.

Pod oknem pracował Lowoczka. Na jej widok uśmiechnął się przyjaźnie, obnażając swój ukośny ząb, i odłożył grafion.

- Jesteś? Zuch z ciebie!

- A gdzie Rina?

- Wyszła. Niedługo wróci. Przyniosłaś dyplom?

Przebiegł oczami świadectwo ukończenia szkoły.

- W porządku! Idziemy!

Otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju.

- Igorze Władimirowiczu, czy można?

I nie czekając na odpowiedź wszedł, prowadząc za sobą Warię.

Usłyszawszy to imię Waria momentalnie wszystko zrozumiała. Jak to się stało, że się od razu nie domyśliła? Do głowy jej nie przyszło, że to ten sam Igor Władimirowicz, z którym Wika poznała ją w "Nationalu". Gdyby się w porę zorientowała, w ogóle by tu nie przyszła. Teraz było już za późno. Igor Władimirowicz od razu ją poznał, uniósł ze zdumieniem brwi i wstał zza stołu, uśmiechnięty przyjaźnie, zaskoczony, a nawet trochę zmieszany.

- To jest właśnie ta dziewczyna - zaczął Lowoczka - o której panu mówiłem, jednym słowem obywatelka Iwanowa, przyniosła świadectwo. Wariu, pokaż świadectwo.

Waria znowu wyjęła z torebki świadectwo ukończenia szkoły i położyła je na stole.

- Bardzo proszę - powiedział Igor Władimirowicz, wskazując Wari krzesło, i sam usiadł na swoim miejscu.

- To ja już pójdę - oświadczył Lowoczka.

- Tak, tak, proszę, dziękuję panu...

Lowoczka wyszedł.

Igor Władimirowicz przeczytał świadectwo.

- Pracowała pani gdzieś? - zapytał.

- Nie.

- Tak, tak, jasne, to świadectwo liczy sobie zaledwie trzy miesiące - zauważył z uśmiechem. - Cóż za nieoczekiwane spotkanie. Lowa mówił mi o pani, bardzo panią polecał, ale nie przypuszczałem, że to pani.

- Ja też nie spodziewałam się tu pana spotkać.

Skrepowanie, wywołane zaskoczeniem, minęło, ale zrobiło jej się czemuś smutno. Igora Władimirowicza widziała tylko raz przed trzema albo czterema miesiącami, ale miała wrażenie, jakby od tamtego czasu minęła cała wieczność... Przechadzka w Ogrodzie Aleksandrowskim, rozmowa o Bove, ucieczka przed dozorcą, rozerwana pończocha - jak dawno to wszystko się działo!

- Zmieniła się pani trochę - odezwał się Igor Władimirowicz - a właściwie wydoroślała pani.

- Wysłałam za mąż - oświadczyła Waria, uważając, że w ten sposób wnosi jasność do ich stosunków.

- Ta wiadomość też do mnie dotarła - powiedział z uśmiechem.

"Dowiedział się od Wiki" - pomyślała Waria.

- No cóż, przystąpmy do rzeczy - powiedział Igor Władimirowicz przechodząc na

oficjalny ton. - Stażu pracy pani nie ma, wobec czego musi pani zacząć jako kopistka.

- Wiem.

- Lubi pani kreślić?

- Lubię.

- Wspaniale. Są dwie możliwości: albo będzie pani pracować w pracowni ogólnej, albo w mojej grupie, z Lowoczką i Riną. Co pani bardziej odpowiada?

Wolałaby pracować nie w ogólnej, gdzie nikogo oprócz Zoi nie znała, tylko tu, z Riną i Lowoczką. To jednak oznaczało, że będzie pracować pod bokiem i pod kierownictwem Igora Władimirowicza. Co prawda, nic jej z nim nie łączyło, posiedzieli godzinę w "Nationalu", przespacerowali się po Ogrodzie Aleksandrowskim, pogawędzili... Poza tym była już mężatką... Ale widziała, że nadal mu się podoba, czuła to, zauważyła jego zmieszanie i rozumiała, że pracując razem będą oboje skrepowani. Dlatego powiedziała:

- Nie wiem. Jest mi wszystko jedno.

- Niech pani zacznie u nas - zaproponował Igor Władimirowicz - w pierwszym okresie będzie pani łatwiej z przyjaciółmi, Riną i Lową. Potem rozejrzy się pani, oswoi i sama zdecyduje, gdzie pani woli. Zgoda?

Skinęła głową.

Podał jej papier i pióro i podyktował treść podania o przyjęcie do pracy. Potem przeczytał, przypiął do świadectwa ukończenia szkoły, wstał i trzymając papiery w ręce otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju, przepuścił przed sobą Warię. Rina już wróciła i teraz mrugnęła do Wari, dodając jej otuchy.

- Lowa - powiedział Igor Władimirowicz - ja na chwilę wychodzę, a ty tymczasem zapoznaj panią Warię z pracą.

Kiedy wyszedł, Rina roześmiała się:

- Widzisz, jaki zaszczyt cię spotkał, sam poszedł załatwiać.

- Boi się, że personalny coś napłacze - zauważył Lowoczka. - Wszystko będzie w porządku. Rina obejmie stanowisko technika, a ty będziesz pracować na jej miejscu pod moim światłym kierownictwem.

Przecież Rina widziała ją z Igorem Władimirowiczem w "Nationalu" - czy nie to chciała jej dać do zrozumienia?

- Proponował mi pracownię ogólną - powiedziała Waria, podważając w ten sposób aluzję Riny.

- Dziwne - zauważył Lowa. - Przecież ustaliliśmy, że będziesz pracowała z nami. Ja nawet Kostki obiecałem.

- Co obiecałeś Kosti? Że będziesz mnie pilnował?

- No co ty, Wariu! Jak można? Po prostu obiecałem mu, że będę ci na początku pomagał... Dobra! To jest twój stół, patrz: deska kreślarska, przykładnica. Przybory będziesz brać od magazyniera.

- Póki się nie postarasz o własne - wtrąciła Rina.

- To już później, kiedy zarobi dużo pieniędzy - zauważył Lowoczka roztropnie. - Te, które dostanie w biurze, są wystarczająco dobre.

Otworzył szafę, pokazał rysunki, gdzie co leży, skąd co brać. Rina wtrącała zabawne uwagi, jednym słowem, było przyjemnie, miło i wesoło.

Przy tym zajęciu zastał ich Igor Władimirowicz.

- No co, zapoznaje się pani? - zapytał.

- Tak.

- Poproszę panią na chwilę do siebie.

Weszli do gabinetu. Igor Władimirowicz usiadł, wskazał Wari krzesło i powiedział:

- Kierownictwo wyraziło zgodę, proszę, tu na podaniu, od jutra może pani przystąpić do pracy. Proszę, to pani świadectwo. A poza tym...

Wraz ze świadectwem ukończenia szkoły podał jej ogromną czterostronicową ankietę.

- Wypełni ją pani w domu na jutro, żeby oddać do działu kadr. To jest pani pierwsza praca, a z takimi ankietami jeszcze się pani nie stykała. Nic głupszego nie można było wymyślić - powiedział z ironicznym uśmiechem - ale takie są formalności, trzeba się podporządkować. Czy rodzice pani żyją?

- Nie.

- Ach, tak. Wobec tego proszę tylko wpisać datę ich śmierci, innych rubryk nie musi pani wypełniać. I jeszcze jedno pytanie... Tylko proszę mnie właściwie zrozumieć, pytam nie z pustej ciekawości. Czy pani małżeństwo jest zalegalizowane?

- Nie.

- Pytam o to dlatego, że w ankiecie jest dużo pytań dotyczących współmałżonka, jego krewnych, dziadków, babć, i wypełnić te wszystkie rubryki wcale nie będzie łatwo, trzeba dokądś tam pisać, wyjaśniać... Ale jeśli pani małżeństwo nie jest oficjalnie zarejestrowane i jeśli nie ma pani dzieci, to może pani w ogóle nie wspominać o małżeństwie i na te wszystkie pytania nie odpowiadać.

Waria milczała. Nie mogła się połapać, co kryje się za jego słowami. Prawdopodobnie mówi poważnie, myślała, bez dwuznaczności.

A mimo to wyczuwała w jego słowach coś obraźliwego. Pewnie Wika mu nagadała:

wyszła za męża za bilardzistę, ni to domokrażca, ni to prywaciarz, słowem, ciemny typ. Dlatego Igor Władimirowicz boi się, że to skomplikuje przyjęcie jej do pracy. No i gwizdać na to! Myślałby kto! Znajdzie sobie inną pracę, nie tak prestiżową, ale bez tych ankiet!

Jakby odgadując jej myśli Igor Władimirowicz powiedział:

- Postąpi pani, jak uzna za stosowne. Do pracy zostanie pani przyjęta niezależnie od okoliczności. Po prostu chciałem pani ułatwić wykonanie tego nieprzyjemnego obowiązku, czasochłonnego i nudnego.

- Zastanowię się - odpowiedziała Waria powściągliwie.

- Radzę pani z początku napisać odpowiedzi na brudno, wszystko dobrze sprawdzić, a potem wpisać do ankiety, żeby nie było błędów i poprawek i żeby nie trzeba było wypełniać po raz drugi.

- Dobrze, tak właśnie zrobię.

- Doskonale - Igor Władimirowicz wstał. - Czekamy na panią jutro. Zaczynamy o dziewiątej, kończymy o czwartej. Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona.

\* \* \*

Do domu wracała na piechotę - koło uniwersytetu, potem Wozdwiżenką i Arbatem.

Niesmak, jaki czuła po tej rozmowie, nie mógł jej zepsuć ogólnego radosnego nastroju, wywołanego zetknięciem z prawdziwym życiem. Lowoczka i Rina są wspaniali, myślała. Restauracje, ogród "Ermitaż" to dla nich sprawy drugorzędne, najważniejsza jest praca na wielkiej budowie w centrum Moskwy. Rysownice, linie, liniały, krzywki, grafiony, przykładnice, zapach tuszu i cieniutko zatemperowanych ołówków przypominały jej szkołę, lekcje kreślarstwa, których nigdy nie opuszczała. Wszystko to zapowiadało nowe interesujące życie.

Co do Igora Władimirowicza, to niepotrzebnie się spieszyła, w niczym wobec niego nie zawiniła, wręcz przeciwnie, postąpiła uczciwie, odmawiając pójścia z nim i Wiką do "Kanatiku", już wtedy wydał jej się człowiekiem poważnym, nie należącym do światka Wiki, nie mogła mu zawracać głowy. Poza tym wydawał jej się wtedy stary, chociaż jest pewnie rówieśnikiem Kostii.

Radzi jej nie wspominać o mężu. Nie chce, żeby sobie zepsuła ankietę. Wybitny architekt i nawet on się boi. Ale ona się nikogo nie boi. Kimkolwiek byłby Kostia, nie będzie się z nim kryć. Co ich obchodzi jej mąż, jego krewni, to przecież nie oni, lecz ona angażuje się do pracy, niech ją sprawdzają.

W domu usiadła przy stole, rozłożyła ankietę i przejrzała ją.

Okazało się, że ankietę ma nie cztery, lecz osiem stron. Pytania wprawiły ją najpierw w zdumienie, potem w rozdrażnienie, potem w przerażenie.

Tak jak jej radził Igor Władimirowicz, położyła obok ankiety czysty arkusz papieru i zaczęła zapisywać odpowiedzi na brudno.

1. "Nazwisko, imię, patronimicum. Przy zmianie (nazwiska, imienia) podać poprzednie imię, nazwisko". Tak, tu wszystko jasne: Iwanowa Warwara Siergiejewna. Nazwiska nie zmieniałam.

2. "Data i miejsce urodzenia". To też jasne: 5 IV 1917 r. Moskwa.

3. "Narodowość i obywatelstwo (w razie zmiany obywatelstwa podać poprzednie)". Też jasne: Rosjanka, obywatelka ZSRR.

4. "Stan albo pochodzenie społeczne przed rewolucją (chłopskie, mieszczańskie, kupieckie, szlacheckie, honorowi obywatele, duchowieństwo, stan wojskowy itd.)". Jej rodzice byli nauczycielami, jakież to będzie stan? Trzeba zapytać Niny. Ale jak czują się te nieszczęsne dzieci, których rodzice byli stanu duchownego - "popówna", albo stanu wojskowego - "oficerski synalek".

5. "Wykształcenie". W porządku: Szkoła średnia o kierunku kreślarsko-konstrukcyjnym.

6. "Znajomość języków obcych". Odpowiedź: Niemiecki - potrafię się porozumieć.

7. "Przynależność partyjna, staż": Bezpartyjna.

8. "Data wstąpienia do WPK(b)": Do WPK(b) nie należałam.

9. "Jeśli należała do WPK(b) lub WPK(b) dawniej, wskazać okres i przyczynę wystąpienia; czy należała do innych partii?" Odpowiedź: Ani do WPK(b), ani do WPK(b), ani do żadnych innych partii nie należałam.

10. "Czy w okresie przynależności do WPK(b) lub WPK(b) był karany (wskazać rodzaj kary, za co, gdzie, kiedy, przez kogo została wymierzona; w przypadku jeśli kara została zatarta, wskazać, przez kogo)". Odpowiedź: Ponieważ nigdzie nie należałam, to nie byłam karana, skoro nie byłam karana, to kary nie uległy zatartiu.

11. "Czy miał zastrzeżenia do linii WPK(b), czy uczestniczył w opozycji, czy był członkiem ugrupowań antypartyjnych (gdzie, kiedy, jakich)"? Tu odpowie tak: Ponieważ do WPK(b) nie należałam, to nie miałam zastrzeżeń do jej linii, nie uczestniczyłam w opozycji i nie byłam członkiem ugrupowań antypartyjnych.

12. "Czy obywatel lub ktoś z członków jego rodziny był pociągany do odpowiedzialności sądowej lub podlegał śledztwu, czy był aresztowany, karany sądownie i administracyjnie,

lub pozbawiony prawa wyborczego; czy w chwili obecnej jest objęty dochodzeniem sądowym lub śledztwem, czy odbywa karę więzienia?”

Nikt z jej rodziny nie siedział w więzieniu, nie był pociągany do odpowiedzialności sądowej ani nie podlegał śledztwu. Oprócz ciotki w Kozłowie nie miała żadnych krewnych, ale skąd wiadomo, czy kogoś z bliskich ciotki nie wsadzili lub nie pozbawili praw wyborczych? W ankiecie napisała oczywiście “nie”, ale czuła się tak, jakby coś ukrywała i jakby tam, w tym tajemniczym dziale kadr, mogli jej nagle wytknąć jakiegoś aresztowanego krewnego, o istnieniu którego nie miała pojęcia. Czyżby Sofia Aleksandrowna, angażując się do pracy, też wypełniała taką ankietę? I musiała napisać o Saszy?

13. “Czy przebywał za granicą, w jakim kraju, kiedy, czym się zajmował...” Nie byłam.

14. “Kto z członków rodziny obywatela lub jego żony (męża) przebywa obecnie lub przebywał w przeszłości za granicą (podać stopień pokrewieństwa, kraj). Czy obywatel utrzymuje z nim (lub utrzymywał w przeszłości) kontakty? Czy ktoś z krewnych był obywatelem innego państwa?”

W jej szkole uczyły się dzieci dawnej szlachty, wszyscy oni na pewno mieli krewnych za granicą. Za granicą żyli liczni potomkowie Puszkina i Tołstoja. Ciekawe, jak ci biedacy odpowiadają na to pytanie, przecież trzeba napisać “gdzie”, a kto wie “gdzie”, skoro wszyscy boją się korespondować.

15. “Czy obywatel lub ktoś z jego krewnych przebywał w niewoli lub był internowany podczas wojny imperialistycznej lub domowej?” No proszę, już doszli do wojny imperialistycznej!

16, 17, 18, 19, 20, 21. Służba w Armii Czerwonej, udział w partyzantce, działalność konspiracyjna, rany, kontuzje. Wszystko to - nie!

22. “Kto z członków rodziny (wymienionych w p. 27) należał do innych partii, pracował przed rewolucją w policji, żandarmerii, prokuraturze, sądownictwie, więziennictwie, służył w straży pogranicznej, w oddziałach eskortujących?”

Popatrzmy, kto jest wymieniony w p. 27 “Żona, mąż, dzieci, matka, ojciec, bracia, siostry. Mąż wymienia nie tylko członków własnej rodziny, ale i wszystkich członków rodziny żony, żona wymienia nie tylko członków własnej rodziny, ale i wszystkich członków rodziny męża...” O Boże! To znaczy, że musi napisać nie tylko o wszystkich członkach własnej rodziny, ale i o wszystkich członkach rodziny Kosti, czy ktoś z nich nie służył przed rewolucją w straży pogranicznej lub w oddziałach eskortujących? A czy sam Kostia to wie? Dlaczego człowiek musi odpowiadać za krewnych żony lub męża?

23. “Stan cywilny (żonaty, kawaler, wdowiec), wymienić członków rodziny, podać ich



wiek. Wdowcy, rozwiedzeni bądź powtórnie żonaci podają nazwisko, imię i patronimicum poprzedniej żony (męża)...” Co może obchodzić biuro projektów żona, która umarła dwadzieścia lat temu? I jaki to wszystko ma związek z projektem hotelu?

24. “Obecny adres”. W porządku.

25. “Podać wszystkie poprzednie adresy zamieszkania od dnia urodzin...” Jeśli chodzi o nią, to nie ma problemu, nigdy nie mieszkała gdzie indziej poza tym domem na Arbacie. Ale jeśli tę ankietę wypełnia człowiek starszy wiekiem, ile adresów musi pamiętać? I to od chwili urodzenia? A jeśli jego rodzice nie żyją, to skąd może znać adresy, pod którymi mieszkał w dzieciństwie?

26. To ten najbardziej podstępny punkt, przed którym ostrzegął ją Igor Władimirowicz: “Podać dane dotyczące najbliższych członków rodziny (żony, matki, ojca, braci, sióstr. Żona w swojej ankiecie podaje dane dotyczące męża i najbliższych członków rodziny). Nazwisko, imię, patronimicum, stopień pokrewieństwa, data i miejsce urodzenia, narodowość, przynależność do partii, miejsce pracy, adres zakładu pracy, zajmowane stanowisko, aktualny adres. Te same dane dotyczące członków rodziny żony, męża”. Czyli że musi wypisać wszystkie te dane nie tylko o Ninie i zmarłej matce i ojcu, ale i o rodzinie Kostia, a Kostia ma pięciu braci i dwie siostry, którzy są rozsiani po całym Związku Radzieckim, a ojciec i matka w dodatku rozkułaczeni.

Teraz zrozumiała, że Igor Władimirowicz, uprzedzając ją, kierował się najlepszymi intencjami. Ale ona nie pójdzie na to, nie będzie robiła takich uników, to nie dla niej.

No, dobra, co tu jeszcze jest?

“Rysopis: wzrost, włosy, oczy, znaki szczególne”.

Brakuje tylko odcisków palców. No nie, tego już za wiele! Do diabła! Toż to jest jakieś przesłuchanie, ona nie będzie odpowiadać na te poniżające pytania! Znajdzie sobie inną pracę, gdzie nie trzeba wypełniać takich ankiet. W skromnych, zwyczajnych biurach też są potrzebni kreślarze-kopiści. W ostateczności może w ogóle zrezygnować z pracy, zacznie się przygotowywać do egzaminów na wyższą uczelnię, w przyszłym roku złoży papiery na architekturę. Mogą jej nawet nie dawać stypendium, powie Kostia: “Nie kupuj mi drogich rzeczy, za te pieniądze będę się uczyć”. Etola ze srebrnych lisów, którą jej niedawno podarował, warta jest zapewne tyle, ile wynosi dwu- albo trzyletnie stypendium. Jeśli sprzeda swoje fatalaszki, starczy jej na kilka lat. Za to będzie studentką, będzie się uczyć, nie będą jej sprawdzać w tę i we w tę. A kiedy zostanie dyplomowanym architektem, nie ośmielą się podtykać jej pod nos takich ankiet.

Złożyła ankietę i rzuciła na stół - jutro pokaże ją Kostia, niech się pośmieje.

Przebrała się w szlafroczek i powiesiła sukienkę w szafie. Ale kiedy już zamykała drzwi szafy, wydało jej się, jakby w szafie czegoś brakowało... Tak, rzeczywiście! Brakowało etoli ze srebrnych lisów, którą niedawno podarował jej Kostia. Etola kosztuje majątek, poszło na nią sześć albo nawet osiem skórek i miała ją na sobie zaledwie raz, kiedy pojechała z Kostią na bulwar Staropimenowski.

Wyciągnęła z szafy suknie, palto, żakiet, wszystko przetrząsnęła, ale etoli nie było. Wszystko było, poza etolą. Pierwszą osobą, która przyszła jej na myśl, była sąsiadka Gala. Albo jej synalek Pietka, piętnastoletni ulicznik.

Sofia Aleksandrowna wróciła już z pracy. Waria zapukała do niej, weszła, i starannie zamknęła za sobą drzwi.

- Sofio Aleksandrowno, zginęła moja etola ze srebrnych lisów.

- Jak to zginęła?

- Dzisiaj rano wisiała w szafie, a teraz jej nie ma.

- Dobrze przeszukałaś?

- Przewróciłam wszystko do góry nogami. Ktoś ukradł.

- Ukradł? A któż mógł ukraść?

- Nie wiem. Może Gala albo jej synalek Pietka.

- Ale przecież oni nie mają klucza do twojego pokoju... Od tylu lat mieszkam z nimi i nigdy nic takiego się nie zdarzyło...

- Dawniej Pietka był mały, a teraz podrośł i zaczął kraść, co w tym dziwnego?

- Trzeba zawiadomić milicję - powiedziała Sofia Aleksandrowna.

Waria nie chciała jednak dzwonić na milicję bez Kostii. Dlaczego? Tego nie wiedziała, ale czuła, że najpierw trzeba powiedzieć Kostii, a dopiero później niepokoić milicję.

- Musimy poczekać na Kostię.

- Coś ty, Warieńka, Konstantin Fiodorowicz wróci późno. Milicji trzeba dać znać natychmiast. Potem cię zapytają, dlaczego ich od razu nie zawiadomiłaś.

- Skąd będą wiedzieć, kiedy otworzyłam szafę i zauważyłam brak etoli?

- Jutro trudniej im będzie szukać - zauważyła Sofia Aleksandrowna. - Szukać trzeba na gorąco, nie zwlekając. Rozumiem, że to nie należy do przyjemności, ale innego wyjścia nie ma. Ta etola kosztuje majątek. I jeśli to prawda, że ukradł ją Pietka, to tym bardziej nie należy z tym zwlekać, bo nadal będzie nas okradał. I wtedy w ogóle już nie można tu będzie wytrzymać.

- Zaraz poszukam Kostii i poradzę się go - oświadczyła Waria.

Przebrała się, narzuciła płaszcz i wyszła z domu.

Co powstrzymało ją od zatelefonowania na milicję, czego się bała, dlaczego pobiegła do Kosti? Może ze względu na inspektora podatkowego? Przecież opisał majątek Kosti. Na milicji mogą zapytać, skąd ma taką drogą etolę, będzie musiała powiedzieć, że dostała ją od Kosti, to znaczy... Co znaczy? Sama nie wiedziała, co to znaczy. Ale nie miała wątpliwości, że bez powiadomienia Kosti nie wolno jej zwracać się do milicji... Przecież nie wiedziała nawet, skąd tę etolę wziął. Przyniósł ją, rozpakował, powiedział:

- Przymierz!

Etola leżała jak ulał.

- To prezent ode mnie.

- Dziękuję. Ile kosztuje?

- Co za różnica? Kosztuje! Niemało!

Etola była nowa, pewnie od kogoś odkupiona albo uszyta przez jakiegoś pokątnego kuśnierza, a może ze sklepu dolarowego? W każdym razie nie od paskarza, gdyby była kradziona, Kostia nie pozwoliłby jej pójść w niej do KŁubu Artystów. A jednak nie powiedział jej, gdzie ją kupił. Wszystko, co dotyczyło Kosti, było związane z niebezpieczeństwem postawienia go w przykłej sytuacji.

Kostię znalazła w sali bilardowej w "Metropolu". Nie znosiła tych przybytków. Sami mężczyźni: trzeźwi, pijani, na rauszu, patrzą na nią z zaciekawieniem albo z kpiną, jak na dokuczliwą żonę, która przychodzi zabrać męża. Ciemno od dymu papierosowego, duszno, blade twarze, pijackie gęby.

Kostia nie zauważył jej, w ogóle nic nie widział poza bilami, łuzami i swoim kijem, obserwował uderzenia partnera, coś tam zapisywał na tabliczce i zaraz znowu wracał do stołu - napięty, skupiony, podniecony.

Waria nie zrozumiała, czyją wygraną skończyła się partia. Kostia powieedział coś do markiera, układającego nową piramidkę, zaczął nacierać kij kredą i dopiero w tym momencie obrzucił salę badawczym, niepewnym spojrzeniem i zobaczył stojącą pod drzwiami Warię. Nie zdziwił się jednak, tak jakby nawet spodziewał się ją tu zobaczyć, tylko jeszcze bardziej się nachmurzył i nie wypuszczając kija z rąk podszedł do niej.

- Wyjdźmy - powiedział.

Wyszli do korytarzyka, w którym stały dwie kanapki i fotel, i który prawdopodobnie służył za palarnię. Waria od razu się uspokoiła. Z twarzy Kosti wyczytała, że na milicję nie trzeba będzie dzwonić.

- O co chodzi? - zapytał Kostia, nie patrząc na nią.

- Zginęła etola.

- Jaka etola?

- Ze srebrnych lisów, którą mi podarowałeś.

Chwilę milczał, patrząc w bok, jakby nie rozumiał, o czym Waria mówi. A ona pomyślała, że ma przed sobą człowieka, którego absolutnie nie zna.

Wreszcie powiedział:

- Kupię ci inną, lepszą. Tak się złożyło... przegrałem, nie mogłem zdobyć pieniędzy i zapłaciłem etolą, w przeciwnym razie zabiliby mnie. Jedź do domu, ja też niedługo przyjadę.

Waria wróciła do domu.

- No co? - zapytała Sofia Aleksandrowna.

- Konstantin Fiodorowicz zawiózł etolę do kuśnierza, coś tam trzeba było poprawić. Jak to dobrze, że nie zadzwoniłyśmy na milicję.

Poszła do siebie, zdjęła płaszcz, zrzuciła pantofle, usiadła na kanapie i zamyśliła się.

A więc etolę przegrał. I skąd ją wziął, też nie wiadomo. Może wygrał od takiego samego gracza jak on, a tamten przegrał etolę własnej żony?

Nie żał jej było etoli, pal ją lichu! Ale dzisiaj etola, jutro palto, pojutrze pantofle. Pijak rzeczy swojej żony przepija, gracz - przegrywa. Wika, Noemi, Nina Szeriemietiewa to dziwki, ale one nie muszą się obawiać, że zobaczą swoje rzeczy na cudzych ramionach. Dzisiaj przegrywa jej fatalaszki, jutro może przegrać ją. Jakaż ona była głupia! Poleciała na jego niezależność. Teraz poznała cenę tej niezależności. Teraz jej los zależy od tego, jak potoczą się bile po stole bilardowym.

Takie życie jej nie odpowiada, nie chce być od niego uzależniona i nie chce prezentów, które on później przegrywa, przy jego pomocy nigdy nie ukończy żadnych studiów. Może liczyć tylko na siebie. Do licha z ankieta! Wszędzie są ankiety, wszędzie ta sama procedura, więc już lepiej przejść przez to wszystko tam, gdzie ma przyjaciół, niż w innym miejscu, gdzie będą ją otaczać obcy, nieznajomi ludzie. Igor Władimirowicz ma rację - o Kosti pisać nie będzie, wystarczy, że napisze o sobie. I po co w ogóle pisać o Kosti? Wszystko jest jasne, nigdy nie opuszczało jej poczucie tymczasowości, nietrwałości tego związku.

Napisanie o sobie przyjdzie jej łatwo. Na wszystkie podstępne pytania ma jedną odpowiedź: Nie! co się tyczy matki i ojca, to będzie musiała zapytać Ninę. Nina wszystko wie.

Ninka co prawda bojkotuje ją z powodu Kosti, nie przychodzi, nie dzwoni, kiedy spotyka ją na ulicy, kiwa oziębłą głową, nie zatrzymuje się. Jej sprawa! ale informacji o tacie i mamie musi jej udzielić, to są nie tylko jej rodzice. Ale czy jest teraz w domu?

Waria wykręciła numer. Nina była w domu.

- Tu Waria. Zaraz do ciebie przyjdę, mam sprawę.

- Skoro masz sprawę, to przyjdź - odpowiedziała Nina oschle.

Niepotrzebnie dzwoniła, wyglądało tak, jakby prosiła o pozwolenie. Trzeba było pójść bez uprzedzenia.

Gdyby Waria wyszła za mąż nieszczęśliwie, Nina współczułaby siostrze, starałaby się jej pomóc, pocieszyć ją. Ale to, co się stało, to nie był po prostu pech, to była zdrada - Waria zdradziła wszystko, co czyste, bezinteresowne, w czym obie wzrastały i wychowywały się, póki żyli rodzice.

Któregoś dnia Jura Szarok, spotkawszy Ninę na podwórku, powiedział:

- Twoja Waria związała się ze złodziejem.

Nina nie lubiła Szaroka. Jednakże Lena Budiagina znowu była z nim i ze względu na Lenę Nina nie chciała się z Jurą kłócić. Ale i wysłuchiwać jego uwag też nie miała ochoty.

- Dlaczegoż to złodziej jest na wolności? - zapytała.

- Na wszystko przyjdzie czas - odparował Szarok.

Czy Jura mówił serio, trudno powiedzieć, nie ulegało wszakże wątpliwości, że ten tak zwany mąż Wari to człowiek podejrzany, człowiek z innego świata, budzącego w Ninie głęboką odrazę, świata restauracji, graczy, spekulantów i kanciarzy. Waria znalazła się po przeciwnej stronie barykady. I nieprzypadkowo właśnie Sofia Aleksandrowna ją przygarnęła. Sofia Aleksandrowna, myślała Nina, też stoi po drugiej stronie barykady - nie może darować władzy radzieckiej zesłania Saszy. Ale jeśli to nawet była pomyłka, to władza radziecka nie ma z tym nic wspólnego, żadna władza nie jest wolna od błędów. A kiedy w kraju toczy się zażarta walka, kiedy partia musi likwidować resztki wrogich partii, frakcji i opozycji, błędy są nieuniknione.

A co do Saszy - alboż to pomyłka? Lena Budiagina, powołując się na Szaroka, opowiedziała Ninie w wielkim sekrecie, że w instytucie, w którym studiował Sasza, działała antyradziecka organizacja, ci ludzie posłużyli się Saszą, Sasza ich bronił i został aresztowany razem z nimi. Co prawda, dostał tylko trzy lata zesłania, zorientowano się, że nie jest prowodyrem, ale nie mógł nie ponieść konsekwencji, zwłaszcza że podczas śledztwa, jak napomykał Szarok, zachowywał się wyzywająco, nie przyznawał się do błędów, licząc na swojego wuja, Riazanowa. Ale interwencja Riazanowa, tak jak i interwencja Iwana Grigoriewicza Budiagina, nie pomogła.

Sofia Aleksandrowna powinna się z tym pogodzić, ostatecznie jest dorosła, i powinna zrozumieć. Ale ona wszystkich znienawidziła, chciałaby, żeby innym też było źle. Przyjmując do siebie Warię razem z tym aferzystą, rzuciła wyzwanie nie tylko jej, Ninie, ale i wszystkim przyjaciółom Saszy.

Zresztą, prawdę mówiąc, Waria wybrała tę drogę jeszcze w szkole: chłopcy, szminki,

fatałaszki, tylko to jej było w głowie. Ona, siostra, już wtedy nie mogła sobie z nią dać rady i teraz też nic nie może zrobić. Czyli że tak musi być! Teraz, cokolwiek się stanie, niech sobie sama radzi. Na zameldowanie swojego mężulka niech nie liczy, ich mieszkanie ma metraż akurat na dwie osoby. A złodziejowi, aferzyście, graczowi ona nie odda nawet centymetra. Niech mieszkają, gdzie chcą i jak chcą. Nina była absolutnie pewna, że Waria przyjdzie w sprawie mieszkania.

Ale Waria przyszła w innej sprawie. Potrzebne jej były dane do wypełnienia ankiety, a ankietę wypełniała dlatego, że chciała podjąć pracę.

Waria do pracy?! To niezwykle! Zaskakujące! Przy jej obecnym stylu życia!

- Co to za praca, jeśli to nie tajemnica?

- Żadna tajemnica. Biuro projektowe hotelu "Moskwa".

Nina wszystko zrozumiała: niesłodko widać żyje się siostrzyczce, sprawy mężulka stoją chyba nie najlepiej. Ale o nic nie zapytała. Jak Waria zechce, to sama powie.

- Jakie dane są ci potrzebne?

Waria podała jej ankietę, wskazała punkt 27: "Rodzice..."

- Napisz mi na brudno, a ja potem wpiszę do ankiety.

Usiadła, obrzuciła wzrokiem pokój.

Na ścianie wisiała nie znana jej fotografia Maksa Kostina. Wojskowa bluza, naramienniki z dystynkcjami młodszego oficera, poczciwa, prosta twarz. Czyli że Nina koresponduje z nim. Wyszłaby za niego za męża, pasują do siebie. Z czasem urodziłaby gromadkę dzieciaków, to też do niej pasuje.

Poza tym wszystko w pokoju było tak jak dawniej. Na półce obok encyklopedii dla dzieci - oprawna w ramkę fotografia mamy i taty z młodości; stół przykryty zniszczoną ceratą; zdeptane pantofle ranne pod łóżkiem Niny; na jej własnym łóżku kolorowa chusta na poduszce, a obok łóżka odlany z brązu atleta z lampką w wyciągniętej muskularnej dłoni. Do Sofii Aleksandrowny Waria nie zabrała nawet bielizny pościelowej, nie wzięła też swojego patefonu - nie był jej tam potrzebny. I chociaż wkrótce stwierdziła, że wielu rzeczy jej brak, wolała kupować nowe. Przyszła tu tylko raz - po świadectwo ukończenia szkoły, Niny wtedy nie było, i chwala Bogu, że jej nie było.

Ale teraz, kiedy tak siedziała rozglądając się po pokoju, patrząc na znane sobie sprzęty i wdychając znajome zapachy, znowu poczuła się dawną dziewczynką i zrobiło jej się smutno. Zrozumiała, że mimo całej nudnej pryncypialności Niny spokojna może być tylko tutaj, że tu jest jej dom, że innego domu nie ma i długo jeszcze mieć nie będzie.

Nina podała jej zapisany arkusz.

Waria sprawdziła według rubryk: w porządku, Nina odpowiedziała na wszystkie pytania.

- Tak, dobrze, dziękuję... Do widzenia.

- Do widzenia.

Czy właściwie zachowała się wobec siostry? A jak inaczej mogła się zachować? Miała tańczyć z radości? Dlatego, że Waria idzie do pracy? Wszyscy pracują. Normalna rzecz. Waria nikogo tym nie uszczęśliwiła. Mogłaby wstąpić na uczelnię, ale ona woli pracować jako kreślarz, no cóż, każdy sam dokonuje wyboru. Mówimy o kobiecej godności, ale natychmiast o niej zapominamy, ledwie zjawi się mężczyzna.

Mniejsza o Warię, jest jeszcze smarkata, właściwie dziecko ulicy... Ale Lena Budiagina! Boże mój, Lena, dorosła kobieta, wychowana w takiej rodzinie! Wtedy, zimą, jak się później dowiedziała, Lena próbowała pozbyć się ciąży, omal nie umarła, a Jura, taki drań, ani razu nie odwiedził jej w szpitalu, odezwał się dopiero pół roku później i Lenka znowu do niego wróciła. Czy ona nie widzi, co to za człowiek? W NKWD pracują nie tylko uczeni i czekiści, nie brakuje tam również obcych i Jurka jest jednym z nich. Lenka nie może o tym nie wiedzieć. A teraz, proszę, nowa historia, nowa "tragedia" - okazało się, że Jurka ma jeszcze kogoś. A Lenka, zamiast rzucić tego chłystka, znowu dręczy się, cierpi. Nina nienawidziła w kobietach zależności od mężczyzn, dostrzegając tę cechę u swojej siostry i wiedziała, że żadna praca nie zmieni jej natury. Tak więc powodów do radości na razie nie widziała.

Do tego, że Jura ją zdradza, Lena przyznała się Ninie w chwili załamania. Ale w szczegóły się nie wdawała. Powiedziała tylko: "On mnie zdradza!", i to wszystko.

Tymczasem szczegóły, a właściwie jeden szczegół, sprowadzał się do tego, że Jura zdradza Lenę z Wiką Marasiewicz. Wpadły na siebie na Marosiejce, w zaułku Starosadzki, na klatce schodowej. Lena wyszła z windy akurat w chwili, kiedy Wika zamknęła za sobą drzwi tego właśnie mieszkania, do którego szła Lena. Przez kilka sekund obie patrzyły na siebie zmieszane, potem Wika powiedziała "Dzień dobry", Lena w odpowiedzi bąknęła to samo. Wika weszła do otwartej jeszcze windy i zamknęła za sobą drzwi.

Pierwszym odruchem Leny było - uciekać! Zbiegła po schodach piętro niżej, zatrzymała się, zaczerpnęła tchu, zaczęła nasłuchiwać... Na dole trzasnęły drzwi windy, czyli że Wika wyszła... Niech się oddali... Lena wolno zeszła jeszcze piętro niżej... Boże drogi, czyli że wtedy, w Sylwestra, to nie było przypadkowe, to trwa między nimi od dawna, wszyscy o tym wiedzieli, tylko ona była ślepa. I Nina wtedy urządziła Jurze awanturę, a Sasza w



obecności Jury zapytał ją: “Gorszego gnojka nie mogłaś sobie znaleźć?” Jura nie oszczędzał jej, jeszcze teraz dostaje mdłości od zapachu gorczycy. W szpitalu powiedziano: “To cud, że pani przeżyła!”, a on stchórzył, ukrywał się, ani razu jej nie odwiedził. A dzisiaj czekał na nią w łóżku, z którego dopiero co wyszła Wika. Pewnie zresztą nie ona jedna w nim bywa. Jest tak pewny siebie, że wyznaczył jej randkę tego samego dnia, co Wice, i niemal o tej samej godzinie.

W tym dopiero momencie połapała się, że przyszła na czwartą, chociaż Jura prosił ją, żeby przyszła o piątej, zapomniała o tym i przyszła jak zawsze o czwartej. Godzinę odpoczywa! To łobuz, rozpustnik! Jeszcze gotów zażądać, żeby obydwie położyły się z nim do łóżka. Czas z tym skończyć, i to raz na zawsze! I bez żadnych wyjaśnień! Nie życzy sobie słuchać jego kłamliwych usprawiedliwień.

Wieczorem Jura zadzwonił i rozkapryszonym tonem zapytał, dlaczego nie przyszła.

- Zostałam dłużej w pracy.

- A we wtorek możesz przyjść?

- Nie.

- Więc kiedy?

- Nie wiem. Jak będę mogła, to zadzwonię. A ty nie dzwoń do mnie więcej, do widzenia.

Szarok był zaskoczony. Z czego jest niezadowolona? Wydawało się, że wszystko układa się jak najlepiej. Spotykali się niezbyt często, bo taką już ma pracę, ale bywali i w teatrze, i w kinie, chodzili do Klubu Artystów, na wystawy... Czemu się dąsa? Dziwne!

O przyczynie jej niezadowolenia dowiedział się bardzo szybko.

Natknąwszy się na Lenę, Wika zmieszała się tylko w pierwszej chwili. Rozumiała, że Lena przyszła tu wcale nie w tym charakterze, w jakim bywała ona - wiedziała od Wadima, że Lena i Jura znowu nawiązali stosunki. I on dopuścił do tego, żeby Lena zobaczyła ją tutaj, w zakonspirowanym mieszkaniu! Zdekonspirował ją! Lena, rzecz jasna, zażąda od Jury wyjaśnień, a wtedy Jura przyzna się, że pokój służy nie tylko do intymnych spotkań. Ale tajnych współpracowników się nie dekonspiruje, Szarok odpowie za to, że dopuścił do ich spotkania.

Uświadomiwszy to sobie, Wika od razu się uspokoiła, zrozumiała, jaka trafiła się jej szansa: teraz Juroczka będzie ją musiał zwolnić, teraz nie uda mu się wywinąć. Dzisiaj zdrwił sobie z niej, no więc teraz zapłaci za tę upokarzającą dla niej rozmowę.

A rozmowa była następująca:

- Jura - powiedziała Wika - wychodzę za mąż.

- Tak? - odparł Szarok rozbawiony. - Ciekawe, za kogo?

Wika wymieniła imię i nazwisko Architekta. Szarok znał to imię i nazwisko, ale nie okazał szczególnego zdziwienia.

- Gratuluję, to znakomitość.

- Stalinowi spodobał się jego projekt.

- Widziałem ten projekt na wystawie - odpowiedział Szarok powściągliwie, jakby nie ośmielał się nawet wypowiedzieć własnego zdania o projekcie, zaakceptowanym przez samego Stalina.

- Musimy się rozstać, Jura.

Szarok zrobił taką minę, jakby nie rozumiał.

- W jakim sensie? - zapytał.

- Jestem teraz żoną, czyją - to już wiesz. Mój tryb życia całkowicie się zmienił, z restauracjami skończyłam, dawny krąg znajomych rozpadł się.

- Będziesz się spotykać z innymi.

- Nie, mąż prowadzi życie zamknięte. Od dziewiątej rano do jedenastej wieczorem przebywa w pracowni, a ja czekam na niego w domu. Sama. Ale nawet nie o to chodzi. Ja nie mogę, nie mam prawa nic przed nim ukrywać.

- I nie musisz.

- Znacząco... Mam mu powiedzieć o naszych spotkaniach?

- Jeśli uważasz, że to konieczne...

- Ale przecież podpisywałam deklarację o zachowaniu tajemnicy.

- W interesie twojego ogniska domowego pozwalam ci odsłonić tę tajemnicę - powiedział Szarok, uśmiechając się krzywo.

- Ależ on mnie natychmiast rzuci.

Szarok wzruszył ramionami.

- Dlaczego? Dlatego, że spełniasz swój obowiązek?

Wika wytrzeszczyła na niego oczy. Przecież Jura doskonale wie, że ona nigdy nikomu o tym nie powie. Ale nie chce jej wypuścić ze swoich szponów, chce, żeby donosiła na własnego męża, i nie ma ani cienia wątpliwości, że uda mu się ją do tego nakłonić.

Odpowiedziała jednak:

- Dobrze, powiem mu.

Szarok skrzywił wargi.

- Powiedz mu, powiedz... A my to i owo dorzucimy. Wymienimy wszystkich twoich cudzoziemców. - Uśmiechnął się ironicznie. - A ty mu opowiesz, jak ci cudzoziemcy są zbudowani... Z cudzoziemcami pewnie lepiej smakuje, co?

- Jura, co ty mówisz?

Szarok uderzył pięścią w stół, wrzasnął:

- Wiem, co mówię! Ty, ścierwo, śpisz z nimi, włóczysz się po hotelach, związałaś się z cudzoziemskimi agentami! Po uszy ugrzęzłaś w tym bagnie! No to teraz opowiesz swojemu mężulkowi, co cię w nich tak interesuje, a on sobie posłucha.

- Jura, jak możesz! Ja tych ludzi spotykałam tylko przy stole w restauracji.

- Spałaś z nimi! Ostatni raz ze Szwedem. Znamy i jego, i wszystkich, którzy byli przed nim, wszystkich co do jednego. Mało ci naszych, Rosjan! Co ci się w nich nie podoba, gadaj!

Mógłby być grzeczniejszy, ostatecznie z nim, Rosjaninem, też spała. Ale Wika milczała, wstrząśnięta jego dokładnymi informacjami.

On tymczasem, patrząc na nią z nienawiścią, ciągnął:

- Ach, ach, to wszystko tatusiowi znajomi, znakomitości... Profesor Kramer, Rossolini, Kurt Sanderling. - W jego głosie brzmiała nutka odrazy. - "Utalentowani skrzypkowie", ach, ach, Fritz, Hans, Michel... Jak w rodzinie. Koteczki! A te koteczki to aktywni działacze partii nazistowskiej, faszyci, agenci wywiadu! I Japończycy, z którymi się zabawiasz, też wszyscy co do jednego są agentami, i to ważnymi, niektórzy w randze pułkowników. Nie wiesz, po co do nas przyjeżdżają, jak nas kochają? Włóczyłaś się z nimi, a teraz przychodzisz i mówisz: zwolnijcie mnie, bo jak nie, to wszystko opowiem mężowi. Nie, moja droga, nie opowiesz, to my mu opowiemy, zobaczymy, czy się po tym z tobą ożeni.

Milczała wtedy, bezsilna, zdruzgotana.

Ale teraz, idąc Marosiejką, nie czuła się ani bezsilna, ani zdruzgotana. Przeliczył się, krawiecki synek! Z jego winy została zdemaskowana! Mąż nie był dla niego argumentem, no cóż, będzie musiał uznać inne argumenty. Będziesz musiał, Juroczka, będziesz musiał!

W niedzielę zatelefonowała do niego do domu.

- Dzień dobry, Jura, tu Wika, muszę się z tobą zobaczyć.

- Co się stało?

- To rozmowa nie na telefon. Mogę przyjść do ciebie albo spotkamy się na ulicy, pospacerujemy, jak wolisz.

Na Marosiejkę Wika bała się jechać. Bała się zostać sam na sam z Szarokiem. Ale i Szarok nie mógł jej zaproponować Marosiejki, bo nie był to jego dzień. Przypuszczał, że Wika znowu zacznie mu zawracać głowę mężem, więc nie ma co się spieszyć. Co prawda, w natarczywości Wiki było coś niepokojącego, jednakże burknął niezadowolony:

- Po co taki pośpiech? Zobaczymy się w odpowiednim czasie i porozmawiamy.

- To sprawa bardzo pilna - upierała się Wika. - I w twoim własnym interesie nie należy jej odkładać.

- Nie szkodzi, nie szkodzi, wytrzymasz.

- No cóż - odparła Wika chłodno. - Uprzedziłam cię, miej pretensję do siebie.

- Grozisz mi?

- Możesz to rozumieć, jak chcesz. Pytam cię po raz ostatni, czy możesz się teraz ze mną spotkać na Arbacie?

- Teraz zaraz?

- Może być za godzinę, może być za dwie, jak ci wygodniej.

- Dobra, za godzinę spotkamy się na Psim Placyku, akurat mi po drodze.

\* \* \*

- Usiądźmy - zaproponowała Wika, wskazując wolną ławkę na skwerku.

- Nie - zaproponował Szarok. - Skręćmy w tę uliczkę. Muszę iść na Worowskiego.

Weszli w zaułek Trubnikowski.

- No, więc co się stało?

- Co się stało? - powtórzyła Wika z ironicznym uśmiechem. - A to, że mieszkania, w którym się spotykamy, nie powinieneś przekształcać w dom schadzek.

Szarok w lot zrozumiał, że Wika spotkała na schodach Lenę, ale chcąc zyskać na czasie, zapytał:

- Co takiego?!

- Na klatce koło windy spotkałam się z Leną Budiaginą. Nawet ukłoniłyśmy się sobie, ostatecznie jesteśmy koleżankami. Lena, naturalnie, domyśliła się, po co do ciebie przychodzę, orientuje się przecież, gdzie pracujesz. Jestem zatem rozszyfrowana i nie nadaję się już na twojego współpracownika. Rozstańmy się jak przyjaciele, Juroczka.

Szarok szedł, słuchając jej w milczeniu, i zastanawiał się. Sprawa była jasna: Lena przyszła o godzinę wcześniej, pomyliła godziny, głupia gęś! Wpadła na Wikę, obraziła się, dlatego nie chce się z nim spotykać, pal ją diabli! Są z nią same kłopoty. Ale numer Wiki też nie przejdzie, chce go szantażować, idiotka!

Wika nieoczekiwanie wzięła go pod rękę, uśmiechnęła się, zajrzała mu przymilnie w oczy.

- Nie złość się, Juroczka. Miałeś małego pecha, ale z ciebie mądry chłopiec, zrobisz wszystko, co trzeba, i nikt się o niczym nie dowie. Ja jestem w gorszej sytuacji: teraz

nigdzie nie będę mogła się pokazać, wszyscy będą mnie unikać, jestem skazana na siedzenie w domu.

Szarok nie cofnął ramienia. Sprytna z niej baba, nie ma co, bezczelna, bezwzględna. Prawdę mówiąc, to właśnie taka by mu się przydała, a nie tamta głupia gęś! Przy tej daleko by zaszedł. Tamta jest wprawdzie córką Budiagina, ale na tego Budiagina już czeka cela w Butyrkach, a ta pochodzi z neutralnej profesorskiej rodziny...

Ale za późno o tym myśleć.

- A nie przyszło ci do głowy co innego? - zapytał. - Lena zobaczyła cię i pomyślała, że jesteś moją kochanką.

Wika zatrzymała się i Szarok musiał zrobić to samo. Już się nie uśmiechała - patrzyły na niego szare, bezlitosne oczy.

- Nie uważaj mnie za idiotkę! Uległam Diakowowi, bo straciłam głowę i podpisałam papierek, który mi podsunął. Ale ty przecież nie jesteś Diakowem, znamy się od dzieciństwa, jesteś kolegą mojego brata, bywasz u nas w domu i w dodatku spałeś ze mną... Mógłbyś mnie oszczędzić, ale nie zrobiłeś tego. Teraz ja odpłacę ci tym samym, zapamiętaj to sobie. Wyślę list do Jagody, że w zaułku Starosadzkiemu urządziłeś sobie burdel i zdekonspirowałeś mnie przed jedną ze swych kochanek, a ta kochanka to córka zastępcy narkoma i moja dawna koleżanka. List jest już napisany, gotowy. Jeśli mnie teraz aresztujesz, zostanie wysłany. Zapamiętaj to sobie.

- Aresztować cię - burknął Szarok pogardliwie. - Komu ty jesteś potrzebna?

- Jeśli nie jestem potrzebna, to tym lepiej, rozstańmy się. Ja jestem zdecydowana na wszystko, nic mnie nie powstrzyma, nie cofnę się przed niczym.

- Ach, to doprawdy okropne!

Nie zwracając uwagi na jego słowa, Wika ciągnęła:

- Ja swoje obowiązki wykonywałam uczciwie. Spotykałam się z ohydnyimi ludźmi, z tym Libermanem, ale ty wkopałeś mnie przez swoje romanse. Zobaczymy, jak to potraktują twoi szefowie.

- Nie strasz mnie, nie strasz - powiedział Szarok z ironicznym uśmiechem. - Nic ci to nie pomoże, tylko zaszkodzi.

- Ty też mnie nie strasz, ja się niczego nie boję. Wyszłam za mąż, urządziłam sobie życie i będę go bronić. Może skręcę kark, ale twoja kariera też się skończy, czegoś takiego ci nie wybaczą. Jeśli jednak postąpisz rozsądnie, wszystko zostanie między nami. Możesz na mnie polegać.

- No więc posłuchaj - tym razem zatrzymał się Szarok. - Lena rzeczywiście cię widziała i

urządziła mi scenę. Przyznałem się, że miałem z tobą romans, bo miałem go, prawda? Dałem jej słowo, że nie będę się z tobą więcej spotykał. I możesz być spokojna, Lena nikomu o tym nie powie. Z jej strony nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo, a co do twojego listu - nic nim nie zwojujesz. Lena jest faktycznie moją żoną, natknęłaś się na nią, no cóż, zdarza się, złoży deklarację o zachowaniu tajemnicy i sprawa zakończona. Swoim listem osiągniesz tylko jedno - że przekażą cię innemu funkcjonariuszowi. Nie jestem pewien, czy coś na tym zyskasz.

Wika słuchała go w napięciu, patrząc mu prosto w twarz swoimi dużymi, szarymi, bezwstydnymi oczami.

Potem powiedziała z wściekłością, twardo i stanowczo:

- No cóż, każde z nas postąpi, jak uzna za stosowne. Żegnam cię.

Ale Szarok zatrzymał ją.

- Zaczekaj, jest jeszcze jedna sprawa. Poprzednim razem prosiłaś, żeby cię zwolnić ze współpracy. O takiej prośbie mam obowiązek zameldować swojemu przełożonemu. Tego samego dnia złożyłem raport. Jaki będzie rezultat, tego nie wiem. Musisz się uzbroić w cierpliwość.

- Jak długo trzeba czekać? - zapytała Wika. Zrozumiała, że sprawę raportu Szarok wymyślił na poczekaniu, że żadnego raportu nie składał, ale bardzo możliwe, że złoży teraz, czyli że boi się jej listu.

- Odpowiedź otrzymasz podczas naszego najbliższego spotkania.

Czekać całe dziesięć dni? I znowu wlec się do tego mieszkania!

- Dobrze! - powiedziała. - Poczekam dziesięć dni.

Wika nie ustąpi. Odkąd została żoną Architekta, wyobraziła sobie, że siła jest po jej stronie. Sprawa miała się akurat odwrotnie, ale Wika była bezczelna, stanowcza, zdolna do wszystkiego, no i, trzeba to przyznać, on, Szarok, dał jej do ręki pewien atut. Z tego też względu uznał za celowe powiedzieć Diakowowi:

- Wiktoria Andriejewna Marasiewicz wyszła za mąż za Architekta i chciałaby być wobec męża cacy.

- Jęczy?

- Z towarzyszem Libermanem zerwała, ze starymi przyjaciółmi się nie spotyka, do restauracji nie chodzi, siedzi w domu. Może rzeczywiście należałoby ją na pewien czas zwolnić, niech się oswoi z nową sytuacją, wejdzie w nowe towarzystwo, nawiąże nowe znajomości, koło Architekta kręci się sporo ludzi, i to ciekawych.

- To jest argument - zgodził się Diakow. - Niech sobie odpocznie. A teraz ot co...

Przez chwilę przekładał papiery na stole, co oznaczało, że zastanawia się, dobiera słowa, które zamierza wypowiedzieć.

- No więc tak... - ciągnął. - To rozmowa między nami - popatrzył na Szaroka wymownie. - Z Leningradu przyjechał towarzysz Zaporozec, chce wziąć do siebie z centralnego aparatu ze trzech, czterech pewnych ludzi. Oczywiście, na wyższe stanowiska, z podwyższeniem stopnia i uposażenia. Jesteś jednym z kandydatów. Co o tym myślisz?

- Co ja mogę o tym myśleć? Pojadę, gdzie mi każą. Mam nadzieję, że mieszkania w Moskwie nie stracę.

- Oczywiście, że nie. Przecież tam mieszkają twoi rodzice. Popracujesz kilka lat na prowincji, zresztą co to za prowincja? Druga stolica. Wrócisz w wyższej randze i na wyższe stanowisko. Pomyśl o tym. Przymusu nie ma, sprawa jest dobrowolna. Z Zaporozcem wielu chciałoby pracować, to sympatyczny facet, wesoły, dba o swoich ludzi. Nasza rozmowa ma charakter wstępny, on sam cię do siebie poprosi, być może wybierze kogo innego. Zastanów się, według mnie to duża szansa...

Propozycja była nieoczekiwana, ale interesująca. Nie ma szans, by przesiedzieć całe życie w aparacie centralnym, zwyczaj każe, żeby jakiś czas popracować na prowincji i wrócić do Moskwy z doświadczeniem zdobytym w terenie. Leningrad to najlepsze, co może być, nie jakaś tam zakazana dziura, w dodatku jedna noc jazdy od Moskwy. I Zaporozec pewnie wkrótce zajmie miejsce starego Miedwedzia, czyli że razem z nim on, Szarok, pójdzie w górę. I w ogóle powinien sobie znaleźć jakieś oparcie. Diakow nie jest dla niego

oparciem, to żadna figura. Bieriezin? Tak, to gruba ryba, ale drze koty z Jagodą i pewnie go przeniosą na Daleki Wschód. A jechać na Daleki Wschód - no nie, już lepiej do Leningradu.

Jednym słowem, propozycja przypadła Szarokowi do gustu. I stosunki z Leną umrą śmiercią naturalną. I sprawa brata... Brat kończy odsiadkę, wróci do domu, niech się sam urządza, na niego niech nie liczy.

Szarok przyjął Wikę na Marosiejce w dobrym humorze.

- No, dziewczucho, ciesz się, puszczamy cię, idź na cztery wiatry. Nie z powodu Leny. Zameldowałem, że natknęłaś się na moją żonę, i ta sprawa jest załatwiona. A nasze spotkania odwołujemy dlatego, że kierownictwo uznało moje argumenty za przekonywające: siedzisz w domu, zachowujesz się jak przykładna małżonka, jaki z ciebie pożytek? Rozkoszuj się więc swoim miodowym miesiącem.

- Dziękuję - powiedziała Wika powściągliwie. - A jak będzie... z moim zobowiązaniem?

- Z zobowiązaniem? Zostało przekazane do archiwum. A co, chcesz je wycofać?

- Tak.

- No, ty masz zagrania! Któż ci pozwoli wycofać dokument z akt? Wszystko jest ponumerowane, złożone do archiwum, twoje zobowiązanie myszy jedzą.

Wika zrozumiała, że dzięki temu papierkowi będą ją zawsze mieć w garści. Na razie jednak była wolna, a dalej - zobaczy się.

- Dziękuję, Jura - powiedziała wstając. - Mam nadzieję, że w takich warunkach - powiodła dokoła ręką - i w takiej roli nigdy się już z tobą nie spotkam.

- Nigdy - potwierdził Szarok z uśmiechem.

Jego odpowiedź była szczerą. Wiedział, że on Wiką Marasiewicz nigdy się już nie będzie zajmował. Kiedy zajdzie potrzeba, a taka potrzeba na pewno zajdzie, zajmie się nią ktoś inny.

On sam natomiast przygotowywał się już w myślach do wyjazdu. Nigdy dotąd nie był w Leningradzie. Wielu jego szkolnych kolegów jeździło do Leningradu na wakacje, spędzać wakacje w Leningradzie należało do dobrego tonu, mieli tam krewnych, znajomych, a on w Leningradzie nie miał nikogo. Zazdrościł tego arbackim inteligentom, tak zresztą, jak zazdrościł im wielu innych rzeczy. Teraz on również miał jechać do tego miasta, i nie po to, żeby mieszkać kątem u krewnych, lecz żeby zająć odpowiednie stanowisko: początkowo będzie mieszkał w hotelu, a potem otrzyma mieszkanie.

Jeszcze tego dnia był z raportem u Bieriezina, zanosił papiery do podpisu.

Bieriezin, podpisawszy papiery, powiedział:

- Niedługo rozpocznie się rekrutacja do wyższej szkoły NKWD. Chcesz się uczyć?



Szarok zawahał się. Wyższa szkoła to też była szansa - przygotowuje pracowników wyższej rangi. Ale co w takim razie z Leningradem?

- Czy ja wiem - odpowiedział niepewnie - przecież towarzysz Zaporoziec chce mnie zabrać do Leningradu.

Bieriezin spojrział na niego uważnie, potem pochylił głowę i opuścił wzrok.

- Skoro tak, to sprawa jest nieaktualna - powiedział.

Wyraz jego twarzy był nieprzenikniony.

Szarok wyszedł. Bieriezin zamknął za nim drzwi na klucz. W tym samym pęku znalazł klucz od sejfu, stojącego w rogu gabinetu, otworzył go, przysunął krzesło i zaczął na nim składać teczki, które wyjmował z sejfu i przeglądał po kolei.

Wreszcie znalazł tę, której szukał, odłożył ją na bok, a pozostałe zaczął układać w tym samym porządku, w jakim leżały poprzednio; na miejsce wyjętej teczki włożył arkusz papieru, żeby ją później umieścić na właściwym miejscu.

Przejrzał uważnie teczkę, znalazł odpowiednią stronę... Zapalił papierosa...

Informacja, którą przypadkowo usłyszał od Szaroka, potwierdziła jego podejrzenia: w Leningradzie szykowała się jakaś akcja.

Pierwszym impulsem do powzięcia takiego podejrzenia było skierowanie Ałfierowa na Syberię Wschodnią. A przecież o Ałfierowa prosił Kirow. Tymczasem zamiast do Leningradu Ałfierowa posłano nad Angarę na stanowisko pełnomocnika rejonowego, rzekomo po to, żeby wyjaśnić pewne aspekty jego działalności w Chinach: a na razie, powiedziano, niech posiedzi na Syberii. Ałfierowowi nawet nie pozwolono przyjechać do Moskwy, kazano mu się zatrzymać w Kańsku i stamtąd skierowano do rejonu.

Zamiast niego do Leningradu pojechał Zaporoziec. Wysoki, barczysty, chłop na schwał, żartowniś i gawędziarz, amator alkoholu i kobieciarz, w dodatku ładnie śpiewa. Mieszka na Palisze, skarży się, że w mieszkaniu nie ma wanny, żona suszy mu z tego powodu głowę. Żonę ma bardzo przystojną, nazywa się Roza Proskurowska...

Bieriezin znowu pochylił się nad stołem, przejrzał akta Zaporozca. Były lewy eserowiec, a jednak utrzymał się w centralnym aparacie CzEKa. To naturalnie zasługa Jagody, przez cały czas trzymają się razem. Najpoważniejszą akcją, jaką ma na swoim koncie, było wkręcenie się do sztabu Machny. Awanturnik, któremu dopisuje szczęście. Teraz przygotowuje nową awanturę. Jego, Bieriezina, człowiek z otoczenia Zaporozca przekazał mu kopię przechwyconego listu niejakiego Nikołajewa. Dziwny, niepokojący list... Bieriezin przeczytał go ponownie.

Leonid Nikołajew. Wstąpił do partii w roku 1920, na froncie, w wieku lat szesnastu.

Pochodzi z rodziny robotniczej i sam w przeszłości był robotnikiem. Do tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku pracował w leningradzkiej IRCh w charakterze inspektora do spraw cen. Z IRCh-y, jak pisał Nikołajew, usunięto go wskutek intryg trockistów, którzy usadowili się w aparacie obkomu, i przeniesiono do fabryki. Jednakże sekretarz fabrycznej organizacji partyjnej, też trockista, skierował go w ramach akcji partyjnej do transportu. Jest gotów pracować wszędzie, dokąd pośle go partia, ale wysyła go nie partia, lecz trockiści, którzy chcą go wygryźć z Leningradu. Odmówił wyjazdu, za co wykluczono go z partii, od marca jest bezrobotny. Wysłał do towarzysza Kirowa dwadzieścia listów z prośbą o zbadanie jego sprawy, pisał o panoszeniu się trockistów w leningradzkim aparacie. Na żaden list nie otrzymał odpowiedzi. Albo towarzysz Kirow nie uważa za konieczne odpowiadać, albo listy do towarzysza Kirowa nie dochodzą. Winna jest trockistowska mafia, której towarzysz Kirow ślepo dowierza. Ma lat trzydzieści, z tego czternaście był członkiem partii, bez partii nie wyobraża sobie życia, jest doprowadzony do ostateczności i gotów na wszystko...

“Gotów na wszystko...” co to znaczy?

Samobójstwo? Człowiek, który czternaście lat był w partii, nie może nie rozumieć, że taką groźbą nikogo nie przestraszy. Akt terrorystyczny? O takich rzeczach się nie pisze, nie uprzedza się, za to się dostaje kulę w łeb. A jednak napisał. Chory psychicznie?

Pod czym adresem skierowane są te groźby? A co najważniejsze, z tym człowiekiem Zaporozec współpracuje. Do czego jest mu potrzebny?

W jakim charakterze Zaporozec ściąga nowych ludzi do Leningradu? Kogo oni tam mają zastąpić? W jakim celu? Dlaczego robi się to w takiej tajemnicy? Nawet on, Bieriezin, członek kolegium, dowiedział się o tym przypadkiem.

Stalin jest niezadowolony z sytuacji w Leningradzie - to powszechnie wiadomo. Żąda od Kirowa represji wobec tak zwanych uczestników opozycji zinowiewowskiej, chce rozpętać w Leningradzie terror. Po co? Czy terror w Leningradzie ma być detonatorem terroru w całym kraju? Kirow odmawia i widocznie zadaniem Zaporozca jest sprowokowanie incydentu, który pomógłby przełamać jego opór. Jednak cokolwiek by zorganizował Zaporozec, śledztwo będzie się toczyć w Leningradzie. Kirow nie wypuści śledztwa z rąk, w takiej sprawie przed niczym się nie cofnie, przeniesie sprawę na forum Biura Politycznego. Czyli że Zaporozec musi zorganizować coś takiego, co oszołomi wszystkich i Kirow będzie musiał ustąpić.

Ale co? Dywersję, wybuch, katastrofę kolejową? Kirow nie da się na to nabrać. Zabójstwo któregoś z jego towarzyszy? Czudowa, Kodackiego, Pozerna? Czy w tym celu

trzymają Nikołajewa? to już sprawa poważniejsza, ale i w tym wypadku Kirowa nie da się odsunąć od śledztwa.

Cóż to ma być wobec tego?

Bieriezin doskonale pamiętał słowa, które Stalin wypowiedział w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku w Carycynie. Stalin zażądał wtedy rozstrzelania kilku specjalistów wojskowych, byłych oficerów armii carskiej. Bieriezin, naówczas szef jednostki specjalnej, dowodził mu, że oskarżenia są nieprzekonywające i rozstrzelanie wywoła mnóstwo problemów i komplikacji.

Na co Stalin odparł pouczająco:

- Śmierć likwiduje wszystkie problemy. Nie ma człowieka i nie ma problemu.

Okazało się, że Stalin miał rację. Kiedy nadszedł telegram, uchylający wyrok, ludzie już nie żyli. I żadnych problemów nie było.

Taka jest filozofia tego człowieka. Czy zastosuje ją i tym razem? Tak, bez wątpienia, tak! On, Bieriezin, nie może wystąpić przeciwko temu otwarciu, jedno nieostrożne słowo - i zostanie zlikwidowany. Ale może ostrzec, taka możliwość istnieje.

Wieczorem Bieriezin odwiedził Budiagina. Mieszkali na różnych klatkach schodowych Piątego Domu Rad i chociaż nie łączyła ich bliska znajomość i rzadko się spotykali, odnosili się do siebie z sympatią. Obaj należeli do żelaznej gwardii starych bolszewików, którzy mieli za sobą podobną drogę życiową i nie kierowali się w życiu próżną ambicją.

Bieriezin nie podzielił się z Budiaginem swoimi podejrzeniami. Budiaginowi wystarczył sam fakt, że Bieriezin przyszedł do niego do domu, przyszedł po raz pierwszy w życiu, rzekomo, żeby pożyczyć książkę o gospodarce Dalekiego Wschodu, którą to książkę mógł wypożyczyć w pierwszej lepszej bibliotece. Budiagin docenił też w pełni rzuconą mimochodem przez Bieriezina informację, że Iwan Zaporozec werbuje do Leningradu grupę swoich ludzi i że ta akcja utrzymywana jest w największej tajemnicy.

Pożegnawszy Bieriezina, Budiagin wszedł do kuchni, żeby sobie zaparzyć mocnej herbaty. Żałował, że Aszchen Stiepanowna jest nieobecna, miał ochotę omówić z nią wiadomość otrzymaną od Bieriezina, wiadomość bardzo niepokojącą.

Nazajutrz rano, zanim wszedł do własnego gabinetu, wstąpił do Siomuszkina.

- Jest u siebie? - zapytał wskazując drzwi gabinetu Ordżonikidzego.

- Tak - odpowiedział Siomuszkin.

Opowiadając Ordżonikidzemu o skierowaniu do Leningradu do Zaporozca nowych ludzi, Budiagin nie wspomniał o Bierezinie. W takich wypadkach źródła informacji się nie podaje.

Ordżonikidze zamyślił się. Gdyby nowe nominacje oznaczały normalną resortową intrygę w aparacie NKWD, to Miedwied. zameldowałby o tym Kirowowi. Jednakże zainteresowani ludzie za pośrednictwem Budiagina zawiadamiają o tym jego, członka Biura Politycznego i osobistego przyjaciela Kirowa. Czyli że informacja ma charakter nie wewnątrzresortowy, lecz ogólnopolityczny.

- Co o tym myślisz? - zapytał Ordżonikidze.

- W Leningradzie szykuje się jakaś akcja. Jej celem jest skompromitowanie Siergieja Mironowicza.

- W jaki sposób? Trudno powiedzieć. Chcą wymóc na nim represje, chcą go postawić przed taką koniecznością. A jeśli znowu odmówi, usunąć go z Leningradu.

- Tak, chyba tak - zgodził się Ordżonikidze.

Żadnemu z nich nawet przez myśl nie przeszło to, czego w lot domyślił się kadrowy czekista Bieriezin.

Zepsuł mu się ząb. Od dawna już się ruszał, ale pod zaczepem protezy trzymał się mocno. A wczoraj wieczorem, kiedy Stalin wyjmował protezę, poczuł ból. Znowu założył protezę. Zaczep zaskoczył na ząb. Kiedy jednak dotykał zęba językiem, ząb ruszał się i Stalin miał takie wrażenie, jakby go trochę bolało dziąsło.

Położył się spać, nie wyjmując protezy, i noc minęła spokojnie. Rano ostrożnie wyjął protezę, dotknął zęba językiem, potem palcami, - ząb ruszał się, miało się ochotę go wyrwać, wypchnąć z ust językiem. Kazał sprowadzić z Moskwy lekarza dentystę. Pod koniec dnia poinformowano go, że doktor Lipman i technik-protetyk przybyli samolotem i zostali umieszczeni w dacy numer trzy.

- Jak się rozpakuje, niech przjdzie - powiedział Stalin.

Doktor, przystojny, dobroduszny Żyd, dobiegający czterdziestki, przyszedł po pół godzinie. Stalin już się u niego leczył i był z niego zadowolony, raz nawet powiedział: "Ma pan delikatniejszą rękę niż Szapiro".

Szapiro leczył Stalina przed Lipmanem. On też był dobrym fachowcem. Stalin nie lubił jednak lekarzy, którzy wypytyują, opukują, osłuchują, aplikują leki, ale nic nie tłumaczą, nie mówią, co człowiekowi dolega, czemu mają służyć ich zalecenia, są strasznie ważni, swoją pracę przekształcają w misterium. Te cechy w małym, milczącym Szapirze były szczególnie niesympatyczne.

Lipman, przeciwnie, opowiadał, co robi, mówił, w jakim stanie znajduje się uzębienie Stalina, jak trzeba się obchodzić z protezą, a kiedy po raz pierwszy wyrwał mu ząb, nie wrzucił go do miski, jak to robił Szapiro, lecz pokazał Stalinowi, wyjaśnił, co się stało z korzeniem i dlaczego koniecznie trzeba było ząb usunąć. Spokojny, miły człowiek. Stalin mówił o nim żartobliwie: "I zęby rwie, i oczy mydli".

Stalin widział, że Lipman się go boi. Nie było w tym nic nadzwyczajnego - wszyscy się go bali. Jeśli jednak dentyście drżą ze strachu ręce, może się to skończyć diabli wiedzą czym. Dlatego był wobec niego uprzejmy. Dzisiaj, jak zwykle, zapytał:

- Co u pana słyhać, jak tam w domu, wszystko w porządku?

Chociaż oczywiście o domu i rodzinie Lipmana nie miał zielonego pojęcia.

- Wszystko w porządku, Józefie Wissarionowiczu, dziękuję - odparł Lipman, otworzył walizkę, prawie tak dużą jak podróżna, wyjął narzędzia i podgłówek, który przymocował do fotela. To, że Lipman umocowuje podgłówek przed przystąpieniem do pracy, też się Stalinowi podobało. Szapiro robił to, kiedy Stalin siedział już na fotelu, a Stalin bardzo nie

lubił, kiedy ktoś krzątał się za jego plecami.

Umocowawszy podglówek i sprawdziwszy, czy się dobrze trzyma, Lipman poprosił Stalina o zajęcie miejsca w fotelu. Stalin usiadł. Lipman zawiązał mu pod brodą serwetkę i delikatnym ruchem ręki oparł jego głowę na podglówku.

- Wygodnie?

- Tak.

- Co panu dolega?

- Rusza mi się ząb, zwłaszcza kiedy zdejmę protezę.

- Zaraz zobaczymy. - Lipman podał Stalinowi szklanekę z wodą. - Proszę przepłukać usta... tak, dobrze... Teraz proszę przechylić głowę... Tak, bardzo dobrze...

Lipman ostrożnie wyjął protezę i dotknął zęba. Palce miał miękkie, pachnące czymś przyjemnym - solidny fachowiec... Potem sprawdził leżące na stole narzędzia, wziął lusterko, znowu obejrzał zęby i powiedział:

- Ten ząb trzeba usunąć, innego wyjścia nie ma. Żadnego pożytku już pan z niego mieć nie będzie, tylko kłopoty, proteza się na nim nie utrzyma. Do niczego jest ten ząb.

- Ile to zajmie czasu?

- No, ranka, mam nadzieję, zagoi się w ciągu dwóch, trzech dni, protezę przygotujemy w ciągu jednej doby. Myślę, że wszystko razem potrwa nie dłużej niż pięć dni.

- I ja pięć dni mam chodzić bez zębów? - nachmurzył się Stalin.

- Dlaczego bez zębów? - zapytał Lipman z uśmiechem. - Na razie nie będzie pan miał tylko górnych trzonowych. Tymczasem można by naturalnie umocować starą protezę, wtedy będzie panu brakowało tylko jednego zęba. Ale w razie gdyby się przekrzywiła, może panu uszkodzić zdrowy ząb - jest zbyt duże obciążenie. Po co ryzykować? Wytrzyma pan jakoś kilka dni?

- Dobrze - zgodził się Stalin. - Kiedy będziemy rwać?

- Kiedy pan sobie życzy, choćby zaraz.

- A można jutro rano?

- Można i jutro rano.

- Dzisiaj mam gości, nie wypada przyjmować gości bez zębów, nie uważa pan?

- Goście, jeśli chcą sobie podjąć - odparł Lipman z uśmiechem - muszą przede wszystkim sami mieć zęby.

Stalin wstał, Lipman pośpiesznie odwiązał mu serwetkę.

- Niech pan wypoczywa - powiedział Stalin. Poproszą pana jutro po śniadaniu.

Kirow przyjechał za dnia. Stalin kazał Żdanowowi zapoznać go ze stanem prac nad

podręcznikiem historii, a wieczorem zaprosić na kolację.

Kolację jedli we trójkę: Stalin, Kirow i Żdanow.

- Dobrze, że przyjechałeś, Siergieju Mironowiczu - powiedział Stalin siadając prawem gospodarza na honorowym miejscu - bo Andriej Aleksandrowicz - wskazał na Żdanowa - nie pije, nie je, siedzi przy stole jak Jezus Chrystus i mnie też chce głodem zamorzyć. A ja w tych sprawach zgadzam się z Czechowem: wszystkie te choroby wymyślili doktorzy. Jeść należy wszystko, po troszku, rzecz jasna, w rozsądnych ilościach. I przyprawy kaukaskie są zdrowe: kinza, tarchun, dżon-dżoli... I owoce są zdrowe, i wino wytrawne... Gruzińskie wino to bardzo dobre wino. Pij, jedz - wszystko ci pójdzie na zdrowie. Wszystko, co jest na stole, sam widzisz, jesteś człowiekiem Kaukazu. A może zapomniałeś już w swoim Leningradzie, co to takiego chaczapuri, co to jest lobio, co to jest saciwi?

- Nie zapomniałem - odparł Kirow śmiejąc się i nakładając sobie na talerz po trochu z każdego półmiska - wszystko pamiętam i wszystko lubię.

- Nie wiem, jaka jest teraz w Leningradzie kuchnia w modzie - odezwał się Stalin. - Kiedyś u szlachty była w modzie kuchnia francuska, u prostych ludzi niemiecka: parówki, kiełbasy. A teraz?

- Teraz jest w modzie kuchnia proletariacka - powiedział Kirow. - Kapuśniak, barszcz, kotlety, makaron. Co dajemy na kartki, to ludzie jedzą.

- Właśnie, kartki - powiedział Stalin w zadumie. - Kartki będziemy likwidować.

Kirow nie zareagował: likwidacja kartek żywnościowych od pierwszego stycznia była już sprawą przesądzoną.

- Zbiory w tym roku powinny być dobre - ciągnął Stalin. - Zboża powinno wystarczyć. Nadeszły meldunki z Kazachstanu, urodzaj podobno niebywały, od dziesiątków lat takiego nie było, spodziewają się, że zbiorą po dwadzieścia pięć cetnarów z hektara. Obawiam się, czy twój przyjaciel Mirzojan poradzi sobie z takim urodzajem.

- Mirzojan to człowiek energiczny, da sobie radę.

Jakby nie dosłyszawszy tej uwagi, Stalin ciągnął w zadumie:

- Bogaty urodzaj to naturalnie dobra rzecz, ale jednocześnie kryje w sobie pewne niebezpieczeństwa: ludzie nie są do tego przygotowani, poza tym niesie z sobą nastroje samouspokojenia, niefrasobliwości, beztroski. Bogaty urodzaj jest dopiero wtedy dobry, kiedy go już zebrano, zwieziono, nie rozkradziono, nie zmarnowano.

Kirow wiedział, że Stalin nic nie mówi ot tak sobie, rozmowę o Kazachstanie rozpoczął nieprzypadkowo. Przy stole Stalin zazwyczaj nie podejmował poważnych tematów, a dzisiaj odstąpił od tej zasady. Zaczyna nie wprost, mówi rzeczy banalne - to jego sposób

komunikowania najbardziej nieoczekiwanych decyzji. I znowu o rolnictwie. Miesiąc temu, na czerwcowym plenum KC, Kirowowi dostało się za niewykonanie i tak już obniżonych planów skupu zboża i mięsa. Żadnego obniżenia planów oczywiście nie było. Po prostu przeprowadzono normalną korektę planów według upraw, w niektórych przypadkach obniżono plany, w innych podwyższono. Stalin w tych sprawach niezbyt dobrze się orientuje, na rolnictwie się nie zna. I żadnych opóźnień też naturalnie nie było - w obwodzie leningradzkim czerwiec nie jest dla skupu miesiącem szczytowym. Jednakże Kirow nie oponował przeciwko uchwale: partia przygotowuje się do zniesienia systemu kartkowego, trzeba skoncentrować wszystkie siły na zaopatrzeniu kraju w zboże, trzeba wszystkich zmobilizować, i jeśli już kogoś besztać, to naturalnie organizację przodującą, żeby to było ostrzeżeniem dla innych. Normalna rzecz, Kirow nie dopatrywał się w tym żadnego ataku na siebie, chociaż z większym pożytkiem można się było posłużyć przykładem organizacji moskiewskiej. Niedociągnięcia te same, a skup zaczyna się wcześniej. Ale organizacją moskiewską kieruje Kaganowicz, a Kaganowicza Stalin nie chce ruszać - typowe dla niego politykierstwo: skrzywdzić jednego, nagrodzić drugiego i poszczuć ich na siebie. Stiepan Szaumian mawiał niegdyś: "Kobra ma umysł i naturę węża". Ale Kirow był ponad to: kiedy decydują się sprawy partii, nie ma miejsca na urazy osobiste! W dodatku Kirow pogardzał Kaganowiczem. Tak czy owak czerwcową uchwałę plenum KC była dla Kirowa zrozumiała, a rozmowa o skupie w Kazachstanie - nie. Jego udział w pracach nad podręcznikiem historii to fikcja, jaki tam z niego historyk! Stalin też nie jest żadnym historykiem, ale się za takiego uważa. Po cóż go tu sprowadził?

- Dobra - powiedział nieoczekiwanie Stalin. - Po kiego licha zaczęliśmy nagle rozmowę o zbiorach, o Kazachstanie, o Mirzojanie? Tu mamy co innego do roboty, mamy się zajmować historią. - Zwrócił się do Żdanowa: - Zapoznaliście Siergieja Mironowicza ze sprawą?

- Zapoznałem. Z grubsza.

- Nauki historyczne musimy wziąć w swoje ręce - odezwał się Stalin chmurnie - w przeciwnym razie wpadną w obce ręce, w ręce burżuazyjnych historyków. Zresztą nasi historycy wcale nie są lepsi. O Pokrowskim nawet nie mówię, to w gruncie rzeczy też historyk burżuazyjny.

- Pokrowski niewątpliwie popełnił pewne błędy - wtrącił Kirow. - Ale Lenin ocenił go inaczej...

Stalin nie spuszczał z Kirowa baczego spojrzenia.

- A jak go ocenił Lenin?



- Zapewne znacie jego list do Pokrowskiego dotyczący "Historii Rosji w najzwięźlejszym zarysie".

- A co Lenin pisał w tym liście?

Wie naturalnie, co Lenin pisał do Pokrowskiego, wie doskonale, ale chce go złapać na nieściskości.

- Nie potrafię tego przytoczyć dosłownie... Można sprawdzić, list był wielokrotnie publikowany. Ale Lenin gratulował mu sukcesu, pisał, że książka bardzo mu się podoba, że należałoby ją przetłumaczyć na języki obce.

- Tak - przyznał Stalin - Leninowi zdarzało się prawić takie komplementy, to fakt. Ale jednocześnie zaproponował, żeby książkę uzupełnić skorowidzem, co pozwoliłoby uniknąć spłylenia. I w tym kryje się sedno oceny Lenina...

- Nie jestem historykiem - powiedział Kirow - ale nie sądzę, żeby to było istotne. Propozycja opatrzenia książki skorowidzem to załedwie drobna uwaga, nie podważająca ogólnej, pozytywnej oceny książki. Pokrowski napisał swoją pracę w roku tysięc dziewięćset dwudziestym i, na dobrą sprawę, była to pierwsza próba naświetlenia historii Rosji z pozycji marksizmu-leninizmu. Przy tym tę książkę, przeznaczoną dla masowego czytelnika, Pokrowski napisał na polecenie Lenina. Mimo wszystkich swoich niedostatków praca ta miała ogromne zalety, wszyscyśmy się z niej uczyli. Nauka, rzecz jasna, poszła naprzód, i teraz przydałby się pewnie nowy podręcznik, ale potępienie książki Pokrowskiego, tak jak to robią niektórzy historycy, uważam za niesłuszne, a szkalowanie autora, na co sobie ostatnio pozwalano, za niedopuszczalne. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że Pokrowski był człowiekiem uczciwym...

- No widzisz - powiedział Stalin z przekąsem - a mówisz, że nie znasz się na historii... Ty w historii wszystkich nas bijesz na głowę. A w ogóle, masz rację, trzeba napisać nowy podręcznik historii. Właśnie po to cię tu zaprosiłem, nie chciałeś przyjechać, a tymczasem okazuje się, że ty właśnie jesteś nam potrzebny. Ale teraz nie chodzi o Pokrowskiego. Mam na myśli niektórych członków partii, starych członków partii. Na przykład Nadieżda Konstantinowna też się ostatnio zajęła historią. Czytałeś jej wspomnienia o Leninie?

- Czytałem - skinął głową Kirow.

- A artykuł Pospielowa w "Prawdzie" o tych wspomnieniach?

- Też czytałem.

- Dobry artykuł, mądry - Stalin odwrócił się, wziął z małego stolika teczkę, przejrzał ją, wyjął wycinki z "Prawdy", przebiegł oczyma fragmenty zaznaczone czerwonym ołówkiem. - Proszę... Pospielow pisze: "Krupska bezkrytycznie wyolbrzymia rolę Plechanowa w historii

naszej partii, a Lenina przedstawia jako pełnego szacunku ucznia Plechanowa”. Słuszna uwaga. A dlaczego słuszna? A dlatego, że Krupska ocenia te postacie w kontekście dalekiej przeszłości, a Pospiełow z punktu widzenia dnia dzisiejszego. Teraz, przy naszym dzisiejszym doświadczeniu, mimo całego naszego szacunku dla Plechanowa, mimo całego naszego uznania dla jego działalności, nie możemy nawet porównywać tych dwóch postaci.

Kirow słuchał Stalina z wielką uwagą. Doskonale pamiętał artykuł Pospiełowa i rozumiał, że nie chodzi bynajmniej o Plechanowa. Przystępstwem była następująca wypowiedź Krupskiej: “Po październiku na pierwszy plan zaczęli się wysuwać ludzie, którym warunki konspiracji nie pozwalały rozwinąć skrzydeł.. Do rzędu takich ludzi należał towarzysz Stalin”. Kirow wyobrażał sobie, do jakiej furii musiały doprowadzić Stalina te słowa, i nie wątpił, że odpowiedź będzie natychmiastowa. Tak też się stało. Odpowiedział Pospiełow, zamieszczając w “Prawdzie” długi artykuł, w którym krytykował różne aspekty wspomnień po to tylko, żeby wyrazić następującą podstawową tezę: “W okresie konspiracji dominująca rola takich wybitnych organizatorów - przywódców partii, jak Stalin i Swierdłow, była absolutnie oczywista dla podstawowej bolszewickiej kadry działaczy, pracujących nie za granicą, lecz na miejscu, w Rosji”. To oczywiście nieprawda. Ale Stalin nie toleruje najmniejszej próby podważenia tezy, jakoby już przed rewolucją był drugim człowiekiem w partii, i że Lenin kierował partią z zagranicy, a on, Stalin, kierował nią w Rosji. Nie odpowiadało to prawdzie, ale sprzyjało zjednoczeniu partii wokół nowego kierownictwa, i Kirow akceptował tę tezę. Co innego jednak akceptować tezę jako polityczną konieczność, a co innego szczerze w nią wierzyć.

Stalin uśmiechnął się ironicznie.

- Wszystkim się nagle zachciało pisać wspomnienia. I Awel Jenukidze też zabrał się do pisania.

Znowu sięgnął do stolika i z tej samej teczki wyciągnął broszurę Jenukidzega. Pokazał ją Kirowowi.

- Czytałeś?

Kirow czytał broszurę Jenukidzega i domyślał się, co się w niej nie podobało Stalinowi. Przez chwilę miał ochotę powiedzieć, że nie czytał, i w ten sposób uchylić się od rozmowy. Ale wtedy Stalin każe mu ją przeczytać i tak czy inaczej od rozmowy się nie wykręci.

- Tak... Miałem ją w ręku... Przeglądałem...

Stalin dostrzegł wymijający ton odpowiedzi.

- “Miałem w ręku”, “przeglądałem” - powtórzył. - Otóż z tej broszury wynika, jakoby o istnieniu drukarni “Nina” wiedziały tylko trzy osoby: Krasin, Jenukidze i Kecchoweli. Skąd

Awel Jenukidze to wie?

- Był jednym z kierowników drukarni.

- Właśnie, "jednym z" ... Oprócz niego był jeszcze Krasin i Kecchoweli. I Kecchoweli nie ukrywał tego przede mną. Ale Krasin i Kecchoweli nie żyją. Żyje tylko Awel Jenukidze, jednakże to, że żyje, nie oznacza, że ma prawo przedstawiać historię drukarni tak, jak jemu się podoba, a nie tak, jak było w rzeczywistości.

- Widocznie Jenukidze nie wiedział, że byliście o tym poinformowani - powiedział Kirow. - Pewnie był przekonany, że dyrektywa Lenina jest ściśle przestrzegana.

- Jaka dyrektywa?

- Że nikt poza Krasinem, Jenukidzem, Kecchowelim i zecerami nie powinien wiedzieć o drukarni.

- Skąd wiesz o istnieniu takiej dyrektywy?

- To fakt powszechnie znany.

- Co znaczy "powszechnie znany"? To wymyślił Jenukidze, a wszyscy uwierzyli. Drukarnia rzeczywiście podlegała centrali zagranicznej. Ale czy z tego wynika, że ja o niej nie wiedziałem? Tak, drukarnią kierował osobiście Lenin, ale to wcale nie znaczy, że, jak pisze Jenukidze, ani jeden człowiek oprócz nich nic o niej nie wiedział. Jeśli towarzysz Jenukidze rzeczywiście tak myśli, dlaczego nie sprawdził faktów u starych bakińczyków? I dlaczego wystąpił z tym właśnie teraz? Dlaczego zwraca uwagę właśnie na tę okoliczność? Po co mu to było potrzebne? A po to, żeby obalić tezę o kontynuacji władzy, żeby dowieść, że obecne kierownictwo nie jest bezpośrednim kontynuatorem dzieła Lenina, że przed rewolucją Lenin opierał się nie na dzisiejszych przywódcach, lecz na innych ludziach, co więcej, on tym innym ludziom ufał, a dzisiejszym przywódcom nie. Na czyj młyn leje wodę towarzysz Jenukidze?

- Nie sądzę, żeby towarzysz Jenukidze kierował się tego typu motywami - zaproponował Kirow. - Sądzę, że po prostu opowiedział o tym, co wiedział. O tym, że Kecchoweli was informował, mógł zwyczajnie nie wiedzieć. Jestem tego pewny.

- Nie widzę podstaw do takiego przekonania - odparł Stalin chłodno. - Nie widzę podstaw do takiej pewności. Towarzysz Jenukidze znajduje się w partii nie od dzisiaj, towarzysz Jenukidze jest członkiem Komitetu Centralnego Partii, towarzysz Jenukidze nie może nie zdawać sobie sprawy z politycznych następstw swoich czynów, towarzysz Jenukidze nie może nie rozumieć, czym interesom służy jego broszura. Gdyby tę broszurę napisał pierwszy lepszy historyk, to można by nad tym przejść do porządku. Historycy często się mylą, historycy często trzymają się niewolniczo nagich faktów historycznych,

historycy z reguły są złymi dialektykami i marnymi politykami. Ale przecież tę broszurę napisał nie pierwszy lepszy historyk, lecz jeden z przywódców partii i państwa. W jakim celu ją napisał? Zachciało mu się pisać wspomnienia? Za wcześnie. Towarzysz Jenukidze jest jeszcze młody, jesteście niemal rówieśnikami, a ja siebie jeszcze nie uważam za starca i wspomnień pisać nie zamierzam. To nie są wspomnienia, lecz akcja polityczna. Akcja obliczona na zafałszowanie historii naszej partii, akcja mająca na celu zdyskredytowanie obecnego kierownictwa partii. Oto jaki cel przyświecał towarzyszowi Jenukidze.

- Chyba trochę przesadzacie - zauważył Kirow chmurnie. - Jenukidze rzeczywiście nie powinni pisać takich broszur, bo nie jest ani historykiem, ani pisarzem. Wątpię jednak, żeby chciał zdyskredytować kierownictwo partyjne. To uczciwy i szczerzy człowiek i lubi was.

- Uczciwość, szczerłość, miłość - to nie są kategorie polityczne. W polityce liczy się tylko jedno: rachuby polityczne.

Rozmowa stawała się przykra. W ostatnich czasach ze Stalinem w ogóle trudno było rozmawiać, szczególnie gdy wpadał w rozdrażnienie.

- Można ogłosić sprostowanie - powiedział Kirow pojednawczo - zwrócić towarzyszowi Jenukidze uwagę, że w sprawach historii nie jest kompetentny.

- Tak - podchwycił Stalin - gdyby to napisał jakiś historyk, mógłby go poprawić inny historyk. Ale to napisał członek KC, jeden z bardziej znanych przywódców kraju. Poprawić go może tylko ktoś równy rangą - powiedział Stalin patrząc Kirowowi prosto w oczy. - Ty pięć lat stałeś na czele bakińskiej organizacji partyjnej, twoje zdanie miałyby największą wagę.

Kirow był oszołomiony. On, członek Biura Politycznego, ma publicznie zaświadczyć, że Stalin był kierownikiem drukarni, o której istnieniu nawet nie wiedział, bo co do tego Jenukidze się nie mylił. Dlaczego proponuje się to właśnie jemu? Wystawia się na próbę jego lojalność? Ależ on już dowiódł swojej lojalności, a jeśli konieczna jest jeszcze jedna próba, to przecież nie taka.

- Nigdy nie zajmowałem się historią - powiedział Kirow - i nie jestem w tej sprawie zorientowany. Poza tym w okresie, o którym mowa, nie było mnie w Baku.

- No cóż - spokojnie odparł Stalin. - Mówi się trudno. Mam nadzieję, że w partii znajdą się towarzysze, którzy potrafią odpowiedzieć Awelowi Jenukidze. - Zwrócił się do Żdanowa - Komitet Centralny nie powinien się zajmować tą sprawą. Ta sprawa nie dotyczy całej partii, tylko jednego z jej oddziałów, organizacji bakińskiej. Niech więc zakaukaska organizacja partyjna zajmie się swoją historią. WEzwijcie towarzysza Berię, przedstawicie

mu punkt widzenia Komitetu Centralnego. Beria jest sekretarzem zakaukaskiego Komitetu Krajowego - to leży w jego kompetencjach.

Nazajutrz po śniadaniu Stalin kazał wezwać dentystę.

Lipman zjawił się ze swoją walizką, rozłożył narzędzia, przygotował miskę, poprosił Stalina o zajęcie miejsca w fotelu, zawiązał mu serwetkę pod brodą.

- Jak się spało? - zapytał Stalin.

- Cudownie - odparł Lipman, napelniając strzykawkę. - Lepiej nie można. Cisza, spokój... - Łagodnym ruchem ręki przechylił głowę Stalina na podgłówek, poprosił, żeby pacjent otworzył usta. - Nie wiem, jak na innych, ale na mnie zawsze dobrze działa szum morza...

Stalin poczuł jakby lekkie ukłucie w dziąsło, albo mu się tylko tak wydało - z twarzy Lipmana nic nie mógł odczytać, doktor patrzył mu w usta i uśmiechał się. Potem wyprostował się, położył ręce na kolanach i wciąż uśmiechając się, powiedział:

- Troszkę poczekamy, żeby zaczęło działać znieczulenie. Może pan zamknąć usta, może pan rozmawiać, może pan spacerować, ale lepiej siedzieć.

Dziąsło cierpło, drętwiało, sztywniało. Stalinowi już usuwano zęby pod miejscowym znieczuleniem, ale nie pamiętał, jak długo trzeba czekać, żeby znieczulenie zaczęło działać.

- Jak długo trzeba czekać? - zapytał.

- Około dziesięciu minut, sądzę. Proszę jeszcze raz otworzyć usta, sprawdzę.

Znowu zajrzał w usta, przejechał po dziąsłach jakimś metalowym narzędziem.

- Już niedługo...

Patrzył na Stalina, spokojny, przyjazny, dobrze zrobił zastrzyk, bezboleśnie, towarzysz Stalin powinien być zadowolony.

Stalin rzeczywiście cenil ludzi, znających się na rzeczy i dobrze wykonujących swoją pracę. Ten lekarz przeżyje zapewne sto lat: jest zadowolony ze swojej pracy, z życia, ze swojej pozycji. Pracuje na Kremlu, leczy członków Biura Politycznego, dostaje pewnie kartkę żywnościową dobrej kategorii - ale znajdą się zawistnicy, zawistnicy zawsze się znajdują. Jednak ten lekarz nie przywiązuje chyba do tego żadnej wagi: to człowiek wyzbyty ambicji, taki, jakich na ziemi jest zdecydowana większość. Kiedyś On w czasach swej wczesnej młodości w imię ich dobra rozpoczął walkę, nim nie zrozumiał innych, prawdziwych motywów tej walki. Ale teraz On rządzi tymi ludźmi, oni wierzą w niego jak w Boga, a wierzyć w Boga można tylko ślepo i bezkrytycznie, nazywają Go ojcem, ludzie szanują tylko ciężką, surową, ale mocną i opiekuńczą ojcowską rękę. I ten też jest mu oddany tylko za to, że może przebywać w Jego pobliżu, tacy ludzie też powinni się

znajdować w jego otoczeniu. Nie tylko strażnicy - psy łańcuchowe, nie tylko pomocnicy - ludzie o wygórowanych ambicjach, ale i prości, skromni, kochający Go i oddani Mu ludzie.

Lipman siedział obok niego, zerkał na zegarek, uśmiechał się, kilkakrotnie badał stan znieczulenia dziąsła, wodząc po nim jakimś narzędziem, i po jednej z takich prób pokazał Stalinowi wyrwany, zaciśnięty w kleszczach ząb.

- Kiedy pan zdążył, nawet nie poczułem.

- Przecież rwałem pod znieczuleniem. I ząb ledwie się trzymał, można go było wyrwać, jak to się u nas mówi, palcami.

- To czemu pan go nie wyrwał palcami?

- Wtedy pan by właśnie poczuł.

Stalin wypluł do podstawionej miski długi strzęp krwawej śliny, przepłukał usta i jeszcze raz splunął.

- Proszę przez dwie godziny nic nie jeść - powiedział Lipman, podając mu czystą serwetkę. Stalin otarł usta. - I w ogóle dzisiaj nie jeść nic gorącego.

Wziął ze stołu protezę, pokręcił w ręku.

- Bardzo dobra proteza, dobrze zrobiona, materiał pierwszorzędny: stop złota, platyny i palladu. Teraz już nie będzie panu potrzebna, zrobimy nową. Tylko czy nie lepiej byłoby zrobić zwyczajną protezę?

- Co znaczy zwyczajną?

- Tu, proszę spojrzeć, zęby trzymają się na metalowej płytce, a my zrobimy plastikową.

- A dlaczego?

- Chodzi o to, że metalowa proteza trzyma się na zębach za pomocą tych dwóch haczyków, które my nazywamy klamrami. Póki proteza jest lekka, zębom też jest lekko. Ale na pana protezie jest już siedem sztucznych zębów, to duży ciężar, zbyt duży. A na nowej protezie dojdzie jeszcze jeden ząb, ciężar protezy jeszcze się zwiększy, zwiększy się obciążenie. Natomiast plastikowa proteza przysysa się do podniebienia i może utrzymać dowolną liczbę zębów.

- Pan chce mi zrobić protezę jak dla starca?

- Dlaczego jak dla starca? Starcy noszą sztuczne szczęki, nie mają własnych zębów, a pan ma własne zęby i, da Bóg, jeszcze długo panu posłużą.

Kilka lat temu, kiedy Stalinowi wyrwano trzonowe zęby i po raz pierwszy zaproponowano zrobienie protezy, bardzo się zmartwił: Koniec! Staruszek ze sztuczną szczęką! Widział, jak starzy ludzie wyjmują sztuczne zęby przed snem i wkładają je do szklanki z wodą. Tak zdejmował swoją protezę wcale jeszcze wtedy niestary Solc, właśnie u

Solca po raz pierwszy widział sztuczną szczękę. Kiedy Solc rozmawiał, a rozmawiając zawsze się podniecał, szczęka się zsuwała, Solc podtrzymywał ją językiem, seplenił, wymawiał słowa niewyraźnie - wrażenie okropne.

Lekarze wyjaśnili jednak, że proponują mu nie sztuczną szczękę, lecz złotą płytkę, na której będą umocowane sztuczne zęby trzonowe, żeby miał czym gryźć. No i zrobili mu tę złotą płytkę, przywykł do niej, nie przeszkadzała mu i wcale nie czuł, że nie ma zębów. Potem, kiedy wyrwano mu jeszcze dwa zęby, zaproponowano mu zrobienie plastikowej protezy, takiej samej, jaką teraz proponuje Lipman, i argumenty przytaczano takie same, ale nie zgodził się, i zrobiono mu złotą protezę, którą Lipman teraz trzyma w ręku, i wbrew wszelkim obawom ta proteza dobrze mu służyła.

Teraz Lipman znowu chce mu zrobić protezę jak dla starca. Lipman to człowiek ograniczony, widzi w Nim pacjenta i zapomina, że na Tego pacjenta patrzą miliony i że on nie może stanąć przed nimi z wypadającą szczęką, nie może seplenić, mówić tak, jakby miał kluski w gębie.

- Niech pan zrobi złotą - powiedział Stalin.

Lipman nie ośmielił się nalegać.

- Dobrze, słucham pana - powiedział. - Gdyby ranka trochę bolała, proszę zażyć tabletkę piramidonu, a w razie czego proszę mnie wezwać. Jutro proszę mi pozwolić sprawdzić, jak się goi ranka.

- Jutro o tej samej porze poproszą pana.

\* \* \*

Lipman wyszedł. Stalin podszedł do lustra, wyszczerzył zęby... Żałosny widok, u góry zaledwie pięć zębów, żółtych od nikotyny... Nie szkodzi, Żdanow jakoś wytrzyma ten widok. I Kirow też wytrzyma.

Na myśl o Kirowie Stalin skrzywił się. Kirow nie chce się włączyć do walki, nie chce umocnienia kierownictwa partii.

Tego dnia Stalin nikogo nie przyjmował: niech przestanie działać znieczulenie, niech się ranka zagoi. Tak jak nakazał lekarz, przez dwie godziny nie brał nic do ust. Na obiad podano mu czerwony barszcz i ciepłe mielone kotlety - i słusznie, przecież nie miał czym gryźć. Ranka go nie bolała, dziąsło też nie, nie musiał zażywać piramidonu.

Nazajutrz rano przyszedł Lipman, obejrzał jego jamę ustną i powiedział z zadowoleniem:



- Znakomicie, jutro zaczynamy.

- Jak pan spędza czas? - zapytał Stalin. - Nie nudzi się pan?

- Ależ skąd? Nie mam czasu się nudzić. Morze pod bokiem, plaża, w dodatku patrzę, na biurku leży papier, zaostrome ołówki, no to zasiadłem do pisania.

- Co takiego pan pisze?

- Pracę specjalistyczną z protetyki.

- Życzę powodzenia.

Obiad i kolację Stalin jadł sam. Zasiadać przy wspólnym stole bez zębów nie miał ochoty. Ale pracować trzeba. Wieczorem przyszedł do niego Żdanow i Kirow.

- A więc Hitler został dożywotnim Führerem narodu niemieckiego i reichskanclerzem niemieckiego imperium - odezwał się Stalin.

- Tylko patrzeć, jak się obwoła cesarzem - zauważył ze śmiechem Kirow.

- Tego głupstwa chyba nie zrobi - powiedział Żdanow.

- Słusznie - zgodził się Stalin - to nie miałoby sensu. Cesarzy było wielu, a Führer jest tylko jeden. W dodatku nie ma dzieci, dynastii nie założy... - ślizgał się wzrokiem po gazecie. - No proszę, Zinowiew znowu spłodził artykuł, codziennie pisze. Co człowiek otworzy jaką gazetę, to natknie się na Zinowiewa, na Kamieniewa, na Radka. Piszą, piszą, piszą...

- Nie mają nic innego do roboty - wtrącił Żdanow.

- Ale co jest w tym najbardziej interesującego, to to - ciągnął Stalin - że w każdym artykule pieją hymny na cześć towarzysza Stalina, i taki jest ten Stalin, i siaki, i wielki, i genialny, i mądry, nieomal większy od Marksa, Engelsa, Lenina. I dlaczego tak go wychwalają? Czy Zinowiew może szczerze chwalić towarzysza Stalina? Nie, nie może! On nienawidzi towarzysza Stalina. Czyli że łże, pisze co innego, niż myśli. Ale dlaczego łże? Przecież doskonale rozumie, że nikt, w tym również towarzysz Stalin, mu nie wierzy. Boi się? Kogo się boi, przecież nikt go nie rusza.

- Chce pokazać, że się poddał, że do niczego nie pretenduje - powiedział Kirow.

- Przypuśćmy - zgodził się Stalin. - Wątpliwe, przypuśćmy jednak, że to prawda. Ale przecież on się poniża. A o własnym poniżeniu nikt nigdy nie zapomina. Wszystko można zapomnieć: obelgi, urazy, niesprawiedliwość, ale upokorzenia nie zapomni nikt, taka już jest natura człowieka. Zwierzęta polują na siebie, walczą ze sobą, zabijają się, pożerają jedno drugie, ale nie upokarzają się nawzajem. Tylko człowiek poniża drugiego człowieka. I żaden człowiek swojego poniżenia nie zapomni, i temu, przed kim się poniżał, nie wybaczy. Wręcz przeciwnie, będzie go nienawidzić. Im bardziej Zinowiew wychwala towarzysza

Stalina, tym bardziej się przed nim poniża i tym bardziej będzie nienawidzić towarzysza Stalina. Radek też wyłazi ze skóry, też wychwala, ale Radek to gaduła, człowiek niepoważny, wczoraj wychwalał Trockiego, dzisiaj wychwala Stalina, jutro, jeśli zajdzie potrzeba, będzie wychwalał Hitlera. Takiemu podasz chleb z pieprzem, i też przełknie, obliże się i jeszcze podziękuję. Ale Zinowiew i Kamieniew to co innego, inne ambicje, zawsze mierzyli wysoko i w dalszym ciągu mierzą. Zwłaszcza że ich szeregi rosą, przybył Bucharin i Rykow et consortes...

Kirow wzruszył ramionami:

- Zinowiew i Bucharin? Co oni mają ze sobą wspólnego?

- Siergieju Mironowiczu - wtrącił Żdanow delikatnie - przecież Bucharin biegał do Kamieniewa od kuchni, szukał z nim porozumienia.

Żdanow podobał się Kirowowi, niemniej istnieją sprawy, które członkowie Biura Politycznego omawiają tylko w ścisłym gronie. Żdanow nie jest członkiem Biura Politycznego. Tę rozmowę Stalin rozpoczął w obecności Żdanowa celowo, żeby pokazać, iż nie widzi różnicy między Kirowem a Żdanowem.

- Widzicie, towarzyszu Żdanow - oświadczył Kirow oschle - to było osiem lat temu, kiedy kierownictwo partii jeszcze się nie ustabilizowało, kiedy Zinowiew i Kamieniew dążyli do władzy. Teraz rozumieją doskonale, że nie mają żadnych szans, pogodzili się ze swoją sytuacją, ze swoją klęską choćby dlatego, że przez wiele lat bili się w piersi, skompromitowali się i już na nic, jak sądzę, nie liczą.

Żdanow chciał odpowiedzieć, ale Stalin gestem ręki nakazał mu milczenie.

- Politycy zawsze dążą do władzy - powiedział. - Im bardziej się poniżają, tym bardziej pragną wziąć odwet za swoje poniżenie. Swoich upokorzeń nie wybaczą nikomu, a mnie i tobie przede wszystkim. Zinowiew uważał Leningrad za swój folwark, przed XIV Zjazdem organizacja leningradzka głosowała na Zinowiewa, przeciwko partii. A teraz już od ośmiu lat na czele organizacji leningradzkiej stoi towarzysz Kirow i organizacja leningradzka idzie za towarzyszem Kirowem. Organizacja leningradzka już nie uznaje Zinowiewa, ta organizacja uznaje tylko Kirowa. Czy Zinowiew ci to wybaczy? Nie, nie wybaczy ci. I przy pierwszej nadarzającej się okazji zemści się.

- Nie rozumiem, o czym mówicie - Kirow wzruszył ramionami. - Nie rozumiem, nie widzę, nie wyobrażam sobie, jak i w jaki sposób, czyimi rękami oni zamierzają się na mnie zemścić.

- Ręce zawsze się znajdują - odparł Stalin. - Dla takiej sprawy ręce zawsze się znajdują. Tym bardziej znajdują się w Leningradzie, gdzie Zinowiew ma swoich kumpli, a ty nie chcesz

ich ruszać, ufasz tym wszystkim, którzy się jakoby pokajali i skapitulowali.

Stalin wpatrywał się w Kirowa. Obce oczy, dzioby na twarzy. Dzioby po ospie jednak szpecą twarz, co tu dużo gadać. Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Niby nic takiego: dzioby - wielka mi rzecz. A jednak nieprzyjemnie. Patrząc na dziobatą twarz Kirowa przypominał sobie, że sam też jest dziobaty.

- Towarzyszu Stalin - powiedział Kirow twardo - w dwudziestym piątym roku organizacja leningradzka rzeczywiście głosowała na Zinowiewa. Ale przecież w dwudziestym szóstym głosowała już na nas, na Komitet Centralny. To są szeregowi członkowie partii, w dwudziestym piątym roku władze partyjne od góry do dołu namawiały ich, a mówiąc szczerze, nakazały im głosować na kierownictwo leningradzkie, głosować inaczej znaczyło - złamać dyscyplinę partyjną. Takie są, niestety, koszty centralizmu demokratycznego, każda organizacja partyjna może w jakimś momencie pójść błędną drogą za swoim kierownictwem. Szeregowi członkowie partii nie ponoszą tu żadnej winy i karać ich za to nie mamy prawa.

- "Szeregowi członkowie partii" - Stalin uśmiechnął się ironicznie. - Żli to członkowie partii, jeśli sekretarz rajkomu może ich nastawić przeciwko partii, przeciwko jej Komitetowi Centralnemu. Leningradzcy komuniści wcale nie są tak naiwni, jak chcesz nam to przedstawić. Przecież oni dotąd uważają swoje miasto za kolebkę rewolucji, a siebie za awangardę rosyjskiej klasy robotniczej. A poza tym w Leningradzie pozostali nie tylko ci, co głosowali zgodnie z zasadą dyscypliny partyjnej, ale i ci, co nakazali im tak głosować. Oni też uchodzą za takich, co się pokajali, ale ich skrucha niczym się nie różni od skruchy Zinowiewa i Kamieniewa, oni czekają na swój czas, zdają sobie sprawę, że ten czas może nadejść przy najmniejszym zamieszaniu w partii, w kraju, w państwie. Wystarczy usunąć mnie, ciebie, tego, tamtego z członków Biura Politycznego, żeby się takie zamieszanie zaczęło, a oni nie omieszkają z niego skorzystać, to są wytrawni politycy. A wtedy nie będą nas oszczędzać. Jeśli się dorwą do władzy, wykończą nas wszystkich. A ty im ufasz, bawisz się w liberała, myślisz, że ci za to podziękują. Nie, mój drogi! Ty sobie przecież spacerujesz po ulicach, w teatrze siedzisz na parterze. Jesteś nieostrożny, bardzo nieostrożny! Czyżbyś tego nie rozumiał? Czy Biuro Polityczne ma podjąć specjalną uchwałę w sprawie ochrony twojej osoby?

- Bardzo proszę nie podejmować żadnych uchwał - powiedział Kirow pośpiesznie. - Moja ochrona jest wystarczająca i pewna.

- To ty tak myślisz - zaproponował Stalin - a Biuro Polityczne może mieć w tej sprawie własne, odmienne zdanie. Istnieje określony regulamin ochrony członków Biura

Politycznego i ty jesteś jedyny, który ten regulamin łamie.

- Od ośmiu lat mieszkam w Leningradzie - powiedział Kirow - i w ciągu tych ośmiu lat nic się nie stało. Nie było cienia niebezpieczeństwa.

- Wczoraj się nie stało, dzisiaj się nie stało, a jutro może się stać - zaproponował Stalin - nic nie jest wieczne, nic nie jest nieskończone. Wraz z dojściem Hitlera do władzy sytuacja zmieniła się zasadniczo. Teraz siły opozycyjne w naszym kraju znajdą oparcie w militarystycznych dążeniach Niemiec. To prawda, że te militarystyczne dążenia są skierowane przede wszystkim na Zachód, ale Zachód usiłuje zwekslować je na nas. Taki obrót spraw może spowodować w kraju sytuację kryzysową. Kto przede wszystkim będzie się starał ją wykorzystać? Siły opozycyjne... Jakie siły opozycyjne istnieją w naszym kraju? Monarchiści? Kadeci? Eserowcy? Mieńszewicy? Ich już nie ma, zostali zmieceni na zawsze, już się nie odrodzą, naród na zawsze związał się z ustrojem radzieckim. A to znaczy, że jedyne niebezpieczeństwo stanowią siły opozycyjne wewnątrz ustroju radzieckiego, weewnątrz partii. Co to są za siły? Trockiści, zinowiewowcy, bucharinowcy. Czy oni sami to rozumieją? Niewątpliwie. A na razie manewrują. Ich głównym zadaniem jest - przetrwać, zachować kadry. Jest ich mało? Kilka tysięcy osób? A ilu było nas, bolszewików, w siedemnastym roku? Też kilka tysięcy. Ale umiejętnie wykorzystaliśmy sytuację i zwyciężyliśmy. Jakie mamy podstawy, by sądzić, że tacy, jak Zinowiew, Kamieniew, Bucharin, nie potrafią wykorzystać nadarzającej się okazji, skoro mają za sobą nie tysiące, lecz setki tysięcy zamaskowanych zwolenników? Czy Zinowiewa nie poprą byli mieńszewicy? Czy nie poprą Bucharina rozkułaczeni chłopci, eserowcy, kadeci? Oni potraktują Zinowiewa i Bucharina jak trampolinę, figury tymczasowe, ale w konkretnej sytuacji kryzysowej jedynie możliwe do przyjęcia, bo naród ich zna, partia ich zna. O tym, że się kajali i przyznawali do błędów, nikt nie będzie pamiętał. Nie takie błędy popełnili w siedemnastym roku Zinowiew i Kamieniew i co - wszystko im wybaczone, wszystko zapomniano. Trocki przez piętnaście lat prowadził walkę przeciwko Leninowi, a gdy przeszedł na stronę bolszewików, natychmiast mu wszystko wybaczone, wszystko mu zapomniano. Narodu nie interesuje przeszłość działacza politycznego, lecz to, co ten działacz reprezentuje sobą dzisiaj, w danej chwili. Zinowiew, Kamieniew i Bucharin wiedzą o tym doskonale - to jest elementarna strategia. Dla nich najważniejsze - przetrwać, doczekać się swojej godziny. Pod tym względem są sprytniejsi od Trockiego. Trocki to żaden polityk, szedł na całego i jego kadry też szły na całego, znamy ich wszystkich, mamy ich na oku. Zinowiew i Bucharin są sprytniejsi, skapitulowali we właściwym czasie, nie ujawnili swoich kadr, ich kadry przyczaiły się i każdej chwili mogą wystąpić. Jest ich dużo,

bardzo dużo: wszyscy obrażeni w partii, wszyscy obrażeni w kraju. Ogromny, niebezpieczny potencjał. A “my” tymczasem ten potencjał oszczędzamy, chronimy go, nie chcemy go krzywdzić.

- Macie na myśli Leningrad? - zapytał Kirow.

- Tak - odparł Stalin twardo. - Mam na myśli Leningrad jako niezwyciężony bastion opozycji i towarzysza Kirowa, który tego bastionu nie chce zburzyć.

- To niezupełnie tak - zaproponował Kirow spokojnie. - Historia partii uczy nas też czegoś innego. W partii zawsze istniały rozbieżne poglądy na strategię i taktykę, toczyły się spory i dyskusje. Ale kiedy partia podejmowała decyzję, kończyły się dyskusje, opozycja przestawała istnieć i nikogo z byłych opozycjonistów z partii nie usuwano. Wręcz odwrotnie, Lenin dawał nam przykład życzliwego, koleżeńskiego stosunku do towarzyszy, którzy mylili się w tej czy innej kwestii. Twierdzę z całkowitą odpowiedzialnością, że żadnych zinowiewowców, trockistów, bucharinowców w organizacji leningradzkiej nie ma. Czasami, rzecz jasna, stykamy się z antyradzieckimi, antypartyjnymi nastrojami, ale z reguły dotyczy to środowisk burżuazyjnych i nie ma nic wspólnego z dawną opozycją. I leningradzcy robotnicy-komuniści, którzy w dwudziestym piątym roku głosowali na Zinowiewa, dawno już z Zinowiewem zerwali i zapomnieli o nim. Karać ich po upływie ośmiu lat za to, że zgodnie z zasadami dyscypliny partyjnej głosowali na swoje kierownictwo, nie mogę i nie będę. Jeśli uważacie, że moja polityka jest niesłuszna, możecie mnie odwołać z Leningradu, ale jak długo będę w Leningradzie, tej polityki nie zmienię.

Napięcie, które wyczuwało się przez cały czas w Stalinie, nagle opadło i Stalin powiedział spokojnie, a nawet obojętnie:

- Partia nie może prowadzić w każdym mieście odrębnej polityki, partia prowadzi jednakową politykę w całym kraju i każdy sekretarz obkomu powinien się tej polityce podporządkować. Linia polityczna wobec byłych zinowiewowców zostanie omówiona na posiedzeniu Biura Politycznego. Ale zanim to zrobimy, chciałbym, żebyś był ostrożny, żebyś wziął pod uwagę moje ostrzeżenia. Zinowiewowcy uaktywniają się. Dysponuję znacznie szerszymi informacjami niż ty, Siergieju Mironowiczu, jesteś zbyt ufny. Uważaj, żeby cię twoja nadmierna ufność nie zawiodła.

- W jakim sensie?

- Ty widziałeś Zinowiewa i Kamieniewa tylko na trybunach zjazdów, a ja zjadłem z nimi beczkę soli, z Kamieniewem byłem na zesłaniu. To kłamcy, łgarze, oszuści i faryzeusze. I ci co stoją za nimi, też są kłamcami, łgarzami i faryzeuszami. Nie wierz im, oni są do

wszystkiego zdolni. I nienawidzą cię. Im więcej im będziesz potakiwać, tym więcej cię będą nienawidzić. Nawiasem mówiąc, z tego między innymi powodu wolałbym, żebyś się przeniósł do Moskwy. Jeżeli na twoje miejsce przyjdzie ktoś inny i też będzie sobie dobrze radził, tamci zrozumieją, że tu chodzi nie tylko o towarzysza Kirowa, lecz o partię, że leningradzcy komuniści nie idą po prostu za towarzyszem Kirowem, lecz za partią. I na twojego następcę nie będą sobie ostrzyć zębów. Jesteś przecież sekretarzem KC i dawno już powinieś był przenieść się do Moskwy. Przeprowadzisz w Leningradzie likwidację systemu kartkowego, żeby cię leningradzcy dobrze wspominali, niechaj to będzie twój, że tak powiem, pożegnalny gest, i przenieś się do Moskwy.

Kirow spuścił oczy, powstrzymując wybuch wściekłości. Aluzja do tego, że jest żądny popularności, była aż nadto wyraźna. Wszystko jasne: Stalin chce go zabrać z Leningradu, chce go mieć na oku, w Moskwie, chce go sobie całkowicie podporządkować.

- Towarzyszu Stalin - powiedział - proszę mnie nie odwoływać z Leningradu, póki nie zostanie zakończona przebudowa miasta. Ja ją zacząłem i ja chciałbym ją doprowadzić do końca.

Ton wypowiedzi świadczył, że jest to jego decyzja ostateczna.

Stalin zrozumiał to i zapytał spokojnie:

- A kiedy powinna się zakończyć przebudowa?

- Spodziewam się, że pod koniec tej pięciolatki.

- No cóż - zażartował Stalin - postaramy się zakończyć pięciolatkę w ciągu czterech lat, żeby cię jak najprędzej mieć w Moskwie.